

LEILA
MEACHAM

RÓŻA

„PORUSZAJĄCA SAGA, W KTÓREJ
POBRZMIEWA ECHO
PRZEMINĘŁO Z WIATREM”

— PUBLISHERS WEEKLY



WYDAWNICTWO
SONIA, DRAGA

LEILA
MEACHAM

RÓŻE

Z języka angielskiego przełożyła
Joanna Piątek



Dla Janice Jennings Thomson

Przyjaciółki na każdą pogodę



*I przepowiadam wam: dzisiejsza klótnia,
Co w tym ogrodzie przeszła w zwykłą burdę
Pomiędzy różą białą i czerwoną –
Tysiąc dusz przez nią śmierć i noc pochłoną*

– Warwick w *Henryku VI* Williama Szekspira
część I, akt II, scena IV

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję przede wszystkim Louise Sherr za polecenie tej książki uwadze Davida McCormicka, wspaniałego agenta literackiego. On i jego zespół sprawili, że powieść trafiła w ręce Deb Futter, redaktora Grand Central Publishing, i jej asystentki, Dianne Choie. Deb przeprowadziła mnie przez poprawki, a Dianne przez labirynt procedur wydawniczych z takim poczuciem humoru, życzliwością i zrozumieniem, że te zwykle przerażające procedury okazały się dla mnie bardzo przyjemnym doświadczeniem.

Dziękuję również Nancy Johanson, niezwyklej adiustatorce, której czujne redaktorskie oko i nieustające wsparcie były dla mnie bezcenne, oraz Clintowi Rodgersowi, geniuszowi komputerowemu, który z nieodmienną pogodą ducha odpowiadał na każde moje (jakże częste) wołanie o pomoc.

Jak zawsze chcę też podziękować mojemu kochającemu mężowi za to, że od tylu lat zawsze mogę na niego liczyć.

I na koniec – przepelniona niegasnącym podziwem – dziękuję za przyjaciół i przyjaciółom, których spotkałam po drodze i którzy mnie dopingowali. To dzięki Wam dobiegłam do mety. Wiecie, kim jesteście.



CZEŚĆ I



Rozdział pierwszy

Howbutker w Teksasie, sierpień 1985

Amos Hines siedział za swoim biurkiem, kończąc lekturę dwustronicowego dokumentu prawnego, o którego przeczytanie go poproszono. Zupełnie zaschło mu w ustach, miał wrażenie, jakby jadł piasek. Z niedowierzaniem patrzył na swoją klientkę i jednocześnie długoletnią przyjaciółkę – na kobietę, którą przez czterdzieści lat podziwiał, niemal czcił – i nie mógł wykrztusić słowa. Sądził, że dobrze ją zna. Próbował doszukać się w jej twarzy oznak, że to wiek upośledził jej zdolności umysłowe, ale ona patrzyła na niego z właściwą sobie przenikliwością, z której zresztą słynęła w okolicy. W końcu udało mu się wydobyć głos:

– To wszystko prawda, Mary? Sprzedałaś farmy i zmieniłaś testament?

Mary Toliver DuMont kiwnęła głową. Ruch spowodował, że w ufryzowanych falach siwych włosów odbiły się promienie słońca wpadające przez francuskie okna.

– Dwa razy tak, Amos. Wiem, że przeżywasz szok, i choć nie jest to najmilszy sposób okazania wdzięczności za te wszystkie lata twojej pracy i oddania, to jednak nie chciałam powierzać tej sprawy innemu adwokatowi, bo myślę, że poczułbyś się głęboko zraniony.

– To prawda – odparł. – Inny adwokat nie próbowałby odwieść cię od podpisania takiego kodycyłu. Przynajmniej w tej części, którą da się jeszcze zmienić.

Nie można już było uratować Toliver Farms, ogromnego holdingu bawełnianego, który w zeszłym miesiącu sprzedała w tajemnicy przed wnuczką swojego brata. Rachel, nieświadoma niczego, nadal rezydowała w Lubbock w Teksasie jako dyrektor Toliver Farms West.

– To bezcelowe, Amos – zapewniła go Mary nieco szorstkim tonem. – Co się stało, to się nie odstanie, decyzja jest ostateczna, więc nawet nie próbuj, zmarnujesz w ten sposób tylko swój i mój czas.

– Czy Rachel czymś cię obraziła? – zapytał spokojnie, odwracając się w obrotowym fotelu w stronę kredensu. Sięgnął po karafkę, a kiedy napełniał szklanki wodą, zauważył, że drży mu ręka. Wolałby coś mocniejszego, ale Mary nie uznawała alkoholu. – I stąd sprzedaż farmy oraz zmiana testamentu?

– Na Boga, oczywiście, że nie – w jej głosie usłyszał przerażenie. – Nawet tak nie myśl. Moja cioteczna wnuczka nie zrobiła nic ponad to, że jest tym, kim jest: Toliverówną z krwi i kości.

Wziął dwie serwetki i podał Mary szklankę. Chyba schudła. Kostium, od jednego z najlepszych projektantów, trochę na niej wisiał, a wypielegnowana twarz – wciąż piękna w wieku osiemdziesięciu pięciu lat – jakby zmizerniała. „Ta sprawa” odcisnęła na niej swoje piętno – i powinna, pomyślał zaraz, czując wzbierający gniew. Jak mogła zrobić coś takiego ciotecznej wnuczce – pozbawić ją wszystkiego, co spodziewała się odziedziczyć: ziemi, domu swoich przodków, prawa do życia w mieście, które założyli? Wypił spory łyk wody i próbując ukryć oburzenie, zauważył:

– Mówisz, jakby to była wada.

– Bo jest, a ja ją naprawiam – uniosła szklankę i wypła łąpczywie, a potem wytarła usta serwetką. – Taki jest cel tego kodycyłu. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale Percy na pewno będzie wiedział, o co mi chodzi, kiedy nadejdzie już ten czas. Tak jak Rachel, kiedy tylko jej to wyjaśnię.

– A konkretnie?

– Jutro wybieram się do Lubbock, firmowym samolotem. Rachel nic o tym nie wie. Powiem jej o sprzedaży i kodycyłu. Mam nadzieję, że zdołam ją przekonać, iż zrobiłam to dla jej

dobra.

Dla jej dobra?! Amos wpatrywał się w nią osłupiały przez szkła swoich okularów. Łatwiej by jej było przekonać marynarza do celibatu. Rachel nigdy jej nie wybaczy, tego był pewien. Pochylił się do niej z determinacją w oczach.

– A może wypróbujesz swoje argumenty najpierw na mnie? Dlaczego sprzedajesz Toliver Farms, skoro całe życie pracowałaś, by je stworzyć? Dlaczego zapisujesz Somerset Percy'emu Warwickowi, właśnie jemu? Jaką wartość może mieć dla niego plantacja bawełny? Przecież siedzi w drewnie, do cholery. Ma dziewięćdziesiąt lat! A przekazanie posiadłości Toliverów Towarzystwu Ochrony Zabytków to... jakbyś ją na koniec spoliczkowała. Przecież wiesz, że Rachel zawsze uważała ją za swój dom. Chciała w nim spędzić resztę życia.

– Wiem. I dlatego jej go zabrałam.

Wydawała się niewzruszona, siedząc prosto jakby połknęła kij, dłonią trzymając władczą rączkę swojej laski. Wyglądała jak królowa na tronie, z laską w roli berła.

– Chcę, żeby znalazła swój dom gdzie indziej, zaczęła od nowa. Nie chcę, żeby tu została i przeżyła swoje życie zgodnie z ewangelią Toliverów.

– Ale... nic z tego nie rozumiem – sfrustrowany Amos rozłożył ręce. – Sądziłem, że właśnie do tego przygotowywałaś ją przez te wszystkie lata.

– To był błąd, w dodatku bardzo samolubny. Na szczęście, dzięki Bogu, zdałam sobie sprawę z tragedii, zanim się zrobiło za późno, i wystarczyło mi odwagi i... mądrości, żeby ten błąd naprawić – machnęła lekceważąco ręką. – Szkoda twojej energii i mojej, nie każ mi się teraz tłumaczyć. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale musisz mi uwierzyć. Kierują mną najszlachetniejsze pobudki.

Zdumiony tym co usłyszał, postanowił spróbować inaczej.

– Ale nie zrobiłaś tego z powodu mylnego przekonania, że jesteś coś winna ojcu Rachel, Williamowi, prawda?

– Oczywiście, że nie! – jej oczy błysnęły gniewem. Słysnęły jako „oczy Toliverów”: zielone jak rzadkie szmaragdy, odziedziczone po rodzinie ze strony ojca wraz z kruczoczarnymi niegdyś włosami i dołeczkiem dzielącym jej brodę na pół. – Wiem, że mój bratanek może to tak zinterpretować, albo raczej jego żona – dodała, prychając delikatnie. – W jej pojęciu postąpiłam właściwie, oddając Williamowi to, co mu się od dawna należało. Niech więc Alice Toliver myśli, że sprzedałam farmy w poczuciu winy za krzywdy wyrządzone jej mężowi. Ale nie zrobiłam tego dla niego, lecz dla jego córki. I wierzę, że on to zrozumie – umilkła na chwilę i zamyśliła się, a na jej pomarszczonej twarzy zobaczył zwątpienie. – Chciałabym być tak samo pewna Rachel...

– Mary... – Amos przywołał swój najbardziej przekonujący ton. – Rachel jest taka jak ty. Czy ty potrafiłabyś zrozumieć, gdyby twój ojciec pozbawił cię tego, co ci się słusznie należało – plantacji, domu, miasta, które swoje istnienie zawdzięcza waszej rodzinie – niezależnie od tego, jak ważne miałyby powody?

Zauważył zaciśnięcie zębów pod lekko obwisłą skórą policzka.

– Nie, ale żałuję, że tego nie zrobił. Bóg mi świadkiem, że wołałabym, by ojciec nie zostawił mi Somerset.

Teraz patrzył na nią poważnie wstrząśnięty.

– Ale dlaczego? Przecież miałaś wspaniałe życie. Życie, jakiego, tak mi się w każdym razie wydawało, życzyłaś też Rachel, by mogła kontynuować rodzinną tradycję. Według mnie ten kodycył – machnął dłonią nad dokumentem – jest zaprzeczeniem tego, co robiłaś wcześniej i wszystkiego, w co pozwoliłaś jej uwierzyć, że stanie się jej udziałem.

Mary nagle oklapła w swoim fotelu, jak szkuner, którego żagle opuścił wiatr. Oparła

laskę na kolanach.

– Och, Amos, to taka długa historia, zbyt długa, by teraz do niej wracać. Któregoś dnia Percy będzie ci musiał to wszystko wytłumaczyć.

– Co wytłumaczyć, Mary? Co tu jest do tłumaczenia?

I dlaczego kiedyś? I czemu Percy? Nie pozbędzie się go tak łatwo, za bardzo się o nią martwił. Bruzdy wokół oczu i ust pogłębiły się, a jej nieskazitelna skóra jakby zbladła pod swoim oliwkowym odcieniem. Z uporem jeszcze bardziej pochylił się do niej nad biurkiem.

– Jakiej to historii nie znam, Mary? O Toliverach, Warwickach i DuMontach przeczytałem wszystko, co kiedykolwiek wydrukowano, że nie wspomnę, iż przez czterdzieści lat pośród was żyłem. Odkąd znalazłem się w Howbutker, wiem o wszystkim, co was dotyczy. Jeśli mieliście jakieś tajemnice, musiałyby wyjść na jaw. Przecież ja was po prostu znam.

Mary na moment opuściła powieki, ich brązowawo zabarwione fałdy świadczyły o zmęczeniu. Kiedy je podniosła, w jej oczach zobaczył ciepło i serdeczność.

– Kochany Amos. Prawda jest taka, że kiedy się tu pojawiłeś, nasze historie już się dokonały. Poznałeś nas w tych dobrych latach, kiedy wszystkie smutne i tragiczne uczynki były już za nami, a my żyliśmy z ich konsekwencjami. I dlatego chcę oszczędzić Rachel popełnienia tych samych błędów i ponoszenia ich nieuniknionych skutków. Nie mam zamiaru pozostawić jej pod działaniem klątwy Toliverów.

– Klątwa Toliverów? – zaniepokojony Amos zamrużył powiekami. Takie dziwaczne wyrażenia nie pasowały do Mary. Może jednak wiek zrobił swoje. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem ani nie czytałem.

– O tym właśnie mówię – posłała mu swój typowy uśmiech, zwykle uniesienie wargi nad zębami, które – w przeciwieństwie do zębów jej rówieśników, a także jego własnych – nie pożółkły i nie przybrały odcienia klawiszy starego fortepianu.

Nie pozwolił się tak łatwo spławić.

– No dobrze, o co chodzi z tymi konsekwencjami? Posiadałaś – czy też stworzyłaś – bawełniane imperium o zasięgu krajowym. Twój mąż, Ollie DuMont miał jeden z najlepszych domów towarowych w Teksasie, a zakłady Percy’ego Warwicka od lat nie schodzą z listy pięciuset najlepiej prosperujących firm USA. Jakież to „smutne i tragiczne uczynki” doprowadziły do takich skutków? Może mi powiesz?

– Musisz mi uwierzyć na słowo – odparła, prostując ramiona. – Klątwa Toliverów istnieje i doświadczyła nas wszystkich. Percy jest tego w pełni świadomy. I Rachel też będzie, jak tylko przedstawię jej niepodważalne dowody.

– Zostawiłaś jej górę pieniędzy – naciskał dalej, nie chcąc się poddać. – Załóżmy, że kupi ziemię gdzie indziej, założy kolejną Somerset i nową dynastię Toliverów. Czy ta... klątwa, o której mówisz, dalej będzie działać?

W jej oczach błysnęło coś, czego nie potrafić odczytać. Wydeła usta z dziwną goryczą.

– Dynastia oznacza synów i córki, którzy niosą dalej rodzinny sztandar. Pod tym względem Toliverowie nigdy nie byli dynastią, chyba musiało ci to umknąć podczas lektury – mówiła z ironią. – Nie, wtedy klątwa nie zadziałała. Po odcięciu pępowiny łączącej z plantacją, klątwa zginie. Żadna ziemia nigdzie na świecie nie będzie miała nad nami takiej mocy jak Somerset. Rachel już nigdy nie sprzeda swojej duszy w imię rodzinnej ziemi, tak jak ja to zrobiłam.

– Sprzedałaś duszę dla Somerset?

– Tak, wiele razy. I Rachel również. Zamierzam zmienić tę tendencję.

Pokonany, osunął się w fotelu. Zaczynał podejrzewać, że chyba rzeczywiście pominął kilka rozdziałów rodzinnej historii założycieli miasta. Podjął ostatnią próbę.

– Mary, ten kodycył odzwierciedla twój stosunek do najbliższych, twoje ostatnie dla nich życzenia. Pomyśl, jak jego postanowienia wpłyną nie tylko na to, jak zapamięta cię Rachel, ale również na jej relację z Percym, który stanie się właścicielem jej dziedzictwa. Czy tak chcesz zostać zapamiętana?

– Zaryzykuję – powiedziała, ale jej wzrok złagodniał. – Wiem, jak bardzo troszczysz się o Rachel, i wiem, że twoim zdaniem ją zdradziłam. Tak nie jest, Amos. Ja ją uratowałam. Chciałabym ci to wszystko wytłumaczyć, ale po prostu nie ma czasu. Musisz mi zaufać i uwierzyć, że wiem, co robię.

Złożył dłonie na kodycyłu.

– Ja mam cały dzień. Susan przesunęła moje spotkania. Mam dla ciebie cały czas świata, więc powiedz mi, o co chodzi.

Wyciągnęła rękę i położyła swoją wąską dłoń z widocznymi niebieskimi liniami żył na jego nieforemnych, kościstych rękach.

– Być może ty masz, mój drogi, ale ja go nie mam. Myślę, że to dobry moment, byś przeczytał list, który znajduje się w drugiej kopercie.

Spojrzał na biały prostokąt, który wyciągnął wcześniej z koperty z kodycyłem.

– Ten zostaw na koniec – poinstruowała go wcześniej i teraz nagle, doznając olśnienia, zrozumiał dlaczego.

– Klinika w Dallas – wymamrotał, świadom, że Mary odwróciła głowę i bawi się swoim słynnym naszyjnikiem z pereł, prezentem od męża, który co roku, w rocznicę ślubu darował jej kolejną, aż do dnia śmierci. Było ich pięćdziesiąt dwie, wielkości jaj kolibra, wspaniale pasowały do dekoltu jej zielonego, lnianego kostiumu. To właśnie na nich zatrzymał wzrok po przeczytaniu zawartości koperty, niezdolny spojrzeć jej w twarz.

– Rak nerki z przerzutami – wychrypiał, a jego jabłko Adama wyraźnie się poruszyło.

– I nic nie da się zrobić?

– To, co zwykle – odparła, sięgając po szklankę z wodą. – Operacja, chemioterapia, naświetlania. Przedłużyłyby tylko moje dni, a nie życie. Nie zdecydowałam się na leczenie.

Poczuł palący smutek, żrący jak kwas. Zdjął okulary i zacisnął powieki, ściskając grzbiet nosa, by powstrzymać łzy. Mary nie lubiła sentymentalnego okazywania uczuć. Teraz zrozumiał, że w zeszłym miesiącu jeździła do Dallas nie tylko po to, by negocjować cenę Toliver Farms. A oni nic nie wiedzieli – ani Rachel, ani jej odwieczny przyjaciel Percy, ani Sassie, która przez czterdzieści lat prowadziła jej dom, ani jej oddany adwokat... ci wszyscy, którzy ją kochali. Jakie to do niej podobne, do samego końca nie pokazywać kart.

Załóżył okulary z powrotem na nos i z trudem spojrzął jej w oczy – oczy, które wciąż, mimo otoczki pomarszczonej skóry, przypominały mu kolor wiosennych liści szemrzących wśród kropli deszczu.

– Ile? – zapytał.

– Dają mi trzy tygodnie... może.

W tym momencie przegrał ze swoim smutkiem i otworzył szufladę, w której trzymał zapas chusteczek.

– Przepraszam cię, Mary – mówił, przykładając do oczu ogromy kwadrat białego batystu – ale to dla mnie zbyt wiele jak na jeden raz...

– Wiem, Amos. – Mary zadziwiająco sprawnie powiesiła laskę na oparciu fotela, obeszła biurko i podeszła do niego. Delikatnie przyciągnęła jego głowę do lnianego kostiumu. – Ten dzień musiał kiedyś nadejść, wiesz przecież... dzień pożegnania. Ostatecznie jestem od ciebie o piętnaście lat starsza...

Ścisnął jej dłoń, tak drobną i kruchą. Kiedy to stała się dłonią starej kobiety? Pamiętał ją

gładką jak aksamit i bez jednej skazy.

– Wiesz, że wciąż pamiętam tę chwilę, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy? – mówił z zamkniętymi oczami. – To było w sklepie DuMontów. Zesłaś ze schodów w granatowej sukni, a twoje włosy lśniły w świetle żyrandoli jak czarna satyna.

Czuł, jak uśmiecha się nad jego łysiną.

– Pamiętam. Wciąż miałeś na sobie mundur. Wiedziałeś już, kim był William, i przyszedłeś sprawdzić, co to za ludzie doprowadzili biednego chłopca do ucieczki z domu. Muszę ci powiedzieć, że wydawałeś się nieco oszołomiony.

– Byłem wręcz porażony.

Pocałowała go w czubek głowy i puściła.

– Zawsze bardzo ceniłam sobie naszą przyjaźń, Amos. Chcę, żebyś to wiedział – mówiła, wracając na swoje miejsce – Jak wiesz, nie lubię się roztkliwiać, ale ten dzień, kiedy zawędrowałeś do naszej teksaskiej społeczności, uważam za jeden z najszcześniejszych.

Amos zatrąbił w chusteczkę.

– Dziękuję, Mary. A teraz muszę ci zadać pytanie: czy Percy wie o twojej chorobie?

– Jeszcze nie. Ale powiem i jemu, i Sassie zaraz po powrocie z Lubbock. Wtedy też zajmę się organizacją pogrzebu. Gdybym zrobiła to wcześniej, wieści o moim rychłym odejściu rozniosłyby się po mieście, zanim zdążyłabym wyjechać z parkingu. Ludzie z hospicjum mają przyjechać tydzień po moim powrocie. Do tego czasu chcę, żeby to zostało między nami – przewiesiła sobie torebkę przez ramię. – A teraz czas już na mnie.

– Nie, proszę, nie idź jeszcze! – zaprotestował, zrywając się na nogi. – Jest przecież wcześniej.

– Nie, Amos, jest już bardzo późno – powiedziała, sięgając za szyję i odpinając sznur pereł. – To dla Rachel – oznajmiła, kładąc je na biurku. – Chciałabym, żebyś jej je przekazał. Będziesz wiedział, kiedy nadejdzie właściwy moment.

– Dlaczego nie dasz jej ich, kiedy się zobaczycie? – spytał, czując w gardle ogień. Bez pereł zdawała się jakby mniejsza, jej ciało było stare i obnażone. Od śmierci Olliego, czyli od dwunastu lat, rzadko widywano ją bez naszyjnika. Nosiła go wszędzie i do wszystkiego.

– Po naszej rozmowie mogłaby ich nie przyjąć, a wtedy co miałabym z nimi zrobić? Nie mogę zostawić ich na pastwę Towarzystwa Ochrony Zabytków. Zatrzymaj je do czasu, gdy będzie gotowa. Z życia, jakiego się spodziewa, dostanie po mnie tylko to.

Przeszedł szybko na drugą stronę biurka. Serce waliło mu jak oszalałe.

– Pojadę z tobą do Lubbock – błagał. – Będę z tobą, kiedy jej powiesz.

– Nie, przyjacielu. Jeśli sprawy nie pójdą po mojej myśli, twoja obecność może was od siebie oddalić, a Rachel musi wierzyć, że jesteś bezstronny. Będzie cię potrzebować, i to niezależnie od tego, jak się wszystko potoczy.

– Rozumiem – powiedział łamiącym się głosem. Mary wyciągnęła rękę i wtedy uświadomił sobie, że chce się z nim pożegnać już teraz. W najbliższych dniach mogą nie mieć okazji, by zrobić to w cztery oczy. Wziął jej chłodną dłoń w swoje kościste ręce. Oczy miał pełne łez mimo całej determinacji, by ta chwila miała tyle godności, co całe życie Mary. – Żegnaj, Mary – powiedział.

Podniosła swoją laskę.

– Żegnaj, Amos. Opiekuj się Rachel i Percym.

– Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Kiwnęła głową. Patrzył, jak stukając laską, idzie do drzwi, z trudem prostując kręgosłup, by utrzymać królewską postawę, tak dla niej typową. Otwierając drzwi, nie obejrzała się, machnęła tylko krótko ręką, a potem wyszła, zamykając je za sobą.

Rozdział drugi

Amos stał w ciszy, gapiąc się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem i pozwalając łzom spływać po policzkach. Po chwili wciągnął nierówno powietrze, zamknął drzwi na zamek i wrócił do biurka, gdzie dokładnie owinał perły w czystą chusteczkę. Czuł ich chłód i świeżość. Mary musiała całkiem niedawno oddać je do czyszczenia. Palce nie wyczuwały na nich ani krztyny tłuszczu, żadnych śladów Mary. Weźmie je później do domu i przechowa w ręcznie robionym pudełku na listy, jedynej pamiątce po matce, którą postanowił zachować. Zdjął krawat, rozpiął koszulę, żeby rozluźnić kołnierzyk, i przeszedł obmyć twarz do przylegającej do gabinetu łazienki. Wytarł się ręcznikiem, a następnie zaaplikował sobie krople, które lekarz przepisał mu na zmęczenie oczu.

Gdy znalazł się z powrotem za biurkiem, wcisnął guzik interkomu.

– Susan, masz dziś wolne popołudnie. Powieś na drzwiach tabliczkę „Zamknięte” i przełącz nas na automatyczną sekretarkę.

– Dobrze się czujesz, Amos?

– Dobrze.

– A pani Mary? Wszystko z nią w porządku?

– Tak.

Nie uwierzyła mu, to oczywiste, ale ufał swojej sekretarce. Pracowała u niego dwadzieścia lat i wiedział, że nie piśnie słówkiem o podejrzeniach, jakie miała w stosunku do swojego pracodawcy i pani Mary.

– Miłego popołudnia.

– No cóż... w takim razie, do jutra.

– Tak, do jutra.

Jutro. Mdlilo go na myśl, co ten dzień przyniesie Rachel, która w tej chwili zapewne doglądała pół bawełny – pół, które jak sądziła, kiedyś będą należeć do niej. Jutro to wszystko się skończy – wszystko, czemu poświęciła swoje dorosłe życie. Ma zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i wkrótce stanie się bogata. Może zacząć wszystko od nowa – jeśli zdoła się jakoś pozbiierać – ale to będzie już poza Howbutker, a więc i poza tą przyszłością, w której Amos widział miejsce dla siebie. Kiedy umrze Percy, ostatni z przyjaciół tworzących jedyną rodzinę, jaką kiedykolwiek miał, zostanie sam. Matta, wnuka Percy'ego, traktował jak bratanka, ale kiedy się ożeni, jego żona może uznać, że pustkę po Olliem, Mary i Percym lepiej zapelni jej rodzina. Co innego Rachel. Kochała go tak samo, jak on ją i jej dom zawsze byłby dla niego otwarty. Jego starokawalerskie serce nie mogło się doczekać, kiedy Rachel przeprowadzi się do Howbutker, zamieszka w domu Toliverów, tak bardzo przypominając Mary, a potem wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, które Amos na stare lata mógłby kochać i rozpieszcać. Więc jutro i dla niego to wszystko się skończy.

Westchnął ciężko i otworzył drzwiczki kredensu. Nigdy w życiu nie pił przed osiemną, a i wtedy miał swój limit dwóch szklaneczek szkockiej z podwójną ilością wody. Dziś wyjął z szafki butelkę, wylał ze szklanki wodę i bez wahania zappełnił ją do połowy czerwonym Johnniem Walkerem.

Ze szklanką w dłoni podszedł do okna, za którym rozpościerał się widok na mały ogród pełen kwitnących letnią porą w Teksasie kwiatów – różowych prymulek i niebieskich zawciągów, fioletowych lantan i żółtych nasturcji – posadzonych przy kamiennym murze. Ogród zaprojektował Charles Waithe, syn założyciela firmy. Miał służyć jako psychiczna odskocznia od zniechęcających często prawniczych obowiązków. Dziś nie zadziałał leczniczo, ale przywołał za

to wspomnienia, które już sama wizyta Mary wyciągnęła z zakamarków jego pamięci. Na przykład ten dzień, gdy Charles, wtedy mężczyzna pięćdziesięcioletni, odwrócił się od okna i zapytał, czy interesuje go fotel młodszego współnika. Był całkowicie zaskoczony, ale i uszczęśliwiony. Otrzymał tę ofertę w niecałe czterdzieści osiem godzin od momentu, gdy oddał swój bilet kolejowy Williamowi Toliverowi, zobaczył na schodach Mary i poznał jej prominentnego męża oraz równie wpływowego Percy'ego Warwicka. Wszystko działo się tak szybko, do dziś kręciło mu się w głowie, gdy myślał, jaki łaskawy okazał się dla niego los – oddanie biletu spowodowało, że spełniły się jego marzenia – praca w zawodzie, miejsce, które mógł nazwać domem, prawdziwie serdeczni przyjaciele.

A wszystko to wydarzyło się na początku października 1945 roku. Dopiero co zwolniono go z wojska, nie miał pracy, nie miał gdzie powiesić kapelusza, jechał do Houston, by odwiedzić siostrę, której prawie nie znał. Pociąg zatrzymał się na krótki postój na małej stacji z napisem: WITAMY W HOWBUTKER, SERCU TEKASASKIEGO PINEY WOODS. Wyszedł na peron, by rozprostować nogi, gdy wbiegł tam kilkunastoletni chłopak o zielonych oczach i włosach czarnych jak krucze pióra, wołając do konduktora:

– Czekajcie! Czekajcie!

– Masz bilet, synu?

– Nie, proszę pana, ja...

– W takim razie będziesz musiał poczekać na następny pociąg. Wszystkie miejsca zajęte aż do Houston.

Amos spojrział na jego zaczerwienioną twarz, przyspieszony oddech wydobywający się z buzi w postaci małych obłoczków i rozpoznał desperację chłopca uciekającego z domu. Za dużo ze sobą zabiera, zauważył, przypominając sobie własne doświadczenie piętnastolatka chcącego wyrwać się spod pieczy rodziców. Nie udało mu się wtedy. I właśnie w tym momencie wręczył chłopakowi swój bilet.

– Masz. Weź mój – powiedział. – Ja pojadę następnym.

Chłopiec – jak się później okazało, siedemnastoletni bratanek Mary Toliver DuMont – pobiegł czym prędzej i pomachał mu już z pociągu zabierającego go z Howbutker, do którego już nigdy nie miał powrócić na stałe. Amos natomiast nigdy z niego nie wyjechał. Podniósł swoją torbę i udał się do miasta z zamiarem pozostania tam na jedną noc, jednak poranny pociąg odjechał bez niego. Często zastanawiał się nad ironią tego wszystkiego... jak wyjazd Williama stał się jednocześnie jego przyjazdem. Nigdy nie żałował ani jednego dnia spędzonego w tym miejscu. Aż do dziś.

Wypił palący łyk szkockiej. Gdy spływała w dół, wydawało mu się, że to połamane żyłki. „Cholera, Mary, co cię opętało, żeby robić coś tak żalnego?” Przesunął ręką po tyłej czaszce. Cóż takiego pominął, co mogło wyjaśnić – usprawiedliwić – to, co zrobiła? Myślał, że zna na wylot historię Mary, Olliego DuMonta i Percy'ego Warwicka. Czego nie doczytał, dowiedział się z ich ust. Oczywiście, pojawił się w mieście zbyt późno, by zobaczyć na własne oczy początki ich opowieści, ale przecież bardzo starannie nadrobił zaległości. Nigdy nie natknął się na nic – cień plotki, wycinek gazety, czy choćby jedno słowo od ludzi, którzy znali ich całe życie – co mogłoby wyjaśnić, dlaczego Mary odcięła Rachel od jej ojcowizny i unicestwiła marzenie jej życia.

Nagła myśl zawróciła go z powrotem do półki z książkami. Po chwili odnalazł tom, o który mu chodziło, i położył go na biurku. „Czyżby odpowiedź znajdowała się tutaj?” Nie czytał historii założycieli miasta od tamtego października, gdy pomógł Williamowi w ucieczce. Potem w mieście dowiedział się, że rozpoczęto poszukiwania uciekiniera, syna zmarłego Milesa Tolivera, brata Mary Toliver DuMont, która adoptowała chłopca i dała mu wszystko.

Wspominając z goryczą, jak potraktowali go rodzice, gdy zawleczono go z powrotem do domu, udał się do biblioteki w poszukiwaniu informacji o bogatych DuMontach, która pomogłaby mu zdecydować, czy powinien zawiadomić władzę o kierunku ucieczki dziecka, czy raczej zachować milczenie. Bibliotekarz wręczył mu egzemplarz tej właśnie książki napisanej przez Jessikę Toliver, prababkę Mary. Być może teraz zauważy coś, co rzuciłoby światło na motywy Mary, a co czterdzieści lat temu mu umknęło. Książkę zatytułowano *Róże*.

Historia zaczynała się jesienią 1836 roku, gdy Silas Toliver i Jeremy Matthew Warwick postanowili wyemigrować do Teksasu. Jako najmłodsi synowie dwóch prominentnych rodzin plantatorów w Karolinie Południowej mieli niewielką szansę zostać panami posiadłości swoich ojców i dlatego postanowili wyprawić się razem i założyć własne plantacje na żyznych glebach, w które podobno obfitowała wschodnia część nowej Republiki Teksasu. W żyłach obydwóch młodzieńców płynęła błękitna krew, pochodzili bowiem z angielskich rodów królewskich, które jednak ze sobą walczyły – Lancasterów i Yorków. W połowie siedemnastego wieku potomkowie tych rodzin, wrogich sobie od czasów Wojny Dwóch Róż, znaleźli się na sąsiadujących ze sobą plantacjach Nowego Świata, niedaleko mającego wkrótce powstać Charleston, które w 1670 roku sami pomogli założyć. Zdani na siebie nawzajem, zakopali topór wojenny i zapomnieli o dzielących ich różnicach, pozostawiając jedynie symbole, które oznaczały ich przynależność do rodów – a mianowicie róże. Warwickowie, wywodzący się z rodu Yorków, sadzili w swoich ogrodach wyłącznie białe róże, a Toliverowie tylko czerwone, symbol rodu Lancasterów.

Do roku 1830 bawełna niepodzielnie królowała na całym Południu, a młodzi synowie marzyli o własnych plantacjach i założeniu miasta, które odzwierciedlałoby najszlachetniejsze ideały ich angielskiej i południowej kultury. Dołączyły do nich inne rodziny, z mniej szlachetnym rodowodem i gorzej wykształcone, które jednak miały te same marzenia oraz szacunek dla ciężkiej pracy, Boga i swojego południowego dziedzictwa. Byli również niewolnicy – mężczyźni, kobiety i dzieci – na których barkach marzenia te miały się spełnić. Wyruszyli na zachód, obierając trasę południową, która zwabiła wcześniej ludzi takich jak Davy Crockett i Jim Bowie. W pobliżu Nowego Orleanu wyjechał im na spotkanie pewien Francuz, wysoki i szczupły, wyprostowany jak struna w swoim siodle. Przedstawił się jako Henri DuMont i zapytał, czy mógłby do nich dołączyć. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur w najlepszym gatunku, emanowały z niego elegancja i finezja. On również okazał się arystokratą, potomkiem króla Ludwika VI. Jego rodzina wyemigrowała do Luizjany, uciekając przed okropnościami Rewolucji Francuskiej. Ponieważ nie mógł uzgodnić z ojcem jednolitego stanowiska w kwestii zarządzania ich ekskluzywnym domem towarowym w Nowym Orleanie, chciał założyć w Teksasie własną firmę, bez udziału ojca. Silas i Jeremy bardzo serdecznie go powitali.

Gdyby pojechali odrobinę dalej na zachód, w kierunku miasta dziś nazywanego Corsicana, informowała czytelników Jessica Toliver, odnaleźliby ziemię, której szukali, teren obfitujący w żyzne czarnoziemy, które miały wydać swoim przyszłym właścicielom obfite plony bawełny i kukurydzy. Kiedy jednak przekroczyli rzekę Sabine na granicy Luizjany i Teksasu, zarówno konie jak i ludzie byli już zmęczeni, a Silas William Toliver, patrząc na porośnięte sosnami wzgórze, zawołał:

– A może tutaj?

Co po angielsku brzmiało: „How about here?”.

Pytanie przechodziło z ust do ust, choć nie tak dokładnie wymawiane i gdzieś na końcu zamieniło się w „How ‘bout cher?” I tak się stało, że miasto nazwano tym pytaniem, na które osadnicy jednogłośnie odpowiedzieli „tak”. Ojcowie założyciele zgodzili się na tę nazwę pod warunkiem, że „ch” zostanie zmienione na „k”. I stąd wzięło się How-but-ker.

Pomimo raczej prowincjonalnej nazwy, pierwsi mieszkańcy zdecydowani byli zachować

wysoką kulturę życia codziennego, przywykli do niej bowiem i nie chcieli z niej rezygnować. Wszyscy uważali, że tu, pomiędzy sosnami, życie powinno płynąć tradycyjnym, południowym rytmem. Jak się okazało, tylko nieliczni zostali właścicielami plantacji. Zbyt wiele drzew trzeba było wyciąć, a pagórkowaty teren okazał się trudny. Jeśli człowiek miał chęć i zdolności, mógł wybrać wiele innych zajęć. Niektórzy założyli mniejsze farmy, inni zaczęli hodować bydło, kilku postanowiło się zająć produkcją nabiału. Sporo osób założyło firmy zgodnie z wytycznymi wypracowanym przez specjalną komisję planowania miasta i zatwierdzonymi w drodze głosowania przez wszystkich członków nowej społeczności. Jeremy Warwick widział swoją przyszłość w wyrębie i sprzedaży drewna. Przewidywał, że rynki zbytu znajdzie w Dallas i Galveston, a także w innych miastach co rusz powstających w nowej republice.

Henri DuMont otworzył w centrum dom towarowy, który z czasem przewyższył elegancją sklep jego ojca w Nowym Orleanie. Poza tym zajął się obrotem nieruchomościami i wynajmował lokale sklepikarzom zwabionym reputacją miasta, słynącego z porządku i praworządności. Howbutker dbało o swoich obywateli, których z kolei charakteryzował zdrowy rozsądek. Ale Silas William Toliver nie miał najmniejszego zamiaru poświęcać się czemuś innemu. Przekonany, że jedynym przeznaczeniem mężczyzny jest ziemia, wraz ze swoimi niewolnikami zajął się uprawą bawełny, zyski przeznaczając na zakup kolejnych terenów. W ciągu kilku lat stał się właścicielem największego terenu leżącego nad rzeką Sabine, która umożliwiała łatwy transport bawełny tratwami prosto do Zatoki Meksykańskiej.

Zgodził się tylko na jedną zmianę tego stylu życia, z którego wizją opuszczał Karolinę Południową. Zamiast zbudować dom na plantacji, postawił go w mieście, ustępując w tym względzie żonie. Woląla zamieszkać bliżej znajomych zajmujących sąsiednie posiadłości, również zbudowane w stylu południowym przy ulicy, której nadano nazwę Houston Avenue. Mieszkali tu również DuMontowie i Warwickowie, dlatego znana była jak ulica Założycieli.

Silas nazwał swoją plantację Somerset, na cześć angielskiego księcia, którego był potomkiem.

Nic dziwnego, że na pierwszym spotkaniu w sprawie założenia miasta, jego projektu i planu zagospodarowania przestrzennego władzę nad nim zgodnie przekazano w głosowaniu Silasowi, Jeremy'emu i Henriemu. Henri, jako że studiował wcześniej historię, wiedział coś niecoś o Wojnie Dwóch Róż i o roli, jaką rody jego kolegów odegrały w tym trzydziestodwuletnim konflikcie. Nie umknęły jego uwadze zabezpieczone pieczołowicie krzewy, które każda z rodzin przywiozła tutaj ze sobą, zadając sobie dodatkowy trud, i rozumiał ich znaczenie. Po spotkaniu postanowił dać im pod rozwagę pewną sugestię. Zaproponował mianowicie, żeby hodowali w swoich ogrodach obydwaj kolory, aby posadzili zarówno białe, jak i czerwone kwiaty w równych ilościach, by zademonstrować panującą między nimi jedność.

Odpowiedziało mu krępujące milczenie. Henri położył dłoń na ramieniu obydwu mężczyzn i powiedział cicho:

– Wystąpią między wami różnice. To nieuniknione, przywieźliście je ze sobą pod postacią tych róż.

– One symbolizują nasze pochodzenie, to kim jesteśmy – oponował Silas Toliver.

– To prawda – zgodził się Henri. – Reprezentują to, kim jesteście, każdy z osobna, ale teraz powinny symbolizować to, kim jesteście i co stanowicie razem. Jesteście ludźmi odpowiedzialnymi. Odpowiedzialność nakazuje, by rozwiązywać konflikty pokojowo, a nie prowadzić wojny. Jeśli w waszych ogrodach kwitnąć będą symbole tylko jednego rodu, z wykluczeniem tego drugiego, oznaczać to będzie, że wciąż dopuszczacie między sobą możliwość wojny – w najlepszym przypadku ostracyzmu – jako alternatywę, którą wybrali kiedyś wasi przodkowie w Anglii.

– A co z tobą? – zapytał jeden z nich. – Przecież jesteśmy tu razem. Co ty będziesz hodował w swoim ogrodzie?

– To oczywiste – Francuz rozłożył ręce w geście tak charakterystycznym dla swojego narodu. – Białe i czerwone róże, a cóż by innego? Będą mi przypominać o moich obowiązkach względem naszej przyjaźni i wspólnie podjętych wysiłków. A jeśli kiedykolwiek się zdarzy, że was obrażę, wyślę czerwoną różę jako symbol prośby o przebaczenie. Natomiast gdy otrzymam takową, prześlę z powrotem białą na znak wybaczenia.

Pozostali dwaj zastanowili się nad tym, co powiedział.

– Jesteśmy ludźmi dumnymi – przyznał w końcu Jeremy Warwick. – I trudno przychodzi nam przyznać się do błędu, szczególnie komuś, kogo obraziliśmy.

– I równie trudno przechodzą nam przez gardło słowa przebaczenia – odezwał się Silas Toliver. – Mając w ogrodzie zarówno białe, jak i czerwone róże, będziemy mogli prosić o wybaczenie i wybaczać bez słów – dodał i zamyślił się na chwilę. – A co jeśli... wybaczenia nie będzie? Co wtedy? Czy powinniśmy posadzić też różowe kwiaty?

– Różowe?! – z pogardą powtórzył Henri. – Cóż za kolor bez wyrazu dla tak szlachetnego kwiatu! Nie, panowie, proponuję tylko biały i czerwony. Obecność czegokolwiek innego każe spodziewać się rzeczy nieprzewidywalnych. Przecież wśród ludzi dobrej woli o szczerych i czystych intencjach nie ma miejsca na błędy, niewłaściwą ocenę sytuacji czy zwykłe gafy, których nie można wybaczyć. No i co wy na to?

W odpowiedzi Jeremy uniósł swój kieliszek z szampanem, a Silas zaraz zrobił to samo.

– Racja! – zawołali zgodnie. – Wypijmy za czerwone i białe. Niech już zawsze rosną w naszych ogrodach.

Amos z westchnieniem zamknął książkę. Fascynująca lektura, ale dalsze czytanie nie miało sensu. Kończyła się optymistyczną listą oczekiwanego potomstwa, które miało kontynuować świetne tradycje patriarchów rodu i ich potomków, czyli Percy'ego Warwicka, Olliego DuMonta oraz Milesa i Mary Toliverów. W roku wydania książki, 1901, Mary miała zaledwie roczek, a chłopcy po pięć lat. Odpowiedzi, których szukał, kryło ich dalsze życie. W *Różach* nie znajdzie wskazówki, jakie tragiczne wydarzenia rodzinne wpłynęły na dzisiejsze decyzje Mary. Co to mogło być?

Wiadomo, że choć byli bardzo dobrymi przyjaciółmi na gruncie towarzyskim, pracowali i mnożyli swoje fortuny oddzielnie. Ta zasada, ustalona na samym początku, mówiła, że każdy w interesach radzi sobie sam, czy to w czasach świetności czy kryzysu – nie licząc na pomoc finansową innych. „Nie będziesz dłużnikiem ani wierzycielem”, brzmiała ta niezbyt dobrosąsiedzka maksyma, ale o ile Amos się orientował, nigdy nie została pogwałcona. Toliverowie uprawiali bawełnę, Warwickowie pozyskiwali drewno, a DuMontowie handlowali luksusowymi produktami i nigdy – nawet gdy Mary Toliver poślubiła Olliego DuMonta – nie połączyli swoich firm ani żaden nie korzystał ze środków drugiego.

Dlaczego więc Mary zapisała Somerset Percy'emu?

„Kiedy się tu pojawiłeś, nasze historie już się dokonały” – powiedziała Mary, a on zaczynał w to wierzyć. Tylko jeden człowiek mógł go oświecić. Miał ochotę wtargnąć do Warwick Hall, waląc w drzwi i zażądać od Percy'ego, by ten natychmiast powiedział mu, dlaczego Mary sprzedała swoje imperium, zostawiła mu w spadku plantację, która od stu sześćdziesięciu lat należała do jej rodziny, i pozbawiła ojcowizny wnuczkę swojego brata, którą kochała całym sercem. Co na litość boską, sprawiło, że w ostatnich tygodniach życia sporządziła niewiarygodny i nieodwracalny kodycył?

Jako jej adwokat nie miał jednak wyjścia, musiał dławić się swoim milczeniem i wierzyć, że konsekwencje tego niespodziewanego zwrotu wydarzeń nie będą tak drastyczne, jak się

obawia. Życzył Mary szczęścia w jutrzejszej rozmowie, kiedy zrzuci tę bombę na Rachel. Serce mu się krajało na samą myśl o tym, ale w ogóle by się nie zdziwił, gdyby Rachel zamówiła na jej grób różowe róże. Smutny całun dla pamięci Mary. I cóż za tragiczne zakończenie tej szczególnej relacji, która je łączyła.

Już lekko wstawiony, kręcąc głową, Amos wstał z krzesła i wsunął zarówno kodycył, jak i list z powrotem do kopert. Przez głowę przemknęło mu, żeby wrzucić je do kosza, potem wzruszył tylko ramionami, po czym omijając meble, podszedł do szafy z dokumentami i umieścił ostatnie życzenia Mary DuMont we właściwym miejscu.

Rozdział trzeci

Całym ciężarem oparta na swojej lasce, Mary zatrzymała się na chodniku przed kancelarią Amosa, by spokojnie zaczerpnąć powietrza i wyrównać oddech. Palilo ją w gardle, oczy piekły, a płuca wydawały się jakby ściśnięte. To ją po prostu przerosło. Kochany, zawsze oddany i lojalny Amos. Nie zasłużyli sobie na niego. Czterdzieści lat... Czy rzeczywiście minęło aż tyle od tego dnia, gdy zeszła wtedy po schodach w domu towarowym – oszalała ze zmartwienia zniknięciem Williama – by spotkać na dole wgapionego w nią młodego kapitana 101 dywizjonu lotnictwa?

Pamiętała tę chwilę tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Bóg musiał wpaść w machiavelliczny nastrój, gdy planował okrucieństwa towarzyszące starości. Mógł choć podarować starym ludziom właściwą percepcję czasu... by zgodnie z rzeczywistością postrzegali przeżyte lata jako szmat czasu, a nie jak jedną chwilę. Ludzie starzy i umierający nie powinni na końcu swojej drogi mieć wrażenia, że życie dopiero co się zaczęło.

No tak, ludzie w piekle też marzą o szklance wody, przypomniała sobie zaraz, wzruszając ramionami, i wróciła myślami do Amosa. Okazała się obrzydliwą niewdzięcznicą, zostawiając go z takim zadaniem, ale Amos był odważny i obowiązkowy.

Nie będzie się uchylał od swoich zawodowych powinności. Niejeden prawnik, będąc na jego miejscu, jako jedyny wiedzący o istnieniu kodycyłu, kierując się najlepszymi intencjami i w głębokim przekonaniu, że to najlepsze wyjście, wrzuciłby go do kosza. Ale nie Amos. On, dzięki Bogu, wypełni jej rozporządzenia co do joty. Oddech się jej uspokoił, więc założyła okulary słoneczne i rozejrzała się za Henrym, który miał podjechać, żeby odwieźć ją do domu. Na czas swojej wizyty u Amosa wysłała szofera na filiżankę kawy do Courthouse Cafe, gdzie zapewne dalej flirtował z Ruby, kelnerką i swoją rówieśnicą. Nie szkodzi, pomyślała. Miała w planie załatwić przed lunchem jeszcze jedną sprawę, wtedy wszystko będzie już w porządku. Ale to może poczekać, stwierdziła, prostując plecy. Czowała się wystarczająco dobrze na krótką przechadzkę – ostatnią w tym mieście, które zakładała, między innymi, jej rodzina.

Minęło już sporo czasu, od kiedy obchodziła cały plac Ratuszowy, podziwiając wystawy i odwiedzając właścicieli, z których większość zaliczała się do jej dobrych znajomych. Nie rzucała się w oczy tak jak kiedyś. Przez całe lata nie zapomniała o tym, by utrzymywać kontakt z ludźmi, dzięki którym tak przyjemnie mieszkano w tym miasteczku – pracowitymi sklepikarzami i urzędnikami, bankowcami, sekretarkami oraz tymi, którzy zarządzali miastem... gangsterami z ratusza, jak ich żartobliwie nazywała. Była jedną z Toliverów i do jej obowiązków należało pokazać się od czasu do czasu w mieście. To jeden z powodów, dla którego zawsze przyjeżdżała ubrana jak spod igły. Drugim powodem nienagannego stroju była pamięć Olliego, jej zmarłego męża.

Dziś byłby z niej dumny, myślała, spoglądając na swój kostium od Alberta Nipona oraz torebkę i buty z wężowej skóry. Czowała się trochę nieubrana bez swoich pereł – jakby pozbawiona zbroi – ale to tylko jej wyobraźnia. Poza tym bardzo krótko będzie odczuwała ich brak.

Tak jak się spodziewała, Henry, kierowca, który woził ją od dwudziestu lat, siostrzeniec jej gospodyni, siedział za barem Courthouse Cafe, prowadząc miłą pogawędkę z Ruby. Kiedy weszła, powstało małe zamieszanie. Jej pojawienie się zawsze stanowiło pewną sensację. Farmer w roboczych spodniach zerwał się od stolika, by przytrzymać drzwi, a przechodząc między stolikami, musiała odgonić kilku biznesmenów z powrotem do lunchu.

– Dzień dobry pani – pozdrowiła ją Ruby. – Przyszła pani po tego tu nicponia?

– Nie, Ruby – odparła Mary, dając znak, by Henry pozostał na swoim miejscu. – Mam nadzieję, że jeszcze chwilę z nim wytrzymasz. Chciałabym porozmawiać z paroma osobami, więc zamów sobie, Henry, jeszcze jedną kawę. To nie potrwa długo.

Na twarzy Henry'ego odmalował się niepokój. Za chwilę czas na południowy posiłek, który Sassie zapewne już przygotowała.

– Chce pani spacerować w tym upale? Czy to aby mądre?

– Nie, ale w moim wieku mam prawo do małych głupstw.

Już na ulicy Mary stanęła, by zastanowić się, w którą stronę powinna pójść. Wodziła wzrokiem po budynkach, zauważając nowe sklepy otwarte w ciągu kilku ostatnich lat. Przyglądała im się z mieszanymi uczuciami. Howbutker stało się atrakcją turystyczną. Odkryte przez kolorowe magazyny typu „Southern Living” czy „Texas Monthly”, które wychwalały jego klasycystyczny urok, lokalną kuchnię i czyste toalety, odwiedzane było masowo przez japiszonów szukających weekendowej ucieczki od miejskiego zgiełku. Wciąż dobijano się o zezwolenia na przekształcenie domów z minionej epoki na pensjonaty z pokojami do wynajęcia oraz na budowę obrzydliwych centrów handlowych, przez które miasto zupełnie straciłoby swój dziewiętnastowieczny charakter. Radzie miejskiej, w której zasiadał Amos, a której zasłużonymi członkami byli wciąż Percy i Mary, udało się utrzymać wszystkie motele, sieci fast foodów i tanie markety poza granicami miasta.

Długo to nie potrwa, pomyślała z zalem Mary, spoglądając na niedawno powstałe butikie prowadzone przez elegancką mieszkankę Nowego Jorku. Jej pewność siebie i akcent na razie wyróżniały się na tle rdzennych mieszkańców, ale Mary wiedziała, że nie da się uniknąć napływu kolejnych jej podobnych. Kiedy stara gwardia wymrze, trwanie miasta będzie zależało od osób typu Gilda Castoni czy Max Warner, zresztą nawet dość miły człowiek z Chicago, który był właścicielem nowego i bardzo popularnego klubu karaoke.

Jej usta wykrzywiły żal i smutek. Powinna być wdzięczna, że ci najeźdźcy, którzy uciekli przed zanieczyszczeniem, przestępczością i zatłoczonymi ulicami będą strzec ich stylu życia w zastępstwie potomków założycieli miasta. Matt Warwick był jednym z niewielu, którzy tu pozostali. Podobnie jak Rachel...

„Nie, nie, nie ma sensu tego teraz roztrząsać”.

Skierowała myśli gdzie indziej. Zdążyła się już pożegnać z Rene Taylor, naczelniczką poczty, kiedy wcześniej zaniósł tam paczkę, choć oczywiście stara znajoma nie zdołała się zorientować, że to pożegnanie. Miło byłoby jednak wstąpić również do Annie Castor, właścicielki kwaciarni, i Jamesa Wilsona, prezesa banku. Niestety, kwaciarnia i bank znajdowały się po przeciwnych stronach placu, a nie miała już sił, by udać się w jedno i drugie miejsce. Poza tym w domu czekało ją jeszcze wejście na strych i przekopanie wojskowego kufra Olliego. Pójdzie do banku, zdecydowała, ruszając naprzód. Skoro już tam będzie, sprawdzi swoją skrytkę depozytową. Nic wielkiego w niej nie było, ale nigdy nie wiadomo, może zostawiła coś, o czym zapomniała, a co lepiej usunąć.

Minęła fryzjera i przez szybę skinęła głową w stronę Bubby Speera, właściciela. Na jej widok szeroko otworzył ze zdumienia oczy i opuścił swojego klienta, podbiegając do drzwi i wołając za nią:

– Dzień dobry pani. Jak miło panią widzieć. Co sprowadza panią do miasta?

Mary zatrzymała się, by go pozdrowić. Miał na sobie fartuch z krótkimi rękawami, a na ramieniu zauważyła wyblakły, niebieski tatuaż. Pamiątka z wojny, odgadła. Korea czy Wietnam? Ile on właściwie miał lat? Zamrugała powiekami w chwili bezsilnej dezorientacji. Znała Bubbę od jego urodzenia, a nigdy nawet nie zauważyła tatuażu. Ostatnio jej zmysł obserwacji się wyostrzył. Widziała teraz rzeczy, których wcześniej nie zauważała, ale miała też kłopoty

z chronologicznym uporządkowaniem miejsc i ludzi.

– Kilka spraw do omówienia z adwokatem – odpowiedziała. – A co u ciebie, Bubba? Jak rodzina?

– Mojego chłopaka przyjęli na uniwersytet stanowy. Dziękuję, że pamiętała pani o jego maturze. Czek, który pani przysłała we wrześniu, na pewno przyda się na książki.

– Tak też mi napisał w swoim liście z podziękowaniem. Ładne ma pismo ten twój chłopak. Jesteśmy z niego dumni.

To był jednak Wietnam, uznała Mary. Tak, to musiał być Wietnam.

– No cóż... ma wokół siebie wiele osób, na których może się wzorować – mówił fryzjer. Uśmiechnęła się.

– Dbaj o siebie, Bubba. I... pożegnaj ode mnie rodzinę.

Szła dalej chodnikiem, czując na sobie zdziwiony wzrok Bubby. Teraz brzmiało to odrobinę melodramatycznie, ale we właściwym czasie Bubba odgadnie prawdziwy sens jej słów. „Wiedziała”, powie. „Pani Mary wiedziała, że umiera. Bo inaczej po co by tak mówiła?” Ta historyjka stanie się częścią jej legendy, która w końcu umrze, tak jak historia Olliego umarła wraz z nim, a kiedy przeminie pokolenie dzieci Bubby, nikt już nie będzie pamiętał Toliverów.

Cóż, niech i tak będzie, myślała, mocno zaciskając usta. Tylko Percy zostawi potomka, który będzie kontynuował rodzinne tradycje. I jaki był podobny do dziadka! Matt Warwick tak bardzo przypominał jej Matthew, choć przecież jej syn odziedziczył cechy Toliverów, a Matt był podobny raczej do rodziny dziadka. Mimo to czasami gdy patrzyła na Matta jak na mężczyznę, widziała, jaki byłby jej syn, gdyby dorósł.

Zeszła z chodnika na ulicę. Motocykliści, którzy chcieli skręcić w prawo, musieli się zatrzymać, ale Mary nie przyspieszyła kroku, a nikt nie użył klaksonu. To przecież Howbutker. Ludzie są tutaj dobrze wychowani.

Już bezpieczna po drugiej stronie, przystanąła zdumiona i z zainteresowaniem przyglądała się ogromnemu wiązowi, którego gałęzie zaciaśniały praktycznie całą jedną stronę ratusza. Pamiętała czasy, gdy to drzewko było młodą roślinką. W lipcu 1914 roku, wtedy ukończony został budynek sądu – siedemdziesiąt jeden lat temu. Pod drzewem stanął pomnik św. Franciszka, na postumencie wyryto jego słynną modlitwę.

Mary zrobiła niepewny krok naprzód, patrząc na ławkę, na której siedziała wtedy, w półcieniu rzucanym wówczas przez wiąz, wsłuchana w przemówienie ojca z okazji odsłonięcia pomnika. I znów to poczuła: że jest młoda, a w jej żyłach płynie świeża krew. Nie chodziło jej o to, że „życie jest ciągłym umieraniem”, ale raczej o to, że będąc tak blisko śmierci, czuła się taka żywa, nowa, świeża, czuła, że ma przed sobą całą przyszłość. Przypomniała sobie – nie, poczuła – że znów ma czternaście lat, jak wtedy gdy zbiegała ze schodów w swojej białej haftowanej sukience wykończona zieloną satyną i tego samego koloru wstążką we włosach, która przytrzymywała je z tyłu, równie długą jak jej podskakujące na ramionach czarne loki. Przed domem stał tata, patrząc na nią z ojcowską dumą. Powiedział, że „na pewno złamie dziś wszystkie serca”, na co mama, naciągając rękawiczki, przypomniała swoim rzeczowym tonem, że „nie ten jest ładny, kto ładnie wygląda, ale kto szlachetnie postępuje”.

W czasie uroczystości zwracała uwagę wszystkich... wszystkich oprócz Percy'ego. Inni koledzy brata droczyli się z nią przymilnie, Ollie na przykład zauważył, że wygląda bardzo dorosło i że zielona satyna podkreśla kolor jej tęczy.

Mary zamknęła oczy. Przypomniała sobie upał i panującą tego dnia wilgoć, myślała, że umrze z pragnienia, kiedy nagle jakby znikąd zjawił się Percy, trzymając w ręku oranżadę kupioną w sklepie po drugiej stronie ulicy.

Percy...

Serce zaczęło jej walić, tak jak wtedy, gdy zobaczyła go tam przed sobą – wysoki, jasne blond włosy, w wieku dziewiętnastu lat tak przystojny, że prawie nie mogła na niego patrzeć. Kiedyś wydawał się jej niesamowicie rycerski, był bohaterem jej skrytych marzeń, ale kiedy stała się „młodą damą”, poczuła pewną zmianę w swoich uczuciach. Odnosiła wrażenie, że Percy dostrzegł w niej coś, co go bawiło. Mary wiele razy stawała przed lustrem, zastanawiając się nad swoją zmianą uczuć do Percy’ego, zraniona drwiną, którą widziała w jego oczach. Owszem, była ładna, ale nie miała w sobie nic z filigranowej, różowo-białej dreźnieńskiej porcelanowej laleczki. Była zbyt wysoka jak na dziewczynę i miała bardzo długie nogi i ręce. Jej oliwkowa cera stanowiła kość niezgody między nią a matką, która najlepiej w ogóle nie pozwalałaby przebywać jej poza domem bez rękawiczek i kapelusza. Co gorsze, podczas gdy inni wołali ją Mary Lamb, Percy nazywał ją Cyganeczką, nawiązując do charakterystycznego dla Toliverów koloru skóry.

Ale zdawała sobie sprawę, że coś przyciągało wzrok do jej czarnych włosów, zielonych oczu i owalnej twarzy o charakterystycznych dla Toliverów rysach. Zachowanie też było bez zarzutu, jak przystało na członka jej rodziny, i dobrze się uczyła. Tu więc nie mogła upatrywać powodu do drwiny.

I tak, ponieważ nie potrafiła znaleźć konkretnej przyczyny jego lekceważenia, pojawiła się między nimi swego rodzaju antypatia, przynajmniej z jej strony. Percy wydawał się równie nieświadomy tej niechęci, jak wcześniej jej podziwu.

Tamtego dnia spojrzała na oranżadę z pogardą w oczach, ale z wewnętrznym nieprzepartym pragnieniem. (Kupił jej ulubiony smak, czekoladowy.) Przez cały ten długi lipcowy poranek z powodzeniem udawała osobę całkowicie odporną na upał i lepką wilgotność powietrza, trzymając ręce oddalone nieco od ciała, dzięki czemu ledwie wyczuwalny wiaterek dostał się pod rękawy sukienki. A teraz nagle Percy, bez ostrzeżenia, ze swoim uśmiechem i oranżadą w dłoni oznajmia, że ją przejrzał i wie, że pod tą udawaną pozą i letnią sukienką cała się rozpływa.

– Proszę – powiedział. – Weź. Wyglądasz jakbyś zaraz miała się roztopić.

Uznała to za rozmyślny afront. Kobiety Toliverów nigdy nie wyglądały, jakby zaraz się miały roztopić. Podnosząc dumnie głowę, wstała z parkowej ławki i powiedziała hardo:

– Szkoda, że brakuje ci manier, by tego nie zauważyć.

Percy się roześmiał.

– Maniery niech się wypchają. Jestem twoim przyjacielem. Masz, pij. Nie musisz mi dziękować.

– Co do tego masz rację, Percy Warwicku – powiedziała, odsuwając się od oferowanej oranżady. – Ale chciałabym ci podziękować za oddanie jej komuś, kogo rzeczywiście męczy pragnienie.

I podeszła do ojca, by mu pogratulować przemówienia. W połowie drogi jednak zatrzymała się i spojrzała za siebie. Percy cały czas ją obserwował, wciąż z uśmiechem na twarzy i pokrytą kroplami wody butelką w ręce. Kiedy ich oczy się spotkały, doznali swego rodzaju olśnienia, mimo dzielącej ich odległości. Ogarnęło ją wtedy uczucie nieznane dotąd jej czternastoletniemu ciału, swoją intensywnością powodując lekki zawrót głowy. Okrzyk zdziwienia i protestu uwiązał jej w gardle, a jednak w jakiś sposób Percy go usłyszał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i uniósł szklankę, a potem wypił oranżadę, ona zaś fizycznie czuła w ustach jej smak.

Nawet teraz czuła w buzi tę chłodną słodycz. Czuła też pot pod pachami i między piersiami i znów to coś spinało jej brzuch i uda.

– Percy... – szepnęła.

– Mary?

Odwróciła się na dźwięk znajomego głosu, energicznie jakby miała czternaście lat, ale nieco zdezorientowana. Jak Percy znalazł się tuż za nią? Przecież dopiero co stał pod więzmem...

– Percy, kochany... – przywitała go zdziwiona, tylko laska i torebka powstrzymały ją od wyciągnięcia ramion. – Musiałeś wypić całą moją oranżadę? Chciałam jej wtedy, tak samo jak pragnęłam ciebie, ale nie wiedziałam tego. Byłam zbyt młoda i głupia, no i miałam w sobie zbyt wiele z Toliverów. Gdybym tylko nie była taką idiotką...

Poczuła, że nią potrząsa.

– Pani Mary... to ja, Matt.

Rozdział czwarty

Matt? – powtórzyła Mary, mrugając oczami przed zaniepokojonym wnukiem Percy'ego.

– Tak, Matt.

O Boże, pomyślała, gdy doszła do siebie i zauważyła wyraz twarzy młodego mężczyzny. Wypuściła ze starego worka bardzo starego kota. Jak się teraz z tego wytłumaczy? Wcale nie miała ochoty pozwolić odejść wspomnieniom tamtego dnia, bo znów to wszystko poczuła. Cudownie było wrócić na te kilka minut do czasu, kiedy soki wciąż krążyły, a krew była gorąca. Znów zobaczyć Percy'ego w wieku dziewiętnastu lat.

Starość miała też swoje jasne strony.

Uśmiechnęła się do Matta i poklepała wykrochmalony przód jego koszuli. Jak dziadek, zawsze miał na sobie marynarkę i krawat, nawet w lecie.

– Witaj, chłopcze. Przyłapałeś mnie, jak gadam sama do siebie?

– Nie mogę sobie wyobrazić lepszego rozmówcy niż pani – odparł Matt, a w jego oczach, jasnoniebieskich jak u dziadka, dostrzegła zaciekawienie i zdziwienie. – Cieszę się, że panią spotykam. Bardzo nam pani brakowało przez ten ostatni miesiąc, szczególnie dziadkowi. Dokąd pani idzie? Mogę panią odprowadzić?

– Właściwie, chłopcze, to już wracam – powiedziała Mary, uśmiechając się tajemniczo i pozwalając sobie na żart – z przeszłości – dodała, widząc, jak unosi brwi. Podejrzewała, że obserwował ją przez okno i wie, że nigdzie nie była. Jakie to teraz miało znaczenie? Matt był jeszcze na tyle młody, że poradzi sobie ze wszystkim, a jednocześnie wystarczająco dojrzały, by zrozumieć te ciemne sprawy, o które podejrzewał teraz ją i swojego dziadka. Spojrzała na niego czule.

– Za krótko żyjesz, by mieć już przeszłość, ale kiedyś nadejdzie taki dzień.

– Ani się obejrzeć, a skończę trzydzieści pięć lat – odparł z uśmiechem. – A teraz proszę mi powiedzieć, dokąd się pani wybiera?

– Już chyba donikąd.

Nagle poczuła się zmęczona. Zauważyła, że głód wykurzył Henry'ego z kawiarni i że jej szuka. Skinęła głową w kierunku swojej limuzyny, a on żwawo ruszył pod kancelarię Amosa.

– Henry poszedł po samochód – oznajmiła Mary. – Odprowadź mnie na róg, dobrze?

Dawno już nie rozmawialiśmy – i wsunęła rękę pod ramię Matta, drugą opierając się na lasce.

– Kiedy zamierzasz się ożenić, Matt? Chyba nie możesz narzekać na brak chętnych?

– Zdziwiłaby się pani. Niby wybór duży, a jak przyjdzie co do czego, ciężko kogoś znaleźć. A przy okazji, jak miewa się Rachel? Jest nadzieja, że wkrótce nas odwiedzi? Nie widziałem jej od czasu śmierci pana Olliego. Miała wtedy chyba szesnaście czy siedemnaście lat, o ile sobie przypominam... i już była piękną kobietą.

– Siedemnaście – wymamrotała Mary, którą nagle ścisnęło w gardle. – Urodziła się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku.

To też była jedna z rzeczy, o którą musiała zadbać – trzymać Rachel i Matta z dala od siebie. Odkąd się poznali, kiedy Rachel miała czternaście lat, rozmyślała często, co by to była za niesamowita ironia losu, gdyby tych dwoje spodobało się sobie nawzajem i coś by się z tego urodziło. Przy drugim spotkaniu, na pogrzebie Olliego, trzy lata później, oboje określili już swoje miejsce w życiu – Rachel została plantatorem, Matt handlował drewnem – takie połączenie nigdy się nie sprawdziło... w każdym razie nie w Somerset.

Poczuła wtedy między nimi tę iskrę, widziała zainteresowanie w oczach Matta i podziw w oczach Rachel i postanowiła, że już nigdy nie powinni równocześnie znaleźć się w Howbutker.

Nie było to zbyt trudne. W tamtym czasie Matt skończył studia i pierwsze lata dorosłości spędzał poza miastem, ucząc się, zgodnie z życzeniem dziadka, jak działa Warwick Industries. Kiedy przyjeżdżał do domu na święta czy krótkie wakacje, Mary znajdowała Rachel zajęcie gdzie indziej. Starła się zdusić wszelką ciekawość Rachel w stosunku do przystojnego wnuka Percy'ego, przede wszystkim w ogóle nie wymieniając w rozmowie jego imienia i zmieniając temat, kiedy jednak rozmowa schodziła na jego temat, a schodziła zawsze. Dzieliło ich pięć lat, więc liczyła, że do czasu gdy Rachel skończy akademię rolniczą i będzie gotowa się ustatkować, Matt już dawno się ożeni.

Oczywiście, całe to knucie miało miejsce o wiele wcześniej, zanim poznała pełny obraz tragedii, którą spowodowała... zanim Rachel pokłóciła się z matką i rozstała ze swoim pilotem. Jak mogła przewidzieć, że Rachel, już przed trzydziestką, i Matt, mając prawie trzydzieści sześć lat – taka sama różnica wieku jak między nią a Percym – wciąż będą samotni? Matt na dobre wrócił do domu. Został dyrektorem Warwick Industries, a gdyby nie kodycył, Rachel również wracałaby do domu... Mary przystanęła. A jeśli zniszczyła inną miłość, która powinna się spełnić? Ta myśl przeszła ją jak nóż.

– Pani Mary, co się stało? – Matt złapał jej zaciskające się palce, jego twarz zmarszczył niepokój. – Proszę mi powiedzieć.

Mary zwróciła na niego swój niespokojny wzrok. Odziedziczył po dziadku słuszny wzrost i budowę. Był równie przystojny, ale urodą nieco bardziej surową. Zawsze wołała jego twarz od Percy'ego. Dawała ukojenie zamiast druzgotać i miała jedyny w swoim rodzaju wdzięk. Oprócz jasnobrązowych włosów i jasnych, niebieskich oczu nie widziała w nim nic, co przypominałoby jego babkę, żonę Percy'ego.

– Jak się miewa Lucy? – zapytała.

Zdezorientowany Matt uśmiechnął się uśmiechem swojego dziadka.

– No cóż, jak zwykle, wściekła na cały świat. Właśnie byłem u niej w Atlancie. Mam jej powiedzieć następnym razem, że pytała pani o nią?

Mary machnęła energicznie ręką.

– Nie, na Boga, nie! Jeszcze dostałaby zawału.

Matt zachichotał.

– Ech, jak zwykle. Pewnie nigdy się nie dowiem, co między wami zaszło.

Pewnie już wiesz, pomyślała Mary rozbawiona, zastanawiając się, czy Matt będzie wypytywał Percy'ego o to, co usłyszał. Ale raczej nie. Pozwoli strumykowi spokojnie płynąć, nie będzie w nim wędkował. Nie wiadomo, co mógłby wyciągnąć i jak zawstydzić dziadka. W końcu to bardzo stara historia.

– Widzę, że nie zaspokoi pani mojej ciekawości – zauważył Matt. – Więc wróćmy do Rachel. Kiedy możemy się jej spodziewać?

– Myślę, że za jakieś dwa, trzy tygodnie – odparła Mary, uwagę skupiając na swojej limuzynie, która podjeżdżała do krawężnika. Była biała, staromodna i w nienagannym stanie. Tak samo kiedyś Mary myślała o sobie. – Jest Henry, więc się pożegnaj, Matt.

Spojrzała na niego przez swoje słoneczne okulary i nagle coś ją chwyciło za gardło. Matt zawsze był takim dobrym chłopcem. Pamiętała, kiedy wraz z matką, Claudią, synową Percy'ego, przeprowadzili się Warwick Hall. Matt miał zaledwie kilka miesięcy. Przypominał jej Matthew, swojego imiennika. Matt był dla nich jak tęcza po burzy. W piersi poczuła narastający ból.

– Matt – zaczęła, ale ku jej własnemu przerażeniu, z ust wydobył się jedynie szloch.

– Spokojnie... no już, już. Co się stało? – mówił Matt i otulił ją ramionami. – Jest pani zbyt piękna, żeby płakać.

Poszukała w torebce chusteczki.

– A twój garnitur jest zbyt elegancki, żeby go moczyć – odpowiedziała, wyciągając chustkę i przykładając ją do mokrej plamy na jego klapie, wstrząśnięta swoim zachowaniem.

– Przepraszam cię, Matt. Nie wiem, co mnie naszło.

– Tak czasami bywa ze wspomnieniami – powiedział łagodnie Matt, jakby wiedział, o czym mówi. – A może zaprosi pani dziadka i mnie na drinka, powiedzmy, koło szóstej? Bardzo się za panią stęsknił – Tak bardzo, że wręcz trudno to wyrazić.

– Jeśli obiecasz nic mu nie wspominać o moim... zachowaniu.

– Jakim zachowaniu?

Podszedł do nich Henry.

– Ciocia Sassie czeka już z lunchem – powiedział. – Będzie szynka, fasolka z kapustą i placki kukurydziane. Od razu się pani lepiej poczuje.

– Niewątpliwie – odparł Matt, ale zauważyła, że wymienili spojrzenie, które przeczyło jego zapewnieniu. Przed zamknięciem drzwi samochodu, pochylił się i położył jej rękę na ramieniu. – Widzimy się dziś wieczorem, OK?

Poklepała jego dłoń.

– OK.

Ale nic oczywiście nie było OK. Później wymyśli jakąś wymówkę i każe Sassie zadzwonić do Warwick Hall z przeprosinami. Nie widzieli się przez miesiąc, więc Percy na pewno wpadnie w szal, ale nie była w stanie teraz się z nim spotkać. Musiała oszczędzać siły, te psychiczne i fizyczne, na jutrzejsze spotkanie z Rachel, no i ma jeszcze coś do załatwienia na strychu.

– Henry – powiedziała, podnosząc okulary, żeby wytrzeć resztki łez – chciałabym, żebyś zrobił coś dla mnie, kiedy przyjedziemy do domu.

Henry rzucił jej do lusterka zbolące spojrzenie.

– Przed lunchem?

– Przed lunchem. Chcę, żebyś poszedł na strych i otworzył wojskowy kufer pana Olliego z pierwszej wojny światowej. Niech Sassie wyciągnie klucze z górnej szuflady mojego sekretarzyka. Zostaw je przy kufrze. Nie zabierze ci to wiele czasu i zaraz potem możesz zasiąść do swojej szynki i fasolki.

We wstecznym lusterku widziała, jak Henry mruży oczy.

– Dobrze się pani czuje?

– Wiem, co robię, jeśli o to mnie pytasz, Henry.

– Tak, proszę pani – odparł nieprzekonany.

Oczy miała już zupełnie suche, gdy wjechali pod szpaler drzew tworzących zielony baldachim nad szeroką Houston Avenue i jechali dalej, mijając ogromne domy pośród wspaniale utrzymanych trawników, cofnięte nieco od drogi, usadowione wśród falujących, zielonych pagórków.

– Podjedź od frontu – poinstruowała szofera.

Rzucił jej w lusterko kolejne zdziwione spojrzenie.

– Od frontu? Nie chce pani podjechać z tyłu?

– Nie, Henry, od frontu. I nie pomagaj mi, sama potrafię wysiąść.

– Jak pani uważa, pani Mary. A co do tego kufra pana Olliego. Skąd mam wiedzieć, który to?

– Ma nieciekawy, zielony kolor i stoi z tyłu, pod ścianą, po prawej stronie. Znajdziesz na nim napis: KAPITAN OLLIE DUMONT, ARMIAUSA. Jak tylko zetrzesz kurz, od razu zauważysz ten napis. Kufer dawno nie był otwierany, więc może ci się przydać łom.

– Dobrze, proszę pani. – Henry zatrzymał samochód przed szerokimi schodami

prowadzącymi na werandę. Z niepokojem patrzył, jak jego pracodawczyni wysiada i zaczyna wspinaczkę na werandę schowaną za białą kolumnadą. W połowie drogi odprawiła go ruchem ręki, ale poczekał, aż wejdzie na górę. Chwilę później Sassie Druga, nazywana tak, ponieważ była drugą gospodynią rodziny Toliverów o tym imieniu, otworzyła frontowe drzwi i wychodząc jej na spotkanie, od razu zażądała wyjaśnień.

– Proszę pani, a co to pani wyrabia? Toż wiadomo, że taki upał pani nie służy.

– Upał mi w ogóle nie przeszkadza, naprawdę, Sassie. – Mary mówiła już ze swojego głębokiego, białego fotela, jednego z wielu, które zdobiły werandę. – Powiedziałam Henry’emu, żeby zatrzymał się od frontu, bo miałam ochotę znów wejść po tych schodach, poczuć, jak to jest wchodzić do domu głównymi drzwiami. Nie robiłam tego od lat, a jeszcze dłużej nie siedziałam tutaj, podziwiając krajobraz.

– Bo też po prawdzie oprócz trawy nic tu do podziwiania nie ma. Wszyscy siedzą w środku, bo tam jest chłodno. A trawa jak to trawa, żadnych zmian pani nie zauważy od tamtego razu, co to ją ostatnio pani podziwiała. I czemuż to akuratnie teraz? Lunch zaraz będzie.

– Obiad, Sassie – poprawiła ją surowo Mary. – Zaraz będzie obiad. Kiedy to my, południowcy, zaczęliśmy nazywać nasz południowy posiłek lunchem?

– Chyba wtedy, co reszta świata.

– Reszta świata niech się wypcha. Od dziś w południe jemy tutaj obiad. Obiad, a potem kolację. A świat niech robi, co chce.

Z rękami na biodrach Sassie omiotła swoją panią tolerancyjnym spojrzeniem.

– Dla mnie tam może być. A teraz, co do obiadu. Gotowa pani będzie za dziesięć minut, jak Henry zejdzie ze strychu?

– Dobrze – zgodziła się Mary. – Dałaś mu klucze do kufra?

– No dałam. Ale po co, na Boga, go otwierać?

– Potrzebuję coś stamtąd. Po obiedzie pójdę tam i to wezmę.

– A Henry przynieść tego nie może?

– Nie! – warknęła Mary, w panice zaciskając dłonie na oparciach fotela, a widząc malujący się niepokój na czarnej twarzy Sassie, dodała zaraz pojednawczym tonem: – Tylko ja wiem, co to jest. To... to coś, co muszę zrobić sama.

– No dobrze – gospodyni pozostała sceptyczna. – A może przynieść pani mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję. Nie martw się o mnie, Sassie. Wiem, że zachowuję się dziś nieco dziwnie, ale dobrze jest czasem wyjść z ram.

– Aha – mruknęła gospodyni. – No nic, jak tylko Henry na strychu skończy, od razu panią stąd zabieram.

Mary czuła na sobie jej zatroskany wzrok i pożałowała, że ją tak denerwuje. Bez wątpienia i Henry, i ona byli przekonani, że ich pani zaczyna tracić rozum. Przydałoby się coś zimnego. Szkoda, że nie poprosiła jednak Sassie o herbatę, ale bez sensu byłoby ją teraz znów kłopotać.

Usiadła wygodnie i skierowała wzrok na ulicę. Posiadłość Toliverów leżała na tyle wysoko, że z werandy rozciągał się widok na całą okolicę. Jej praprababka o to zadbała. Mary kochała ten dom i tę ulicę. Niewiele się tu zmieniło od czasów, gdy była małą dziewczynką. Powozownie zamieniono na garaże, systemy nawadniające zastąpiły ręczne podlewanie, które było niegdyś zadaniem służby, no i kilka najstarszych drzew wreszcie zakończyło swój żywot, ale ulica zachowała swój urok i atmosferę z dawnych lat – niewielka część Południa, która jeszcze nie przeminęła z wiatrem.

Czy Rachel kiedykolwiek zrozumie, ile kosztowało babkę pozbawienie jej tego miejsca?

Czy to dziecko zdoła pojąć, jak trudno Mary było przeżyć ostatnie tygodnie życia ze świadomością, że jest ostatnią z Toliverów, która mieszka w rodzinnej rezydencji, w domu zbudowanym przez przodków? Najprawdopodobniej nie. Zbyt wiele wymagała od tej dziewczyny.

– Proszę pani, znów mówi pani do siebie.

– Słucham? – Mary, wyrwana ze swoich myśli, zmrużyła oczy, podnosząc wzrok na gospodynię.

Sassie Druga stała przed nią.

– Znowu mówi pani do siebie. I gdzie właściwie są perły? Przed wyjściem miała je pani na sobie.

Mary złapała się za szyję.

– A, zostawiłam je dla Rachel. . .

– Dla Rachel? Ludzie, ratujcie, koniec z tym, zabieram panią z tego słońca, i to już.

– Sassie! – w jednej chwili Mary odzyskała równowagę. Teraźniejszość przywołała ją do porządku i przeszłość natychmiast odeszła. Znów była sobą i to ona rządziła w tym domu. Nikt nie będzie jej mówił, co ma robić, nawet Sassie, która należała do rodziny i miała prawo. Wymierzyła swoją łaskę w kucharkę. – Zejdę, kiedy uznam to za stosowne. Ty i Henry nie czekajcie na mnie, siadajcie do obiadu. Bądź tak miła i zostaw moją porcję w piekarniku.

Nie okazując urazy za reprimendę, Sassie powiedziała:

– To może jednak przyniosę herbatę?

– Nie, żadnej herbaty. Przynieś mi kieliszek Taittingera z tej butelki, którą trzymamy w lodówce. Niech Henry ją otworzy, wie jak. Albo nie, przynieś całą butelkę. I włóż ją do kubelka z lodem.

Sassie wytrzeszczyła oczy.

– Szampan? Chce pani w ten upał szampan pić? Ale pani przecież nigdy nie pije alkoholu.

– Dziś piję. A teraz idź już i zrób, o co cię proszę, zanim Henry umrze z głodu.

W samochodzie słyszałam, że w brzuchu mu burczy, jakby miał tam tygrysa w klatce.

Potrząsając siwymi loczkami, Sassie wyszła, by za chwilę wrócić z tacą, na której stał szampan i kieliszek. Z trzaskiem położyła ją na stoliku obok pani.

– Może być?

– Wspaniale. Dziękuję ci, Sassie – odparła Mary, po czym spojrzała na swoją gospodynię wzrokiem przepelnionym wzruszeniem. – Czy mówiłam ci kiedyś, jak wiele dla mnie znaczysz?

– Nie za bardzo – odparła tamta. – I nic mnie nie obchodzi, co pani mówi, będę tu przychodzić, żeby panią sprawdzać, i to co chwila, więc lepiej niech pani za głośno nie rozmawia ze sobą, jak nie chce, żeby jakiesik tajemnice się wydały.

– Będę uważała, o czym ze sobą rozmawiam – obiecała jej. – I jeszcze jedno. Czy Henry otworzył kufer?

– Tak.

– To dobrze – z zadowoleniem pokiwała głową.

Kiedy Sassie odeszła, nalała do kieliszka szampana i uniosła go do ust. Nigdy, przez całe życie, nie raczyła się niczym innym niż kilka łyków szampana w sylwestra. Zbyt dobrze się znała. Alkohol miał nad nią władzę – przenosił ją w czasy i miejsca, o których całe życie próbowała zapomnieć. Teraz jednak chciała do nich wrócić. To ostatnia szansa na powrót do przeszłości, a szampan go umożliwi. Sącząc spokojnie alkohol, czekała na przybycie czarodziejskiego dywanu. Po chwili poczuła, że jest już w dniu wczorajszym i rozpoczęła podróż.



**HISTORIA
MARY**



Rozdział piąty

Howbutker w Teksasie, czerwiec 1916

Mary Toliver, lat szesnaście, wraz z bratem i matką siedzieli w kancelarii Emmitta Waithe'a, na krzesłach ustawionych przed jego biurkiem. Panował nastrój pogrzebowy. Zapach skóry, tytoniu i starych książek przywodził jej na myśl domowy gabinet ojca, teraz zamknięty, o drzwiach ozdobionych czarną wstęgą. Znowu do oczu napłynęły jej łzy, mocniej zacisnęła ręce i spuściła głowę, aż wzruszenie ustąpiło. Poczula, że jej dłonie obejmuje pocieszająca ręka Milesa. Z drugiej strony brata, cała w czerni i z twarzą zakrytą welonem, siedziała jej matka, Darla Toliver, która westchnęła ze współczuciem, a następnie wyraziła swoje zdenerwowanie:

– Słowo daję, jeśli Emmitt zaraz się nie pojawi, odsyłam Mary do domu. Nie ma sensu, żeby siedziała tu tyle czasu i to tuż po pogrzebie ojca, przecież Emmitt wie, jak blisko byli ze sobą. Nie mogę zrozumieć, co go zatrzymuje. Dlaczego nie możemy przekazać jej treści testamentu, kiedy będzie na to gotowa?

– Może prawo wymaga, żeby spadkobierca był obecny przy odczytaniu ostatniej woli

– odrzekł Miles formalnym językiem, którego zaczął używać, odkąd poszedł do college'u.

– Dlatego Emmitt nalegał, by ją zabrać.

– Zawracanie głowy – zareagowała Darla ostrym tonem, jakim prawie nigdy nie zwracała się do syna. – To Howbutker, a nie Princeton, kochanie. Mary jest nieletnim beneficjentem i nie ma najmniejszej potrzeby, żeby tu dziś siedziała.

Mary słuchała tego dialogu jednym uchem. Po śmierci ojca emocjonalnie tak bardzo się przed nimi zamknęła – przed wszystkimi – że Miles i matka rozmawiali o niej tak, jakby jej tam w ogóle nie było.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że obudzi się jutro i pojutrze, i we wszystkie kolejne dni, a na świecie nie będzie już taty. Rak zabrał go zbyt szybko, nie zdążyła się przygotować na jego śmierć. Już strata dziadka przed pięciu laty kompletnie ją załamała, choć dziadzius Thomas przeżył siedemdziesiąt jeden lat. A tata miał tylko pięćdziesiąt jeden, za mało, by stracić wszystko, na co tak ciężko pracował... wszystko, co kochał. Prawie całą minioną noc przeleżała w łóżku z otwartymi oczami, zastanawiając się, co teraz z nimi będzie. Co z plantacją? Miles jej nie chciał. Wszyscy to wiedzieli. Chciał wykładać w college'u historię.

Matka nigdy nie interesowała się Somerset i niewiele o niej wiedziała. Powołaniem Darli Toliver była funkcja żony Vernona Tolivera i pani w posiadłości na Houston Avenue. O ile Mary się orientowała, matka rzadko wyjeżdżała poza miasto, gdzie zaczyna się plantacja, rozciągając się na przestrzeni wielu hektarów wzdłuż drogi, prawie do następnego hrabstwa. Za nią leżało Dallas, a w przeciwnym kierunku Houston, miasta, do których matka lubiła jeździć na zakupy. Podróżowała pociągiem i zwykle spędzała tam noc.

Czerwiec każdego roku nadchodził i mijał, a jej matka nigdy nie widziała pól pokrytych tysiącami kwitnących bawełnianych kwiatów, w różnych kolorach, od kremowobiałego do delikatnej czerwieni. Natomiast Mary nie umknął ani jeden z nich. Teraz już tylko sama mogła cieszyć wzrok widokiem kwiatów powoli zmieniających się w twarde torebki nasienne, aż do sierpnia, kiedy to nagle – tu i ówdzie pośród morza zieleni – udawało się jej zauważyć białą plamkę. Och, cóż to była za radość, patrzeć, jak ta białość się później rozprzestrzenia, i jechać konno, jak to często robiła z ojcem i dziadkiem Thomasem, pośród oceanu bieli, falującego nad zielonym dnem i sięgającego aż po horyzont, od prawej do lewej, ze świadomością, że należy on do rodziny Toliverów.

Nie знаła większej radości ani dumy, a teraz ta przerażająca perspektywa, że nagle to

wszystko może zniknąć. Dziś rano uderzyła ją paraliżująca myśl. A co, jeśli matka sprzeda plantację?! Jako nowa właścicielka Somerset będzie mogła nią dowolnie dysponować i nikt nie będzie jej mógł powstrzymać.

Otworzyły się drzwi prowadzące do drugiego gabinetu. Wszedł Emmitt Waithe, długoletni adwokat rodziny Toliverów, od drzwi przeprasząc, że kazał im czekać, ale Mary od razu zauważyła w jego zachowaniu coś dziwnego i nie miało to nic wspólnego ze spóźnieniem. Czy to z powodu współczucia dla ich bólu czy też z innego względu nie potrafił spojrzeć im w oczy. Gestykulował, dużo mówił, dwoił się i troił, co było dziwne u człowieka tak małomównego, spokojnego i wyważonego jak on. Przesadnie troszczył się o ich wygodę. Czy chcieliby może herbaty albo kawy? Poprosi sekretarkę, to pójdzie do sklepu naprzeciwko i przyniesie Mary oranżadę...

– Emmitt, jeśli pozwolisz – przerwała mu Darla, próbując go uspokoić – w tej chwili chcemy jedynie, żebyś już zaczął. Jesteśmy wszyscy na skraju wytrzymałości nerwowej i prosilibyśmy, żebyś... przeszedł od razu do sedna, jeśli mogę się tak wyrazić.

Emmitt odchrząknął, spojrział na Darlę dziwnym wzrokiem, a potem przeszedł do sedna. Najpierw wyciągnął list z koperty, która leżała na bardzo poważnie i prawniczo wyglądającym dokumencie.

– To jest, eee, list od Vernona, który napisał on krótko przed śmiercią. Chciał, żebym przeczytał go, zanim przejdziemy do testamentu.

Pod welonem oczy Darli zaszyły łzami.

– Oczywiście – powiedziała, sięgając po dłoń syna.

Emmitt rozpoczął:

Najukochańsza żono i dzieci,

Nigdy nie myślałem o sobie jako o tchórze, ale okazuje się, że nie mam odwagi za życia powiedzieć Wam o postanowieniach mojego testamentu. Zanim to przeczytacie, chcę Was zapewnić, że każde z Was kocham z całego serca i pragnąłbym głęboko, żeby okoliczności pozwoliły mi na bardziej sprawiedliwy i hojniejszy podział mojej własności. Darlo, Ukochana Żono, proszę, spróbuj zrozumieć, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Miles, Synu, od Ciebie nie mogę oczekiwać zrozumienia, ale może któregoś dnia Twój potomek będzie wdzięczny za spadek, który Ci zostawiam i powierzam, byś zachował go dla owocu twoich lędźwi.

Mary, wierzę, że przez to co robię, nie przedłużam klątwy, która prześladowuje rodzinę Toliverów od momentu, gdy ścięto pierwszą sosnę pod Somerset. Zostawiam Ci wiele poważnych obowiązków, które mam nadzieję, nie zmuszą Cię do wyboru pomiędzy nimi a Twoim szczęściem.

Wasz kochający mąż i ojciec,

Vernon Toliver

– Dziwne – mówiła powoli Darla, kiedy Emmitt składał na powrót list i wkładał go do koperty. – Cóż miałyby znaczyć ten „bardziej sprawiedliwy i hojniejszy podział własności”?

– Zapewne wkrótce się dowiemy – odparł Miles, a jego szczupła twarz zastygła bez wyrazu.

Mary znieruchomiała. Co ojciec chciał powiedzieć przez „wiele poważnych obowiązków”? Czy miało to coś wspólnego z jego ostatnimi słowami do niej, które wzięła wtedy za nieskładny bełkot umierającego człowieka przeżywającego kolejny raz ten sam koszmar? „Mary, za wszelką cenę odzyskaj ziemię”.

– Mam instrukcje, by przed odczytaniem testamentu zapoznać was z jeszcze jednym dokumentem – informował tymczasem Emmitt, biorąc kolejną kartkę i wręczając ją nad biurkiem Milesowi. – To umowa kredytu hipotecznego. Jeszcze zanim Vernon dowiedział się o swojej

nieuleczalnej chorobie, wziął z banku w Bostonie pożyczkę pod zastaw plantacji. Pieniądze poszły na spłacenie długów oraz zakup ziemi pod dalsze uprawy.

Po przejrzeniu dokumentu Miles podniósł głowę.

– Czy ja dobrze widzę? Dziesięć procent przez dziesięć lat? To rozbój w biały dzień!

– Miles, w jakim świecie ty żyjesz? – Emmitt uniósł i rozłożył ręce. – Okoliczni farmerzy płacili dwa razy tyle za przywilej zadłużenia się u brokerów ze wschodu czy banków komercyjnych. Gdyby pożyczał pod zastaw zbiorów, musiałby zapłacić dużo więcej, ale w przypadku ziemi mógł dostać te pieniądze taniej, jeśli chcesz tak to ujmować.

Mary siedziała bez ruchu, zupełnie przerażona. Ziemia zastawiona, a więc już nie w rękach Toliverów? Teraz zrozumiała znaczenie ostatniej prośby ojca... i jego rozpacz. Ale dlaczego skierował ją do niej?

– A jeśli będzie nieurodzaj? – pytał szorstko Miles. – Jasne, teraz bawełna stoi wysoko, ale jeśli zbiory będą marne? Czy wtedy stracimy plantację?

Emmitt wzruszył ramionami. Mary, patrząc na ponurą twarz prawnika, a potem zaczerwienione oblicze swojego brata, po raz pierwszy zabrała głos.

– Zbiory nie będą marne! – ogłosiła, bliska hysterii. – I nie stracimy plantacji. Miles, nawet tak nie myśl!

Miles uderzył ręką o krzesło.

– Boże wszechmogący! Co papa sobie myślał, kiedy kupował kolejne działki, ryzykując tym samym utratę ziemi, którą już mamy? Czemu pogrążał nas dalej w długach i kupował te maszyny, które uznał za rzekomo konieczne? A miałem go za takiego mądrego przedsiębiorcę.

– Gdybyś trochę bardziej interesował się jego sprawami, Miles, więcej byś wiedział o tym, co robi – broniła ojca Mary. – To niesprawiedliwe winić go teraz za decyzje, w których ani razu nie próbowałeś mu pomóc.

Miles spojrział na nią zaskoczony tym wybuchem. Rzadko się kłócili, choć w wielu sprawach mieli różne zdania. Miles był idealistą, ciągnęło go już w stronę marksizmu, który głosił odebranie własności i zysków klasie panów i oddanie ich w równych częściach masom. Nienawidził systemu dzierżawy gruntów rolnych, który kwitł w Ameryce, szczególnie w strefie uprawy bawełny. Wierzył, że wymyślono go po to, by utrzymywać zależność biednych dzierżawców od plantatora. Ojciec absolutnie się z nim nie zgadzał, argumentując, że przy właściwym zarządzaniu to właśnie ten system pozwala się dzierżawcy usamodzielnić. Mary stała całkowicie po stronie ojca.

– Miles nie mógł uczestniczyć w decyzjach ojca, Mary Lamb, ponieważ przez ostatnie cztery lata studiował z dala od domu – welon Darli zafalował przy tej delikatnej reprimendzie.

– Ale co się stało, to się nie odstanie. Jeśli będziemy potrzebować pieniędzy, sprzedamy po prostu część plantacji. Gdyby wasz ojciec wiedział, że umiera, na pewno nie kupiłby dodatkowych gruntów. Patrząc na nas z nieba, na pewno zrozumie, dlaczego musimy naprawić te szkody, które niechcący uczynił. Czyż nie tak, Emmitt? A teraz, jeśli mogę cię prosić, odczytaj testament, żebyśmy mieli to za sobą. Mary źle wygląda. Trzeba ją zabrać do domu.

Rzucając na Darlę kolejne dziwne spojrzenie, Emmitt powoli wziął do ręki następny dokument i głośno go odczytał. Kiedy skończył, w pokoju zapadła cisza, bo słuchacze byli zbyt osłupiali, by wydobyć z siebie choć jedno słowo.

– Ja... nie wierzę – wyszeptła ostatecznie Darla. Szklisty wzrok pod welonem wskazywał, że przeżyła wstrząs. – Chcesz powiedzieć, że Vernon całą plantację zostawił... Mary, z wyjątkiem tego skrawka nad rzeką? I to wszystko, co nasz syn dostaje w spadku od ojca? I Mary zapisał też dom? A mnie nie zostaje nic prócz pieniędzy, które są w banku? Ale... tego nie może być zbyt wiele, skoro Vernon musiał spłacać hipotekę.

– Zgadza się – powiedział adwokat, zaglądając do wyciągu z banku, który miał w aktach.
– Ale, Darla, rozumiesz chyba, że masz pełne prawo mieszkać w tym domu oraz prawo do dwudziestu procent zysków z ziemi do czasu ponownego zamążpójścia lub śmierci. Vernon jasno to sprecyzował.

– Cóż... cóż za hojność z jego strony – powiedziała przez zaciśnięte usta.

Mary wciąż siedziała sztywno, zaciskając mocno ręce i uważając, by wyrazem twarzy nie zdradzić ulgi – właściwie radości – która napełniła jej smutne serce. Plantacja należała do niej! Ojciec – przewidując, że matka ją sprzeda – zostawił ją w rękach tego z Toliverów, który nigdy jej nie odda. Nie szkodzi, że Miles ma pełnomocnictwo zarządzania Somerset aż do uzyskania przez nią pełnoletności, czyli do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia. Ze względu na dwadzieścia procent należące do matki, nie będzie przeszkadzał w jej prowadzeniu, dopóki przynosi zyski i można spłacać dług.

Brat wstał i chodził teraz nerwowo tam i z powrotem wielkimi krokami zdradzającymi duże zdenerwowanie.

– Z tego wszystkiego wynika – zwrócił się do prawnika zirytowany – że życie mojej matki do końca jej dni zależy od tego, czy plantacja będzie przynosiła zyski, i że nawet jej własny dom do niej nie należy, czy tak?

Emmitt przekładał jakieś papiery, unikając wzroku Milesa.

– Właśnie zapisanie go Mary zapewnia twojej matce dom do końca jej dni. W takich sytuacjach często się zdarza, że domy zostają lekkomyślnie sprzedane, a pieniądze wkrótce się rozplywają. I pozwól sobie przypomnieć, że dwadzieścia procent z zysków to nie jałmużna. Przy obecnych cenach bawełny, szczególnie jeśli będzie wojna, Somerset zarobi krocie. Twoja matka będzie mogła żyć bardzo wygodnie.

– Oszczędzając i o ile będzie urodzaj – szepnęła Darla.

Emmitt się zaczerwienił. Spojrzał na Milesa ponad oprawkami okularów.

– Dla twojego dobra, lepiej, żeby syn o to zadbał – powiedział, po czym zamilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, czy powinien mówić dalej. Najwidoczniej jednak zdecydował, że tak, odłożył pióro i oparł się wygodnie w fotelu. – Vernon, umierając, głęboko wierzył, że nie ma wyboru i że tylko taki testament wchodzi w grę.

Miles wciąż stał, nie kryjąc pogardy.

– Tak? A to dlaczego?

Emmitt spojrzał Darli prosto w oczy.

– Bał się, że możesz sprzedać plantację, moja droga, co zadeklarowałaś zaledwie kilka minut temu. W obecnej sytuacji nadal będziesz mogła korzystać z wszystkiego, co Somerset oferuje, dokładnie tak, jakby to było, gdyby Vernon żył, a jednocześnie i plantacja, i dom zostaną w rodzinie.

– Tyle tylko, że tak jak wcześniej zależałam od męża, teraz dach nad głową i jedzenie będę otrzymywała od córki – Darla mówiła głosem tak słabym, że welon prawie się nie ruszał.

– Nie wspominając już, że zrujnował moje plany na następne pięć lat – dodał Miles.

Górna warga drgała mu ze złości.

Darla puściła poręczę fotela, na których kurczowo zaciskała dłonie, i położyła je spokojnie na kolanach.

– Więc mam rozumieć, że okoliczności, o których wspominał w swoim liście mój mąż, dotyczyły jego obawy, że mogę sprzedać plantację, a jeśli bym nie sprzedała, że nie potrafię nią odpowiednio zarządzać. Czy to są przyczyny, które nie pozwoliły na – jak to określił? – „bardziej sprawiedliwy i hojniejszy podział własności”?

– Tak, Darlo, ehm, bardzo dobrze zrozumiałaś powody decyzji swojego męża – twarz

Emmitta złagodniała, w oczywistej nadziei, że w ten sposób atmosfera złagodnieje. – Vernon wierzył, że w ostatecznym rachunku spośród Toliverów to Mary jest osobą najodpowiedniejszą do prowadzenia plantacji. Wygląda na to, że odziedzyczyła talent do uprawy ziemi, jak również oddanie i lojalność dla Somerset i stylu życia, jaki się z nią wiąże. Uważał, że dzięki niej plantacja będzie zarabiać, na czym w konsekwencji zyskacie wszyscy, i zostanie przekazana kolejnemu pokoleniu Toliverów, a więc również twoim dzieciom, Miles.

Twarz Milesa wyrażała obrzydzenie. Milcząc, stanął za krzesłem matki, w geście współczucia kładąc jej na ramieniu dłoń.

– Rozumiem... – głos Darli pozbawiony był wszelkich emocji. Umyślnie bardzo powoli uniosła welon i zatknęła go za czarne pióra swojego ogromnego żałobnego kapelusza. Była niezwykle piękną kobietą, miała chłodny, alabastrowy odcień skóry i ogromne, lśniąco czarne oczy. To syn odziedziczył po niej ich bursztynowy kolor, a także kasztanowe włosy i kształtny, mały zadziorny nosek. Mary z kolei los obdarzył niesamowitym połączeniem cech charakterystycznych dla rodziny Toliverów od czasów pierwszych angielskich Lancasterów. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że jest córką Vernona.

Teraz z trwogą patrzyła, jak matka wstaje z krzesła, chłodna, dystygowana, prawie obca w swojej żałobnej, czarnej kreacji. Niepokoił ją podniesiony welon, podobnie jak niezajomy blask w jej oczach. Wszelkie pozostałości smutku znikły. Białka oczu były bardzo czyste. Ona i Emmitt też wstali.

– Muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie, bo zupełnie się na tym nie znam...

– Ależ oczywiście, słucham cię – Emmitt nieznacznie się skłonił.

– Postanowienia testamentu... czy zostaną upublicznione?

Emmitt zacisnął usta.

– Ostatnia wola to dokument jawny – wyjaśnił z wyraźną niechęcią. – Po potwierdzeniu jego autentyczności zostaje w rejestrze sądu i każdy, a szczególnie wierzyciel, ma prawo go przeczytać. Poza tym... – adwokat odchrząknął, wyglądał na zażenowanego. – Testamenty, które podlegają procedurze potwierdzenia autentyczności, zamieszcza się w gazetach z myślą o tych, którzy mogą rościć sobie prawa do spadku.

– Z wyjątkiem członków rodziny – skomentował Miles przez zaciśnięte zęby.

– Więc każdy, kto jest ciekaw szczegółów tego testamentu, może je poznać? – spytała

Darla.

Emmitt tylko skinął głową. Z dumnej sylwetki Darli wydawała się odpływać cała siła.

– A niech go! – krzyknął Miles, szarpiąc krzesło matki i stawiając je z boku, by mogła przejść.

– Ehm... Darla, jest jeszcze jedna rzecz, którą obiecałem Vernonowi – Emmitt odwrócił się do szafki, otworzył ją i wyjął niewielki, wąski wazonik z jedną czerwoną różą.

– Twój mąż prosił mnie, żebym ci to dał po przeczytaniu testamentu. Proszę, zatrzymaj flakon.

Darla wyciągnęła powoli dłoń w rękawiczce i odebrała od niego wąski wazonik. Dzieci uważnie ją obserwowały. Długo mu się przyglądała. Aż w końcu postawiła go na biurku Emmitta i wzięła sam kwiat.

– Zachowaj flakon – powiedziała z uśmiechem tak obcym, że wszyscy lekko się cofnęli.

– Chodźcie, dzieci.

Wychodząc z gabinetu zamaszystym krokiem, Darla Toliver wrzuciła różę do stojącego przy drzwiach kosza na śmieci.

Rozdział szósty

Gdy wracali do domu, w powozie zaprzężonym w arabskie rumaki panowała cisza. Mary wcisnęła się w swój kąt najmocniej, jak mogła. Wszyscy troje gapili się w wykonane z miki szyby tym samym ponurym wzrokiem, co cztery dni wcześniej, w drodze na pogrzeb Vernona Tolivera. Tamtego dnia Mary wyczuwała w powozie namacalną wręcz pustkę, dziś natomiast wypełniała go przerażająca, niewidzialna moc, zdolna oddzielić ją od matki i brata, a ich pozbawić pamięci o mężu i ojcu, którego oboje kochali.

Spojrzała na matkę. Znała legendę, więc rozumiała znaczenie tej czerwonej róży, którą ojciec w ten sposób jej przekazał, podobnie jak straszliwe znaczenie faktu, że matka wrzuciła różę do kosza. Patrząc zmartwiona na blade i surowy profil matki, Mary wiedziała, że ojcu nigdy nie zostanie wybaczone to, co zrobił.

A cóż takiego właściwie zrobił? Przecież zadbał jedynie o to, by plantacja i rodzinny dom pozostały w rękach Toliverów. W przypadku kłopotów finansowych lub ponownego wyjścia za mąż – które mogłoby wiązać się z przeprowadzką – matka na pewno sprzedałaby jedno i drugie. A zapisanie ziemi Milesowi zagwarantowałoby im obojgu utratę ojcowizny. Czyniąc spadkobierczynią ją, ojciec zachował majątek również dla potomków Milesa.

A skoro tak właśnie było, dlaczego matka jest taka zdenerwowana? A Miles? Z czasem może przecież zająć się swoją profesorską karierą. Pięć lat to znowu nie tak długo. A ona w tym czasie nie zmarnuje ani minuty, by nauczyć się wszystkiego, co tylko możliwe, żeby jak najlepiej zarządzać plantacją. Len Deeter na pewno jej pomoże. Był świetnym nadzorcą, uczciwym i pracowitym, lojalnym, oddanym rodzinie Toliverów i szanowanym przez dzierżawców. Czego nie zdążyła się nauczyć od dziadka i ojca, nauczy się od niego. Miles nie będzie musiał zostawać do jej dwudziestych pierwszych urodzin. Dwa lata powinny wystarczyć, potem wyśle go na uniwersytet, a dokumenty wymagające jego podpisu będą przysyłać pocztą. Do tego czasu pewnie zdoła przejąć pełną kontrolę w Somerset.

Późnym popołudniem Mary postanowiła przedstawić matce swoje argumenty w obronie ojca. Odnalazła Darlę w pokoju, który ta dzieliła wcześniej z mężem. Leżała na szezlongu, jej gęste, kasztanowe włosy nie były już upięte w kok, lecz luźno spadały na ramiona. Popołudniowe słońce, oświetlając pokój przez przezroczyście, żółte zasłonki, rzucało wokół mdławy blask. Mary ze smutkiem zastanawiała się nad znaczeniem jasnej, lawendowej podomki, którą włożyła matka – czy to znak odrzucenia? Nigdzie nie widziała czarnej sukni ani kapelusza, podobnie jak kwiatów, które przedtem stały przy ciele taty, a kiedy zabrano go z domu, kazała je zanieść na górę. Na schodach tego dnia mijała Sassie, jak akurat zносиła całe ich naręczce. Zapytała wtedy cała przerażona:

– Co to ma znaczyć?

– A jak się panience zdaje? – W głosie gospodyni usłyszała smutek. – Jedno mogę powiedzieć, mam przeczucie, że nic w tym domu już nigdy takie jak dawniej nie będzie.

Mary też miała takie przeczucie, gdy stała tam wtedy i z niepokojem patrzyła na leżącą na szezlongu matkę. W jej bladej zastygłej twarzy i zeszywnieniu ciała była jakaś obcość. Jakby ktoś wytrząs-nał z niej całe ciepło i energię. W lawendowej podomce leżała zimna i niedostępna kobieta, której nie znała.

– Pytasz, co innego mógł zrobić? – Darla powtórzyła pytanie Mary. – Powiem ci, córeczko. Mógł bardziej kochać mnie niż swoją ziemię. Oto, co mógł zrobić.

– Ale, mamusiu, ty byś ją sprzedała!

– A jeśli nie to – kontynuowała Darla z zamkniętymi oczami, jakby w ogóle nie słyszała

Mary – mógł przynajmniej podzielić swój majątek równo pomiędzy naszego syna i córkę. Ten skrawek ziemi, który odziedziczył Miles, jest zupełnie bez wartości, każdej wiosny go zalewa. Nic, co tam posadzisz, nie zdąży dojrzeć ani przed deszczem, ani po nim.

– Ale to wciąż część Somerset, a zresztą wiesz, że Milesowi nigdy nie zależało na plantacji.

– I wreszcie – Darla ciągnęła tym samym tonem – mógł wziąć pod uwagę moje uczucia, powinien pomyśleć o mnie i o tym, jak to będzie wyglądać w oczach naszych znajomych – że zostawia los żony w rękach swojej córki.

– Mamusiu...

Wciąż z zamkniętymi oczami Darla ciągnęła:

– Miłość twojego ojca była moim największym skarbem, Mary. Jakiż to był zaszczyt wyjść za niego, zostać wybraną spośród tych wszystkich kobiet, które mógł poślubić, nawet dużo ładniejszych ode mnie...

– Nikt nie jest ładniejszy od ciebie – szepnęła z trudem Mary, dławiąc się swoim smutkiem.

– Jego miłość dała mi życie, pozycję, sprawiła, że stałam się ważna. A teraz czuję, że to wszystko zwykła ułuda, coś, czym mogłam się cieszyć, dopóki żył. Wraz ze swoją śmiercią wszystko mi zabrał, wszystko, czym sądziłam, że byłam dla niego, a on dla mnie.

– Ale mamusiu...

Słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Nie chciały, ponieważ głęboko w swoim szesnastoletnim sercu Mary wiedziała, że matka mówi prawdę. W ostatecznym rachunku zachowanie plantacji okazało się dla ojca ważniejsze niż duma żony, jej uczucia i jej dobro. Zostawił ją praktycznie bez grosza, zależną od dzieci i na pastwę upokorzeń Howbutker.

Mary, która już wtedy nie tolerowała słabości, trudno jednak było winić matkę za to, że czuje się zdruzgotana i pusta, pozbawiona nawet wspomnień, które mogłyby przynieść pocieszenie. Łzy spływały jej po policzkach, gdy przyklęła tuż przy niej.

– Papa nie chciał cię zranić, mamusiu, wiem to na pewno.

I położyła głowę na kolanach matki, ale nawet gdy łzy przemoczyły już lawendową satynę, jakaś jej część, głęboko w środku, cieszyła się, że to jej przypadło Somerset i przysięgła, że choćby nie wiadomo ile bólu miało ją to kosztować, nigdy z niej nie zrezygnuje, nigdy jej nie odda. Nigdy. Wymyśli jakiś sposób, żeby wynagrodzić to matce... będzie ciężko pracować, żeby Somerset zarobiła na jedwabie i atłasy, które tak lubiła. Plantacja stanie się tak wielka i potężna, a nazwisko Toliverów tak wpływowe, że nikt nie odważy się zaryzykować najmniejszej uwagi na temat jej matki. Z czasem ludzie powoli zapomną o zdradzie Vernona Tolivera i przekonają się, że miał rację, zostawiając plantację jej. Wszyscy zobaczą, jakim szacunkiem darzą Darlę Toliver jej dzieci i wnuki, i w końcu ból przeminie.

– Mamusiu?

– Jestem tutaj, Mary.

Ale to nie była prawda, podpowiadała Mary intuicja. Już nigdy nie będzie tą matką, jaką ona i Miles dotąd znali. Mary dałaby wszystko, żeby znów zobaczyć ją w dawnej formie, normalną i jakże bliską, piękną i szczęśliwą, nawet w bólu. Wszystko oprócz Somerset, zaraz się poprawiła, sama zdziwiona tą poprawką, wyznaczającą granicę, do której przekroczenia nie potrafiła zmusić swojej miłości.

Tak jak ojciec.

Poczuła ukłucie w duszy – ogromne poczucie starty, jak wtedy, gdy ręka ojca wysliznęła się na zawsze z jej dłoni.

– Mamusiu, proszę, nie opuszczaj nas, nie zostawiaj nas! – Łkała, czując ogarniającą ją

histerię, gdy potrzasała apatycznym ciałem otulonym w niebieską satynę.

Wieczorem tego samego dnia, siedząc w półmroku salonu, Mary poczuła, że ktoś stoi w przystrojonych czernią drzwiach i obserwuje ją. Percy Warwick. Patrzył tym swoim spokojnym, poważnym wzrokiem, który interpretowała jako dezaprobatę. Miles pewnie zdążył już powiedzieć przyjaciółom o testamencie, a oni bez wątpienia podzielali jego zdanie na ten temat.

Stanowili trzyosobowe bractwo – Miles Toliver, Percy Warwick i Ollie DuMont byli nierozłączni już od kołyski, kontynuując przyjaźń swoich ojców i dziadków. Na cmentarzu Mary całą swoją uwagę skupiała na nich trzech. Stali obok siebie, ale jacyż byli różni. Ollie – niski, pulchny i wesoły, wieczny optymista. Miles – wysoki, szczupły, poważny, krzyżowiec rozpaczliwie poszukujący słusznej sprawy, za którą mógłby walczyć. I Percy, najwyższy z nich i najprzystojniejszy, rozsądny i rozważny... czuwający nad nimi Apollo. Poczwała chwilową zazdrość. Jakie ukojenie mogłaby przynieść tego rodzaju przyjaźń. Jej jedynymi przyjaciółmi byli ojciec i dziadek.

– Mogę wejść? – zapytał Percy. Jego głęboki głos odbił się echem w ciszy letniego zmierzchu.

– To zależy, co chcesz mi powiedzieć.

W jego uśmiechu zobaczyła znajome rozbawienie. Nigdy z Percym normalnie nie rozmawiali. Raczej ścierali się ze sobą. I tak było przez ostatnie kilka lat, w czasie wakacji i świąt, kiedy chłopcy przyjeżdżali z Princeton do domu. Podobnie jak Miles i Ollie, Percy w czerwcu skończył studia i pracował teraz w firmie ojca.

Roześmiał się delikatnie i wszedł do salonu.

– Zawsze mnie musisz prowokować. Zakładam, że nie życzysz sobie światła?

– Prawidłowe założenie.

Ale jest przystojny, pomyślała z niechęcią. Zmierzch zdawał się podkreślać blask jego blond włosów i głęboki, brązowy odcień skóry. Całe lato przepracował wśród drwali, co było widać w jego szczupłej, silnej sylwetce. Tam, na wschodzie spotykał mnóstwo dziewcząt, więc... delikatne blondynki, błękitna krew. Słyszała, jak Miles i Ollie śmieją się z jego podbojów.

Wróciła do swojej poprzedniej pozycji, opierając głowę o fotel i zamykając oczy.

– Czy Miles już wrócił? – W jej głosie dźwięczały smutek i zmęczenie.

– Tak. Poszli z Olliem na górę sprawdzić, jak się czuje wasza mama.

– Domyślam się, że wiesz już o testamencie. I oczywiście nie pochwalasz go?

– Oczywiście. Twój ojciec powinien zostawić dom i plantację twojej matce.

Mary uniosła głowę, była zła i zaskoczona. Percy wypowiadał się zwykle powściągliwie, rzadko wygłaszał swoje opinie tak otwarcie. Jeśli sprawa nie dotyczyła go osobiście, nigdy nie mówił, kto co powinien.

– A kim ty jesteś, żeby mówić, co powinien zrobić mój ojciec?

Podszedł do niej i stanął obok fotela. Ręce miał w kieszeniach, jego twarz pozostawała w półmroku, przyglądał się jej poważnie.

– Kimś, komu bardzo zależy na tobie, twoim bracie i twojej matce. Oto kim jestem.

To zdanie przebiło jej gniew tak jak strzała gardło nadymającego się węża. Odwróciła głowę, mrugając gwałtownie powiekami i przelękając z trudnością ślinę, znów bliska łez.

– Skoro tak, to proszę cię, zachowaj swoją opinię dla siebie. Mój ojciec wiedział, co robi, a twierdzenie teraz czegoś odwrotnego tylko pogarsza sprawę.

– Mówisz tak, żeby bronić ojca czy z powodu poczucia winy, że pamiętał tylko o tobie?

Zawahała się, mając ochotę – wręcz pragnąc – powiedzieć mu prawdę, ale obawiała się, że jeszcze bardziej ją potępi.

- A co... myśli mój brat? – zapytała, unikając odpowiedzi.
- Że nie posiadasz się z radości, że Somerset należy do ciebie.

No i proszę. Wszyscy znają zdanie mojego brata, myślała, i ta wiedza raniła ją jak nóż. Tak bardzo się starała ukryć wewnętrzną euforię, a jednak nie nabrała Milesa ani matki, którzy ją za to zniechęcają. Zła, z piekącymi od łez oczyma, jednym szybkim ruchem wstała z fotela i stanęła przed ogromnym oknem. Wschodził blady księżyc. Po chwili rozpuścił się przed jej oczami w srebrny strumień.

– Cyganeczko... – usłyszała jego szept i zanim się zorientowała, podszedł i przytulił jej zalaną łzami twarz do swojej koszuli. Na głowie czuła jego podbródek. Nie minęło kilka sekund, a już bełkotała w jego krawat.

– Miles uważa, że t-ten testament to... to moja wina, prawda? I mama też. Straciłam ich, Percy, tak samo jak straciłam papę.

– Mary, to był dla nich ogromny szok – mówił, głaszcząc jej włosy. – Twoja mama czuje się zdradzona, a Miles jest zły ze względu na nią, nie na siebie.

– Ale... ale przecież ja nie jestem winna temu, że papa zapisał mi plantację. Co mogę za to, że kocham Somerset? Nic. Tak samo jak mama i Miles nic za to nie mogą, że jej nie kochają.

– Tak, wiem – powiedział ciepłym i pełnym zrozumienia głosem. – Ale przecież możesz naprawić to, co się stało.

– Jak? – spytała, podnosząc głowę, by usłyszeć jego mądrą radę.

– Gdy tylko skończysz dwadzieścia jeden lat, możesz sprzedać Somerset i sprawiedliwie podzielić pieniądze.

Gdyby zobaczyła nagle węże wyskakujące z głowy Percy'ego, nie byłaby bardziej zaskoczona. Odsunęła się od niego.

– Sprzedać Somerset? – patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Mam sprzedać Somerset, żeby ułagodzić mamę i Milesa?

– Sprzedać Somerset, żeby uratować swoje relacje z nimi.

– Więc muszę kupować ich uczucia?

– Odwracasz kota ogonem, Mary. Albo żeby ulżyć swojemu sumieniu, albo jesteś tak zaślepiona tą obsesją, że nie potrafisz już dostrzec rzeczywistej przyczyny cierpienia swojej matki i brata.

– Ależ ja ją dostrzegam bardzo wyraźnie! – krzyczała Mary. – Wiem, jak się czują mama i Miles! Tylko że nikt z was nie widzi, że muszę spełnić ostatnie życzenie ojca.

– Nie mówił nic o tym, żebyś nie sprzedawała ziemi, kiedy będziesz już pełnoletnia.

– A czy zostawiłby mi ją, gdyby pomyślał, że mogę ją sprzedać?

– A co będzie, kiedy przyjdzie pora na małżeństwo i twój mąż nie będzie chciał dzielić się tobą z plantacją?

– Nigdy nie poślubiłabym kogoś, kto nie rozumie i nie wspiera mnie w moich uczuciach do Somerset.

Percy zamilkł na te słowa. Wstążka zsunęła się jej z włosów i spadła na podłogę. Percy schylił się po nią i złożył na pół, a potem przewiesił jej przez ramię.

– Skąd możesz wiedzieć, że nie pokochasz człowieka, który nie czuje do Somerset tego, co ty? Przecież w ogóle nie znasz świata poza Howbutker. Nie miałaś do czynienia z niczym poza plantacją. Dotąd byłaś tylko Toliverem. Twoje doświadczenia są bardzo ograniczone, Mary.

– Mnie w zupełności wystarczają.

– Nie możesz wyciągać takich wniosków, dopóki nie porównasz ich z czymś innym.

– Owszem, mogę. Zresztą, tak czy inaczej, mało prawdopodobne, żebym kiedykolwiek miała okazję do takich porównań, prawda?

Usłyszeli, jak Miles i Ollie schodzą ze schodów. Ku swojemu zaskoczeniu Mary uświadomiła sobie, że wolałaby zostać z Percym sama, bo, musiała to przyznać, już tęskniła za kojącym dotykiem jego ramion. Nigdy wcześniej nie była tak blisko niego. Nie wiedziała też, że ma mały pieprzyk poniżej lewej brwi i intrygujące srebrne obwódki wokół źrenic.

– Nigdy mnie nie akceptowałeś, prawda? – zadała nagle pytanie, zupełnie tego nie planując.

Brwi Percy'ego uniosły się.

– „Akceptowałeś” to nie jest właściwe słowo – powiedział.

– No więc, nie lubiłeś mnie.

Mary wstrzymała oddech, czekając na potwierdzenie.

– To też nie to.

– Więc jakie jest to właściwe słowo?

Policzki ją paliły, ale postanowiła się wreszcie dowiedzieć, co o niej myśli. Potem może się wypchać, a ona nie będzie się już nad tym zastanawiać. Nie będzie już jej to ciekawilo.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, wszedł Miles, a za nim sapiący Ollie.

– Tutaj jesteś! – odezwał się jej brat i przez ułamek sekundy Mary miała nadzieję, że to jej szukał. Ale jemu chodziło o Percy'ego, zorientowała się od razu, gdy brat zwrócił się do przyjaciela.

– Nie wiedziałem, czy już nie wyszedłeś. Zostaniecie na kolację? Jest mnóstwo jedzenia, ale Sassie chciałyby wiedzieć.

– Ja nie mogę – odparł Ollie, spoglądając na Mary, jakby bardzo tego żałował.

Uśmiechnął się do niej serdecznie, a ona odpowiedziała mu ciepłym spojrzeniem.

– Ja niestety też nie mogę – dodał Percy. – Spodziewamy się gości i mama chce, żebym wystąpił w roli gospodarza.

– Kto to taki? – zapytał Miles.

– Córnica koleżanki mamy z czasów Atlanty, razem mieszkały w Bellington Hall.

Przyjeżdża z ojcem. Na jesień dziewczyna ma tam rozpocząć naukę, a jej matka nie żyje, więc chce porozmawiać z mamą.

– A przynajmniej taki jej ojciec wymyślił pretekst, żeby ją tutaj przywieźć – odezwał się Ollie, puszczając oko do Milesa.

– No cóż, zapobiegliwy tatuś ma chyba jakieś inne, niecne zamiary, a mama też uważa, że to podstęp – przyznał Percy. – Ale z drugiej strony, większość matek wierzy, że każda dziewczyna chce usidlić jej syneczka.

Jest jedna dziewczyna, o którą Beatrice Warwick nie musi się martwić, pomyślała Mary, czując irytujące ukłucie zazdrości o tę dziewczynę, która zje dziś kolację z Percym. Umyślnie więc odwróciła się do Olliego i złapała go za rękaw.

– Ollie, a może jednak zostaniesz? Przydałoby nam się dziś twoje wesołe towarzystwo.

– Bardzo bym chciał, Mary Lamb, ale muszę pomóc ojcu w sklepie z letnią inwentaryzacją. Może jutro, jeśli zaproszenie będzie aktualne.

– Dla ciebie, Ollie, zawsze będzie aktualne.

Jeśli Percy zauważył swoje wykluczenie ze sfery jej zainteresowań, to nie dał tego po sobie poznać. Za to na jego twarzy pojawił się znajomy uśmiech.

– Cyganeczko, skończymy naszą rozmowę innym razem. Pamiętaj, na czym przerwaliśmy.

– Jeśli tylko nie zapomnę – odparła Mary, czując wzbierającą złość na to przezwisko, którego nie cierpiała i on dobrze o tym wiedział.

– Na pewno nie zapomnisz.

– A ta dziewczyna... jak się nazywa i jaka w ogóle jest? – pytał Miles, wychodząc za przyjaciółmi z pokoju.

– Lucy Gentry, całkiem, całkiem. Za ojcem nie przepadam.

Tylko tyle usłyszała, bo potem doszli do drzwi. Spoglądała za nimi przez okno salonu. „Chłopcy”, jak o nich mówiono, szli do swoich nowiutkich samochodów marki Pierce-Arrow, prezentów od ojców z okazji ukończenia studiów. Kiedy w czerwcu Miles wrócił z uniwersytetu, był zaskoczony, że i na niego podobny nie czeka w stajni, jeszcze nieprzebudowanej na garaż, gdyż jak dotąd Toliverowie nie posiadali powozów, których nie ciągnęłyby konie. Teraz rozumiał, dlaczego dostał jedynie wielotomową encyklopedię w pięknej oprawie, która na pewno przyda mu się w karierze nauczyciela historii.

Dziwne przygnębienie jeszcze bardziej wzmogło jej smutek. Szkoda, że nie mogli skończyć tej rozmowy z Percym. Ona na pewno do niej nie wróci, a on zapomni o tym, zanim wycofa z podjazdu. Nigdy się nie dowie, jak brzmi to słowo, które wybrałby, by opisać, co do niej czuje. Ale mogła się domyślić. To litość – litość dla niej, że jest jedną z Toliverów i że zbyt poważnie traktuje sprawy dziedzictwa swoich przodków. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Percy podchodził do tego tak lekko. Był jedynym spadkobiercą i powinien zatroszczyć się o spuściznę po swoich rodzicach. Ollie, choć wesoły i kochany jak to on, podchodził do tych spraw dużo poważniej. Irytowała ją pogarda Percy’ego dla, jak to nazwał, jej obsesji na punkcie Somerset, bo sam po prostu nie był zdolny do podobnych uczuć dla własnej rodzinnej firmy – Kompanii Drzewnej Warwicków.

No cóż, tak to się kończyło, kiedy ludzie nie potrafili uszanować swoich prawdziwych korzeni albo wręcz odcinali się od nich. Warwickowie i Toliverowie przybyli do Teksasu jako plantatorzy bawełny, ale rodzina Percy’ego właściwie od razu zajęła się przemysłem drzewnym, podczas gdy Toliverowie pozostali wierni swojemu powołaniu – teraz w pełni to rozumiała. Percy traktował firmę jako sposób zarabiania pieniędzy. Dla niej Somerset była sposobem na życie.

Zadowolona z tego rozróżnienia poszła do jadalni, w której na wielkim mahoniowym stole jak zwykle przygotowano nakrycia dla niej i dla Milesa. Jej brat już tam siedział. W gorącym żółtym blasku naftowych lamp jedli w milczeniu, wycofani i zamknięci w sobie, podzieleni. Nieobecni rodzice wypełniali krzesła po obu stronach stołu jak przygnębione duchy. Kto to jest ta Lucy Gentry, zastanawiała się Mary, wmuszając w siebie jedzenie. I czy rzeczywiście chciała usidlić Percy’ego, jak podejrzewała jego matka?

Rozdział siódmy

– Mary, czy mogę cię prosić na chwilę do gabinetu?

Zaskoczona Mary podniosła wzrok znad fasolki, którą obierała ze strąków wprost na fartuch. Miles stał w drzwiach kuchni.

– Oczywiście – odparła niepewnym tonem. Ostatnio był dla niej taki szorstki, taki niepodobny do delikatnego i droczącego się z nią brata, jakiego znała dotychczas. Chcąc go zadowolić, przesyłała fasolkę z fartucha do kosza na kolanach Sassie. Obydwie uniosły brwi, wymieniając zdziwione spojrzenia. Przez cały zeszły miesiąc gospodyni wielokrotnie zauważała, że sposób, w jaki pan Miles odnosi się do swojej młodszej siostry, „woła o pomstę do nieba”.

Posłusznie szła za bratem do pokoju przy bibliotece, skąd ich ojciec zarządzał plantacją. Miles zaczął go teraz nazywać „gabinetem”, wcześniej był to po prostu „pokój papy”. To jeden z wielu szczegółów dotyczących plantacji, który ją martwił. Brat zniknął nie wiadomo gdzie z czerwonymi księgami rachunkowymi plantacji pod pachą. Mary chciała zażądać, żeby jej je pokazał, ale nie odważyła się. To nie był dobry moment na dopominanie się o swoje prawa – by przedstawił jej, jak zamierza zarządzać Somerset. Obawiała się, że Miles może wprowadzić w życie swoje teorie, które wcześniej wywoływały między ojcem a synem tak wiele kłótni przy rodzinnym stole.

Vernon Toliver wierzył, że właściciel ziemski powinien ściśle kontrolować wszystko, łącznie z tym, jak jego dzierżawca traktuje żonę, a także jak obchodzi się z koniem. Syn był przeciwny takiemu podejściu do drugiego człowieka, twierdząc, że jest ono złe i despotyczne, podobnie jak cały ten system dzierżawy. Vernon Toliver nie widział nic złego w tym, że właściciel ziemski dzierżawi swoją ziemię ludziom zbyt biednym, by mogli pozwolić sobie na własną farmę, w zamian za część ich zbiorów. Zło pojawiało się w momencie, kiedy ludzie ci nie zostali właściwie za swoją pracę wynagrodzeni oraz jeśli właściciel nie dotrzymał wszystkich warunków umowy. Nie odpowiadał za postępowanie innych plantatorów. Nie miał mocy naprawiać nadużycia całego systemu. Mógł jedynie na swoim przykładzie pokazać innym, jak powinien on działać. Czyżby Miles nie zauważał, że dzierżawcy w Somerset byli najlepiej ubrani, odżywieni i w ogóle zaopatrzeni pod każdym względem? Najsprawiedliwiej traktowani ze wszystkich w całym wschodnim Teksasie?

Miles argumentował, że i tak pozostają chłopami pańszczyźnianymi, a oni ich panami, których tamci boją się jak samego Boga. Powinno powstać prawo, które pozwoliłoby zaliczać czynsze na poczet wartości ziemi, którą uprawiają. W momencie gdyby zapłacili całość, mogliby płacić właścicielowi tylko opłatę za prawo eksploatacji gruntu.

Mary widziała, jak przy tego rodzaju propozycjach twarz jej ojca bladła.

A teraz to ona odczuwała podobny odpływ krwi na myśl, że Miles może zechcieć udowodnić, iż łagodniejsze traktowanie dzierżawców wszystkim przyniesie korzyść. Już za niecały miesiąc żniwa i potrzebowali teraz każdego centa, by spłacić hipotekę. Bardzo chciała porozmawiać z Lenem, ich nadzorcą, ale Miles codziennie zabierał i powóz, i araby, zostawiając w stajni jedynie starą klacz niezdolną już dojść do plantacji. Nie mogła się doczekać, żeby w końcu zobaczyć, jak ojciec prowadził księgi, ale kiedy nie miał ich brat, znajdowały się w zamkniętej szufladzie. Tylko Miles miał klucz.

Kochała swojego brata, ale powoli zaczynała postrzegać go jako wroga wszystkich jej marzeń i nadziei, a w szczególności wroga pamięci i woli ojca. W posiadłości Toliverów powstały dwa obozy. Po swojej stronie miała tylko Sassie. Cała reszta – służba, matka i wszyscy ich znajomi oprócz neutralnego Olliego – stanęli po stronie Milesa. Boże, przebaczone, ale miewała

takie myśli, w których życzyła bratu czegoś złego, żeby jakiś niezbyt groźny wypadek zmusił go do oddania zarządu plantacji w jej ręce. Jeśli nie to, miała nadzieję, że wkrótce znudzą go te nowe obowiązki i uświadomi sobie, że nie ma do tego smykałki.

– Chodzi o mamusię? – zapytała, siadając przed wielkim sosnowym biurkiem, które w 1865 roku Robert Warwick sprezentował Jamesowi Toliverowi.

– Nie, chodzi o ciebie – odparł Miles nauczycielskim tonem, który zaczął przybierać, odkąd stał się panem domu. Usiadł za biurkiem jak jakiś profesor, oparł się na łokciach, splatając długie szczupłe palce, sztywny jak nakrochmalone mankiety jego koszuli. – Mary, na pewno zgodzisz się ze mną, że wszyscy przeżywamy teraz bardzo trudny czas.

Mary kiwnęła głową. Zbierało się jej na płacz, gdy pomyślała, ile ciepła było kiedyś między nimi.

– Coś się naszej rodzinie przydarzyło, coś co wykracza poza smutek z powodu śmierci papy. Zresztą, taki smutek powinien nas połączyć. A w tym przypadku testament papy sprawił, że i w mamie, i we mnie w ogóle nie zostało dla papy zbyt wiele dobrych uczuć. Jesteśmy rozgoryczeni i rozczarowani. Mama czuje się upokorzona. Żadne z nas nie potraktowało cię sprawiedliwie, zdaję sobie z tego sprawę. Właściwie zmusiliśmy cię, żebyś czuła się winna za to, co się stało i tego bardzo żałuję, Mary, naprawdę. Jednak prawda jest taka, że za każdym razem, gdy na ciebie spojrzę, nie mogę się oprzeć odczuciu, że jakiś sposób jesteś odpowiedzialna za treść tego testamentu.

– Miles...

Brat podniósł dłoń.

– Pozwól mi skończyć, potem ty będziesz mówić. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem tej plantacji, ale powinna ona przypaść mamie, żeby miała prawo ją zatrzymać lub sprzedać. To ją papa powinien postawić na pierwszym miejscu, a nie Somerset, i nie ciebie. Oboje tak to czujemy, prosto i jasno. Widzimy też, że ciebie bardzo cieszy decyzja ojca.

– Tylko dlatego, że mogę zająć się naszą ojcowizną – przerwała mu Mary. – Zadbam o mamusię. Nigdy niczego jej nie zabraknie.

– Mary, na Boga, mama nie chce twojej jałmużny. Czy ty naprawdę tego nie rozumiesz? Postaw się w jej sytuacji. Jak byś się czuła, gdyby twój mąż postawił na pierwszym miejscu twoją córkę i zostawił cię na jej łasce?

– Nie wyrzekłabym się córki za coś, co zrobił mój mąż! – krzyczała, z bólem myśląc o tym, że ilekroć wchodziła do pokoju matki, ta odwracała twarz do ściany.

Miles uniósł ręce.

– Przykro mi, że tak się czujesz, naprawdę.

– Wiesz, Miles, przez ten cały miesiąc na pewno mogłam się czuć lepiej, gdybym miała choć odrobinę matczynej i braterskiej miłości. Tak strasznie brakuje mi papy...

– Wiem, Mary – powiedział Miles, na chwilę łagodniejąc – ale to wszystko nie ma nic wspólnego z powodem, dla którego cię tutaj poprosiłem. Chcę, żebyś wysłuchała mnie do końca, zanim zerwiesz się z krzesła i każesz mi iść do diabła. Dobrze ci radzę, rozumiesz?

Mary rozumiała. Znaczące spojrzenie Milesa przypominało jej, że to jego ustanowiono powiernikiem, a więc przez pięć lat i ona, i plantacja są na jego łasce.

Gdy skinęła głową, Miles odchylił się w swoim zniszczonym fotelu i znów przyjął mentorską pozę.

– Uważam, że dobrze by było, gdybyście przez jakiś czas nie widywały się z mamą. I dlatego zamierzam wysłać cię do szkoły dla dziewcząt. Znalazłem jedną w Atlancie i myślę, że będzie w sam raz. Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy z tych zapisanych mi przez dziadka Thomasa, wystarczą, by opłacić rok nauki.

Mary patrzyła na niego oniemiała, niedowierzając własnym uszom. Chciał ją wysłać do tego miejsca, gdzie uczęszczała kiedyś pani Beatrice... tak daleko od plantacji...

– Nazywa się Bellington Hall – kontynuował Miles, zupełnie nie reagując na widoczną rozpacz siostry. – Kończyła ją Beatrice Warwick. Może pamiętasz, jak Percy wspomniał o tym w związku z ich gościem, Lucy Gentry. Szkoda, że nie chciałaś się z nią wtedy spotkać, bo będziecie mieć wspólny pokój.

Nadal nie mogła wydusić z siebie słowa – tak była przerażona.

– Wyjedziesz za trzy tygodnie, wtedy zaczyna się semestr zimowy. Powiem Sassie, żeby przygotowała twoje rzeczy.

W końcu odzyskała głos. Czują, jakby paliły się jej wnętrzności, jakby ktoś podłożył jej w brzuchu ogień.

– Miles, proszę cię, nie odsyłaj mnie. Muszę tu zostać i pomóc Lenowi z plantacją. Im szybciej i im więcej się nauczę, tym lepiej. Nie potrafię żyć poza Howbutker. Razem z mamusią rozwiążemy jakoś tę sytuację.

– Jedynym sposobem rozwiązania tej sytuacji jest twoja zgoda na to, żebym sprzedał plantację. – Miles pogroził jej palcem, widząc, jak uderza rękami o oparcia fotela z wyraźnym zamiarem zlekceważenia jego wcześniejszego ostrzeżenia. – Ponieważ jesteś nieletnia, nie możesz sama sprzedać ziemi, ale ja jako pełnomocnik mogę. Oczywiście nigdy nie zrobiłbym tego wbrew twojej woli i papa dobrze o tym wiedział.

Mary skoczyła teraz na równe nogi, w uszach słyszała swoją pulsującą krew.

– Kategorycznie odmawiam mojej zgody!

– Jestem tego w pełni świadomy, siostrzyczko. A więc... wyjeżdżasz do Bellington Hall.

– Nie możesz mi tego zrobić.

– Mogę i zrobię.

Mary gapiała się na niego, jakby mu właśnie wyrosły rogi. To się nie działo naprawdę. Niemożliwe, żeby jej brat był tak okrutny...

– To Percy poddał ci ten pomysł, żeby sprzedać plantację, prawda? Czy Bellington Hall też on wymyślił?

Miles wykrzywił usta.

– Wyobraź sobie, że sam potrafię podejmować decyzje dotyczące mojej rodziny. Percy w ogóle nie wspominał o sprzedaży plantacji, a o Bellington Hall dowiedziałem się od jego matki. Gdyby akurat ta się nie trafiła, znalazłbym inną. A teraz siadaj!

Mary cofnęła się na swój fotel.

– Popelniasz wielki błąd...

– Już zdecydowałem, Mary. Nie chodzi mi teraz o ciebie, tylko o mamę. Ty możesz się pocieszać myślą, że w dniu dwudziestych pierwszych urodzin ziemia będzie twoja. Mama nie ma nic na pocieszenie. Więc pojedziesz do Bellington i dasz jej szansę, by pogodziła się z tą niesprawiedliwością i uporządkowała, wybaczone, swoje uczucia w stosunku do ciebie. Może twoja nieobecność spowoduje, że znów staniesz się jej bliższa. Twoja obecność na pewno w tym nie pomoże.

Słowa były tak ostre, a sposób, w jaki je wypowiadał tak szorstki, że mogłyby rozłupać lód. Nogi się pod nią ugięły, opadła na fotel. Czy chciał przez to powiedzieć, że jeśli zostanie, to mama już nigdy nie będzie jej kochać? Ależ to absurd. Była jej córką. Matki mogą czasami mniej lubić swoje dzieci, ale nie mogą przecież przestać ich kochać na zawsze, prawda? Poczuli się bardzo opuszczona, jakby miała tylko jedną rękę i musiała bronić się nią przed atakiem watahy wilków. Objęła się ramionami.

– A jeśli nie zgodzę się wyjechać?

Miles nieznacznie się uśmiechnął.

– Chyba wolałabyś nie usłyszeć konsekwencji takiej decyzji.

– Trudno, powiedz.

Brat pochylił się nad biurkiem i wbił wzrok w jej zbuntowaną twarz.

– Wtedy pieniądze, które mam po dziadku, przeznaczę na zabranie mamy do Bostonu, gdzie bez problemu otrzymam posadę nauczyciela. Mam tam mnóstwo znajomych wśród starszych, nieżonatych dżentelmenów – bogatych przedsiębiorców, którzy nie zawahają się ani chwili, by oświadczyć się naszej mamie. Możliwe więc, że w błyskawicznym tempie wyjdzie ponownie za mąż, zostawiając tę – zatoczył ręką, wskazując na dom i wszystko, co sobą reprezentował – nieprzyjemną pamiątkę za sobą. I za mną. Mam prawo do własnego życia, a mama do tego, by odbudować swoje. Jeśli z tego względu nie będę mógł służyć pomocą jako pełnomocnik... no cóż, trudno. Sprzedam też ten kawałek należący do mnie, zyskując w ten sposób dodatkowe fundusze. Przyrzekam ci, Mary, że jeśli w tej dramatycznej sytuacji odmówisz współpracy, zrobię właśnie tak, jak powiedziałem.

Bardzo powoli Mary opuściła ręce, zdając sobie sprawę z zakresu władzy brata. To nie była czcza pogroźka. Miles wymyślił już dla matki wyjście alternatywne. Tylko bardzo cienka nić lojalności wobec Somerset, ojca i wobec niej powstrzymywała go przed zabranie jej do Bostonu. Dobrze wiedział, że nawet bez obciążonej hipoteki pozostawienie jej i Lena bez Tolivera mężczyzny i jego podpisu byłoby dla Somerset zgubą. Wywiezienie matki skalałoby ich nazwisko. Potwierdziłoby plotki, że Vernon Toliver, zapisując wszystko córce, rzeczywiście wyrządził krzywdę swojej żonie.

Raz jeszcze Miles rozparł się wygodnie, zahaczając koniuszkami palców o kieszonki swojej kamizelki.

– No więc? – pytał, zarozumiale unosząc brwi.

Mary wciąż jeszcze nie chciała się poddać.

– Tę działkę nad rzeką i tak możesz sprzedać. Co niby cię powstrzyma?

Miles milczał przez chwilę.

– Życzenie papy, żebym zostawił ją dla mojego syna.

Łzy napłynęły bez ostrzeżenia i wszystko stało się nagle rozmazane.

– Miles, co się z nami stało? Przecież byliśmy razem tacy szczęśliwi.

– Plantacja się stała – odpowiedział jej brat, wstając i dając tym samym znak, że rozmowa skończona. – Ta plantacja to przekleństwo dla każdego, kto ma na jej punkcie obsesję. Zawsze tak było i jestem skłonny uwierzyć, że zawsze tak będzie. Obsesja na punkcie tej ziemi powoduje, że dobrzy ludzie, tacy jak nasz ojciec, wypierają się kochającej żony i dzielą rodzinę. Wiedział, co robi. Dlatego prosił mamę o przebaczenie.

Mary, obchodząc biurko, podeszła do brata i spojrzała na niego przez łzy.

– Miles, tak bardzo was kocham, ciebie i mamę.

– Wiem, Mary Lamb, mnie też brakuje naszej rodziny, tej, którą tworzyliśmy wszyscy razem. A szczególnie brakuje mi mojej siostrzyczki. Mamie też, tego jestem pewien. Zresztą, tak samo jak chłopcom. Byłaś dla nas taka cenna.

Łzy się przelały.

– Byłaś? Więc... już nie jestem?

– No, chodzi o to, że... że stałaś się takim... takim Toliverem.

– I to jest złe?

Miles westchnął.

– Znasz moją odpowiedź. Naprawdę źle będzie, jeśli ucierpisz z powodu klątwy, o której papa wspominał w liście.

– Co to za kłątwa? Nigdy o niej nie słyszałam.
– Wiąże się dziećmi. Żaden z właścicieli Somerset nie doczekał się licznych potomstwa, albo nie wychował licznych potomstwa – wyjaśnił oschle. Odwrócił się i wziął z półki oprawioną w skórę książkę. – Możesz tu o tym przeczytać. To drzewo genealogiczne naszej rodziny. Znalazłem ją wśród dokumentów papy. Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. A ty?

– Nie. Papa nigdy o tym nie mówił – Mary przeczytała tytuł na starej okładce:
– Toliverowie: historia rodziny od 1836.
– Papa się bał, że przekazując ci ziemię, skazuje cię na to, że nigdy nie urodzisz dziecka, albo że jeśli urodzisz, nie będzie ono długo żyć. Dopóki nie pojawiliśmy się na świecie my, nigdy nie przetrwał więcej niż jeden Toliver, który mógłby dziedziczyć Somerset, ale kto wie? Nasza młodość nie dobiegła jeszcze końca – w jego oczach dostrzegła błysk. – Dziadek Thomas to jedyny Toliver ze swojego pokolenia, który przeżył, podobnie jak papa. Po przeczytaniu tego zrozumiesz, co miał na myśli... i dlaczego się martwił.

Poczuła się nieswojo. Nigdy nie myślała o tym dziwnym zrzędzeniu losu, że i dziadek, i ojciec byli jedynymi spadkobiercami Somerset. Każdy z nich miał kilkoro rodzeństwa i wszyscy od dawna nie żyją. Gdzie podziewała się ta książka przez te wszystkie lata? Czy tata specjalnie ją przed nią ukrywał – przed nią, wyznaczoną na kontynuatora rodzinnej tradycji?

Chłodne palce Milesa skierowały jej podbródek w górę.

– No więc jak? – powiedział łagodnie – Pojedziesz do Bellington Hall?

Czuła, z jaką trudnością odpowiedź wydobywa się jej z płuc.

– Tak.

– To dobrze. A więc ustalone.

Poprawił mankiety i usiadł z powrotem za biurkiem, na znak, że rozmowa dobiegła końca.

– Lucy mówi, że na pewno spodoba ci się w Bellington Hall – dodał Miles, gdy już wychodziła.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Jaka ona jest?

– Nie tak ładna jak ty, jeśli o to pytasz.

Zaczerwieniła się.

– Oczywiście, że nie o to!

– Akurat. Pewnie, że o to. Jest niska i drobna, ale okrągła jak piłka we wszystkich właściwych miejscach. Słodka, można powiedzieć. Lubię ją, ale tobie chyba nie przypadnie do gustu. Dlaczego się z nią nie spotkałaś, kiedy tu była?

– Jestem w żałobie, Miles, jeśli tego nie zauważyłaś.

– Kotku, to naprawdę poniżej twojej godności. Zwyczajnie byłaś zazdrosna, że Percy poświęca jej tak dużo czasu.

– Co za bzdura – odparła pogardliwie Mary. – Skoro jej nie polubię, to dlaczego mamy wspólny pokój?

Miles zamoczył pióro w kałamarzu.

– Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej dla was obu – odpowiedział, pisząc.

– Kto uznał? Ty? Percy? Jego matka?

– Beatrice i Percy nie biorą w tym udziału. Lucy zaproponowała to, kiedy usłyszała, że myślę o wysłaniu cię do Bellington, a ja zdecydowałem, że to dobry pomysł. Możecie uważać jedna na drugą. Poza tym macie ze sobą wiele wspólnego. Obydwie nie jesteście zbyt zamożne, więc nie trafisz na kogoś, kto będzie kłuł cię w oczy bogactwem. No i jesteście w tym samym wieku. Naprawdę świetny układ. Rozmawiałem już z dyrektorką.

Mary, wściekła, zgromiła brata wzrokiem, ale on ostentacyjnie pochylił głowę nad listem. Czy wszyscy mężczyźni byli tak głupi, czy tylko Miles? Wiele wspólnego, też coś! Słyszała od Sassie, której powiedziała to kucharka Warwicków, że dziewczyna zakochała się w Percym na zabój. Tylko on łączył ją z Lucy Gentry. Dziewczyna chciała dzięki niej pozostać w kontakcie z Warwick Hall.

– Jeszcze coś? – zapytał Miles, jakby już nią zmęczony.

Ta chwila czułości, której zaznała przed momentem, już minęła, pozostał tylko popiół w palenisku. Mary czuła teraz do brata jedynie przerażającą niechęć. Przyciskając książkę do piersi, szarpnęła klamkę, nie odpowiadając.

– Miłej lektury, siostrzyczko – zawołał za nią Miles, gdy z trzaskiem zamykała drzwi – Mam nadzieję, że cię to nie zdenerwuje.

Jeszcze raz zajrzała do gabinetu, wtykając w drzwi tylko głowę.

– Na pewno nie, bo nie wierzę w żadne klątwy. Mam zamiar mieć mnóstwo dzieci.

– Poczekamy, zobaczymy – odparł na to Miles.

Mary zaniósła książkę do swojego pokoju i usiadła przy oknie, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Stare skórzane okładki połączono rzemieniem przechodzącym przez dwie dziurki i związanym w ciasny węzeł. Mary aż się wyprostowała, czując nagle dziwny strach, po czym otworzyła książkę.

Znała niektóre z podanych w niej faktów. O innych nigdy nie słyszała. Silas Toliver, pradziadek Mary i patriarcha teksańskiego odłamu rodziny, urodził się w 1806 roku. Przybył do Teksasu jako trzydziestolatek wraz żoną i synem Joshua. Rok później, w roku 1837, urodził się drugi syn, Thomas, ukochany dziadek Mary. Joshua zginął, spadając z konia, w wieku lat dwunastu. Jego brat przejął Somerset w 1865 roku, po śmierci Silasa. W tym samym roku został dumnym ojcem małego Vernona, ojca Mary. Później miał jeszcze jednego syna i córkę. Żadne z nich nie dożyło do czasu, gdy Vernon, jako dwudziestoosmiolatek, przejmował plantację. Brat zmarł, gdy miał piętnaście lat, wskutek ukąszenia mokasy na błotnego, a siostra odeszła w wieku lat dwudziestu w następstwie komplikacji po porodzie jedyne swojego dziecka. Płód był martwy. Vernon został więc jedynym spadkobiercą.

W kronice zamieszczono wyblakłe już zdjęcia wszystkich członków rodziny. Mary im się przyjrzała. Wyglądali na zdrowych i zadowolonych. Ich śmierć, w każdym przypadku, była nagła i niespodziewana. Jednego dnia żyli, a drugiego już nie. W odruchu współczucia dla ich rodziców i pozostałych przy życiu braci Mary gwałtownie zamknęła książkę i schowała ją w szufladzie komódki. Potem, żeby otrząsnąć się z tych smutnych myśli, zdjęła fartuch i sukienkę i stanęła przed dużym lustrem. Widok ją zadowolił. Być może nie była drobna, słodka i zaokrąglona we właściwych miejscach, ale wiedziała, że jest atrakcyjna i że jej wysokie, jędrne ciało stworzone zostało do rodzenia dzieci. Miesiączki pojawiały się regularnie jak w zegarku. Będzie miała liczne potomstwo – Miles nie powinien w to wątpić. Jej ojciec – niech spoczywa w pokoju – niepotrzebnie się martwił, że zapisując jej Somerset, naraża ją na bezdzietność lub przedwczesną śmierć dzieci. W cokolwiek wierzył ojciec czy sugerowała książka, nie istniała żadna klątwa Toliverów. Tragedie, które dotknęły jej przodków, w tamtych czasach należały do codziennych. Percy i Ollie też byli jedynymi spadkobiercami swoich rodziców. Czy oni również zostali przeklęci? Oczywiście, że nie. Przesunęła rękami po gładkiej i napiętej skórze od pełnych piersi do szczupłych bioder. A Percy Warwick niech się już nie kłopotuje, że mogłaby się zakochać w kimś, kto nie będzie chciał dzielić się nią z plantacją. Nawet nie spojrzysz na mężczyznę z taką wadą. Nie poślubi nikogo, kto mógłby stanąć między nią a jej przeznaczeniem. Mąż będzie ją wspierał w przedłużaniu rodu Toliverów i wprowadzeniu plantacji w kolejne stulecie. Ten pomysł z klątwą to absurd.

Rozdział ósmy

Atlanta, czerwiec 1917

Mary zakończyła pakowanie i zamknęła ostatnią walizkę, rozkoszując się tym dźwiękiem. Oznaczał on koniec jej więzienia w Bellington Hall. Dzięki Bogu. Rok nareszcie minął, a ona wracała do domu. Za trzy dni poczuje pod stopami rodzinną ziemię i nigdy już jej nie opuści, jeśli tak właśnie będzie chciała. A chciała, myślała żarliwie, szarpiąc za rączkę i zrzucając walizę z łóżka na podłogę. Ten zmarnowany rok w Bellington niczego jej nie nauczył, ale dał jej przynajmniej potwierdzenie tego, co wiedziała już w dniu przyjazdu – że poza Howbutker nie ma miejsca na ziemi, w którym chciałaby żyć. I że nie chce robić nic innego prócz uprawy bawełny.

Gdzie ta Lucy? Niech sobie nie myśli, że przez nią opóźni swój wyjazd. Pewnie dyrektorka wysłała ją coś załatwić, żeby ona nie mogła wyjechać na czas. Ale niedoczekanie. Jeśli panna Peabody myślała, że Mary nie wsiądzie do pociągu, bo nie zdążyła pożegnać się ze swoją koleżanką z pokoju, to myliła się co do niej tak samo jak myliła się od pierwszego jej dnia w Bellington.

Przeciągnęła walizki po podłodze przed drzwiami, skąd miał je zabrać woźny. Jako ostatnia wyjeżdżała z internatu. Już panna Peabody tego dopilnowała – ostatni atak na mury obronne, które Mary wzniosła przeciwko Bellington Hall i panie Peabody w szczególności.

Wszystkie drzwi wzdłuż korytarza stały otworem, ich mieszkanki dawno wyjechały, tylko echo ich głosów zdawało się rozbrzmiewać w ciszy. Mary oparła się o framugę i nasłuchiwała, już teraz z trudnością przypominając sobie twarze koleżanek, z którymi dzieliła to skrzydło budynku. Choć były w jej wieku, wydawały się nieznośnie młodsze, w głowach miały te bzdury, które nauczyciele próbowali wpoić i jej. Mary wyczuwała ich radość na myśl, że to ona wyjedzie ostatnia.

Oczywiście, oprócz Lucy.

Mary poczuła wyrzuty sumienia. Powinna się wstydzić. Jak mogła chcieć, żeby Lucy nie zdążyła wrócić, zanim ona wyjedzie na dworzec. Ale Lucy zamieni ich pożegnanie w kolejną obrzydliwie sentymentalną scenę, a Mary miała już ich dość.

Poza tym emocjonalny zamęt czekający ją w domu najzupełniej jej wystarczał. W Somerset wszystko się rozpadało. Zgodnie z jej obawami, Miles postanowił być właścicielem dużo łagodniejszym, o co tyle razy wyklócał się z ojcem, a skutki tego łatwo można było przewidzieć. W marcu, nie mogąc już wytrzymać, bo Miles w swoich nielicznych listach ledwie wspominał o plantacji, napisała do Lena. Nadzorca odpisał – niezbyt wprawnie, ołówkiem, który jak mogła sobie wyobrazić, często zwilżał językiem – relacjonując z takim szacunkiem, na jaki pozwalało mu własne rozgoryczenie, oplakany stan Somerset.

Przeżona Mary wyobraziła sobie całą sytuację. Aby udowodnić, że przyznanie dzierżawcom większej swobody przyniesie korzyści dla wszystkich, Miles kazał Lenowi odłożyć na bok spis przydziałów i należności, mars na twarzy oraz symboliczny bicz, i wysłał go na ryby. Poinformowano go, że dzierżawcy nie potrzebują żadnego nadzorcy. Każdy ma swój rozum i będzie pracował wedle własnej woli. Mieli rodziny do wykarmienia, ziemię, której trzeba doglądać, i bawełnę, którą muszą uprawiać. Zrobią to i jeszcze dużo więcej. Gdy przyjdzie do rozliczenia, Len sam się przekona. Kiedy dać człowiekowi godność i wolną wolę robienia tego, co chce, wstępuje w niego niespożyta energia.

W konsekwencji, jak pisał Len, dzierżawcy, którym nie zależało ani na sobie, ani na rodzinie, rozleniwili się. Zbiorą mniej, uwzględniając to, co zniszczy kwieciek bawełniany. Zarządzanie pana Milesa nie przynosi oczekiwanych skutków i może panienska Mary powinna

przyjechać do domu i porozmawiać z bratem.

Kiedy skończyła czytać, niemal się rozplakała.

– Cholerny Miles! – krzyczała, przemierzając pokój tam i z powrotem. Wiedziała, że tak będzie. Bez „symbolicznego bicza” Lena, który był niczym więcej jak tylko ciągłym nadzorem, zbiory z pewnością będą mniejsze. Jeśli odliczyć pieniądze na ziarno, nawóz, sprzęt, całe utrzymanie i naprawy, może nie wystarczyć na spłatę długu. – A niech go! Niech go! To drań! – wołała, bliska spakowania się i wyjechania, by raz na zawsze z bratem skończyć. Nie miał prawa sprawdzać swoich socjalistycznych przekonań kosztem plantacji!

Już miała zamiar wyciągać walizki, gdy nadszedł list od Beatrice Warwick.

Jak zwykle bardzo otwarcie pisała, że od Milesa wie, iż Mary nie zaaklimatyzowała się w Bellington Hall. Znając energiczną Mary Lamb, przeczuwa, że wobec takiego obrotu spraw ta może mieć zamiar pojawić się w domu jeszcze przed zakończeniem semestru. Beatrice Warwick pisała ten list, by jej to odradzić. Stan mamy Mary się nie poprawił, w związku z czym dobrze się składa, że Mary nie ma teraz na miejscu. Mama nie chce widzieć nikogo oprócz Milesa, Sassie i ich pomocnika Toby’ego Turnera. Odsunęła się od wszystkich, łącznie z Beatrice. Dom jest ciemny, okiennice zamknięte i nikt nie składa już w nim wizyt. Zdaniem Beatrice Warwick, Houston Avenue nie byłoby teraz właściwym miejscem dla Mary. Jej obecność tylko bardziej obciążałaby Milesa i mogła jeszcze bardziej opóźnić powrót mamy do zdrowia. Na dzień dzisiejszy jedyne, co Mary mogła zrobić dla mamy, to dać jej czas na pogodzenie się z postanowieniami testamentu, obecnie bardzo dobrze wszystkim znanymi i szeroko dyskutowanymi.

Mary czuła rozpacz i gniew. Nie do pomyślenia było wtrącanie się jednej z rodzin w prywatne sprawy pozostałych dwóch, jeśli nie została o to poproszona. Może więc zrobił to Miles. Odmalował Beatrice Warwick przerażający obraz jej buntu w Bellington, więc w trosce o swoją najlepszą przyjaciółkę Beatrice Warwick napisała do Mary.

Z ciężkim sercem Mary uznała, że nie ma wyboru i musi jakoś przeczekać ten rok w Bellington, modląc się za matkę i za Somerset. Ceny bawełny już teraz szły w górę ze względu na popyt wywołany wojną w Europie. Na razie więc zyski powinny pokryć straty spowodowane idiotycznym zachowaniem Milesa, a przed kolejnym zasiewem ona będzie już w domu.

Potem nadeszły kolejne ciosy. W kwietniu Stany wypowiedziały Niemcom wojnę. Kongres przegłosował ustawę o obowiązkowej służbie wojskowej, wedle której wszyscy mężczyźni zdolni do służby w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat powinni zgłosić się do komisji poborowej. Mary, obawiając się najgorszego, wstrzymała oddech. Len Deeter na pewno jako jeden z pierwszych dostanie wezwanie. I kto go wtedy zastąpi?

A później, jakby tego było mało, pierwszego czerwca otrzymała list od Milesa. Informował ją, że wraz z Percym i Olliem zaciągnęli się do wojska i w lipcu mają stawić się w oficerskim obozie treningowym w Georgii. Jej pierwsza myśl dotyczyła Somerset – jak Miles może zza oceanu wywiązywać się ze swojej funkcji pełnomocnika. Druga myśl uświadomiła jej, że brat może zginąć lub zostać okaleczony, podobnie jak Percy czy Ollie. Roztrzęsiona, przygnębiona i wściekła rozplakała się. Jak Abel DuMont i Warwickowie mogli pozwolić na taką głupotę? Jako jedyni synowie, chłopcy mogli przecież ubiegać się o odroczenie powołania, argumentując to obowiązkami domowymi, w których nie ma ich kto zastąpić, a szczególnie Miles, bo przecież miał na utrzymaniu całą rodzinę. Jak mógł wyjeżdżać i zostawić matkę? Jak mógł zrobić to swojej młodszej siostrze? Musi wracać i wybić mu z głowy tę niedorzeczność.

– Widzę, że panna Mary już spakowana.

Ta rzeczowa uwaga wydobyła się z ust Elizabeth Peabody, dyrektorki szkoły. Stała w otwartych drzwiach, z binoklami na nosie i notatnikiem w ręku.

– Tak, pani dyrektor – odparła Mary, nieco zaskoczona. Nie spodziewała się, że zostanie wymeldowana przez samą Peabody. Robiła to zwykle kierowniczką albo jedną z asystentek, do których zresztą zaliczała się również Lucy Gentry, a teraz, kiedy wszyscy oprócz Mary wyjechali, tym bardziej nie brakowało przecież personelu. To typowe dla małodusznej panny Peabody. Nie przysłała Lucy, sama przyszła, by oddać we mnie swój ostatni strzał, pomyślała Mary, specjalnie odwracając się do niej tyłem, gdy ubierała żakiet swojego podróżnego stroju.

– Ile sztuk bagażu?

– Cztery.

Elizabeth Peabody zaznaczyła coś w notesie szybkimi, precyzyjnymi ruchami. Potem weszła do pokoju, obrzuciła krytycznym spojrzeniem rozebrane łóżka, ściany oraz otwarte szuflady i szafki.

– Panno Mary, sprawdziła pani dokładnie, czy niczego pani nie zapomniała? Szkoła nie odpowiada za rzeczy pozostawione po oficjalnym opuszczeniu jej przez uczennicę.

– Niczego nie zostawiłam, pani dyrektor.

Uwaga panny Peabody skupiła się na Mary, czarne oczy za binoklami zabłyśły. Jej pełne niechęci spojrzenie Mary odparła chłodną obojętnością, która od samego początku odróżniała ją od reszty dziewcząt.

– Tak, ma pani rację – zgodziła się z nią przełożona. – Nie sądzę, by naszą szkołę opuściła kiedykolwiek uczennica, która dała z siebie tak mało i zyskała tak niewiele jak pani.

Mary zastanowiła się nad tym stwierdzeniem, po czym powiedziała ze spokojnym uśmiechem:

– O, to akurat nieprawda, pani dyrektor. Nauczyłam się na przykład, że w zdaniu, które pani właśnie wypowiedziała, zawarte jest porównanie.

– Jest pani niemożliwa – mówiąc to, panna Peabody mocno zacisnęła palce na ołówku.

– Niemożliwa, uparta i samolubna.

– Może w pani oczach.

– Życie nauczyło mnie ufać moim oczom, moja panno, a w pani widzą one młodą kobietę, która będzie żałować swojej decyzji.

– Wątpię w to, pani dyrektor.

Peabody nawiązywała do jej odmowy pozostania połówką jednej z słynnych par, które zeswatało ze sobą Bellington. Już dość wcześniej Mary zorientowała się, że wielu rodziców wysyła tu swoje córki, by znalazły mężów wśród dobrze sytuowanych braci, kuzynów, młodych wujaszków, a nawet owdowiałych ojców szkolnych koleżanek. Mężczyznę, którego odrzuciła Mary, był Richard Bentwood, bogaty producent tekstyliów w Charleston i brat jednej z niewielu dziewcząt, które Mary polubiła.

– Ale ponieważ Amanda zostaje jeszcze na rok – kontynuowała – być może z większym powodzeniem uda się pani przedstawić go komuś bardziej odpowiedniemu ode mnie.

– Panno Toliver, pan Bentwood nie potrzebuje moich usług w tym względzie. W jego kręgach towarzyskich takich odpowiednich osób jest bez liku, natomiast pani w swoim kręgu raczej nie spotka drugiego Richarda Bentwooda.

Mary odwróciła się, by zapiąć kapelusz z miękkim rondem, zanim panna Peabody mogłaby zauważyć, jak celna była jej uwaga. Dyrektorka w pewnym sensie miała rację, chociaż Percy, Ollie czy Charles, syn Emmity Waithe'a w niczym nie ustępowali żadnemu mężczyźnie, włącznie z Richardem Bentwoodem. Problem w tym, że żaden z nich nie był dla niej, więc po odrzuceniu jego oświadczyń sama się zastanawiała, kiedy znów spotka kogoś podobnego. Odpowiadał jej pod każdym względem oprócz tego jednego, najważniejszego. Oczekiwałyby, że po ślubie zostawi Somerset w rękach zarządcy i przeprowadzi się do Charleston. To było

oczywiście nie do pomyślenia, ale tego wieczoru, kiedy pożegnali się na zawsze, przeżyła atak nieznaney jej dotąd paniki. A jeśli nie spotka nikogo, kto potrafiłby rozgrzać jej krew tak jak Richard? Jeśli w przyszłości nie spotka już nikogo, kogo będzie chciała poślubić i mieć z nim dzieci?

Poczuła ulgę, gdy usłyszała, że woźny zabiera jej walizki, ale dyrektorka jeszcze z nią nie skończyła. Mary zakładała rękawiczki, tamta zaś ciągnęła swoją myśl.

– Rozumiem, że pełni wigoru dziedzice waszych rządzących rodzin wybierają się na wojnę. Miejmy nadzieję, że los będzie łaskawy i oszczędzi ich, by mogli kontynuować ród. Jednak z tego, co słyszałam o wojnie okopowej w Europie, są powody, by wątpić w taką szczodrość. Gdyby młodzi ludzie zginęli – tu dyrektorka dotknęła policzka w udawanym wyrazie grozy – nie bardzo będzie z czego wybierać, nieprawdaż?

Mary poczuła, jak błędnie. W głowie znów miała myśli, które nękały ją, odkąd się dowiedziała o ich decyzji. Widziała ich ciała w kałużach krwi na zapomnianym przez Boga i ludzi polu bitwy, Miles jak strach na wróble z rozłożonymi rękami, zastygła twarz Percy'ego w obłoku blond włosów, i błyszczące oczy Olliego na zawsze pozbawione światła.

Otworzyła swoją małą torebkę, wykonaną z szylkretu i naszywaną koralikami, jeden z ostatnich zakupów w sklepie DuMontów.

– Oddaję klucz do pokoju – powiedziała bez cienia żalu. – To chyba wszystko, pani dyrektor. Muszę zdążyć na pociąg.

I wyszła z pokoju. Spodziewała się, że zostanie wezwana z powrotem. To byłoby w stylu tej wiedzy, zatrzymać ją pod byle pretekstem – nieopłacone chesne, kara za rzekome zniszczenia czy nieoddana książka. Najwidoczniej jednak dyrektorka była równie zadowolona, że pozbywa się jej ze szkoły, jak Mary, że wreszcie skończyła z Bellington, więc bez przeszkód przeszła hol, aż do schodów i do upragnionej wolności.

Na dole zobaczyła Samuela, woźnego, który na nią czekał. Powitał ją uśmiechem, któremu towarzyszył błysk złotych zębów.

– Tak mi się zdawało, że pilno będzie panience do domu. Taksówka już jedzie. Jak długo nie była panienka w domu?

– Zbyt długo, panie Samuele – wręczyła mu napiwek i uśmiechnęła z wdzięcznością.
– Widział pan pannę Lucy?

– Poszła na górę. Chyba z dwadzieścia minut temu.

– Na górę? – zawołała Mary. – Ale czemu właśnie teraz?

Tak mówili o szkolnej placówce pocztowej, bo położona była na wzgórzu, spory kawałek marszu od samej szkoły. Lucy nigdy nie dostawała listów, ale zawsze chodziła razem z Mary w oczekiwaniu na wieści o Percym.

Przez szeroką bramę z kutego żelaza wjeżdżał pojazd konny.

– Jest i taksówka, panno Mary – ogłosił Samuel i wszystkie myśli o Lucy natychmiast odleciały, jak pył spod kół dorożki.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła Mary.

Samuel załadował bagaż i miał właśnie pomóc jej wsiąść, gdy odezwał się znajomy głos.

– Mary! Mary! Panie Samuele, zatrzymać dorożkę!

– To panna Lucy – poinformował zupełnie niepotrzebnie Samuel.

Mary westchnęła.

– Niestety.

Patrzyła, jak filigranowa sylwetka biegnie do niej, przytrzymując w górze pełną spódnicę niemodnej sukni i znów poczuła cień irytacji i zaraz potem ukłucie wyrzutów sumienia tak często związanych z Lucy – irytację, ponieważ dziewczyna od dnia ich przyjazdu przyczepiła się do niej

jak pijawka, a wyrzuty sumienia, bo była jedyną koleżanką, która oprócz Amandy była w stosunku do niej miła. Rozdrażniona stawiała jej czoło.

– Dlaczego idziesz na pocztę właśnie teraz, skoro wiesz, że spieszę się na pociąg?

– Żeby odebrać to – Lucy pomachała jej przed nosem kopertą. – Wsiadaj i ruszajmy.

Pojadę z tobą. Panie Samuelu, niech pan powie panu Jacobsonowi, żeby po drodze zajechał swoim wozem mleczarskim po mnie na stację, dobrze?

– Dostanie się panience od pani dyrektor – ostrzegł Samuel.

– No i co z tego? – rzekła Lucy, wpychając Mary do powozu i zbierając spódnice, żeby wspiąć się za nią.

Dość niechętnie Mary posunęła się, by zrobić miejsce dla Lucy i jej obszernej spódnicy.

– Co to jest? – zapytała, wskazując na kopertę.

Lucy teatralnym gestem wyciągnęła z niej złożoną kartkę papieru.

– Oto moje przyjęcie do pracy. Patrzysz właśnie na świeżo upieczoną nauczycielkę francuskiego w Mary Hardin-Baylor w Belton, w stanie Teksas.

Mary zagryzła wewnętrzną część wargi, żeby nie zdradzić swojego rozczarowania. Miała cichą nadzieję, że Lucy nie dostanie tej posady. Belton dzieliło od Howbutker zaledwie pół dnia jazdy pociągiem, więc będzie im ciągle siedziała na głowie. W weekendy, gdy Mary zajęta będzie przywracaniem porządku w Somerset i matką, Lucy zjawi się nagle, oczekując, że przyjmą ją na Houston Avenue. Człaby się inaczej, gdyby wiedziała, że Lucy przyjeżdża, bo ją lubi, ale obydwie wiedziały, że tak nie jest. Lucy cierpiała na śmieszna i zupełnie zwariowaną słabość do Percy'ego, zadurzyła się w nim beznadziejnie, choć widzieli się tylko raz. Szkoła Mary Hardin-Baylor była sposobem na zbliżenie się do Warwick Hall.

– Nie rozumiem – mówiła Mary. – Po co ci ta praca teraz, kiedy Percy wyjeżdża na wojnę? Czy panna Peabody nie proponowała ci lepszej pensji?

– A być może jakieś lepsze miejsce, żeby oczekiwać na jego powrót? – Niebieskie oczy podekscytowanej koleżanki błyszczały. – W ten sposób będę blisko Houston Avenue. Jak go wypuszczą na kilka dni między walkami, będę mogła się z nim zobaczyć. Przenocujesz mnie, prawda, kiedy... kiedy przyjedzie na urlop? – trzepotała sztywnymi, prostymi rzęsami, które układały się w delikatne łuki jej powiek, jak u lalki.

Ale ma tupet! myślała zirytowana Mary, usiłując nie okazać swoich uczuć. Skąd przekonanie, że Percy w ogóle będzie chciał się z nią widywać?

– Lucy, chłopcy jadą do Francji. Bardzo wątpię, żeby któregoś wysłali przez ocean na kilkudniowy urlop. Mogą nie wrócić aż do końca wojny.

Lucy wydeła dolną wargę i włożyła list z powrotem do koperty.

– To bez znaczenia. W każdym razie mogę przyjeżdżać, przejść się na spacer do jego domu i posyłać pocałunki, które znajdą jakoś drogę do jego pokoju, do jego łóżka...

– Lucy...

– Mary Toliver, nie mów do mnie tym jęczącym tonem. To właśnie takie rzeczy przywiodą go z powrotem. Ja to wiem! – Drobne dłonie Lucy, w których tworzyły się maleńkie dołeczki, zacisnęły się, a porcelanową białość jej skóry zasłoniły częściowo czerwone cętki podniecenia. – Codziennie będę chodziła do spowiedzi i zapalę świeczkę za jego bezpieczny powrót. Co wieczór odmówię pięćdziesiąt zdrowasiek, a jedną dziesiątą pensji oddam na kościół, żeby ksiądz odprawił specjalną mszę w jego intencji, oraz twojego brata i Ollie'ego DuMonta, to jasne.

Mary delikatnie odkasznęła w chusteczkę. Lucy była katoliczką, kolejny punkt mogący zniweczyć jej nadzieje na poślubienie Percy'ego. Warwickowie to zatwardziali metodyści, a Jeremy jest masonem trzydziestego trzeciego stopnia wtajemniczenia. Mary wątpiła, by ich

powszechnie znany, tolerancyjny stosunek do innych wyznań, ras i religii sięgał tak daleko, by pozwolić na ślub jedynaka z katoliczką.

– Jak tylko wszystko tu skończę – mówiła tymczasem Lucy – jadę do Belton poszukać mieszkania. A potem... – uniosła brwi, spoglądając na Mary. – Może moja droga przyjaciółka zaprosi mnie na tydzień lub dwa, żebym mogła spotkać się z wiadomą osobą.

Mary poruszyła się niespokojnie na swoim miejscu.

– Nie chcę pokrzyżować ci planów, Lucy, ale nie mam pojęcia, w jakim stanie jest matka, a teraz jeszcze ten wyjazd Milesa, no i zaczynają się żniwa.

Miła twarz Lucy przypominała teraz buzię zbuntowanego dziecka.

– Żniwa są dopiero w sierpniu.

– Co zostawia mi bardzo mało czasu na te niezliczone sprawy, które jeszcze muszę załatwić, i rzeczy, które, jak znam Milesa, trzeba będzie odkręcić. – Mary westchnęła. Lucy dobrze wiedziała, jak bardzo niepokoiła się Somerset. – Po prostu nie będę miała czasu, żeby się tobą zająć.

– Więc jak mam się zobaczyć z Percym, zanim wyjedzie? – zapytała Lucy kategoriycznym tonem. – Na pewno nie mogę się spodziewać zaproszenia ze strony pani Warwick. Wszyscy będą zajęci przygotowaniami do jego wyjazdu i spędzaniem z nim każdej chwili.

„Dlaczego nie pomyślisz w taki sposób o mojej rodzinie?” – miała ochotę krzyknąć. Wspaniały przykład braku wrażliwości i zrozumienia tej delikatnej sytuacji, jeszcze jeden powód, dla którego Percy nigdy się nią nie zainteresuje.

– Nie sprawię ci kłopotu, Mary, przyrzekam. – W niebieskich oczach widziała teraz błaganie. – Możesz spokojnie robić wszystko tak, jakby mnie nie było.

– Bo zajęta będziesz słaniem całusów do Warwick Hall, tak? – Mary roześmiała się, jak zwykle ustępując. Jak się nad tym zastanović, może taki stały kontakt z Percym wyjdzie na dobre. Percy był przede wszystkim szczery. Gdy dostrzeże zauroczenie Lucy (któż by go nie dostrzegł), zdusi je w zarodku. Nigdy nie poszedłby na wojnę, zostawiając ją w przeświadczeniu, że odwzajemnia jej uczucia.

I już w lepszym nastroju Mary poklepała rękę koleżanki.

– Pewnie ostatecznie będę zadowolona z twojego towarzystwa. Zawiadom nas, kiedy przyjedziesz, to wyślę kogoś na stację – powiedziała, a odczytując pełen nadziei wyraz twarzy Lucy, dodała: – Nie, nie mogę obiecać, że to będzie Percy.

Rozdział dziewiąty

Siedząc już w pociągu, Mary pomachała Lucy stojącej na peronie, skąd miał ją zabrać mleczarz. Utkwiła w Mary smutny wzrok i nie spuszczała z niej oczu, aż pociąg zakręcił. Mary zdjęła kapelusz i zmęczona odetchnęła. Lucy Gentry ją wykończyła.

Wciąż jeszcze nie doszła do siebie po szokującej scenie sprzed dwóch dni, kiedy Lucy dowiedziała się, że Percy idzie na wojnę. Tego wieczoru, po jej pytaniu, czy przyszedł „list z domu” – beczelność, która niezmiennie ją drażniła – Mary wręczyła jej list Milesa i czekała, aż runie im na głowę dach. I rzeczywiście to, co nastąpiło, było bardzo podobne. Jak się spodziewała, Lucy płakała, zawodziła, pomstowała, wrzeszczała i przeklinała, i to na całe gardło, rzucając książkami i ubraniami, w końcu ciskając przez okno swoim małym pluszowym misiem. Mary nigdy jeszcze nie widziała takiego smutku i takiej złości. Nie słyszała też takiego języka. Zbiegło się całe piętro, wraz z kierowniczką, która wciąż powtarzała „Nie do wiary!”. Wszystkie patrzyły, jak Lucy walczy z demonami, odpychając każdą, która chciała ją uspokoić.

Mary trzymała się od niej z daleka, aż w końcu Lucy osunęła się na podłogę w kącie pokoju i schowała w ramionach zapłakaną twarz. Dziewczęta zaczęły się rozchodzić, a Mary spokojnie zapewniła kierowniczkę, że ona też powinna wrócić do łóżka. Z Lucy wszystko w porządku. Otrzymała przygnębiające wiadomości i w ten sposób próbowała sobie z tym poradzić.

Potem Mary podeszła do skulonej w kącie Lucy i objęła ją jak małe dziecko. Przez flanelową nocną koszulę czuła jej silne, drobne ciało, nienaturalnie wilgotne i rozgrzane. Czuła też słaby, nieprzyjemny zapach, jakby organizm wydalal przez skórę gorycz jej wściekłości. Mimo to trzymała ją w ramionach, aż szloch wstrząsający jej ciałem zupełnie ustał.

– Dla-dlaczego nie sta-ra się o od-odroczenie? – łkała pomiędzy przerwami na oddech.
– Prze-przecież mógł-by.

– A dlaczego żaden z nich tego nie zrobił? – odpowiedziała Mary, odsuwając z czoła Lucy mokre kosmyki. – Bo oni po prostu tacy nie są.

Lucy ścisnęła rękę Mary.

– Nie zabiją go! – krzyczała z gorączką w niebieskich oczach. – Wiem, że wróci. Wiem to! Zawrę pakt z Bogiem. Przrzeknę, że będę dobra. Wiem, że potrafię. Przeszanę...

– Przeklinać? – zasugerowała Mary, uśmiechając się lekko i z ulgą zauważyła nieśmiały uśmiech wypełzający na twarzy koleżanki.

– To też, na Boga, jeśli będę musiała.

Następnego ranka, gdy Mary się obudziła, Lucy nie było. Zostawiła niezaścielone łóżko i kartkę. „Poszłam na mszę”.

Wciąż pod wrażeniem głębi uczuć, których była świadkiem, i przerażona ich szczerością, Mary pościeliła łóżko, zmieniając poszewki na poduszki mokre od łez, które Lucy wylewała jeszcze przez całą noc. Martwiła się o nią. Jak można żywić takie uczucia dla mężczyzny, którego ledwie się zna i chwycić się nadziei, że może ona też mu się spodoba?

Lucy Gentry nie miała u Percy’ego Warwicka żadnych szans. Kobieta, którą wybierze, będzie piękna, inteligentna i kulturalna – prawdziwa dama. Nigdy nie pójdzie na ustępstwo, a Lucy, choć czarującej na swój zaskakujący sposób, w przekonaniu Mary wiele jeszcze brakowało. Jej język i zachowanie cechowała pewna szorstkość, którą Percy uznałby za dość ordynarną. Miała dobre oceny i uznawano ją za pilną uczennicę, ale to co inni nazywali inteligencją, Mary rozpoznawała jako czysty spryt. Z jej obserwacji wynikało, że Lucy perfekcyjnie potrafiła sprawiać wrażenie osoby wykształconej. Książki tylko przeglądała,

w gazetach wystarczały jej nagłówki, mając zaledwie okruchy informacji, potrafiła przekonać wszystkich o swojej dogłębnej wiedzy na dany temat. Mary podejrzewała też, że dobre wyniki w nauce to efekt oszustwa. Jako asystentka nauczycieli miała dostęp do egzaminów i terminów klasówek, co według Mary wyjaśniało, skąd zawsze nieomylnie wiedziała, kiedy i czego należy się uczyć.

Nawet jej bieda to lipa. Owszem, Lucy należała do uczennic z odpowiednimi referencjami, lecz bez środków, więc otrzymywała stypendium, ale miała po matce niewielki majątek, który na pewno poradziłby coś na te beznadziejnie staromodne stroje, które w bardzo ograniczonej ilości wisiały w jej internatowej szafie. Ubrania te stanowiły swoisty sztandar. Skoro nie mogła błyszczeć w najlepszych toaletach, postanowiła wyróżniać się najbardziej znoszonymi. Mary nie mogła pojąć tej demonstracji i nie wierzyła w jej szczerłość. To był śmieszny bunt, bardziej poza niż wyrażenie poglądów, ale wiktoriańska garderoba zyskiwała jej przyjaciół zarówno wśród koleżanek, jak i nauczycieli.

Mary wzruszyła ramionami na te niedoskonałości – były jak mała plamka na jabłku. Ona mogła ją po prostu ominąć, ale Percy na pewno nie. Percy zawsze wybierał tylko najpiękniejsze okazy.

Pewnego dnia poirytowana powiedziała Lucy, że wie o jej nierokującym nadziei zauroczeniu Percym. Dodała, że według niej to głupota pozwalać, by takie uczucie wpływało na decyzje o przyszłości. To właśnie wtedy Lucy zareagowała tą absurdalną uwagą:

– Ty go chcesz po prostu dla siebie!

Mary była tak zaskoczona, że nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

– Co? – pisnęła.

– Słyszałaś – odparła Lucy, robiąc nadąsaną minę. – Nie próbuj zaprzeczać. Całe życie miałaś na niego oko.

Mary słyszała głos koleżanki, jakby wydobywał się z głębokiej studni. Ona miałaby chcieć usidlić Percy'ego Warwicka? Niby jak, to już Lucy miała u niego na pewno większe szanse.

– To śmieszne – odparła. – Po pierwsze, on mnie nie interesuje, ale nawet gdyby – uniosła dłoń, by powstrzymać Lucy przed zaprzeczeniem – to ja nie interesuję jego. W najmniejszym stopniu. On mnie nawet nie lubi.

– Nie lubi cię? – Lucy wydawał się zdziwiona. – Dlaczego?

– To ma związek z naszymi rodzinami, z tym, kim jesteśmy i o co nam w życiu chodzi...

– Masz na myśli Toliverów i Warwicków?

– Tak. Percy i ja różnimy się, inaczej patrzymy na swoją rodzinną spuściznę, na swoje... obowiązki. Percy ma na ten temat własne zdanie, z którym się nie zgadzam. To zbyt skomplikowane, żeby teraz się nad tym rozwodzić, ale uwierz mi, nie zajmujemy w swoich sercach zbyt wysokiej pozycji. Więc ja na pewno nie będę ci przeszkodą. Chodzi o to... że...

– Że? – ponaglała ją Lucy, mrużąc niebieskie oczy.

Mary zagryzła wargę, postanawiając trzymać język za zębami. Chciała powiedzieć jej: „Chodzi o to, że nie jesteś typem kobiety, którą mógłby pokochać. Nie masz ani urody, ani inteligencji, ani wrażliwości, które zwróciłyby jego uwagę”.

Lucy bacznie ją obserwowała, potem odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się krótko.

– Chodzi o to, że nie jestem dla niego dość dobra, tak?

Mary zastanowiła się nad tymi słowami. Skoro Lucy poruszyła tę kwestię, mogła teraz wyznać brutalną prawdę, ale nie miała serca tego zrobić.

– To nie ma tu nic do rzeczy. Na miłość boską, Lucy, jesteś dość dobra dla każdego mężczyzny. Po prostu tak się składa, że znam jego typ, to wszystko.

- I ja nim nie jestem?
- No... nie, nie jesteś.
- No to powiedz mi, co to za typ?
- Drezdeńska porcelana. Słodycz. Dobroć. Ani kropli kwasu we krwi.
- Ale nudziarz! – zawołała Lucy. – A co z namiętnością? Z seksem?

Mary opadła szczęka. Skąd u dziewczyny takie rzeczy? Gdyby usłyszała to panna Peabody, dostałaby wylewu. Powiedziała w miarę spokojnie:

- Wydaje mi się, że pociąga go kobieca słodycz, o ile jest prawdziwa.
- Mary Toliver! – Lucy tupnęła swoją małą stópką. – Chcesz mi powiedzieć, że żyjesz

praktycznie od urodzenia tuż obok Percy'ego Warwicka i nie wiesz, jakie mu się podobają kobiety? No to ja ci powiem. On potrzebuje kobiety pełnej energii i ognia. Do diabła z porcelaną. Percy chce kobiety, która się nie stłucze albo nie pęknie, kiedy mocno weźmie ją w ramiona, takiej, która odda mu cios za cios.

– Lucy! – Mary zerwała się z krzesła. Policzki ją paliły, a serce waliło jak wtedy, trzy lata temu w lecie, gdy ich oczy spotkały się na uroczystości oddania budynku sądu. – Nie rozumiem, skąd możesz tak dużo wiedzieć o preferencjach seksualnych Percy'ego, przecież ledwie go znasz. Ale tak czy inaczej, zostaw ten temat dla siebie. Może masz rację, ale jeśli tak jest, to nie masz szczęścia.

- Tak? Dlaczego? – zapytała Lucy.
- Bo jesteś zbyt... jesteś zbyt niska.

Lucy znów się roześmiała.

– Jeszcze zobaczymy. Są sposoby, by zaradzić temu małemu problemowi, i założę się, że Percy dobrze je zna.

Ta rozmowa oczyściła atmosferę między nimi, a widywano je razem tak często, że uznano za najlepsze przyjaciółki. Nic bardziej mylnego, i obydwie świetnie zdawały sobie z tego sprawę. Mary nigdy nie powierzyłaby swoich sekretów komuś o tak wątpliwej zdolności utrzymania tajemnicy, a Lucy była świadoma, nieskrywanej zresztą, dezaprobaty Mary dla jej pogoni za Percym, którą przyjmowała z właściwą sobie pogodą ducha.

– Być może w twoich oczach nie jestem dla niego dość dobra, Mary Toliver, ale będę taka w jego oczach. Moja miłość go zaślepi.

– Lucy, on poznał już miłość wielu kobiet. Żadnej nie udało się go zaślepić.

– Bo nigdy jeszcze nie poznał miłości takiej jak moja. Oślepi i olśni go tak, że zanim oczy przywykną do światła, stanę się kobietą, na którą zasługuje. Dzięki mojej miłości.

W pociągu, wdzięczna za miarowy stukot kół zbliżający ją do domu, Mary oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Biedna, biedna Lucy. Miała taką szansę na to, że Percy się w niej zakocha, jak statek na to, że popłynie suchym lądem.

Rozdział dziesiąty

Następnego ranka Mary była gotowa już o szóstej, gdy pierwszy dzwonek wzywał na śniadanie. Miała okropną noc. Rzuciła się na łóżku, śniła, że została skazana na wieczną jazdę koleją Southern Pacific i tylko z okna wagonu dane jej było oglądać co bardziej widoczne punkty Howbutker, gdy pociąg z gwizdem przejeżdżał przez stację, w ogóle się nie zatrzymując. Obudziła się w dusznym przedziale cała roztrzęsiona, serce waliło jej jak młot. Ledwie zdążyła znów zasnąć, a już pojawiała się kolejna koszmarowa scena: tym razem z peronu uśmiechała się do niej Lucy Gentry, machając przejeżdżającemu pociągowi.

Obfite śniadanie i trzy filiżanki kawy, w jej przypadku niezwykle, przegoniły w końcu posmak tej niespokojnej nocy i Mary wróciła do siebie, by tam przeczekać ostatni etap podróży do Howbutker. Założyła kapelusz dopiero wtedy, gdy zobaczyła bielone domy Hollows, robotniczego miasta wybudowanego przez Warwicków, gdzie pracownicy ich zakładów zamieszkiwali schludne sosnowe domy otoczone werandami i białymi drewnianymi płótkami, które odgradzały je od wybrukowanych ulic. Dopiero wtedy upewniła się, że ta długa podróż dobiega końca.

Nie była w domu od sierpnia zeszłego roku, kiedy Miles odprowadził ją na pociąg. Miał dziwny wyraz twarzy, gdy wspomniała o Bożym Narodzeniu.

– Poczekaj, aż po ciebie poślę. Jeśli sprawy nie ułożą się dobrze, spróbuj spędzić święta z którąś z koleżanek.

– Ale, Miles, Boże Naro...

Zawstydzony objął ją niezręcznie.

– Mary, mama nie czuje się dobrze. Sama widziałaś, nawet nie chciała się z tobą pożegnać. Jedyne, w jaki sposób możesz pomóc, to wyjechać i... pozostać tam tak długo, aż poczuje się lepiej. Przykro mi, ale tak to wygląda, niestety.

Zadrżała nagle, przerażona. Objęła brata w pasie i zapytała cichym, błagalnym głosem:

– Miles, ale mama mnie nie nienawidzi, prawda?

W jego milczeniu usłyszała odpowiedź.

– Miles, nie...

– Ciii, nie rozklejaj się teraz. Nie marszcz swojej ślicznej twarzy. Spróbuj jak najlepiej wykorzystać ten rok. Chcemy być z ciebie dumni.

– Straciłam ją, naprawdę ją straciłam, tak? – Jej rozpaczliwy wzrok błagał, by zaprzeczył.

– Przyzwyczaisz się, Mary. Przyzwyczaisz się do każdej straty w życiu, bo zależy ci tylko na jednej rzeczy, a ona nie może cię opuścić – uśmiechnął się niewesoło jednym kącikiem ust.

– Zdradzić? Prawdopodobnie. Zawieść, wyniszczyć, jak najbardziej, ale nigdy cię nie opuści.

W pewnym sensie masz więcej szczęścia niż większość z nas. I na pewno więcej niż mama.

– Mogę stracić Somerset – przypomniała mu. – Jeśli hipoteka nie będzie regularnie spłacana, plantację również mogę stracić.

Miles żartobliwie dotknął palcem czubka jej nosa i wyzwolił się z jej objęć.

– Widzisz, jak szybko mija ból po jednej stracie, gdy pomyślisz o stracie bardziej dla ciebie dotkliwej? – zauważył półzartem, raniąc ją swoim obcym uśmiechem.

Kiedy zajęła miejsce przy oknie, machnął do niej zdawkowo, odwrócił się i odszedł, zanim jeszcze pociąg ruszył.

Święta Bożego Narodzenia spędziła w Charleston, w domu Amandy. Wtedy to właśnie dzięki jej przystojnemu, starszemu bratu, Richardowi, przeżyła swój pierwszy pocałunek w usta. To stało się pod jemiolą. Uniósł jej podbródek, a ona była zbyt zaskoczona, by się odsunąć. Po

chwili ze zdziwieniem odkryła, że reaguje na dotyk jego ust i bliskość męskiego ciała.

– Och – westchnęła, zaskoczona i zawstydzona, tym bardziej że zobaczyła błysk w oku Richarda oraz jego znaczący uśmieszek. Mówiły jej, że odkrył nienaruszony skarb, który chce zatrzymać dla siebie. Natychmiast wzmogła czujność. Opuściła strefę zagrożenia pod zielonym bukietem gałęzi. – Nie powinienes tego robić.

– Chyba nie potrafiłbym się powstrzymać – odparł. – Jesteś bardzo piękna. To na pewno mnie usprawiedliwia.

– Tylko pod warunkiem, że przyrzekniesz więcej tego nie robić.

– Obawiam się, że nie mam w zwyczaju składać obietnic, których nie potrafię dotrzymać.

Przyjęła jego ramię, a on poprowadził ją do jadalni, ale to przeżycie nią wstrząsnęło. Instynktownie czuła, że musi ukryć to... nowe odkrycie o sobie przed mężczyznami, którzy mogliby użyć go przeciwko niej. Więcej nie pozwoli mu się już pocałować, przysięgła sobie – jednak sama okazała się zbyt słaba, by dochować tej przysięgi.

Otrząsnęła się ze wspomnień tej namiętności. Między sosnami dostrzegła pierwszy biały przebłysk Hollows. Pociąg przemierzał miasteczko, gwizdząc od czasu do czasu i stopniowo zwalniając, a Mary prawie nie dostrzegała, ile nowych domów zbudowano podczas jej nieobecności. Mignął jej przed oczami piękny, bardzo nowoczesny budynek i nowe wielkie litery układające się w napis KOMPANIA DRZEWA WARWICK. Pamiętała, że Miles pisał o ekspansji firmy, rozbudowie zakładu i kompleksie biurowym na zaprojektowanym terenie zielonym. Prawie ich nie zauważyła. Jej głowę zaprzętały inne sprawy.

Miał ją odebrać Miles, ale nie otrzymała od niego żadnej odpowiedzi na swój list, który wysłała kilka tygodni temu, by powiadomić go o terminie swojego przyjazdu. Potem martwiła się, jak zdobędzie pieniądze na bilet, jeśli Miles nie przyśle potrzebnej kwoty. W końcu, niezdolna dalej znosić takiej niepewności, wysłała do Milesa telegram z potwierdzeniem odbioru – ekstrawagancja, na którą budżet Toliverów ledwie było stać – błagając o pieniądze. W ciągu tygodnia przesłał jej odpowiednią sumę, ale żadnej wiadomości. Zraniona, uznała brak choćby kilku słów o tym, że czeka na nią w domu, za niewybaczalny i od tej chwili trapiła ją myśl, jakież to powitanie czeka ją w domu.

Pociąg znów zagwizdał, a Mary, z bijącym sercem, poprawiła kapelusz, przeglądając się w małym lustrze nad umywalką. Był tak samo niemodny jak cała reszta jej ubrań, choć nie aż tak jak garderoba Lucy. Obowiązująca sylwetka kobiety zmieniała się co sezon, a ona od śmierci ojca kupiła jedynie kilka nowych rzeczy.

Miała wrażenie, że kłopoty finansowe Toliverów nie stanowią w Howbutker żadnej tajemnicy. Wkrótce po jej przyjeździe do Bellington otrzymała list od Abla DuMonta, który prosił, by rozważyła noszenie kreacji jego sklepu w celu ich reklamy. „Twoja wspaniała figura i sposób poruszania się świetnie zaprezentują nowe modele” – wyjaśniał, dodając: „Nie potrafię wyrazić, jaką wyświadczyłabyś nam przysługę, zgadzając się zareklamować tę nową linię. Oczywiście, zatrzymałabyś garderobę jako skromny wyraz naszej wdzięczności”.

Mary przesuwiała palcami po cudownych strojach przysłanych wraz z listem, a potem niechętnie zapakowała je i odesłała. „Dziękuję za tę miłą propozycję” – napisała – „ale i Pan, i ja doskonale wiemy, że te modele nie potrzebują żadnej reklamy, szczególnie tutaj, w Bellington Hall, które po części żyje modą. Wszyscy znają tu Pańską firmę i wiedzą, że oferuje towar najwyższej jakości. Zapewniam, że jeśli tylko okoliczności mi na to pozwolą, będę zaopatrywać się w garderobę wyłącznie w Pańskim sklepie”.

Było jej przykro, że musi nie tylko odmówić Ablowi DuMontowi, ale i okazać niewdzięczność za okazaną dobroć, ale miała pewność, że on zrozumie, iż przyjmując jego gest, naruszyłaby umowę, którą zawarli ze sobą założyciele miasta.

Przyglądając się w lustrze swojej twarzy, zastanawiała się, czy zaszły na niej przez ten rok jakieś zmiany. Richard zwrócił uwagę na jej symetryczne rysy. Tego wieczoru, kiedy widzieli się po raz ostatni, palcem wskazującym poprowadził linię prostą od czoła do dołeczka w jej brodzie.

– Widzisz? Wszystko tutaj – powiedział, całując jej lewy policzek – odpowiada dokładnie wszystkiemu tutaj. – I pocałował prawy. Potem wziął jej twarz w dłonie, przyciągnął ją do siebie, by pocałować jej usta, ale Mary zeszytniała i odsunęła się.

– Nie, Richard.

W uroczych, ciemnych oczach zobaczyła rozczarowanie.

– Dlaczego?

– Bo... bo to bez sensu, dlatego.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego bez sensu?

– Dobrze wiesz. Tłumaczyłam ci to wiele razy.

– Somerset? – wymówił to, jakby miał w ustach zepsute mleko. – Myślałem, że zwabiłem cię na swoją stronę i zniechęciłem cię do tej rywalki.

– Myliłeś się. Przykro mi.

– Ale jeszcze nie tak bardzo przykro, jak obawiam się, będzie ci pewnego dnia, moja droga.

W końcu pociąg się zatrzymał. Mary wysiadła i odetchnęła głęboko gorącym, dusznym powietrzem rodzinnego miasta, wypatrując na peronie Milesa. Była sobota, stacja tętniła życiem. Skinęła głową zawiadowcy oraz kilku farmerom i innym mieszkańcom, których poznała, włączając w to matkę swojej dawnej szkolnej koleżanki. Czy to tylko rok, odkąd ostatnio widziała tę kobietę, w tym samym kapeluszu, gdy wybierała się w swoją coroczną podróż do Kalifornii, by odwiedzić córkę? Ona z kolei odbierała Milesa, który wracał z Princeton, bo ojciec leżał w domu chory, a matka się nim opiekowała. Mimo to jednak wszystko było przygotowane na jego powrót: zastawiony stół, schłodzony szampan i wszędzie świeże wiosenne kwiaty. Niecały miesiąc później ojciec zmarł, a ich życie na zawsze się odmieniło.

– Dzień dobry pani – pozdrowiła panią Draper. – Zapewne wyjeżdża pani na czerwiec do Sylvie? – Gdzie ten Miles?

Pani Draper tymczasem gwałtownie złapała dłonią w rękawiczce za kameę spinającą tuż pod szyją jej bluzkę, wyrażając w ten sposób swoje ogromne zaskoczenie. Mary zawsze uważała, że ta pretensjonalność ma robić wrażenie dobrych manier.

– No proszę, niech skonam, jeśli to nie Mary Toliver! Wracasz pewnie ze szkoły, do której cię wysłali, jak mniemam? Nigdy bym cię nie poznała, bardzo się zmieniłaś. Widać, że jesteś starsza, to chyba najlepsze słowo.

Mary uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Tak samo dobre jak każde inne – odparła. – Za to pani nie zmieniła się ani trochę i założyła się, że Sylvie również.

– Jesteś zbyt uprzejma.

Za tym mizdrzącym uśmiechem Mary z łatwością czytała jej myśli, podsłuchane kiedyś w rozmowie z właścicielką sklepu. Jej Sylvie i ta zrozumiła Mary Toliver nigdy za bardzo się nie lubiły, choć można by się tego spodziewać, bo właściwie razem się wychowywały i w ogóle, no i jej Andrew tak dobrze sobie radzi w sklepie z rzeczami do jazdy konnej. Przecież nie ma nic złego w tym, że ktoś zarabia na życie w sklepie. Czy Abel DuMont nie robi dokładnie tego samego, tyle że na większą skalę? Ale nie, Mary zadziera nosa, bo przecież jest Toliverówną – właścicielem ziemskim. Wszyscy wiedzą, że Toliverowie uważają się za coś lepszego niż cała

reszta, oprócz Warwicków i DuMontów. Co z tego, że ci, którymi gardzą, spłacają swoje rachunki, a wielcy i wszechmogący Toliverowie nie.

Mary przypominała sobie to wszystko, rzucając jednocześnie wokół zniecierpliwione spojrzenia, więc minęła dobra chwila, zanim dotarło do niej to, co sugerowała pani Draper:

– ...to był dla nas szok. Biedactwo. Jeśli można wam w jakikolwiek sposób pomóc... Pomyśleć tylko. Darla Toliver w takim... w takim stanie.

Mary skupiła się znów na pani Draper.

– Przepraszam, ale w jakim stanie? O czym pani mówi?

Dłoń pani Draper raz jeszcze sięgnęła do kamei.

– O, nie! – powiedziała z udawanym przerażeniem, ale widać było, że jest wręcz zachwycona. – To znaczy, że nie wiesz? Bidulka. Chyba powiedziałam już za dużo.

Wyraźnie się ucieszyła na widok kogoś, kto nadchodził z tyłu.

Miles! Pomyślała Mary z rozpaczliwą ulgą.

– O, dzień dobry, panie Percy – zagruchała pani Darper. – Właśnie witałam Mary w domu!

Rozdział jedenasty

Słyszałem – odpowiedział jej Percy tonem ostrym jak sztylet. – Cześć, Cyganeczko
– zwrócił się do niej głosem o wiele cieplejszym i otoczył ją swoim bezpiecznym ramieniem.
– Witaj w domu.

Nie wiadomo dlaczego to znajome i znienawidzone przezwisko zabrzmiało w jej uszach jak najpiękniejsza melodia. Z wdzięcznością uniosła głowę, by przyjąć jego pocałunek w policzek.

– Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała najzupełniej szczerze. – Przyjechałeś zamiast Milesa?

Miał na sobie kremowy garnitur oraz grubo tkany krawat i chyba nigdy nie był bardziej przystojny, promieniejący młodością i zdrową, męską energią.

– Został w domu, by dopilnować wszystkiego na twój przyjazd, więc skorzystałem z okazji, żeby pierwszy cię powitać.

Kłamał ze względu na nadstawione uszy pani Draper, odgadła Mary, ale była mu tak wdzięczna za te słowa, jakby to była prawda. Coś musiało się stać. Mama źle się zachowywała, zmieniła zdanie na temat powrotu córki do domu i Miles musiał zostać, by złagodzić sytuację. Pewnie wywołał Percy'ego z biura – przecież nie ubrałby się dla niej w taki szykowny garnitur – więc ten rzucił wszystko i pojechał na stację.

– Bardzo miło z twojej strony – odparła Mary, wzrokiem dając mu do zrozumienia, że zna prawdę i jest wdzięczna za to oszustwo.

Wciąż obejmując ją w tali, Percy odwrócił się do pani Draper.

– Proszę nam wybaczyć, ale lepiej zabiorę Mary do domu. Pani Darla nie może się już doczekać córki.

– Naprawdę? – zamruczała pani Draper. – Cóż za korzystna odmiana. Jestem pewna, że Mary będzie najlepszym lekarstwem.

– Bez wątplenia. Życzymy spokojnej, długiej podróży, pani Draper.

– Ależ dziękuję, panie Percy – I ręka znów wylądowała na kamei, po czym pani Draper zatrzepotała rękami, co jak zauważyła Mary, często zdarzało się kobietom w obecności Percy'ego.

– Dziękuję za ratunek – powiedziała, kiedy już się oddalili. – Cóż za obrzydliwa kobieta.

– Najgorsza z możliwych – zgodził się z nią Percy i wziął jej rękę, wkładając ją sobie pod ramię. – Przepraszam, że nie zdążyłem cię przed nią obronić.

– Właściwie to ja do niej podeszłam. Ona mnie nie poznała.

– Nawet wiem dlaczego.

– To znaczy?

Percy zatrzymał się i powiedział, udając zaskoczenie:

– Mary Toliver, czyżbyś domagała się komplementów, i to ode mnie?

Zjeżyła się cała. Czowała, że przybiera znów swoją pozycję obronną, ale na szczęście spojrzała mu w oczy. I zobaczyła, że żartował, a nie wyśmiewał się z niej. Na jego twarzy widziała podziw, a nawet dumę. Roześmiała się lekko.

– Choćby zżerała mnie ciekawość, co mogę usłyszeć, nigdy nie zwrócę się do ciebie, Percy Warwicku.

Poszli więc dalej.

– Powiedz mi wreszcie, co ta okropna kobieta miała na myśli, mówiąc o stanie mamy. To z jej powodu przyjechałeś za Milesa?

Chwycił ją mocno za rękę, jakby upewniając się, że nie upadnie, gdy usłyszy odpowiedź.

- Twoja mama ma problem z alkoholem, Mary. Jest... uzależniona.
- Co takiego? – Mary stanęła, niezdolna zrobić kroku. – To znaczy, że... że mama jest alkoholizką?
- Obawiam się, że tak.
- Ale jak to możliwe? Skąd wzięła alkohol?
- Wasz ojciec trzymał w piwnicy spory zapas, na wypadek wprowadzenia prohibicji.

Znalazła to, i zanim Miles z Sassie się zorientowali, co jest grane, było za późno.

Oniemiała z przerażenia. Jej matka... alkoholizką? Pijaczką? Obrzydliwe słowo opisujące ludzi bez własnej woli.

- I wszyscy wiedzą oprócz mnie – powiedziała. – Z tego co widzę, całe miasto, tak?

Wyraz twarzy Percy'ego zmienił się. Dojrzała w jego oczach niebezpieczny błysk.

- To twoje największe zmartwienie? Że nazwisko Toliver zostanie skalane?

„Oczywiście, że nie!” – chciała krzyknąć, zraniona tym oskarżeniem. Chodziło jej o mamę. Taki dodatkowy wstyd przed całym miastem już na zawsze ograniczy ją do czterech ścian własnego pokoju. Wyzwoliła się z jego objęć. Nic się nie zmieniło, przynajmniej między nimi. Wszystko zostało po staremu.

- Powinni mi byli powiedzieć.
- Miles nie chciał. Na cóż by się to zdało?
- Mogłam wrócić. W sumie to na co się zdał mój wyjazd?
- Warto było spróbować, Mary. Dla ciebie to niewielkie poświęcenie, nie uważasz?

I po co te wymówki? On już wydał na nią wyrok. Zrobiło się jej niedobrze. Otworzyła torebkę i zwróciła się do niego tonem, który ćwiczyły w Bellington:

- To moje kwity bagażowe. Cztery walizki, jeśli byłbyś tak miły i odebrał je. Powinny czekać na dworcu.

Percy zamknął jej wyciągniętą rękę w swoich dłoniach.

- Cyganeczko, wiem, że miałaś nadzieję na inne powitanie. Naprawdę mi przykro.
- Uczę się powoli, by nie robić sobie nadziei na nic, czego sama nie kontroluję – odparła, podnosząc głowę i z trudem powstrzymując łzy. Nikogo nie oceniał, tylko ją.

Wysunął kwity z jej dłoni i uniósł ją do ust, jednocześnie patrząc jej badawczo w oczy.

- A ja mam nadzieję, że jestem wyjątkiem od tej reguły.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i cofnęła rękę.

- Jedynym wyjątkiem jest nadzieja, że nie zostanę niesprawiedliwie osądzona przez tych, których kocham. Czym jedziemy do domu?

Percy potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że rozmowa z nią nie ma sensu.

- Przyjechałem samochodem, czerwono-żółty Pierce-Arrow. Stoi zaparkowany obok stajni, w cieniu pod drzewami. Możesz tam na mnie poczekać.

Lśniący, z otwartym dachem i niskim zawieszeniem wyróżniał się na parkingu jak koń czystej krwi wśród mułów. Mary stanęła od strony pasażera, pogrążona w smutku, praktycznie nieświadoma elegancji pojazdu. Nie czuła już radości z powrotu do domu, teraz bała się widoku matki i spotkania z Milesem. Jak mogła być tak głupia, żeby wyglądać go na peronie, gdy pociąg wjeżdżał na stację? Wyobrażała sobie, jak wracają w rodzinnym powozie, gawędząc o miejscowych płotczkach i o tym, co słychać na plantacji. Gdzieś głęboko miała nawet nadzieję, że może i mama ucieszy się z jej powrotu i znów będą mogli być rodziną

- przynajmniej do wyjazdu Milesa na wojnę.
- Czy mama ma opiekę lekarską? – zapytała Percy'ego, kiedy ten ładował bagaż na tylne siedzenie. – I czy leczenie daje jakieś skutki?

– Doktor Goddard regularnie ją odwiedza, ale jego kompetencje w tym zakresie są bardzo ograniczone. Zalecił całkowitą abstynencję, a Miles i Sassie usiłują ją utrzymać.

– Dobry Boże – westchnęła Mary, wyobrażając sobie, jaka to musi być męka. – Jest jakaś poprawa?

– Wciąż jest uzależniona, ale przynajmniej nie pije. Miles musi jej pilnować jak żrenicy oka, żeby mieć pewność. Zmieniają się z Sassie, a niekiedy proszą o pomoc moją mamę. Czasami, aby mogli odpocząć, albo żeby Miles mógł pojechać na plantację, trzeba ją było przywiązywać do łóżka. Przykro mi, Mary. Mówię ci to, żeby cię jakoś przygotować. Powinnaś wiedzieć, czego się spodziewać.

Nagle poczuła ucisk w mostku i zrobiło się jej słabo.

– Oczywiście alkohol wyrzucili?

– Wszystko, czego nie zdążyła wypić lub schować. W domu wciąż można się natknąć na butelki upchane to tu, to tam – mówiąc, otworzył przed nią drzwi. – Mam nakrycia głowy, jeśli chcesz ochronić włosy i kapelusz. Są też gogle. O tej porze roku pył na drodze jest nie do zniesienia.

– Dziękuję, jest za ciepło. Poza tym, chcę się przyjrzeć okolicy.

– Postaram się nie przekraczać pięćdziesiątki.

Wsiedli do samochodu i Percy zapalił silnik. Mary zafascynowana słuchała, jak kaszle, budząc się do życia pod długą, lśniącą, czerwoną maską. Raz jeden w życiu jechała pojazdem niezaprężonym w konia – sprowadzonym z Anglii rolls-royce'em Richarda Bentwooda.

– Mam nadzieję, że Miles nie wydał pieniędzy na coś takiego – zauważyła z niesmakiem, gdy ruszali, przyciągając pełne podziwu spojrzenia zebranych na peronie.

Percy zaśmiał się.

– Nie, znasz przecież Milesa. Uważa, że samochody to kolejny przykład kapitalistycznej degeneracji – odparł i skręcił w drogę do Howbutker. – A tak w ogóle, to byłem szczerzy, gdy mówiłem, że witamy w domu.

– Właściwie nie masz prawa tak mówić, biorąc pod uwagę, że za niecały miesiąc wyjedziesz Bóg jeden wie na jak długo – nie dodała „może na zawsze”, bo serce ścisnęła jej znajomy strach. – Mój brat i jego szczytne cele! To on zaciągnął was na tę wojnę, prawda?

– Ollie uznał, że ktoś musi z nim pojechać, bo inaczej ten ciężki idiota da się po prostu zabić.

– A gdzie jest Miles i Ollie, tam i ty; żeby mieć oko na obydwu.

– Mniej więcej.

Wciąż smutek i marnotrawstwo, zbyt wiele tego. Złość na Milesa rosła w niej jak posmak po zjedzeniu zepsutej ryby. Jak mógł zrobić to swoim najlepszym przyjaciołom i ich rodzinom? Jak mógł zostawić matkę w takim stanie, uciekać od odpowiedzialności za plantację? Budził w niej obrzydzenie, ale tego Percy'emu nie zdradzi. Nie pozwoliłby jej złego słowa powiedzieć o Milesie.

– Co będzie z autem, kiedy wyjedziesz do Europy?

– Sprzedam albo zostawię ojcu, żeby się nim zajął pod moją nieobecność. Mama nie chce w nim jeździć, ale tata nie ma nic przeciwko, żeby od czasu do czasu je przewietrzyć.

Nagle zapiekły ją oczy i zmuszona była uważnie przyjrzeć się krajobrazowi. Po chwili powiedziała:

– Zostaw je ojcu.

Wyczuła, jak zdziwiony odwrócił głowę.

– Dobrze – odparł zgodnie. – Zostawię je pod opieką taty.

Jechali przez chwilę w milczeniu, Mary obserwowała przyrodę. Derenie już przekwitły,

ale kwiatowe grona glicynii pyszniły się w całej swojej okazałości, ich lawendowe kwiaty zdobiły ogrodzenia, trejaże i pnie drzew. W Somerset pola bawełny też musiały być w pełnym rozkwicie, mieniły się tysiącem barw w świetle zachodzącego słońca Teksasu.

Na tym obrazie się skupiła. Wszyscy, których kochała, w jakiś sposób od niej odeszli, opuścili ją: dziadek, ojciec, brat, matka. Jedyne, co jej zostało, to Somerset. Ta ziemia była tam, czekała, by Mary się nią zajęła, dbała o nią rok po roku, żniwa po żniwach, do końca życia. Miles miał rację, ona nigdy jej nie opuści. Będzie kwiecień bawełniany, powódzie i susze. W ciągu zaledwie kilku minut grad może zniszczyć zbiory warte fortunę, ale ziemia pozostanie i będzie tam, gdy usunie się już szkody. Z ziemią zawsze wiąże się nadzieja. Z ludźmi niekoniecznie.

Usłyszała głos Percy'ego:

– Pewnie jak najszybciej będziesz chciała się wybrać do Somerset.

Niesamowite, jak on potrafił czytać w jej myślach.

– Tak – odparła krótko.

Powiedział to w taki sposób, jakby jej bezzwłoczna wizyta na plantacji była czymś wysoce niestosownym.

– Posłuchaj, zanim zbyt ostro naskoczysz na Milesa za sposób jego zarządzania, powinnaś się dowiedzieć o kilku rzeczach.

– O, tak? – uniosła brwi. Cokolwiek by powiedział, nie usprawiedliwi to w jej oczach poczynań Milesa na ziemi, która jest żywicielką ich rodziny.

– Pamiętaj, że to twój brat ma ostatnie słowo w sprawach plantacji aż do chwili, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Ale muszę ci przypomnieć, że twój brat, jeśli się zdenerwuje, może zmienić charakter plantacji i nie będzie to już ta Somerset, którą tak bardzo chciałabyś zachować. Pamiętaj też o tym.

Mary zastygła bez ruchu i spojrzała na niego zaskoczona.

– Co masz na myśli?

– Są inne sposoby wykorzystania ziemi niż obsadzenie jej bawełną, Cyganeczko.

– Percy, o czym ty mówisz? Co Miles zrobił? Co zamierza? – rzuciła ostro słowa, które natychmiast porywał wiatr, gdyż dach samochodu był przecież opuszczony. Zdała sobie sprawę, że krzyczą. W tym cholernym aucie nie da się normalnie rozmawiać, trzeba wrzeszczeć.

– Posłuchasz mnie w końcu, głuptasie, zanim zaczniesz oskarżać Milesa nie wiadomo o co? Mówię ci, czego nie zrobił, i to wyłącznie ze względu na swoją młodszą siostrę.

– Słucham – powiedziała, robiąc głęboki wdech.

– Mógł obsiać ziemię trzciną cukrową. Zaraz po twoim wyjeździe był tu plantator z Nowego Orleanu i złożył mu hojną propozycję. Miles ddrzucił ją, podobnie jak propozycję mojego ojca. Tata chciał wydzierżawić plantację i zalesić ją na dziesięć lat.

Mary zaniemówiła. Czuliła, że oczy wychodzą jej na wierzch.

– Gdyby to zrobił, nigdy nie odzyskalibyśmy tej ziemi – powiedziała, z trudem przełykając ślinę.

– Mary, czy to by była aż taka tragedia? – dłoń Percy'ego puściła kierownicę, szukając jej ręki. – Bawełna i tak nie ma przyszłości. Wypierają ją powoli włókna syntetyczne. Rynki, które przez tyle lat Teksas miał dla siebie, teraz zawłaszczają inne kraje. A jeśli to ci nie wystarczy, kwiecień bawełniany właśnie zrujnował większość pól w południowym pasie bawełny.

– Percy... Percy... – Mary wyszarpnęła rękę. – Nie mów tak, słyszysz! Bądź już cicho! Chyba nie wiesz, co mówisz. Mój Boże, co tu się dzieje?

Percy nie odezwał się, skupiony na prowadzeniu auta. Po chwili, wciąż nie odrywając wzroku od drogi, powiedział cicho:

– Uwierz mi, Mary, naprawdę mi przykro.

– I dobrze – odparowała. – Jak pomyślę, że twój ojciec chciał wykorzystać sytuację, oferując Milesowi – naiwnemu, łatwowiernemu, słabemu Milesowi – zalesienie Somerset. Przrzekam ci, Percy Warwicku, że prędzej zima zawita w lipcu do Howbutker, niż choćby jedna sosna Warwicków zapaści korzenie w ziemi Toliverów! – Była tak wściekła, że cała się trzęsła.

Dojechali do miejsca, gdzie na poboczu można było zawrócić. Percy zjechał z drogi, wzbijając tuman kurzu i z piskiem opon zatrzymał samochód. Przestraszona Mary instynktownie złapała za klamkę, szukając drogi ucieczki, ale Percy chwycił jej drugi nadgarstek, jednocześnie zrywając z oczu gogle. Mary nigdy nie widziała, żeby był taki zły i ten widok odjął jej mowę. Przypomniała sobie słowa Beatrice Warwick, jak opisywała jej matce gniew, do jakiego zdolny był jej syn: „Nie zdarza się to zbyt często, ale kiedy już go poniesie, trudno wyobrazić sobie coś bardziej przerażającego. Zaciska zęby jak stalowe wnyki, a oczy tracą cały kolor. I ile ma siły! Boże, mógłby złamać człowieka jak wykałaczkę. Na szczęście, mój syn nigdy nie wpada w złość bez ważnego powodu”.

Ważnego powodu...

– Nie oskarżaj mojego ojca o niegodziwość, bo chciał tylko pomóc twojej rodzinie tak, by myśleli, że to jemu na tym zależy – wycedził przez zaciśnięte zęby, a w oczach miał dwa kawałki lodu lśniące na zaczerwienionej twarzy. – Jeśli sama tego nie widzisz, jesteś głupsza, niż myślałem.

– To on powinien być mądrzejszy i nie składać takich propozycji za moimi plecami – zaatakowała Mary, usiłując uwolnić rękę z bolesnego uścisku Percy'ego. – Wie, ile bawełna znaczyła dla mojego ojca. To dlatego zostawił plantację mnie, a nie Milesowi!

– Może uznał, że obsesja twojego ojca nie jest twoją obsesją. Może myśli, że skoro jesteś kobietą, będziesz chciała poświęcić swoje życie czemuś więcej niż polu bawełny zjedzonej przez robaki i przestarzałemu systemowi służebności. Może uważa, że skoro masz za mnie wyjść, Somerset i tak zostanie zalesiona.

Na te słowa ze zdziwienia aż otwarła usta.

– Co?

– Słyszałaś.

– Wyjść... za ciebie? – patrzyła na niego osłupiała. – Zalesić Somerset? Żartujesz, tak?

– A brzmi to jak żart?

Przyciągnął ją do siebie. Była tak wstrząśnięta niedorzecznością i bezczelnością jego założeń, że wciąż miała otwarte usta, które Percy zamknął teraz pocałunkiem. Szarpała się i wrywała, bełkotała i piszcziała, ale wszystko na nic się zdało. Kobieta, którą w sobie poczuła, zdrajczyni tej czystej dziewczyny, która oparła się zalotom Richarda, teraz, w ramionach Percy'ego w pełni rozkwitła. Ciało jej płonęło, zmysły szalały. Ostrożność i dobre maniery wymknęły się spod kontroli, całkowicie pokonane przez pożądanie. Przyjęła go na tyle, na ile pozwoliły ubrania, które mieli na sobie. W końcu wróciła do teraźniejszości, leżąc zmęczona i rozgrzana w jego ramionach, świadoma, że jej strój podróżny jest zupełnie pognieciony, a włosy ma w nieładzie. Piekły ją usta, kapelusz leżał gdzieś w pyłe na poboczu drogi.

– Boże, zlituj się – jęknęła, zbyt osłabiona, by choćby ruszyć głową opartą o jego pierś.

– A teraz spróbuj powiedzieć, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

Nie sposób było temu zaprzeczyć. Kiedy wsiadała do samochodu, czuła się związana ciasno jak biała bawełna. Teraz jakby ktoś przeciął sznury i bawełna rozsypała się wszędzie wokół, obydwójce to wiedzieli. Ale to nie wystarczy...

– Nie mogę... Nie wyjdę za ciebie, Percy. Naprawdę, mówię poważnie.

– Zobaczymy, co powiesz, gdy wrócę z Europy, kiedy już posmakujesz, jak to jest doglądać dwa tysiące hektarów ziemi, walczyć z kwieciakiem, dbać o kilkadziesiąt rodzin dzierżawców i dopilnować, żeby nadzorca był trzeźwy. Że nie wspomnę o pilnowaniu matki i życiu z dnia na dzień. Chciałbym ożenić się z tobą przed wyjazdem, ale to nie byłoby w stosunku do ciebie w porządku – i pocałował ją w czoło, zostawiając słowa niedopowiedziane.

– Na szczęście jest mama i tata, oni się tobą zaopiekują.

– Cóż za zarozumiałość! – drwiła Mary, znajdując w sobie siłę, by się od niego odsunąć.

– A jeśli po twoim powrocie powiem to samo?

– Nie powiesz – uśmiechnął się, nie zarozumiałe jak Richard Bentwood, ale spokojnie, z niezachwianą pewnością wynikającą z tego, że dobrze ją znał.

Udało się jej jakoś wrócić na swoje miejsce w samochodzie. Poprawiła sukienkę.

– Wybij to sobie z głowy, Percy. Nic takiego się nie wydarzy.

Rozejrzała się wokół, szukając kapelusza i dostrzegła, że pasąca się na polu krowa przeżuwa go zadowolona.

– Zdarzy się – powiedział Percy, zapalając silnik.

Kiedy wjechali znów na drogę, Mary nie mogła na niego patrzeć. Miała teraz w sobie nowego wroga, dużo bardziej podstępnego niż kwieciak bawełniany, groźniejszego niż grad czy susza, bardziej przerażającego niż kartel bostońskich bankowców czyhających na Somerset. Wiedziała już, co kryło się za tym dziwnym antagonizmem, jaki wyczuwała między nimi przez te wszystkie lata. On miał nad nią moc, mógł sprawić, że go pokocha. Mógł osłabić jej wolę. Małżeństwo z nim oznaczałoby połączenie ich interesów, ekspansję firmy Warwicków kosztem Somerset. Mary zostałaby wchłonięta przez Warwicków, utraciłaby to, co wyróżniało ją jako jedną z Toliverów. Ich dzieci wychowane zostałyby jako Warwickowie, a linia Toliverów wygasłaby. Milesa nie można nazwać Toliverem. Zawsze był synem swojej matki, Henleyem, wizjonerem pozbawionym silnej woli. To ona była jedynym prawdziwym Toliverem, jaki pozostał. To jej synowie będą kontynuować ich ród, ale tylko jeśli poślubi mężczyznę, który podzieli jej zaangażowanie. A Percy Warwick nie był takim mężczyzną.

– Lepiej będzie dla nas obojga – powiedziała, patrząc prosto przed siebie – jeśli już więcej nie dopuścimy do czegoś takiego.

– Ja niczego nie obiecuję, Cyganeczko.

Już w drzwiach domu wyciągnęła do niego oficjalnie rękę.

– Dziękuję, Percy, że mnie przywiozłeś. Chyba lepiej, żebyś nie wchodził.

Percy zignorował wyciągniętą dłoń i objął ją w talii.

– Nie przejmuj się tym, o czym rozmawialiśmy. To może poczekać do mojego powrotu.

Podniosła głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Z całej duszy pragnę, żebyś wrócił, Percy, ale nie do mnie.

– Tylko do ciebie. Nie ma nikogo innego. I pamiętaj, nie bądź zbyt ostra dla Milesa. Przez ten rok czuł się jak pies otoczony przez wilki. Jeśli jest coś, czego się nauczył, to to, że żaden z niego farmer. Narobił bałaganu, co zapewne mu wytkniesz, ale starał się, jak mógł.

Mary skinęła głową, że rozumie.

– Moja dziewczynka – pochwalił ją Percy i przyciągnął do siebie, by delikatnie pocałować w usta. Mary cała zeszywniała, czując znów wzbierającą namiętność. Rozbawiony wzrok Percy'ego wskazywał, że też ją wyczuł. – Zobaczymy się później – dodał, puszczając ją w końcu. Gdy schodził po schodach, usłyszała za sobą otwieranie drzwi i okrzyki powitalne Sassie, ale dopiero po chwili mogła oderwać wzrok od jego sylwetki pewnym krokiem zmierzającym do samochodu.

Rozdział dwunasty

Howbutker, październik 1919

Pociąg się spóźniał. Po raz kolejny zerknęła na zegarek wpięty w klapę swojego niemodnego, ciemnozielonego kostiumu z serży i raz jeszcze spojrzała na puste tory.

– Pociąg wyjechał pewnie spóźniony z Atlanty – odezwał się Jeremy Warwick, by zmniejszyć nieco napięcie w małej grupce zebranej na peronie.

Było ich czworo – Jeremy i Beatrice Warwickowie, Abel DuMont i Mary. Czekali wraz z innymi mieszkańcami miasta na powrót „chłopców”. Przyszła tu też orkiestra szkolna, która miała powitać weteranów narodowym marszem *Stars and Stripes Forever*, gdy tylko pierwszy umundurowany żołnierz ukaże się w drzwiach wagonu. Nad wejściem do budynku stacji zawieszono wielki transparent z napisem WITAMY W DOMU NASZYCH BOHATERÓW. Taki sam wisiał w centrum miasta, gdzie zaplanowano paradę.

Wojna skończyła się prawie rok temu, ale nie dla Milesa, Olliego i Percy’ego czy tysięcy innych członków Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego, pozostających jeszcze we Francji – albo ze względu na niewystarczającą liczbę statków, które mogłyby przywieźć ich do domów, albo jako siły okupacyjne w Niemczech.

Tylko jeden Percy wracał do domu cały i zdrowy. Miles pod koniec wojny przeżył atak gazem bojowym, a kapitanowie Warwick i DuMont, żeby go nie zostawiać samego, już po podpisaniu rozejmu na ochotnika postanowili pomóc w demilitaryzacji Nadrenii. Niedługo po świętach Bożego Narodzenia Ollie, wówczas członek garnizonu okupacyjnego, został raniony granatem, który niemal urwał mu nogę aż do biodra.

Dla rodzin powracających dziś żołnierzy było to bardzo długie dwadzieścia sześć miesięcy. Już same lata wojny oznaczały dla nich ogromny niepokój. Gazety wciąż opisywały niewysłowioną udrękę żołnierzy znoszących trudy walki, a potem epidemię grypy, która atakowała nawet dziesięć tysięcy ludzi tygodniowo. Pod koniec wojny zaczęły napływać jeszcze okropniejsze opowieści o tym, że żołnierze w stanie krytycznym przenoszeni są ze szpitali polowych do obozów, z których powinni zostać wysłani do domu, a tymczasem zostawia się ich tam bez opieki i lekarstw.

Na takie wieści rodziny pogrążały się w rozpacz tak głębokiej, jak w najgorszych latach wojny. Trudno było wyobrazić sobie chłopców w okopach, drżących z zimna w namiotach gdzieś wśród bagien, bez opału i koców podczas najmroźniejszych zim w historii Europy, ale myśleć o Milesie i Olliem rannych i zapomnianych, z dala od domu, i o Percym, którego w każdej chwili mógł spotkać taki sam los – to jeszcze gorszy koszmar.

Ani do Europy, ani do Ameryki nie docierała w zasadzie żadna poczta. Te kilka listów, które dotarły zza morza, zawierało narzekania na beznadziejność usługi pocztowej, ale rodziny – dzielące się każdym nowym listem – wśród pokpiwań wyczytywały ich tęsknotę i samotność.

Beatrice Warwick, niezdolna odmówić, pozwoliła i Lucy wczytywać się bez końca w listy Percy’ego. Koleżanka Mary na dobre zainstalowała się już w Mary Hardin-Baylor i często odwiedzała Houston Avenue, gdzie wkradła się w okazywane z dużą rezerwą łaski Warwicków obejmujące również pokój gościnny w ich domu. Lucy wolała wymuszoną gościnność niż jej całkowity brak, z którym miała do czynienia w smutnej posiadłości Toliverów.

Oczywiście musiała tu dzisiaj być, myślała Mary, czując znajomą irytację i spoglądając na Lucy. Szczuplejsza, w modnej i twarzowej fioletoworóżowej sukni, której krój podkreślał jej figurę i odsłaniał nieco nogi, Lucy odeszła raz jeszcze, by po raz kolejny sprawdzić swoje odbicie w oknach dworca. Boże, jak ta dziewczyna umiała się wkręcić wszędzie, gdzie tylko chciała.

Mary dowiedziała się przez kucharkę Warwicków, że Beatrice – niesamowita kobieta, którą bardzo trudno było manipulować – zupełnie nie dawała sobie z nią rady i nie miała pojęcia, jak się jej pozbyć.

Wcześniej tego dnia, gdy rodzice Percy'ego przyjechali po Mary swoim lśniącym packardem – z Lucy odszykowaną na tylnym siedzeniu – jej koleżanka wydawała się zadowolona, że widzi ją w starym, zielonym kostiumie.

– Wspaniale wyglądasz! – zawołała, gdy Mary uniosła spódnicę, by wsiąść do samochodu. – Od lat lubię cię w tym kostiumie!

– Podobnie jak Percy – odezwała się z przedniego siedzenia Beatrice Warwick. – Jak to miło, Mary Lamb, że ubrałaś coś, co będzie pamiętała. Tak wiele się tu zmieniło od czasu, gdy chłopcy wyjechali.

Lucy zamilkła, a jej wydęte usteczka wskazywały, że zrozumiała reprimendę. Mary poczuła ogarniającą ją falę wdzięczności dla pani Beatrice. Wiedziała, że matka Percy'ego bardzo ją lubi i szanuje, o wiele bardziej niż jej własna matka. I na pewno nie pozwoli, by ktokolwiek odnosił się z wyższością do członka jednej z ich rodzin, a szczególnie jakaś obca dziewczyna, której zakusy na jej syna były tak jasne jak promienie letniego słońca.

Mary spojrzała na nią ciepło. Siedziała dzielnie obok męża – mocno zarysowana sylwetka w eleganckim i drogim, czarnym kostiumie, rękawiczkach i kapeluszu. Po wyjeździe chłopców przywdziała, jak to wszyscy nazywali, „wdowią czerń” i w niej pozostała. Nie chodziło o to, że nie miała nadziei na wyrwanie chłopców z uścisku śmierci, mówiła. W ten sposób protestowała przeciwko wojnie w ogóle, przeciwko głupocie narodów, które w tak barbarzyński sposób rozwiązywały swoje spory. Nosila żałobę, tłumaczyła, po wszystkich synach, którzy nie wrócą do domu.

Mary przeniosła wzrok ze spacerującej Lucy na Abła DuMonta. W jego twarzy wyczytała, że ojciec Olliego, który owdowiał, gdy Ollie miał dziesięć lat, wyobraża sobie ten tragiczny moment – syn wychodzi z pociągu o kulach. Umówił już w Dallas spotkanie z chirurgami, którzy w miarę możliwości zrekonstruują nogę. Wzruszona i pełna współczucia, wsunęła mu rękę pod ramię – założyła dziś rękawiczki, by ukryć ślady ciężkiej pracy. Zamiast uśmiechu zobaczyła tylko pogłębiające się wokół jego oczu bruzdy. Ze zrozumieniem poklepał ją po ręce. Mary miała nadzieję, że wybaczy jej, iż nie włożyła tej pięknej sukni z peleryną, które wisiały sobie spokojnie w szafie. Prezentowała ją na pokazie mody w domu towarowym DuMontów, po którym wszystkie kobiety paradyjące po wybiegu otrzymały w prezencie prezentowane przez siebie kreacje. Mary była przekonana, że całe przedstawienie zorganizowano z jej powodu, jako kolejny sposób Abła na wzbogacenie jej garderoby, by miała w czym wystąpić dziś na peronie. Doceniała ten gest, ale Toliverowie nie byli jeszcze gotowi na przyjęcie jałmużny.

Z daleka dobiegł wreszcie tak oczekiwany gwizd lokomotywy.

– Już słyhać! – ktoś zawołał, a tłum znów ożył, otaczając niewielką grupę osób, które podeszły bliżej torów.

Kiedy rozległ się drugi gwizd, a w oddali zamajaczył obłok pary, Mary myślała, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Czy bardzo się zmienił... Percy Warwick, miejscowy złoty chłopiec? Wojna musiała zostawić na nim ślad. Czy zachował ten swój swobodny sposób bycia, częsty śmiech i pewność siebie? Czy wciąż będzie chciał się z nią ożenić?

Nawet teraz wspomnienie ich wspólnych ostatnich chwil sprzed dwóch lat w tym samym miejscu przyspieszyło jej puls. Na oczach wszystkich wziął ją wtedy w ramiona... tworząc pośród tłumu enklawę intymności. Prawie się nie widzieli od dnia, kiedy przywiózł ją ze stacji, do wyjazdu na oficerski obóz treningowy, ani też po powrocie z obozu, a przed wyjazdem do

Europy. Nawet gdyby nie spędzała całych dni na plantacji, wieczorów zaś na doprowadzaniu do porządku prowadzonych przez Milesa ksiąg, wątpiła, żeby próbował ją widywać. On czekał na pewno – czekał, aż ona zmęczy się plantacją, z nadzieją, że do jego powrotu będzie wykończona tą trudną walką.

– Nie zmieniłem swoich planów, Mary – powiedział tamtego dnia. – Po powrocie cię poślubię.

– Nigdy – przyrzekła, a serce waliło jej tak mocno, że Percy musiał je słyszeć. – Nigdy, jeśli to znaczy utratę Somerset.

– Do tego czasu Somerset nie będzie już ważna.

– Nigdy, Percy. Musisz się z tym pogodzić.

– Godzę się tylko na nasze małżeństwo.

– Dlaczego? – zapytała, zapamiętując promienie słońca na jego włosach, głęboki odcień opalenizny i przejrzyste spojrzenie. Pod pachą trzymał wojskową czapkę. – Przemyślałam to wszystko i uważam, że to... to tylko pożądanie. Po prostu. Myślę, że nawet mnie nie lubisz.

Roześmiał się.

– A co ma do tego lubienie? To jasne, że jest pożądanie, ale chcę się z tobą ożenić, bo cię kocham. Kocham cię całe twoje życie, od chwili kiedy uśmiechnęłaś się do mnie między szczebelkami swojego łóżeczka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym poślubić kogokolwiek innego.

Słuchała go z niedowierzaniem. Percy... który mógł mieć każdą dziewczynę... zakochany w niej od urodzenia? Jak mogła tego nie zauważyć?

W ciągu ostatnich dwudziestu sześciu miesięcy przeżywała tę chwilę tysiące razy... przypominając sobie, jak z powrotem założył na głowę czapkę, objął ją w talii, przyciągnął do siebie i pocałował... a potem rozdzielili się, płonąc, zatopieni w swoich oczach. Jak przez mgłę rejestrowała zaskoczenie wśród najbliższych stojących, zdziwiony wzrok swojego brata i w końcu... zrezygnowany uśmiech Olliego, który podszedł, gdy Percy zęgnął się z rodzicami.

– Nie martw się, Mary – powiedział, patrząc na nią poważnie, bez tego błysku w oku.

– Dopilnuję, żeby Percy wrócił w jednym kawałku.

– Och, Ollie... – głos jej się załamał, gdy wymawiała jego imię. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że była zbyt ślepa i skupiona na sobie, żeby zauważyć to wcześniej. Ollie też się w niej kochał. Teraz wycofywał się, ustępując pola Percy'emu.

– Ollie, pamiętaj, żeby zadbać też o siebie – powiedziała, mocno go przytulając i czując, że szyty na miarę mundur już nie wytrzyma w szwach z powodu kilku dodatkowych kilogramów nabytych podczas urlopu w domu.

Kiedy myślała teraz o Olliem, zmroziło ją podejrzenie, które nękało ją już od chwili, gdy otrzymali telegram z wiadomością o wybuchu granatu. W kilku kolejnych listach nie znaleźli wielu szczegółów. Dowiedzieli się jedynie, że Percy i Ollie byli razem na patrolu, kiedy w pobliżu wybuchł granat. W ciągu wielu niespokojnych, bezsennych nocy Mary zapytywała samą siebie: Czy to możliwe, że Ollie poświęcił siebie dla Percy'ego?

Obok niej przepychał się fioletoworóżowy rękaw i zirytowana Mary odwróciła się do koleżanki.

– Lucy, może pozwól Warwickom pierwszym powitać syna.

Niebieskie oczy pociemniały urażone.

– A myślisz, że mogłabym zrobić inaczej, Mary Toliver? To właśnie ty najlepiej powinnaś rozumieć, co czuję do Percy'ego.

– Nie sądzę, że w ogóle jest jeszcze ktoś, kto tego nie rozumie.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi – Lucy kontynuowała obrażonym szeptem, żeby nie

usłyszeli Warwickowie. – Wszyscy inni mogą myśleć, że wierzę w to, że mam u niego szansę. Tylko ty wiesz, że nigdy nie będzie mój. Ale dopóki nie zakocha się w kimś innym, co może mnie powstrzymać przed Kochaniem go, modleniem się za niego i radością, że wrócił i jest już w domu, bezpieczny?

– Twoja duma? – zasugerowała Mary. Jak kobieta mogła tak otwarcie i bezwstydnie wystawiać się na ból, jak szczeniak, który radośnie wystawia brzuszek, żeby go kopnąć?

– Duma? – zachichotała Lucy. – Dyrzymały! Duma to jakieś okowy, które ograniczają cię do małej przestrzeni bez szansy na to, by zobaczyć, co jest za horyzontem. Lepiej dobrze się zastanów nad swoją dumą, Kochanie. Ona może cię zgubić.

– Jada!

Pociąg zwalniał, zbliżając się do stacji. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę. Abel, zaciskając mocno dłoń na swojej lasce, wyprostował się z poważną miną. Zapominając o Lucy, Mary poczuła, że pieką ją oczy. Po policzkach Jeremy'ego Warwicka już toczyły się łzy, a Beatrice wyciągnęła ogromną, obszytą koronką chusteczkę z czarnego rękawa swojej sukni i zakrywała nią usta. Dyrygent wznosił batutę. Zawiadowca zajął swoje stanowisko w miejscu, gdzie pociąg miał się zatrzymać.

– Widzę ich! – ryknął mężczyzna, który szedł wzdłuż torów. Mary rozpoznała w nim farmera, który stracił syna pod Belleau Wood. Zerwał z głowy kapelusz i zaczął machać i wołać do twarzy wyglądających zza szyb pociągu. Mary poczuła nagle przemożną, bolesną tęsknotę za mamą, żeby stała tu obok niej. Ale ona leżała w domu, zupełnie zmarniała, jakby pochłonięta przez swoje łóżko. Długa walka z alkoholizmem skończyła się już, ale cena, jaką przyszło jej zapłacić, może się okazać zbyt wysoka. Czas pokaże. Czas oraz chęć lub niechęć matki do życia. Może powrót Milesa coś zmieni. Może wraca akurat, żeby ją uratować i znów będą mogli być rodziną.

Lucy wrzeszczała jej do ucha. Piszczwały hamulce zatrzymującego się pociągu, a wszyscy zebrani patrzyli w otwarte okna, szukając uśmiechów znajomych twarzy, widoku mundurów. Zawiadowca wskoczył na stopnie wagonu.

– Gdzie oni są? – denerwowała się Lucy.

– Pewnie czekają już na korytarzu – powiedziała Beatrice.

– Może Ben ostrzeże chłopców przed tłumem na stacji – snuł domysły Jeremy Warwick, mówiąc o zawiadowcy.

– A może mój syn potrzebuje pomocy – zauważył Abel. – Zazwyczaj przesyłają taką informację wcześniej.

– Ben powiedziałby nam o tym – odparła spokojnie Beatrice.

– Co się dzieje, do cholery? – jęczała Lucy w niespokojnym tłumie.

Zawiadowca pojawił się w drzwiach wagonu, z którego mieli zaraz wychodzić bohaterowie. Uniósł obydwie ręce.

– Uwaga! Kapitanowie Toliver, Warwick i DuMont będą tu lada chwila. Proszę, żeby odsunęli się wszyscy prócz ich rodzin. Pamiętajcie, że w pociągu znajdują się też inni pasażerowie. Dajcie im przejść na stację.

– Na Boga – zdenerwowała się Beatrice – niech pan już skończy gadać i daje tu chłopców!

Zawiadowca uklonił się i znów wszedł do wagonu.

– Panowie! – zawołał do wnętrza.

Tłum zbiorowo wstrzymał oddech, po czym zaczął głośno wiwatować, gdy w drzwiach ukazał się Percy. Orkiestra zagrała, a Warwickowie i Lucy rzucili się do przodu, ale on szukał kogoś ponad ich głowami. Mary powoli uniosła rękę, jego wzrok ją odnalazł i rozjaśnił się na

jedną, długą chwilę, gdy serce prawie przestało jej bić. A potem zszedł po stopniach i znikł z jej pola widzenia. Dostrzegła jedynie skrawek jego wojskowej czapki, którą zaraz przesłoniły ogromny kapelusz Beatrice i szerokie ramiona Jeremy'ego Warwicka. Biedna Lucy, skakała za nimi jak pisklę wypychane z gniazda, nie mogąc przedrzeć się przez barierę ich uścisków.

Mary poczuła, że cała tryska radością. Ogromna ulga przeszła jej ciało jak piorun. Żyje... jest zdrow... i cały. Nareszcie w domu.

Wszyscy wstrzymali oddech wyczekując kolejnych żołnierzy. Pojawił się Ollie, jak zawsze z promiennym uśmiechem na twarzy. Mary zakryła dłonią usta. Obok niej Abel DuMont cały zeszywniał, wydając z siebie stłumiony okrzyk.

– O, mój Boże. Obcięli mu nogę.

Rozdział trzynasty

Za nim ukazał się Miles. Mrugał powiekami, jak człowiek, który zbyt długo przebywał pod ziemią i nie może przywyknąć do słońca. Mary i Abel patrzyli bez słowa. Ollie pomachał jedną z kul do zebranych na peronie, którzy teraz tak nagle ucichli, a potem ze zwykłą sobie werwą zręcznie zaczął manewrować kulami na schodkach. Prawa nogawka jego munduru została podniesiona i przypięta na wysokości kolana, powyżej którego zwisała płaska jak pusty worek.

Śmiertelnie blady i wstrząsająco chudy Miles wysiadał z pociągu obładowany bagażem, skupiony na pokonaniu stopni. Posępny i opanowany Abel DuMont podał jej ramię, by razem poszli przywitać swoich krewnych.

– Miles? – powiedziała niepewnie Mary, zastanawiając się, czy pozwoliłby jej się uściskać.

Patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Mary? To ty? Boże, ale jesteś piękna. Ja chyba też, co? – uśmiechnął się z odrobiną dawnej ironii, odsłaniając gnijące zęby. – Gdzie mama?

– W domu. Nie może się już ciebie doczekać, Miles i... ja też tęskniłam – poczuła, że drży jej broda, a po chwili do oczu napłynęły łzy.

Miles postawił bagaż na ziemi i wyciągnął ramiona.

– W takim razie chodź tu do mnie i mocno uściskaj starszego brata.

Objęła go z całej siły i trzymała długo, przerażona jego okropnym wychudzeniem.

– Sama skóra i kości – jęknęła. – Sassie będzie się musiała napracować, żeby cię wykarmić.

– A co tam u niej?

Gdyby chciała powiedzieć prawdę, musiałaby przyznać: „Jest zmęczona, Miles. Wycieńczona, bo usiłuje doglądać mamy, prowadzić dom bez żadnej pomocy i postawić coś na stole, mając do dyspozycji bardzo ograniczone zapasy”.

– Bez zmian – odparła. – Jest trochę starsza i troszkę szybciej się męczy.

– A mama?

– Też ta sama, niestety. Wszystko ci opowiem, ale nie tutaj.

Usłyszała za sobą jakieś odgłosy.

– Witaj, Mary Lamb.

Ollie, ten sam, a jakże zmieniony. Mundur wisiał na nim tak jak na reszcie, ale blask w oczach pozostał. Jego ojciec, który dotąd cały czas się jakoś trzymał, objął Milesa i głośno zaszlochał.

– Kochany Ollie – powiedziała ze łzami w oczach, pochylając się i całując go lekko w usta. – Witaj w domu.

Uśmiechnął się.

– Warto było po to przyjechać, mówię ci. Jesteś jeszcze piękniejsza, niż zapamiętałem. Nie uważasz, Miles?

– Powiedziałem dokładnie to samo – zgodził się z przyjacielem jej brat, wzruszony emocjonalnym powitaniem Abla. – Gdybym nie znał Mary, bałbym się, że uroda może jej uderzyć do głowy.

– Taki już jej urok – zauważył Ollie.

Kiedy Miles pokazywał Ablowi bagaż Olliego, ten wziął Mary za rękę i mocno ją ścisnął.

– Dzięki za listy.

– Dostałeś je?

– Cztery. Percy był zazdrosny jak diabli, że wysłałaś je do mnie, ale pozwoliłem mu się burmuszyć. Dobrze mu to robiło.

– Przecież były do was wszystkich, i on dobrze o tym wiedział. Czy to brak patriotyzmu, że nie pisałam do każdego z osobna?

– Skąd! Jasne, że nie. Miał mnóstwo listów od innych dziewczyn.

– Tak? – pytała, widząc ponad jego głowę, jak Percy, też bardzo wymizerowany, próbuje się wyzwolić z zaborczych objęć Lucy. Musiał się mocno schylić ze względu na jej niski wzrost.

– Ale czekał tylko na twoje – Ollie szepnął jej w zaufaniu do ucha.

Sluchając tego ściszonego głosu, przyjrzała się jego twarzy, szukając w niej potwierdzenia swoich obaw.

– Ollie? Nie zrobiłeś chyba nic tak absurdalnego, jak poświęcenie się dla mnie i Percy’ego, prawda? – gdy to mówiła, inna myśl przebiegła jej przez głowę: „Boże, wybaczone, a gdyby tego nie zrobił...?”

– Daj spokój, czy ja jestem zdolny zrobić coś tak absurdalnego jak poświęcić się dla Percy’ego i ciebie? – zapytał, muskając dołeczek w jej podbródku.

– Moja kolej, Ollie – odezwał się za nim Percy, a Mary poczuła, że nogi ma miękkie jak rozgotowany makaron.

– Jest cała twoja. – Ollie pokuśtykał na swoich kulach, uśmiechając się z żalem, jak ktoś, kto musi oddać cenny skarb.

Scenę powitania ćwiczyła równie często, jak często przypominała sobie ich pożegnanie... co powie, jak się zachowa. Wszyscy będą na nich patrzeć, spodziewając się jakiejś romantycznej sceny, ale nie da im najmniejszego powodu do mielenia ozorem ani Percy’emu żadnej nadziei – o ile, oczywiście, nadal będzie się chciał żenić.

Ale teraz, kiedy stanęli twarzą w twarz, cała skrupulatnie przygotowana przemowa i wyćwiczone gesty uleciały jej z głowy jak puch dmuchawca na wietrze. Bez zastanowienia wyciągnęła rękę, jednak nie żeby uścisnąć mu dłoń, jak zamierzała wcześniej, ale by dotknąć doświadczonego na wojnie policzka.

– Witaj, Percy – zalewająca ją fala wdzięczności i ogromnej ulgi tylko tyle pozwoliła jej z siebie wydusić.

– Witaj, Cyganeczko – stał, jak zwykle swobodnie, z rękami w kieszeniach wojskowych bryczesów, nie zbliżając się od razu, jakby była rzadkim winem, które należy raczej sączyć małymi łyżkami niż wypić jednym haustem. – Dlaczego nie pisałaś?

– Bo... bo...

Niejasno zdawała sobie sprawę, że inni zostawiają ich samych – Ollie kuśtykał do Lucy, żeby uchronić ich od jej towarzystwa, a Miles poszedł przywitać się z Warwickami.

– Bałam się – wyjaśniała. Wiedziała, że właśnie o to najpierw ją zapyta i postanowiła powiedzieć mu prawdę.

– Czego?

– Że... nie mogę napisać tego, co chciałbyś przeczytać. A byłeś na wojnie. Bałam się, że moje listy mogą cię rozczarować bardziej, niż gdybym w ogóle nie pisała.

– Źle oszacowałaś ryzyko.

– Chyba tak – zgodziła się zawstydzona. Przecież w takich warunkach, w jakich oni się znajdowali, każdy list z domu byłby lepszy niż żaden. Nieśmiało znów wyciągnęła dłoń i dotknęła mocno napiętej skóry jego policzka. – Wszyscy okropnie straciliście na wadze.

– Gdyby tylko to – odrzekł.

– No tak – zrozumiała, co ma na myśli. Wszyscy stracili coś ze swojej najgłębszej istoty – niewinność, jak przypuszczała. Widziała tę stratę w ich młodych starych twarzach, tak

znajomych, a jednocześnie jakby obcych. Codziennie rano, w swoim lustrze, przed kolejnym katorżniczym dniem na plantacji, obserwowała tę samą stratę w sobie. Cofnęła rękę, widząc, że on nie zamierza jej dotknąć. – Nie miałeś listów, ale miałeś moje modlitwy, Percy. Aż trudno mi wyrazić, jaka jestem szczęśliwa, że zostały wysłuchane. – Nie potrafiła uwolnić się od jego wzroku. Wciąż ani razu jej nie dotknął, stał tylko z godnym podziwu opanowaniem, które ją niepokoiło.

– Zostały wysłuchane, ale kosztem nogi Olliego.

Z przerażeniem zakryła usta dłonią.

– Chcesz powiedzieć...

– Że ten niemiecki granat był przeznaczony dla mnie. Ollie uratował mi życie.

Zanim zdążyła się odezwać, podszedł Miles, marszcząc brwi.

– Mary, jedziemy już? Chcę się zobaczyć z mamą.

– A chłopcom przydałaby się też porządna drzemka – dodał Percy. – W pociągu nie zmrúżyli oka.

– Tak samo jak i ty – zauważył Miles, dając mu kuksańca w ramię.

Oszołomiona wyznaniem Percy'ego, zdeorientowana rozejrzała się wokół. Kłębujący się tłum czekał na ich znak, że ceremonia dobiegła końca. Dostrzegła Beatrice Warwick kroczącą w ich stronę niczym wielki, czarny ptak. Lucy biegła za nią w swoich jasnych, wesołych piórkach, a Jeremy maszerował obładowany powitalnymi kwiatami.

– Przyjechałam z Warwickami, Miles – zdobyła się na odpowiedź, świadoma, że Percy wciąż wbija w nią swój wzrok. – Pani Beatrice musi nam powiedzieć, jak wracamy.

– Tak jak się spodziewałam – oświadczyła zirytowana Bea-trice. – Tłumaczyłam przecież burmistrzowi Harperowi, że parada powinna odbyć się kilka dni później, kiedy wszyscy zdołamy złapać oddech, ale on się upierał, żeby oszczędzić wszystkim drugiej wycieczki do miasta. Abel chce zabrać Olliego do domu. Biedny chłopak jest wykończony.

– Miles też – powiedziała Mary. – I chce jak najszybciej zobaczyć się z mamą.

– No tak, wszyscy nie zmieścimy się do packarda – zauważyła Lucy, stając u boku Percy'ego i patrząc z ukosa na Mary.

– Jesteśmy tego świadomi, Lucy – odparła Beatrice, rzucając jej kwaśne spojrzenie.

– Miles, kochany, ty i Mary wróćcie z Ablem, a o czwartej spotkajmy się wszyscy w domu, razem pojedziemy na paradę. Mam nadzieję, że chłopcy zdążą choć trochę odpocząć.

Wszyscy wyrazili zgodę cichymi pomrukami, jednocześnie zabierano już bagaże.

Beatrice wzięła od męża naręczce kwiatów i kilka bukietów podała Lucy.

– Pomóż mi, proszę, zanieść to do samochodu – powiedziała.

– Ale ja... – zaprotestowała Lucy zza kolorowych mieczyków zakrywających jej twarz.

– No już, już, idziemy – zakomenderowała Beatrice, przez ramię puszczając oko do swojego syna i Mary.

Kiedy zostali sami, Percy wyciągnął ręce z kieszeni i położył jej na ramionach.

– Dziś wieczorem po całym tym zamieszaniu odwiozę was z Milesem do domu

– zaproponował. – Zarezerwuj sobie trochę czasu, żebyśmy mogli porozmawiać. Nie odmawiaj mi tego, Mary.

– Dobrze – szepnęła, niemal zamroczona od uderzającej jej do głowy krwi.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Moja dziewczynka – powiedział, muskając jej dołeczek w brodzie, a potem ruszył za rodzicami i Lucy.

Rozdział czternasty

Mary czekała w salonie, gdy Miles poszedł na górę do pokoju matki. Obejmując się – co miała w zwyczaju w czasach rozpacz – stała przed przeszklonymi drzwiami wiodącymi do niegdyś wspaniałego różanego ogrodu. Tylko kilka krzewów przetrwało zaciekły atak jej matki przypuszczony pewnej nocy w kilka dni po odczytaniu testamentu. Większość zginęła od łomu, którym wbito je wręcz do ziemi, podczas gdy dom spokojnie spał. Następnego ranka Toby odkrył poćwiartowane białe i czerwone kwiaty oraz pocięte łodygi, więc natychmiast zaczął szukać broni w obawie, że jego pani może w ten sam sposób potraktować swoją córkę, która jeszcze spała.

Różanych krzewów nie posadzono na nowo, więc spustoszone miejsce porastały trawa i chwasty, na szczęście oddzielone od ulicy trejażami, którym przydałaby się świeża warstwa białej farby. Teraz, w końcu sezonu tylko kilka kwiatów kwitło dzielnie na pałkowatych łodygach.

W domu nie było alkoholu i Mary żałowała, że nie poprosiła wcześniej Toby'ego, by na powitanie Milesa kupił butelkę szampana. Nie mogliby uczcić jego powrotu z matką, wiadomo, ale we dwójkę mogli przecież wnieść toast w salonie.

Co prawda nie mieli zbyt wielu powodów do świętowania. Brat był schorowanym cieniem człowieka, teraz jeszcze bardziej obcym niż przed wyjazdem. W drodze do domu siedział w pełnym urazy milczeniu przerywanym jedynie atakami kaszlu. Już na miejscu postawił swój wojskowy bagaż przy drzwiach, jakby w ogóle nie zamierzał zostać, tylko odwiedzić matkę i zaraz wyruszyć na kolejną wojnę. Uściskał serdecznie Sassie, ale jej powitalny obiad został nietknięty na stole nakrytym najlepszą zastawą.

– W ogóle nie jestem głodny – powiedział. – Może potem zjem u siebie kanapkę.

No i biedny, kochany Ollie. Wesołość, którą prezentował ludziom, uleciała, gdy tylko wsiadł do nowego cadillaca Abla, jednego z pierwszych modeli wyprodukowanych przez Henry'ego Forda. Ojciec kupił synowi ten elegancki samochód jako prezent powitalny, ale jak Ollie miałby prowadzić bez prawej nogi. Abel wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku. Wydawał się starszy o kilka dobrych lat, gdy prowadził ich do swojego nowego auta zaparkowanego wraz z packardem wśród innych, mniej nowoczesnych pojazdów.

A Percy? Zawdzięczał Olliemu życie. Czy Percy wiedział o obietnicy, którą Ollie jej złożył? Czy wziął na siebie ten granat dla nich? Byli sobie bliźsi niż bracia. Może Ollie działał instynktownie, z miłości do najlepszego przyjaciela, w ogóle nie myśląc o niej. Ale jeśli Ollie rzeczywiście uratował mu życie ze względu na nich, jakie były jej zobowiązania wobec nich obu?

Lepiej się zorientuje w sytuacji, kiedy porozmawia dziś wieczorem z Percym, ale odpowiedź na najbardziej nurtujące ją pytanie już poznała. Uczucia Percy'ego do niej nie zmieniły się.

Ani jej do niego. Jeśli już, to w czasie jego nieobecności tylko się wzmocniły. Co rano budziła się z myślą o nim i co wieczór szła spać, martwiąc się o jego życie. Czasami budziła się z koszmaru, cała drżąc, bo zobaczyła spełnienie swoich najgorszych obaw – nawet gorszych niż utrata plantacji. Śniła, że Percy został zabity.

Miała więc teraz dylemat. Percy spodziewał się, że kiedy wróci, plantacja nie będzie już problemem, ale ona teraz właśnie bardziej niż kiedykolwiek pragnęła ją utrzymać. Na wszystkie świętości, zasłużyła na nią swoim poświęceniem. Po wyjeździe Milesa, który mianował Emmitta Waithe'a swoim pełnomocnikiem w sprawach plantacji, Mary zwolniła Jethro Smarta, nadzorcę,

którego zatrudniła wcześniej na miejsce Lena Deetera, i sama wzięła na siebie jego obowiązki, pracując czasami osiemnaście godzin dziennie. Przy współpracy Emmity, pod jej bezkompromisowymi rządami Somerset zaczęła przynosić zyski. Pozwoliło jej to na spłatę wyższych rat hipoteki, dzięki czemu może zwrócić cały kredyt kilka lat wcześniej, niż to ustalono w umowie z bankiem.

Owszem, nie było pieniędzy na nic poza artykułami pierwszej potrzeby. Spodziewała się niezadowolenia Milesa, kiedy zobaczy opłakany stan domu i brak służby, ale przecież już wkrótce zmodernizują dom i zastąpią bryczkę samochodem.

Zresztą, jeśli stan matki nie będzie wymagał dalszego kosztownego leczenia, a tegoroczne plony okażą się tak obfite, jak przewidywała, znajdą się pieniądze, które zainwestuje w ziemię, zwiększając jej wydajność. Już teraz, kiedy wojna się skończyła, przemysł i nauka wychodziły naprzeciw potrzebom farmerów. Sprawdzano nowe metody upraw, na rynku pojawiły się udoskonalone maszyny, lepsze ziarno i nowe substancje nazywane pestycydami, które zwalczają takie szkodniki jak kwiecień bawełniany. Jak tylko spłaci hipotekę, wszystko to będzie w zasięgu Somerset.

A gdzie miejsce dla Percy'ego? Czy zgodzi się przyjąć i ją, i Somerset? Czy doświadczenia wojenne złagodziły czy wzmocniły jego poglądy na temat dzielenia swojej żony z tak ryzykownym przedsięwzięciem jak plantacja bawełny? Wkrótce skończy dwadzieścia pięć lat. Będzie się chciał ustatkować, mieć dzieci, zająć się rodzinnym interesem. Ona też tego chciała, bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Ale nie kosztem Somerset. Nigdy w życiu nie mogłaby zrezygnować z plantacji. To byłaby zdrada ojca, i jego ojca, i wszystkich Toliverów przed nimi, którzy wydarli tę ziemię lasom, pracowali na niej w pocie czoła, poświęcali się i umierali za te tysiące hektarów, by z dumą patrzeć, jak rozkwitają dzięki wysiłkom ich rąk. Za nic na świecie nie poświęci Somerset z powodu męskiej dumy! Ale... kochała Percy'ego. Był jak bolesny cierń, który wbił jej się w ciało i nie mogła go wyciągnąć, choćby nie wiadomo jak się starała. Pragnęła go, pożądała, potrzebowała go. Nie miała już co do tego żadnych wątpliwości. On nie chciał dłużej czekać, a ona nie była pewna, czy potrafi mu się oprzeć.

– Źle wygląda.

Mary aż podskoczyła.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Miles wszedł do pokoju, przygarbiony, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie o wiele za luźnych spodni. Przebrany w cywilne ubranie rozglądał się po salonie, jakby znalazł się w poczekalni i nie wiedział, gdzie usiąść.

– Mama wygląda okropnie, chyba nie zaprzeczysz? To miejsce, gdzie ją wysłałaś, zupełnie ją wykończyło.

Mary poczuła złość.

– Akurat po wyjściu z sanatorium wyglądała kwitnąco – wyjaśniła, starając się zachować spokojny ton głosu. – Emmitt powiedział, że znów przypominała dawną Darlę, ale w pociągu z Denver przeziębła się, a z tego rozwinęło się zapalenie płuc. I to dało się jej we znaki...

– Mama mówi, że wysłałaś ją do Denver, żeby mieć ją z głowy w czasie zniw.

– Miles, to nieprawda! – Rozczarowana podniosła głos. – Wymagała profesjonalnej pomocy. Nie wyobrażasz sobie nawet, co ona potrafiła wymyślić, ile się nawysilać, żeby tylko zdobyć butelkę. Obrażała każdego, kogo wynajęłam, więc nikt nie chciał z nią zostawać, a Sassie była zupełnie wykończona.

– A ty? Gdzie ty byłaś?

– Dobrze wiesz, gdzie byłam. Musiałam zająć się zniwami. Przecież wiesz, jak wygląda

praca na plantacji: codzienna harówka od wschodu do zachodu słońca, i to przez cały rok.

Wzrok Milesa przeszywał ją niemal na wskroś.

– Wcale nie musi tak być. Gdybyśmy po śmierci papy sprzedali ziemię, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła.

Mary zdążyła ugryźć się w język, ale cała się zatrzęsła. Nie chciała w ogóle o tym myśleć – co by było gdyby. Podniosła z tacy srebrny imbryczek.

– Masz ochotę na filiżankę kawy? Jest też piernik. Sassie upiekła go specjalnie dla ciebie.

– Nie, dziękuję. Opowiedz mi o mamie. Myślisz, że kiedykolwiek dojdzie do siebie?

– Nie jest jeszcze wyleczonym alkoholikiem, jak to nazywają – mówiła Mary, sącząc gorącą kawę, by rozluźnić trochę ściśnięte gardło. – Wciąż ciągnie ją do alkoholu i ostrzegali nas...

– Nas?

– Pana Emmitta i mnie. Pomagał mi jej doglądać. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

To on znalazł to sanatorium. Pojechał ze mną do Denver i razem ją stamtąd przywieźliśmy.

– Pewnie dręczą go wyrzuty sumienia.

– Myślę, że po prostu nam współczuje – Mary cierpliwie broniła adwokata. – Lekarze powiedzieli, że jeszcze całe lata trzeba jej będzie pilnować, zanim da się ją zostawić bez opieki. Usiądź, Miles, porozmawiajmy. Czy wolisz iść do siebie i odpocząć?

– Nie, porozmawiajmy – usiadł na sofie ze spuszczoną głową, zwieszając ręce między kościstymi kolanami. Po chwili powiedział:

– Poprosiła mnie o drinka.

– O, nie, Miles...

Mary nie przyszło nawet do głowy, że matka zechce wydebić alkohol od Milesa, że mogłaby w ogóle o tym pomyśleć. Odkąd usłyszała o jego powrocie, ożywiła się, oczy jej błyszczały, jakby miała jakąś tajemnicę. Mary myślała, że cieszy ją powrót syna, ale teraz uświadomiła sobie, że ona najzwyczajniej liczyła po prostu na drinka.

– Co jej powiedziałaś? – przyglądała się bratu nieufnie, bo matka zawsze robiła z nim, co chciała.

– Odmówiłem, to chyba oczywiste.

– A ona co na to?

Miles przecesał dłonią swoje przeredzone, matowe włosy, z których zaraz posypał się łupież, przypominając w świetle zachodzącego, jesiennego słońca zawieszony w powietrzu drobinki kurzu.

– Nie dostała ataku, jeśli o to pytasz. Ten etap przynajmniej ma już za sobą. Wyglądała jak lalka, z której ktoś wyciągnął wszystkie gałgany.

Mary usiadła przy nim.

– Myślałam, że czuje się lepiej z powodu twojego powrotu, a nie butelki, na którą od ciebie liczyła.

– No cóż, niestety – odrzekł cierpko Miles. Złożył dłonie, wpatrując się w podłogę.

Mary oparła dłoń na jego ramieniu.

– O co chodzi, Miles? Wydajesz się taki wszystkim rozczarowany. Nie cieszysz się, że jesteś już w domu?

Zerwał się nagle z sofy, wcisnął ręce do kieszeni i zaczął przemierzać pokój, tam i z powrotem, garbiąc ramiona – nieomylny znak, że zbiera się na odwagę, by jej coś zakomunikować.

– Ja nie zostaję, Mary – wyrzucił w końcu. – Chcę wrócić do Francji. Jest tam pewna pielęgniarka, która pomogła mi dojść do zdrowia, przynajmniej na tyle, na ile się dało... – złapał

go atak kaszlu. Kiedy już się uspokoił, dokończył, patrząc siostrze w oczy: – Moje płuca są do niczego, Mary Lamb, i nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało.

– Miles, posłuchaj...

Podniósł rękę, żeby mu nie przerywała.

– Nie rozklejam się, zresztą chyba mnie znasz. Po prostu mówię szczerze. Ten czas, który mi pozostał, chcę przeżyć z Mariettą. I jeszcze coś... Zostałem komunistą.

– Miles! – Mary aż poskoczyła. – Niemożliwe! – sama była zaskoczona, że tak bardzo się przeraziła. W końcu to do niego podobne. Zawsze lubił polityczne nowinki i zawsze porzucał je, kiedy pojawiały się nowe. Ale Toliver komunistą!

– Wiedziałem, że właśnie tak zareagujesz. I wiem, że uważasz, że to tylko kolejna moja fanaberia, ale mylisz się. Rewolucja bolszewicka to największa rewolucja w historii ludzkości. Zrobi dla świata więcej niż...

– Och, przestań, Miles. Przestań! – Mary zasłoniła uszy. – Nie mam zamiaru słuchać w tym domu obrony systemu politycznego jeszcze bardziej żądnego krwi niż ten, który zastąpił. Komunista, też coś! – nie potrafiła ukryć obrzydzenia. – A Marietta? Czy ona podziela twoje złudzenia?

– Jest członkiem partii komunistycznej.

– Dobry Boże! – Mary odwróciła się znużona. – Więc mówisz, że chcesz wracać do Francji, żeby zostać komunistą?

– Chcę wrócić do Francji, żeby ożenić się z Mariettą. Komunistą już zostałem.

– To przywieź ją tutaj.

– Nie. Tam jest lepszy klimat dla komunistów.

– Ach, tak, rozumiem... – Mary przerwała, robiąc znaczącą pauzę i wydymając usta.

– A co z mamą? Liczyłam na twoją pomoc, myślałam, że ulżysz trochę Sassie. Wpuszcza do pokoju tylko ją, Toby'ego i Beatrice Warwick. Mnie nie może znieść.

– W tym stanie, w jakim się znajduje, marząc tylko o butelce, nie potrzebuje mnie. Ty zresztą też nie. Założę się, że od śmierci papy Somerset nie była w lepszej kondycji. Zadbaliśmy pewnie o to, że każdy biedak codziennie zwija belę bawełny. Spodziewałbym się nawet, że będziesz chciała się mnie pozbyć, żebym nic nie zepsuł.

Mary nie martwiła się, że Miles mógłby jej przeszkodzić w skutecznym prowadzeniu plantacji. Ona i pan Emmitt nie pozwoliliby na to.

– To nie plantacja cię potrzebuje, ale mama i ja. Powinniśmy znów być rodziną.

– Wyjeżdżam, Mary – mówiąc to, spojrzął jej prosto w oczy. – Muszę teraz myśleć o Marietcie i o sobie. Przyjechałem, bo chciałem się upewnić, że chłopcy dotarli cało do domu i ostatni raz zobaczyć się z tobą i z mamą.

Oczy Mary wypełniły łzy zawodu. Skąd u Milesa ta fascynacja celami politycznymi tak obcymi jego wychowaniu i rodzinnej tradycji? Rodzina i przyjaciele traktowałiby jego poglądy poważnie, gdyby tylko tak często ich nie zmieniał, ale jeśli teraz postąpi zgodnie z nimi, stracą go na zawsze. Nie będzie miał już siły, żeby ponownie przepłynąć ocean. Musi go jakoś zatrzymać do czasu, gdy ta nowa gorączka minie, a Percy i Ollie przekonają go do zmiany zdania.

Pogłaskała go po nieogolonej twarzy.

– Zostań przynajmniej, aż nabierzesz sił. Daj nam trochę czasu, żebyśmy się mogli tobą nacieszyć.

Miles złapał jej dłoń, a potem drugą i uważnie im się przyjrzał.

– Jaką ciężką pracę wykonują te ręce w tak młodym wieku. Och, Mary... Mary... – jego głos złagodniał, pojawił się w nim niepokój, jakiego nie słyszała od lat. – Jeśli jesteś mądra, wyjdiesz za Percy'ego. Jest najlepszą partią w Teksasie i zupełnie zwariował na twoim punkcie.

Niestety, obawiam się, że nie jesteś mądra, w każdym razie nie jak kobieta. Mądra kobieta wie, co tak naprawdę liczy się w ostatecznym rozrachunku. Jakie znaczenie mają wspaniałe zbiory, jeśli nie możesz wrócić do domu, gdzie czeka na ciebie ten, którego kochasz? Ale nie, ty posłuchasz swojego serca plantatorki, które mówi ci, że możesz mieć i Percy'ego, i Somerset. Ale nie możesz, Mary. Duma mu na to nie pozwoli.

Wyrwała mu dłonie, całe czerwone i poobcierane, chowając je do kieszeni sukienki. Twarz ją paliła.

– Dlaczego to ja mam się poświęcić? Czemu Percy nie może ustąpić?

Miles wykrzywił usta.

– Bo jest tak samo głupi jak ty. Ale ja nie jestem. I dlatego wracam do Marietty.

Odwrócił się i odszedł, jak zwykł robić to po każdej ich kłótni od czasu odczytania testamentu. Przy drzwiach rzucił jeszcze przez ramię:

– Powiedz wszystkim u Warwicków, że ja nie jadę. Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej patriotycznej szopce, którą zaplanował burmistrz.

Rozdział piętnasty

Mary została w salonie jeszcze długo po wyjściu Milesa. Boże dopomóż, była zmęczona aż do szpiku kości, smutna do głębi swojej duszy. Zastanawiała się, co też powiedziałby ojciec, gdyby mógł zobaczyć teraz ich rodzinę, każdego z członków osobno, bez najmniejszej nadziei pojednania... a wszystko z powodu żony i syna, którzy nie potrafią zrozumieć, jakie znaczenie ma Somerset dla przetrwania ich dziedzictwa.

Miles nie poruszył tematu ranienia Olliego. Mary przyznała się przed sobą, że nie spytała go o szczegóły, ponieważ wołała ich nie znać. Nigdy nie chciała się dowiedzieć... dlatego postanowiła nie spotykać się wieczorem z Percym sam na sam. W tej chwili marzyła jedynie o tym, by rozpląnąć się w jego ramionach i by udowodnił jej, że rzeczywiście wrócił w końcu do domu. Ale Miles miał rację. Duma nigdy nie pozwoli Percy'emu poślubić kobiety, która służy dwóm panom. Jednak nie mogła być tego pewna, dopóki z nim nie porozmawia. Tylko że nie dziś. Była zbyt zmęczona, zbyt samotna i zbyt mocno go pragnęła, żeby ryzykować takie spotkanie. Mogłaby się zgodzić na wszystko. Poczekaj, aż nadejdzie godzina spotkania u Warwicków i wtedy prześle wiadomość, że Miles nie czuje się na siłach, by uczestniczyć w uroczystościach, więc wszyscy wcześniej się położą spać. Lucy się ucieszy z jej nieobecności. Co do reakcji Percy'ego, wołała o tym nie myśleć.

Późnym popołudniem, leżąc w swoim pokoju, słyszała przytłumione dźwięki zabawy dochodzące z centrum miasta – muzykę, klaksony samochodów i sztuczne ognie. Niedługo potem w nocnej koszuli zeszła na dół, by w salonie przysłuchiwać się odgłosom powracających do domów samochodów. Powinny być trzy, jeśli Percy jechał swoim Pierce-Arrowem, w czasie jego nieobecności doglądany przez ojca. O jedenastej usłyszała pierwszy, a potem kolejny jadący Houston Avenue. Zerkając zza zasłony, zobaczyła cadillaca Abła i packarda. Kiedy na ulicy ucichło, trzeci samochód skręcił na podjazd Toliverów i zatrzymał się przed werandą. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

Stała tuż przy frontowych oknach, w ciemnym pokoju, nasłuchując i obserwując. Prosty dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu niósł w sobie erotyczny sygnał, cichy, ale pewny zapowiadał mężczyznę zdecydowanego, który przychodzi bez pośpiechu. Usłyszała lekkie pbrzękiwanie kluczyków, delikatny szelest liści pod jego stopami i pomyślała, że chyba umrze, zanim doczeka się, aż wyjdzie z cienia i zobaczy go w świetle październikowego księżycy. I ten moment był faktycznie tak okropny, jak myślała. Księżycowa poświata ukazała go w pełnej krasie. Blond włosy i szerokie ramiona w doskonale skrojonym, nowym, ciemnym garniturze, lśniące złote spinki oraz najnowszy model męskiego zegarka, noszony na ręce, do tego połysk ręcznie sztych butów... księżę przychodzi do żebraczki.

Przy schodach stanął osłupiały.

– Co?! – usłyszała jego krzyk i wyjrzała zza zasłony, by zobaczyć jak przeskakuje po dwa stopnie. Doszedł ją odgłos rozrywanej kartki, którą zostawiła dla niego pod drzwiami. Patrzyła, jak podchodzi do lampy na werandzie. Specjalnie zostawiła ją zapaloną. Zrobił krok do tyłu i zdumiony patrzył w okno, za którym stała, mocno przyciskając pięść do ust.

– A niech cię, Mary! Jak mogłaś mi to zrobić? – wołał do zasłoniętej szyby ochryplym głosem pełnym gniewu i rozczarowania. – Przecież wiesz, jak bardzo chcę się z tobą spotkać, że tylko na to czekałem. Obiecałaś, że mi nie odmówisz, do cholery! – zniżył w dłoniach jej kartkę i zdecydowanym krokiem podszedł do jednego z okien. – Mary, wychodź. Wiem, że tam jesteś, cholera jasna! – oparł się o ramę i pochylił, nasłuchując odpowiedzi.

Mary nie odważyła się nawet drgnąć, zastanawiając się, jak to możliwe, że Percy nie

słyszy bicie jej serca, które od jego złocistych włosów dzieli zaledwie centymetry. Na ten ukochany widok zamknęła oczy, jeszcze bardziej przyciskając dłoń do ust, by oprzeć się przemożnej chęci otwarcia drzwi i rzucenia się mu w ramiona.

– Dobra – powiedział, prostując się. Dostrzegła w jego oczach twarde błysk determinacji.
– Może to nie jest najlepszy moment dla nas. W takim razie jutro. Jutro się zobaczymy. Możesz się mnie spodziewać.

Mary pozostała w bezruchu, aż do chwili, gdy światła Pierce---Arrowa skrzyły z podjazdu na ulicę, wtedy dopiero wypuściła powietrze z płuc. Dobrze. Jutro będzie o wiele lepiej. Uczucia trochę opadną, nie będą już tacy spięci. Powie Sassie, żeby zaprosiła go na południową kawę, a sama wcześniej wróci z plantacji i trochę się ogarnie, żeby ładnie wyglądać, zrobi też coś ze swoimi rękami. Wtedy będzie gotowa.

Wstała wcześniej rano i o siódmej, tak jak dzierżawcy, była już na plantacji. Zbierali ostatnie torebki nasienne, które zostały jeszcze na krzewach, żeby zdążyć przed jesiennymi deszczami. Mary opróżniła właśnie swoje worki na wóz, który miał zawieźć bawełnę do zważenia, gdy poczuła na ramieniu dłoń jednego z czarnoskórych dzierżawców.

– Pani Mary, ktoś do pani przyjechał.

Przyłożyła dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem i spojrzała w kierunku, który wskazywał palcem. Serce prawie jej stanęło.

– O Boże, nie...

Między rzędami bawełnianych krzewów, w rozpiętej marynarce szedł w jej stronę Percy. Wydęła policzki. Nie było już nadziei: przyłapał ją, gorzej nie mogła wyglądać, a to stawiało Somerset w jak najgorszym świetle. Zrezygnowana ściągnęła z głowy kapelusz z szerokim rondem, rękawem otarła pot z czoła i ruszyła mu naprzeciw.

Percy się zatrzymał. Typowo męskie, czekała tylko, aż oprze dłonie na biodrach i zmarszczy brwi, karcąc ją za niewłaściwy wygląd. Nic takiego się jednak nie stało. Wsunął rękę do kieszeni, a jego twarz pozostała zupełnie obojętna, bez wyrazu, jak czarna tablica przed pierwszym dzwonkiem na lekcje.

Ale myślał pewnie to samo, co każdy inny mężczyzna pomyślałby na jego miejscu. Mary miała na sobie starą flanelową koszulę ojca z podwiniętymi rękawami i szerokie, poplamione spodnie wsunięte w zniszczone robocze buty. Kapelusz to dodatek, który nabyła niedawno, bo zdała sobie sprawę, że jej skóra robi się brązowa jak orzech, a wkrótce mają wrócić chłopcy. Rękawiczki przeszkadzały w zbieraniu bawełny, więc dawno, zresztą całe wytarte, już je porzuciła. Włosy związała z tyłu rzemykiem, miała brudną twarz i ręce. W jego oczach wyglądała zapewne jak żebraczka, która nieraz pukała po jałmużnę do ich kuchennych drzwi.

Zatrzymała się kilka metrów od miejsca, gdzie stał w swoim nienagannym, biurowym stroju, świadoma, że wszyscy przestali zbierać i obserwują ich, zastanawiając się, co też wielki pan Percy z Kompanii Drzewnej Warwicków robi tutaj na plantacji. On odezwał się pierwszy:

– Witaj, Mario nadobna.

Uniosła wyżej głowę.

– Nie wiedziałam, że masz też w swoim słownym arsenale ironię.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – odparł, zasłaniając oczy, w których aż iskrzył gniew. – Dlaczego mi wczoraj nie otworzyłaś?

– Wydawało mi się, że wyjaśniałam wszystko w swoim liście.

– Napisałaś, że wcześniej się położyliście, ale przecież nie spałaś, stałaś w salonie i obserwowałaś mnie, prawda?

Mary przez chwilę rozważała odpowiedź, a potem przyznała:

– Prawda.

- Czy tak się traktuje żołnierza, który wraca z wojny?
- Nie, ale i ty i ja dobrze wiemy, co by się stało, gdybym otworzyła te drzwi, prawda,

Percy?

Zrobił krok w jej stronę, oczy miał pełne bólu.

- Do diabła, Mary! Czy to byłoby takie złe? Mój Boże, przecież jesteśmy dorośli.

Mary rozejrzała się wokół, czując delikatne trzepotanie za mostkiem i słabość w kolanach. Dzierżawcy wrócili do pracy, ale wciąż rzucali ciekawskie spojrzenia. Nie miała pojęcia, jak daleko łagodne, październikowe powietrze niosło ich głosy.

– Może porozmawiamy tam dalej – zaproponowała, wskazując zaparkowany pod drzewami samochód Percy’ego.

– Porozmawiajmy – zgodził się Percy i złapał ją za ramię, jakby chcąc uniemożliwić ucieczkę w przeciwnym kierunku.

Przywiózł ze sobą filiżanki i nowy wynalazek na amerykańskim rynku, pozwalający utrzymywać wysoką temperaturę napojów, nazywany termosem. Warwickowie zawsze pierwsi mieli wszystkie nowinki techniczne. Nalał kawę, ale Mary nie chciała pić w samochodzie, pamiętając, co zaszło, kiedy ostatnio do niego wsiadła. Pomogła mu rozłożyć koc w cieniu drzewa i razem na nim usiedli, za szerokim pniem i automobilem Percy’ego niewidoczni dla pracujących. Mary widziała, że zauważył jej spierzchnięte i pokłute dłonie.

– Sam widzisz – zaczęła – jak to ze mną jest. Liczy się każda para rąk, włącznie z moimi, i tak będzie, aż spłacę hipotekę.

– Nie musi tak być.

– Owszem, musi.

– Mary, spójrz na mnie – odstawił swoją filiżankę i uwięził jej brodę w swoich palcach.

– Kochasz mnie?

Trzepotanie zamieniło się w mocne bicie. Skinęła głową.

– Tak, tak, kocham cię.

– Wyjdiesz za mnie?

Nie odpowiedziała od razu.

– Chciałabym – powiedziała w końcu, patrząc mu w oczy z taką samą intensywnością, jaką widziała u niego. – Ale pozwól, że o coś cię zapytam. Wziąłbyś mnie i Somerset?

Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– Na dzień dzisiejszy tak, Mary. W Europie nie myślałem o nikim innym, tylko o tobie. Pragnę cię bardziej niż kiedykolwiek. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. Nie chcę takiego życia. A więc tak, w tej chwili zgadzam się na wszystko, jeśli tylko za mnie wyjdiesz.

Dał jej odpowiedź, o którą się modliła, a jednak słuchała jej z takim smutkiem, że niemal się rozpląkała. Był pięć lat od niej starszy, lepiej wykształcony, w wielu sprawach mądrzejszy, bardziej doświadczony, lepiej znał się na ludziach, a mimo całej swojej naiwności to ona umiała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ich przyszłość, gdyby się pobrali. Przez te dwa lata, kiedy go nie było, ona również myślał tylko o nim, o wspólnym życiu z nim, natomiast ostatniej nocy, przed świtem, w końcu wyciągnęła wnioski.

– Percy – powiedziała, biorąc rękę, którą trzymał jej brodę, i przyciskając ją do serca.

– Mówisz to, co czujesz teraz. Ale co będzie, kiedy to, co czujemy do siebie teraz, minie? Co wtedy? – uciszyła jego odpowiedź, kładąc mu palec na ustach. – Powiem ci, jak to będzie. Znienawidzisz to, że musisz dzielić się moją miłością z plantacją. Będziesz zazdrosny o Somerset i wściekły, że zabiera mój czas tobie i dzieciom, naszemu domowi, naszym zobowiązaniom towarzyskim, temu życiu, które wyobrażasz sobie dla siebie i swojej żony. W końcu znienawidzisz tę plantację, a potem i mnie. Powiedz mi szczerze, nie mam racji?

Mówiła głosem pewnym, ale łagodnym, pełnym szczerego żalu. Percy na pewno zdawał sobie sprawę z tego jej odczucia. Czekala na jego reakcję, zapytując się raz setny, jak może pozwolić temu mężczyźnie odejść, jak ona to zniesie. Ale zwykła przyzwoitość nie pozwalała jej postąpić inaczej. Percy patrzył na nią tym swoim wszystko wiedzającym wzrokiem, a ona miała nadzieję, że w jej posępnej twarzy i zniszczonych dłoniach dostrzeże przyszłość, która może grozić Somerset: wiecznie słabe plony i niespłacony dług, jej wycieńczenie pracą, nieskończone źródło zmartwień. Kiedyś wyobrażała sobie Somerset jako wspaniale prosperującą plantację, a siebie jako wspaniale zadbaną i ubraną w kreacje odpowiednie dla plantatorki, ale te dwa lata użerania się z leniwymi dzierżawcami, kwiecakiem bawełnianym, kaprysmi pogody i nieprzewidywalnymi rynkami bawełny urealniły różowy obrazek. Mimo to była przecież i na zawsze pozostanie plantatorem, plantatorem Toliverem, i niezależnie od tego, co przyniesie jej przyszłość, minione dwa lata nauczyły ją, że sobie poradzi.

W końcu Percy się odezwał:

– Mogę teraz ją opisać, jak widzę naszą wspólną przyszłość?

Uwolniła swoją dłoń.

– Jeśli musisz – powiedziała z rezygnacją osoby zmuszanej do wysłuchiwania czyichś mrzonek.

Założył jej za ucho pasemko włosów, które wymknęło się spod rzemyka...

– Możesz to nazwać męskim zarozumiałstwem, arogancją albo siłą miłości, ale ja wierzę, że zdołam sprawić, iż porzucisz Somerset. Wierzę, że dzięki mnie kobieta wyprze plantatora i nie będziesz już chciała poświęcać czasu ani energii na walkę z dzierżawcami, szkodnikami i pogodą. Kiedy przekonasz się, co mam do zaoferowania, będziesz już zawsze chciała być tylko ze mną, stworzyć dom dla mnie i naszych dzieci. Będziesz chciała być zawsze na miejscu, świeża i piękna, kiedy ja wracam wieczorem. W niedzielne poranki będziesz wołała kochać się ze mną niż ślęczyć nad księgami. Twoja krew Toliverów okaże się mniej ważna, gdy zobaczysz połączoną z moją w naszych dzieciach. A kiedyś...

Delikatnie, zanim Mary się zorientowała, co się dzieje, przyciągnął ją do siebie i pocałował w sposób, którego nigdy nie zapomni.

– A kiedyś – powtórzył, puszczając ją z uśmiechem w błyszczących oczach – będziesz się zastanawiać, skąd przyszło ci do głowy, że wyniszczająca cię plantacja mogłaby kiedykolwiek zastąpić męża i dzieci, którzy cię uwielbiają.

Mary patrzyła na niego, czując swoje usta, miękkie i soczyste, jak dojrzały owoc. Percy marzył! Opowiadał zwykłą baśń! Kobieta wyprze plantatora? Przecież to jedno i to samo!

Zirytowana odsunęła kosmyk, który znów się wymknął, ignorując swoje fizyczne podniecenie.

– Percy, jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nie zauważyłeś, kim ja naprawdę jestem?

– Zauważyłem – mówił, sprawiając wrażenie, jakby znów chciał ją pocałować. – To ty sobie nie uświadamiasz tego, co dla mnie jest jasne jak słońce. I to właśnie chcę ci pokazać.

Mary – jego oczy spowaźniały – jesteś to sobie winna. My jesteśmy to sobie winni.

„Jesteśmy to sobie winni?”. Słowa te przypomniały jej o Olliem i tym palącym pytaniu, które nie dawało jej spać zeszłej nocy... a którego nie miała odwagi zadać. Ale musi.

– A co z Olliem? Co jemu jesteśmy winni?

Zmarszczył czoło.

– Olliemu? Wiem, co ja mu zawdzięczam, ale my?

Mary badała wzrokiem jego twarz, szukając w niej potwierdzenia, że wie, o czym mowa, ale dostrzegła jedynie dezorientację. Dotknęła jego rękawa.

– Opowiedz mi o tym dniu.

Odsunął się, wypił łyk kawy, z trudnością przełykając i odwrócił głowę w stronę pól.

– Nasz garnizon prowadził kolumny pokonanych żołnierzy z Francji do Niemiec.

Większość Szwabów była zadowolona, że wojna się skończyła i chcieli po prostu dalej normalnie żyć, ale kilku wciąż walczyło za ojczyznę. To na tych właśnie musieliśmy uważać. Chowali się na poboczach dróg i dopadali nas, gdy odłączyliśmy się od reszty. To właśnie taki gnojek rzucił ten granat.

Percy wylał resztkę kawy na trawę i skrzywił się, jakby zostawiła po sobie gorzki posmak.

– Spadł tuż za mną, ale ja go nie widziałem. Ktoś krzyknął, żeby mnie ostrzec, ale zanim zdążyłbym zareagować, byłoby już za późno. Ollie odepchnął mnie i rzucił się na granat

– zwrócił do niej spochmurniała od wspomnienia twarz. – Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.

Nie wie, pomyślała, z mieszanymi uczuciami ulgi i przerażenia. Słuchała uważnie, wyczulona na najmniejsze wspomnienie o obietnicy, jaką złożył jej Ollie, ale nic takiego nie usłyszała. To zostanie między nimi. Dla Percy'ego Ollie po prostu kierował się miłością do przyjaciela, poświęcając dla niego swoje życie. Może i tak było i wcale nie miała obowiązku poślubić mężczyzny, który wrócił do domu dzięki poświęceniu Olliego. Ale poczuła w sobie falę wdzięczności za ten czyn.

– Jestem mu taka wdzięczna.

– Tak?

– Przecież wiesz, że tak.

Ich oczy spotkały się na długą chwilę, a potem w jego twarzy pojawił się nowy błysk.

– Wiesz, co chciałbym teraz zrobić?

– Chyba boję się zgadywać.

– Chciałbym cię zabrać do naszej chaty, włożyć cię pod prysznic i całą namydlić.

A potem...

– Przestań, Percy...

Poczuła takie pożądanie, że aż zakręciło się jej w głowie, zakryła mu usta ręką, by jego słowa nie popłynęły w stronę pól bawełny.

Ale on mówił dalej, nie zważając na jej dłoń.

– ...wytarłbym cię do sucha i zaniósł do łóżka, gdzie kochalibyśmy się przez resztę dnia.

I co ty na to?

Prawie bez tchu, powiedziała:

– Niemożliwe. – I szybko wstała. – Muszę wracać do pracy.

– Oho, na pewno nie – powiedział Percy, łapiąc ją za but. – Nie skończyliśmy naszej rozmowy, Cyganeczko, tej zanim zacząłem opowiadać o Olliem. Nie wysłuchałaś mojej propozycji.

– Myślałam, że właśnie ją przedstawiłeś.

– Mam jedną poważniejszą.

– Ale chyba też już ją usłyszałam.

– Nie tę – Percy również wstał. – Ale najpierw mam pytanie.

Spojrzała w stronę pola, zbieracze ciągle rzucali na nich zaciekawione spojrzenia.

– Więc pospiesz się, zanim damy im temat do plotek.

Starł jej z twarzy plamkę brudu.

– Plantacja tak czy inaczej może zbankrutować, kochanie, co byś wtedy zrobiła?

Miała wrażenie, że słońce zasłoniła ciemna chmura. Nie chodziło mu o samą katastrofę

finansową. Pytał, jak by się czuła, gdyby straciła i jego, i plantację. Nigdy się jeszcze nad tym nie zastanawiała. Postanowiła odpowiedzieć ostrożnie.

– Pomyślałabym, że to ci odpowiada.

Jego uśmiech stał się nagle zimny.

– Miałbym być szczęśliwy, że wygrywam cię walkowerem? O nie, Cyganeczko, to by mi wcale nie odpowiadało. Mogę zająć pierwsze miejsce *ex aequo*, ale nigdy drugie. Chcę, żebyś była moja nie z konieczności, ale z wyboru, żebyś zdała sobie sprawę, że potrzebujesz mnie tak samo jak Somerset. A więc, wracając do tego, co jesteśmy sobie winni...

– Co proponujesz? – spytała, głośno przelitykając ślinę.

– Proponuję, żebyśmy dali sobie szansę i przekonali się, kto ma rację, ty czy ja.

Przekonajmy się, czy potrafimy bez siebie żyć.

– I... jak to zrobimy?

– Nie tak jak myślisz, chyba że tak wyjdzie. Będziemy spędzać razem czas. Na rozmowie, jedzeniu, spacerach...

Ale ja nie mam czasu – pomyślała rozeźlona.

Percy podszedł bliżej, spoglądając na nią ironicznie.

– Tak czy inaczej wygrasz, Cyganeczko – powiedział. – To ja mogę przegrać.

W dole brzucha czuła, jak coraz szybciej płynie jej krew, czuła gorąco i pulsowanie. Czy się odważy przyjąć tę propozycję – ryzykując poddanie się jego magnetyzmowi i swojej perfidnej żądzy? A może to okazja, by udowodnić mu, że wcale nie są dla siebie stworzeni i skończyć z tym szaleństwem raz na zawsze?

– Zgodzę się, jeśli zrozumiesz, że nie będę osiągalna na każde wezwanie i jeśli obiecasz, że nie będziesz mnie popędzał ani wykorzystywał mojego... braku doświadczenia. Bo wtedy ucieknę jak przestraszony królik.

– Będę samym zrozumieniem i cierpliwością. Nawet nie poczujesz mojej sieci.

Tego się obawiałam, pomyślała podniecona i przerażona jednocześnie.

– Jest jeszcze jedna rzecz... musisz obiecać mi coś jeszcze.

– Słucham.

– Nie mów do mnie więcej „Cyganeczko”.

Roześmiał się, głębokim, dźwięcznym śmiechem – co noc się modliła, żeby go jeszcze kiedyś usłyszeć.

– Obiecuję. Teraz umowa stoi?

– Stoi – odparła na granicy wytrzymałości nerwowej. – Ale naprawdę muszę już wracać do pracy.

Wiedziała, że odprowadza ją wzrokiem, gdy wracała na pole. Nie winiłaby go, gdyby się rozmyślił. Jak mógł jej pragnąć w tych szerokich spodniach i flanelowej koszuli, z włosami opuszczonymi na plecach jak u jakiejś squaw? Nie odeszła daleko, gdy coś sobie przypomniała. Odwróciła się.

– A co z Lucy?

– Lucy? – zmarszczył brwi, jakby nie kojarzył imienia. – O, Lucy. Wczoraj powiedziałem jej, że jest ktoś inny.

Mary znieruchomiła.

– Powiedziałeś kto?

– Nie, oszczędziłem jej tego. Powiedziałem, że to kobieta, którą kocham całe jej życie i chcę poślubić. Wyjechała zaraz z rana. Raczej jej już nie zobaczymy.

Rozdział szesnasty

Miles wyjechał w ciągu tygodnia. Kiedy poszła rano do jego pokoju zapytać, czy zejdzie na śniadanie, znalazła przypiętą do poduszki kartkę: „Przepraszam. Muszę jechać. Wyjaśnij wszystko mamie. Kocham Was, Miles”. Obok leżała czerwona róża.

Powoli podniosła ją zdziwiona, że Miles zdecydował się na symbol tak znienawidzony przez matkę i tak zakorzeniony w tradycji Toliverów. W jej oczach pojawiły się łzy, uniosła kwiat do ust. Przypomniała sobie czasy, gdy w czwórkę stanowili taką szczęśliwą i kochającą rodzinę. Słyszała znów śmiech mamy i głęboki głos ojca, swój własny pisk radości, gdy Miles wyrzucał ją w górę i łapał. Zabawiła jeszcze chwilę w pokoju brata, wspominając, a potem kazała Toby'emu wezwać pana Percy'ego.

Zjawił się w ciągu kilku minut. Ubierał się do pracy, gdy dostał wiadomość. Sassie zaprowadziła go do salonu, gdzie Mary, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń, siedziała wciąż z różą w dłoni. Kiedy spostrzegła go stojącego spokojnie przy jej fotelu, miała déjà vu. Czyż nie przeżyła już tej chwili, gdy słońce odbijało się w jasnych włosach Percy'ego, chowając w cieniu jego twarz?

– Wyjechał – powiedziała. – Miles wrócił do Francji, do Marietty i Partii Komunistycznej.

– Wiem. Dzwonił przed wyjazdem. Do Olliego też.

Zmarszczyła czoło, obrzucając go oskarżającym wzrokiem.

– I nie ostrzegłeś mnie?

Westchnął, podciągnął lekko nogawki spodni i przykucnął przy niej. I znów Mary wydało się, że już coś takiego przeżyła. Przypomniała sobie, że Percy był u niej i klęczał przy tym samym fotelu tego wieczoru po odczytaniu testamentu. I miał taki sam, spokojny wyraz twarzy. Dotknął jednego z płatków.

– On ją zostawił?

Skinęła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

– W takim razie musisz mu wybaczyć.

Znów delikatne skinienie. A potem powiedziała apatycznie:

– Umrze tam. Już nigdy nie wróci do domu. A ja muszę powiedzieć to mamie – znów czuła w oczach łzy. – Obiecałeś go od tego odwieść.

– Obiecałem, że spróbuję, Cyg... Mary, ale on już postanowił. Wraca do kobiety, która daje mu szczęście. Komunizmem możesz się nie przejmować. Minie mu, zanim spadnie pierwszy śnieg, jak to zwykle u Milesa. Z Mariettą będzie podobnie, założę się, że teraz, kiedy całą energię będzie mogła poświęcić Milesowi, o komunizmie zapomni jeszcze szybciej niż on.

– Powinien zostać tutaj – w napadzie złości wyprostowała się i przetała oczy.

– Potrzebujemy go. Bardziej niż kiedykolwiek. Zawsze się wymigiwał od obowiązków względem rodziny.

Percy uderzył w oparcie jej fotela i wstał.

– To nie w porządku i dobrze o tym wiesz. To, że twój brat ma inną koncepcję rodziny niż ty, nie znaczy jeszcze, że jest nieodpowiedzialny.

Jej frustracja narastała. Niepotrzebnie po niego posłała. Przez te dni, które minęły od ich spotkania na plantacji, mieli okazję poczuć przedsmak tego, co ich czekało, jeśli chcieli dotrzymać umowy. Dwa razy umówili się na wieczór i dwa razy nieprzewidziane okoliczności w Somerset zatrzymały ją na plantacji. Percy zjawił się w umówionym miejscu tylko po to, by nie zastać Mary. Za pierwszym razem wróciła do domu mokra i ubłocona, bo zaczęły się

pierwsze październikowe deszcze i wysłała mu liścik z przeprosinami. Dostała zaraz odpowiedź, że Percy poszedł do biura, żeby nadrobić papierkową robotę. Miles przyglądał się temu ze swojego fotela przy kominku i kręcił głową, jakby Mary była najgłupszą osobą zamieszkującą kulę ziemską. Za drugim razem, kiedy się nie zjawiała, Percy i Miles wzięli Olliego i pojechali się upić do klubu.

Raz czy drugi to Percy z kolei był nieosiągalny. Kompania Drzewna negocjowała właśnie nowe kontrakty i spotkania przeciągały się do późna w nocy. Tego ranka spotkali się właściwie po raz pierwszy i już niewiele brakowało do wybuchu kłótni. Nie miała na to siły. Była zmęczona. Wstała, odkładając jednocześnie różę.

– Chciałam tylko powiedzieć – wyjaśniła, starając się mówić spokojnie – że Miles mógł zostać choćby na kilka miesięcy, żeby pomóc Sassie w opiece nad mamą. Mama na pewno byłaby zadowolona.

– Miles uważa, że nie ma już kilku miesięcy – odparł Percy.

– Więc tym bardziej powinien spędzić je z mamą.

– Rozumiem... – odparł Percy z westchnieniem, jeszcze bardziej ją denerwując.

Zgrzytnęła zębami.

– Co rozumiesz? Co takiego rozumiesz, czego ja zrozumieć nie potrafię?

Wydawał się nieporuszony jej tonem.

– Gdyby mama ci pozwoliła, zastąpiłabyś przy niej Sassie?

– Dobrze wiesz, że nie wpuszcza mnie do pokoju.

– Ale... założmy, że by cię wpuściła. Komu poświęciłabyś swój czas, matce czy plantacji?

– Znow ta sama dyskusja, tak?

– Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że Miles ma takie samo prawo do swoich wyborów, jak ty do swoich.

Rozdrażniona odwróciła się do kominka, szukając jego kojącego ciepła. Złota jesień się skończyła. Przyszła wilgotna szaruga, ale biorąc pod uwagę, jak się czuła i w gorący letni dzień z wdzięcznością przyjęłaby ciepło ognia. Percy uważał, że Miles ma takie samo prawo do egoizmu jak ona. Nigdy nie pokonają dzielących ich różnic. Każdy dzień coraz bardziej ją w tym upewniał. Z założonymi rękami, mocno ściskając łokcie i stojąc do niego plecami, odezwała się:

– Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo żałuję, że mamie się to przytrafiło, ale nikt z nas nie mógł przewidzieć, że właśnie w taki sposób zareaguje na testament ojca. Gdyby papa wiedział, że poczuje się upokorzona, pewnie podjąłby inne decyzje, ale nie miał o tym pojęcia.

– Nie miał? To dlaczego poprosił Emmitta, żeby wręczył jej to?

Odwróciła się. Trzymał w ręce różę, jak płachtę przed bykiem. Wyrwała mu ją.

– To sprawa Toliverów! Proszę cię, Percy, idź już. Niepotrzebnie po ciebie posłałam.

– Mary, ja...

– Wynoś się!

– Mary, jesteś zmęczona i przepracowana. Proszę cię... porozmawiajmy...

– Nie ma o czym. Zbyt różni. Nie chcę być kochana pomimo tego, kim jestem, ale dlatego, że taka jestem, co wydaje się ponad twoje możliwości.

– Mam gdzieś, co się wydaje lub nie – sapnął z poczerwieniałą twarzą. – Kocham cię, to wszystko. Te różnice nie mają tu nic do rzeczy.

– Dla mnie mają. Umowa odwołana! – przeszła obok niego i wyszła z salonu. – A ty krwawisz – rzuciła przez ramię, bo zauważyła wcześniej małą strużkę krwi na jego ręce w miejscu, gdzie skaleczył się kolcem. – Więc idź leczyć swoje rany, a ja zajmę się swoimi.

Wyciągnął do niej bezradnie rękę.

– Mary...

Ale ona wbiegała już po schodach. Mijała pokój matki, gdy usłyszała zamykanie frontowych drzwi, który to dźwięk uznała za kres jej nadziei na ich wspólną przyszłość.

Następnego dnia rano dostała od Percy'ego czerwoną różę na długiej łodydze zapakowaną w specjalne pudełko z kwiaciarni, do której dołączył list: „Wybacz mi. Jestem głupi i nie powinienem poruszać tego drażliwego tematu w takiej chwili. Potrzebowałeś pociechy, a nie krytyki. Przepraszam, że nie okazałem Ci miłości, którą czuję całym sercem. Percy”.

Mary w odpowiedzi wysłała ostatnią białą różę z ich ogrodu. Zniszczył ją dość mocno ostatni deszcz, ale wystarczy, by przekazać wiadomość. Przesłała ją przez Toby'ego do rezydencji Warwicków wraz z listem: „Nie ma potrzeby prosić o wybaczenie za to, że szczerze wyraża się swoje myśli. Dowodzi to jedynie, że różnice między nami są nie do pogodzenia. Mary”.

Spodziewała się, że wpadnie wściekły do domu albo na plantację, chcąc jej udowodnić, że jest w błędzie, ale jego samochód się nie pojawił. Następnego ranka dowiedziała się od Olliego, że Percy wyjechał w interesach.

– Naprawdę? – spytała. Ta wiadomości zapiekła ją do żywego. Gawędzili na werandzie, bo Ollie zauważył ją na huśtawce, gdy wszyscy dawno już poszli spać. O tej porze czuła się najbardziej samotna. – Nic mi nie powiedział.

– Pewnie nie bez powodu. Pojechał do Oregonu. Firma zakupiła tam zalesione tereny, a drwale stwarzają problemy. To trudni partnerzy, ale Percy sobie z nimi poradzi. Pewnie nie chciał cię martwić, ale ja pomyślałem, że wolałabyś wiedzieć.

Kochany Ollie... zawsze ich ze sobą godzi. Dowiedział się o ich kłótni i myśli sobie, że całe jego poświęcenie na nic.

– Dziękuję – powiedziała. – W tej sytuacji przez jakiś czas nie będę go wyglądała.

I tak opuszczona, została jeszcze na huśtawce po odejściu Olliego. Jednego dnia straciła dwie osoby, w rodzinie nie miała już nikogo, u kogo mogłaby szukać pocieszenia. Przypomniała sobie, jak umarł dziadek Thomas. Czuła się, jakby wiatr zdmuchnął ścianę domu i wdzierał się do niego zimny wiatr. Po pogrzebie, późnym popołudniem ojciec zawiózł ją na plantację. Zbliżał się czas zniw, pola były oślepiająco białe. Miała jedenaście lat i myślała, że cała wybuchnie z tego smutku. Tata wziął ją za rękę i razem poszli pomiędzy rzędy bawełnianych krzewów. Przeszli jeden, potem drugi w przeciwną stronę, i tak aż do zachodu słońca. Jak zawsze, rozmawiali o bawelnie. Tata słowem nie wspominał o śmierci ani o smutku, ale przez ich połączone dłonie płynęły uczucia i jej smutek został ukojony.

Tak bardzo chciałyby teraz wsunąć swoją dłoń w rękę ojca.

Tydzień później otrzymała lakoniczny list od Lucy.

Chyba pod koniec roku jeszcze raz złożę podanie o pracę w Bellington Hall, jeśli stara Peabody zgodzi się przyjąć mnie z powrotem. Jak być może słyszałaś (i przewidywałaś), Percy odesłał mi zaraz po swoim powrocie. Jest w jego życiu inna, którą kochał całe jej życie. Wiesz może, kto to? Nie, lepiej mi nie mów. Nie chcę wiedzieć. Zjadłaby mi zazdrość. Wyobrażam sobie, że ma to wszystko, co, jak mówiłaś, Percy podziwiał w kobiecie. Dziwne, że nigdy o niej nie wspomniałaś, nie marnowałabym niepotrzebnie tyle czasu, myśląc, że mam u niego szansę. Z drugiej strony, starałaś się, jak mogłaś, mnie od niego odwieść. Powiadomię Cię o swojej decyzji. W każdym razie raczej się nie spotkamy, chyba że los znów skrzyżuje nasze drogi.

Wszystkiego dobrego, Lucy.

Mary złożyła kartkę, czując wyrzuty sumienia i jednocześnie ulgę. O ile się nie pobiorą, mało prawdopodobne, by koleżanka kiedykolwiek się dowiedziała, że to ona była ukochaną Percy'ego. Biada natomiast, jeśli się Lucy dowie. Uzna, że Mary z rozmysłem ją okłamała, a wtedy – znając Lucy – całą resztę życia spędzi przekonana, że została zdradzona.

Trzy tygodnie później, po swoim powrocie Percy wysłał jej z biura list. Czytała go niecierpliwie, sądząc, że miał na celu powiadomienie jej, kiedy wpadnie, ale krótka notatka informowała tylko, że wrócił bezpiecznie i w ciągu najbliższych tygodni zajęty będzie różnymi firmowymi obowiązkami. Rozczarowana Mary nie potrafiła odmówić sobie ironicznego uśmiechu. Teraz i Percy już wiedział, jak to jest pilnować rodzinnych interesów.

Kilka dni później jeszcze przybyło mu obowiązków, bo Jeremy doznał poważnego urazu. Percy musiał przejąć zarządzanie firmą, doglądać interesów w Oregonie, Kalifornii i Kanadzie. Nawet gdyby umowa nadal obowiązywała, konstatowała ze smutkiem Mary, trudno by mu było znaleźć w swoim terminarzu czas, by skoordynować go z jej nieprzewidywalnym grafikiem. W nieco inny sposób niż planowany zyskali szansę przekonać się, czy mogą bez siebie żyć. Najwyraźniej mogli.

W połowie listopada w Somerset się uspokoiło. Pola leżały pokryte śniegiem, a dzierżawcy i Mary mogli wreszcie odpocząć po trudach swojej pracy. Nie przyjęła zaproszeń od DuMontów i Warwicków na obiad z okazji Święta Dziękczynienia, mając nadzieję, że mama da się zwabić na dół zapachami faszerowanego indyka z wszystkimi dodatkami. Ale mama odmówiła, więc Mary zjadła świąteczny posiłek w kuchni z Sassie i Tobym, a na górę posłali tacę.

Boże Narodzenie było równie ponure i pozbawione wszelkiej radości. Percy, który kontaktował się z nią od czasu do czasu listownie, zaprosił ją na świąteczny bal w klubie, ale wymigała się, odpisując, że nie ma co na siebie włożyć. „Mogłabyś włożyć nawet worek” – odpisał swoim ostrym pismem „i tak byłabyś najpiękniejszą dziewczyną na balu”.

Prawdę mówiąc, zupełnie wycofała się z życia towarzyskiego. Czuli ciężar oskarżeń przeciwko ojcu za pominięcie żony – i przeciwko niej za to, że tej sprawy nie naprawiła. Doszły ją opisy jej własnej osoby pracującej w polu jak „parobek”. Złościły ją i jeszcze bardziej izolowały, ale jednocześnie umacniały jej determinację, by zwrócić nazwisku Toliver utracony blask.

Tymczasem boleśnie odczuwała brak Percy'ego, zastanawiając się, czy nie taki aby jest jego zamysł. Już wcześniej przeczekiwał ją w ten sposób. Czy chciał jej uzmysłowić, jak samotna będzie się czuła bez niego i jak bardzo go pragnie? Jeśli tak, to osiągnął swój cel, szczególnie gdy rozważała paraliżującą ją wręcz możliwość, że widać się z innymi dziewczętami.

W czasie swojej wizyty Ollie zmusił ją, by zgodziła się na małą uroczystość wigilijną.

– Nie przyjmę odmowy – powiedział. – W Wigilię wpadniemy z Percym, przyniesiemy prezenty i szampana. Więc wystrój się w swoją najlepszą wieczorową suknię i poproś Sassie, żeby zrobiła te boskie serowe krakersy. Może być o ósmej?

Mary wydała Sassie polecenie w sprawie krakersów i ubrała małą choinkę w salonie. Przygotowując się na wieczór, zrobiła sobie manikiur i długą, pachnącą kąpiel. Włożyła ciemnozieloną, aksamitną suknię, którą miała na sobie tego wieczoru, kiedy Richard Bent-wood pocałował ją pod jemiolą, a z pomocą Sassie upięła świeżo umyte, błyszczące włosy w całkiem elegancki kok. Pożyczyła też od matki naszyjnik i kolczyki z perłami. Kiedy spojrzała w lustro, z trudnością rozpoznała dziewczynę, którą tam zobaczyła.

Podobnie jak Percy i Ollie.

– O co chodzi? – śmiała się, widząc ich zaskoczone twarze, kiedy otworzyła drzwi. – Nie

widzieliście nigdy dziewczyny w sukni wieczorowej?

Mary udawała, że nie dostrzega, jak uważnie się jej przyglądają w czasie wymiany prezentów i wznoszenia toastów szampanem – Percy, nie zdradzając swych uczuć, Ollie ze szczerym podziwem. Czując się niezręcznie i trochę jak łania w rui zagoniona między dwa łosie, unikała ich wzroku, nie bardzo wiedząc, jak sobie poradzić z taką atencją.

– Ollie, dziękuję! – wykrzyknęła, gdy rozpakowała jego prezent – delikatny, srebrny ołówek w formie pięknej broszki. – Pamiętałeś, że zawsze gdzieś je zostawiam.

I wyciągnęła z futerału ołówek na srebrnym łańcuszku.

– No, tego na pewno nie zgubię – uśmiechnęła się do niego i wstała, by ucałować jego okrągły, rumiany policzek.

Od Percy’ego dostała parę pięknie uszytych damskich, roboczych rękawiczek z kremowej skórki, delikatnej, ale trwałej. Zaczerwieniła się na tę aluzję.

– Dziękuję, Percy, ale szkoda ich na to, z myślą o czym je kupiłeś.

W środku znajdował się liścik, ale udała, że go nie widzi. Później przeczyta, bo nie mogłaby znieść jego badawczego wzroku.

– Nie dla twoich rąk – odparł Percy, spoglądając jej w oczy w sposób, który znów przyspieszył bicie jej serca, gdy pochylała się, by podziękować mu w ten sam sposób, co Olliemu.

Mary podarowała Olliemu tomik poezji Oscara Wilde’a, jego ulubionego pisarza, a Percy’emu ilustrowaną historię drzew Ameryki Północnej. Kiedy wieczór dobiegł końca, odprowadziła ich do drzwi. Wyglądało na to, że Percy nie zamierza zostać dłużej.

– Szkoda, że nie idziesz z nami – powiedział na koniec Ollie.

– Może w przyszłym roku – uśmiechnęła się, zdecydowana, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo czuje się samotna. Szli do Olliego, na coroczną kolację wigilijną, którą Abel wydawał dla przyjaciół i ich rodzin. Miała wrażenie, że sto lat upłynęło od czasu, gdy jej własna rodzina – mama otulona w futro i ona sama podskakując obok niej, w mufce i czapce z lisiego futerka – szła na to przyjęcie, a potem wracali do domu pod rozgwieżdżonym niebem, śpiewając razem *Cichą noc*.

– Trzymamy cię za słowo, Cyganeczko – powiedział Percy, a ona ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że brakuje jej tego tak nielubianego przez nią przezwiska.

Zamknęła za nimi drzwi i oparła się o nie na chwilę, przysłuchując się ich błyskotliwej, męskiej rozmowie, kiedy schodzili po schodach. Przygnębiona poszła do salonu, gdzie zgasła ogień w kominku, a potem zaniósła do kuchni resztkę szampana i wylała ją do zlewu. Zabrała prezenty na górę. U siebie w pokoju usadowiła się na swoim miejscu przy oknie, by w świetle księżycy przeczytać liścik Percy’ego: „Dla rąk, które chciałbym trzymać przez resztę mojego życia. Kocham Cię, Percy”.

Rozdział siedemnasty

Panienko Mary, mama panienkę wzywa.

Mary, która siedziała przy biurku ojca, uniosła zdziwiony wzrok znad ksiąg rachunkowych, z których kalkulowała wydatki i zyski na nadchodzący rok. Był pierwszy stycznia 1920 roku.

– Mama chce mnie widzieć? Po co?

Sassie wzruszyła ramionami.

– Nie mnie o to pytać, ale pani Darla siedzi w swoim łóżku, śliczna jak obrazek. Dziś rano sama zrobiła sobie kąpiel, włosy uczesała i związała piękną niebieską wstążką. Chce, żebym po drzemce przyszła pomóc jej w ubieraniu, bo zejdzie na dół.

Mary wstała, nie robiąc sobie zbyt wiele nadziei i spojrzała na zegarek nad kominkiem. Jeśli to kolejne zagranie matki, nie miała czasu. Musiała się przygotować na dzisiejsze spotkanie z właścicielem sąsiadującej plantacji, Jarvisem Ledbetterem. Ale jeśli rzeczywiście nastąpiła poprawa...

Mary zaznaczyła miejsce, w którym skończyła.

– Jak myślisz, co jej się stało?

– A żebym to ja wiedziała. Ale coś tam kryje się za tymi jej żółtymi oczyskami.

– Cóż takiego mogłoby się kryć, o czym nie wiemy? Nigdzie nie była, od roku z nikim się nie spotkała. Dostała list od Milesa?

– Ja jej go na pewno nie zanoślam.

Mary poklepała Sassie po ramieniu.

– Pójdę zobaczyć, co chce. Przynieś nam kawę, dobrze? I chyba czułam zapach cynamonowych bułeczek, weź też kilka, może się poczęstuje.

– Dobrze panienka wyczuła. Spodziewam się dziś pana Olliego, a toż wiadomo, jak on uwielbia moje cynamonowe bułeczki – zachichotała, przechodząc za Mary do holu. – Dla takiego mężczyzny gotować mogłabym jak nic. Dla pana Percy'ego też, ale on takiej przyjemności z jedzenia nie ma jak pan Ollie.

Mary nie skomentowała tej uwagi, skupiając się na zawiązaniu mocniej zielonej wstążki przytrzymującej włosy, a potem udała się na górę. Aluzje Sassie były równie subtelne jak rzucanie cegłą w szybę. Ponieważ rzadko się pokazywał, ich stara, wierna gospodyni spisała już Percy'ego na straty.

Idąc po schodach, Mary myślała o nim, i jak zawsze w takich chwilach, mdliło ją z niepokoju. Czy faktycznie przestał się nią interesować? A może liczył na to, że samotność rzuci ją wprost w jego ramiona? Jego nieobecność mogła też oznaczać, że przyznał jej rację, iż ich małżeństwo nie rokuje nadziei. Codziennie przypominała sobie słowa, które wsunął do mankietów swojego świątecznego prezentu: „Dla rąk, które chciałbym trzymać przez resztę mojego życia”.

Mary zawahała się, zanim zapukała do drzwi pokoju mamy, obawiając się żalostnego, smutnego „Proszę”, które zwykle zaczynało każdą jej nieprzyjemną wizytę. Mary okropnie to irytowało. Wystarczyło spojrzeć, jak Ollie radzi sobie ze swoim nieszczęściem, by z pogardą potraktować zachowanie Darli Toliver. Ollie się nie dąsa i nie użala nad sobą! Po krótkim pobycie w szpitalu w Dallas wrócił do pracy w zarządzie domu towarowego DuMontów, obnosząc się ze swoimi kulami wykonanymi z onyksu i srebra, jakby to były modne dodatki do jego rzucającej na kolana garderoby.

– Proszę! – zawołała Darla głosem mocnym i dźwięcznym. Zadziwiona Mary otworzyła

drzwi i zerknęła do środka.

– Mamo, ale... jak ty ślicznie wyglądasz – wyznała zaskoczona Mary. Nie pamiętała, kiedy przestała mówić do niej „mamusiu”. To przyszło z czasem, z powodu dystansu, jaki się między nimi wytworzył przez te lata odrzucenia. Mamusia oznaczała kogoś kochanego, mama – po prostu sposób zwracania się do matki.

Od razu zauważyła, że „ślicznie” nie było tutaj najwłaściwszym słowem. Wątpiła, czy matka kiedykolwiek jeszcze będzie wyglądała ślicznie, biorąc pod uwagę, co zrobiła ze swoim zdrowiem. Ale tego dnia, wyprostowana, oparta o czyste poduszki, po kąpieli i uczesana, ubrana w zwiewny peniuar, taki jaki nosiła za życia męża, sprawiała wrażenie świeżej i wypoczętej. Mary podeszła do łóżka.

– Co to za okazja? – zapytała, z zaskoczeniem odkrywając, że bez ciemnej warstwy potu i tłuszczu włosy jej matki przeplata siwizna.

Darla roześmiała się lekko i naturalnie – Mary nie słyszała tego dźwięku od lat – a potem wskazała zwiotczalym ramieniem na okno. Sassie odsłoniła zasłonki, wpuszczając do pokoju styczniowe słońce, pierwsze naturalne światło dnia, jakie wpadło tutaj od śmierci ojca Mary.

– Nowy rok, oto okazja. Chcę świętować, wstać z łóżka, wyjść z tego pokoju. Chcę wyjść na świeże powietrze i znów poczuć na twarzy słońce. Chcę znów czuć, że żyję. Myślisz, że jest już dla mnie za późno, Mary Lamb?

Mary Lamb. Od czterech lat tak się do niej nie zwróciła. Mary ścisnęło w gardle, gdy usłyszała to echo przeszłości.

– Mamusiu – szepnęła smutno.

Już wcześniej zdarzały się zmiany nastroju i postanowienia, które okazywały się tylko wybiegami, by wydostać się z domu i zdobyć butelkę alkoholu.

– Mary, wiem, że jesteś sceptyczna – Darla schyliła głowę, by posłać jej czułe spojrzenie. – Myślisz, że chcę się stąd wyrwać, żeby zdobyć coś do picia, ale uwierz mi, naprawdę z tym skończyłam. Ja... po prostu chcę znów poczuć się człowiekiem, kochanie.

W nogach jej łóżka Mary zacisnęła mocno powieki, powstrzymując łzy. Kochanie. Była zdumiona, jak bardzo pragnęła usłyszeć to słowo.

– Och, kochanie, wiem... – Darla odrzuciła kołdrę i postawiła na podłodze swoje kruche, białe jak prześcieradło nogi. – Wiem... wiem – mówiła półgłosem, w przezroczystym szlafrocuku idąc chwiejnie w stronę Mary. – Chodź do mamy, skarbie – wyciągnęła ramiona, a Mary przytuliła się do niej, pozwalając się głaskać i pieścić, jakby właśnie wróciła z podwórka z zadrapanym kolanem. Spragniona matczynej pieczyoty, przylgnęła do niej rozpaczliwie, choć głęboko zakorzeniona już ostrożność ostrzegała ją, że może to być kolejny podstęp, którego cel zna jedynie matka.

Tak czy inaczej, gdy usiadły razem na szezlongu, trzymały się za ręce, a Mary zapytała:

– Powiedz, mamo, co byś chciała? Co sprawiłoby ci radość?

– No cóż, przede wszystkim chciałabym przejść się po domu, żeby odzyskać siłę w nogach. Potem pomyślałam, że mogłabym pomóc Toby’emu w ogrodzie. Sassie mówiła, że ma niedługo sadzić ziemniaki.

Mary obserwowała matkę uważnie. Nie zauważyła oznak wcześniejszej przebiegłości, unikania jej wzroku czy rzucania spojrzeń na boki zdradzających ukryte motywy. Czyżby zapomniała, że warzywniak, przekopany motyką Toby’ego, w zeszłym roku oddał już swoją ostatnią, skrywaną butelkę bourbona?

Darla dostrzegła to zaniepokojenie i ścisnęła jej dłonie.

– Nie martw się, kochanie. Wiem, że nie ma tam już nic do odkopania. Chcę po prostu poczuć znów ziemię między palcami, zasadzić rośliny. Jestem pewna, że Toby’emu przyda się

pomoc.

– Ale wiesz, że ktoś zawsze będzie musiał z tobą być? – przypomniała jej delikatnie Mary.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Rano w ogrodzie może mnie pilnować Toby. Po obiedzie się zdrzemnę, więc jak zwykle mnie zamkniecie, a potem, gdybym chciała posiedzieć i poczytać w salonie, może ze mną zostać Sassie. Czy prenumerujemy jeszcze „Woman’s Home Companion”?

Mary skrzywiła się na te okrutnie brzmiące słowa, ale w głosie Darli nie było urazy, mówiła rzeczowym tonem, którym niegdyś przy śniadaniu powiadamiała rodzinę o obowiązkach na kolejny dzień.

– Przykro mi, ale zrezygnowaliśmy – odparła Mary – chociaż mamy te stare numery sprzed kilku lat. Wydawało się, że nie ma sensu kontynuować subskrypcji...

Mary wstrzymała oddech, spodziewając się, że złote oczy zabłysną zaraz obrażone takim tokiem rozumowaniem, ale Darla powiedziała:

– Bardzo mądrze, bo przecież tylko ja czytałam te magazyny. Wiem, że jesteśmy biedni. Nie ma sensu wydawać pieniędzy na rzeczy, których nie potrzebujemy – cofnęła dłoń. – Nie pytam nawet, jak sprawy Somerset. Zapewne wspaniale, skoro ty ich dogładasz. Spędzasz tam większość czasu, prawda?

Mary szukała śladów dawnego gniewu i urażonej dumy, ale Darla pytała bardzo spokojnie, jakby z ciekawości. Może rzeczywiście wyszła w końcu z ciemnej jaskini swojej goryczy.

– Tak jest. Przygotowujemy ziemię do wiosny.

– No tak, ale nie rób sobie wyrzutów dlatego, że musisz być na plantacji. Kiedy ty i Sassie będziecie zajęte, może Beatrice ze mną posiedzi. Wiem, że wiele razy to proponowała. No właśnie, a jak ona wygląda?

– Dużo lepiej, teraz kiedy Percy wrócił, i przestała nosić się na czarno.

– Zawsze uważałam, że to zwykła pretensjonalność, sposób, by zyskać współczucie i zostać zauważoną. Przecież wszyscy mieliśmy synów na wojnie. Ale chętnie bym się z nią zobaczyła. Mogłabyś nas na jutro umówić? Chcę ją o coś poprosić – mówiąc to, zmysłowo przechyliła głowę, tak jak według Mary robiła to tylko ona, przywołując tym samym cały ogrom wspomnień i bezkresną rozpacz.

– Czy jest to coś, co ja mogłabym zrobić za nią? – pytała Mary, podejrzewając najgorsze. Wszyscy w mieście, w tym i Warwickowie, zaopatrzyli się w zapas alkoholu przed przyjęciem ustawy o prohibicji, która zabraniała jego kupna i sprzedaży w celach konsumpcyjnych, poczynając od 16 stycznia.

Darla najwyraźniej ją przejrzała. Machnęła wychudzoną ręką.

– Głuptasie, nie zamierzam nagabywać jej o butelkę czegoś mocniejszego, jeśli to cię tak martwi. Nie, nie, chcę ją poprosić o pomoc w przygotowaniu przyjęcia.

– Przyjęcia?

– Tak, kochanie. Wiesz, co będzie na początku przyszłego miesiąca? – Darla zachichotała na widok zdumionej miny Mary. – Tak, Mary, twoje urodziny! Myślisz, że zapomniałam? Urządzimy coś skromnego, ale eleganckiego, zaprosimy Warwicków, Abła i Olliego, a nawet Waitesów, jeśli chcesz. Tyle czasu nie widziałam już chłopców, prawda?

– Tak, mam – odparła cicho Mary. – Cztery lata.

Oczywiście, że nie zapomniała o swoich urodzinach. Skończy dwadzieścia lat, za rok przejmie pełną kontrolę nad Somerset. Zaskoczyło ją tylko, że matka pamięta. Na schodach rozległo się stąpanie Sassie i brzęk porcelany.

– Sassie niesie nam kawę i bułeczki cynamonowe. Urządzimy sobie podwieczorek, jak za dawnych czasów, i porozmawiamy o twoich planach?

– Och, tak! – Darla złożyła dłonie. – Ale nie mogę ci zdradzić wszystkiego, Mary Lamb. Chcę ci zrobić niespodziankę, tak żeby nie było wątpliwości, jaką miłością cię darzę.

Później tego dnia, odnosząc tacę do kuchni, Mary zapytała:

– I co o tym myślisz, Sassie?

– Udaje, panienko. Już ja ją znam i jak mój reumatyzm pewnikiem mówi mi, że będzie deszcz, tak wiem, że ona coś knuje...

Mary nie była taka pewna. Wszystko dokładnie przeszukali, dom, ogród, resztę posiadłości, altanę, powozownię, szopę na narzędzia – nie było tam już ani kropli alkoholu. Oczywiście, matce może się wydawać, że tu i ówdzie nie zauważyli jakiejś butelki, ale gdyby tak myślała, próbowałyby wcześniej wydostać się z pokoju. Ucieczka nie wchodziła w grę – przecież nie miała pieniędzy, ani żadnego sposobu, by je zdobyć, ani żadnego miejsca, gdzie mogłaby się udać, nawet gdyby starczyło jej na to sił. Wydawała się tak prawdziwie i wzruszająco skruszona, zdecydowana zadośćuczynić za swoje zachowanie przez ostatnie kilka lat.

– A zauważyła panienka, że jak raz z kominka znikły wszyściutkie zdjęcia oprócz jednego pana Milesa w mundurze? – pytała Sassie.

– Zauważyłam. Schowała je po śmierci papy.

– No więc pani Darla może sobie zażyczyć ognia w kominku, jak dziś rano, albo i kazać okna odsłonić i wyszykować się na cacy, ale jak długo nie zobaczę tam z powrotem zdjęć panienki i pana Tolivera i całej rodziny, nie uwierzę w ani jedno jej słowo.

Mary zamyślona pokiwała głową.

– To byłby znak, że jest szczerą – zgodziła się z Sassie. Wątpiła, by kiedykolwiek zobaczyły znów te fotografie w srebrnych ramkach, z których uśmiechała się jej rodzina.

Rozdział osiemnasty

Jadąc tego samego ranka na plantację Ledbettera w swojej bryczce – jedynym pojeździe konnym używanym jeszcze wśród elity Howbutker – Mary rozmyślała na przemian o ostatnim kaprysie matki i o powodzie, dla którego Jarvis Ledbetter mógł zaprosić ją na „lunch”. Nie było tajemnicą, że wielki bank ze Wschodniego Wybrzeża, jak inni dalecy inwestorzy nieustannie szukający zbywców żyznych terenów amerykańskiego Południa, złożył starszemu dzentelmenowi ofertę zakupu plantacji. Jego jedyne dzieci, dwie córki bliźniaczki, wyszły za mąż, ale ich małżeństwa nie spełniły oczekiwań ojca, który stwierdził, że prędzej sprzeda Fair Acres i będzie żył z procentów jak pączek w maśle, niż zostawi plantację córkom, by ich mężowie zrobili dokładnie to samo. Mary domyślała się, że to zaproszenie oznaczało zaproponowanie jej pierwokupu Fair Acres.

Fair Acres to długi i wąski pas ziemi leżący pomiędzy Somerset a tą działką nad rzeką Sabine, którą odziedziczył Miles. Na plantacji stał piękny dom, który zostanie sprzedany wraz ziemią. Mary nie spała od świtu, obliczając finansowe możliwości dokonania transakcji, dzięki której połączyłaby rodzinne ziemie i zyskała dom na plantacji z dala od Houston Avenue.

Marzeniem ojca zawsze było zakupić te pięćset hektarów, które dzieliły Somerset. Wyobrażał sobie morze bawełny Toliverów rozciągające się od końca do końca, ale niezależnie od tego, jak kombinowała z liczbami, księgi pokazywały, że to marzenie raczej się nie spełni. Jedyne dodatkowe pieniądze, jakie miała, stanowiły niezbędne zabezpieczenie na wypadek słabych zbiorów. Nawet gdyby w ogóle nic nie zebrali, będzie mogła zapłacić tym krwiopijcom z Bostonu, którzy co roku mieli nadzieję ją wykurzyć. Nigdy nie da im tej satysfakcji. Żeby się udało, odmawiała sobie wszystkiego, zaciskała pasa, oszczędzała, poświęcała się i znosiła cierpliwie swój los. W ciągu dwóch lat Toliverowie całkowicie odzyskają plantację.

Jedynym jej celem było otrzymanie potwierdzającego ten fakt dokumentu. Wyda wtedy przyjęcie, żeby całemu Howbutker pokazać, że ojciec miał rację, zostawiając plantację jej. Wszyscy zobaczą, że pod jej rządami znów stanie się potężna. Powoli wyciągnie z ubóstwa dom. Wynajmie Sassie kogoś do pomocy, zrobi nowoczesne łazienki zamiast wychodka z tyłu domu i nocników pod łóżkami. Może kupi nawet samochód, a ich wierny arab Shawnee, który przeżył swojego partnera, przejdzie w końcu na zasłużoną emeryturę. Matce niczego nie zabraknie. Znów będzie mogła wysoko nosić głowę pod najdroższym kapeluszem. Znając Darlę, jeśli tylko będzie się znów mogła ubrać w najmodniejsze kreacje, a dom odzyska swój dawny splendor, nie będzie się zastanawiała, kto jej to zapewni. Będzie równie dumna ze swojej córki jak niegdyś z męża.

Ale jeśli Ledbetter zażąda pieniędzy przed zniwami, nie będzie mogła przyjąć jego propozycji. Naruszenie rezerwy gotówkowej nie wchodziło w grę. Mimo to warto było na chwilę odłożyć robotę, by posłuchać, co staruszek ma do powiedzenia.

Dwie godziny później, gdy już go wysłuchała, Mary ze zdumieniem patrzyła na właściciela Fair Acres, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Siedzieli w gabinecie niewielkiego domu na plantacji, racząc się kawą po lunchu.

– Bank Bostoński? – powtórzyła Mary – Pierwszy Bank Bostoński chce kupić Fair Acres?

– Dokładnie tak. Każdy centymetr kwadratowy. Jednakże... – urwał Ledbetter, swawolnie uderzając palcami jednej ręki o palce drugiej. W wieku siedemdziesięciu lat wciąż cieszył się opinią kobieciarza. – ...jeszcze się nie zgodziłem. Chcę dać pani szansę połączenia gruntów.

Mary miała ochotę wyć, ale jakoś się powstrzymała. To właśnie Bank Bostoński pożyczył ojcu pieniądze pod hipotekę Somerset. Jak grabarz wyczekujący ostatniego tchnienia

umierającego, uznali, że nie uda się jej dotrzymać zobowiązań. Kupując Fair Acres przy założeniu, że wejdą w posiadanie Somerset, zdobyliby najcenniejszą plantację wschodniego Teksasu nad jedną z głównych rzek, wartą trzykrotnie więcej, niż w nią włożyli. Z jakiegoż innego powodu interesowałiby się właśnie tym konkretnym kawałkiem ziemi, kiedy o wiele łatwiej można przejąć inne? Mary miała wrażenie, że udławi się tą zniewagą.

Od jakiegoś czasu postrzegala tę instytucję finansową jako osobistego wroga pragnącego zniszczyć rodziny takie jak Toliverowie oraz wartości, w które wierzyły. Jeden po drugim plantatorzy typu Jarvisa Ledbettera wyprzedawali się inwestorom ze wschodu, sprzedawali dzierżawców od nich zależnych i ziemię, którą przeznaczano następnie pod inne, bardziej zyskowne uprawy niż bawełna. Chyba nie mogła ich za to winić. Coraz trudniej było prowadzić dawny tryb życia. Niepewna pogoda, koszty stałe, kurczące się rynki zbytu, szkodniki i niechęć potomków do kontynuowania rodzinnej tradycji – wszystko to powodowało, że ludzie nie mieli już ochoty nieustannie walczyć o przetrwanie.

Mimo to Mary poczuła urazę do tego ropuchowatego mężczyzny, którego jasnoniebieskie, kaprawe oczy z obleśną przyjemnością świdrowały ją ponad czubkami palców. Od razu podjęła decyzję.

– Jeśli zechce pan poczekać do zakończenia żniw, na pewno kupię pańską ziemię.

Stary plantator pokręcił siwą głową.

– Niestety nie mogę czekać do żniw, które albo będą udane, albo nie, jak wszyscy aż nadto dobrze wiemy. Sprzedaję wszystko – tak jak stoi – i przenoszę się do Europy. Zamierzam zatrzymać się na jakiś czas w Paryżu. Zawsze chciałem tam pojechać, zobaczyć przed śmiercią trochę świata i na początek nie przychodzi mi do głowy nic lepszego niż Moulin Rouge. Miles wciąż tam mieszka?

– Mieszkał, kiedy ostatnio się z nami kontaktował. Panie Ledbetter... – Mary całkowicie zaschło w gardle. – Ile dokładnie chce pan za Fair Acres?

Kiedy wymienił sumę, Mary mocno wciągnęła powietrze. Była o wiele niższa, niż się spodziewała.

– To... to bardzo rozsądna cena – wyjąkała w końcu, a przez głowę przelatywały jej liczby z przeglądanych rano ksiąg rachunkowych.

– O wiele rozsądniejsza niż ta, którą zaproponowałbym tym pijawkom z Bostonu – rzekł plantator z błyskiem w oku.

– Dlaczego składa mi pan taką korzystną ofertę? – spytała Mary, nagle stając się podejrzliwa. Przez cały lunch obawiała się, że staruch złoży jej jakąś nieprzyzwoitą propozycję.

Gospodarz domu westchnął i sięgnął do kieszeni swojej wełnianej marynarki, by po chwili wyciągnąć z niej cygaro. Odgryzł koniuszek i przez chwilę mu się przyglądał.

– Żeby ulżyć swojemu sumieniu, jak sądzę. Jeśli sprzedam plantację im, otworzę tym szakalom kuchenne drzwi do tej części Teksasu. Wiem o tym i bardzo nad tym boleję, ale jeśli ja tego nie zrobię, zrobią to moje córki i ich beznadziejni mężowie. Myślę, że dając ci szansę zakupu Fair Acres, zrobię coś, co pomoże zachować nasz tradycyjny styl życia. Odnoszę wrażenie, że jeśli jest ktoś, kto umie tu przetrwać, to właśnie ty, Mary. Dziś nie ma się już potomków – spadkobierców, takich jak ty. Jesteś ostatnim przedstawicielem gatunku. Wezmę więc mniej i też będę zadowolony. Poza tym... – twarz plantatora się rozjaśniła. – Chyba i tak więcej nie masz.

– Rzeczywiście – odparła Mary. Uspokoila się. Dostała prawdziwą szansę. Byłaby głupia, gdyby z niej nie skorzystała. Po raz drugi nie trafi się jej okazja kupienia tej ziemi tak tanio, a już na pewno nie po tym, jak przejmie ją bank. Dodała więc szybko:

– Panie Ledbetter, wydaje mi się, że będę mogła kupić pana grunta. Kiedy muszę dać

odpowieź?

– Mam nadzieję podpisać umowę do końca tygodnia. Wiem, że to mało czasu, ale jeszcze w tym miesiącu chcę wyjechać. Jeśli się zdecydujesz, dopilnuję, żeby prace na polach trwały, ale na tym kończą się moje obowiązki. I muszę dostać gotówkę. Przykro mi, naprawdę, ale nie mogę wziąć za siebie pożyczki. Muszę mieć pieniądze i chcę mieć czysto w papierach, bo trudno jest pilnować interesów zza oceanu.

Wstając, Mary podała mu rękę.

– Do końca tygodnia dam panu odpowiedź. Jak pan wie, muszę to omówić z Emmitemm Waittem, który jest pełnomocnikiem Somerset.

Jarvis Ledbetter wyciągnął z ust cygaro, wstał i uścisnął jej dłoń.

– Moja droga, jeśli uda ci się załatwić to z Emmitemm to jesteś jeszcze lepsza, niż sądziłem. Powodzenia.

Potrzebowała czegoś znacznie więcej niż powodzenia, myślała Mary, cmokając na konia. Potrzebowała przynajmniej dwudziestu dobrych powodów, by przekonać Emmitta, żeby ostatnią gotówkę pozwolił jej wydać na zakup Fair Acres, a szanse miała niewielkie. Od czasu kiedy Miles ustanowił go pełnomocnikiem, Emmitt ani razu nie kwestionował jej wydatków, ale tym razem będzie się opierał z całych sił. Chociaż bardzo ją cenił i podziwiał jej zdolności kierownicze, to wierny pozostał przede wszystkim jej ojcu. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Żaden inny człowiek w całej okolicy nie szanował i nie lubił jej ojca bardziej niż Emmitt. Będzie musiała jakoś obejść jego lojalność w stosunku do jej świętej pamięci ojca, a to niełatwe zadanie. Za żadne skarby nie zaryzykuje utraty Somerset, tak ukochanej przez Vernona Olivera, z powodu kaprysu jego córki, bo tak zapewne spojrzy na jej decyzję.

Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że kupno Fair Acres to bardzo rozsądne posunięcie. Po pierwsze, od razu stanie się właścicielką plantacji. Musi więc tylko przekonać Emmitta, że zwyczajnie zamienia jeden rodzaj zabezpieczenia na drugi. Zamienia gotówkę na ziemię, która w dodatku jest warta więcej niż za nią płaci. Jeśli zbiory będą słabe, może zadłużyć Fair Acres i przez ten krótki czas spłacać dwie hipoteki. Nie będzie na razie roztrząsała, co to oznaczało dla wydatków na dom, bo już teraz przecież ledwie wiązali koniec z końcem.

Kiedy pędziła do miasta, myślała jeszcze o czymś. Modliła się – błagała – o moc, która pomogłaby jej uzmysłwić Emmittowi te korzyści tak wyraźnie, jak ona je widziała.

Poczuła ulgę, gdy okazało się, że jest w kancelarii, bo bała się, że znajdzie tylko tabliczkę z napisem PRZERWA OBIADOWA.

– Ależ Mary, moja droga – powiedział lekko zaskoczony, kiedy wyjaśniła mu powód swojej wizyty – nie mogę uwierzyć, że osoba tak rozsądna jak ty mogłaby wpaść na taki pomysł. Ta rezerwa, którą masz, to jedyne twoje zabezpieczenie. W żadnym wypadku nie mogę pozwolić ci wydać jej na zakup ziemi, który mógłby narazić na szwank to, co już posiadasz.

– Ale, panie Waithe – błagała Mary, stojąc przed jego biurkiem zbyt podekscytowana, by siedzieć – nie zna pan tych ludzi. Jaki inny mieliby cel w kupnie tej plantacji jeśli nie zająć Somerset?

Emmitt rozłożył ręce.

– Nie przeczę, że jest tak, jak mówisz, ale kochanie, czemu mieliby tego nie robić? Takie mają prerogatywy i to posunięcie jest w pełni uzasadnione ekonomicznie.

– Tak czy inaczej, mogą okazać się nieprzyjemnymi sąsiadami. Jest tysiące sposobów, by zaszkodzić Somerset z terenu Fair Acres, żeby doprowadzić mnie do upadku.

Emmitt sceptycznie uniósł brwi.

– Na przykład?

– Mogą chociażby zniszczyć system nawadniający idący od rzeki. Toliverowie i Ledbetterowie zawsze współpracowali, utrzymując wszystkie kanały otwarte i czyste. Oni mogą zmienić kierunek wody albo w ogóle zamknąć kanał i nic na to nie poradzimy. A bez nawadniania Somerset skazana jest na zagładę. Bank może odmówić też współpracy w zwalczaniu szkodników. Pan Ledbetter i ja zawsze opryskiwaliśmy pola w tym samym czasie, w innym przypadku moje albo jego wysiłki poszłyby na marne. Jestem pewna, że są też inne możliwości, które nawet nie przyszłyby mi do głowy. Chociażby pożar.

Emmitt chrząknął niezrozumiale, najwyraźniej nie chcąc się z nią kłócić.

– Mary, ale w ten sposób działaliby jednocześnie na własną szkodę. Dla banku to inwestycja, a nie sposób na wykurzenie ciebie. Plantacja ma świetne położenie ze względu na rzekę. Kupują ją, żeby z zyskiem sprzedać.

– Stać ich na czekanie. Ziemia przez rok może leżeć odłogiem, potem sprzedadzą ją jako część Somerset i też nieźle zarobią.

– Tylko jeśli bank rzeczywiście kieruje się motywami, o które go podejrzewasz, w co z całej duszy wątpię – zauważył Emmitt.

Ale Mary widziała, że nie jest już taki pewien swego jak na początku. Zmarszczył brwi, przechylając głowę. Mary pochyliła się w jego stronę, żeby wzmocnić siłę swojego argumentu.

– Połączenie z Fair Acres spowoduje wzrost wartości – przekonywała Mary.

– I pamiętajmy, że znajdę się w kłopotach tylko w przypadku słabych plonów. Ale to przecież mało prawdopodobne, czyż nie? Spodziewamy się obfitych zbiorów. A jeśli tak, pieniędzy spokojnie wystarczy na przyszłoroczną rezerwę. Gdyby do tego przyszły rok okazał się równie dobry... och, panie Waithe... – Mary znów się wyprostowała, oczy jej lśniły, złożyła ręce.

– Niech pan tylko pomyśli! Somerset w jednym kawałku, morze bieli od końca do końca, aż do samej rzeki! To spełnione marzenie.

Emmitt ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie, Mary. To nie spełnione marzenie, a jedynie zaspokojona ambicja. Tu nie chodzi o żadną wizję, ale o ślepą żądzę, którą można by nazwać chciwością, gdyby nie fakt, że naprawdę kochasz tę ziemię. Wybacz, że mówię bez ogródek, ale jestem to winny twojemu ojcu. To pycha pcha cię do kupna Fair Acres. W ten sposób zostałaś właścicielką jednej z największych plantacji w Teksasie i udowodniła, że twój ojciec miał rację, tak a nie inaczej rozporządzając schedą. To urażona duma się w tobie odzywa, nie nadzieja spełnienia marzeń i ta duma zaślepią cię tak, że nie dostrzegasz ponurej rzeczywistości.

Zraniona jego słowami, nie wierząc, że tak bardzo mógł się pomylić w ocenie jej motywów, Mary zawołała:

– Wcale nie, panie Waithe, to pan nie widzi ponurej rzeczywistości i sytuacji, w jakiej się znalazłam. Jeśli bank kupi Fair Acres, zniszczą Somerset. Założy się pan, że nie?

– A ty założysz się o wszystko, co posiadasz, że to zrobią? – ripostował Emmitt. – Grasz, zakładając, że bank tak zrobi. Zakładasz dwuletnie dobre zbiory. Jeśli będą słabe, zakładasz, że będziesz mogła pożyczyć pod hipotekę Fair Acres. A jeśli nie będziesz mogła? Pamiętaj, że kończysz dopiero dwadzieścia lat. Sama możesz brać kredyt nie wcześniej niż za rok. Będziesz więc potrzebowała żyranta – kto by to mógł być? – wyraz twarzy Emmitta mówił wyraźnie, że jego od razu może wykluczyć. Nie posiadał wystarczających środków, by pokryć jej ewentualną stratę.

– W takim wypadku muszę mieć nadzieję, że wystarczy nazwisko Toliver – Mary wyprostowała dumnie głowę. – Wszyscy wiedzą, że Toliverowie dotrzymują słowa.

Emmitt westchnął i potarł dłońią policzek.

– Och, dziecko... jest jeszcze inna sprawa, której chyba nie wzięłaś pod uwagę. Jak dasz

sobie radę z Fair Acres i Somerset bez nadzorcy? Już teraz ledwie nadażasz. Stać cię na zatrudnienie nadzorcy Ledbettera? Pomyśl o tych wszystkich dodatkowych obowiązkach, które bierzesz na swoje barki, obciążenie czasowe, fizyczne i finansowe i jeśli wolno mi dodać – Emmitt spojrzał na nią z ojcowskim niepokojem – pomyśl o swojej młodości.

– Pan Ledbetter powiedział, że dopilnuje prac polowych do czasu swojego wyjazdu – powiedziała Mary, ale już przygaszonym tonem. W końcu przysunęła sobie krzesło i usiadła. Nie, nie pomyślała o dodatkowej pracy ani co zrobić z nadzorcą. Nigdy nie rzucała się w największy nurt, dopóki nie musiała, a co do jej młodości... już od bardzo dawna nie czuła się młoda. Ponad biurkiem spojrzała na Emmitta, upierającego się przy moralnym obowiązku.

– Wiem, że dba pan o moje interesy, panie Waithe, ale jak pan się będzie czuł, jeśli to ja mam rację, a nie pan?

– Okropnie – westchnął adwokat. – Ale nawet w połowie nie tak okropnie, jak bym się czuł, gdybyś to ty się myliła. Jeśli masz rację, będę przynajmniej mógł powiedzieć, że zdrowy rozsądek kazał mi odmówić wydania ostatnich funduszy. Jeśli ja mam rację, nie pozostanie mi nawet to.

– Papa by się ze mną zgodził – oznajmiła spokojnie Mary, patrząc prawnikowi w oczy. – Zawsze przewidywał takie niebezpieczeństwo. Na pewno by zaryzykował. I muszę panu powiedzieć, że jeśli Bank Bostoński kupi tę plantację i moje obawy się potwierdzą, naprawdę bardzo trudno będzie mi panu wybaczyć.

Emmitt wyduł usta. Jego zamyślenie podpowiadało jej, że wypowiedziała magiczne zaklęcie: „Papa by zaryzykował”.

Po chwili Emmitt Waithe uśmiechnął się z zadumą.

– Jesteś do niego taka podobna, Mary Toliver. Wiedziałaś o tym? Czasami, oczywiście pomijając ewidentną różnicę płci, naprawdę mam wrażenie, jakbym to z nim rozmawiał. Tak, twój ojciec rzeczywiście by zaryzykował. I tak jak ciebie, próbowałbym go od tego odwieść.

– Udałoby się panu?

– Nie – mówiąc to, przesunął się do przodu razem z krzesłem, jakby podjął decyzję.

– Mówisz, że do końca tygodnia musisz dać odpowiedź Jarvisowi. Zastanówmy się więc nad tym oboje raz jeszcze. Podejmę decyzję w piątek i wtedy będziesz mogła się skontaktować z Ledbetterem – Emmitt wpatrywał się w nią zza okularów. – I muszę ci powiedzieć, panno Mary Toliver, że jeśli się zgodzę i to moje obawy się potwierdzą, będzie mi bardzo trudno sobie wybaczyć.

Rozdział dziewiętnasty

Po wejściu do domu, spiesząc do gabinetu, by raz jeszcze wszystko przeliczyć, stanęła jak wryta, słysząc, że z salonu woła ją matka.

– Mary? To ty? Przyjdź tutaj na chwilę.

Nie wierząc własnym uszom, podeszła do otwartych drzwi i zobaczyła, że całkowicie ubrana siedzi w swoim ulubionym bujanym fotelu przy francuskim oknie, a Sassie trzyma warte na kanapie. Skonsternowane spojrzenie, jakie rzuciła jej Sassie, przypomniało Mary, że jest już czwarta i dawno minęła pora, o której obiecała wrócić, żeby Sassie mogła zrobić zakupy – obowiązek, na który czekała zawsze z utęsknieniem, bo była to jedyna okazja, kiedy mogła choć na chwilę wyrwać się z domu.

– Sassie nie może przygotować kolacji – ofuknęła ją matka, a jej gniewna mina przypominała Mary dawne czasy, kiedy otrzymywała takie reprimendy jako dziecko. Wtedy bardzo ją denerwowały. Teraz przyjęła ją z wdzięcznością jako znak powrotu matki do normalności. Darla krytycznym okiem obrzuciła jej bluzkę i spódnicę do jazdy konnej, którą wybrała na przejażdżkę do Fair Acres, bo potem miała pojechać na plantację.

– Zakładam, że zwykle nie jeździsz tak do pracy. Gdzie ty, na Boga, byłaś?

– Miałam... miałam coś do załatwienia w mieście. Przepraszam za spóźnienie. Sassie, wynagrodzę ci to. Możesz pojechać do miasta jutro rano, ja zajmę się obiadem, a ty będziesz miała chwilę wolnego. Mamusiu, jak dobrze widzieć cię na dole.

– Możesz odejść, Sassie – Darla odprawiła ją ruchem ręki. – I nie przypal placków.

– Tak jest, proszę pani – powiedziała gospodyni, posyłając Mary spojrzenie osoby znoszącej swoje cierpienie bez słowa skargi.

Mary przysunęła krzesło do fotela matki. Miała na nosie okulary, a na jej kolanach leżała „Howbutker Gazette”. Nie czytała gazet od czterech lat. W świetle popołudniowego słońca Mary ze zgrozą po raz kolejny zobaczyła, jakie spustoszenie poczyniła w jej matce choroba. Nic nie zostało z jej kwitnącej urody. Była jedną z pierwszych kobiet swojej sfery, która zaczęła używać różu, ale teraz podkreślał on tylko jej zapadnięte policzki. Włosy, niegdyś gęste i lśniące, straciły zarówno blask, jak i objętość. Leżały rozczesane, matowe i rzadkie na ramionach tak chudych, że Mary dostrzegła pod szalem zarys kości.

– Wyobrażam sobie, że dużo się zmieniło od czasu, kiedy ostatnio czytałaś gazetę – zagaiła rozmowę Mary.

– To jak zupełnie nowy świat! – zawołała Darla, odwracając kartkę i pokazując coś Mary. – Spójrz tylko na te kreacje, które reklamuje Abel! Spódnice do kolan! I co ja widzę, Howbutker ma kino?

– I zdaje się, cieszy się popularnością – dodała z uśmiechem Mary. – Ja jeszcze nie byłam. Chciałabyś zobaczyć jakiś film któregoś wieczoru?

– Na razie nie. Muszę oszczędzać energię – matka odłożyła gazetę i zdjęła okulary.

– Rozmawiałaś z Beatrice?

Mary skrzywiła się.

– Mamusiu, przepraszam, zupełnie wypadło mi to z głowy. Naprawię to zaraz dziś wieczorem.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – Darla mocniej otuliła szalem swoje chude ramiona.

– Zmieniłam zdanie. Nie potrzebuję jej pomocy w zaplanowaniu przyjęcia. Chcę, żeby miała taką samą niespodziankę jak cała reszta. Ale najpierw muszę załatwić coś innego.

Mary poczuła niepokój.

– Dalej chcesz pomagać Toby’emu w ogrodzie?

– Ależ oczywiście, że tak. Toby’emu przyda się pomocna dłoń. Wokół domu panuje chaos. Zrobiłam sobie dziś mały spacer. Będę musiała odnaleźć mój ogrodowy kapelusz i fartuch. Nie chcę zbrązowieć tak jak ty. Jestem pewna, że dalej nie chronisz się przed słońcem. Nie zasługujesz na swoją cerę, biorąc pod uwagę, jak mało czasu jej poświęcasz... – przerwała, widząc uśmiech Mary. – Co w tym takiego zabawnego?

– Ty – Mary uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Jak to dobrze, że znów na mnie narzekasz.

– I tak nigdy nie słuchałaś. Nie wiem, po co się tak wysilałam.

– Chyba dlatego, że mnie kochałaś – powiedziała Mary.

Matka usłyszała chyba tę pełną nadziei końcówkę czasu przeszłego. Jej twarz złagodniała, poklepała rękę Mary.

– Tak, dlatego, że cię kochałam – powtórzyła. – Nie powinnaś o tym zapominać. A teraz, oto moja sprawa. Chcę coś dla ciebie zrobić na drutach, na urodziny, i muszę zacząć jak najwcześniej. Każda sekunda się liczy, więc musisz mnie zabrać do miasta, żebym mogła kupić włóczkę. Chyba mamy tyle pieniędzy?

– Tak, mam. Masz osobne konto w banku, na które wpłacam twoje dwadzieścia procent.

Zaraz pożałowała, że w ogóle wspomniała o zyskach i osobnych pieniądzach, bojąc się, że matce znów przypomni się ojciec i testament i uczucia z tym związane, ale na twarzy Darli malowało się jedynie zmartwienie.

– Och, nie chce mi się chodzić do banku. Mogłabyś pożyczyć mi te pieniądze, a w następnym miesiącu odjąć je sobie z kwoty, którą zdeponujesz na koncie?

– Oczywiście – odparła z ulgą Mary – ale, mamusiu, nie musisz mi niczego robić. To, że tu jesteś, wstałaś i zajmujesz się różnymi rzeczami to wszystko, czego mogłabym sobie życzyć. To cudowny prezent sam w sobie.

– Nie, nie – zaprzeczała z uśmiechem Darla i pogłaskała córkę po policzku. – Już tak dawno nie zrobiłam nic własnoręcznie mojemu kwiatuszkowi. Mam na myśli coś, dzięki czemu na zawsze mnie zapamiętasz.

– Przecież mam ciebie, mamusiu – mówiła Mary.

– Nie na zawsze, kochanie. Czas nie jest aż tak łaskawy – cofnęła rękę. – Chciałabym jak najszybciej zacząć. Dasz radę zawieźć mnie do miasta jutro po południu na małe zakupy? Nie pójdziemy do Abła. Na pewno nie ma nic, na co mnie stać – jej blade czoło zmarszczyło się, gdy zobaczyła grymas na twarzy Mary. – Co się stało? Nie chcesz jechać?

– Ależ chcę, oczywiście, że chcę – Mary zmusiła się do uśmiechu. Ranek obiecała już Sassie, a jeśli po południu pojedzie z matką, ominie ją cały dzień na plantacji. Jutro mieli oczyszczać dreny, ale będą musieli zacząć bez jej czujnego oka. Ważniejsze było wyjście matki z domu. – Spędzimy razem miły dzień – powiedziała – a po powrocie wypijemy sobie po filiżance gorącej czekolady, jak dawniej, gdy wracałyśmy z zakupów.

– Na pewno będzie miło – odrzekła Darla, gwałtownymi ruchami składając gazetę w sposób, który powiedział Mary, że nie życzy sobie grzebania we wspomnieniach na zawsze minionych dni, woli, żeby zostały one w cieniu przeszłości. Były zbyt bolesne. Od tej chwili Mary postanowiła nawiązywać jedynie do przyszłości.

Już w kuchni Mary zapytała Sassie o spacer matki wokół domu.

– Była przy różach?

– A jakże.

– Myślisz, że pamięta swoją ostatnią wizytę?

– A jakże. Chyba nikt mi nie powie, że nie pamięta, jak rzuciła się na nie z łomem. Toby mówi, że chwilę stała przy Lancasterach, a potem bez słowa poszła dalej. Mówię panience, ona

coś knuje w tej swojej głowie.

– Błagam, Sassie – zaprotestowała ostro Mary. – A co miała powiedzieć? Jak bardzo czuje się upokorzona? Trochę współczucia, przecież wiesz, co przeszła.

– Dla panienki Mary się postaram.

Następnego dnia o umówionej porze Darla ubrała się na swoje pierwsze wyjście do miasta od czasu, gdy wróciła z gabinetu Emmitta po odczytaniu testamentu męża. Świat mody odmienił się o sto osiemdziesiąt stopni od czasu, gdy oferował kobietom ogromne kapelusze przypominające ptasie gniazda i modelowane biusty. Mary czuła wstyd i zażenowanie, patrząc na matkę, która schodziła po schodach, naciągając swoje długie rękawiczki, majestatycznie nieświadoma swojego żalosego, staromodnego stroju.

Kiedy wjechali bryczką na główną ulicę, Darla wykrzyknęła:

– Dobry Boże! Spójrz na te mechaniczne powozy! No proszę, zupełnie zawładnęły miastem.

– My też niedługo kupimy samochód.

– W życiu bym się nie spodziewała, Mary Lamb.

Udały się do Woolwortha, gdzie Darla zrobiła zakupy. Mary odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że sklep jest praktycznie pusty i ekspedientka całą uwagę może poświęcić Darli. Razem wybrały kremową włóczkę, którą zasypały ładę. Nie chcąc stracić matki z oczu, Mary stała na tyle daleko, żeby nie mogła słyszeć ich szeptanej rozmowy. W pewnej chwili Darla zawołała:

– A teraz, Mary, odwróć głowę. W żadnym wypadku nie możesz widzieć, co kupuję.

Mary posłuchała, a matka i ekspedientka wróciły do prowadzonej półgłosem rozmowy. Usłyszała dźwięk rozwijania czegoś ze szpulki, a potem cięcie nożyczek, i na koniec szelest papieru do pakowania.

– Już – powiedziała usatysfakcjonowana matka. – Możesz się odwrócić.

Gdy wracały na Houston Avenue, Darla miała zaróżowione policzki i uśmiechała się do siebie. Mary była tak uszczęśliwiona, widząc tę czystą radość na jej twarzy, że zapytała:

– I jak się czujesz, mamusiu?

Darla zwróciła rozpromienią twarz w stronę córki.

– Już dawno tak dobrze się nie czułam, Mary Lamb.

Mary pogoniła konia. Musi napisać do Milesa i ogłosić mu wielką nowinę o zmartwychwstaniu matki – że Darla Toliver w końcu wstała z grobu.

Rozdział dwudziesty

Pod koniec pierwszego tygodnia stycznia Mary nabyła Fair Acres. Późnym sobotnim popołudniem posepny Emmitt Waithe niechętnie otworzył swoją kancelarię w celu dokonania transakcji i do siedemnastej stosowny dokument został podpisany. Normalnie Emmitt wyciągał w takich przypadkach butelkę whiskey, by uczcić ważny moment, ale tym razem Wild Turkey pozostała w szafce.

Do poniedziałku wieści się rozniosły. Ollie i Charles Waithe wpadli z gratulacjami, ale Percy się nie pojawił. Zadzwoił za to dziennikarz z gazety, by poprosić o wywiad. Mary zgodziła się tylko dlatego, że był to jej szkolny kolega, który wrócił do miasta i bardzo potrzebował jakiegoś artykułu. Chciał napisać o nowoczesnej kobiecie i jej roli w społeczeństwie, polityce i gospodarce z perspektywy najmłodszej właścicielki jednej z największych plantacji w Teksasie, wyjaśnił jej. Mary nie poczuła się szczególnie młodo, gdy zobaczyła się na fotografii, którą zamieszczono wraz z artykułem. Poważna twarz bez uśmiechu, bufiaste rękawy bluzki i wysoki kołnierzyk, długie włosy spięte w szeroki kok – dopiero to zdjęcie uświadomiło jej, jak niemodnie wygląda.

Po zakupie drugiej plantacji jej dni wypełnione były od świtu aż do późnych godzin po zachodzie słońca. Oprócz załatwiania spraw, które w Somerset zostawiano na miesiące zimowe, dużo czasu zajmowało jej zaznajomienie się z nowym terenem. W swoim powozie objeżdżała Fair Acres, odwiedzając każdego dzierżawcę, poznając ich rodziny i wypijając niezliczone ilości filiżanek kawy w ich małych budach, które pewnego dnia miała zamiar zastąpić trzypokojowymi domkami z osobnymi kuchniami, takimi jakie Vernon Toliver zapewnił dzierżawcom w Somerset. Oglądała nowo nabyte pola, ogrodzenia, szopy na narzędzia, sprzęt i dom, który Jarvis Ledbetter w pośpiechu opuszczał, by zdążyć na statek odpływający już w lutym.

Stale towarzyszyły jej niepokój i zmęczenie. W nocy kładła się spać zmartwiona i taka też budziła się co rano.

Domysły na temat Percy'ego spowijały cieniem jej dni. Wciąż nie miała od niego żadnej wiadomości. Ostatnio widziała go w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, kiedy przyszedł złożyć jej życzenia i zaprosić do nich na obiad. Odmówiła, wyjaśniając, że musi zostać z matką. Sassie miała dosyć gotowania świątecznych obiadów dla ludzi z takim brakiem apetytu, więc Mary wysłała ją, by spędziła święta z wnuczką, a Toby'ego do brata. Potem Percy i Ollie wyjechali do Dallas, by wystąpić jako drużbowie na weselu kolegi z wojska – kule Olliego nie były tu żadną przeszkodą. Wrócili przed sylwestrem i Mary dowiedziała się, że Percy na bal w klubie zaprosił Isabelle Withers, córkę prezesa banku.

Mimo że miała na głowie wszystkie zmartwienia związane z plantacją, i tak przez wiele dni zżerała ją zazdrość. Isabelle była dziewczyną o jasnej skórze, niebieskooką blondynką w typie delikatnej i kruchej figurki z drezdeńskiej porcelany, którą kiedyś opisywała Lucy jako kobiecy ideał Percy'ego. Pamiętała, jak Lucy wtedy na nią napadła. Do diabła z porcelaną. Percy chce kobiety, która się nie stłucze albo nie pęknie, kiedy mocno weźmie ją w ramiona, takiej, która odda mu cios za cios...

Bezlitośnie odegnała to wspomnienie, kierując swoje myśli na pozostałe codzienne tortury. Percy miał pełne prawo spotykać się z innymi kobietami. Był mężczyzną i miał swoje potrzeby, a czego się po nim spodziewała, skoro ona nie chciała ich zaspokajać? Ale czy musiała to być właśnie Isabelle, ta głupiutka, mizdrząca się prostytutka? Na pewno poczuł się bardzo urażony, gdy dowiedział się o zakupie Fair Acres. Wiedział, ile nowy grunt wymaga czasu i wysiłku, więc zrozumiał ten nowy kaprys jako ostateczne rozwiązanie ich umowy.

Dowiedziałyby się więcej, jak jest między nimi, gdyby się pojawił na jej przyjęciu urodzinowym.

Czekała na to wydarzenie i jednocześnie się go bała. Nie miała przecież czasu na takie głupoty, ale chodziło przecież o „wielki powrót” jej matki. Cieszyła się, że to okazja dla Darli, by znów zadbać o swój wygląd.

– Muszę więcej jeść, żeby nabrać trochę ciała – wyjaśniała, prosząc o dokładkę podczas posiłków. – Muszę ćwiczyć, żeby nabrać trochę koloru – mawiała, kiedy Mary zastawała ją z łopata w ogrodzie. I choć rezultaty były mizerne – Sassie raportowała, że często znajdowała dowody na to, że matka zwraca posiłki – wróciły jej niegdysiejsze władcze oblicze i styl bycia.

– Chyba wołałam jak mama panienki siedziała w swoim pokoju i nie grała mi na nerwach – skomentowała to Sassie pewnego dnia, kiedy Darla wystawiła ją na szczególnie ciężką próbę.

Mary uśmiechnęła się współczująco, rozradowana, ale nieco zaniepokojona wysokimi wymaganiami matki teraz, kiedy na powrót objęła władzę w domu.

– Ugryź się w język, Sassie, choć bardzo dobrze cię rozumiem.

Ale cieszyła ją czułość i serdeczność, jakie Darla, w przeciwieństwie do ostatnich czterech lat, starała się jej okazywać, odczuwała też ogromną ulgę, wiedząc że matka ma teraz powód, by wstać rano z łóżka. Od ich wycieczki do miasta zrywała się o świcie, ubierała i schodziła na dół, by z kremowej włóczki robić na drutach coś, co zbijało z tropu każdego, kto spojrział na kremową górę rosnącą w koszu obok fotela.

– A cóż to takiego będzie, pani Darlo? – pytała Sassie.

– Nie twoje zmartwienie, droga Sassie. To niespodzianka dla Mary na jej dwudzieste urodziny. Wtedy wszystkiego się dowiecie.

– Wiem, że nie chce panienka tego słuchać, ale nic a nic mi się to nie podoba – zwierzyła się Mary Sassie. – Gęziej skórki dostaję, jak ją tam widzę, jak się kołysze w tym fotelu i śmieje pod nosem, a druty jej migają w rękach. Wygląda, jakby miała jakiś sekret. Coś knuje, wspomnicie moje słowa.

– Po prostu wraca myślami do przeszłości, przeżywa na nowo zabawne chwile z czasów, gdy była piękna i młoda. Niech wspomina, Sassie, jeśli dobrze się z tym czuje. Zauważyłaś, że zdjęcia wróciły nad kominek?

Tak więc Mary, Sassie i Toby zaczęli przygotowania do przyjęcia. Napisali i przesłali zaproszenia, zaplanowali menu, kupili jedzenie, wysprząkali i przewietrzyli dom. Zaproszono Warwicków, Olliego i Abła oraz kilku innych sąsiadów, a także Emmitta Waithe’a z rodziną. Mary wygrzebała z szafy zapomnianą, staromodną wieczorową suknię z czerwonej tafty – narażając się na błagalne wzniesienie oczu do nieba w wykonaniu Abła, gdy ją w tym zobaczy – ale dla matki zamówiła u niego w sklepie kreację z bursztynowego aksamitu.

– Olaboga! I bez czego będziemy się musieli obejść, co by za to zapłacić? – jęknęła Sassie, widząc dostarczoną sukienkę.

– Bez mięsa przez cały następny miesiąc – odparła Mary, biorąc pozłacane pudełko na górę, by zaskoczyć matkę. – Nie zapomnij odwołać zamówienia.

W dniu przyjęcia ubrała się bez entuzjazmu w swoją staroświecką czerwoną taftę. Musiała włożyć do niej gorset, choć te dawno już wyszły z mody, zastąpione przez biustonosze, których jednak Mary nie posiadała. Widać było, że jest przemęczona, znużona i zupełnie nie ma nastroju na zabawę, i jeszcze ten niemodny strój. Dobrze, że choć ręce prezentowały się jako tako. W pracy zaczęła używać rękawiczek, ale nie tych, które sprezentował jej na święta Percy. Odłożyła je w raz z liścikiem, bo szkoda ich było do pracy w polu. Jednak... patrząc na siebie w lustrze, wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy z żadną dreźnieńską porcelaną.

– No nie, a to co znowu za mina? Nie czas teraz się martwić, dziecko kochane

- zakomenderowała Sassie, gdy weszła do pokoju i przyłapała ją na tej rozpaczliwej refleksji.
- To panienki dzień i trzeba świętować.

Mary poprawiała jeszcze elegancki kok, który upięła z warkoczy, gdy Sassie na dole przygotowywała ostatnie przekąski i napoje. Uczesanie niewiele pomogło jej wygladowi.

- Obawiam się, że nie jestem w nastroju na świętowanie. Byłaś u mamy?
- Próbowałam, ale mnie odesłała. Za nic nie chciała wpuścić. Mówi, że sama umie się ubrać i nie chce, żeby ją ktoś widział przed „wielkim wejściem”.
- Ciekawe, co zamierza zrobić z tymi wszystkimi paseczkami zrobionymi na drutach
- Sama chciałabym wiedzieć. To cześć prezentu dla panienki Mary, ale co z tego ma być? Trzeba poczekać, nie ma innej rady.

– Jak tylko go otworzę, przyjdę wam pokazać. A teraz lepiej sprawdzę, co u niej.

Idąc przez hol, myślała o tych długich, pracowitych godzinach, które jej matka spędziła w salonie, uparcie dziergając, najwyraźniej chcąc ją w ten sposób szczerze poprosić o wybaczenie. Wystarczyłaby co prawda czerwona róża, a ona w odpowiedzi wymyśliłaby coś ciekawego z tą nową białą odmianą, której reklamę widziała w ostatnim katalogu, żeby zapewnić ją, że wszystko jest wybaczone. Tylko dwa razy w życiu matka zrobiła dla niej coś do ubrania. Raz był to szalik, a drugi raz, dawno temu pod choinkę, rękawiczki. Kiedy dorastała, inne matki wyszywały swoim córkom spódnice i kapelusze, robiły na szydełkach sukienki i szale, a na drutach swetry i czapki, ale Darla Toliver wolała haft na kanwie. Mary obiecała sobie, że cokolwiek dostanie i mimo całej swojej niechęci do tego przyjęcia, okaże, jak bardzo docenia prezent od matki i będzie wdzięczna, że te złe dni się skończyły.

Zapukała do drzwi jej pokoju.

- Mamusiu, wszystko dobrze? Pomóc ci się ubrać?
- W żadnym wypadku – usłyszała odpowiedź, a zaraz potem perlisty śmiech. – Suknia jest przepiękna, kochanie. Spodobam ci się w niej. A teraz biegnij na dół i przygotuj wszystko na moje wejście.

Mary odwróciła się zawiedziona. Chciała pierwsza zobaczyć matkę w nowej kreacji, jak za dawnych lat, by podziwiać ją, tak jak wtedy przed każdym spotkaniem towarzyskim. W kwestii oglądania mamy w wieczorowym stroju już na zawsze pozostanie małą dziewczynką.

Schodząc na dół, przez półokrągłe okno nad drzwiami zobaczyła jasną czuprynę Percy’ego. Przyszedł wcześniej i sam, podchodził już do schodów. Panika, która przez kilka ostatnich tygodni siedziała gdzieś głęboko przyczajona, ogarnęła ją nagle w jednej chwili. Bez tchu zbiegła do drzwi i szarpnęła je mocno, zanim Percy zdążył pociągnąć za sznurek dzwonka.

Od razu zgadła, co przyszedł jej powiedzieć. Oczy bezbarwne jak szkło, zęby zaciśnięte jak imadło.

- Wiem, że jestem przed czasem, Mary, ale zanim zjawią się pozostali, chcę ci powiedzieć kilka rzeczy. Mama z tatą przyjadą samochodem. Ja przyszedłem pieszo, żeby się trochę przewietrzyć.

Uśmiechnęła się.

- Musisz mieć dużo do powiedzenia.
 - Niestety tak.
 - I to w moje urodziny?
 - Tak wyszło.
 - W takim razie wejdź. Matka jest jeszcze na górze.
 - Matka? – zmarszczył czoło na to nowe słowo.
 - Czasem tak o niej mówię... – zaczerwieniła się pod jego badawczym wzrokiem.
- Chodź dalej i daj mi swój płaszcz.

– To nie będzie konieczne. Nie zostaję.

Poczuła się, jakby jej wymierzył policzek.

– Percy, chyba nie mówisz poważnie. To przecież moje urodziny.

– Masz gdzieś swoje urodziny, tyle że zbliżają cię o kolejny rok do objęcia kontroli nad Somerset.

– Chodzi o Fair Acres, tak? – czuła narastające napięcie w splocie słonecznym, jakby zaraz miało ją rozerwać. – Uznajesz to za przypiecztowanie mojego zaangażowania w plantację.

– A tak nie jest?

– Percy... – w panice szukała w głowie przekonującego wyjaśnienia. – Kupno Fair Acres to nie wybór między tobą a Somerset. To była po prostu okazja, której nie mogłam nie wykorzystać. Moja decyzja nie ma nic wspólnego z tobą. Ja... miałam tak mało czasu do namysłu. Właściwie nie pomyślałam o tobie i jak ta transakcja może wpłynąć na nas... jak ty na to spojrzysz.

– A gdybyś pomyślała, to by coś zmieniło? Czy i tak kupiłabyś Fair Acres?

Znalazła się w pułapce. Jak mu wytłumaczyć, że nie miała wyboru? Patrzyła na niego bez słowa, w sercu czując udrękę.

– Odpowiedz mi! – wrzasnął.

– Kupiłabym – wypłynęło z jej ust.

– Wiedziałem – nozdrza mu drżały. – Zastanawiam się tylko, ile cię to kosztuje – oprócz mnie, oczywiście. Mój Boże, Mary – zmierzył ją wzrokiem z góry na dół, a ona cała wewnętrznie się skuliła, wyobrażając sobie, jaka nadmuchana musi się wydawać w swojej staromodnej tafcie, mocno zebranej w pasie i podkreślającej biust, odkryty ponad koronkowym wykończeniem gorsetu. Najnowsze trendy promowały bardziej spłaszczone piersi i luźną talię, które Percy zapewne często podziwiał w Isabelle Withers.

– Minęła prawie połowa twojej młodości, a ty praktycznie nie wiesz, co to takiego – powiedział Percy, wykrzywiając pogardliwie usta. – Powinnaś chodzić na tańce i flirtować z chłopcami, a spójrz tylko na siebie. Jesteś skrajnie wycieńczona, pracując w polu przez osiemnaście godzin na dobę, i po co to wszystko? Żeby żyć w biedzie, w ciągłej niepewności, czy wystarczy na kolejny bochenek chleba? Nosić ubrania, które wyszły z mody sto lat temu? Czytać przy lampach naftowych i używać wciąż wiadra zamiast toalety? Straciłaś brata i matkę, a teraz stracisz mężczyznę, który cię kocha, który mógłby ci dać wszystko, i to z powodu plantacji, która niszczy ci zdrowie i złamie serce, która nigdy, nigdy nie okaże się warta twoich poświęceń.

– Przecież nie będzie tak zawsze – Mary wyciągnęła do niego rękę. – Za kilka lat...

– Ależ oczywiście, że zawsze tak będzie! Kogo chcesz oszukać? Zapewniłaś to sobie, kupując Fair Acres. Ja nie mam kilku lat!

– Co... co chcesz mi przez to powiedzieć?

Odwrócił się, a jego przystojna twarz cała się zmarszczyła. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby płakał. Podeszła bliżej, ale on powstrzymał ją podniesioną ręką, wyciągając jednocześnie z płaszcza chusteczkę.

– Chcę ci powiedzieć to, co ty mi ciągle powtarzałaś. Myślałem, że potrafię odciągnąć cię od Somerset, ale widzę teraz, że nie. Zakup Fair Acres to potwierdza. Trzymałem się z daleka, żeby dać ci czas, żebyś mogła sobie uzmysłwić, jak bardzo mnie pragniesz i potrzebujesz, ale ty po prostu wypełniłaś ten czas dodatkową pracą w polu i w domu... jak robisz zawsze, gdy nie jesteśmy razem. Mnie ta rozłąka wykańcza, a ty najzwyczajniej siejesz kolejny rząd bawełny.

Wytarł oczy i spojrział na nią.

– To nie dla mnie. Miałaś rację, Mary. Potrzebuję kobiety, która będzie kochać mnie

i nasze dzieci ponad wszystkich i wszystko inne. Nie potrafię dzielić się nią z niczym, co będzie wysysać z niej całą energię, nie zostawiając już nic dla mnie i rodziny. Teraz to wiem, i nie zgodzę się na mniej. Jeśli nie możesz mi tego dać...

Patrzył na nią błagalnie z nadzieją, i Mary wiedziała, że to jest właśnie ta chwila. Teraz albo nigdy. Jeśli pozwoli mu odejść, odejdzie już na zawsze.

– Myślałam, że mnie kochasz...

– Kocham. Właśnie dlatego to wszystko jest tak cholernie tragiczne. No więc, jak będzie?

Ja czy Somerset?

Załamano bezradnie dłonie.

– Percy, nie każ mi wybierać...

– Musisz. No więc jak?

Patrzyła na niego długo, milcząco zrezygnowana.

– Rozumiem... – powiedział.

Z podjazdu doszedł ich trzask zamykanych drzwi samochodu i czyjeś wesołe głosy.

Sassie wypadła z kuchni na końcu korytarza, w wykrochmalonym białym fartuchu na czarnej sukience, którą ubierała zwykle na pogrzeby.

– Przyjechali – ogłosiła. – Panie Percy, dlaczego nie zdejmujesz płaszcza?

– Właśnie wychodziłem – wyjaśnił Percy. – Mary, przekaż mamie moje pozdrowienia i...

wszystkiego najlepszego.

Zaskoczona Sassie patrzyła, jak Percy wykonuje obrót na pięcie i idzie do drzwi, po czym nie oglądając się, zamyka je bez wahania.

– Pan Percy wychodzi? I już nie wróci?

– Nie – odparła Mary głosem pustym jak beczka na deszczówkę w czasie suszy. – Pan Percy już nie wróci.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Mary wciąż stała jak sparaliżowana, kiedy do domu weszli goście. Przyjechali wszyscy razem, emanowała z nich elegancja, dobrobyt i zadowolenie, że znów zobaczą Darlę, otwarty dom i Toliverów z dawnych lat. Na twarzy Abła odmalował się jedynie cień przerażenia, kiedy zobaczył Mary odzianą w czerwoną taftę – w końcu pochodziła z jego sklepu – ale Charles Waithe, który niedawno dołączył do firmy ojca, cały promieniał podziwem. Skłonił się do jej dłoni z wielką galanterią, mówiąc:

– Olśniewająca suknia, Mary. Ten kolor jest dla ciebie stworzony. Wszystkiego najlepszego.

Mary powitała ich nieco sztywnym uśmiechem, przytłoczona świadomością poniesionej właśnie starty. Nikt oprócz Olliego chyba nie zauważył. Gdy wszyscy przeszli do salonu, w którym podano przekąski, został z tyłu.

– Co się stało Percy'emu? Dlaczego nie został?

– My... właśnie się rozstaliśmy.

– Znowu? Co się stało?

– Fair Acres.

– O – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. – Tego się obawiałem. Percy był bardzo, ale to bardzo zły, kiedy dowiedział się, że kupiłaś kolejną plantację. Nie można go było uspokoić. Uznał, że dokonałaś wyboru między nim a Somerset.

– To była tylko decyzja, a nie żaden wybór.

– W takim razie musimy mu to jakoś przetłumaczyć.

Mary spojrzała na jego dobrą twarz, jak zwykle wzruszona jego miłością do nich. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Ollie, już dość dla nas poświęciłeś. Nie ma sensu marnować ani jednej minuty więcej na dwoje ludzi, którzy z pewnością znów wszystko zepsują.

Ollie wziął jej rękę i przytrzymał ją przy aksamitnej klapie swojego smokingu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale żadne poświęcenie nie jest zbyt duże dla dwojga najważniejszych dla mnie ludzi na świecie.

W tym momencie dostrzegli jakiś ruch na górze. Spojrzeli tam. Jej matka stała na piętrze, z ręką na balustradzie, prezentując władcą pozę Darli z dawnych lat. W salonie Baetrice zauważyła ich zwrócone w górę, zmienione twarze i natychmiast wszystkich przywołała.

– Jest Darla – ogłosiła podekscytowana. W kilka sekund wszyscy zebrali się, by patrzeć, jak Darla schodzi do nich szerokimi schodami.

Suknia okazała się trafieniem w dziesiątkę. Jej bursztynowy kolor i prosty krój maskowały brak figury. Grubsza faktura aksamitu dodawała Darli wagi, a długie szyfonowe rękawy zakrywały ręce zwiadczałe od leżenia przez kilka lat w łóżku. Róż na policzkach i na ustach oraz misterny, wysoki kok nie zdołały zmienić jej wymizerowanej twarzy, ale uśmiech i poza, sposób przechylenia głowy były dokładnie takie same jak w czasach, gdy mała Mary stała dokładnie w tym samym miejscu, by z podziwem patrzeć na matkę, która płynnym krokiem... schodziła do swoich gości.

– Witajcie, kochani – pozdrowiła ich melodyjnym głosem. – Jak to miło z waszej strony, że przyszliście.

Niejedne oczy zaszyły mgłą, wszyscy chcieli wyrazić swój podziw i zadowolenie, że Darla znów jest z nimi.

– Lepszej sukni nie mogłaś wybrać – szepnął Abel do ucha Mary.

– Dobra robota – pochwalił Ollie.

Darla z uśmiechem przeszła wśród starych znajomych i pogłaskała policzek Mary, przypominając wszystkim, po co się tutaj zebrałi. Ale już wkrótce zapomnieli o tym, świętując jej powrót do życia. Mary ulżyło. Skupienie uwagi gości na matce odwróciło ją od niej i jej marnego nastroju. Myślała teraz o czymś innym. Kiedy już wszyscy usadowili się w salonie, Ollie poprowadził rozmowę, a ona mogła usunąć się gdzieś na dalszy plan. Było mnóstwo ciekawych tematów – prohibicja, kampania prezydencka, dziewiętnasta poprawka do Konstytucji.

– Mam nadzieję, że nigdy nie dożyję dnia – zadeklarował Jeremy Warwick – kiedy kobiety otrzymają prawo wyborcze.

Jego żona dała mu kuksańca w ramię.

– Nie tylko dożyjesz tego dnia, kochanie, ale będziesz świadkiem, jak twoja żona odda głos na Warrena G. Tak będę głosować w listopadzie, jeśli poprawka przejdzie.

– Co dowodzi jedynie słuszności mojego zdania, że kobiet nie należy dopuścić do urn – zripostował jej mąż, wywołując salwę śmiechu.

W salonie przycichło, kiedy nadszedł czas rozpakowania prezentu od Darli, który włożyła do złoconego pudełka po swojej sukni. Położono je wśród kwiatów przysłanych przez gości, którzy choć w ten sposób postanowili obdarować Mary, bo w zaproszeniach poprosiła o nieprzynoszenie prezentów. Wszyscy z zaciekawieniem patrzyli, jak Mary otwiera pudełko, a potem odezwał się chór ochów i achów, kiedy solenizantka wyciągnęła z niego coś kremowego z mnóstwem kokardek.

– Och, ależ to... to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam! – zawołała Beatrice Warwick.

– Darla, kochanie! – Abel wpatrywał się w wielką narzutę w rękach Mary. – Chętnie kupiłbym od ciebie tyle sztuk, ile tylko zdołasz zrobić. Zapewniam cię, że sprzedadzą się równie szybko jak lody w czerwcu.

Usta Darli rozchylił nikły uśmiech, jakby już sama myślała o tym ją męczyła.

– Dziękuję ci, Abel, ale zrobiłam to specjalnie dla córki jako pamiątkę jej dwudziestych urodzin. Nic więcej już nie zrobię.

Pozostała milcząca, podczas gdy wszyscy dotykali i komplementowali dopracowane detale, jakoś wykonania i wzór ogromnej kapy. Długie pasy zrobione na drutach z kremowej włóczki połączone zostały ze sobą wstążkami z różowej satyny, z których wykonano kokardki, układające się w piękny wzór.

– Mamusiu, ja... po prostu brak mi słów – powiedziała Mary z podziwem i radością, nabożnie przesuwając palcami po skomplikowanym wzorze. – Naprawdę zrobiłaś to dla mnie?

Wciąż nie mogła uwierzyć w wielkoduszność matki, w ciężką pracę, jaką w to włożyła. Nigdy wcześniej w dawnych czasach nie demonstrowała swoich uczuć w taki sposób.

– Tylko dla ciebie, kochanie – odparła matka, parząc na nią czule błyszczącymi oczami. – To jedyne, co przyszło mi do głowy i mogłoby wyrazić, ile dla mnie teraz znaczysz.

Pamiętając o swojej obietnicy, Mary zostawiła na chwilę gości przy cieście i kawie, spiesząc do kuchni, by pokazać prezent Sassie i Toby'emu. Na gospodyni nie zrobił wrażenia.

– Ciekawe, czemu niby wybrała różowe wstążki, skoro pokój panienki jest zielono-niebieski? Do niczego nie będzie pasować. Mówię wam, jak tu stoję, tej kobiety nie da się zrozumieć.

– Przecież wiesz, Sassie, że zawsze chciała mi wmówić pastele. Ten wybór to delikatny sposób zakomunikowania mi, że wciąż się nie poddaje i to jest kolejny zdrowy znak. Po żniwach pomaluję pokój na krem i róż.

– Krem i róż! Toż to nie kolory panienki Mary. Za słabe i wątłe. To kolory pani Darli!

Kiedy wróciła do salonu wraz z narzutą, matka powiedziała:

– Daj mi to, kochanie. Złożę ją i wezmę potem ze sobą na górę.

Goście wymienili rozbawione spojrzenia. Beatrice zauważyła:

– Twoja mama, Mary, bardzo się napracowała nad tą narzutą, czyż można ją winić za to, że nie chce się z nią rozstać?

Reszta przyjęcia była mocno wymęczona. Z Darli uszło całe życie. Siedziała w swoim bujanym fotelu, znużona i odległa, wydawała się jeszcze bledsza. Mary również trudno było utrzymać na twarzy uśmiech, do którego zmuszała się cały wieczór. Ogarniała ją coraz większa rozpacz. Pewność, że straciła Percy'ego na dobre, była gorsza niż jej najstraszniejsze myśli w czasie wojny.

Bez żadnego uprzedzenia, w pewnym momencie Darla wstała z fotela, przyciskając do piersi złocone pudełko.

– Obawiam się, że muszę się już z wami pożegnać, moi kochani goście i córko

– powiedziała. – Ale proszę, wy zostańcie. Zostańcie i bawcie się tak długo, jak zdołacie. Nalegam.

Wszyscy natychmiast rzucili się do niej z miłym słowem, uściskiem, małym pocałunkiem w policzek. Mary czekała z boku, aż całe zamieszanie się skończy, a potem delikatnie objęła kruche ciało matki.

– Dziękuję, mamusiu – powiedziała z wdzięcznością, która odbierała jej głos.

Matka przytuliła jej policzek do swojego.

– Ciesz mi, że urządziłam córce urodziny, które zapamięta do końca życia.

– Jakże mogłabym zapomnieć, mamusiu. Twój prezent jest najlepszą gwarancją.

– Taki też był mój cel – Darla wyzwoliła się z jej objęć. – Zostań na dole i pomóż Sassie posprzątać, kiedy już wszyscy wyjdą. Biedaczka jest coraz starsza, a nie chciałabym, żeby pół nocy spędzała na doprowadzaniu kuchni do porządku.

Mocno ściskając pudełko, z uśmiechem odwróciła się do gości i podniosła rękę, przebierając palcami na pożegnanie.

– Żegnajcie, kochani.

Wieczór zakończył Ollie.

– Przepraszam wszystkich – powiedział – ale czuję się jak butelka szampana, z której uleciały wszystkie bąbelki. Tata i ja będziemy się powoli zbierali do domu.

Już w holu, kiedy wszyscy ubrali płaszcze, kapelusze i rękawiczki, zapytał Mary półgłosem:

– Chcesz, żebym został na chwilę?

Mary kusilo, by się zgodzić. Ollie wiedział, że ten wieczór nie był dla niej wesoły, i rozumiał dlaczego. Jego obecność podczas sprzątanego po przyjęciu bardzo by jej pomogła, ale potem Abel musiałby wracać po niego po nocy samochodem, a przecież już było późno.

– Dziękuję ci, Ollie, ale poradzę sobie. Nie zamartwiaj się Percym i mną. My... i tak nie byliśmy sobie pisani.

Uniósł jej dłoń do ust.

– Zostaliście dla siebie stworzeni, Mary Lamb. Jesteście jak oliwa i ocet, wspaniała mieszanka, gdy dobrze się potrząśnie składnikami. Może tego wam trzeba – żeby ktoś porządnie wami potrząsnął.

Zawsze potrafił ją rozbawić swoim doborem słów i teraz też mimo smutku roześmiała się.

– Mam wrażenie, że ciągle coś nami potrząsa, a jednak nie potrafimy się połączyć.

Kiedy już wszyscy wyszli, Mary wysłała Sassie i Toby'ego do łóżek, a potem sama przeniosła naczynia do kuchni. Wolała zmywać niż leżeć bezsennie w łóżku, rozmyślając

o przyszłości bez Percy'ego. Choć powtarzała sobie od dawna, że i tak nie mają żadnych szans, gdzieś bardzo głęboko w swoim sercu tak naprawdę w to nie wierzyła – i liczyła, że Percy też w to nie wierzy. Kiedyś w końcu, tak czy inaczej, wszystko się ułoży. Percy ją kochał. Nie mógłby pozwolić jej odejść. Czas wszystko naprawi – jeśli tylko on zechce poczekać.

A teraz okazuje się, że nie chce.

Kiedy układała naczynia, pomyślała przelotnie, żeby zajrzeć do matki, ale schody wydawały się przeszkodą nie do pokonania dla jej ołowianych stóp, a nie miała też ochoty tłumaczyć się ze swoich zaczerwienionych oczu. Poza tym drzwi pokoju matki mocno skrzypiały, więc mogłaby ją obudzić, jeśli zdążyła już zasnąć. Poczeka do rana.

Było już grubo po północy, kiedy w końcu znalazła się w łóżku. Pościelone pudełko stało na garderobie. Jutro wyjmie z niego swój skarb i przykryje nim łóżko. Choć była zmęczona, myślała, że i tak nie zaśnie, leżąc nieszczęśliwa w pościeli i przewracając się z boku na bok, ale zasnęła od razu. Śniła, że pada śnieg, przykrywając pola bawełny, gdy następnego ranka została brutalnie obudzona przez Sassie, która szarpała jej ramię.

– Co-co się stało?

– Och, panienko Mary! – zawodziła Sassie, przewracając dziko oczami, co w porannym słońcu robiło okropne wrażenie – Pani Darla...

– Co? – Mary odrzuciła kołdrę, jak przez mgłę rejestrując, że Sassie podeszła do miski z wodą, by zwymiotować. Zataczając się, pobiegła do pokoju matki i stanęła ja wryta w jego otwartych drzwiach. Z jej gardła wyrwał się jej krzyk.

– Mamusiu!!!

Wciąż w swojej bursztynowej sukni, matka zwiślała z sufitu, a jej szyję otulała pętla z kremowej włóczki. Na podłodze pod jej stopami leżał stos różowych, satynowych wstążek. Powoli, w końcu rozumiejąc, co się stało, Mary uklękła przed tym stosem i zgarnęła wstążeczki w dłonie.

– Mamusiu, och... – łkała, a wstążki wypadały jej spomiędzy palców jak płatki różowych róż.

Rozdział dwudziesty drugi

Wciąż szlochała, nie mogąc się uspokoić, i przyciskała różowe wstążki do piersi, gdy pojawił się obok niej Percy i mocno ją objął.

– Sassie, zamknij za mną drzwi i zadzwoń do doktora Tannera – rozkazał. – Trzymaj Toby’ego z dala od tego pokoju i ani słowa o tym, co się tu stało.

– Tak jest, panie Percy.

– I przynieś trochę ciepłego mleka. Musimy ogrzać panienkę Mary, zanim dostanie wstrząsu.

– Mamusiu... mamusiu...

– Ciii – powiedział do niej łagodnie, kładąc ją do łóżka i przykrywając kołdrą.

– Ona... mnie nienawidziła, Percy. Nie... nawidziła mnie.

Pogłaskał jej czoło.

– Była chorą kobietą, Mary.

– Te... różowe wstążki... Wiesz, co one znaczą...

– Tak – odpowiedział. – To okrutne z jej strony.

– O, Boże, Percy... Boże...

Dołożył do kominka, bo ogień dogasał, i znalazł dodatkowe koce, którymi przykrył Mary. Kiedy Sassie zjawiała się z mlekiem, pomógł Mary unieść głowę i przystawił jej do ust ciepły kubek.

– Spróbuj wypić. No już, Mary, pij.

– Doktor Tanner będzie za parę minut, panie Percy. Co mam zrobić, jak przyjdzie?

– Przyślij go na górę. Wyjdę do niego na korytarz.

Mary złapała jego rękę, patrząc na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

– Co chcesz zrobić? Co teraz będzie?

Wytarł strużkę mleka, które ściekało jej po brodzie.

– Nie martw się. Wszystkim się zajmę. To zostanie między tobą, mną, Sassie a doktorem Tannerem. Nikt inny – nawet Toby – nie musi wiedzieć. Wyślę telegram do Milesa.

– Co... mu napiszesz?

– Matka zmarła z przyczyn naturalnych. Tak doktor Tanner stwierdzi w akcie zgonu.

Poszła spać i już się nie obudziła.

Mary oparła się o poduszki i odwróciła głowę. Widziała, jak brzydzi się tym tuszowaniem prawdy. Okłamanie Milesa, a doktora Tannera będzie musiał prosić, czego nie miał nigdy zamiaru i nie chciał robić, o odwdzięczenie się za wiele hojnych datków na cele medyczne złożonych przez Warwicków w ciągu wielu lat.

– Dziękuję ci, Percy – powiedziała do ściany, szcękając zębami.

Przykryta grubą warstwą koców, nasłuchiwała przyciszonych głosów i kroków Percy’ego, doktora Tannera i Sassie, którzy wchodzili i wychodzili z pokoju jej matki. Kiedy gospodyni znów się pojawiła, oznajmiła, że ciało zostało odcięte i zaszyte w prześcieradło.

– Tak ją zabierze zakład pogrzebowy – mówiła, poprawiając koce. – Pan Percy pojedzie z nią do zakładu pogrzebowego i dopilnuje, żeby zabili trumnem gwoździami. Powie wszystkim, że po długiej chorobie organizm pani Darli był wyniszczony – to słowo pana Percy’ego – i jej córka chciałaby, żeby wszyscy zapamiętali ją żywą.

Percy był przy niej podczas załatwiania formalności pogrzebowych i przyjmowania gości z kondolencjami. Nie formułował żadnych sądów ani oskarżeń, ale znaczenie różowych wstążek wilo się między nimi jak jadowity wąż, którego w milczącym porozumieniu postanowili

ignorować, ale którego obecności byli boleśnie świadomi. Jego ponure milczenie wyrażało to, w co sama wierzyła: to ona była odpowiedzialna za samobójstwo matki. Kolejna konsekwencja jej ślepej obsesji na punkcie Somerset.

– Panienko Mary, co teraz zrobić z tymi wszystkimi wstążkami i paskami włóczki?

– spytała ją Sassie, kiedy już wstała z łóżka i chodziła w kółko, jak ogluszona po bombardowaniu ofiara wojny. – Pan Percy mówi, żeby je spalić.

– Nie! – z gardła wyrwał się głośny protest. – Robiły je ręce mojej matki... Przynies mi je.

Mając je znów w dłoniach, ścisnęła różowe wstążki, formując z nich kulkę i owinęła je kremowymi paskami, potem zapakowała całość w bibułę i schowała głęboko w swojej szafie.

Na pogrzebie czuła to samo potępienie ze strony mieszkańców miasta, które wcześniej czuła ze strony Percy'ego. Choć nikt nie znał prawdziwej przyczyny jej śmierci, wystarczył sam zgon. Darla zmarła, ponieważ mąż złamał jej serce, a córka nie naprawiła jego błędu. Mary widziała nawet, jak Emmitt Waithe kręci głową, jakby i on wierzył, że ta tragedia jest wynikiem testamentu Vernona Tolivera.

Kilka dni po pogrzebie powiedziała do Sassie:

– Na jakiś czas wyprowadzam się do domu Ledbettera. Łatwiej będzie mi stamtąd zarządzać plantacją. Może odwiedzisz w tym czasie córkę? Tobo wszystkiego tu dopilnuje, a u Ledbettera jest telefon. Proszę, oto numer.

– Panienko Mary, ale jak panienka sama tam da sobie radę?

– Nie martw się o mnie.

– Panu Percy'emu i panu Olliemu pewnikiem się to nie spodoba.

– Wiem, Sassie, ale chciałabym na razie odpocząć od ich pełnej dobrej woli troski o mnie.

„I od milczącego osądu Perrcy'ego” – dodała w myślach.

Do kwietnia pola zostały obsiane. Mary osłaniała oczy przed wiosennym słońcem, patrząc na rozciągające się aż po horyzont równe rzędy usypanej ziemi, z której niedługo wykiełkują nasiona. Za nią stał Hoagy Carter, biały nadzorca, którego odziedziczyła wraz z plantacją Fair Acres, oraz Sam Johnson, jeden z dzierżawców Somerset, którego ojciec uprawiał kiedyś tę samą ziemię jako niewolnik. Po zbiorach Sam i reszta dostaną jedną trzecią zysków z płonów, których dziś doglądają. Obydwaj mężczyźni z kapeluszami w dłoniach czekali na to, co powie Mary.

– Dobrze to wygląda, Sam. Bardzo dobrze, jak nigdy – powiedziała. – Jeśli wszystko się powiedzie, czeka nas rekordowy zbiór.

– Och, pani Mary... – Sam westchnął i w rozmarzeniu zamknął oczy. – Nie mogę przestać o tym myśleć. Jeśli dobry Pan utrzyma taką pogodę podczas żniw, będziemy mogli odłożyć pieniądze do banku.

– Pan ma nas w swojej opiece – zgodziła się Mary. – Mieliśmy tyle deszczu, ile trzeba i w odpowiednim czasie, nie było też późnych przymrozków. Ale ja jestem taka sama jak ty. Nie uspokoję się, dopóki nie zbierzemy ostatniej torebki.

– I wtedy będziemy mogli zacząć się martwić kolejnym rokiem – roześmiał się Hoagy, ale jego wzrok, gdy patrzył na Mary, stał się ostry i niespokojny. – To znaczy, o ile jakiś silniejszy wiatr pani wcześniej nie zmiecie.

Mary nie skomentowała tego. Mężczyźni założyli kapelusze i ruszyli wraz z nią do domu Sama.

– Pan Hoagy ma rację – odezwał się Sam z takim samym zmartwionym wyrazem twarzy.

– Musi pani zacząć jeść, bo zmarnieje pani na wiór. Może zostanie pani i zje dziś z nami obiad? Bella ma na piecu wielki garnek zielonego groszku na wieprzowym wywarze.

Dochodzili już do ganku, gdzie czekała na nich żona Sama. Usłyszała słowa męża

i dodała własne zaproszenie:

– I właśnie przed chwilą byłam wyciągnąć z pieca placek jeżynowy.

Hoagy patrzył na nią wzrokiem pełnym nadziei. Mary wiedziała, że chciał, by przyjęła zaproszenie. Miną jeszcze dwie godziny, zanim zasiądzie do własnego posiłku, który do tego czasu zdąży wystygnąć. Na kuchennym parapecie otwartego okna widziała gorące ciasto, pachnące ciepłymi jeżynami i maślanym, kruchym spodem.

– Bardzo dziękuję – powiedziała – ale musimy jeszcze odwiedzić kilka domów. Hoagy, jest pan gotów?

Widok ciasta i jego owocowy zapach zemdlily ją. Od samobójstwa matki trudno jej było znieść choćby myśl o jedzeniu.

Sam i Bella odprowadzili Mary i zawiedzionego Hoagy'ego do wiaty między dwoma częściami budynku, gdzie przywitała ich Daisy, czternastoletnia córka Johnsonów.

– Mamo, elegancki automobil do nas jedzie, widziałam jak skręcał z drogi.

– Bezkonny powóz tutaj? – dziwiła się Bella. – A któż by to mógł przyjechać do nas czymś takim?

Przez moskitierę w drzwiach Mary zobaczyła, jak przedmiot ich rozmowy zatrzymał się pod jednym z orzeszników na podwórku Johnsonów.

– Proszę, proszę, czy to nie ten Percy Warwick? – zauważył Hoagy, mrużąc oczy. – Co on tutaj robi?

– Myślę, że przyjechał do mnie – powiedziała Mary. – Zostańcie tutaj, a ja zobaczę, o co mu chodzi.

W końcu mnie dopadł, pomyślała Mary, zmęczona samą perspektywą spotkania. Najwyraźniej jeździł za nią od domu do domu, żeby wreszcie tu ją wytropić. Stał ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami swobodnie oparty o samochód, którym zastąpił tamten przechowywany przez ojca w czasie wojny.

– Witaj, Percy – pozdrowiła go bez entuzjazmu. – Wiem, po co przyjechałeś.

– Ollie miał rację – mierzył ją krytycznym wzrokiem. – Bardziej przypominasz szkielet niż człowieka.

– Zmyślasz. Ollie nigdy by się tak o mnie nie wyraził.

– Może ujął to trochę inaczej. Powiedział chyba „więcej kości niż ciała”, po tym jak zobaczył cię tamtego wieczoru w twoim domu. Ale obydwa sformułowania są bardzo trafne.

Chodziło mu o ten dzień, kiedy Ollie napadł wręcz na nią, gdy wróciła do domu, żeby zmienić koniowi uprząż. Ollie wytrwale i czujnie czekał co wieczór na jej werandzie, licząc, że w końcu uda mu się ją spotkać.

– Ollie nie powinien marnować swoich wieczorów na czekanie na mnie, nie po ciężkim dniu w sklepie. Potrzebuje odpoczynku.

Percy wyprostował się.

– Mogłabyś docenić jego troskę. Nie może zrozumieć, dlaczego odseparowałaś się od tych, którzy cię kochają.

Ale ty zrozumiesz, prawda? pomyślała Mary. Percy rozumiał, dlaczego odcięła się od wszystkich i żyła jak mnich z dala od domu. Był świadkiem sceny, która na zawsze ją zmieniła, a jego widok tylko jej to wszystko przypominał i wzmacniał przytłaczające poczucie winy, które towarzyszyło jej nieustannie, gdy tylko nie spała. Zdziwiła się, że nie ma na sobie garnituru. Dzisiaj, w środku tygodnia powinien przecież być w pracy. I tak jednak wyglądał jak młody bóg w tym południowym słońcu i normalnie puls od razu by jej przyspieszył. Ale nie dziś – już nie.

– Ollie mówi, że przeprowadziłaś się na plantację – kontynuował Percy. – Nic dziwnego, że nigdy nie możemy cię zastać w domu. Z Toby'ego nic nie można wyciągnąć.

Grymas na jego twarzy mówił jej, że wyobraża sobie pusty, brudny dom, do którego wraca co wieczór, rzucony na podłogę materac i walające się puszki po zupie, którą podgrzewa sobie, gdy jest głodna. Ale przynajmniej mogła korzystać z nowoczesnej łazienki.

– Tak jest mi wygodniej – wyjaśniła. – Wysłałam Sassie do córki, a Toby wszystkiego dogląda.

Percy westchnął zirytowany.

– Mary, to się musi skończyć. Nie mogę znieść tego, co sama sobie robisz.

– Będziesz musiał – rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku Hoagy’ego, który niecierpliwiał się, bo chciał jak najwcześniej skończyć robotę i iść na obiad. – Wiem, że ty, Ollie i wasze rodziny martwicie się o mnie, ale nic nie możecie zrobić w tej sprawie. Jestem tu, gdzie chcę być, i robię to, co chcę robić. Nie chciałabym wyjść na niewdzięcznicę, ale w tej chwili chcę być sama.

– Nie mogę zostawić cię samej.

Świadoma nadstawionych uszu Hoagy’ego, Mary syknęła.

– Percy, posłuchaj mnie. Nie możesz nic zrobić. Nic.

– Owszem, mogę. Dlatego tu jestem. Mam dla ciebie propozycję.

– Już ją słyszałam.

– Nie tę – Percy zbliżył się do niej, a groźne błyski w jego oczach ostrzegały, żeby się nie cofała. – Nie uważasz, że jesteś mi winna przynajmniej tyle, żeby mnie wysłuchać?

A, o to chodzi. Ma na nią haczyk do końca życia. Ale miał rację. Była mu to winna. Zawsze będzie.

– Czy mógłbyś mówić trochę ciszej – odparła, zgrzytając zębami. – Nie chciałabym, żeby ta rozmowa stała się tematem plotek na każdej werandzie w okolicy.

– Więc idź i powiedz Hoagy’emu, że masz do załatwienia sprawę w mieście i wsiadaj do samochodu. Przygotowałem dla nas coś do jedzenia. On może zabrać bryczkę, a potem po nią podjedziemy.

Patrzyła na niego, jakby stracił rozum.

– Nie mogę! Mam przed sobą jeszcze dwie rundy, a potem musimy omówić z Hoagym harmonogram odchwaszczania.

Podszedł jeszcze bliżej.

– Albo jedziesz ze mną dobrowolnie, albo własnoręcznie wrzucę cię do auta. Czy to będzie odpowiedni temat do plotek na okolicznych werandach?

Mary wiedziała, że może to zrobić. Gniewny błysk w jego oczach wskazywał, że na decyzję ma kilka sekund.

– Już dobrze! – warknęła i odwróciła się, żeby pomaszerować z powrotem do domu Johnsona, gdzie trzy pary wytrzeszczonych oczu w pośpiechu wycofywały się za siatkowe drzwi. Na ganku Hoagy przyglądał się jej z ciekawością. Widziała w jego twarzy, że usłyszał dość, by domyślić się, że coś ją łączy z wszechmocnym Percym Warwickiem.

– Hoagy, muszę wrócić teraz do miasta z panem Warwickiem – usiłowała zachować swobodny ton. – Sam pan dokończy to, co zostało do zrobienia, a potem niech pan idzie na obiad. Przyjadę później po bryczkę.

Hoagy zmrużył oczy.

– To chyba ważne, skoro jedzie pani w środku dnia.

– Jadę i już – odparła zdenerwowana – ale wrócę po południu.

Na te słowa mina mu zrzedła, a ona się domyśliła, że gdyby miała nie wrócić, zrobiłby sobie dzień wolnego. Zwolnię tego lenia przy pierwszej okazji, pomyślała, idąc do samochodu Percy’ego.

– Twoja wizyta będzie na językach wszystkich okolicznych dzierżawców jeszcze przed kolacją – powiedziała, siadając w fotelu pasażera i zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Percy się uśmiechnął.

– Do diabła, Mary, nie uważasz, że stanowimy dużo ciekawszy temat niż kwiecień bawełniany?

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy już tuman kurzu wzbił się za ruszającym samochodem, Mary zwróciła się do Percy'ego:

– Dokąd właściwie jedziemy?

– Do naszej chaty...

Poczuła w brzuchu skurcz. Pamiętała, jak Percy mówił, że chciałby ją tam zabrać, włożyć pod prysznic i całą namydlić. Tego dnia, gdy przyłapał ją w Somerset – wyglądała jak strach na wróble – całe wieki temu.

– Ciągle z niej korzystam, gdy poluję albo idę na ryby.

– I gdzie zabierasz swoje kobiety, jak sadzę.

Spojrzał na nią.

– Jak sobie życzysz.

– Wcale sobie nie życzę, Percy Warwicku. Nie zamierzam zostać jedną z twoich kobiet.

– A ja wcale nie chcę, żebyś została jedną z moich kobiet. Chcę, żebyś została moją żoną. Teraz już każdy nerw miała napięty do ostateczności.

– To niemożliwe.

– Tak kiedyś myślałem, ale teraz jestem gotów na kompromis.

Wymknął się jej lekki okrzyk zdziwienia.

– Kompromis? To jest ta propozycja?

– Aha. Powiem ci więcej, jak cię nakarmię.

Mary zmusiła swoje serce do bardziej regularnej pracy. Przecież już to przerabiali. Pamiętała słowa Percy'ego, które wypowiedział wtedy na plantacji: „Możesz to nazwać męskim zarozumiałstwem, arogancją albo siłą miłości, ale ja wierzę, że mogę sprawić, iż porzucisz Somerset”. Teraz już wiedział, że nie potrafi. W każdym razie powinien wiedzieć. Skoro samobójstwo matki nie osłabiło jej zaangażowania, tym bardziej nie dokona tego nic, co powie czy zrobi Percy Warwick. Zbyt wiele straciła, zbyt wiele poświęciła. W jakiś perwersyjny sposób, którego Percy nie jest w stanie pojąć, właśnie matce była winna to, żeby plantacja rozkwitła. Nigdy nie zgodzi się na kompromis, który stałby w sprzeczności z tym celem.

Jego żonę, powiedział, nie kochanką. Dlaczego właściwie miałby chcieć się z nią teraz żenić? Nigdy nie pozbędzie się z głowy widoku matki powieszanej na kremowych paskach, które własnymi rękami wydziergała z przeznaczeniem na swoją pętlę. Mimo groteskowo napuchniętej twarzy i wyciągniętego języka, na jej twarzy bezsprzecznie malował się wyraz triumfu. Percy nie mógł tego nie zauważyć, kiedy ją odcinał.

Z jej ust wydobył się jęk żalu. Percy go usłyszał i zapytał:

– Jakiś duch zza grobu?

– Coś w tym rodzaju.

Nigdy nie była w tej ich chacie, którą Miles, Ollie i Percy zaczęli budować na brzegu jeziora Caddo, gdy mieli po dziesięć lat. Zajęło im to całe lato tamtego roku, wiele kolejnych wakacji i nie tylko. Ale zbudowali ją, a potem wykończyli. Do dziś pamiętała dyskusje przy stole na temat konstrukcji i wystroju, a także ostrzeżenia matki: „Miles, musisz pamiętać, że to powinno być miejsce, w którym nie będziesz zachowywał się inaczej, niż zachowałbyś się w swoim własnym pokoju w domu”.

Mimo że Mary miała wtedy pięć czy sześć lat, ta uwaga uzmysłowiła jej, że powodem, dla którego chłopcy postanowili stworzyć to miejsce, była chęć zachowywania się tam dokładnie tak, jak nigdy nie zachowaliby się w domu. Dorastała, uważając chatę za bardzo tajemniczą,

ekskluzywną męską kryjówkę – miejsce, gdzie chłopcy zabierali dziewczęta i pili alkohol.

– Więc to jest ta chata – powiedziała, gdy Percy otworzył przed nią drzwi z surowego sosnowego drewna. – Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Przez wszystkie te lata.

– Byłaś ciekawa, jak tu jest?

– Nie.

– Jasne.

Weszli do pomieszczenia o wymiarach sześć na dwanaście metrów, podzielonego na kuchnię, miejsce do siedzenia i sypialnię za zasłonką z jednym podwójnym łóżkiem i dwoma pojedynczymi. Percy zostawił ją, by się porozglądała, a sam poszedł wyjąć ze studni „coś chłodnego”. Rozpoznała kanapę wyrzuconą z gabinetu ojca, kilka krzeseł, które kiedyś zdobiły salon Warwicków oraz toaletkę i francuskie lustro, bez wątpienia wkład DuMontów. Wewnątrz było czysto i chłodno. Zawsze wyobrażała sobie, że to gorąca, ciemna i duszna jaskinia pełna much i komarów i Bóg jeden wie, jakiego jeszcze robactwa znad rzeki. Tymczasem pomimo cienia drzew przez moskitiery w oknach wpadało sporo światła, a sufitowe wentylatory rozsiewały na różne strony wpadające znad jeziora podmuchy wiatru.

Mały stolik w kuchni nakryto na dwie osoby, wraz z serwetkami i wazonem świeżych kwiatów. Starannie rozmieszczone elementy zastawy, ustawione silnymi rękami Percy’ego wzruszyły ją w dziwnie czuły sposób...

– Po co mnie tu przywozłeś, Percy? – zapytała, kiedy wrócił z butelką wina schłodzonego głęboko w studziennej wodzie. – Alkohol ci nie pomoże, cokolwiek chcesz osiągnąć. I lepiej módl się, żeby szeryf Pitt nie zaczął tu myszkować i nie znalazł w studni wina.

Percy zajął się otwieraniem butelki.

– Szeryf nie jest taki głupi, żeby zaglądać w miejsca, które nie powinny go interesować.

– Chcesz powiedzieć, że Warwickowie stoją ponad prawem?

Jak tylko to powiedziała, od razu pożałowała swojej uwagi. Percy miał tyle taktu, żeby tego nie komentować, tylko jego milczenie przypomniało jej, że Toliverowie również nie czuli się zobowiązani przestrzegać zawsze litery prawa, jak pokazały wydarzenia ostatnich tygodni.

– Tylko ponad takim prawem, którego łamanie nikogo nie powinno obchodzić – powiedział, wlewając do kieliszków sauvignon blanc. – Usiądź, Mary. Odrobina wina ci nie zaszkodzi. Jesteś napięta bardziej niż sprężyna w zegarku. Napij się, a ja przygotuję nasz piknik. Potem porozmawiamy.

– Wolałabym teraz – odrzekła Mary, biorąc kieliszek, ale nie zamierzając pić. – Dlaczego chcesz się ze mną ożenić, Percy? Szczególnie teraz... po tym, co widziałeś?

Zaprowadził ją do krzesła, gdzie wziął od niej kieliszek, odstawił go na bok i delikatnie ją posadził. Potem wziął drugie krzesło i usiadł na nim tak, że ich kolana niemal się dotykały.

– Posłuchaj mnie uważnie, Mary – zaczął, biorąc w ręce jej dłonie. – Wydaje ci, że wiesz, co ja myślę. Ale mylisz się. To nie ty spowodowałaś samobójstwo matki. Być może prawdą jest, że nadal by żyła, gdyby twój ojciec zostawił inny testament, ale tak się nie stało. I to też nie jest twoja wina.

Zdumiona Mary z trudem wyjąkała:

– Jak... jak możesz zaprzeczać, że zawsze winiłeś mnie za to, że papa zostawił mi Somerset? Przecież to powód wszystkich naszych kłótni. I nie mów, że nie uważasz, iż jestem odpowiedzialna za to, że mama poszła do sypialni i... umarła. Przecież tak właśnie myślisz.

– Moje kłótnie z tobą dotyczą twojej obsesji na punkcie Somerset, obsesji tak silnej, że nic i nikt inny się nie liczy, ale twoja matka nie musiała z tego powodu umierać. Nie musiała marnieć latami w łóżku. Mogła wybrać życie, mogła cię kochać i wspierać niezależnie od tego, kogo jej mąż wskazał w testamencie.

Mary gapiła się na niego, nie wierząc własnym uszom.

– Ale przecież uważasz, że to ona powinna odziedziczyć Somerset!

– Oczywiście. Ale uważam również, że nie powinna umierać z powodu decyzji twojego ojca, a to zagranie, żebyś tak myślała, było podle z jej strony.

W oczach poczuła gorące łzy.

– Naprawdę... naprawdę tak uważasz, Percy?

– Oczywiście, skarbie, całym moim sercem. – Wstał i wyciągnął do niej ramiona, tuląc jak dziecko, które uratował przed złym snem.

– Idiota ze mnie, że nie zdawałem sobie sprawy, jak się zadręczasz. To jeden z powodów, dla których cię tutaj przywiozłem, żeby wyjaśnić te wszystkie nieporozumienia. W pewnych sprawach się różnimy, ale śmierć twojej matki do nich nie należy.

– Och, Percy... – westchnęła, porzucając opór. Jego ramiona były miejscem niebezpiecznym, ale czuła się w nich jak w niebie, oferowały jej schronienie, siłę i... przebaczenie.

Pocałował ją w czoło między oczami i odsunął od siebie.

– Nie czuję tu nic prócz kości – stwierdził, masując jej ramiona. – Nakarmimy cię, a potem skończymy tę rozmowę. Wypij wino, zaostrza apetyt.

Mary usiadła z powrotem na krześle, lekka, jakby zrzuciła z siebie wielki ciężar. Poczwała nawet coś na kształt głodu. Patrzyła, jak Percy krząta się po kuchni, nucąc coś pod nosem. Tak dobrze się czuł w swojej skórze, myślała, sącząc wino. Zupełnie jakby żył bez wysiłku, prując fale jak dobrze przygotowany do rejsu statek. Czy to możliwe, że będą szczęśliwi, kiedy się pobiorą? On był człowiekiem ze stali, jak jej ojciec. Vernon Toliver nie potrzebował żadnych domieszek, by stać się pełnym człowiekiem, dlatego też mógł sobie pozwolić na poślubienie takiej kobiety jak jej matka. Ale Mary była z twardszego materiału. To nieuniknione, że wcześniej czy później dojdzie między nimi do zwarcia... stal przeciwko stali.

Alkohol zaczynał działać. Musi uważać. To dlatego jej matka zaczęła pić – żeby poprawić sobie nastrój, mieć większy apetyt, znieczulić się na ból.

– Potrzebujesz pomocy? – zawołała.

Percy stał w kuchni i walczył z blokiem lodu, który topniał powoli w zlewozmywaku.

– Nie. Siedź sobie i odpręż się.

Tak robi. Będzie się cieszyć tymi nielicznymi chwilami spokoju, jakie się jej trafiają. Usadowiła się wygodniej i przebiegła wzrokiem po dziełach sztuki, które chłopcy uznali za warte przyniesienia tutaj z domu. Na jednej ścianie wisiał indiański pióropusz, który pamiętała z pokoju Milesa. O bracie myślała ze smutkiem, który można porównać do nieustającego, tępego bólu. Nie przysłał odpowiedzi na jej list, w którym opisywała ostatnie dni matki. Starła się, by wyglądały na szczęśliwe, relacjonując jak dzień po dniu Darla siedziała w salonie i wydawała się zadowolona, robiąc na drutach narzutę, którą sprezentowała jej na urodziny.

– Możemy zaczynać wyzerkę – ogłosił Percy, a Mary roześmiała się, kiedy skłonił się jej formalnie i wziął za rękę, by poprowadzić do stołu. Musiała uważać, żeby nie zrobić miny na widok pełnych talerzy. Wydawało się jej, że ma żołądek wielkości napałka.

– Wygląda... kusząco – powiedziała, nabierając na widelec trochę mieszaniny, którą smakowała po raz pierwszy. Była to sałatka z pokrojonego kurczaka, zielonych winogron i prażonych migdałów z jasnym, słodkim sosem, który miał lekko cierpki, świeży posmak. Kiedy pogryzła i połknęła pierwszą porcję, z rozkoszy zamknęła oczy.

– Mmm, Percy, to jest pyszne.

Podniósł ze stołu koszyczek z pieczywem.

– Spróbuj tego.

Poczęstowała się maślanym rogalikiem i zatopiła w nim zęby.

– Och, dobre.

– Nazywają się croissantsy. To jedna z niewielu przyjemności, jaką cieszyłem się we Francji. Kucharka DuMontów pokazała naszej, jak się je piecze.

Zjadła całą sałatkę i dwa rogaliki. Na koniec odsunęła od siebie talerz i położyła ręce na brzuchu.

– Nie mam pojęcia, gdzie mogłabym zmieścić brzoskwinie ze śmietaną, Percy. Tu absolutnie nie ma już miejsca.

– Nic nie szkodzi. Śmietana chłodzi się na lodzie, więc deser możemy zjeść później.

Słowo „później” przypomniało Mary o powodzie jej wizyty tutaj. Kiedy jedli, Percy kierował rozmowę na miejscowe wydarzenia, rodzinę i znajomych, a ich widelce i noże w kwartecie uderzały dzwięcznie o porcelanę Willow Wood. Najbardziej interesujący temat pozostał z boku, jak burzowa chmura.

Teraz złożyła serwetkę i położyła ją na stole.

– Percy, myślę, że nadszedł czas na przedstawienie twojej propozycji.

Percy odniósł talerze.

– Najpierw pozmywam. Toaleta jest na zewnątrz, jeśli chcesz skorzystać. Wybierz sobie któreś z drzew i uważaj na pchły piaskowe. Woda jest w misce, ręczniki obok. Dokończymy nasze wino na ganku.

Czuła się zbyt ociężała, by protestować, jak obficie nakarmiony, zadowolony kot. Wyszła więc spokojnie przed dom, w zielony bezruch późnego popołudnia i znalazła odpowiednie miejsce, potem przy studni umyła i wytarła ręce, a na koniec wróciła na ganek, gdzie Percy rozlewał resztki wina. Otoczoną cyprysami werandę zaprojektowano tak, by dochodziła tu bryza znad jeziora, zainstalowano również moskitierę.

– Ja już dziękuję – sprzeciwiła się, wyciągając z kieszeni zegarek na łańcuszku. – Jest po trzeciej. Naprawdę muszę wracać.

– Po co? – zapytał Percy. – Przecież jest Hoagy.

– Hoagy’ego trzeba pilnować. Za bardzo lubi wpadać do wszystkich na kawę.

– Małe przyjemności właściciela plantacji, co?

– Nie psujmy tego idealnego pikniku, zaczynając znów ten temat.

– Kiedy ja muszę, niestety. Plantacja to punkt centralny mojej propozycji.

Mary zeszytniała. Zaczyna się, pomyślała. Marny koniec kolejnego wspianiałego, wspólnego dnia.

– No więc słucham.

– Hm, przemyślałem raz jeszcze, co jest dla mnie ważne, z czym mogę żyć, a bez czego żyć nie mogę. I zdecydowałem, że – z największą uwagą kręcił winem w swoim kieliszku – że mogę żyć z pełną szkodników plantacją, ale nie mogę żyć bez ciebie.

Mary z trudem łapała sens jego słów, pewna, że źle usłyszała.

– To znaczy... że... Percy?

– Chcę, żebyśmy się pobrali – po prostu my: ja, handlarz drewnem i ty, plantatorka.

Czuła, że jej oczy stają się wielkie jak talerze Willow Wood, z których dopiero co jedli.

– Więc zgadzasz się wziąć nas obie? Mnie i Somerset?

To chyba niemożliwe, myślała. Uszy płatały jej okrutnego figla.

Percy spojrzał jej w oczy.

– To właśnie proponuję. Wyjdiesz za mnie, jeśli obiecuję, że nie będę sprzeciwiał się plantacji i zaakceptuję sytuację taką, jaka jest?

Wciąż nie ufała własnym uszom.

– Nie wierzę – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.
Percy odłożył kieliszek na stół i wyciągnął do niej rękę.
– Lepiej uwierz, Mary. Ja cię kocham.
Ostrożnie położyła swoją rękę na dużej powierzchni jego dłoni.
– Skąd taka zmiana?
– Bo widzę, co ze sobą robisz. I ze mną – zamknął jej dłoń w swojej. – Ile jeszcze ciężarów dasz radę sama unieść? Ile lat ja mogę jeszcze wytrzymać bez ciebie? Nasze dni wypełnione są po brzegi, ale nasze życie jest puste.
– A co z... z tym wszystkim, co mówiłeś o swojej żonie? Która na pierwszym miejscu powinna stawiać dzieci?
– No cóż, może tak się stanie, ale obiecuję, że żeniąc się z tobą, nie będę na to liczył. Jeśli ja nie mogę wracać wieczorem do ciebie, wracaj ty do mnie. Po prostu żyjmy razem, mąż i żona, pod jednym dachem, i to mi wystarczy, obiecuję.
Niedowierzanie wciąż nie pozwalało jej na pełną radość.
– Ale to ty idziesz na kompromis. A co ja muszę poświęcić?
Jego palce mocniej się zacisnęły.
– Ty musisz obiecać, że jeśli Somerset zbankrutuje, odpuścisz sobie. I to będzie koniec całej sprawy. Nie przyjdiesz do mnie po pieniądze, żeby ją ratować. Trudno mi będzie ci odmówić, ale zrobię to, a ty musisz obiecać, że moja odmowa nie wpłynie na nasze małżeństwo. Wiesz, co myślę o uprawie bawełny. Uważam, że plantacje takiej jak twoja miały swój czas, który już się skończył.
Wyciągnęła wolną rękę i położyła mu ją na ustach.
– Nic już nie mów, Percy. Wiem, jak się czujesz i nie, nie oczekiwałabym od ciebie ratunku. To byłoby naruszenie zasad, którym hołduję od zawsze.
– Więc obiecujesz? – zapytał. Wyglądał, powstrzymywał własną radość do chwili, gdy ona da słowo.
– Oczywiście, że obiecuję – zawołała, zrywając się z krzesła, jak dziecko, które ma ochotę skakać z radości. – Percy... naprawdę tak myślisz?
– Naprawdę – roześmiał się Percy. – Ale ty wciąż jeszcze nie powiedziałaś tak.
Mary uklękła przed nim i zarzuciła mu ręce na szyję.
– Tak, tak, tak! – krzyczała pomiędzy twardymi, szybkimi pocałunkami w usta. W końcu Bóg się do niej uśmiechnął. – Och, Percy, tyle czasu wyobrażałam sobie, jak to będzie być twoją żoną.
– W takim razie – rzekł Percy – pozwól mi wstać z tego krzesła, to ci pokażę.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zaniósł ją do osłoniętej sypialni. Kiedy kładł ją na łóżku, zauważyła, że pościel jest świeżo zmieniona. Zaplanował więc jej uwiedzenie, pomyślała, ale w ogóle jej to nie przeszkadzało, z ulgą myślała tylko o tym, że już wkrótce będzie z jedynym mężczyzną zdolnym uciszyć tę bestię, która siedzi w niej i nie może zaznać spokoju.

- Percy... – odezwała się cicho – ja się...
- Boję? – zapytał, rozpinając jej bluzkę. – Niepotrzebnie.
- Ale nie wiem, co robić...
- To bez znaczenia. Razem sobie poradzimy.

I tak też się stało. Kilka godzin później, kiedy w pokoju już się ściemniło, a za oknem wzeszedł księżyc, Mary leżała w jego ramionach, czując kojące ciepło jego ciała.

- Wiesz, jak się czułam?
- Nie wiem, kochana – opowiedział, głaszcząc jej włosy. – Powiedz mi.
- Jakbym wróciła do domu. Czułam się, jakbym wróciła do domu.
- Jesteś w domu.

Gdy już zmierzchało, wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie za sosnowym parawanem znajdował się prysznic. Stali pod nim razem nago, Mary piszczala i chlapała wodą, na co Percy wybuchł głębokim śmiechem. To raj, myślała, a my jesteśmy Adamem i Ewą. Czy kiedykolwiek byli ludzie tak bardzo dla siebie stworzeni? Po chwili położyła dłonie na jego brązowym torsie i szepnęła niecierpliwie:

- Percy.

A on zabrał ją z powrotem do chaty.

Kiedy nadszedł poranek, przygotowała dla nich śniadanie – bekon, jajka i brzoskwinie ze śmietaną, o których zapomnieli poprzedniego dnia. Mary jadła łapczywie, miała coraz większy apetyt. Potem, kiedy się ubierali, Percy powiedział:

– Ja mam przynajmniej jakieś ubranie na zmianę, ale co tobą? Przecież musimy pojechać do Hoagy'ego po bryczkę.

Mary dotknęła swojego kołnierzyka i spojrzała na spódnice.

– To mój codzienny strój, jeśli nie zastępuję kogoś w polu. Hoagy nie zauważy, że się nie przebrałam.

Nie mając ochoty wychodzić, przez moskitierę na ganku spojrzała na jezioro. Percy stanął za nią, chowając twarz w jej włosach.

- Wszystko dobrze?
- Dobrze – powiedziała. – Byłeś bardzo delikatny.
- Może trochę boleć. Po południu przyniosę balsam.
- Nie zastaniesz mnie. Nie wiem jeszcze, gdzie dziś będę.

Jego ramiona nieco zeszywniały.

– A więc wieczorem. Wrócisz do domu?

– Tak, na pewno. Przygotuję dla nas kolację i... możesz zostać. Toby'ego nie będzie.

W czwartki zawsze nocuje u brata, chodzą razem na ryby.

Objął ją mocniej i serce znów zaczęło jej mocniej bić.

– Zostawię samochód i przyjdę pieszo – powiedział ochryłym głosem. Odwrócił ją do siebie i uniósł jej głowę, pieszcząc dołeczek w brodzie.

- Mary, jesteś szczęśliwa?
- Bardzo. Nawet nie sądziłam, że mogę być tak szczęśliwa.

W zachwycie dotknęła jego twarzy. Wyczuła teraz lekki zarost, ledwie widoczne jasne włoski. Oddech uwiązał jej w gardle. To była miłość, nie pożądanie. Jak to możliwe, że tak bardzo bała się go kochać? Przecież poradzą sobie jakoś z tymi wszystkimi różnicami. Potrzebują się nawzajem. I będzie dla niego dobra. Nigdy nie pożałuje, że się z nią ożenił. Mimo pulsującego bólu, jaki został po ostatniej nocy, znów czuła podniecenie. Jeśli teraz nie wyjdzie, nie wyjdzie w ogóle, a musiała wracać do Hoagy'ego. Cofnęła się.

– Musimy iść, Percy. Jeśli zjawię się dużo później, Hoagy zacznie coś podejrzewać, w dodatku na pewno nie nakarmił konia.

Percy patrzył, jak wiąże włosy.

– Jak myślisz, moglibyśmy dziś wieczorem ustalić datę ślubu? Chciałbym, żebyśmy się pobrali jak najprędzej.

Ręce jej opadły. Odwróciła do niego rozpaczliwie smutną twarz. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że Percy będzie chciał się zenić, zanim zbiorą bawełnę. Ślub nie wchodził w grę, biorąc pod uwagę wszystkie przygotowania, które się z nim wiązały. Od teraz musi stale być w polu, dzień w dzień, musi wykorzystać każdą godzinę.

– Ja... myślałam, że poczekamy do zbiorów – powiedziała, błagając go wzrokiem, żeby nie poczuł się zraniony, że musi kazać mu czekać. – Tyle zależy od tegorocznych plonów, jak zresztą wiesz. Muszą się udać. Nie może być żadnych opóźnień, żadnych zakłóceń. Muszę stale być na plantacji. Ja... myślałam, że zgodziłeś się to zrozumieć...

Przełknął z trudnością, a Mary widziała, jak twardy węzeł rozczarowania zsuwa się w dół jego szyi.

– No więc, kiedy będzie dobry czas?

– Pod koniec października?

– Koniec października! To strasznie długo, Mary.

– Wiem – powiedziała, obejmując go za szyję. – Ale przecież nadejdzie. A tymczasem, jeśli będziemy dyskretni, możemy być razem. Wynagrodzę ci tę zwłokę, obiecuję. Kocham cię.

Poddając się, Percy zamknął ją w swoich ramionach.

– No dobrze, ale chciałbym, żeby to było jutro. Mam przeczucie, że czekanie to błąd.

– Błędem byłoby nie poczekać – wyjaśniła Mary. – A tak, będzie czas, żeby zaplanować piękny ślub i wszystkie uroczystości przedślubne oraz odpowiedni miesiąc miodowy. Będziemy się mogli zrelaksować. Zobaczysz.

Kwiecień dobiegł końca, a potem maj, obydwa były suche i gorące. Mary się martwiła. Ale na początku czerwca, tuż przed pęknięciem torebek nasiennych, spadł delikatny deszcz, dostarczając roślinom odpowiednią ilość wilgoci, która zaspokoila ich pragnienie. Opatrzność czuwała, ale Mary, budząc się co rano, czuła ciężar w piersi. Gdyby tylko deszcz na razie się powstrzymał, jak również inne formy kataklizmów, wtedy zakończyłby się wreszcie ostatni etap długiego okresu walki Toliverów z przeciwnościami losu.

Do swojego szczęścia podchodziła z ostrożnością, ale nie potrafiła się oprzeć i wyobrażała sobie czasami zebrane plony, spleconą hipotekę i pieniądze w banku. Mogłaby rozpocząć swoje małżeństwo z czystym kontem i jeśli tylko on dotrzymałby danego słowa, ona dopilnowałaby, żeby nigdy nie cierpiał z powodu Somerset. Podzieli swój czas i energię, poczynając od zatrudnienia zarządcy, który odciążałby ją w obowiązkach. Przeszuka cały stan, jeśli będzie taka potrzeba, żeby znaleźć zastępcę tego leniwego Hoagy'ego, na którym absolutnie nie można polegać.

Już planowali z Percym swoje wspólne życie. Zamieszkają w posiadłości Toliverów. Warwickom na pewno bardzo spodoba się ten pomysł, bo będą mieć syna i synową, a potem i małych Warwi-cków zaledwie kilka domów dalej. Percy miał zamiar natychmiast założyć

elektryczność i „telefon, na Boga!”. Trzeba zrobić łazienki i unowocześnić kuchnię, a powozownię przekształcić w garaż. Plany obejmowały też rosarium, całą resztę ogrodu i świeżą farbę na elewacji. Oczywiście zatrzymają Sassie i Toby’ego, ale zatrudnią dodatkową służbę, a Percy był niewzruszony w swoim postanowieniu, żeby prowadzenie rachunków zlecić księgowemu i raz na zawsze uwolnić Mary od ślęczenia nad papierami, kiedy już jest w domu.

Głównym zmartwieniem było utrzymanie w tajemnicy ich spotkań. Mary nie musiała tłumaczyć Percy’emu, jak ważne jej uchronienie jej reputacji przed skandalem obyczajowym. Ludzie mogli patrzeć na nią z dezaprobatą, bo nie naprawiła win ojca, ale nigdy nie okazywali jej pogardy. Przecież była Toliverówną! Jednak nazwisko nie uratuje jej, jeśli się wyda, że sypia z mężczyzną! A Percy też by nie chciał, żeby ktoś podejrzewał, iż posiadał swoją żonę już przed ślubem.

Dlatego bardzo ostrożnie planowali swoje schadzki i kryjówki. Najczęściej spotykali się w chacie nad jeziorem, która znajdowała się na uboczu. Nikt nie mógł przypuszczać, co dzieje się za tymi surowymi deskami drzwi. Sassie, która przyjechała przed żniwami, sądziła, że Mary, kiedy nie wraca na noc, spędza ją w domu Ledbettera, Hoagy zaś zakładał, że na koniec długiego i gorącego dnia jego chlebobawczyni prowadzi konia na Houston Avenue. Ostatnimi czasy wydawała mu się dziwnie radosna i wreszcie nabrała trochę ciała, kości już jej tak nie wystawały.

Czwartkowe wieczory natomiast spędzali w posiadłości Toliverów, bo wtedy i Sassie, i Toby mieli wychodne. Ledwie zjedli jakiś prosty posiłek przygotowany przez Mary i już rzucali się na schody, biegnąc do pokoju Mary i rozbierając się po drodze. Mary, która kiedyś żyła tylko dla dni spędzanych w Somerset, teraz żyła dla tych nocy z Percym.

Towarzystwo mogli znieść jedynie w niedzielne popołudnia, spędzane z Olliem i Charlesem Waithe’em, który był czwartym do brydża. Mimo że Mary trudno było z nimi wytrzymać, potrzebowali ich dla zachowania pozorów. Mary żywiła głębokie przekonanie, że wystarczy tylko spojrzeć na nią i na Percy’ego, żeby od razu odgadnąć, gdzie woleliby być. Siedzenie z nim przy stole okazało się męką, niezależnie od tego, czy grali razem czy przeciw sobie, wszystkimi zmysłami wyczuwała każdy jego ruch, a niezdolna była zaryzykować nawet uśmiech czy zwykłe spojrzenie w jego kierunku. Popołudnia ciągnęły się w nieskończoność i zawsze z ulgą witała bicie zegara dziadka, który oznajmiał, że na gości już pora.

Pomimo swoich obiekcji, Percy musiał przyznać, że utrzymywanie ich zamiarów przez jakiś czas w tajemnicy okazało się bardzo rozsądne. Chroniło przed domysłami na temat stopnia ich zażyłości, którego odkrycia Mary bardzo się obawiała. Zgadzała się, że kiedy Beatrice usłyszy o rychłym o ślubie, nie zaznają już spokoju, a ponadto był też Ollie

Długo o nim rozmawiali.

– Mary, powinniśmy mu wkrótce powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo jest w tobie zakochany, piękny głuptasie. Kocha cię tak długo jak ja.

– Kiedyś tak podejrzewałam, ale sądziłam, że jego uczucie zmieniło się w przyjaźń.

– Możesz mi wierzyć, że nie. Gdybym uznał, że istnieje najmniejsza szansa, że odwzajemnisz jego uczucie, zszedłbym wam z drogi. Gdyby nie Ollie, leżałbym teraz w jakimś francuskim grobie.

– Wiem – powiedziała Mary i jak zwykle na tę myśl, przeszedł ją dreszcz. – Myślisz, że wciąż ma nadzieję?

– Nie świadomie, ale dopóki nie zobaczy na twoim palcu pierścionka, jakaś jego część będzie wierzyć, że ma szansę.

– Daj mi więc czas do połowy sierpnia i wtedy kup pierścionek – zdecydowała Mary.

Rozdział dwudziesty piąty

Drugi tydzień sierpnia dobiegał końca. Nadszedł czas, by zacząć żniwa.

– W poniedziałek o świcie – Mary instruowała w sobotę swoich dzierżawców. – Dobrze jutro wypocznijcie. Zaczniemy od południa, posuwając się na wschód. We wtorek od zachodu na północ. Macie być w wozach o czwartej trzydzieści.

W niedzielę po południu była zbyt nerwowa na brydża i dwa razy zaliczyła za wysoko.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakiś omen – skomentował Ollie.

Mary zinterpretowała tę uwagę jako pełną insynuacji.

– Co masz na myśli? – ostrym jak brzytwa tonem zażądała wyjaśnienia. Zabrzmiało to, jakby ktoś nagle w ciszy pokoju strzelił biczem i wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Miałem na myśli wynik tej partii – wytłumaczył Ollie, uśmiechając się przeprasząco.

– Pewnie pomyślałaś, że chodzi o zbiory. Głupio z mojej strony, żeby mówić coś takiego właśnie dzisiaj. Ale jestem pewien, że w Somerset wszystko jest po kontrolą i już za tydzień będziesz najszcześniejszą kobietą w całej okolicy.

– Wypijmy za to – zaproponował Charles, szybko napełniając kieliszki szampanem przeszmuglowanym z piwniczki DuMontów. Uzgodnili wcześniej, że prohibicja jest dla tych, którzy za nią głosowali. Jak zwykle, Mary odmówiła, ale uniosła szklankę z wodą.

– Za naszą królową bawełny – wzniósł toast Charles. – Niech nam króluje wraz z bawełną jak najdłużej!

– Tak jest! – zawołali wszyscy razem i tręcili się kieliszkami. Ale uwaga Olliego położyła kres dalszemu udawaniu, że miło spędza ten wieczór. Spowodowała, że wszyscy przekonali się, co męczy ją ostatnimi czasy: czy zaliczyła za wysoko?

Usprawiedliwiła się faktem, że musi jutro wstać skoro świt i wyprosiła gości wcześniej niż zwykle, włącznie z Percym.

– Jestem cała rozdygotana – tłumaczyła mu tak, by pozostali nie słyszeli, a on ścisnął jej ramię na znak, że rozumie.

Cisza i zupełny bezruch – właśnie to obudziło ją kilka godzin po północy. Natychmiast usiadła w swoim łóżku i nasłuchiwała, wachając powietrze. Odrzuciła kołdrę i otworzyła drzwi na balkon.

– Nie! – krzyknęła na całe gardło przerażona.

Daleko na wschodzie, tam gdzie leżała Somerset, nocne niebo przeszywały złamane strzały błyskawic. W powietrzu unosił się zapach deszczu, daleki odgłos grzmotów. I coś jeszcze. Mary wciągała nosem powietrze. W nieruchomym powietrzu wisały drobinki kurzu. „Boże, nie, nie! Nie rób mi tego, błagam, Boże. Nie rób mi tego. Papo, dziadku – pomóżcie mi!”

Serce waliło jej tak, jakby zaraz miało się wyrwać z piersi, gdy wbiegała z powrotem do domu, zawiązała tylko buty, złapała w pośpiechu szlafrok i już zbiegała po frontowych schodach.

Osiadła konia, wskoczyła na niego w nocnej koszuli i spięła wałacha obcasami swoich butów. Wyjechali ze stajni na śpiącą ulicę i skręcili w boczną drogę wiodącą na plantację.

– Jedź, kochany, jedź! – poganiała konia, kładąc się nisko na jego grzbiecie, by zwiększyć szybkość. Kiedy tak pędzili wśród nocy, uspokoiła myśli. Dzierżawcy wiedzieli, co robić. Jeszcze w tym tygodniu instruowała na tę okoliczność każdą rodzinę z osobna. „Dobrze, proszę pani. Wszyscy wyjdziemy w pole z workami i zaczniemy zbierać najszybciej jak się da. Kiedy spadnie deszcz, biegniemy, żeby schować worki pod plandekami wozów”.

Hoagy już nie spał, dyrygując rodziną. Dzięki Bogu obydwaj jego dorośli synowie byli akurat w domu, jeden na przepustce z wojska, drugi szukał pracy. Wszyscy mieli już worki przewieszane przez ramię.

– Dzień dobry pani – powiedzieli, udając, że nie zauważają jej nocnej koszuli i szlafroka.

– Jak to wygląda, Hoagy?

Ten wzruszył ramionami.

– Tak samo zgaduję, jak i pani.

– Dajcie mi worek.

Głęboką nocą siedmioosobowa rodzina Carterów i Mary, każdy w jednym rzędzie, zaczęli zbierać bawełnę. Nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu, ale niebo nadal przeszywały błyskawice, a w powietrzu wisiały nieruchomo drobinki pyłu. Modliła się o wiatr. To ten bezruch ją przerażał. Jak pola długie i szerokie widziała błyski naftowych lamp i głowy w chustach pochylające się nisko i równomiernie nad morzem białego puchu. Ręce pracowały wprawnie i szybko, bo nocne niebo nagliło. „Szybciej, szybciej, szybciej”.

Grad zaczął padać pół godziny później, a zaraz po nim deszcz. Mary i siedmioro Carterów byli daleko w polu, zbyt daleko, by zdążyć do wozów.

– Schowajcie się pod workami! – ktoś zawołał. – Kule są twarde jak kamienie.

Mimo bicia lodowych kul, Mary dalej zbierała, aż w końcu wiedziała już, że to bez sensu. Pochyliła się, własnym ciałem okryła na wpół wypełniony worek, rękami chroniąc głowę. Po chwili nie czuła już uderzeń, tylko bicie swojego serca o worek.

Lało jak z cebra, kiedy w końcu postanowiła zrezygnować.

– Proszę pani – mówił Hoagy. – Nic już nie da się zrobić. Zanieśmy worki do domu.

Ubranie całe się kleiło, dół koszuli i szlafroka topiły się w błocie, z którego trudno jej było wyrwać przemoczony but. Chwyliła swój worek i z trudem szła w stronę domu nadzorcy.

– Proszę pani, może pani zginąć – ostrzegła żona Hoagy’ego.

Chciałabym – pomyślała Mary.

Pod dachem werandy, na której stała cała rodzina, przez ociekające wodą włosy spojrziała w ich twarze. Jakby czekali, aż coś powie... zrobi. Ich życie zależało od niej i ona musi znaleźć sposób, żeby naprawić szkody dzisiejszej nocy. Hoagy patrzył szczególnie wyczekująco. Ponieważ nie mogła mu płacić za jego usługi na bieżąco, obiecała większy udział w zyskach. Zmrużyła oczy, wpatrując się w ponurą, mokrą noc, jakby mogła usłyszeć stamtąd głosy ojca i dziadka, służących radą, ale usłyszała jedynie drwinę słabnącego deszczu i rozwianych marzeń.

– Cholera! – zaklął nadzorca, ocierając twarz ręcznikiem. – Kolejny rok na nic.

– Papo, i co teraz? – zapytała przez łyż jedną z dziewczynek o umorusanej błotem twarzy.

– Teraz wyciągniemy bawełnę z worków, żeby wyschła, i zobaczymy, co w ogóle mamy

– powiedziała Mary. – Mattie – zwróciła się do żony Hoagy’ego – rozpal ogień we frontowym, żeby wysuszyć worki, na ile się da. Rano trzeba znów zapakować w nie bawełnę.

Przez ostatnią godzinę, jaka została do świtu, ciężko pracowali, sortując uratowaną bawełnę i układając w trzech pomieszczeniach domu, by określić jej wartość.

– Źle to wygląda – zawyrokował ostatecznie Hoagy.

Deszcz już ustał, a noc przechodziła w dzień, kiedy Mary przyjęła wreszcie filiżankę kawy i wyszła na zadaszony taras na tyłach domu, by zobaczyć swoje włości. Nad polami wstawał świt, odsłaniając stopniowo zdewastowane rośliny, które jeszcze wczoraj, wyprostowane i silne, oferowały ciężką bawełnę. Dziś ich łodygi zostały ogołoczone, połamane, wbite w muł, a kulki białego puchu mieszały się z kulkami lodu. I tak aż po horyzont. Ani jedna roślina nie została oszczędzona.

– Wygląda jak mieszanina ugotowanej zieleniny i rzepy – z podziwem powiedział jeden

z chłopców Cartera.

– Cichaj, synku – upomniała go matka, zerkając na Mary.

Mary usłyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Carterowie nagle ucichli i zapadło milczenie, jak w klasie, w której niespodziewanie zjawia się dyrektor. Zanim jej odrętwiały umysł zdołał poznać przyczynę, poczuła na ramionach czyjąś kurtkę i usłyszała tuż przy uchu znajomy głos:

– Mary, przyjechałem, żeby zabrać cię do domu – mówił Percy. – Nic już nie możesz tutaj zrobić.

Mary spojrzała na Carterów. Zaniemówili, stojąc i patrząc, jak bardzo ważny pan Percy Warwick obejmuje ramieniem panią Mary. Jeśli wcześniej mieli jakieś podejrzenia co do ich relacji, to teraz z pewnością zostały one potwierdzone. Ignorując Percy'ego, powiedziała:

– Hoagy, jak tu skończycie, objeżdź Fair Acres i powiedz wszystkim, żeby zawieźli bawełnę do zważenia. Sam i ja ocenimy sytuację w Somerset i zważymy bawełnę na miejscu. Spotkamy się u mnie w domu o dziesiątej.

– Tak jest, proszę pani.

– Miłego dnia wam życzę – zegnała się Mary, niezauważalnie poruszając ramionami, by uzmysłwić Percy'emu, że ma cofnąć ramię. – Doceniam wasze dzisiejsze wysiłki. Mattie, dziękuję za kawę i przepraszam za ten bałagan.

Percy odsunął rękę i skinął na pożegnanie głową, a potem przeszedł za Mary przez trzy pomieszczenia wypełnione mokrą bawełną i opuścił dom Carterów. Już miała go zbesztać za te niepotrzebną i żenującą interwencję, gdy zobaczyła wgniecione błotniki i uwalane błotem opony. Wciągnęła głęboko powietrze i zapytała:

– Percy, po co tu przyjechałeś?

Poprawił kurtkę na jej ramionach.

– Przyjechałem, żeby się upewnić, że jesteś cała i zdrowa i zabrać cię do domu.

– A dlaczego uważasz, że powinnam jechać do domu? Jestem potrzebna tutaj. Poza tym, przyjechałam na Shawneem.

Zwierzę stało cierpliwie tam, gdzie je zostawiła, przywiązane do słupa, z boków ściekała mu woda. Na dźwięk swojego imienia odwrócił łeb i spojrzał na nią żałośnie.

– Każę jednemu z Carterów zaprowadzić go do domu – zaproponował Percy.

– Nie, ty nic nie rozumiesz. Wszyscy chłopcy Cartera potrzebni są tutaj, a ja muszę pojechać na Shawneem do Somerset. Kiedy tam skończę, muszę pojechać do Emmitta Waithe'a.

– Mary, na Boga, przecież mogę cię zawieźć do Emmitta.

– Nie! – jej ton wykluczał sprzeciw. – Muszę pojechać sama.

Carterowie stali za siatkowymi drzwiami, przyglądając się im.

– W tym? – zapytał Percy, obrzucając cierpkim spojrzeniem jej mokre i przesiąknięte błotem ubranie. – Pozwól mi przynajmniej zabrać cię do domu, żebyś mogła włożyć na siebie coś suchego, zanim się przeziębisz.

Mary myślała szybko. Percy miał rację. Pojawienie się u dzierzawców w przemoczonej nocnej koszuli i szlafroku nie pomogłoby w tej chwili jej wizerunkowi, poza tym było jej zimno. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to choroba.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie.

Przywiązali konia do zderzaka, a sami bez słowa wsiedli do samochodu. Percy musiał się skupić, by nie utopić w błocie maszyny i zwierzęcia. Pojechali do Howbutker niedawno wybrukowaną drogą, a nie błotnistą ścieżką, dzięki której mogliby wjechać do miasta niezauważeni. Howbutker właśnie się budziło do życia, a kierowca oraz jego przemoknięty i brudny pasażer wdzięczni byli, że tylko nieliczni sklepikarze oglądają ich dziwną procesję

przemierzając powoli główną ulicę.

– No dobrze, powiedz mi, czy jest bardzo źle? – zapytał Percy, kiedy zatrzymał się przed jej domem. – Jesteś skończona?

Mary siedziała wyprostowana, patrząc przed siebie.

– Mam jeszcze kilka kart w ręku.

Położył jej dłoń na ramieniu i powiedział cicho:

– Przykro mi, kochanie, ale umowa to umowa.

– A czy ja mówię, że nie? – zrzuciła z ramion jego kurtkę i gwałtownie otworzyła drzwi.

– Ale czy... musisz mieć taką zadowoloną minę?

– Wcale nie jestem zadowolony, Mary, na miłość boską... – Percy wysiadł z samochodu, gdy ona przeszła do tyłu, by odwiązać swojego konia. – Jak możesz tak myśleć? Skarbie, wiem, jak musisz się czuć...

– Właśnie, że nic nie wiesz. Nie masz o tym bladego pojęcia, bo i skąd? Widok Somerset po takim gradzie to jak widok własnego martwego dziecka. Nie da się opisać tej... tej pustki, jaką czuję.

– Ale, skarbie, przecież znałaś ryzyko związane...

Mary czuła, jak płonie jej twarz.

– Nie rób mi teraz wykładów! Ostatnia rzecz, jakiej od ciebie potrzebuję, to dawka zdrowej logiki Warwicków. Idź do pracy czy coś i pozwól mi zająć się moimi sprawami.

Z tymi słowy, chlupocząc butami i ciągnąc za sobą ciężką od błota garderobę, Mary pociągnęła uzdę i poszła do stajni, aby wysuszyć i nakarmić Sahwnee'ego, zostawiając Percy'ego tam gdzie stał, by patrzył, jak kobieta, którą kocha, opuszcza go w chwili, gdy znalazła się w potrzebie.

Rozdział dwudziesty szósty

Jeszcze przed południem, kiedy słońce świeciło i ptaki śpiewały radośnie, jakby nocna katastrofa w ogóle nie miała miejsca, Mary i Shawnee przyjechali do kancelarii Emmitta Waithe'a.

Adwokat jęknął na jej widok i ręką wskazał, by usiadła. Sam znużony również opadł na krzesło. Wydawał się bardziej przygarbiony niż zwykle, jakby jego rola w tej katastrofie ciążyła mu na barkach.

– To jeszcze nie koniec, proszę pana – zaczęła, gotowa przedstawić przygotowane i przeciwiczone argumenty. – Braliśmy przecież pod uwagę taką możliwość, wciąż mam jednego asa. Fair Acres. Chcę wziąć pożyczkę pod zastaw Fair Acres.

Zdała sobie sprawę, że mówi za szybko, ale koniecznie chciała zmasać z twarzy wiernego przyjaciela jej ojca ten wyraz żalu, który mówił „gdybym cię nie posłuchał”.

– Aby chronić nieruchomości majątku powierniczego, jako jego pełnomocnik z pewnością uzna pan za swój obowiązek pomóc mi w otrzymaniu pożyczki. To jedyny sposób, by...

Emmitt uderzył ręką w biurko, przerywając jej.

– Nie mów mi o moich obowiązkach, młoda damo! Nie teraz, gdy jeszcze niedawno tak ci spieszo było je odsunąć na bok! Gdybym trzymał się moich obowiązków, nie siedziałabyś tu teraz, a ja nie spędziłbym całej nocy, przeklinając się za to, co zrobiłem. Vernon Toliver chyba przewraca się w grobie.

– Wcale nie – oponowała Mary, zdeterminowana utrzymać rzeczowy ton. – Papa zrozumiałby ryzyko. I zrozumiałby, dlaczego zgodził się pan, bym je podjęła. Więc podjęłam je i straciłam. Teraz muszę ratować to, co się da. Jedyny sposób to zastawić Fair Acres. Powinna dostać kwotę wystarczającą na spłacenie zobowiązań. W przyszłym roku, przy dobrych zbiorach – pod wpływem spojrzenia, które Emmitt rzucił jej znad okularów, zamilkła i wzruszyła ramionami. – A jaki mam wybór?

– Czy mogę wymienić ten najbardziej oczywisty?

– Nie, proszę pana. Nie sprzedam Somerset.

Emmitt zdjął okulary i przecierał zmęczone oczy.

– Więc czego ode mnie oczekujesz?

– Chcę, żeby umówił pan nas dziś na spotkanie w banku i pomógł wynegocjować kredyt.

– Skąd ten pośpiech? Idź do domu, odpocznij trochę. Jestem pewien, że pół nocy nie spałaś. Jak odpocznesz, lepiej ocenisz sytuację i wtedy podejmiesz decyzję. Dlaczego musisz iść do banku od razu dziś?

– Po tej nocy nie będę jedyną, która stara się o kredyt z czapką w ręku. A oni mają swoje limity na pożyczki dla farmerów. Chcę być pierwsza w kolejce. Mam nadzieję, że nie ma pan dziś żadnych ważnych spotkań.

– A gdybym miał, to by cokolwiek zmieniło? – ciężko wzdychając, Emmitt założył na powrót okulary i przysunął do siebie aparat. Po chwili tłumaczył prezesowi Banku Stanowego powód swojego telefonu. Tamten zgodził się spotkać z nimi tego samego dnia po południu.

Mary przyjechała wprost z plantacji, ubrana w bluzkę i podniszczoną spódnicę do jazdy konnej. Ubranie nosiło ślady błota, które oblepiało również jej buty. Wchodząc do banku, ku swojemu wielkiemu rozgoryczeniu, spotkała modnie wystrojoną Isabelle Withers, pokonaną rywalkę o miłość Percy'ego. Ojciec Isabelle był prezesem banku w Howbutker.

– No proszę, czyż to nie Mary Toliver? – zaszemrała młoda kobieta, wędrując

rozbawionym wzrokiem po pożałowania godnym roboczym stroju Mary.

– W rzeczy samej – odparła Mary równie wyniosłym tonem.

– Przykro mi z powodu tego gradu i że akurat trafiło w żniwa. Somerset z pewnością bardzo ucierpiała.

– Troszeczkę, ale poradzimy sobie.

– Doprawdy? – Isabelle zwijała wokół palca długi sznur pereł, który podkreślał obniżoną talię jej sukni z woalu. – W takim razie to tylko kurtuazyjna wizyta u ojca. Na pewno będzie zachwycony. Już nie mogę doczekać się szczegółów przy kolacji. Miło znów pana widzieć, panie Waithe. Pan pewnie też z wizytą towarzyską, jak sędzę – uśmiechnęła się promiennie jasnoczerwonymi ustami pomalowanymi w stylu Thedy Bary i poszła dalej, pozostawiając za sobą delikatny, kwiatowy zapach.

Emmitt, który podczas ich wymiany zdań mrugał gwałtownie zupełnie skonfundowany, wymamrotał tylko:

– Mój Boże.

W gabinecie Raymonda Withersa adwokat pozwolił mówić Mary, sam zaś siedział, milcząc neutralnie, kiedy wykladała swoje racje, podpierając się liczbami z zestawienia, jakie sporządziła naprędce w domu Ledbettera.

– Mam akt własności Fair Acres i oddam go jako zabezpieczenie choćby zaraz, jeśli dojdziemy do porozumienia – powiedziała, kończąc swoją przemowę.

Raymond Withers słuchał jej uważnie, tylko od czasu do czasu bębniąc w blat pulchnymi paluchami swoich delikatnych i miękkich dłoni. Zza jego pleców, z półki z książkami, jego duma i radość – w rozmaitych pozach w różnym wieku – uśmiechała się bezbarwnie do Mary ze zdjęć w ozdobnych oprawkach. Gdy skończyła swój wywód, milczał na tyle długo, że usłyszała tykanie pięknego mosiężnego zegara dochodzące z półki nad kominkiem. Nie potrafiła odczytać jego myśli skrywanych za niewzruszonym wyrazem twarzy, jaki niewątpliwie przybierał, by przetrzymać swoich klientów w niepewności. Kiedy w końcu przerwał milczenie, zmarszczył brwi.

– Możemy pani pomóc tylko do pewnego stopnia – powiedział – ale jestem przekonany, że nie spełni to pani finansowych oczekiwań.

– Jak to? – zapytała Mary, a serce jej zamarło.

Emmitt stęknął nieznacznie i lekko się wyprostował.

– Nasz bank może udzielić pożyczki w kwocie czterdziestu procent wartości zabezpieczenia, która, ze względu na wojnę i spadek cen bawełny, jest dziś o wiele mniejsza niż kiedyś. Zobaczmy... – bankier spojrział na dokument. – Mówimy o pięciuset dwudziestu hektarach. Ich dzisiejsza wartość, z domem, zabudowaniami i sprzętem wyniosłaby... – jakby nie mógł wypowiedzieć tej sumy głośno, zapisał liczbę na kartce papieru, którą jej podsunął.

Mary natychmiast ją chwyciła.

– Ale Fair Acres jest warta dwa razy tyle! – krzyknęła, w głowie kalkulując, że proponowana suma nie ma najmniejszych szans pokryć jej kosztów. Podala kartkę Emmittowi.

– Może dla pani, ale obawiam się, że dla zarządu banku nie – wyjaśnił bankier.

Emmitt odchrząknął.

– Och, Raymond, daj spokój. Na pewno możesz coś zrobić. Przecież kontrolujesz zarząd. Jeśli Mary nie zdoła się wywiązać z umowy – nawet gdybyś pożyczył jej pięćdziesiąt procent rzeczywistej wartości plantacji – możesz ją sprzedać i też zarobisz.

Raymond Withers przemyślał to.

– Hm, jest jeden warunek, który mógłby zmienić zdanie zarządu, jeśli panna Toliver się na niego zgodzi.

Nadzieje Mary powróciły.

– A mianowicie?

– Że nie zasieje pani ponownie bawełny. To zbyt ryzykowne. Orzeszki ziemne, sorgo, trzcina cukrowa, kukurydza, ryż – jest mnóstwo upraw, które sprawdzą się na tej ziemi, może też być hodowla bydła. Myślę, że udałoby się pożyczyć pani żadaną kwotę, gdyby zgodziła się pani całą plantację przeznaczyć pod inny, bardziej zyskowny zasiew, ale nie bawełnę. W ten sposób bank będzie miał większą pewność, że odzyska pożyczone pieniądze.

– W żadnym wypadku nie mogę się na to zgodzić – powiedziała Mary, oburzona, że ten człowiek w ogóle śmie sugerować coś takiego Toliverowi. – Somerset to jest plantacja bawełny...

– Była plantacją bawełny – poprawił ją bankier, najwyraźniej tracąc cierpliwość.

– Mądrze by pani zrobiła, przyjmując ten punkt widzenia. Czasy bawełny we wschodnim Teksasie odeszły bezpowrotnie. Jej słońce zachodzi. Niektóre kraje produkują jej tyle samo, co cały Pas Bawełniany, i to lepszej jakości, a w dodatku sprzedają taniej. Słyszała pani o nowym, francuskim syntetyku, który zastępuje jedwab? – zapytał. – To tylko kwestia czasu, kiedy zastąpi również bawełnę, oczywiście produkowany na miejscu. Jest lżejszy, niedrogi w produkcji i trwalszy. To dopiero konkurencja dla zasiewu, który ledwie wytrzymuje najazd kwieciana bawełnianego, nie mówiąc już – jak się pani przekonała – o działaniu żywiołu.

Bankier odchylił się w swoim krześle i złożył ręce na kamizelce.

– Więc jeśli jest pani skłonna obsiać ziemię czymkolwiek prócz bawełny, co przyniesie zysk, myślę, że uda mi się przekonać zarząd, by zwiększyć wartość kredytu o dziesięć procent. Jeśli nie, dajemy czterdzieści procent szacowanej wartości.

Mary była zbyt oszołomiona, żeby mówić. Emmitt odchrząknął.

– A co musiałaby zrobić, żeby dostać tyle, ile chce, Raymondzie?

– No cóż... – bankier rozdzielił dłonie i zwrócił się do Emmitta, jakby Mary w ogóle tam nie było. – Jeśli znalazłaby kogoś, według banku godnego zaufania, kto podżyruje jej kredyt, być może będziemy w stanie udzielić pożyczki. Ta osoba musiałaby zrozumieć, że będzie zobligowana zwrócić bankowi pieniądze, jeśli Mary Toliver nie wywiąże się z umowy. Ponieważ nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, legalnie nie można jej zmusić do spłacenia tej osobie długu, jak zresztą wiesz, ponieważ w świetle prawa nieletni nie odpowiadają za długi – wyjaśnił, po czym znów zwrócił się do Mary. – Czy zna pani kogoś, panno Toliver, kto byłby skłonny podżyrować pani kredyt na takich warunkach?

Wyczuła w tym pytaniu subtelną insynuację, która nią wstrząsnęła. On wie o mnie i o Percym, pomyślała w panice. Uważa, że zniweczyłam szansę Isabelle na zostanie panią Warwick. Czy całe miasto już o nich wie, a jeśli tak, to ile?

– Ma pan na myśli kogoś konkretnego? – zapytała, nie spuszczać wzroku.

Bankier uśmiechnął się dwuznacznie.

– No cóż, bank z przyjemnością zaakceptowałby podpis pana Percy'ego Warwicka, który chyba nie będzie pani trudno zdobyć, panno Toliver, wasze... wasze rodziny są przecież ze sobą tak blisko związane i w ogóle.

Mary pozbierała dokumenty, które ze sobą przyniosła.

– Dziękuję za poświęcony nam czas, panie prezesie. Pan Waithe i ja przemyślimy tę sprawę i odezwiemy się jak najszybciej.

– Proszę nie marnować czasu, panno Toliver – poradził jej bankier, wstając z krzesła.

– Na pożyczki dla farmerów możemy przeznaczyć tylko pewną ograniczoną kwotę, a już spływają wnioski.

Wychodząc z banku za Mary, Emmitt wydawał się roztrzęsiony.

- Mary, moja droga, co ty zamierzasz zrobić? Co ci się roi w głowie?
- Mary wzięła głęboki wdech.
- Obawiam się, że coś, czego całe życie będę żałowała.

Rozdział dwudziesty siódmy

W drodze powrotnej na Houston Avenue Mary zmagala się z myślą o ryzyku, które zamierzała podjąć, ale czy był jakiś inny wybór? Na pewno nie zasieje w Somerset nic innego. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Wiedziała, co może stracić, prosząc o ten podpis Percy'ego. „Umowa to umowa” – przypomniał jej i będzie oczekiwał, że jej dotrzyma. W istocie, jeśli tego nie zrobi, nie ma prawa nosić nazwiska Toliver. To przecież ona sama wspomniała o ich zasadach niepożyczania sobie nawzajem pieniędzy, ale wszak tu nie chodziło o pożyczkę, tylko o podpis. Żadna suma nie przejdzie z rąk do rąk. Zgadza się, że jeśli Mary nie wywiąże się z umowy, pociągną go do odpowiedzialności, ale nie straci ani grosza. Fair Acres należała teraz do niej. W przypadku niepowodzenia sprzeda ją i spłaci Percy'ego z procentem. Na myśl o tym, że w takim przypadku będzie musiała sprzedać również część Somerset, żeby zapłacić bankowi w Bostonie, czuła, jak kurczy się każdy mięsień jej ciała. Ale warto było zaryzykować.

Musiała tylko przekonać Percy'ego, że jej prośba nie oznacza niedotrzymania danej mu obietnicy – że nie jest to złamanie zasad, którymi ich rodziny kierowały się od prawie stu lat. Wysłuchując się w odgłos kopyt Shawnee'ego, Mary po raz pierwszy w życiu zastanawiała się nad tą zasadą. Wcześniej po prostu przyjęła ją bez żadnej refleksji jako trwałe element ich rodzinnych tradycji. Zadawała sobie pytanie, dlaczego właściwie przyjęli taką właśnie taktykę. W końcu, jeśli się zastanowić, wydawała się okrutna w przypadku do przyjaciół. Kogóż innego prosić o pomoc, jeśli nie przyjaciela? Komu ją zaoferować, jeśli nie przyjacielowi? Wszak byli sobie niemal tak bliscy jak rodzina. Dlaczego zgodzili się na taką praktykę?

I wtedy, w przeciwieństwie do tego, czego sobie życzyła, odpowiedź pojawiła się sama, tak jasna jak to słoneczne popołudnie. Głowa każdej z rodzin wiedziała, że pożyczka oznaczała utratę równorzędnej pozycji. Co gorsze, zobowiązanie automatycznie oznacza dług wdzięczności, a to może osłabić, a nawet zniszczyć przyjaźń. Status dłużnika wiąże się z utratą wpływu. Nawet jeśli dług zostałby spłacony, pożyczający zawsze będzie coś zawdzięczał drugiej stronie. Taka już jest natura ludzka.

No cóż, może i tak jest, przekonywała się Mary, ale sam podpis, poparty zabezpieczeniem to nie pożyczka. Nie łamała w ten sposób ich umowy.

Już na Houston Avenue Mary zatrzymała się na chwilę przed domem sąsiadów, by zadzwonić do Percy'ego, który był w biurze. Ponieważ operator centrali mógł podsłuchiwać, a także ze względu na to, że tę samą linię telefoniczną dzieliło kilku sąsiadów, w tych rzadkich chwilach, kiedy do niego dzwoniła, rozmawiali ze sobą jak zwykli sąsiedzi i zawsze bardzo ostrożnie.

– O, Mary Toliver, cóż za niespodzianka – odezwał się Percy z wyraźną ulgą w głosie.

– Tak mi przykro z powodu dzisiejszego ranka. Czy szkody są duże?

– Nie tak bardzo, Percy. Pola zniszczone, ale dom właściwie nie ucierpiał. Dlatego dzwonię. Obawiam się, że jednak potrzebna będzie niewielka naprawa. Czy mógłbyś przysłać kogoś, kto oceniłby, co trzeba zrobić?

– Z przyjemnością. O której chciałabyś się z nim spotkać?

– Może o piątej?

– Bardzo dobrze.

Mary odwiesiła słuchawkę, myśląc sobie, że mimo swojej daleko posuniętej ostrożności, trudno się dziwić, że ich związek został odkryty. Wystarczyło, że kucharka Warwicków powiedziała innej kucharce o tych posiłkach dla dwóch osób, które tak często przygotowywała dla pana Percy'ego, a on wynosił je, jeden Bóg wie gdzie i dla kogo. A ponieważ nie widywano

go z żadną inną pięknnością w okolicy, nietrudno się domyślić, że dzieli stół z Mary Toliver, dziewczyną, którą pocałował na oczach wszystkich tego ranka, kiedy wyjeżdżał na wojnę.

Ale w sumie jakie to miało znaczenie, zreflektowała się Mary, jeśli już wkrótce się pobiorą? I natychmiast aż ją zatkało, bo przyłapała się na „jeśli”. Dlaczego pomyślała „jeśli”?

Kiedy przyjechała, czekał już na nią w chacie. Nie pojechał wcześniej do domu, żeby się przebrać, ale zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i podwinął rękawy koszuli. Kiedy tylko podjechała, natychmiast otworzył drzwi i wyszedł, by pomóc jej wysiąść z bryczki.

– Boże, jak dobrze znów trzymać cię w ramionach – powiedział z westchnieniem po długim i mocnym pocałunku.

Wtuliła twarz w jego szyję.

– Mnie też jest w nich dobrze.

Weszli do środka i Percy nalał im dwie szklanki mrożonej herbaty. Znad jeziora wiał lekki wiatr, wprawiając w ruch sufitowe wentylatory i rozpraszając nieco wilgotność, która zawisała w powietrzu po deszczu. Podając jej herbatę, powiedział:

– Jestem szczęśliwy jak szczeniak, gdy ssie mleko matki, że chciałaś się ze mną spotkać, ale musisz być śmiertelnie zmęczona i bardzo niewyspana. Nie powinnaś być w domu i odpoczywać?

Mary siedziała na jednym z krzeseł w salonie.

– Percy, musiałam się z tobą zobaczyć.

– Sądząc z twojego tonu, istnieje jakiś specjalny powód tej wizyty.

– Zgadza się. Mam kłopoty.

Percy niby normalnie sączył swoją herbatę, ale brwi powędrowały mu w górę, jak dwie flagi ostrzegawcze. Usiadł na kanapie, z dala od niej, co Mary zinterpretowała jako zły znak. Odgadł, po co przyszła.

– W takim razie słucham – powiedział.

Przełknęła ślinę, czując, jak ogarnia ją fala strachu, zaciskając jej gardło. Wypiła łyk chłodnej herbaty, by uspokoić nieco serce, które miało się jej w piersi.

– Pojechałam dziś z Emmitem wynegocjować pożyczkę w Banku Stanowym.

Rozmawialiśmy z Raymondem Withersem...

Nie zareagował na nazwisko ojca swojej poprzedniej kochanki, a ona czym prędzej dokończyła, jaką nędzną sumę zaproponował jej pod zastaw ziemi, celowo pomijając warunek dotyczący zmiany uprawy.

– To co proponuje, nie pokryje nawet kosztów ziarna – mówiła, nieco przesadzając – nie mówiąc już o przetrwaniu kolejnego roku.

– Więc jaki jest twój następny krok? – zapytał, nie spuszczać z niej wzroku.

Nie pozostało jej nic, jak tylko przejść do sedna. Wbrew ostrzeżeniom, które słyszała w głowie, powiedziała:

– Pożycz mi tyle, ile chcę, jeśli podżyrujesz ten kredyt...

W ciszy, która zapadła, niewinne pobrzękiwanie lodu w szklance Percy’ego zabrzmiało jak wystrzał.

– I co mu odpowiedziałas?

– Po... powiedziała mu, że się odezwę.

– Myślałem, że od razu dasz mu odpowiedź. Dlaczego tak nie zrobiłaś? Przecież mamy umowę.

Mary wyprostowała się.

– Tak, wiem. Ale to nie stanowi jej naruszenia. Przecież potrzebuję tylko twojego podpisu, na miłość boską. To nie to samo, co prośba o pieniądze. Nie stracisz nawet jednego

centa, nawet gdyby mi się nie udało.

– Tak? Jakim sposobem?

– Jeśli trafi się kolejny zły rok, sprzedam Fair Acres, a nawet część Somerset, jeśli będę musiała. Spłacę cię w całości. Masz moje słowo, Percy.

Percy podniósł się z kanapy, stając na swoich silnych nogach. Miała wrażenie, jakby szedł w jej stronę potężny, rozjuszony byk.

– Twoje słowo – powtórzył. – Dałaś mi już słowo, dokładnie tutaj, w tym pokoju, że nigdy nie poprosisz mnie o wykupienie Somerset, jeśli popadnie w kłopoty. Przyrzekłaś, że odpuścisz plantację i będziesz szczęśliwa, zostając moją żoną.

– Percy, to nie to samo. Ty nie masz wykupić Somerset. Chcę tylko, żebyś podpisał ten dokument. To jednak coś innego.

– Do diabła, wcale nie. Dzielisz włos na czworo i dobrze o tym wiesz. Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale Mary, taka jest prawda i trzymam cię za słowo.

Mary podniosła się powoli z krzesła. Twarz jej pobladła.

– Więc... więc nie pomożesz mi?

– Nie, nie podpiszę kredytu.

I zaczął odwijać rękawy. Mary patrzyła na to w panice. Od najwyraźniej wychodził! Podeszła do niego i pieszcząc dłońmi jego tors, błagała go o zrozumienie całą siłą swojej nieprzeciętnej urody.

– Percy, wiem, że to wygląda, jakbym łamała naszą umowę, ale spróbuj spojrzeć na to inaczej. Obiecałam, że nie poproszę o pieniądze, by ratować Somerset. W jaki sposób nie dotrzymuję obietnicy, prosząc o podpis? Nie wydasz ani centa.

Czuła pod palcami skurcz mięśni i wiedziała, że go rozbudziła, ale nadal zapinał mankiety.

– A jeśli dostaniesz swoją pożyczkę i trafi się kolejny trudny rok? Co wtedy? Po sprzedaży Fair Acres nie zostanie ci nic, co mogłoby stanowić zabezpieczenie.

– Przecież mówiłam już. Sprzedam część Somerset. Obiecuję, Percy, musisz mi uwierzyć.

– Chciałbym – odsunął jej dłonie i poprawił węzeł krawata. – Ale sytuacja się powtórzy.

I dobrze o tym wiesz. Myślisz, że będziesz miała rezerwę gotówki, dokładnie tak samo, jak myślałaś przed zakupem Fair Acres. Ale jak długo utrzymasz te pieniądze w banku, skoro na rynek wchodzi coraz to nowe produkty, maszyny, systemy nawadniające, no i oczywiście ziemia? Mary Toliver Warwick pierwsza ustawi się w kolejce, o ile ją znam, i zanim się obejrzy, znów nawarzy się tego samego piwa, gdy przyjdzie kolejna klęska.

– Nie mówimy o tym, co będzie, tylko o tym, co jest.

– Ja mówię, że będzie dokładnie tak samo, jak jest.

Podszedł do niej bliżej, w oczach miał smutek utraconych nadziei.

– Mary, tu nie chodzi o pieniądze, wiesz o tym. Chodzi o naszą umowę. Ja obiecałem wspierać cię w twojej... obsesji na punkcie Somerset – bo właśnie tak należy to nazwać – ale jeśli plantacja upadnie, ty przyrzekłaś, że sobie ją odpuścisz i to nie wpłynie na nasze małżeństwo. Udowodnij mi, że rzeczywiście tak myślałaś.

Odwróciła się od niego, zaciskając mocno dłonie. W oczach czuła łzy.

– To niesprawiedliwe. Wywierasz na mnie presję, kiedy ja tylko proszę cię o twoje nazwisko na kawałku papieru.

Podszedł bliżej, stając za nią. Czuła, jak rozpaczliwie pragnie, żeby powiedziała mu to, co chciał usłyszeć – co musi usłyszeć.

– A co by się stało z nami, gdybyś po naszym ślubie znów potrzebowała mojej pomocy, a ja bym odmówił – zmusił cię do sprzedaży Somerset w celu spłacenia długów?

I tak po raz kolejny znalazła się w decydującym momencie. Teraz albo nigdy. Tym razem to już ostatni, ostrzegł ją jej wewnętrzny głos. Krok w jedną lub w drugą stronę zaważy na jej przyszłości.

Odwrócił ją do siebie.

– Odpowiedz mi, do cholery!

Objęła się rękami, czując ogarniający ją chłód.

– Znienawidziłabym cię – wyszeptała, spuszczać głowę.

Minęła chyba wieczność, zanim się odezwał.

– Tak myślałem. Więc nigdy nie zamierzałaś dotrzymać swojej obietnicy.

Podniosła głowę. W jego twarzy wyczytała taki sam ból, jaki czuła o świcie, patrząc na zdewastowane pola.

– Somerset to ja, Percy, ja jestem Somerset. Nie potrafię tego zmienić. Po prostu taka jestem. Taką kobietę kochasz. Oddzielić mnie od plantacji, to jak mieć tylko połowę mnie. Nie będę już taka sama. Teraz to wiem. Podziel się mną, a dostaniesz mnie całą.

Po jego opalonej twarzy przemknął wyraz niedowierzania.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę mieć ciebie bez plantacji? Że jeśli nie podpiszę kredytu, stracę cię?

Mary oblizwała wyschnięte usta.

– Bez Somerset i tak jestem dla ciebie stracona.

– Mary... – Percy złapał ją za ramiona. – Somerset to tylko ziemia i ziarno. Ja jestem z krwi i ciała.

– Percy – błagała go – ja cię kocham. Dlaczego Somerset nie może pozostać częścią naszego życia?

Opuścił ręce.

– Może mogłaby, gdybym wiedział, że kochasz mnie równie mocno. Mówisz o dzieleniu się, ale to Somerset dostałaby większą część ciebie. Już to udowodniłaś – cofnęła się z twarzą wykrzywioną bólem. – Nie widzisz, co robisz? Za chwilę stracisz i mnie, i plantację. I co w ten sposób zyskasz?

Nagle jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł, zbyt niewiarygodny, by wcześniej brać go pod uwagę. Stał bez ruchu, a źrenice zmniejszyły mu się.

– Ale ty nie zamierzasz stracić Somerset, prawda?

Kiedy po raz kolejny spuściła głowę, powiedział:

– Chyba nie... nie, nie mów mi, że pójdziesz z tym do Olliego...

Jej milczenie, opuszczona głowa i założone ręce wystarczyły mu za odpowiedź.

Wrzasnął z wściekłości i obrzydzenia.

– Boże, niżysz się do wszystkiego, żeby tylko ratować ten nieużytek – krzyknął, po czym złapał swoją marynarkę, szybko chowając do kieszeni małe pudełko, które leżało pod nią na stole. Zakładając marynarkę, dodał jeszcze:

– Zanim wyjdiesz, spakuj swoje rzeczy. Już tu nie wracasz.

Mary wiedziała, że żadne apele nie mają najmniejszego sensu. Stojąc nieruchomo, raz jeszcze patrzyła, jak odchodzi, na zawsze. Usłyszała trzask drzwi samochodu, potem chrzęst sosnowych igieł, gdy ruszył z piskiem opon. Była połowa sierpnia i zdała sobie sprawę, że pudełko, które wsunął do kieszeni, kryło jej pierścionek zaręczynowy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Następnego dnia wczesnym rankiem Mary zadzwoniła do Olliego i poprosiła, by spotkał się z nią o dziesiątej w swoim sklepie. Całą noc spędziła bezsenność w salonie, chcąc być bliżej drzwi na wypadek, gdyby przyszedł Percy. Niezliczoną ilość razy wychodziła na werandę, by spojrzeć w stronę domu Warwicków, a raz nawet w swoim szlafroku powędrowała chodnikiem w ich stronę, mając nadzieję, że zobaczy światło w jego sypialni na dowód, że też nie może spać, myśląc o niej.

Nie zobaczyła światła.

Z mocnym postanowieniem ubrała się w swój niemodny kostium podróżny, uczesała włosy w elegancki kok, zaprzęła konia i pojechała do domu towarowego DuMontów. Ollie najwyraźniej na nią czekał. Kiedy weszła na pierwsze piętro, stał już na schodach.

– Mary, przykro mi z powodu straty, jaką poniosłaś – powiedział, biorąc jej ręce w swoje dłonie, zręcznie przytrzymując kule pod pachami. – Jest tak źle, jak się wszyscy obawialiśmy?

Przez moment myślała, że Ollie mówi o Percym, ale zaraz uzmysłowiła sobie, że chodzi mu o szkody wyrządzone przez grad. Ollie nie wiedział nic o ich zerwaniu. Inaczej dostrzegłaby to w jego twarzy.

– Gorzej – odparła zwięźle. – I dlatego tu jestem.

Kiedy już usiadła przed jego biurkiem, wyjaśniła mu powód swojej wizyty, tym razem nie pomijając żadnego z warunków bankiera.

– Zdaję sobie sprawę, że prosząc cię, byś został żyrantem, łamię zasady, którym nasze rodziny hołdują od dnia przybycia do Howbutker – oznajmiła mu.

– Daj spokój – Ollie machnął nienagannie wypielęgnowaną dłonią. – Archaiczna konwencja. To jasne, że nie możesz w Somerset posadzić czegoś innego. Cóż za pomysł. Raymond Withers powinien wiedzieć, że mimo wejścia na rynek syntetyków zawsze będzie popyt na włókna naturalne. Z przyjemnością zostanę twoim żyrantem. To dla mnie zaszczyt.

Głęboko wzruszona, jak zawsze jego bezgraniczną dobrocią, Mary powiedziała:

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę ci powiedzieć. Najpierw zwróciłam się z tą prośbą do Percy’ego.

– O, rozumiem. I odmówił?

– Tak.

Uniósł dłonie w tak typowym dla Francuzów geście.

– Może to i lepiej. Nie zaczniecie małżeństwa od takich... komplikacji.

Mary ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy.

– To ty... wiesz o nas?

Ollie się roześmiał.

– To, co do siebie czujecie, równie trudno dostrzec jak słonia na podwieczorku w sklepie z porcelaną. Oczywiście, że wiem. I Charles również. Kiedy wesele?

Mary spuściła wzrok, by poprawić swoją plisowaną spódnicę.

– O, nie! – Ollie rozpaczliwie złapał się za oba policzki. – Więc to dlatego Percy wyjechał dziś rano na koniec świata albo jeszcze dalej. Dzwonił do mnie o szóstej i oznajmił, że idzie na pociąg, wyjeżdża do Kanady na wycinkę lasów i nie wie, kiedy wróci. To dopiero musiała być awantura!

Mary zeszywniała. Wyjechał? Do Kanady? Jakże to do niego podobne! Oblał ją zimny pot. Co innego rozłąka, gdy dzieli ich kilka domów, a co innego cały, olbrzymi kraj...

– Wiedział, że zwrócę się do ciebie z tą prośbą.

– I nie pochwalał tego?

– Uważa, że wykorzystuję twoje uczucia.

Ollie westchnął i potrząsnął głową. Spadł mu na czoło niewielki kosmyk cienkich, jasnobrązowych włosów, wprawnie obciętych tak, by zakamuflować ich niewielką ilość.

– Nie lada kłopoty czekają w życiu dumnych mężczyzn – powiedział, przybierając żartobliwie mentorski ton, a potem pochylił głowę, by spojrzeć w oczy Mary i dodał: – Że nie wspomnę o dumnych kobietach. Martwi mnie, że to ja jestem przyczyną tego zamieszania.

– Wcale nie jesteś – zapewniła go natychmiast Mary. – My z Percym odpowiadamy za własne zamieszanie. Pewne sprawy... dzielą nas tak bardzo, że nie potrafimy sobie z nimi poradzić. Wolałabym, żebyś zostawił już ten temat...

– Och, to nonsens – Ollie gestem poprosił ją, żeby została na miejscu. – Przejdzie mu, zanim dotrze do granicy stanu i zaraz się przesiądzie na pociąg powrotny. Zawsze szybko się godziliście. Skoro odmówił podpisu, to zupełnie naturalne, że zwracasz się z tym do mnie. Dlaczego miałabyś tak nie zrobić? Po powrocie porozmawiam z nim i wytłumaczę mu, jaki z niego osioł – dodał i uśmiechnął się do niej promiennie. – Siedz sobie spokojnie tam, gdzie siedzisz, a ja zadzwonię do Withersa.

Ale kiedy sięgał po słuchawkę, Mary złapała go za nadgarstek.

– Wiem, że moja sytuacja nie pozwala mi stawiać warunków, ale zanim zaczniemy załatwiać formalności, musisz mi coś obiecać.

– Co tylko chcesz – powiedział cicho Ollie. – Możesz być pewna, że obiecuję ci wszystko, o co poprosisz.

– No więc chodzi o to: jeśli kiedykolwiek znalazłbyś się w kłopotach finansowych, a ja mogłabym ci pomóc, musisz mi na to pozwolić. Obiecuj mi to, Ollie.

Ollie poklepał jej dłoń, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Dobrze, *mon amie*, jeśli nalegasz, obiecuję – odparł, ale wyraz jego twarzy sugerował, że wątpi, by kiedykolwiek przekonali się, czy dotrzyma obietnicy.

Mary wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła oczy. Stała się ostatnio taka uczuciowa.

– Ollie, jesteś najwspanialszym przyjacielem, prawdziwym skarbem dla nas wszystkich. Pamiętaj, że proszę cię wyłącznie o podpis. W przyszłym roku po żniwach umowa będzie już nieważna.

Ollie podniósł w końcu słuchawkę.

– Miejmy więc nadzieję na dobrą pogodę i błękitne niebo.

Kiedy wszystko zostało uzgodnione, Ollie odprowadził ją do schodów.

– Jesteś pewien, że Percy nie mówił, kiedy wraca? – zdobyła się na odwagę.

Wzruszył ramionami.

– Nie, Mary Lamb, ale kiedy uświadomi sobie, jak bardzo za tobą tęskni, pomknie do domu jak strzała.

Percy jednak do domu nie pomknął. Przez cały następny tydzień, doglądając oczyszczania pól, co rusz spodziewała się ujrzeć jego czerwony samochód wzbijający tumany pyłu na drogach Somerset. Co wieczór na stoliku w holu szukała wiadomości od niego. Co dzień, gdy wracała z Shawnee'em do domu, wypatrywała na ulicy automobili, a raz nawet skierowała konia do ich chaty nad jeziorem. Okna były ciemne, drzwi zamknięte, dom opuszczony, jakby te wspólne chwile nigdy się nie zdarzyły. Ogarnęło ją przygnębienie, jak podstępny wirus pozbawiając energii i ducha.

Po sierpniu nadszedł wrzesień, a poczucie dojmującej starty nie słabło. Nie było nawet Olliego, żeby ją pocieszyć. Wyjechał na pokaz mody do Nowego Jorku i miał wrócić dopiero w październiku. Potem wybierał się do Europy w kolejną podróż w interesach, między innymi do

Paryża, gdzie chciał odwiedzić Milesa i spotkać się z towarzyszami broni, z którymi służył podczas wojny. Nie będzie go większą część roku.

W końcu jej przygnębiecie zaczęło się objawiać atakami mdłości, szczególnie rano, zaraz po przebudzeniu. Sassie rozpoznała w nich „gorączkę wodną”, dziwną chorobę, która atakowała w lecie osoby pijące wodę ze strumyków i jezior. Mary nie polemizowała z tą diagnozą, sądząc, że zarazki musiały zaatakować, gdy pływali z Percym w jeziorze. Aż pewnego ranka, znów pochyłona nad miską w odruchu wymiotnym zaczęła się zastanawiać, czy jej stan nie wymaga wizyty u doktora Tannera. Była teraz bardzo zajęta, ale przecież nie miała ostatnio okresu...

Gwałtownie podniosła głowę. Z przerażeniem przyglądała się swojej twarzy w lustrze nad toaletką. Z obawą dotknęła piersi. Były nabrzmiałe i bolesne. Boże!

Natychmiast zbiegła do biblioteki, gdzie ściągnęła z półki gruby tom. Traktował o chorobach, ich objawach i sposobie leczenia. Opublikowano go w 1850 roku, ale niektóre symptomy i diagnozy pozostały przecież takie same od początku świata. W głowie się jej kręciło, kiedy czytała opis swojej domniemanej dolegliwości. Wszystko się zgadzało – brak miesiączki, nabrzmiałe piersi, ciemne brodawki, mdłości, częste oddawanie moczu, zmęczenie, brak apetytu...

Słodki Jezu, miej litość – była w ciąży!

Uznała, że wizyta u doktora Tannera w ogóle nie wchodzi w grę. Trudno, w ten sposób nie potwierdzi swoich podejrzeń. Musi udać się do lekarza spoza hrabstwa, a takie spotkanie można umówić jedynie telefonicznie. Jej rozmowę na pewno podsłuchałoby kilka osób z sąsiedztwa i od razu zaczęłyby się plotki, nawet gdyby operator centrali nie puścił pary z ust, że Mary Toliver zadziera nosa i kwestionuje kwalifikacje doktora Tannera, szukając profesjonalnej porady gdzie indziej.

Od razu pospieszyła do Beatrice Warwick, która właśnie wraz z kucharką obierała fasolkę szparagową.

– O, Mary! – zawołała, kiedy Mary weszła do kuchni. – Cóż za miła niespodzianka. Co cię do nas sprowadza?

– Pani Beatrice, szukam Percy’ego – mówiła szybko Mary. Uzmysłowiła sobie, że wyłamuje palce, więc wsunęła ręce do kieszeni spódnicy. – Koniecznie muszę z nim porozmawiać, to bardzo ważne.

– No tak, sama chciałbym z nim porozmawiać, kochanie – odparła Beatrice, podając swoją miskę kucharce. Wzięła Mary za ramię i wyprowadziła z kuchni do pokoju dziennego.

– Jest gdzieś w Górach Skalistych, w Canadian Rockies, pracuje z jedną z naszych ekip drwali. Wyjechał już dwa tygodnie temu, ale ani jego ojciec, ani ja nie potrafimy się z nim skontaktować. A teraz, powiedz mi, proszę, o co chodzi.

– Ja... ja muszę z nim porozmawiać, to wszystko – wyjaśniła Mary, starając się uspokoić oddech. Przy swoich wyostrzonych zmysłach i zdolnościach percepcyjnych Beatrice Warwick z łatwością mogłaby ją przejrzeć. – Pokłóciliśmy się – mówiła dalej. – Przyszłam, żeby go przeprosić i powiedzieć mu, że... nie potrafię po prostu bez niego żyć.

Beatrice uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że to słyszę, i on z pewnością też będzie rad. Tak przypuszczałam, że musieliście się poróżnić, skoro tak nagle wyjechał do Kanady, żeby pracować jako drwal. Kiedy zadzwoni, przekażę mu twoją wiadomość i to na pewno szybko sprowadzi go do domu – mówiąc to, Beatrice dobrotliwie przechyliła głowę. – Nie sądzisz, że czas już najwyższy, by zawrzeć ten węzeł? Jeszcze chwila, a będę za stara na babcię.

Mimo zmartwienia, które paraliżowało jej nerwy, na twarz Mary wypłynął promienny uśmiech.

– Dopilnujemy, by tak się nie stało. Ale, proszę, niech pani powie Percy’emu, żeby wracał jak najszybciej. Ja... bardzo go potrzebuję.

– Oczywiście, że powiem, możesz być pewna, kochanie – i Beatrice wyciągnęła ramiona.
– Bardzo mnie ucieszyłaś.

Mijały kolejne tygodnie. I nadal ani słowa od Percy’ego. Co rano Mary sprawdzała swój brzuch, szukając zewnętrznych śladów rozwijającego się w nim życia i z ulgą żadnych nie znajdowała. Ale rosło w niej coś jeszcze. Jak robak, poczekało, aż wszystko już straci i wtedy powoli wypełzało. Przekonała się o tym wkrótce po gradobiciu. Pewnego dnia, zmęczona ciągłym zamartwianiem się i brakiem snu, spojrzała na zrujnowane pola Somerset i poczuła, że ta ziemia szydzi sobie z niej, z jej ciężkiej pracy i poświęceń. Uczucie to nie opuszczało jej ani na chwilę przez te wszystkie dni, gdy oczyszczała pola, sortowała to, co udało się uratować i walczyła o morale dzierżawców. To z powodu jej stanu, tłumaczyła sobie. Czytała, że ciąża wpływa zarówno na emocje kobiety, jak i jej ocenę sytuacji. To przecież niemożliwe, żeby ziemia i natura zawarły przeciwko niej sojusz i okazały się zdrajcami, którzy kpią teraz z jej straconych nadziei i marzeń. A jednak nie mogła się pozbyć tej myśli i często, gdy jechała konno wśród rzędów zniszczonych krzewów, jedną ręką trzymając się za brzuch, wydawało się jej, że zza otaczających plantację sosen dobiega ją głos Percy’ego: „Somerset to tylko ziemia i ziarno, ja jestem z krwi i ciała”.

W połowie października była już pewna, że może żyć bez Somerset, ale nigdy, przenigdy nie będzie mogła żyć bez Percy’ego.

Nocami, kiedy nie mogła spać, siedziała przy oknie, kierując wzrok na północ, w stronę Kanady. Przyciskając kolana do piersi, modliła się: „Proszę Cię, Boże, zaprowadź Percy’ego do domu. Zostawię Somerset. Przez resztę życia będę jego żoną i matką naszego dziecka, i to mi wystarczy. Wiem teraz, co jest naprawdę ważne. Wiem, że bez niego nigdy nie będę szczęśliwa. Proszę Cię, Boże, niech on już wróci”.

A potem, pewnego dnia do pokoju weszła zdyszana Sassie, by poinformować Mary, która nie potrafiła zwlec się z łóżka, że na dole czeka pani Beatrice i życzy sobie z nią rozmawiać. Boso zbiegła po schodach, ale jej ulga szybko zmieniła się w niedowierzenie, gdy usłyszała od Beatrice, że Percy nie wrócił z Seattle razem z drwalami. Przez jednego z nich przesłał wiadomość, że udaje się w głąb gór na poszukiwania nowych terenów wyrębu i wróci najwcześniej za miesiąc. Mary właściwie nie słyszała narzekań pani Beatrice dającej upust swemu rozczarowaniu.

– Co ten Percy sobie myśli, żeby tak wyjeżdżać i zostawiać ojca z tym wszystkim na głowie? Przecież Jeremy też nie jest już pierwszej młodości, Percy jest tu potrzebny. Mary Lamb, musieliście naprawdę strasznie się pokłócić.

Mary powoli odnalazła ręką stojące za nią krzesło, by po chwili opaść na nie bezpiecznie. Czowała, jak zapada się pod nią ziemia. Położyła dłonie na niezauważalnej jeszcze wypukłości brzucha. Co ja zrobię? – pytała sama siebie.

I po chwili już wiedziała.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tego samego dnia wieczorem na prośbę Mary zjawił się u niej Ollie. Kilka dni wcześniej wrócił z Nowego Jorku, przywożąc jej ślicznego misia z domu towarowego Macy's.

– Wolałbym coś od Tiffany'ego – powiedział – ale wiem, że byś tego nie przyjęła.

Parne i gorące lato już się skończyło. Pogoda była idealna, by posiedzieć w altanie i cieszyć się wyczuwalnymi już w powietrzu pierwszymi oznakami jesieni. Ollie oparł swoje kule o trejaż i siedząc teraz na huśtawce, popijał gorącą czekoladę, czekając, aż Mary wyłuszczy mu powód tego zaproszenia. Zbliżała się noc, gwiazdy były coraz bardziej widoczne. Na ogrodzeniu zahukała sowa.

– Widzę, że męczy cię coś więcej niż tylko ciekawość, jak było w Nowym Jorku. Więc słucham, Mary. O co chodzi?

Mary odpowiedziała mu zgnębionym, bezbarwnym głosem:

– Jestem w ciąży, Ollie. Z Percym.

Zapadła zupełna cisza, przerywana jedynie obojętnymi odgłosami nocnych stworzeń ukrytych gdzieś w krzakach i na drzewach. Po chwili Ollie odkaslnął.

– Mary, to wspaniała nowina.

Mary nie odwróciła się do niego, cały czas patrząc przed siebie.

– Byłaby wspaniała, gdyby Percy tu był.

– Czy on wie?

– Wyjechał, zanim się zorientowałam.

– Ale w czym problem, *mon amie*? – zmarszczył swoje gładkie czoło. Jak zwykle pusta nogawka została podwinięta na wysokości kolana i dyskretnie zapięta z tyłu. – Już od dawna jesteście w sobie zakochani. Kiedy mu powiesz, przyjedzie od razu i czym prędzej się pobierzecie. Z tego jak się snujesz, odkąd wyjechał, wnoszę, że lepiej już jak będziecie nieszczęśliwi razem niż osobno. Któż jak nie ty mógłby go pognać aż w dzikie ostępy Kanady?

– Problem w tym, że nie z nim żadnego kontaktu. Ostatnia wiadomość do rodziców mówi, że nie będzie go jeszcze przez miesiąc. Nadeszła wczoraj.

– To znaczy... Och, Mary... – Ollie wziął jej dłoń. – A... który to miesiąc?

– Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że trzeci. Zaczyna już być widać.

– W takim razie, dziewczyno, musimy coś wymyślić. Chyba nie... nie zamierzasz zabić dziecka?

– Nie, oczywiście że nie. Nawet mi to do głowy nie przyszło.

– W takim razie musimy go znaleźć i już – Ollie wierzcił się na huśtawce, jakby miał zaraz zamiar złapać kule i poprowadzić poszukiwania. – Mogę wynająć tropicieli.

– Nie, Ollie – Mary uspokoiła go, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Nie ma na to czasu.

Odnalezienie go może potrwać kilka tygodni albo jeszcze dłużej. Zanim by wrócił i zdążylibyśmy się pobrać, trudno byłoby uznać dziecko za wcześniaka.

Ollie spojrzał na nią bezradnie, bardzo zmartwiony.

– W takim razie, co chcesz zrobić?

Wciągnęła głęboko powietrze i szybko – zanim straci odwagę – spojrzała mu w oczy i zapytała prosto z mostu:

– Ollie, czy... czy mógłbyś rozważyć poślubienie mnie i wychowanie dziecka jak własnego? Percy nie musi wiedzieć. Nigdy nie powinien się dowiedzieć. A ja... będę dla ciebie dobrą żoną. Obiecuję. Nie będziesz żałował, że się ze mną ożeniłeś.

Delikatne usta Olliego otworzyły się szeroko, wyrażając zdziwienie. Kiedy już odzyskał

mowę, powiedział:

– Ożenić się z tobą? Z tobą, Mary? Nigdy...

Jego odmowa trzasnęła jej w uszach jak piorun. Nie mogła uwierzyć. Nadzieja opadła równie szybko jak kotwica rzucona na dno i natychmiast pojawił się wstyd.

– Ollie, proszę cię, wybac mi. Przepraszam, że postawiłam cię w takiej sytuacji. To bardzo nietaktowne z mojej strony i jaka niewdzięczność, po tym wszystkim, co dla mnie zro...

– Nie, nie, Mary! Nic nie rozumiesz! – wymachiwał gwałtownie ręką. W całym tym rozgorączkowaniu przesunął się tak blisko krawędzi huśtawki, że łatwo mógł spaść. – Nigdy, w najśmielszych snach nie pomyślałem, że mógłbym mieć szansę cię poślubić. Bóg mi świadkiem, kocham cię całe twoje życie, ale... – ściągnął twarz, jakby miał się zaraz rozplakać. – Ale, widzisz, ja... nie mogę się z tobą ożenić. W ogóle nie mogę się ożenić.

Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Z powodu nogi? Ollie, to wcale nie degraduje cię jako mężczyzny. W rzeczy samej, sposób, w jaki sobie z tym radzisz... odwaga, jaką pokazałeś, powoduje, że teraz jesteś bardziej mężczyzną niż wcześniej, o ile to w ogóle możliwe.

– Nie chodzi tylko o nogę, Mary Lamb... – gdy to mówił, nawet w ciemności widziała, jak się czerwieni. – Są jeszcze inne... sprawy. Bo widzisz, granat zranił mnie w... moją... męskość. Nie mogę dać ci dzieci. Nie mogę być dla ciebie mężem. Mógłbym cię tylko kochać.

Sparalizowana wręcz niedowierzaniem, słuchała jego przerywanego często opisu odniesionych ran, a rozpalona pamięć przywoływała tymczasem pożegnalne słowa jej ojca. „Wierzę, że przez to, co robię, nie przedłużam klątwy, która prześladowuje rodzinę Toliverów od momentu, gdy ścięto pierwszą sosnę pod Somerset”. Widziała ruszające się usta Olliego, ale w głowie słyszała tylko prorocze, drwiące głosy Milesa i pani Peabody. Przycisnęła dłoń do policzków. „Boże, nie, proszę, nie. Tylko nie to”.

– Więc widzisz, Mary, że nie mogę cię poślubić, choć bardzo bym chciał, pragnę tego każdą najmniejszą komórką mojej istoty – mówił Ollie, a wyglądał, jakby zaraz miał się załamać.

Opuściła ręce i wysiliła całą swoją wolę, by ukryć emocje rozdzierające jej duszę.

– Czy Percy zna rozmiar twoich ran? – zapytała.

– Nie. I nie powinien ich poznać. Przez to będzie czuł jeszcze większe wyrzuty sumienia. Mary zmusiła się do uśmiechu.

– W takim razie nie mogę sobie wyobrazić kobiety, która mogłaby chcieć od mężczyzny czegoś więcej, niż żeby pragnął jej każdą komórką swojej istoty.

Jego jasne brwi uniosły się.

– To znaczy, że ty... że mimo to chcesz za mnie wyjść?

– Tak – powiedziała – jeśli mnie zechcesz.

– Zechcę? – jego twarz cherubina trysnęła radością. – Oczywiście, że zechcę! Mary, kochanie... nie śmiałem nawet marzyć... – przerwał nagle w środku zdania oniemiały. – Ale... a co z Percym? Co my mu robimy? *Mon Dieu*, Mary, on się załamał. Pomyśli, że go zdradziłem!

Położyła swoją dłoń na jego zdrowym kolanie.

– Nie, Ollie, pomyśli, że to ja go zdradziłam, że skusiłam cię do tego małżeństwa, żeby mieć pewność, że plantacja zawsze będzie mieć twoje finansowe wsparcie. Uwierzy, bo wie bardzo dobrze, że zrobiłabym wszystko, by uratować Somerset. To był powód naszej kłótni.

– Ale, Mary, jak możesz mu pozwolić w to wierzyć, przecież to nieprawda?

– Mogę, żeby oszczędzić mu prawdziwego powodu naszego małżeństwa. Wiara w to, że wyszłam za jego najlepszego przyjaciela ze względu na Somerset na pewno sprawi mu mniej bólu. Chyba nie masz co do tego wątpliwości?

Ollie rzucał głową, jakby pełna była bzyjących os.

– Och, Mary, chcę się z tobą ożenić. I chcę tego dziecka. Chcę bardziej niż czegokolwiek na świecie, ale tak zranić Percy’ego...

Bez wahania Mary uklękła przed huśtawką. Złapała go za rękę.

– Posłuchaj mnie, Ollie. Percy nie będzie cię winił za to, że mnie poślubiłeś. Wie, co do mnie czujesz. Pozwólmy mu tylko wierzyć, że zrobiłam to dla Somerset. To jedyny sposób, by uchronić to dziecko przed skandalem. Wyobraź sobie, co je czeka, jeśli urodzi się jako nieślubne – co to będzie znaczyło dla dobrego imienia Warwi-cków, dla mojej reputacji i reputacji dziecka. Wkrótce wyjeżdżasz do Europy. Pojadę z tobą. Kiedy wrócimy, dziecko będzie jeszcze na tyle małe, że bez trudu przekonamy wszystkich, iż urodziło się kilka miesięcy później niż w rzeczywistości. Jeśli poczekam jeszcze trochę, nie będzie się dało tego zrobić.

– Ale Percy nas kocha, więc... jak możemy mu zrobić coś takiego?

Mary objęła dłońmi jego twarz i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Wynagrodzimy mu to. Będziemy go nadal kochać, tak jak zawsze, najgłębszą miłością przyjaciół.

– Ale... teraz, kiedy już... poznaliście się tak dobrze, jak zniesiesz rozłąkę z nim? Mary, nie umiałbym się z tobą dzielić, nawet z Percym. Jak możemy razem żyć, w trójkę, tylko jako przyjaciele?

– Będziemy musieli, Ollie – odparła Mary, zbliżając do niego twarz i całując go w czoło.

– Dla dobra wszystkich, których kochamy: twojego ojca, Beatrice i Jeremy’ego Warwicków, Percy’ego, dziecka i... i dla nas samych... musimy. Percy w końcu się ożeni, będzie miał własne dzieci, a czas, gdy byliśmy razem, zostanie tylko odległym wspomnieniem – kłamstwo gładko wypłynęło z jej ust, ale była całkowicie szczerą, gdy mówiła: – I zawsze będę ci wierna, Ollie. Przrzekam ci to.

Ollie wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki chusteczkę i przyłożył ją do oczu.

– Nie mogę w to uwierzyć. Myśl, że... że ty... ty mnie poślubisz... że spełni się mój najbardziej nieprawdopodobny sen. Jedyne, co przeszkadza mojemu szczęściu, to Percy... Będzie zdruzgotany, ale... Nie mam pojęcia, co innego można jeszcze zrobić.

– Właśnie – przytaknęła mu Mary, podnosząc się z kolan, by usiąść obok niego na huśtawce. W jej sercu znalazła się miejsce dla tego mężczyzny, myślała, powstrzymując łzy. Zawsze będzie miał jej czułość, oddanie i szacunek. W tym momencie poczuła w sobie ruch, jakby ta jej część, która należała do jedynej mężczyzny, jakiego kiedykolwiek będzie kochać, zakradła się w jakiś odległy, ciemny zakątek jej ciała i skuliła się tam, jak zwierzę, które przeczuwa nadchodzącą śmierć.

Rozdział trzydziesty

Tydzień później pobrali się w odświętnie przystrojonym salonie DuMontów i tego samego wieczora rozpoczęli pierwszy etap podróży – do Nowego Jorku, skąd statkiem mieli popłynąć do Europy. Mary wystąpiła w krótkiej luźnej sukience na ramiączkach uszytej z białej satyny. Była to pierwsza kreacja ślubna w Howbutker, która różniła się od tradycyjnej długiej sukni z trenem. W uroczystości uczestniczyli tylko Abel, Jeremy i Beatrice Warwickowie oraz Waithe'owie z synem Charlesem. Emmitt zastąpił jej ojca. Ceremonię poprowadził sędzia pokoju, a potem odbyło się krótkie przyjęcie, na którym podano ciasto i poncz zaprawiony wspaniałym, oczywiście przemycanym, rumem.

Zawiadomienia o ślubie wysłano dopiero, gdy młoda para wyjechała już z kraju. Howbutker zrozumiało, że ślub należało przyspieszyć, by miesiąc miodowy połączyć z wyjazdem młodego DuMonta do Europy. Mieszkańców zdziwiło jednak nagłe i niespodziewane małżeństwo Mary z Olliem DuMontem, gdyż wszyscy spodziewali się, że poślubi przystojnego Percy'ego Warwicka. Trudno było im też uwierzyć w wydarzenie bez precedensu, jakim było opuszczenie przez Mary Somerset, którą zostawiła pod opieką gnuśnego zarządcy. Przy stołach nakrytych do obiadów, podwieczorków i kolacji ustalono ostatecznie, że Mary wyszła za Olliego zaraz po gradobicium, ponieważ chciała ratować Somerset. Mary miała nadzieję, że i Warwickowie podzielą tę opinię, bo w ten sposób łatwiej im będzie dojść do siebie po rozczarowaniu faktem, że Mary nie poślubi ich syna.

Ale tego nie mogła być pewna. Spodziewała się, że Beatrice nie będzie ukrywać, co myśli o jej decyzji, i powie bez ogródek, że nie pochwała jej wyboru, ale doczekała się tylko pełnej zrezygnowania akceptacji.

– Jesteś pewna, że nie chcesz poczekać do powrotu Percy'ego? – zapytała. – Będzie taki zawiedziony.

– Jestem pewna – odparła Mary. – Wtedy będzie już za późno.

Beatrice posłała jej długie, zrozpaczone spojrzenie i Mary, chcąc nie chcąc, musiała zastanawiać się, czy może matka Percy'ego odgadła prawdziwą przyczynę, dla której nie da się już odkładać ślubu. Tylko Jeremy pozostał nieco sztywny, gdy Mary stanęła na palcach, by po przyjęciu ucałować go w policzek.

Zaledwie młoda para przybyła do Paryża i zameldowała się w Ritzu, a już Ollie prowadził swoją młodą żonę do lekarza rodzinnego na pierwsze badanie. Francuski medyk powiedział, że jeszcze za wcześnie, by podać dokładną datę porodu. Mary przewidywała koniec kwietnia. Kiedy wspomniała o tym przy następnej wizycie, lekarz pokręcił głową.

– Według mnie dziecko urodzi się później. Osobiście prognozowałbym jakieś dwa albo nawet, co bardziej prawdopodobne, trzy tygodnie później.

– Co takiego? – Mary czuła, że pokój zaczyna się kołysać. – To znaczy, że... nie jestem aż tak bardzo w ciąży, jak mi się wydawało?

Lekarz się uśmiechnął.

– Bardzo amerykański sposób ujęcia sprawy, ale tak. Poczęcie musiało nastąpić później, niż pani szacowała, zapewne niedługo przed datą spodziewanej miesiączki.

W gardle urosła jej nagle ogromna klucha. Dobrze pamiętała to „później”. Wspomnienie wróciło z tak przejmującym bólem, że musiała się oprzeć o ścianę. To było tydzień przed planowanym rozpoczęciem zbiorów, czuła się taka podekscytowana perspektywą odłożenia do banku pieniędzy, spłacenia hipoteki i oczyszczenia dobrego imienia ojca. Pierwszy dzień od samobójstwa matki, kiedy poczuła się naprawdę dobrze. Otworzyła drzwi chaty, a Percy już tam na

nią czekał, w fartuchu na biodrach, i z łyżką w ręku. Jego głupawy wyraz twarzy złagodniał, zamieniając się w rozumiejący uśmiech, kiedy na jej twarzy zobaczył tęsknotę i pragnienie. Spokojnie odłożył łyżkę, ściągnął garnek z pieca, rozwiązał fartuch i podszedł do niej.

Kolana się pod nią ugięły, gdy od nowa przeżywała namiętność tamtego popołudnia, kiedy ich ciała połączyły się i stały jednością, nierozzerwalną, nienaruszalną, świętą i wieczną... dzień, kiedy poczęło dziecko. Ześliznęła się po ścianie i objęła rękami kolana. „Och, Percy, mój ukochany, co ja nam zrobiłam? Co ja zrobiłam?”

Kiedy Ollie ją odebrał, była blada i cała się trzęsła. Zawiózł ją do hotelu, gdzie przez dwa dni nie wychodziła z łóżka, jedząc tylko chrupki francuski chleb i bułki. (Odmawiała croissantów.)

Dwa miesiące po ich wyjeździe z kraju Abel DuMont zaprosił Warwicków na uroczystą kolację, a po posiłku poczęstował gości cygarami. Wkrótce zostanie dziadkiem, oznajmił. Rozwiązanie ma nastąpić w lipcu 1921 roku. Ollie chciał, żeby dziecko urodziło się w kraju jego przodków, więc wrócić do Paryża, a potem z Francji przypłyną do domu. W rzeczywistości Matthew Toliver DuMont przyszedł na świat w maju. Pieniądze przeszły do rąk odbierającego poród lekarza – i to imponująca suma – więc z metryki wynikało, że jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek urodziło się Mary i Olliemu DuMontom, zobaczyło świat dwa miesiące po narodzeniu.

Kiedy Ollie po raz pierwszy zobaczył dziecko przyniesione matce na karmienie, w równym stopniu poczuł dumę, co ulgę. Zamiast blond włosów, których oboje się obawiali, niemowlę prezentowało kędziory kruczoczarne jak loki Mary, a zielonkawoniebieskie oczy sugerowały, że staną się zielone. Można było zauważyć bardzo delikatny zarys dołeczka w brodzie i wszyscy, którzy niemowlę widzieli, zauważali, że włosy tworzą wyraźny ząbek na środku czoła – jak u mamy.

– No cóż, moja droga, urodziłaś sobie małego Tolivera – skwitował Ollie, promieniejąc szczęściem.

Od razu został niewolnikiem dzieciątka i praktycznie nie umiał spuścić go z oka. Pewnego wieczoru Mary patrzyła, jak Ollie kołysze małe zawiniątko, przemawia do niego tkliwie i gładząco, co rusz ocierając usta o małą główkę. Zastanawiała się, czy on też zauważył ironię tej sytuacji. Stracił nogę i zdolność płodzenia dzieci, by ratować życie przyjaciela dla kobiety, którą ostatecznie posiadał wraz z jej dzieckiem.

Cały czas myślała o Somerset. Co tydzień wysyłała do Hoagy'ego Cartera listy z instrukcjami. Przed wyjazdem zawarła z nim umowę. Jeśli po powrocie Mary uzna, że nadzorował plantację skutecznie i dbał o nią, oczywiście pod kontrolą Emmitta Waithe'a, przez trzy lata pozwoli mu zatrzymać całe własne zbiory. Jeśli okaże się natomiast, że nie spisał się dobrze, wyrzuci go z niczym wraz z całą rodziną.

Kiedyś wieczorem, gdy wraz z Olliem patrzyli, jak Matthew śpi, jej mąż powiedział:

– Mary, nic na to nie poradzę, ale wciąż się zastanawiam, czy dobrze robimy, zachowując to dziecko tylko dla siebie.

Czując krótki atak paniki, Mary odciągnęła go od łóżeczka.

– Nie ma nic złego w tym, że chcemy chronić je przed konsekwencjami błędu, jaki popełniliśmy ja i Percy. Teraz ty jesteś jego ojcem i nie powinieneś czuć się winny, że zabrałeś mu Matthew... Percy będzie miał wielu synów. Ty i ja będziemy mieć tylko Matthew. Pomyśl, co by to znaczyło dla Percy'ego, gdyby wiedział, że to jego dziecko.

Uderzyła w odpowiednią strunę. Wziął ją za rękę.

– Nie będziemy więcej do tego wracać. To tylko taka przelotna myśl.

W czasie swojego drugiego pobytu w Paryżu, osiem tygodni po rzekomym urodzeniu

Matthew, odnaleźli Milea i umówili się na spotkanie. Ollie zostawił Mary, by dokończyła się ubierać przed wyjściem, a sam zszedł na dół zobaczyć, po co dzwonili z recepcji. Wrócił z dwoma listami, jeden zdążył już przeczytać. Miał bardzo poważny wyraz twarzy.

– Od ojca – powiedział. – Jeździły za nami po Europie. Ten jest sprzed czterech miesięcy.

– Co się stało? – pytała Mary.

– Percy... Percy się ożenił.

Mary cały czas siedziała przy toalecie. Naszyjnik, który właśnie zapinała, wysliznął się jej z rąk i upadł na blat.

– Z kim? – szepnęła, patrząc oszołomiona w lustro.

– Z Lucy.

Myślała, że zemdleje – tak szybko odpłynęła jej z twarzy cała krew.

– Lucy? Powiedziałaś „Lucy”?

– Tak. Lucy Gentry.

– O, mój Boże. Lucy? – Mary złapała się toaletki i roześmiała się krótko i histerycznie, nie mogąc w to uwierzyć.

– Percy ożenił się z Lucy? Jak on mógł? Jak mógł?

– Sądzę, że Percy mógłby to samo powiedzieć o tobie – zauważył Ollie z rzadką u niego dezaprobatą. Potem otworzył drugi list, wysłany dwa miesiące po pierwszym. Szybko go przejrzał i ich oczy spotkały się w lustrze. – Lepiej przygotuj się na kolejny wstrząs. Lucy jest w ciąży. Ona i Percy w kwietniu spodziewają się dziecka.

Na spotkaniu z Milesem Mary nie mogła się skupić na rozmowie i prawie nie tknęła jedzenia. Głównie mówił Ollie. Marietta nie przyszła. Jak to ujął Miles, była „niedysponowana”. Ciągłe unikał wzroku siostry. Wyglądał gorzej, niż gdy wyjeżdżał z Howbutker. Miał ziemistą cerę, a zęby kolory tytoniu. Na ramiona jego wytartej marynarki z przeredzonych włosów spadał łupież.

Kiedy Ollie przeprosił ich i poszedł do toalety, Miles po raz pierwszy spojrzał siostrze w oczy.

– Zawsze myślałem, że wyjdiesz za Percy’ego.

– Ale jak widać, jest inaczej, prawda?

Brat pokręcił głową.

– Ty i Ollie. Percy i Lucy. To bez sensu. Co się stało?

Nie otrzymując odpowiedzi, odsłonił zniszczone zęby.

– Niech zgadnę. Po gradobiciu zobaczyłaś w Olliem ratunek dla Somerset. Znając Percy’ego i jego poglądy, nie dałby ci ani centa, ale ożeniłby się z tobą. A ty jesteś na tyle głupia, żeby wybrać Somerset.

– Może zmienimy temat? – zaproponowała Mary, zaciskając zęby.

– Na jaki? Może mama? Wiem, tu w środku, że na pewno nie umarła we śnie na niewydolność serca.

– Gdybyś tam był, zobaczyłbyś to na własne oczy.

Miles przecesał włosy kościstą dłonią. Gest, który Mary tak dobrze pamiętała.

– Mary, o nic cię nie oskarżam. To po prostu takie do niej niepodobne, żeby wstała z łóżka po kilku latach niewychodzenia z niego po to, żeby urządzić ci przyjęcie urodzinowe.

– Ja też tak to widziałam, a jednak to prawda. Zapewne wysiłek był zbyt duży. I mam nadzieję, że o nic mnie nie oskarżasz. Brat, który opuszcza matkę i siostrę, gdy te tak bardzo go potrzebują, nie ma prawa nikogo wytykać palcem za zaniedbanie rodzinnych obowiązków.

Naprawdę się starali, ale ta więź, która ich kiedyś łączyła, wygasła. Miles był dla niej obcym człowiekiem i Mary żałowała, że w ogóle postanowili go odnaleźć. Był tym, na kogo

wyglądał – nieudacznikiem. Nie taki jego obraz chciała zabrać do domu, szczególnie że najprawdopodobniej widziała go po raz ostatni. Grzeczność i ostatnie strzępy siostrzanego przywiązania nakazywały zaprosić Milesa do hotelu, by poznał swojego siostrzeńca, ale miała nadzieję, że odmówi.

Wracał Ollie. Widząc swojego szwagra sprawnie zmierzającego o kulach w ich stronę, Miles powiedział:

– Pamiętaj, siostrzyczko, masz być dobra dla Olliego. Pochodzi w prostej linii od bogów. Nie ma lepszych od niego i mam nadzieję, że potrafiysz to docenić.

– Potrafię – zapewniła go Mary.

Miles nie przyjął zaproszenia, by poznać siostrzeńca, a DuMontowie nie spotkali się z nim ponownie przed swoim wyjazdem z Europy. Odpłynęli w następnym tygodniu, by zdążyć na końcówkę zbiorów w Somerset. Wrzesień dobiegał końca. Ich syn miał prawie pięć miesięcy, ale nikt, kto cmokał i przemawiał do niemowlęcia nad kołyską, ani przez moment nie wątpił w zapewnienia rodziców, że żyje na tej planecie o całe osiem tygodni mniej.

Mary Toliver DuMont otworzyła oczy. Siedziała na werandzie, słońce schowało się już za dachem, więc światło złagodniało. Spódnica zielonego, lnianego kostiumu była cała wilgotna i pognieciona. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje i który to rok. Na stole obok stał kubek na szampana, a w nim po prawie pustej butelce Taittingera krople wody spływały do roztopionego lodu. Szampanka ze śladami szminki wskazywała, że piła – i to sama.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty, przypomniała sobie. Sierpień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Siedziała na werandzie swojego domu i wspominała przeszłość.

To była długa podróż. Tylko wspomnienie narodzin syna mogło ją tak szybko zwrócić terażniejszości – to oraz dziwne odczucie wzdłuż kręgosłupa. Magiczna podróż dobiegła końca. Miała dość. Czuła ostry ból w mostku, ale przecież to normalne, gdy myśli o Matthew. Była za smarkata, żeby wiedzieć, kiedy go poczęli. W tamtych czasach dziewczyny tak mało wiedziały o swoich ciałach, szczególnie te bez matek, a ona wtedy już bardzo długo nie miała matki, choć ta przecież żyła.

Gdyby tylko wiedziała, jakże inna byłaby dziś ta podróż w przeszłość. Jak inne byłoby ich życie. Percy wrócił pociągiem tego samego dnia, którego oni odjechali. Gdyby zawiadomił swoich rodziców, że jest w drodze, odwołałaby ślub i zdążyliby wszystko naprawić. Gdyby nie poszła tamtego dnia do chaty, pragnąc jego ciała, ust i dłoni. Gdyby Percy zgodził się podpisać kredyt. Okazało się, że nie straciłby ani centa, bo kolejny rok był rekordowy i pozwolił spłacić Fair Acres. Rok później spłaciła hipotekę i w pełni odzyskała Somerset.

Ale oczywiście, nie chodziło przecież o pieniądze. Oboje dobrze to rozumieli.

Przykrywka okazała się jednakowoż skuteczna – wszyscy uwierzyli, że wyszła za mąż, by ratować plantację. W mieście spodziewano się, że Ollie będzie zabawką w jej rękach, ale on ich wszystkich zaskoczył. Mimo swojego zgodnego, życzliwego charakteru i skłonności, by wszystkich zadowalać, nigdy nie stał się niczyją zabawką. Byli dobrym małżeństwem, ich związek opierał się na szacunku, poczuciu humoru, ogromnych pokładach zrozumienia i wzajemnym wspieraniu się. Mary pozostała mu wierna, nawet kiedy już go nie było i mogli się zejść z Percym. Wtedy jednak, oczywiście, było już za późno.

Mary ze smutkiem pokręciła głową. Tak wiele tych „gdyby”. Ich konsekwencje dosięgły wszystkich. Percy’ego i Lucy. Matthew i syna Percy’ego, Wyatta. Milesa i Mamusię. Williama i Alice. No i oczywiście Mary Toliver DuMont. Somerset wszystkim coś odebrała.

Ale jest jedna istota, którą uratuje od klątwy Toliverów – której oszczędzi żalu, jaki ona zabiera ze sobą do grobu. Długo to trwało, nim zrozumiała, jak należy postąpić, ale w końcu się udało jej i zdążyła. Jutro poleci do Lubbock i opowie Rachel prawdziwą historię Toliverów,

historię, której Amos nigdy nie przeczytał, odkryje prawdę ukrywaną przez tyle lat. Wytlumaczy jej wszystko, a Rachel na pewno zrozumie. Przekona się, że powtarza jej błędy, dokonuje tych samych złych wyborów, składając na ołtarzu Toliverów te same ofiary, które składała jej stara ciotka. I to w imię czego? Kiedyś przeczytała: „To nie sama ziemia się liczy, ale lekcje, które od niej pobieramy”. Wtedy drwiła z tego, ale teraz wierzy, że tak właśnie jest. Somerset była dobrą nauczycielką, niestety, ona jej nie słuchała. Teraz postara się, by Rachel wysłuchała jej z uwagą i może się czegoś nauczyć.

Wcześniej jednak musi się zająć jeszcze inną, ostatnią sprawą, a potem może spokojnie opuścić ten padół. Musi wejść na strych, gdzie stoi wojskowy kufer Olliego. Jak zejdzie, zje trochę pysznego obiadu Sassie. Choć wcale nie była głodna. Właściwie w tej chwili czuła nawet mdłości. Ból w mostku się nasilał i promieniował do szczęki. Na szczęście wracała Sassie.

Wstała niepewnie.

– Pani Mary! Pani Mary! – usłyszała jakby gdzieś z daleka, gdy ból, tym razem bardzo ostry, przeszył głęboko jej szczęki. Złapała się balustrady.

– Nie – wydyszała, zdając sobie sprawę, co się dzieje. – Muszę iść na strych. Sassie, ja muszę...

Nogi nie zdołały jej już utrzymać. Przez kilka sekund, kiedy walczyła o światło, miała wrażenie, że w zbliżającej się szarej mgłę widzi znajome rysy. Ollie! – pomyślała, ale po chwili wyłoniła się twarz Rachel – piękna, gniewna i bez przebaczenia w oczach.

– Rachel! – zawołała, jednak obraz rozplynął się w ciemniejszej mgłę, a Mary poczuła, że wracają do niej strzały, które niegdyś wystrzeliła.



CZEŚĆ DRUGA



Rozdział trzydziesty pierwszy

Już z teczką w ręce, przed samym wyjściem, Amos ustawiał jeszcze temperaturę w kancelarii, gdy zadzwonił telefon. Niech się nagrają, pomyślał. Nie miał ochoty na rozmowy, poza tym był lekko wstawiony.

– Amos, jeśli tam jesteś, odbierz – usłyszał głos Percy’ego.

Natychmiast podniósł słuchawkę.

– Percy? Słucham. O co chodzi?

Nastąpiła krótka pauza, taka kiedy serce nagle zamiera.

– No mów. Co się stało?

– Chodzi o Mary. Miała... miała atak serca.

Obszedł biurko, ręką szukając krzesła.

– W jakim jest stanie?

– Amos, ona umarła. Na miejscu, u siebie na werandzie, dopiero co. Sassie wysłała po nas Henry’ego. Jest tu Matt, ale pomyślałem, że to ja powinienem ci powiedzieć – urwał nagle, a Amos usłyszał stłumiony szloch.

Przycisnął dłoń do pulsującego czoła. Wielkie nieba! Mary nie żyje? To niemożliwe! Mój Boże, i co będzie z Rachel? Nie pozna powodów decyzji Mary.

– Amos?

– Zaraz u was będę. Jesteście w Warwick Hall?

– Tak. Pogotowie zabrało ją do koronera. Nie będzie sekcji zwłok, przyczyna śmierci jest oczywista. Musisz powiadomić Rachel.

Rozpacz Amosa jeszcze się pogłębiła.

– Zadzwonię do niej od was.

Wjeżdżając swoim ciemnozielonym BMW na zarezerwowane miejsce parkingu Toliver Farms West, Rachel ze zdziwieniem spostrzegła, że jej wieloletni kierownik i prawa ręka siedzi w cieniu markizy, najwyraźniej na nią czekając. Gdy ona była na spotkaniu, miał przyjąć dostawę kompresora. Znów poczuła falę niepokoju. Nowojorski przedstawiciel fabryki tekstyliów, z którą Toliver Farms współpracowało od wielu lat, przyjechał na spotkanie bez propozycji kontraktu. Przyjechał z czystej uprzejmości, ze względu na długoletnią współpracę tylko po to, by przeprosić, ale niczego jej nie wyjaśnił.

– Co jest, Ron? – zawołała, wysiadając z auta. Od razu zauważyła, że coś nie gra – tak niechętnie podniósł się z krzesła, odsunął z czoła słomiany kapelusz i zatknął palce za skraj kieszeni džinsów.

– Nie wiem, to może nic nie znaczyć – powiedział ze swoim zachodnioteksańskim akcentem – ale kiedy przyszedłem po fakturę, zadzwonił Amos Hines. Wydawał się zdenerwowany. Masz do niego jak najszybciej oddzwonić. Pomyślałem, że lepiej się tutaj pokręcę... to znaczy, gdyby coś się stało. Buster zajmie się dostawą.

Przechodząc obok niego, uścisnęła mu ramię.

– Dzwonił z biura?

– Nie, z domu jakiegoś Percy’ego Warwicka. Numer jest na biurku.

Rachel rzuciła torebkę i szybko podniosła słuchawkę, przygotowując się na wiadomość, że coś stało się Percy’emu. Jeśli tak, natychmiast poleci do cioci Mary, bo jej bardzo trudno będzie pogodzić się ze śmiercią Percy’ego i przywyknąć do życia bez niego u boku.

Amos odebrał, jeszcze zanim wybrzmiał pierwszy dzwonek.

– Rachel?

– Tak, to ja. Co się stało, panie Amosie? – spojrzała w oczy Rona i wstrzymała oddech, przygotowana na cios.

– Rachel, ja... niestety, mam złe wieści. Kilka godzin temu Mary umarła na atak serca. Miała wrażenie, jakby ktoś strzelił jej w pierś. Poczuła uderzenie, które ją sparaliżowało, a potem ból, jakby krew powoli wypływała z rany. Ron złapał ją pod ramię i pomógł usiąść w fotelu.

– O Boże...

– Kochanie, nawet nie umiem ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro.

Słyszała, że załamał mu się głos, gdy walczył z własnym bólem, i postanowiła jakoś się opanować.

– Gdzie ona była? Gdzie to się stało?

– Na werandzie, koło pierwszej. Wróciła z miasta i usiadła na fotelu. Sassie przysłała... kiedy już umierała. Żyła jeszcze może minutę.

Rachel zamknęła oczy i wyobraziła sobie tę scenę. Jej cudowna cioteczna babka wróciła z miasta, pewnie ubrana jak spod igły, i umarła na swojej werandzie, a ostatnią rzeczą, jaką widziała, była jej ulica, na której spędziła całe życie. Z pewnością nie chciałaby umrzeć w żadnym innym miejscu na świecie.

– Czy... powiedziała coś?

– Sassie twierdzi, że... mówiła coś o strychu, że musi tam iść. Wcześniej prosiła, by Henry otworzył kufer Olliego. Chyba chciała coś z niego wyciągnąć. A potem... zawołała twoje imię, Rachel... na samym końcu.

Spod jej mocno zaciśniętych powiek popłynęły łzy. Ron cicho wziął ze stolika paczkę chusteczek i położył w zasięgu jej ręki.

– Moje drogie dziecko – mówił Amos – masz tam kogoś, żeby z tobą pobyl? Żebyś nie była sama?

Przyłożyła chusteczkę do oczu. Wiedziała, że o to pyta, bo zna jej napięte relacje z rodziną i zdaje sobie sprawę, że oni najprawdopodobniej nie dadzą jej pocieszenia.

– Tak, jest Ron i moja sekretarka, Danielle. Dam sobie radę. Dobrze, że pan i Matt jesteście tam z Percym. Jak on się czuje?

– Ciężko to przyjął, jak można się było spodziewać. Matt posłał go na górę, żeby odpoczął. Ale kazał cię pozdrowić, a Matt mówi, że gdy tylko przyjedziesz do Howbutker, jest do twojej dyspozycji

Matt... To imię wzbudziło wspomnienia – bardzo kojące wspomnienia. Nie widziała go od czasu, gdy była nastolatką, kiedy to wypłakiwała się na jego ramieniu.

– Niech mu pan powie, że z wdzięcznością przyjmuję jego propozycję – odparła.

– A pan? Jak pan się czuje?

Przez chwilę panowała cisza, jakby próbował znaleźć odpowiednie słowo.

– Jestem... zdruzgotany, dziecko... szczególnie gdy pomyślę o tobie.

Kochany, cudowny Amos, myślała, połykając kolejne łzy.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedziała. – Ale na to trzeba czasu. Ciocia Mary zawsze mówiła, że czas jest o tyle dobry, iż dzięki niemu mijają złe chwile.

– No tak, miejmy nadzieję, że nie zawiedzie nas w tej jedynej swojej zalecie – Amos bardzo głośno odchrząknął, jakby coś ogromnego siedziało mu w gardle. – A teraz powiedz, czy wiesz, kiedy dasz radę przyjechać? Pytam, bo mógłbym poumawiać cię w kilku miejscach

– zakład pogrzebowy, kwaciarnia i tak dalej. Samolot jest gotów, bo wiesz, że Mary planowała jutro cię odwiedzić.

Na moment zaskoczenie zatamowało potok łez.

– Nie, nie miałam o tym pojęcia.

– Obawiam się więc, że umarła, zanim zdążyła cię powiadomić, ale wiem na pewno, że taki miała zamiar. Mówiła mi o tym dziś rano w kancelarii, kiedy przyszła... mnie odwiedzić.

– Widział się z nią pan dzisiaj? Jak cudownie, że mógł pan ją zobaczyć jeszcze ten ostatni raz. Szkoda, że nie zdążyła przyjechać. Mówiła, dlaczego chciała się ze mną widzieć? To takie... nie w jej stylu, żeby mnie zaskakiwać.

– To musiało mieć związek z ostatnimi... zmianami, tak mi się wydaje. Powiedziała jedynie, że cię kocha.

Rachel znów zamknęła oczy. To też było do cioci zupełnie niepodobne. Może wiedziała, że jest poważnie chora?

– Czy mówiła coś o kłopotach z sercem? – zapytała.

– Nie, nic nie mówiła o sercu. Wszystkich nas to zaskoczyło. A co do twojego przyjazdu...

– Spróbuję być przed dziesiątą, i byłabym wdzięczna za umówienie tych spotkań. Na pewno przyjedziemy z tatą, nie wiem tylko, czy uda mi się namówić też mamę i brata, ale czy na wszelki wypadek mógłby pan uprzedzić Sassie, żeby przygotowała dodatkowy pokój?

Znów nastąpiła pauza, jakby Amos bardzo starannie dobierał słowa kolejnego zdania.

– Sugerowałbym, żebyś przekonała przynajmniej Jimmy'ego, by wybrał się z ojcem. Jestem pewien, że Mary chciałaby, aby obydwaj byli obecni przy odczytaniu testamentu i usłyszeli jej... ostatnie życzenia dla nich.

– Zobaczą, co da się zrobić. – Miała nadzieję, że takie ujęcie tej kwestii przekona również matkę. Testament cioci Mary był źródłem nieporozumień między nimi. Jeszcze teraz słyszała jej słowa: „Rachel Toliver, nigdy ci nie wybaczę, jeśli twoja ciotka Mary cały tort zostawi tobie, a twojemu ojcu i bratu nic!”.

– W takim razie zobaczymy się jutro – mówił Amos. – Zawiadam mnie, kiedy dokładnie przylecisz, odbiorę cię z lotniska.

Rachel powoli odłożyła słuchawkę, nie mogąc się pozbyć odczucia, że Amosa dręczyło coś jeszcze oprócz śmierci cioci Mary... jakby słyszała odległy szum w tle głośniejszego dźwięku. To już drugi raz tego dnia odnosiła wrażenie, że dzieje się coś więcej niż tylko to, o czym mówi się głośno.

– Rozumiem, że odeszła twoja ciocia? – zapytał cicho Ron, wyciągając z tylnej kieszeni chusteczkę i przykładając ją do oczu. Zdjął kapelusz i usiadł z drugiej strony pokoju.

– Tak, Ron, odeszła. Koło pierwszej miała atak serca. Zajmiesz się tutaj wszystkim?

– Z przyjemnością, choć żałuję, że w takich okolicznościach. Będzie nam jej brakowało, a już na pewno będzie nam brakowało ciebie.

Oczy znów zaszyły jej łzami.

– Powiedz Danielle, dobrze? Za chwilę wyjeżdżam. Muszę zawiadomić rodziców.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Rachel siedziała chwilę bez ruchu, wsłuchując się w tę szczególną ciszę, która zapadła. Gdy umiera ktoś, kogo się kocha, cisza dźwięczy, pomyślała, wydaje odgłos podobny do muchy latającej w pustym pokoju. Wstała i podeszła do okna, chcąc zobaczyć jeszcze słońce. Potem podniosła słuchawkę. Kiedyś dawno, ten numer, który miała teraz wykręcić, był dla niej symbolem najważniejszego miejsca na świecie, pewnością, która zapewniała jej akceptację, zrozumienie i miłość. Ale to było jeszcze przed ciocią Mary. Przed Somerset.

Rozdział trzydziesty drugi

Dziadku? – Matt kłykiem delikatnie zapukał do pokoju Percy’ego. Mówił cicho, by go nie obudzić, jeśli udało mu się zasnąć w fotelu.

– Wchodź, synku, wchodź. Nie śpię.

Matt wszedł i zobaczył, że dziadek siedzi w swoim fotelu, pochylony do przodu, i wcale nie wygląda lepiej niż przedtem. Twarz wydawała się spokojna, ale zaczerwienione, podpuchnięte oczy wskazywały, że stracił kogoś więcej niż starą, dobrą znajomą i sąsiadkę. Poczł ukłucie w sercu, jak zawsze gdy przypominał sobie, że dziadek zbliża się już do końca swoich dni. Przysunął sobie krzesło.

– Rachel dzwoniła do Amosa. Powiedziałem Savannah, żeby podała mu lunch. Nic jeszcze nie jadł.

– Uraczył się jedynie whisky, czerwonym Johnnie Walkerem, sądząc po zapachu

– zauważył Percy. – To do niego niepodobne.

– Może chlapnął coś po twoim telefonie. Tak jak ja, rozmawiał z panią Mary zaledwie kilka godzin przed śmiercią. Widać, że bardzo cierpi.

– To dla niego ogromna strata. Byli dobrymi przyjaciółmi. Zaraz na początku, kiedy przyjechał do Howbutker, Amos kochał się nawet trochę w Mary. Był wtedy bardzo młody. Jeśli Mary kiedykolwiek to zauważyła, nigdy nie dała po sobie poznać. Zresztą, mój Boże, który mężczyzna nie kochał się choć trochę w Mary?

Matt nie mógł się powstrzymać.

– Włącznie z tobą?

Percy uniósł ciemne, krzaczaste brwi ponad szarymi oczami, które przy dobrym dniu zachowywały wciąż jasność i bystrość spojrzenia.

– Skąd to pytanie?

Matt pociągnął się lekko za ucho – dla dziadka nieomylny znak, że już żałuje swojej ciekawości. Z drugiej strony, jeśli mogłoby to stanowić jakąś pociechę, to jakie znaczenie ma teraz fakt, że powie mu o tym, z czym wygadała się Mary?

– Jak już ci mówiłem, wpadłem dziś na panią Mary przy tym starym więzienie obok pomnika świętego Franciszka. Ale nie powiedziałem ci, że kiedy ją zobaczyłem, stała cała zdezorientowana i mówiła do siebie.

– Tak? – Jego zaczerwienione oczy rozbłysły. – I co mówiła?

– Eee... – pod czujnym okiem dziadka Matt zaczął wiercić się na krześle. – Myślała, że ja to ty. Chyba cofnęła się gdzieś w przeszłość i przeżywała dawne czasy. Kiedy ją zawołałem, odwróciła się i powiedziała...

Matt wyczuł, że dziadek jest nagle cały spięty.

– No, mów, synu. Powiedziała...?

– Powiedziała tak: „Percy, kochany, musiałeś wypić całą moją oranżadę? Chciałam jej wtedy, tak samo jak pragnęłam ciebie, ale nie wiedziałam tego”. To cytat, dziadku. Mam nadzieję, że nie przywołuję wspomnień, które lepiej zostawić w spokoju.

– Nie, Matt. Coś jeszcze?

– W sumie tak – Matt znów poczuł lekkie zażenowanie. – Powiedziała: „Byłam zbyt młoda i głupia, no i miałam w sobie zbyt wiele z Toliverów. Gdybym tylko nie była taką idiotką”. Wtedy lekko nią potrząsałem i wyjaśniłem, że jestem Matt – przerwał, by ocenić reakcję dziadka. – Dlatego zapytałem, czy ty też byłeś kiedyś zakochany w Mary Toliver.

Percy roześmiał się chrapliwie.

– Kiedyś zakochany? – odwrócił wzrok w stronę kominka, nad którym stały zdjęcia rodzinne, głównie Matta w strojach sportowych, i jedno, na którym jeszcze jako niemowlę śpi w ramionach matki. Ale w samym środku na honorowym miejscu znajdowało się oficjalne zdjęcie jego ojca w mundurze piechoty morskiej z całym zestawem odznaczeń na lewej piersi. Matt nie potrafiłby powiedzieć, czy Percy patrzył na fotografię, czy na nieczytelną akwarelę – prezent od jego ojca – która wisiała nieco wyżej. W końcu głosem szorstkim od wspomnień powiedział w zadumie:

– To było w lipcu tysiąc dziewięćset czternastego roku, na uroczystości oddania budynku ratusza. Do tego dnia Mary wróciła pamięcią, kiedy ją spotkałeś. Miała czternaście lat, a ja dziewiętnaście. Włożyła białą sukienkę z zieloną szarfą. Już wtedy byłem w niej zakochany i planowałem ją poślubić, choć ona tego nie wiedziała.

– A niech mnie – zawołał zdumiony Matt – Dowiedziała się kiedyś?

– Tak – odparł Percy. – Dowiedziała się.

– W takim razie, co się stało? Dlaczego się z nią nie ożeniłeś? – Matt uważał, że dziadek byłby o niebo szczęśliwszy z Mary Toliver niż kiedykolwiek był z Lucy Gentry.

– Somerset się stała – powiedział Percy, pocierając kostki swojej prawej dłoni co, jak zauważył Matt, zawsze świadczyło o jego głębokim zamyśleniu.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał. – Może ten Johnnie Walker to nie taki zły pomysł?

Percy pokręcił głową.

– Obawiam się, że tu nie pomoże. I nie, nie chcę o tym rozmawiać. To już skończone... cokolwiek mogło się wydarzyć.

– Dziadku... – przeszywało go współczucie dla dziadka, tyle lat związanego z kobietą, której nie kochał. – Łamiesz mi serce. Czy Gabby wiedziała o tobie i Mary?

– Tak, synku, wiedziała, ale to co było między mną a Mary, zdarzyło się, jeszcze zanim poślubiłem twoją babcię, a potem już nigdy nie było „mnie i Mary”.

– Czy... czy kochałeś ją dalej, kiedy już ożeniłeś się z Gabby?

Percy nadal ugniatał swoją dłoń.

– Kochałem ją przez całe jej życie, od dnia, kiedy się urodziła.

Boże, myślał Matt. Osiemdziesiąt pięć lat... Zapadła smutna cisza, Percy wciąż masował swoje dłonie.

– Czy Ollie wiedział? – zapytał Matt.

– Zawsze.

Zaskoczony Matt zrobił głęboki wydech, ogarnięty okropnym smutkiem.

– Czy to z powodu Mary Gabby cię zostawiła?

– Była jednym z czynników, ale twoja babcia miała też inne zastrzeżenia – Percy poprawił się w fotelu, jakby mu było niewygodnie. – Tyle wody już upłynęło...

W dodatku wody, w której nie miał czego łowić, zdał sobie sprawę Matt, ale postanowił tak łatwo mu nie odpuszczać, teraz kiedy wreszcie doszli do tego tematu.

– Dziadku, chciałbym, żebyś kiedyś mi o tym opowiedział i zapełnił te białe plamy w historii naszej rodziny... póki jest jeszcze czas.

Percy rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

– To tak nazywasz niektóre okresy naszej rodzinnej historii? Białe plamy? No tak, rozumiem twoją ciekawość, ale to przeszłość i nie dotyczy ciebie.

– Dlaczego nie rozwiedliście się z Gabby?

– To także należy do przeszłości i nie dotyczy ciebie – powtórzył i obdarzył go swym rozbrajającym uśmiechem. – Nie powinieneś zejść na dół i sprawdzić, co u Amosa? Teraz, kiedy

musiał przekazać Rachel wiadomość o śmierci Mary, będzie jeszcze bardziej nerwowy. Ale znajdzie przynajmniej pocieszenie w tym, że Rachel wreszcie zamieszka w Howbutker. Uwielbia tę dziewczynę.

Matt ustąpił. Uznał, że pewnie nigdy się nie dowie, dlaczego dziadek trwał w tym martwym związku, choć oczywiste było, że stworzony został do życia rodzinnego i powinien mieć oddaną żonę, która by o niego dbała. A mimo to czuł dziwną zazdrość. Cóż to musi być za miłość, kochać kobietę tak jak on... przez tyle czasu... i nigdy nie chceć innej. Pod tym względem mu się poszczęściło.

– Ja też nie mogę się doczekać, aż Rachel tu z nami zamieszka – powiedział, wstając z krzesła. – Czas już, żebyśmy się lepiej poznali.

Percy przyjrzał mu się uważnie.

– Nie obiecywałbym sobie po niej zbyt wiele, Matt. Przypomina Mary, kiedy była młoda, nie tylko wyglądem, a oni nie są przyjaźni Warwickom.

Matt spojrzał na dziadka.

– To wygląda na jedną z tych białych plam, o których wspomniałem, a jeśli Rachel jest tak piękna, jak ją pamiętam, to raczej trudno byłoby mi nic sobie nie obiecywać.

Percy spoważniał.

– Powiedzmy po prostu, że w przypadku Rachel jabłko upadło dokładnie pod jabłonią, a ja nie chciałbym, żebyś powtórzył moją historię.

Matt dał mu kuksańca w ramię.

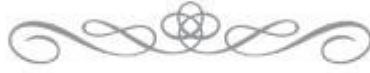
– Dopóki mi nie powiesz, czego mam się obawiać, muszę ryzykować.

Percy wsłuchiwał się w coraz cichsze kroki Matta. Zarozumiały szczeniak. Nie miał pojęcia, w co się pakuje, jeśli historia byłaby na tyle niełaskawa, żeby się powtórzyć. Percy nie martwiłby się o niego, gdyby tak bardzo nie przypominał mu jego samego w tym wieku

– niezdolny oprzeć się pokusie podjęcia wyzwania, rozkoszy pościgu, a potem, gdy pułapka się zamknie...

Wstał powoli i wyszedł na zacieniony balkon. Popołudnie było niemal tak gorące jak wtedy, w 1914 roku. Doskonale pamiętał tę chłodną oranżadę o smaku czekoladowym i wyniosłą reakcję Mary. Pamiętał wszystko, co się z nią wiązało, jej smak, zapach, dotknięcie jej skóry... nawet dziś.

Przesunął szezlong głębiej w cień, bliżej ściany domu. Jedyny sposób, by przygotować Matta na Rachel, to wypełnienie białych plam, a tego nigdy nie zrobi. Ale gdyby kiedykolwiek miał opowiedzieć swoją historię porzuconego szczęścia, jak powinien zacząć? Chyba od najbardziej bolesnego dnia w jego życiu, od tego ranka, gdy wrócił z Kanady i dowiedział się, że Mary wyszła za Olliego...



HISTORIA
PERCY' EGO



Rozdział trzydziesty trzeci

HOWBUTKER, PAŹDZIERNIK 1920

Spóźniony pociąg, sapiąc, wjechał na stację. W ciągu tygodniowej podróży z Ontario Percy spał tylko sporadycznie, wstawał przed świtem, by zapalić papierosa, i przesiadywał do późna w wagonie restauracyjnym, wypijając morze kawy. Przeklinał się za to, że był takim głupcem. Powinien uprzedzić rodziców, że wraca, ale matka na pewno zawiadomiłaby Mary, a nie był pewien jej reakcji, biorąc pod uwagę ich rozstanie. Chciał ją zaskoczyć, porwać w ramiona i całować do utraty tchu, powiedzieć jej, że ją kocha i ma gdzieś jej obsesję, jeśli tylko zgodzi się za niego wyjść i żyć z nim do końca życia.

Jednak ostatniej nocy zapadł w tak głęboki sen, że przespał nawet ostatni dzwonek na śniadanie i o mały włos ominąłby go widok Piney Woods z tej strony Texarkany. Zerwał się ze snu, szybko włożył spodnie i koszulę i przeszedł przez wagony sypialne aż na koniec pociągu, na tylny pomost. Wiatr nadymał jego na wół tylko zapiętą koszulę, gdy zaciągał się głęboko ostrym powietrzem wschodniego Teksasu na progu jesieni. Stał tam teraz, przypominając sobie ich powrót z Francji. Nigdy, przez całe życie, nie zapomni widoku Mary na peronie, zdystansowanej nawet w tym tłumie, w niemodnym ubraniu, z napiętym wyrazem twarzy, ale Jezu, była taka piękna... jego Mary. „Już zaraz... już zaraz... już zaraz...” wystukiwały koła pociągu, a on wierzył w obietnicę zawartą w ich rytmie.

Tak, na Boga, już zaraz, niedługo, jest prawie w domu, prawie z powrotem w ramionach Mary, których nigdy nie powinien był opuścić. Odszedł zły i zraniony, zdecydowany o niej zapomnieć. Nigdy nie grał drugich skrzypiec i na pewno nie zagra na nich ze swoją żoną i jej uczuciami. Będzie pierwszy albo wcale.

Chłód kanadyjskich gór wypalił jego arogancję. Osamotnienie wypłukało go z dumy. Leżąc wieczorami w obozie, przysłuchując się mężczyznom raczącym się nawzajem opowieściami o kobietach, wyczuwając pod przechwałkami tęsknotę, gorycz i samotność, poczuł lodowaty wiatr penetrujący głęboko tę część jego jestestwa, którą potrafiła rozgrzać tylko Mary. W ciągu dnia, kiedy piłował, rąbał i wspinał się na drzewa, sięgające niemal chmur, czuł, jak coraz bardziej jej potrzebuje, bardziej od wszystkiego innego, bardziej niż powietrza, wody i jedzenia.

Pod koniec drugiego miesiąca nie mógł już tego wytrzymać. Miał prawie dwadzieścia sześć lat. Marzył o założeniu rodziny, o żonie i dzieciach... o Mary. Chciał mieć ją bardzo blisko siebie w łóżku, na wyciągnięcie ręki przy stole, w fotelu obok codziennie wieczorem. Może się nauczyć grać drugie skrzypce. Najważniejsze, żeby byli w jednym zespole.

Wszedł z powrotem do wagonu. Za jakieś piętnaście minut pociąg zatrzyma się w Howbutker. Po raz kolejny z zadowoleniem pomyślał, że nie uprzedził rodziców – w ten sposób najpierw będzie mógł zobaczyć się z Mary. Dziś mama grała w klubie w brydża, a tata na pewno siedzi w biurze. Weźmie więc taksówkę i spokojnie podjedzie do domu po swój samochód. Jeśli nie znajdzie Mary w domu, uda się wprost na plantację, a potem spotka się z rodziną i powiadomi ich, że się oświadczył.

W korytarzu spotkał młodego Murzyna, bagażowego, który pochodził z Howbutker i dobrze go znał.

– O, pan Percy, nie było dziś pana na śniadaniu. Życzy pan sobie, to przyniosę coś na jednej nodze.

– Nie, dziękuję, Titus. Zaraz będziemy na miejscu, a ja wiem, gdzie zjeść najlepsze śniadanie na tym brzegu Sabine.

– A gdzie to jest, proszę pana?

– Przy stole Sassie w Howbutker.

Titus pokiwał głową.

– A, rozumiem, rezydencja pani Mary Toliver. Czy raczej już teraz pani DuMontowej

– i uśmiechnął się zadowolony, że zna aktualne nowiny, a światło zawieszonych w pociągu lamp odbiło się od jego wyszczerzonych białych zębów.

Nagły skok ciśnienia spowodował, że Percy musiał szukać oparcia w poręczy za sobą.

– Przepraszam, Titus, co powiedziałeś?

– No tak. Pan właśnie dziś wraca, a oni wyjeżdżają, ale myślałem, że pan Percy słyszał o ślubie. Choć był mały i cichy. Pan Ollie ożenił się z panią Mary dosyć nagle, bo on za chwilę wyjeżdża do Paryża. Wysłała go papa w jakiejś sprawie związanej ze sklepem. Chcą połączyć interes i przyjemność.

Percy był totalnie ogłuszony, jak kiedyś w okopach, gdy w pobliżu wylądował pocisk moździerzowy. Przez kilka paraliżujących chwil, kiedy ciemniało mu przed oczami, widział poruszające się usta Titusa, ale nie słyszał ani słowa.

– Panie Percy, wszystko dobrze? – dopytywał się Titus, machając ręką przed zastygłymi oczami młodzieńca.

Kiedy poruszył w końcu ustami, miał wrażenie, że są z drewna.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Jak to, z gazety. Było nawet zdjęcie. Pani Mary w białej sukni, a pan Ollie jak zawsze w eleganckim garniturze. Panie Percy, niech mi pan wybaczy, że to mówię, ale nie wygląda pan za dobrze. Może jednak przynieść śniadanie?

– Nie, nie, Titus. Jak wyglądali? Na tym zdjęciu?

– No, pan Ollie, wyglądał jak... jak pan młody. Ma tylko jedną nogę, ale to mu nie przeszkadza patrzeć na panią Mary tak, jak tylko mężczyzna... – przerwał zawstydzony, lekko blednąc. – To znaczy... chciałem powiedzieć...

– Rozumiem. Mów dalej. A pani Mary?

– No, pani Mary, ona nie wyglądała tak wesoło. Zresztą kobiety tak zwykle mają, gdy wychodzą za mąż... – bagażowy znów wyglądał na zażenowanego. – To znaczy, chyba przez te wszystkie przygotowania do wesela i pakowanie na długą podróż. To musi być męczące...

– Titus zrobił pauzę. – Panie Percy, chyba przydałaby się panu mocna kawa. Zaraz wracam.

Percy całym ciężarem oparł się o ścianę wagonu. To niemożliwe. To mu się śniło. Mary nie mogła – nie wyszłaby za nikogo innego. Przecież oni do siebie należeli. Stanowili jedność. Titus coś pomylił. Nie puszczał poręczy, dopóki nie doszedł do swojego przedziału. Wciąż oszołomiony, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał, usiadł i siedział tak, aż zapukał bagażowy. Podniósł się ciężko i wszedł do toalety, potem zapiął koszulę.

– Proszę – zawołał spokojnym głosem. Nie rozpoznawał się w lustrze. Usta miał cienkie i blade. W ciągu pięciu minut przybyło mu dziesięć lat. – Zostaw kawę, Titus. Napiwki są na nocnej szafce.

– Pozwolę sobie wziąć dziesięć centów, proszę pana. Witamy w domu.

Ktoś się musiał pomylić, powtarzał sobie. Ale jego umysł kazał mu zrozumieć to, czego nie mogło pojąć serce. Nie było żadnej pomyłki. Mary wyszła za Olliego, żeby ratować Somerset, kiedy on odmówił jej podpisania kredytu, i na domiar złego, by przypieczętować swoją głupotę, bez słowa uciekł do Kanady. Ale jak ona mogła mu to zrobić – jak mogła zrobić to im obojgu – wyjść za jego najlepszego przyjaciela, człowieka, którego nie kochała i nigdy nie pokocha tak jak jego... i tak, jak Ollie na to zasługiwał?

Walnął pięścią w ścianę obok lustra, a potem padł na łóżko, by ukoić jakoś ból. Ogrom

jego gniewu na siebie i na nią całkowicie go przytłoczył. Leżał z głową w dłoniach. Na stoliku stała zimna już, nietknięta kawa.

Jeszcze zanim pociąg na dobre się zatrzymał, Percy wyskoczył z wagonu i zawołał na Isaaca, jednego z dwóch taksówkarzy w Howbutker.

– Do domu Toliverów na Houston Avenue – powiedział, wrzucając swój bagaż do powozu, a sam usiadł obok woźnicy, chcąc by październikowy wiatr trochę go otrzeźwił. Gdy tylko Isaac zatrzymał konia przed schodami Toliverów, Percy zeskoczył. – Poczekaj tu na mnie – rozkazał i rzucił się do drzwi.

Jak opętany ciągnął za sznurek dzwonka. Otworzyła mu Sassie.

– Lepiej niech pan wejdzie – powiedziała, widząc wyraz jego twarzy, a jej spuszczone kąciki ust potwierdzały rewelacje Titusa.

– A więc to prawda?

– Ślub był wczoraj, a wyjechali pociągiem dziś, o piątej rano. Wszystko było tak szybko, z powodu pana Olliego, bo musiał jechać do Paryża na jakiś pokaz, przynajmniej tak mówi panienska Mary.

– Co masz na myśli, że „tak mówi panienska Mary”?

Stojąc z rękami założonymi na kwiecistym fartuchu Sassie wzruszyła ramionami.

– Że tak mówi i już. Pan Ollie, on ją kocha. Niech choć i to będzie dla pana Percy’ego pociechą.

W jego głosie zabrzmiał cały żal, jaki w tej chwili czuł.

– Sassie, dlaczego ona to zrobiła? – zaszlochał.

Sassie objęła go, kładąc jego głowę na swoim ramieniu i głaszcząc ją delikatnie.

– Wyglądała pana Percy’ego całymi dniami, marniała w oczach z tej zgrzyoty. W końcu się od tego rozchorowała. Myślała, że już nigdy pan nie wróci. Pan Ollie jej pomógł z Somerset i chyba uznała, że musi mu jakoś się odplacić. Skoro nie miała już wydawać się za pana, to za kogóż by innego?

Percy szlochał w jej ramię.

– Sassie, co ja narobiłem?

– Obojeście młodzi, oto co, obojeście, i pan, i panienska Mary narobili. Miłość to nie sprawa dla młokosów. Tylko starsi mają tyle rozumu, żeby dobrze ją traktować. Przyniosłabym jakąś butelczynę, ale jak raz nic w domu nie ma.

Percy się wyprostował, wyciągnął chusteczkę i wytarł twarz.

– Nie szkodzi – powiedział. – Z łatwością załatwię jakąś butelkę.

Kiedy wrócił do dorożki, zapytał:

– Isaac, ile chcesz za tę butelkę dżinu, która trzymasz pod siedzeniem?

– Dwa dolce, bo zostało tylko pół.

– Dostaniesz kolejne pięć, jak po drodze skombinujesz jeszcze jedną.

Isaac machnął lejcami nad zadem swojej szarej klaczy.

– Myślę, że da się załatwić, proszę pana.

Pół godziny później Percy znalazł się przed swoją chatą w lesie. Wyciągnął banknoty dziesięcio- i pięciodolarowy i podał je taksówkarzowi.

– Isaac, daj mi dwadzieścia cztery godziny, zanim komukolwiek powiesz o moim powrocie czy miejscu pobytu. Potem zadzwoń do rodziców i powiedz, żeby po mnie przyjechali.

– Cokolwiek pan sobie życzy, proszę pana.

Przyjechała po niego tylko Beatrice. Kiedy zadzwonił Isaac, jej mąż był w pracy. Percy później usłyszał historię o tym, jak jego matka, która nigdy nie prowadziła samochodu, kazała przygotować czterokołowy powóz, wzięła kilka rzeczy ze spiżarni, a potem udała się do jego

pokoju, by spakować do walizki parę ubrań. Założyła kapelusz, rękawiczki i bez informowania gospodyni, dokąd się wybiera, poprowadziła parę pięknych gniadoszy do leśnej chaty chłopców.

Jej syn nie spał, leżał na sofie z poszarzałą twarzą i oczami utkwionymi w suficie. Wpadające przez otwarte drzwi promienie słoneczne oświetliły jego jasny, jednodniowy zarost i leżące na podłodze dwie puste butelki po pędzonym nielegalnie dżinie. Wyczuła zapach taniego alkoholu i wymiotów, które zauważyła na jego koszuli, zupełnie świeże.

Beatrice nie zamknęła drzwi, otworzyła też okna i rozpałała ogień w bezdymnym piecu. Rozebrała syna z jego zabrudzonych ubrań i wyprowadziła go pod prysznic przy jeziorze. Pompowała wodę, a on się mył, drżąc z zimna. Wytarł się ręcznikiem i opatulił puchową kołdrą, którą mu zostawiła, a potem wrócił, by zjeść przy stole talerz domowej zupy i wypić filiżankę świeżo parzonej kawy. Wtedy dopiero porozmawiali.

– Kocham ją, mam, a ona kocha mnie.

– Widać bardziej kocha Somerset, a ty swoją dumę.

– Mam gdzieś moją dumę. Nie jest warta ceny, jaką trzeba za nią zapłacić.

– A jednak trudno byłoby mężczyźnie żyć z kobietą, która nazwisko swojej rodziny i jej interesy przedkłada ponad nazwisko męża. Może na początku, owszem, ale z czasem... gdy minęłaby namiętność...

– Umiałbym żyć z jej obsesją, a nasza namiętność nigdy by nie minęła.

Beatrice westchnęła i nie spierała się już z nim. Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, że też jest o tym przekonana.

– Pewnie całe miasto wie, dlaczego Mary wyszła za Olliego? – w jego głosie dźwięczała nadzieja, że jest inaczej.

Beatrice sprzątnęła miskę.

– Tak, synu, całe miasto nie ma wątpliwości, że wyszła za niego, by ratować Somerset.

– A co ty myślisz?

– Niemądrze zrobiłeś, zostawiając Mary. Ona cię potrzebowała. Kiedy myślała, że odszedłeś na zawsze, do kogo miała zwrócić się o pomoc, jak nie do Olliego? Była sama. Ollie był blisko...

Percy złapał się za głowę.

– O Boże, mam. Co ja teraz zrobię?

Położyła rękę na jego złotej głowie, jak kapłan przed błogosławieństwem.

– Będziesz kochać ich oboje tak jak dotąd, Percy, ale traktować jak jedno. To będzie twój prezent dla nich. Kiedy wrócą, poproszą cię o wybaczenie, a ty musisz im je dać szczerze i z miłością, jak białą różę. I musisz przebaczyć także sobie.

– Ale jak? – pytał Percy, podnosząc zapłakaną twarz.

Beatrice pochyliła się i delikatnie osuszyła łzy syna.

– Pamiętając, że jeśli nie można czegoś zmienić, należy się z tym pogodzić, a godząc się z tym – szczególnie jeśli będą razem szczęśliwi – odnajdziesz łaskę, by wybaczyć sobie.

Pocieszony słowami matki, Percy wypił jeszcze filiżankę kawy, wysprzątał chatę, włożył świeże ubranie i zabrał matkę do domu. Tego samego dnia po południu ogolony i w nienagannym garniturze, zaskoczył ojca w biurze ich rodzinnej firmy.

Jeremy okazał szaloną radość na jego widok. Duma z syna była widoczna w jego uścisku dłoni i błyszczących oczach. Percy pomyślnie przeszedł chrzest bojowy, co wyraźnie widział w jego zachowaniu, gdy zrobili obchód fabryki, by przywitać się z pracownikami. Zahartowany na wojnie, sprawdzony w terenie, wzmocniony przez poniesioną stratę stał się w pełni mężczyzną. Jego ojciec był tego pewien, gdy Percy kładł na biurku plik sprawozdań.

– Kiedy je przeczytasz – powiedział tonem człowieka, dla którego liczą się tylko interesy

– zgodzisz się ze mną, że już najwyższy czas rozszerzyć nasze działania w Kanadzie.

Rozdział trzydziesty czwarty

W listopadzie dowiedział się, że Mary jest w ciąży. Abel DuMont, zawsze dystyngowany i opanowany, podczas kolacji wbiegł wielkimi susami po schodach Warwick Hall, wcisnął guzik dzwonka i nie puścił go, dopóki mu ich nie otworzono, by w końcu wykrzyknąć w twarz zaskoczonej pokojówce, że zostanie dziadkiem. Możecie to sobie wyobrazić! Dziadkiem!

Z tej okazji następnego wieczoru zorganizował małą uroczystość, częstował cygarami i szampanem. Percy zniósł jakoś to przyjęcie, ale wdzięczny był matce za wymyślenie jakiejś wymówki, która pozwoliła mu wcześniej wyjść.

Za kilka dni kończył dwadzieścia sześć lat. Nie chciał przyjęcia i cały ten dzień oglądał nowe miejsca do zalesienia. Wspaniała jesień, którą zazwyczaj cieszył się wschodni Teksas, tym razem rozplynęła się w deszczu, który padał przez cały grudzień i tylko wzmocnił jego poczucie nieodwracalnej straty.

– Powinieneś więcej wychodzić, prowadzić jakieś życie towarzyskie – radziła mu matka.
– Zbyt dużo pracujesz.

– A niby z kim mam je prowadzić? W Howbutker nie ma zbyt wielu młodych, samotnych kobiet.

Rzucił tę uwagę, by rozproszyć jej obawy, że nie pragnie żadnej innej kobiety prócz Mary i że ona zniszczyła w nim na zawsze zaufanie do płci pięknej. Wcale się tak bardzo nie myliła. Od czasów gdy był nastolatkiem, kiedy to młoda i miła wdowa po dyrektorze chóru wprowadziła go w świat cielesnych uciech, akt seksualny był dla niego wyrażeniem swojej sympatii dla drugiej osoby. Dopiero z Mary poznał, czym powinien być stosunek z kobietą, ostatecznym posiadaniem i oddaniem się mężczyzny i kobiety połączonych wzajemną miłością. Po Mary jak mógłby nawet spojrzeć na inną kobietę?

Mary zachwiała więc jego wiarą w kobiety w ogóle. Gotów był przyznać, że sam ponosi dużą część winy za okoliczności, w jakich się znalazł, ale patrząc z perspektywy czasu, taką samą część winy przypisywał Mary. Jak mogła poślubić innego, jeśli on był jej tak bliski, jak mu się wydawało? Więc jednak Somerset okazała się ważniejsza. A skoro nie mógł wierzyć w tę miłość, którą wyznała mu Mary, jak mógłby kiedykolwiek uwierzyć przyrzeczeniom innej kobiety?

W okresie świąt Bożego Narodzenia, by uspokoić matkę, przyjął zaproszenia do Houston, Dallas i Fort Worth od córek debutantek baronów naftowych i znaczących hodowców bydła, ale do Howbutker wrócił jeszcze bardziej niż wcześniej zniechęcony do damskiego towarzystwa. Na miejscu, w swoim kręgu towarzyskim był jedynym niezonatym mężczyzną i kiedy samotnie brał udział w kolacjach, piknikach i przyjęciach organizowanych przez znajome małżeństwa, wychodził z nich zwykle osamotniony, przygnębiony. Pragnął katharsis, oczyszczającej siły, który obmyje go z żalu, goryczy i nienawiści do samego siebie, tak żeby znów mógł poczuć słońce w swojej duszy.

A potem, w kwietniu, kiedy Mary i Olliego nie było już prawie siedem miesięcy, a mieli wrócić dopiero za kolejne pięć, na ferie wielkanocne przyjechała Lucy Gentry.

– Nie miałam wyboru, musiałam ją zaprosić – mówiła Beatrice, zapowiadając jej przyjazd przy śniadaniu. Nerwowo bębniła palcami po świeżo wykrochmalonym obrusie. – Jak mogłam odmówić? Dziewczyna praktycznie błagała nas w swoim liście, żeby ją przyjąć, gdy szkoła pustoszeje na święta. Twierdzi, że jej ojca nie stać na opłacenie podróży do Atlanty i będzie jedynym członkiem personelu, który zostanie na miejscu.

Jej mąż i syn znad swoich gazet spojrzeli na ten wybuch złości u szczytu stołu.

– Brzmi nieciekawie – skomentował Percy.

- Okropnie – zgodził się Jeremy.
- To podstęp – zdenerwowała się jeszcze bardziej Beatrice. – Widoczny gołym okiem.
- To znaczy? – pytał Jeremy.

Ze swojego końca stołu żona zgromiła go wzrokiem.

– Dobrze wiesz, co to znaczy, Jeremy. Ta dziewczucha, w dodatku zachęcana przez swego okropnego ojca, ciągle ma oko na Percy'ego.

– No to co, niech sobie patrzy – i niewzruszony zerknął na potomka. – Prawda, synu?

Percy się uśmiechnął.

– Myślę, że nic mi nie grozi ze strony Lucy Gentry. Nie martw się, mamó. Potrafię o siebie zadbać.

Zaciśnięte usta Beatrice wyrażały wątpliwości, gdy smarowała swoją grzanekę masłem.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli się mylicie – powiedziała.

W dniu przyjazdu Lucy Percy zaspał i o mały włos nie zdążyłby na stację. Poprzedniego dnia był w Houston, negocjując kontrakt z dyrektorami kolei Southern Pacific Railroad i wrócił dopiero nad ranem. Gdy zbiegł na dół, w kuchni zobaczył matkę. Stała tyłem do niego i omawiała z kucharką wielkanocny obiad, a on zatrzymał się i nie zwracając na siebie uwagi, obserwował ją przez chwilę. Od kiedy ma te siwe nitki we włosach, zastanawiał się zdziwiony. A ten lekki garb? Przerażony uświadomił sobie, że rodzice się starzeją, że ich słońca zaczynają powoli zachodzić. Bez słowa, wzruszony podszedł do niej i od tyłu objął jej pulchną talię.

– Och, synku! – obróciła się w jego objęciach, zaskoczona, aż dostrzegła coś w jego wzroku, co kazało jej dotknąć delikatnie jego twarzy. – Lucy przyjeżdża lada chwila – powiedziała ze zrozumieniem w oczach.

Pocałował ją w czoło.

– Jadę już. Tata dzwonił?

– Powiedział tylko, że mam cię nie budzić. Dzisiejszy dzień możesz odrobić w piątek.

Przypłynął statek z drewnem i tata chce, byś sprawdził dostawę, bo kierownik ma dziś wolne, żeby spędził trochę czasu z rodziną. To dobra wymówka, by wyjść z domu. My z tatą zajmiemy się Lucy. A w sobotę po południu zabierzemy ją na przyjęcie w ogrodzie Kendricków.

W niedzielę po obiedzie wyjeżdża.

Gdy parkował samochód, wszyscy pasażerowie zdążyli już wysiąść z pociągu. Lucy, stojąc na peronie, dostrzegła go w chwili, gdy wyłonił się zza zakrętu. Jej twarz rozjaśniła się radością tak czystą i niepomądaną, że aż się głośno roześmiała.

– Jesteś w końcu, Percy Warwicku – zawołała. – Myślałam, że o mnie zapomniałeś.

– To niemożliwe – uśmiechnął się do jej naiwnych, niebieskich oczu. – Zmieniłaś fryzurę.

– I skróciłam sukienki – wyprostowana obróciła się przed nim sztywno wokół własnej osi, unosząc płaszcz by mógł zobaczyć, że sukienka sięga jej do kolan. – I co o tym myślisz?

– Myślę, że mi się podoba.

– To najnowsza moda.

– Tak też zapewnia nas Abel DuMont.

Teraz ją sobie przypomniał. Niska, z dorodnym biustem, buzią okrągłą jak u lalki, i zbzikowana na jego punkcie. Widział ją zaledwie nieco ponad rok temu, a już zupełnie wyparowała mu z pamięci, jak mgła w promieniach słońca. Sięgnął po jej dwie walizki, ale Lucy ubiegła go, szybko podnosząc jedną z nich, po czym wsunęła rękę pod jego ramię z poufałością dobrej znajomej. Sięgała mu zaledwie do barku i zabawne wydało mu się patrzeć z góry na jej brązowe włosy i szybki krok jej miniaturowych stópek, które musiały przedziutko nadrabiać jego długi krok, gdy szli do samochodu.

Tego wieczoru nastrój, który w ostatnim czasie opanował Warwick Hall, rozproszył

wesoły śmiech. Lucy raczyła ich przezabawnymi opowieściami o swoich uczniach i perypetiach szkolnych, przewracając oczami i wymachując małymi dłońmi z charakterystycznymi dołeczkami, tak że nawet Beatrice była oczarowana. Na zaproszenie Percy'ego pojechała z nim w piątek do składu drzewnego i dzięki temu, że wyczytywała liczby na formularzu, o połowę skróciła czas sprawdzania dostawy drewna. W sobotę to on odwiózł Lucy do Kendricków i zabrał od nich wcześniej, by zaprosić ją na kolację u jednego z dobrych znajomych.

– Myślałam, że będziesz już żonaty – powiedziała tego wieczora. – Co się stało z tą dziewczyną, którą kochałeś całe jej życie?

– Wyszła za innego.

– Wolą innego mężczyznę?!

– Więcej jej zaoferował.

– Nie wierzę w to!

– Uwierz.

– Gdzie jest teraz?

– Mąż zabrał ją daleko stąd.

– Było ci smutno, że poślubiła kogoś innego?

– Oczywiście, ale to już stare dzieje.

Kiedy odprowadzał ją w niedzielę na dworzec, zrobiło mu się przykro, że wyjeżdża. W ciągu tych paru dni spędzonych razem zauważył, że cechy, których Mary nie lubiła w Lucy, jemu wydały się miłą odmianą. Nazywała rzeczy po imieniu, a w imię konwenansów nie zamierzała tolerować ani pretensjonalności, ani pompatyczności, ani pedanterii – z Mary by to nie przeszło. Jako urodzony słuchacz cieszył się, że Lucy jest gadułą i w każdej sprawie ma wyrobione zdanie, co doprowadzało Mary do szaleństwa w Bellington Hall.

I chociaż jej twarz pewnie nie mogłaby „doprowadzić do drugiej wojny trojańskiej”, jak bezlitośnie zauważyła Beatrice, zaprzeczając tym samym peanom jej ojca na temat wyglądu córki jeszcze przed jej pierwszą wizytą, Percy podziwiał jej trudne do przewidzenia, żywiołowe reakcje – sposób, w jaki rozjaśniały się jej oczy, jak potnie kręciła małym noskiem i słodko zaokrągląła usta w nieustannych ochach zdumienia i zadowolenia.

Oczarowały go jej sylwetka i rozmiar, absurdalna krągłość jej rąk i nóg, delikatne i drobne nadgarstki, łokcie i kolana. Intrygowały go jej uszy. Były różowe i precyzyjnie zbudowane, ale odstawały od głowy jak uchwyty garnka, choć płatki nie były większe niż opuszka elfa. Na pewno nie była smukła, ale miała wąską talię, którą z przyjemnością obejmował, by ją podnieść lub pomóc, gdy niski wzrost okazywał się przeszkodą.

Tego popołudnia, kiedy już się żegnali, po raz pierwszy ją pocałował. Właściwie miał zamiar po bratersku cmoknąć ją w policzek, pogłaskać po brodzie i życzyć wszystkiego najlepszego, ale kiedy podniosła na niego te swoje niebieskie oczy pełne głębokiego uwielbienia dla niego, objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Jej usta były miękkie, ciepłe, oddane. Puścił ją bardzo niechętnie.

Po czym, ku swojemu zdziwieniu, zaproponował:

– Co byś powiedziała, gdybym przyjechał w odwiedziny do Belton w przyszły weekend?

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Percy! Naprawdę?

– Naprawdę – odparł, śmiejąc się.

I tak się to zaczęło.

Matka cały czas niespokojnie krążyła w tle.

– Nie martw się, mamó – uspokajał ją. – Te wizyty to tylko rozrywka.

– Lucy na pewno ich tak nie traktuje.

– Niczego nie obiecywałem.

– To bez znaczenia. Ta dziewczyna usłyszy jedną nutę piosenki i już bierze ją za symfonię.

Lucy nie wypełniała mu myśli, każdej minuty życia, tak jak Mary. Wręcz przeciwnie, czasami nie pomyślał o niej ani razu przez wiele dni, ale była osobą, z którą na życzenie mógł spędzić każdy weekend, która go rozśmieszała, łechtala jego ego i która szczerze się o niego troszczyła, nie oczekując odwzajemnienia swoich uczuć.

Wciąż go zaskakiwała. Spodziewał się, że jego fortuna zrobi na niej wrażenie, ale okazało się, że poza zaspokojeniem podstawowych potrzeb, Lucy nie interesują pieniądze, a najmniej jego pieniądze. Sprawiały jej przyjemność rzeczy proste, które nie wiązały się z żadnymi kosztami. Wolala wiosenną przejażdżkę bryczką po lesie niż splendor przyjazdu nowym cadillakiem na wykwintne przyjęcie w Houston, wolala pójść na jeżyny niż przetańczyć całą noc w klubie, piknik nad jeziorem od eleganckiego obiadu w luksusowym hotelu.

I to właśnie podczas jednej z takich prostych wycieczek Percy nadał swojemu życiu ostateczny kierunek.

Rozłożyli koc i wiktuały na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na jezioro, jakich wiele w okolicy Belton. Przyjechał na weekend i zatrzymał się, już jako stały klient, w tym samym pensjonacie co zwykle. Był czerwiec, we wschodnim Teksasie robiło się już gorąco. Percy rozluźnił krawat, myśląc, że nie znosi jedzenia w plenerze przy tak wysokiej temperaturze i wilgotności. Na szczęście dzień był pochmurny, ale gdy Lucy zaczęła rozpakowywać koszyk, chmury się przesunęły i dosięgły ich promienie słońca.

– Cholera! – zaklął. – Słońce wychodzi.

– Nie przejmuj się – pocieszała go, jak zawsze niewzruszona – Zerka tylko, by zobaczyć, co mamy na lunch. Za chwilę się schowa.

I rzeczywiście, po krótkiej inspekcji słońce znikło z powrotem za chmurami i zostało tam już cały dzień. Rozbawiony Percy położył się i patrzył, jak Lucy przygotowuje piknik, kolejny raz pod wrażeniem jej oryginalnego spojrzenia na świat. Rok szkolny dobiegał końca, a Lucy zastanawiała się na przyjęciem posady w Bellington Hall w Atlancie.

Patrzył, jak pracowicie wypełnia jego talerz kanapkami, krojąc dodatkowo wielki kawał czekoladowego ciasta, które upiekła specjalnie dla niego, i słodząc jego mrożoną herbatę tak, jak lubił.

– Lucy? – powiedział. – Wyjdiesz za mnie?

Rozdział trzydziesty piąty

Pobrali się pierwszego lipca, zaś miesiąc miodowy, trwający dwa tygodnie, spędzili na Karaibach. Wrócili, by zdążyć przed corocznym wyjazdem rodziców Percy'ego do Maine, bo w tym okresie Percy zarządzał firmą. Do ich powrotu z dwumiesięcznego odpoczynku od upałów, małżeństwo Percy'ego zaczęło tonąć w trzęsawisku jego niespodziewanej apatii seksualnej.

– Nie mogę w to uwierzyć! – krzyczała Lucy. – Wielkiemu Percy'emu Warwickowi nie staje! Kto by pomyślał! To Ollie z jedną nogą ma więcej ognia pod swoim kominem niż ty miałeś kiedykolwiek.

– Lucy, proszę cię, ciszej. Usłyszysz cię – błagał Percy, raz jeszcze zadziwiony jej znajomością takiego języka. Kolejny raz pożałował, że przyjął ofertę rodziców, by do czasu wybudowania własnego domu zamieszkali w osobnym skrzydle Warwick Hall.

I kolejny raz złapał się na tym, że nie może uwierzyć, iż ożenił się z Lucy.

– Byłeś słaby i bezbronny – tłumaczyła mu matka, mając w oczach taką samą rozpacz jak Percy. – Widziałam to, ale nie umiałam cię przed tym ochronić. Coś jednak przecież musiało spowodować tę drastyczną odmianę uczuć Lucy do ciebie. Zawsze tak bezgranicznie cię podziwiała. Czy dowiedziała się o tobie i Mary?

Było to tak samo dobre wytłumaczenie jak każde inne. Percy odwrócił głowę, by matka nie wyczytała z jego twarzy kłamstwa.

– Tak.

Ale prawdziwą przyczyną był fakt, że Lucy zupełnie przestała na niego działać. Percy, jak to on, nigdy nie angażował się w seks z kobietami, których nie lubił lub nie szanował, a nie miał już żadnego z tych uczuć dla Lucy, ani w ich małżeńskim łożu, ani poza nim.

Początkowo nic nie zapowiadało takiego obrotu spraw. W dniu ich ślubu, gdy opuszczali kościół i udawali się na statek, nie mieli żadnego powodu nie wierzyć, że słońce jasno oświetli ich wspólną przyszłość, a szczególnie fizyczne przyjemności małżeństwa, na które z niecierpliwością czekali. Cudowny wygląd Lucy tego dnia rozwiałby wątpliwości każdego mężczyzny zastanawiającego się, czy nie popełnia błędu, żeniąc się z kobietą, której nie jest jeszcze gotów powiedzieć, że ją kocha.

Ale jego zapał zaczął słabnąć już od początku rejsu. Lucy, upojona szampanem i swoim pierwszym razem w kajucie, wprawiła wszystkich w osłupienie, gdy przy stole kapitańskim zwróciła się do matrony w perłach, żony bohatera odznaczonego Orderem Imperium Brytyjskiego, tymi słowami:

– Nie ma co grzebać w tej krewetce, Lady Carr. One przy złowieniu zasrywają się ze strachu, nic w nich nie zostaje.

Pod koniec podróży miała powody, by pytać, gdy nagle wyzwał się pomiędzy jej mocno zaciśniętych nóg:

– Co się stało? Co było nie tak?

Cóż miał na to odpowiedzieć? Że w ciągu dwóch tygodni poczuł rozpaczliwą awersję do kobiety, którą poślubił? Jej ochota, by się parzyć przy każdej zmianie ubrania, brak wrażliwości dla jego uczuć, brak zainteresowania sprawami kulturalnymi czy intelektualnymi – to wszystko go obrażało. Czuł teraz wstyd, gdy uzmysłowił sobie, co go w niej pociągało – soczysty język, śmiałe lekceważenie konwencji i nieostrożne opinie wyrzucane z ust na osłep jak pociski, niezależnie od tego, kogo mogą zranić. Percy znał siebie. Mimo swoich wilczych apetytów był przyzwoitym człowiekiem o wysokiej kulturze osobistej i nieuchronnie musiał przenieść swój

niesmak do łóżka.

– Nic, Lucy. To ja. Jestem zmęczony – wymamrotał cicho.

– Czym, na miłość boską? Grą w ping-ponga? – jej niezadowolony ton wskazywał, że spodziewała się ciasta czekoladowego, a dostała kogel-mogel.

Matka próbowała go ostrzec.

– Ten dojrzały melon ma zbyt wiele pestek.

– To prawda, mamó – odpowiadał – ale im więcej pestek, tym słodszy owoc.

Jak mógł być tak ślepy... tak głupi, by pomyśleć, że będzie z nią szczęśliwy? Pozostało mu wierzyć, że to rozpacz z powodu nieodwracalnej utraty Mary kazała mu poślubić jej przeciwieństwo.

Ale za nic nie może pozwolić, by Lucy dowiedziała się, że to jej wina. Prawda byłaby gorsza od kłamstwa i był jej to kłamstwo winien. Wyszła za niego w dobrej wierze, myśląc, że akceptuje ją taką, jaka jest, a tymczasem on poślubił ją tylko po to, by nie zostać samemu, gdy wrócą Mary i Ollie.

– To nie twoja wina, Lucy, to ja – odpowiadał za każdym razem.

Przez pierwszy miesiąc po tym wyznaniu następowały łzy, potem lodowata cisza, aż kiedyś jednej nocy w ciemnościach usłyszał cichy głos:

– Percy, dlaczego ty mnie nie chcesz? Nie lubisz seksu?

Nie z tobą, pomyślał. Wiedział, że wystarczyło dać jej rozkosz cielesną, tak jak tego pragnęła, by zyskać w miarę znośną żonę, ale małżeński obowiązek czy nie, nie będzie używany jak jakiś ogier do zaspokajania jej żądz, gdy pozbawiony został wszystkich innych przyjemności, których oczekiwał od małżeńskiego życia.

– Ty... ty eunuchu! A miałeś być najlepszym ogierem, jaki kiedykolwiek pokrył klacz.. Samym spojrzeniem potrafiłeś rozgrzać dziewczynę tak, że sama podnosiła spódnicę...

– Boże, Lucy, twój język...

– Język?! – krzyknęła i kopnęła Percy'ego, który siedział na skraju łóżka. Spadł na podłogę, o milimetry zaledwie mijając głową ostry kant skrzyni posażnej Lucy. – To jest twoje główne zmartwienie w tej żalosalnej sytuacji? Mój język? – zaczęła wrzeszczeć. Odrzuciła koldrę i ze złością wyskoczyła z łóżka, podchodząc do Percy'ego, który wciąż oszołomiony siedział na podłodze z rozłożonymi nogami i niechronioną niczym męskością. – A co z moją dumą, moimi uczuciami, potrzebami, z tym, co mi się należy, co? Co z nimi, Percy? – pochyliła się, sięgając po niego małymi palcami, które zakrzywiła jak szpony.

Percy gwałtownie się cofnął, w powietrzu odbijając jej rękę w bok z dala od celu, i szybko wstał. Użył całej swojej woli, by jej nie uderzyć, przypominając sobie, że to nie jej wina. Poślubił ją, wiedząc, że kocha ideał, nie mężczyznę. Praktycznie go nie znała i w ciągu tych kilku miesięcy ich małżeństwa nie zrobiła nic, by go poznać. Teraz też atakowała swój ideał, który ją oszukał, rozpadając się na kawałki u jej stóp.

Długo się nad tym wszystkim zastanawiał, dochodząc do wniosku, że musi zwrócić jej uwagę na mężczyznę. Ale po takich incydentach, sam już nie był pewien, czy warto.

Żeniąc się z Lucy, wierzył, że kiedyś ją pokocha, ale teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć tamtej dziewczyny, ani dlaczego tak mu się spodobała. Jej melodyjny śmiech umilkł, znikł też figlarny chochlik w oczach. Słodkie, różane usta były wciąż wykrzywione w najgorszy możliwy sposób. Winiąc wyłącznie siebie, ze smutkiem patrzył, jak dziewczyna, którą mógł pokochać, znika, zanim jeszcze zdążył się jej przyjrzeć.

Zapewnienia, że to nie jej wina, nie dawały Lucy pocieszenia ani nie budziły w niej współczucia.

– Och, cóż za łaskawość z twojej strony – drwiła. – Masz cholerną rację, że to nie moja

wina. Wina jest twoja, Percy. Twoja reputacja przez te wszystkie lata to było jedno wielkie kłamstwo. Założę się, że Mary już dawno temu to wyczuła. I dlatego nigdy nie zastawiła na ciebie sideł.

Pozostał całkowicie nieprzenikniony, gdy wspomniała o Mary. Dziwiło go, jak kiedykolwiek mógł pomyśleć, że jego żona lubi Mary, znając przecież ich historię w Bellington. Lucy nigdy na niej nie zależało. Wykorzystała ją, tak samo jak manipulowała jego matką, by być blisko niego. Ku jego zaskoczeniu Lucy nie zapytała o nazwisko dziewczyny, którą kochał i utracił – zapewne dlatego, że nie zniosłaby własnej zazdrości – ale zauważył jej świdrujący wzrok wędrujący od jednej kobiety do drugiej na spotkaniach towarzyskich, gdy zastanawiała się, której z nich udało się zdobyć jego serce. Boże, nie pozwól, by kiedykolwiek dowiedziała się, że to Mary. Powiedzenie „nie ma większej furii niż kobieta wzgardzona” to w przypadku Lucy niedopowiedzenie.

W połowie października, zmęczony jej codziennymi dąsami, a w nocy fizycznym i psychicznym znęcaniem się, postanowił zaproponować jej unieważnienie małżeństwa. Miał dość jej obsesji na punkcie seksu, jej sposobu wysławiania się, napadów złości i niechęci do jego matki, którą winiła za jego „stan”, jak to zaczęła nazywać. Odda jej wolność i będzie płacił koszty jej utrzymania do końca życia, jeśli tylko się na to zgodzi.

Ale zanim zdążył otworzyć usta, by wyłuszczyć całą sprawę, żona powiedziała:

– Percy, zaraz się nieźle uśmiejesz. Jestem w ciąży.

Rozdział trzydziesty szósty

Beatrice położyła na kolanach telegram Olliego i zdjęła okulary. Spojrzała na syna. Percy w drugiej części salonu nalewał im aperitify, którymi raczyli się zwykle przed wieczornym posiłkiem. Lucy rzadko uczestniczyła w tym rytuale. Czasami nawet nie schodziła na kolację.

– Jak miło ze strony Olliego, że powiadomił nas, kiedy wracają. Zostaniesz ojcem chrzestnym?

– Oczywiście – odparł Percy. – To dla mnie zaszczyt.

– Wiem, że cieszą się na powrót do domu – mówił Jeremy. – Abel już nie może się doczekać, kiedy weźmie wnuka na ręce. Będziemy musieli urządzić coś na ich powitanie, Beatrice, jakąś małą uroczystość?

Wszyscy zdawali sobie sprawę, w czym tkwi problem. Lucy. W swoim stanie była zmienna i nieprzewidywalna, nie mogli jej zaufać, że zachowa się odpowiednio na powitalnym przyjęciu wydanym na cześć DuMontów.

– Lucy zostawcie mnie – odpowiedziała Beatrice, uspokajając męża. – Będzie współpracowała.

Percy sączył szkocką. Jeśli ktokolwiek mógł przemówić Lucy do rozumu, to tylko matka, ale ostatnio i jej Lucy zaczynała już wierzgać. Niedomagania związane z wczesną ciążą w połączeniu z obrzydzeniem do niego doprowadzały ją do takich zachowań, jakie wcześniej uważał za niemożliwe. Obraziła kilku handlarzy, dała w ucho chłopcu, który rozwozi mleko, a doktora Tannera nazwała prosto w twarz szarlatanem. Kilka osób z wieloletniej służby odeszło, a spotkania towarzyskie zostały bardzo ograniczone ze względu na niepewność, czy Lucy zdolna będzie znieść tych głupców, których Warwickowie tolerują w swoim domu od lat. Percy był pewien, że jedynie zasady wpojone jej w Bellington Hall i podziw dla teściowej, a także gasnąca nadzieja na naprawienie ich małżeństwa powstrzymywała ją od pokazania, co jeszcze potrafi. Po powrocie Mary i Olliego może się rozpętać piekło.

Beatrice powiedziała jednak, że na razie wciąż był to dom Warwicków seniorów, a ona jego panią. Z pomocą Lucy czy bez niej wydadzą przyjęcie, by powitać DuMontów w domu.

Kiedy nadszedł ten dzień, Percy dostał nagłe wezwanie do składu drzewnego i nie było go, gdy zjawili się honorowi goście. Zostali zaproszeni wcześniej, przed całą resztą, więc kiedy stanął w drzwiach, siedzieli już salonie z jego rodzicami i Ablem. Obok Mary stało łóżeczko, które przywieźli ze sobą. Lucy nie zeszła, zauważył z ulgą. Najpierw spojrzał na Olliego, nie na gibką sylwetkę w kremowej sukni, która wstała wraz mężem, by go przywitać.

– Percy! Stary byku! – zawołał Ollie, szczerząc zęby od ucha do ucha i idąc do niego o kulach. Objęli się serdecznie, Percy omal się nie rozpląkał z radości, że znów ma Olliego w domu.

– Witaj, przyjacielu – powiedział. – Bardzo nam tu ciebie brakowało, możesz mi wierzyć.
– Po czym zwrócił się do Mary: – I ciebie również, Mary Lamb.

Wyglądała bardziej dojrzała, co dało się zauważyć głównie w jej oczach. Nigdy by nie uwierzył, że kobieta może być taka piękna. Pastelowy kolor sukienki nadawał skórze miodowy odcień i podkreślał czerń jej włosów, uczesanych w kok i spiętych opaską z cekinami z kości słoniowej.

Nie objęli się. Percy zastanawiał się, czy będzie unikała jego wzroku, ale spojrzała mu prosto w oczy z takim przejęciem, że niemal pękło mu serce. Podając mu rękę, powiedziała cicho:

– Tęskniliśmy za tobą, Percy. Cudownie znów być w domu.

Pochylił się, by pocałować ją w policzek, ten, którego nie widzieli pozostali, i zamknął oczy na krótką chwilę osobistej żaloby. Jej palce mocniej ścisnęły jego dłoń. On zrobił to samo i puścił ją. Odwracając się od niej z uśmiechem, powiedział:

– No dobrze, to teraz przyjrzyjmy się maluchowi.

I zajął do łóżeczka, a pozostali uczynili to samo.

– Piękny, prawda? – mówił Abel. – Może nie jestem obiektywny, ale nie sądzę, bym kiedykolwiek widział tak doskonale zbudowane dziecko.

– Nic się nie przejmuj i bądź nieobiektywny – powiedziała Beatrice. – Ja też będę, kiedy urodzi się nasze.

– Jest w porządku – wymamrotał Percy, patrząc na śpiące niemowlę.

W wyglądzie nie miało w sobie nic z Olliego. Był Toliverem, poczynając od wąskiej, eleganckiej stópki, a kończąc na koronie gęstych czarnych włosów na pięknie ukształtowanej główce. Percy wzruszył się tak, że ścisnęło go w gardle i pogłaskał małą rączkę. Niemowlak obudził się i natychmiast chwycił palec Percy'ego, patrząc na niego z błyskiem ciekawości w oku. Percy cofnął się nieco i roześmiał, rozkoszując się cudownym dotykiem miniaturowych paluszków.

– Ile ma ten mały tygrysek?

– Trzy miesiące – odpowiedzieli chórem rodzice, a Ollie dodał, poprawiając oparcia kul:

– I liczy na to, że ojciec chrzestny nauczy go grać w piłkę.

– Z największą przyjemnością – odparł Percy ciągle w niewoli małej rączki. – Jak ma na imię mój chrześniak?

– Matthew – odezwała się Mary z drugiej strony łóżeczka. – Matthew Toliver DuMont.

Spojrzał na nią.

– No tak – powiedział i natychmiast spuścił wzrok z powrotem na dziecko, niezdolny znieść widoku – i wspomnienia – jej urody. Patrzył, jak przez sen malutka buzia otwiera się w okrągłym, różowym ziewnięciu, szybko wciąga powietrze i zamyka się. Bardzo niechętnie wysunął palec z miękkiego uścisku i oddalił się od łóżeczka, by powitać przybyłych właśnie gości i żonę, która schodziła do nich po schodach.

W powłóczystej sukni o kolorze, który Abel doradził jako wspaniale podkreślający kolor jej oczu, Lucy była samym wdziękiem, gdy krążyła wśród towarzyskiej elity Howbutker. Zwracała się do Percy'ego „kochanie”, wsuwała rękę pod jego ramię i rzucała mu czarujące uśmiechy z drugiego końca salonu. Ale nie dał się nabrać. Doskonale rozumiał motywy, dla których jego żona prezentuje się jako wzorowa gospodyni. To było jej pierwsze duże przyjęcie w roli żony Percy'ego Warwicka i po prostu nie pozwoli, by ktokolwiek dziwił się, dlaczego to poślubił ją, a nie olśniewającą Mary Toliver. Może nie była piękna, ale miała w sobie o wiele więcej ciepła, łatwiej ją było rozbawić i zająć rozmową. Nikt nie czuł się przy niej onieśmielony. Owszem, krążyły plotki, że ma napady złego humoru i wysławia się niezbyt cenzuralnie, ale czy to nie normalne objawy ciąży?

Po krótkim spojrzeniu rzuconym do łóżeczka Matthew, Lucy zdawała się w ogóle nie zauważać dziecka.

– Cóż – zadeklarowała. – Chyba nie możesz się go wyprzeć, Mary, te czarne włosy, kształt czoła i w ogóle. A ten dołeczek w podbródku! Ollie, czy to dziecko ma w ogóle coś z ciebie?

Mary odpowiedziała za niego.

– Serce, mam nadzieję.

– Tak, chyba pozostaje nam nadzieja – stwierdziła Lucy.

Spojrzenia obu kobiet skrzyżowały się. Już wcześniej były współlokatorki przywitały się

z rezerwą. Żadnych uścisków ani pocałunków z okazji ponownego spotkania. Teraz maski przyjaźni zupełnie opadły. Milcząca wymiana spojrzeń sugerowała raczej wypowiedzenie swego rodzaju wojny.

– Mary, kochanie, może przeniesiemy łóżeczko do biblioteki i zostawimy tam małego?
– zaproponował spokojnie Ollie.

– Wspaniały pomysł – oceniła Lucy.

Tej nocy kiedy Percy wszedł do pokoju żony, by powiedzieć jej dobranoc, skomentowała przyjęcie ze swojego miejsca przy toalecie:

– Muszę przyznać, że Ollie wzorowo zdeptał swoją kurkę, choć jest taka długa i chuda, że pieprzenie jej musi przypominać wspinanie się na drzewo.

Percy zacisnął zęby.

– Mary ma metr siedemdziesiąt. Musisz się przy niej czuć jak karzełek – zauważył tonem, który przeczył jego chęci uderzenia jej w twarz.

Lucy prześwieciła go wzrokiem, niepewna, czy chciał ją obrazić, czy rzucił tylko neutralny komentarz.

– Widziałam, że bardzo ci się spodobał ten dzieciak.

– Ma na imię Matthew. I tak, to uroczy chłopczyk. Jeśli będę mieć syna, mam nadzieję, że zaprzyjaźnią się tak jak Ollie i ja.

– Jeszcze zobaczymy. Chciałabym, żebyś dla swojego nienarodzonego dziecka miał chociaż połowę tego zainteresowania, jakie okazałeś tamtemu.

– Atmosfera w domu nie sprzyja temu – zauważył sucho Percy.

– A myślisz, że po urodzeniu będzie lepiej? Równie dobrze mogę powiedzieć ci to teraz – nie będziesz miał zbyt wiele do powiedzenia w sprawie jego wychowania. Ono jest moje. A ty jesteś mi je winny.

– Lucy, dziecko jest nasze. Nie możesz wykorzystywać go jako młotka do walenia mnie po głowie.

Percy nie przejął się groźbą. Żona dobrze rozumiała, że nie powinna posuwać się za daleko. Wyrzuty sumienia kazały mu znosić jej obelgi, ale wszystko ma swoje granice. Jednak nie mógł jej winić, że zarzuca mu brak entuzjazmu w kwestii zbliżających się narodzin dziecka. Pomimo ich sytuacji małżeńskiej, sam dziwił się swojej apatii, rozmyślając czasem, czy Ollie też tak się czuł przed narodzinami syna. Musi go zapytać.

Młodzi państwo Warwickowie zajmowali teraz oddzielne sypialnie, jako przyczynę podając ciężę Lucy, która w tym stanie powinna spać w osobnym łóżku. Percy nie miał pojęcia, jaką wymówkę wymyśli później. Już miał wychodzić, gdy Lucy jeszcze powiedziała:

– Zastanów się, Percy. Dlaczego miałabym chcieć, żebyś to ty go wychowywał?

– A dlaczego nie? – zapytał z ciekawością, wracając do pokoju. – Jestem jego ojcem – podobnie jak Lucy myślał i mówił już o synu.

– Dlatego że... – zobaczył, że zdenerwowało ją jego rzeczowe podejście do tej sprawy, w niebieskich oczach zamigotał niebezpieczny ogień. Szybko zerwała się na nogi.

– Dlatego, że co, Lucy?

– Dlatego, że jesteś... jesteś...

– Jestem...? – ponaglał ją Percy.

– Jesteś... homoseksualistą!

Przez pierwsze kilka sekund Percy zamarł osłupiały, wpatrując się w swoją żonę. Zaraz potem zarechotał zdumiony.

– Lucy, naprawdę w to wierzysz?

Oparła ręce na biodrach.

- A nie jesteś?
- Nie.
- Robiłeś to już wcześniej?
- Tak – odrzekł, wciąż nie mogąc się uspokoić.
- Ile razy?

Nie chciał jej zranić, ale niech go diabli, jeśli pozwoli jej w to wierzyć i użyć jako broni, by zabrać mu dziecko.

– Wystarczy, by zapewnić cię, że nie musisz się martwić o mój zły wpływ na naszego syna.

- Nie wierzę ci. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

Powoli, odchylając głowę, by spod spuszczonej ręki móc obserwować jego reakcję, rozchyliła szlafrok, ukazując swoje nagie ciało. Niewielka wypukłość na brzuchu zdradzała, że niedługo pojawi się nowe życie. Objęła dłońmi nabrzmiałe piersi.

– Jak możesz im odmówić? Każdy mężczyzna, który na mnie spojrzał, chciał wziąć je w swoje ręce – zbliżała się do niego, przytrzymując obfite kształty. – Czy nie są piękne, Percy? Czyż to nie najponętniejsze rzeczy na świecie? Dlaczego mnie nie chcesz?

– Lucy, przestań – nakazał łagodnie, zasłaniając ją szlafrokiem. Owszem, chciał jej. Cięża okazała się dla niego bardzo pociągająca i najchętniej podniósłby ją teraz, zaniósł do łóżka, a potem wszedł w nią i dał im obojgu to ukojenie, którego tak potrzebowali. Ale trudno było przypuszczać, że seks będzie bardziej satysfakcjonujący niż wcześniej, a to tylko bardziej skomplikowałoby sytuację.

Lucy czuła, że się wycofuje i jej drobna, okrągła twarz stężała z gniewu i frustracji. Mocno owinęła się szlafrokiem.

– Ty draniu! Nie pozwolę ci się zbliżyć do mojego syna. On będzie mój, i tylko mój. Już ja się o to postaram. Żaden homo nie przyłoży ręki do wychowania mojego syna! Homo, homo, homo – kpila, gdy wychodził z pokoju, zamykając cicho drzwi i odgradzając się od jej bólu.

Rozdział trzydziesty siódmy

Stary rok się skończył, a nowy, 1922, przyniósł rozwój i ekspansję przedsiębiorstw zarządzanych przez triumwirat Howbutker. Pod nieobecność Mary Hoagy Carter zarządzał plantacją z niespodziewanym powodzeniem i wypracował zysk, który pozwolił jej nie tylko spłacić kredyt Bankowi Stanowemu, ale zainwestować też w nowy system nawadniający. Warwickowie przejęli kilka firm związanych z przemysłem drzewnym i zmienili nazwę na Warwick Industries, natomiast Ollie DuMont otworzył drugi dom towarowy, w Houston.

Kiedy zbliżała się już wiosna, Lucy zaokrągliła się do niesamowitych rozmiarów. Toczyła się raczej niż chodziła, a jej gładka skóra wciąż błyszczała od potu, bo panowały niespotykane jak na tę porę roku upały. Ponieważ ze względu na swoją wagę i wygodę nie wychodziła z domu, w ostatnich tygodniach ciąży zbliżyła się bardziej do Beatrice. Kilka razy Percy zastał obydwie kobiety siedzące razem jak dwie przyjaciółki – szyły dziecięce ubranka i rozmawiały przyciszonymi głosami.

– Smutek bierze, gdy spojrzeć na nią, kiedy ty wchodzisz do pokoju – mówiła Beatrice do syna. – Jest jak warczący szczeniak, który jednocześnie merda ogonem.

– Wiem, mamó.

Od powrotu DuMontów Percy przynajmniej dwa razy w tygodniu wpadał do nich po pracy. Nigdy nie było żadnych wątpliwości, że para zamieszka w posiadłości Toliverów, zostawiając Abła samego w jego ogromnym domu przypominającym zamek. Z początku, gdy przyszedł do nich w poniedziałek, zaraz po przyjęciu na ich cześć, Percy spodziewał się pewnej niezręczności czy zażenowania, ale doskwierała mu samotność i bardzo chciał zobaczyć dziecko, o którym nie mógł przestać myśleć. Powinien był wiedzieć, że z Olliem od razu poczuje się swobodnie.

– Percy, witaj, człowieku! – zawołał przyjaciel, gdy zadzwonił do niego do sklepu.

– Właśnie miałem podnosić słuchawkę i wybierać twój numer, a tu sekretarka mówi, że jesteś na linii. Chciałem cię poprosić, żebyś zajrzał do nas po pracy, otworzymy razem jakąś butelkę. Nie wiem, czy będzie Mary. Wiesz jak to z nią jest... pora siewu.

– Rzeczywiście, wiem – powiedział cicho Percy.

Ale Mary akurat była w domu, sącząc lemoniadę i niewiele się odzywając, gdy kołysała dziecko i przysłuchiwała się dwóm mężczyznom, którzy już po kilku minutach rozmawiali jak za dawnych lat. Percy wyczuł, że jej powściągliwość wynika z niepewności, jak Percy widzi teraz swoje relacje z nią i Olliem. Uznał, że minie trochę czasu, zanim się przekona, że kieruje nim wyłącznie przyjaźń. Nie może pozwolić, by to małżeństwo ograbiło go z dwojga ludzi najważniejszych dla tego szczęścia, które mu jeszcze pozostało. No i był Matthew.

Lucy nie uczestniczyła w tych spotkaniach. Nie została zaproszona, a o ile Percy się orientował, chyba w ogóle nie wiedziała o jego wizytach. Po przyjęciu żadna z kobiet nie wykazała chęci odwiedzenia drugiej, on zaś postanowił nie zmieniać tego stanu rzeczy. Nieobecność żony dawała mu większą swobodę, by mile spędzać czas, odprężyć się i zachwycać dzieckiem, które już go rozpoznawało, wymachując rączkami i nóżkami oraz gaworząc radośnie na powitanie, gdy tylko znalazł się w zasięgu jego wzroku.

Nie minęło dużo czasu, a Mary wydawała się już bardziej rozluźniona, na tyle przypominając dawną siebie, że potrafili się razem śmiać i dla dobra wszystkich, na którym im zależało, udawać, że ich miłość nigdy nie istniała. Na mocy obopólnej, nigdy niewyartykułowanej zgody unikali kontaktu fizycznego i wzrokowego – Ollie i Matthew stali się ekranami, przez które nie widzieli się zbyt wyraźnie.

Czasami gdy Percy przychodził, Mary wciąż była na plantacji i choć mógł przewidzieć jej nieobecność, to jednak go irytowała. O tej porze powinna być w domu z mężem i synem, zauważał w duchu, ale z drugiej strony mieli wtedy z Olliem dziecko tylko dla siebie. Ollie zazwyczaj wynosił małego na osłonięty, ogrodowy taras, by odetchnął świeżym powietrzem. Siedzieli, rozmawiając przy drinku i zawsze jeden nogą bujał kołyskę.

– Znów byłeś u DuMontów? – zapytała pewnego dnia Lucy. Siedziała w ich salonie, wykańczając najnowsze niebieskie ubranko dla dziecka.

Skrzywił się, że był na tyle naiwny, by myśleć, że Lucy nie wie o tych odwiedzinach, bo przecież zdążył się już przekonać, że niewiele może jej umknąć.

– Też mogłaś przyjść.

Lucy zawzięcie próbowała przygryźć nitkę swoimi ostrymi ząbkami. Percy ulitował się nad nią i podał jej nożyczki, do których ze swojego miejsca nie potrafiła sięgnąć. Wzięła, nie dziękując, obciąła nitkę i powiedziała:

– Żeby patrzeć, jak wytrzeszczasz gały na Matthew?

Percy westchnął.

– Nie wystarczy ci zazdrość o Mary? Musisz być zazdrosna też o jej syna?

Dłonie Lucy spoczęły na ogromnym brzuchu. Spojrzała na niego nieco łagodniej. Cały czas stał. Nigdy nie zdarzało mu się zostać na tyle długo, by zdążyć usiąść.

– Tak, jestem zazdrosna. Zazdrosna o wszystko, co ona ma, a co powinno być moje.

Wzdłuż kręgosłupa poczuł nagle jakby chłodny powiew. Zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi? – odezwał się tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

– Dobrze wiesz. To ona... ma twoją przyjaźń, a teraz i jej syn.

Oddychając już nieco spokojniej, Percy wziął ją za rękę.

– Lucy, ja chcę być twoim przyjacielem, ale ty mi na to nie pozwalasz.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na swoją dłoń w jego ręce.

– No dobrze... spróbuję się z tobą zaprzyjaźnić. Dla dobra dziecka i dlatego, że nie mogę liczyć na nic więcej – podniosła na niego swoje niebieskie oczy, w których zobaczył, jak bardzo go pragnie. – I wcale wtedy tak nie myślałam, gdy mówiłam, że nie dam ci dziecka. Przecież chcę, żeby znał swojego ojca.

– Wiem, że tak nie myślałaś – odparł, puszczając jej dłoń. – Wiem, że nie myślisz wielu rzeczy, które do mnie mówisz.

Kilka tygodni przed porodem Ollie zapytał Percy'ego, czy zawiezie go do Dallas, gdzie mają mu dopasować protezę, pierwszą, którą zgodził się wypróbować.

– Pojechałbym pociągiem – tłumaczył – ale one są takie niewygodne i niepunktualne. A nie chcę teraz prosić Mary, bo jest w samym środku zbiorów. Wiem, że rzuciłaby wszystko, ale przecież nie ma takiej potrzeby, poza tym – tu Ollie wskazał na spiętą nogawkę spodni – w tych okolicznościach wolałbym twoje towarzystwo.

Uraza do Mary warzyła się w nim jak kwaśne mleko. Zgadzał się z Olliem, że w tej sytuacji lepsze będzie męskie towarzystwo, ale irytowało go, że jego zdaniem nie powinien przeszkadzać żonie w obowiązkach na plantacji. Mary i jej cholerna bawełna.

– A co z Matthew? – zapytał. – Będzie miał opiekę, jak wyjedziemy?

– Oczywiście. Sassie kocha go jak własnego syna.

Percy zrelacjonował w domu całą sprawę Lucy. Od czasu ich ostatniej pogawędki częściej ze sobą rozmawiali. Wiedział, że Lucy boi się porodu, a on bał się o nią. Ponieważ nie lubiła czytać, wziął z biblioteki książki na ten temat i czytał jej głośno wieczorami, gdy siedzieli w salonie. Słuchała z uwagą i omawiała z nim szczegóły, bez żadnej wrogości.

Rozejm był dość wątpliwy i niepewny, dlatego czuł wyrzuty sumienia, gdy pytał Lucy, czy

zgodziłaby się na jego wyjazd w tak trudnym dla niej czasie. Ale Lucy, jak zwykle, go zaskoczyła.

– Uważam, że powinieneś to zrobić, Percy. Wiesz, dlaczego Ollie nie chce jechać pociągiem, prawda?

Przyznał, że nie ma pojęcia.

– Hm, no więc... Ile trwała wasza podróż z New Jersey, wtedy gdy wróciliście z Francji?

– Około sześciu dni.

– Możesz sobie wyobrazić, jak Ollie musiał się wtedy czuć, wracając do Howbutker bez nogi? Tyle dni i nocy. Nic dziwnego, że nie lubi pociągów. Tak, powinieneś go odwiedzić. Ja sobie poradzę. Zresztą, są twoi rodzice, ale i tak poczekamy na ciebie – uśmiechnęła się do niego, przypominając mu dawną Lucy sprzed ślubu. Wiele z jej ostatnich zachowań mu ją przypominało. I zmiana ta nie była – jak powiedziałyby matka – „udawana”, ale wynikała raczej z prawdziwej potrzeby zaprzyjaźnienia się z nim.

– Dziękuję ci, Lucy – powiedział, odpowiadając uśmiechem. – Postaram się wrócić jak najszybciej.

Zawiózł Olliego do Dallas przestronnym, sześciocyndrowym packardem sedanem należącym do Abla. Podróż była długa, całą drogę męczył ich upał. Kiedy w końcu zajechali pod szpital Veterans Administration, Ollie miał dość – zaczerwieniona twarz, na czole kropelki potu, które zawilgociły również kołnierzyk koszuli. Percy cierpiał, widząc dyskomfort przyjaciela, gdy ten z trudnością wysiadał z sedana. Zaraz pojawił się sanitariusz z wózkiem, ale Ollie odprawił go gestem ręki i postawił kule na ziemi pod swoimi silnie rozwiniętymi ramionami.

– Chodź, Percy, pokażemy im – powiedział i pokuśtykał za sanitariuszem pchającym pusty wózek.

Po niekończących się formalnościach związanych z przyjęciem do szpitala zjawiał się w końcu pielęgniarz z dokumentacją Olliego pod pachą, by zaprowadzić go do gabinetu. Okazało się, że znajduje się on na końcu długiego korytarza i na twarzy Olliego odmalowało się przerażenie.

– Spokojnie, stary – mówił Percy, idąc tuż za nim. – Jeszcze tylko kilka metrów.

Nie doszli jednak do gabinetu. Ollie przystanął i głośno wciągnął powietrze.

– Percy, znów czuję nogę, bardzo boli. Chyba jednak wezmę wózek.

Ale było za późno. Jego jedyna noga załamała się pod nim i z twarzą wykrzywioną bólem poleciał do przodu. Kule i dokumentacja w metalowej osłonie z hukiem spadły na podłogę, gdy Percy i pielęgniarz rzucili się, by złapać Olliego. Pielęgniarz pobiegł po nosze, a Percy tymczasem drżącymi rękami rozluźnił przyjacielowi krawat i rozpiął górne guziki koszuli, znów widząc, jak cały we krwi leży bezradnie przy zbombardowanej drodze.

– Percy, błagam, przestań tak na mnie patrzeć – rozkazał Ollie ze stanowczym uśmiechem na twarzy. – To się czasami zdarza, trzęsę się wtedy jak galareta i puszcza mi nerwy, ale w końcu mija. Przygotuj po prostu mocną whisky, niech czeka na mnie, kiedy stąd wyjdę.

– Nawet gdybym sam miał ją pędzić – zapewnił go Percy.

Przynieśli nosze i dwóch pielęgniarzy położyło na nich Olliego.

– Zechce pan wziąć dokumentację i pójść z nami, bylibyśmy wdzięczni – poprosił jeden z nich, podnosząc Olliego. Percy pozbierał kule i dokumenty, ręce wciąż mu drżały. Został jeszcze chwilę na miejscu, by wyrównać oddech i uspokoić nerwy, a potem ruszył za pielęgniarzami, ale kiedy wszedł do poczekalni przed gabinetem, tamci zdążyli już niknąć za drzwiami z napisem „WSTĘP WZBRONIONY”.

Postanowił, że tymczasem, zanim ktoś przyjdzie po dokumentację, zajrzy do niej i zobaczy, w jakim stanie jest Ollie. Do dziś nie wiedział, że przyjaciel wciąż może odczuwać ból

w amputowanej nodze. Nigdy się nie skarżył, ale też Percy miał pełną świadomość dlaczego. Jako mądry człowiek i niezrównany przyjaciel, wiedział, że nic głębiej i szybciej nie niszczy przyjaźni niż poczucie winy.

Pierwszy był wojskowy raport, zapisany pośpiesznymi bazgrołami frontowego lekarza, czytał ich dziesiątki zawieszonych na łózkach szpitali polowych. Medyczne terminy opisywały rany i amputację, a potem, na końcu dodano jedną linijkę – jakby po namyśle – która zmroziła mu krew w żyłach. Przeczytał ją, a potem zacisnął mocno powieki, żeby mieć pewność, że dobrze widzi, i przeczytał kolejny raz: „Wskutek odniesionych ran kapitan DuMont narażony jest na infekcje cewki moczowej z powodu zatrzymywania substancji normalnie wydalanych z moczem, natomiast nieodwracalne uszkodzenie penisa oznacza niezdolność do stosunku fizycznego i prokreacji”.

Dokumentacja w metalowej osłonie upadła na podłogę z głośnym brzękiem. Percy go nie słyszał. Zerwał się z krzesła i zataczając się, podszedł do okna, usiłując złapać oddech. Zemdliło go i miał zawroty głowy. Oparł czoło o białą, chłodną ramę okna, czekając, aż pokój przestanie wirować. „Boże, o Boże... Boże...”

– Dobrze się pan czuje?

To sanitariusz przyszedł po dokumentację. Nie ruszając się od okna, Percy wymamrotał:

– Tak, dziękuję. Proszę się zająć kapitanem DuMontem.

I opadł na krzesło w pobliżu otwartego okna. Dłońmi ścisnął skronie. Matthew... to słodkie dziecko... jest jego... Jego! Rozgorączkowany mózg przedstawił mu logiczny ciąg wydarzeń, jakby przesuwiał mu przed oczami rolkę niemego filmu. Po jego ucieczce do Kanady Mary odkryła, że jest w ciąży. Czekala na niego, ale on nie wracał. W końcu poszła do jedyne go mężczyzny, który mógł uratować i ją, i jej dziecko. „Ollie był tutaj” – mówiła matka. I tak Ollie ożenił się z Mary i zgodził się wychowywać jej dziecko jako swoje... okaleczony Ollie, który nie mógł dać jej więcej dzieci... który nie mógł...

Opuścił głowę i jęknął – był to poruszający, żalorny lament wydarty z głębi najczarniejszej rozpacz. Sanitariusz wrócił pół godziny później i zastał go pólężącego na krześle pod oknem, patrzącego przed siebie wzrokiem pustym jak trup, z twarzą poszarzałą i mokrą od łez.

– Eee, przepraszam pana – powiedział z wyraźnym zażenowaniem. – Chciałem pana poinformować, że zatrzymujemy pana kapitana na obserwację i leczenie przed założeniem protezy. Wszystko razem potrwa około tygodnia. Dostał teraz środek nasenny. Może go pan odwiedzić na oddziale B w porze odwiedzin, od szóstej do ósmej wieczorem.

Percy’emu los zaoszczędził niezręczności tej wizyty. Kiedy zadzwonił ze szpitala do domu, Beatrice poprosiła, by natychmiast wracał. Został ojcem czteroipółkilogramowego małego olbrzyma.

Rozdział trzydziesty ósmy

Howbutker 1933

Przepraszam, proszę pana, ale przyszła niejaka panna Thomson, chce się z panem zobaczyć.

Percy nie podniósł głowy znad sprawozdania, które właśnie czytał. Dobiegał końca październik, cztery lata po słynnym krachu na giełdzie, który wpędził kraj w wielki kryzys. Co dzień zjawiali się bezrobotni, błagając o pracę w Warwick Industries, jednym z niewielu statków w całym hrabstwie, które płynęły spokojnie, wciąż pewnie utrzymując się na niebezpiecznych i zdradliwych wodach gospodarki.

– Sally, powiedziałaś jej, że to strata czasu? I tak mamy już za dużo pracowników.

– Och, panie dyrektorze, ona nie szuka pracy. Panna Thomson jest nauczycielką i mówi, że chodzi o pańskiego syna.

Percy spojrział na nią skonsternowany, szukając w głowie skojarzeń z wyrażeniem „pański syn”.

– O Wyatta, panie dyrektorze – podsunęła Sally.

– Ach, tak, no oczywiście. Wprowadź ją, proszę.

Wstał, żeby się przywitać, jak zawsze gdy ktoś przychodził do jego biura. Percy Warwick znany był z tego, że okazywał ludziom szacunek, nawet tym, którzy jak to się ostatnio często zdarzało, zjawiali się z czapką w ręku, by prosić o pracę, pożyczkę lub więcej czasu na spłatę długu.

Panna Thomson nie przyszła po prośbie, od razu to spostrzegł, ale kiedy usiadła na wskazanym przez niego krześle, zauważył też, że jest bardzo zdenerwowana i czuje się niezręcznie. Co ten Wyatt narozrabiał?

– Mamy jakiś problem z Wyattem, panno Thomson? Nie wiedziałem, że pani go uczy.

Tą uwagą nie chciał zrobić wrażenia, że jest jednym z tych ojców, których żywo interesuje, co i z kim robią ich dzieci, ale raczej by wyrazić swoje zdziwienie, że jej nie zna. Od kilku lat pełnił funkcję prezesa zarządu szkoły i zawsze osobiście witał nowych nauczycieli na corocznym przyjęciu organizowanym specjalnie w tym celu.

– Zostałam zatrudniona, by zastąpić pannę Wallace, która w tym roku wyszła za mąż

– wyjaśniła panna Thomson. – Wraz z mężem przenieśli się do Oklahoma City. To właśnie ona uczyła Wyatta, może pan sobie przypomina.

Percy oparł się wygodnie, rozciągając palce i ciesząc uszy jej miłym głosem.

– Jestem przekonany, że ta zmiana na pewno mu nie zaszkodziła – powiedział, delikatnie przechylając głowę w bok.

– Mam nadzieję, że nie zmieni pan zdania, gdy usłyszysz pan, co mam do powiedzenia.

– W takim razie słucham.

Wzięła głęboki oddech, na chwilę spuszczając wzrok, jakby chciała odzyskać utraconą odwagę. Dobry Boże, myślał Percy, co ten Wyatt mógł jej zrobić? Już on dopilnuje, że smarkacz tego gorzko pożałuje, jeśli okaże się, że jest tak źle, jak wskazuje na to zachowanie panny Thompson. Z drugiej strony łatwo zrozumieć, że jedenastoletni chłopiec, który lada chwila zacznie dojrzywać, może zachować się niewłaściwie, by zwrócić na siebie jej uwagę. Była piękną, młodą kobietą, miała orzechowe oczy i starannie upięte włosy przywodzące na myśl niewinny odcień młodej pszenicy.

– Pański syn – rozpoczęła – celowo i regularnie znęca się nad Matthew DuMontem. Obawiam się, że jeśli ktoś nie powstrzyma Wyatta, może poważnie skrzywdzić tego chłopca.

Jego fotel zaprotestował, gdy gwałtownie pochylił się do przodu, zapominając o zachwycie jej urodą.

– Mogłaby pani to dokładniej wyjaśnić?

– Chodzi o to, że właściwie codziennie Wyattowi udaje się w jakiś sposób skrzywdzić Matthew. To może być cokolwiek, od podstawienia mu nogi na korytarzu do rzucenia mu piłką prosto w twarz. Nie potrafię nawet zliczyć, ile razy tamowałam mu krwotok z nosa z powodu napaści Wyatta. Widziałam, jak... jak... – zaczerwieniła się, w równym stopniu rozgniewana, jak zauważył Percy, co zażenowana.

– Proszę mówić – nalegał zdenerwowany.

– Wiele razy widziałam, jak Wyatt kopie Matthew w podbrzusze.

Percy poczuł, że sam się czerwieni.

– Dlaczego, na Boga, tak długo pani czekała? Dlaczego nie poszła z tym pani do dyrekcji?

– Poszłam, proszę pana. Poszłam do dyrektora, ale nie chciał mnie słuchać. Próbowałam pozyskać do pomocy innych nauczycieli, ale mi odmówili. Oni wszyscy boją się pańskiej... pańskiej władzy. Obawiają się, że mogą stracić pracę. Tak samo dzieci. Ich rodzice u pana pracują.

– Boże – powiedział Percy.

– Ale dziś przebrała się miara – kontynuowała panna Thomson, wyraźnie pewniejsza siebie, widząc, że posuwa się do przodu.

– Co się stało?

– Wyatt pociął rękawicę baseballową Matthew, która jest dla chłopca bardzo cenna, a potem wrzucił ją do szamba na tyłach szkoły. Kiedy Matthew wszedł do szamba, żeby ją odzyskać, Wyatt rzucił w niego kamieniem, trafiając go w skroń. Chłopiec prawie stracił przytomność, miał dużą ranę, która obficie krwawiła. Stracił równowagę...

Sara zagryzła wargę, jakby opis mniejszego Matthew upadającego w kloace z krwawiącym czołem to było dla niej zbyt wiele, ale Percy doskonale potrafił wyobrazić sobie całą sytuację. Wstał nagle, szybko zapinając marynarkę. Wiedział, o jaką rękawicę chodzi. Prezent od niego na ostatnie Boże Narodzenie.

– Czy Matthew prowokuje go jakoś?

– W żadnym wypadku! – zareagowała emocjonalnie Sara. – Co prawda znam Matthew tylko z zajęć mojego kółka dyskusyjnego i z tego co widzę go na podwórku szkolnym w czasie dyżuru, ale uważam, że jest jednym z najmilszych uczniów, jakich znam. Próbuje się bronić, ale choć jest starszy, przy swoich gabarytach nie ma szans z pańskim synem. Inni chłopcy... owszem, chcieliby mu pomóc, ale boją się Wyatta... no i pana.

– Rozumiem... Panno Thomson, jak się pani tu dostała?

– Ale... – nie mogła zrozumieć, skąd to pytanie. – Przyszłam pieszo.

– Ze szkoły to ponad trzy kilometry.

– Waga mojej misji skróciła tę odległość.

– No tak – powiedział Percy i otworzył drzwi gabinetu. – Sally, niech Booker przyprowadzi samochód i odwiezie pannę Thomson do domu.

Sara wstała, bardzo niepewna i jeszcze bardziej zaczerwieniona.

– To miłe z pana strony. Bardzo dziękuję, że mnie pan wysłuchał.

– Dlaczego nie porozmawiała pani z DuMontami? – zapytał Percy.

– Ze względu na Matthew. O ile go znam, jestem przekonana, że raczej by umarł, niż naskarżył na Wyatta rodzicom czy prosił ich o interwencję. Nie mogłam do nich pójść... nie przed rozmową z panem. To byłoby coś w rodzaju zdrady. Ale taki byłby mój kolejny krok.

– Podziwia pani Matthew, prawda?

– Ma charakter.

– A Wyatt?

Sara zawahała się, a potem spojrzała mu w oczy.

– Jest w nim coś niedobrego, ale tylko w stosunku do Matthew, z tego co zauważyłam.

Gdyby nie jego... wyraźna zazdrość o tego chłopca, myślę, że byłiby przyjaciółmi. Pański syn jest bardzo samotny. Ma niewielu kolegów.

– Obawiam się, że z własnej winy.

W drzwiach pojawił się jego szofer. Był dziś na miejscu, a nie jak zwykle w domu, ponieważ mieli gości z Kalifornii, którzy przyjechali zobaczyć firmę.

– Booker, zawieziesz pannę Thomson do domu. Potem wrócisz i odwieziesz naszych gości. Ja pojedę swoim samochodem.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Dziękuję, że pani przyszła. Booker dopilnuje, by bezpiecznie dotarła pani do domu.

Sara podała mu rękę, nieco przestraszona jego stanem ducha. Sekretarka i szofer też to wyczuli.

– Proszę mi wybaczyć to pytanie – powiedziała niepewnie – ale co zamierza pan zrobić?

– Jeśli jest tak, jak pani mówi, zamierzam dopilnować, żeby Wyatt nigdy w życiu nawet nie tknął Matthew DuMonta. I nie musi pani prosić mnie o żadne wybaczenie. To raczej ja powinienem go u pani szukać.

Percy wyszedł drzwiami, które prowadziły do prywatnego garażu. Był wściekły, ale starał się zachować zdrowy rozsądek. Dzięki sile swojej woli w drodze na Houston Avenue zdołał się opanować. Nic nie wiedział o panie Thomson. Mogła po prostu przesadzać w opisie zwykłych szkolnych kawałów, by zwrócić na siebie jego uwagę. Tego rodzaju rzeczy już mu się zdarzały. Czasy były trudne, kobiety i mężczyźni chwyтали się brzytwy, by zapewnić sobie pracę i przywileje.

Ale nie wierzył, że panna Thomson należy do tej kategorii. Jeśli tak, to znaczy, że utracił swoją zdolność dostrzegania zgnilizny w pozornie zdrowym drewnie. W jego ocenie panna Thomson należała do najrzadszego gatunku istot ludzkich – nieprzekupnych. Wizyta w jego biurze z takimi opowieściami wymagała odwagi. Kładła na szali swoją posadę. Nie idąc od razu do Olliego i Mary, wykazała wrażliwość i zrozumienie dla Matthew, którego upokorzyłaby interwencja rodziców rozgrywających za niego jego bitwy. Panna Thomson nie mogła znać drugiej przyczyny, dla której Matthew nigdy się nie skarżył na Wyatta. Wyatt był synem jego ojca chrzestnego, którego uwielbiał. Nigdy nie powiedziałaby o Wyatcie nic, co mogłoby zranić wujka Percy'ego. Ten rodzaj prawości powodował, że jego serce wypełniała miłość i duma, uczucia, których nigdy nie miał dla Wyatta.

Przypuszczał – biorąc pod uwagę, jak potoczyło się jego życie – że nie mógł już liczyć na przyjaźń między chłopcami. Matthew chciał, ale Wyatt nie lubił go od samego początku. Było między nimi dziewięć miesięcy różnicy. Wyatt prowokował sprzeczki już w kojcu, czynił złośliwości w trakcie harców w piaskownicy, a później okazywał chłodną obojętność na piknikach, na które zapraszano też inne rodziny, by zmniejszyć napięcie między Lucy a Mary.

Jak to ujęła panna Thomson, przyczyna wrogości Wyatta była jasna i prosta. Zazdrość o Matthew. Matthew był inteligentniejszy, przystojniejszy i bardziej lubiany. Percy bardzo się starał nie faworyzować Matthew, gdy chłopcy byli razem, ale nie udawało mu się to. Lucy często lamentowała, jak bardzo by sobie życzyła, żeby traktował Wyatta tak samo serdecznie jak „chłopaka DuMontów”.

Ale nawet Lucy lubiła Matthew, dostrzegając w nim wszystkie ujmujące cechy Olliego,

i nieraz wytargała Wyatta za ucho, gdy zbyt ostro potraktował w zabawie mniejszego od siebie chłopca. W przeciwieństwie do tego, czym wcześniej groziła, Lucy, co dziwne, chciała, żeby Percy i Wyatt byli blisko i zachęcała ich do wspólnego spędzania czasu. Martwiło ją, że od samego początku ojca i syna nie bardzo do siebie ciągnie.

Choć naprawdę się starał, jego serce nie reagowało na niezdarne próby Wyatta, by zdobyć miłość ojca. Chłopak nie miał w sobie nic z Warwicków. To w czystej postaci Trenton Gentry, zmarły ojciec Lucy, w sposobie bycia, wyglądzie i stosunku do świata... ponury typ z grubą szyją, szeroki w barach, który zastrasza innych i uważa, że dobroć u mężczyzny to słabość. Nie było w nim nawet krztyny poczucia humoru, wesołości i żywiołowości Lucy.

Jadąc z rękami mocno zaciśniętymi na kierownicy, Percy czuł, że narasta w nim zimny, kontrolowany gniew, co nieczęsto mu się zdarzało. Niech Bóg ma w opiece Wyatta, jeśli rzeczywiście skrzywdził Matthew. Niech Bóg go broni, jeśli panna Thomson mówiła prawdę. Zaparkował z tyłu domu Toliverów i wszedł na posesję przez bramę z kutego żelaza. Sassie usłyszała skrzypnięcie, więc czekała na niego w otwartych tylnych drzwiach domu.

– Ale, panie Percy, a cóż to o tej porze sprowadza pana do nas? Pan Ollie pewnikiem jeszcze w sklepie, a panienska Mary w Somersecie.

Jak zawsze, pomyślał Percy z nagromadzoną w sercu urazą.

– Nie przyszedłem do nich. Jest mój chrześniak?

– A pewnie, co ma nie być. U góry jest, w swoim pokoju. Narobił sobie dziś kłopotów w szkole, albo i kłopoty do niego przyszły. Ktoś rzucił w niego kamieniem i jest ranny. A trzeba było widzieć jego ubranie!

– Sassie, czy miewał już takie kłopoty wcześniej? Przychodził do domu z podbitym okiem albo krwawiącym nosem?

Zachmurzone czoło Sassie jeszcze bardziej się zmarszczyło.

– A jakże, proszę pana, a mało to! Ale tym razem jak nic wszyściuteńko o tym powiem panu Olliemu. Wierzyć mi się nie chce, że z niego aż taka niezdara. Mówi, że ciągle się przewraca. A w domu normalnie chodzi.

– Czy rana jest poważna?

– Trochę głębiej, a już bym wzywała doktora Tannera.

– I tak do niego zadzwoń i niech jak najszybciej przyjedzie. Zajrzę teraz do Matthew.

– Ucieszy się, panie Percy. I niech pan weźmie tacę z tą gorącą czekoladą, dopiero co ją zrobiłam, dostawię i dla pana filiżankę. Ten chłopak jest za czekoladą, że ho-ho! Jeszcze bardziej niż jego papa.

– Proszę – zawołał Matthew w odpowiedzi na jego pukanie swoim delikatnym, chłopięcym tenorem, który zawsze łąpał go za serce. Otworzył drzwi i zobaczył, że siedzi na łóżku – świeżo wykąpany i ubrany. Oliwił rękawicę baseballową jakimś mazidłem o odstręczającym zapachu. Najwyraźniej spodziewał się Sassie. Kiedy z czekoladą na tacy wszedł Percy, ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

– Wujku Percy! – zawołał zaskoczony i przestraszony, chowając szybko rękawicę za siebie. – Co ty tu robisz?

– Słyszałem, co się stało w szkole – powiedział, odsuwając kilka rzeczy na stole i stawiając na nim tacę. Usiadł obok niego na łóżku i delikatnie odwrócił jego głowę, by przyjrzeć się bandażowi.

– Wyatt to zrobił?

– To był wypadek.

– A to? – Percy wyciągnął zza jego pleców rękawicę i trzymał ją przed nim.

Matthew nie odpowiadał, odwracając wzrok.

– Znajoma opowiedziała mi, co się stało. Że Wyatt wrzucił twoją rękawicę do szamba, a potem rzucił w ciebie kamieniem i stąd ta rana. Czy to prawda?

– Tak, wujku, ale teraz jest już dobrze.

Percy przyjrzał się rękawicy. Zniszczona. Pod choinkę sprawił obydwu chłopcom takie same rękawice i nieźle się musiał napracować, żeby zdobyć na nich podpis Babe'a Rutha. Gdy rankiem w Boże Narodzenie Wyatt otworzył pudełko z prezentem, Percy zobaczył jego uśmiech – rzadkość na twarzy młodszego syna.

– Dziękuję, tato. Jest świetna – powiedział, czerwieniejąc z radości na tę prawdziwą niespodziankę.

Percy nie spodziewał się jednak, że duma i radość Wyatta opadną, gdy okaże się, że Matthew dostał taki sam prezent. Powinien był przewidzieć tę zazdrość, ale przecież nie mogła usprawiedliwiać przesadnej podłości Wyatta.

– Wiem, gdzie znajdziemy dokładnie taką samą rękawicę – pocieszał chłopca Percy.
– Trochę większą, ale przecież ręka ci urośnie.

– Och, nie, tylko nie to – zaprotestował Matthew. – Nie mógłbym wziąć rękawicy Wyatta. Nie chcę! Jest jego. Sam mu ją dałeś – i umilkł, ale jego czoło wciąż przecinała mała pionowa bruzda.

– O co chodzi, synu? – zapytał Percy, przyglądając się pięknie wyrzeźbionym rysom, tak podobnym do rysów matki. Nieczęsto miał okazję oglądać go tak blisko, niewidziany przez innych, i nigdy nie mówił do niego „synu” w obecności Olliego. Zauważył, że Ollie nie robił tego w jego obecności. Zawsze tylko „chłopcze” albo „kolego”.

– Ja... nie wiem, dlaczego Wyatt mnie nienawidzi – powiedział. – Próbowałem się z nim zaprzyjaźnić. Chcę się z nim zaprzyjaźnić, ale myślę... myślę, że on uważa, że ty, wujku, lubisz mnie bardziej od niego i... i jest mu smutno.

Fala miłości, niemal nie do zniesienia, do tego dziecka, które nie mogło być jego, poderwała go z łóżka. Z jakiejż to genetycznej studni pochodziło takie zrozumienie, tolerancja i zdolność wybaczenia? Nie od niego i nie od Mary. Nalał filiżankę czekolady i podał ją chłopcu.

– To dlatego nigdy nikomu nie powiedziałaś o siniakach i zadrapaniach, które przynosisz do domu? Bo wiesz, co on czuje?

– Tak, wujku – powiedział Matthew ze wzrokiem wbitym w filiżankę, którą trzymał w swoich szczupłych, młodzieńczych dłoniach.

– No dobrze – rzekł Percy, mierzwiąc czarną czuprynę chłopca i mając wielką ochotę pocałować go w czubek głowy. – Może Wyattowi i mnie uda się dojść do porozumienia w tej sprawie. Jedź do ciebie doktor Tanner, żeby zobaczyć ranę, a ja przepraszam za twojego... za okrucieństwo mojego syna. To się już więcej nie powtórzy – po czym podniósł znów rękawicę.
– Naprawimy ją.

Z holu na dole zadzwonił do Olliego i powiedział mu, co się stało i że jedzie załatwić tę sprawę z Wyattem.

– Myślę, że powinieneś wrócić do domu. Matthew cię potrzebuje. I Mary też.

– Zaraz jadę. Ale nie wiem, czy uda mi się złapać Mary.

Tym razem język wymknął mu się spod kontroli.

– Dlaczego, do diabła, nie ma jej o tej porze w domu? Przecież lekcje skończyły się kilka godzin temu.

Nastąpiła cisza. Choć nigdy niewyrażone głośno, poglądy Percy'ego na nieobecność Mary w domu nie były dla nikogo z nich tajemnicą. W duchu Ollie rozumiał, że jego rozgoryczenie wynikało jedynie z niepokoju o niego i Matthew.

– Bo to jest Mary, Percy – powiedział cicho.

Wychodząc przez kuchnię, Percy powiedział Sassie, że nie musi się już martwić. Nie będzie więcej ran ani siniaków. A chwilę później był już w drodze do Warwick Hall, czując, jak ogarnia go zimna furia.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Lucy wraz z gospodynią stała w jadalni, lustrując imponująco zastawiony stół, gdy przez frontowe drzwi wszedł zdecydowanym krokiem Percy, od razu kierując się na schody. Percy nigdy nie wchodził od tej strony, zauważyła też jego samochód zaparkowany pod portykiem. Przerwywając inspekcję stołu, pospieszyła do drzwi jadalni.

– Dokąd idziesz? Dlaczego tak wcześniej wróciłeś?

Nie zatrzymując się i nie odwracając, Percy odrzekł:

– Do Wyatta. Jest u siebie?

– Odrabia zadanie. Czego od niego chcesz?

Mąż nie odpowiedział. Sposób, w jaki wchodził po schodach, kazał Lucy pobiec za nim.

– Goście będą za godzinę. Chcesz się przebrać?

W ciągu dwóch lat, które minęły od śmierci matki – w niecałe trzy lata po śmierci ojca – Lucy stała się przykładną gospodynią. Spodobało jej się życie żony jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Teksasie. Ponieważ zawsze czuła się zdominowana przez teściową, obowiązki gospodyni przejęła z wielkim zapałem, zamawiając nowe meble, dywany i tapety, a także instalując najnowsze urządzenia kuchenne. Jej pokojówki i gospodyni nosiły teraz szare sukienki, a na nich białe fartuszki z falbankami zamiast długich białych fartuchów i czarnych sukien, które królowały w czasach Beatrice. Towarzystwie obowiązki żony Percy’ego i domowa rola mamy Wyatta zdawały się jej wystarczać. Czasem nawet Percy odnosił wrażenie, że mimo wszystko Lucy jest wdzięczna za życie, które jej zapewnił. Nie musiała się przynajmniej martwić, skąd weźmie na kolejny posiłek, bo przewidział krach na rynku i przedsięwziął odpowiednie kroki. Od czasu jej ciąży nie dzielili sypialni, a ku jej często wyrażanemu żalowi nie zajmowali się też wspólnie synem. To dlatego Lucy biegła teraz za swoim potężnie zbudowanym mężem, który zmierzał do pokoju ich dziecka.

– Percy, co u licha się stało?

– Nic, czym musiałabyś zwracać sobie głowę. To nasza męska sprawa.

– Od kiedy to zaliczasz syna do tej samej kategorii, co siebie? – pytała, a w jej niebieskich błysnęła obawa.

Bez odpowiedzi Percy otworzył drzwi pokoju syna, wszedł i zamknął je od wewnątrz na klucz. Tak jak mówiła matka, Wyatt leżał na łóżku, ucząc się. Szkoła była dla niego ciężką walką, ale jak widać nie ustawał w wysiłkach. Podniósł wzrok na nagłe wtargnięcie ojca i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Wstawaj – zakomenderował Percy. – Przejedziemy się.

– Dobra – odparł, zeskakując z łóżka. Przy swojej budowie byka miał zwinność kota.

Percy patrzył, jak chłopiec chowa książki do tornistra, a potem wyrównuje narzutę. W dodatku gnojek jest schludny.

– Już – oznajmił po chwili.

Lucy dobijała się do drzwi.

– Percy, co robisz Wyattowi? Otwórz te drzwi!

– Cicho, Ma – zawołał Wyatt. – Wszystko w porządku. Jedziemy się przejechać z tatą.

Ale kiedy Percy otworzył drzwi i Lucy zobaczyła jego twarz, domyśliła się, dlaczego przyszedł i co zamierza.

– Percy, na Boga – błagała – On ma tylko jedenaście lat.

Mąż przecisnął się obok niej.

– To powinien być mądrzejszy...

– Percy!... Percy! – wołała za nim Lucy, na próżno chwytając się jego ramienia, gdy schodził ze schodów. Wyatt, wyprostowany, szedł przed nim.

– Nigdy ci nie wybaczę, jeśli go skrzywdzisz. Nigdy! Słyszysz mnie, Percy?! Choćby nie wiadomo co, nigdy ci nie wybaczę!

– I tak nigdy nie przepadałaś za białymi różami – powiedział i wyszedł za Wyattem z domu.

W całkowitym milczeniu dojechali do chaty w lesie. Kiedy tam dotarli, słońce już zachodziło, odbijając swoje promienie w cyprysach nad brzegiem jeziora. Percy szedł pierwszy, otworzył drzwi zardzewiałym kluczem, który leżał w doniczce. Kiedyś Mary sadziła w niej pelargonie.

Zdejmując marynarkę, odezwał się po raz pierwszy.

– Przyszła dziś do mnie panna Thomson. Powiedziała, że pociąłeś rękawicę Matthew i wrzuciłeś ją do szamba. Kiedy chciał ją odzyskać, rzuciłeś w niego kamieniem i zraniłeś go w głowę. Stracił równowagę i wpadł do gówna. Wyatt, dlaczego to zrobiłeś?

Wyatt, spięty, stał nieruchomo na środku dziwnej chaty, o której istnieniu nawet nie wiedział, i czekał. Wyraz twarzy miał obojętny, nijaki. Ponieważ nie wykazywał chęci współpracy, jego ojciec zagrzmiał:

– Odpowiadaj!

– Bo go nienawidzę.

– Dlaczego?

– To moja sprawa.

Percy uniósł brwi na ten wyzywający ton. Jedenaście lat i już twardy jak paryski ulicznik. Miał oczy Trentona Gentry'ego. Niebieski kolor odziedziczył po matce, ale osadzone były bliżej siebie, jak u tego człowieka, którym gardził. Nawet nie mrugnął, gdy Percy zaczął podwijać rękaw koszuli. Jedno musiał mu przyznać, pomyślał niechętnie, nie był tchórzem. Łobuz, owszem, tak, ale nie tchórz.

– Powiem ci, dlaczego go nienawidzisz – podjął. – Nienawidzisz go, bo jest miły, taktowny i delikatny. Nie wydaje się taki, jakim według ciebie powinien być chłopiec, ale posłuchaj mnie dobrze, Wyatt. W każdym calu jest człowiekiem, za jakiego ty się masz.

– Wiem.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się Percy.

– Więc dlaczego go nienawidzisz?

Wzruszenie ramion. I szybkie mrugnięcie wyzywających oczu.

– Rozumiem, że to dzieje się od dłuższego czasu – kontynuował Percy, podwijając drugi rękaw. – Przychodzi do domu posiniaczony, ranny, z guzami na głowie, przez ciebie. Zgadza się?

– Tak.

– I nigdy ci nie przeszkadzało, że jesteś większy od niego?

– Nie.

Percy patrzył na syna, nie wiedząc, co myśleć o tym zagadkowym połączeniu obojętności i szczeroci. W wieku jedenastu lat już miał metr osiemdziesiąt i ramiona równie szerokie jak ojciec.

– Jesteś o niego zazdrosny, tak?

– A nawet jeśli? Co tobie do tego?

– Uważaj, co mówisz, młody człowieku i nigdy więcej nie odzywaj się tak do matki, jak dziś w domu. Nigdy więcej jej nie powiesz, że ma być cicho.

– Czemu? Ty robisz jej gorsze rzeczy.

Poczuł w głowie wybuch wściekłości i ona go zaślepiła. Przed oczami miał tylko pociętą

rękawicę i bandaż na głowie Matthew. Widział miłość w zielonych oczach i nienawiść w niebieskich. Cofnął prawą rękę, zwijając dłoń w pięść, a lewą sięgnął po przód kurtki swojego drugiego syna, tego, którego nie znał, nie kochał i nie chciał.

– Pokażę ci teraz, jak to jest być bitym przez kogoś większego od siebie – powiedział przez zaciśnięte zęby i wyprowadził cios.

Wyatt upadł ciężko na podłogę przed kanapą, z nosa i rozciętej wargi spływała cienka strużka krwi. Percy wyszedł przed dom i nabrał ze studni wodę, przyniósł wiadro do środka i zanurzył w nim ręcznik.

– Masz – powiedział, rzucając synowi mokry ręcznik bez cienia litości czy wyrzutów sumienia. – Wytrzymaj twarz. I Wyatt... – pochylił się i szarpnął go, sadzając na kanapie. – Jeśli choćby spojrzysz krzywo na swojego... – przerwał, a niebieskie oczy uważniej mu się przyjrzały. Już drugi raz tego dnia Percy omal nie powiedział „swojego brata”. – Na swojego sąsiada i kolegę – poprawił się – dopilnuję, żebyś już nigdy nikogo nie skrzywdził. Rozumiesz, co mówię? – spojrzał ostro w zakrwawioną twarz syna. – Rozumiesz?

Zobaczył skinienie głowy, a potem usłyszał odpowiedź wypowiedzianą przez poplamione krwią zęby.

– Tak.

Kiedy wrócili do domu, goście z Kalifornii radośnie i z zadowoleniem wprawiali się w stan upojenia alkoholowego, racząc się przy tym miłą rozmową. Od godziny czekali już na niego z kolacją.

– Gdzie byłeś? – syknęła Lucy, wychodząc do męża na korytarz. Percy zdążył odesłać już Wyatta do siebie.

– Uznałem, że syn powinien mnie bliżej poznać – wyjaśnił.

Było to ostatnie spotkanie towarzyskie u Warwicków. Kiedy Lucy, obawiając się najgorszego, chciała rzucić się tylnymi schodami do góry, Percy złapał ją za rękę i skierował z powrotem do salonu. Mocny uchwyt jego dłoni mówił jej, że jeśli opuści swoich gości, to czeka ją ból, rozwód albo coś jeszcze gorszego. Przez cały długi posiłek i potem również przy porto siedziała bez słowa, z obawą w oczach, podczas gdy jej mąż, przebrany w świeży garnitur, prowadził ożywioną rozmowę i nalewał wino. Kiedy w końcu goście wyszli, Lucy pobiegła do Wyatta.

Usłyszał jej krzyk przerażenia i czekał na wybuch furii w swoim pokoju, gdzie właśnie spokojnie odpinał spinki do mankietów, gdy wpadła tam rozwścieczona.

– Jak mogłeś coś takiego zrobić? – wrzeszczała. – Niemal na śmierć pobiłeś własnego syna.

– Przesadzasz, Lucy. To, co ja mu zrobiłem, jest niczym w porównaniu z tym, co on od lat serwuje Matthew DuMontowi. Zaaplikowałem mu tylko dawkę jego własnego lekarstwa.

I zrelacjonował żonie, co wydarzyło się tamtego dnia w szkole, i co regularnie działo się wcześniej.

– Zgadzasz się, Percy, że to co zrobił, było złe – płakała Lucy – ale to, co ty zrobiłeś jest o wiele gorsze. On cię za to znienawidzi.

– On już mnie nienawidzi.

– Tylko dlatego, że tyle uwagi poświęcasz Matthew. Dlatego tak go traktuje. Jest zazdrosny o twoje uczucia do niego.

– Matthew zasługuje na moje uczucia. Wyatt nie.

– Matthew! Matthew! Matthew! – wykrzykując to imię, za każdym razem uderzała bokiem dłoni w drugą rękę. – Nic innego od ciebie nie słyszę. Matko Boska, można by pomyśleć, że Matthew to twój syn!

Słowa zawisły w pokoju jak dym po eksplozji. Lucy stanęła jak wryta, cała zeszywniała w swojej satynowej, wieczorowej sukni. Patrzyła na Percy'ego, a na jej twarzy stopniowo pojawiała się zrozumienie, jak pierwsze promienie słońca o świcie nad morzem. Percy nie zdążył odwrócić głowy na czas, jego twarz potwierdziła porażającą prawdę jej oskarżenia.

– Nie... – szepnęła, gwałtownie nabierając powietrza, a na twarzy pojawiło się teraz przerażenie. – Matthew jest twoim synem! To prawda, tak? Jest twój i... i Mary... – jej głos przeszedł w szept. – O Matko Boska...

Percy się odwrócił, wiedząc, że nie ma sensu zaprzeczać, bo nic już nie naprawi tego, co zdradziła jego twarz.

Lucy stanęła naprzeciw niego, badając go wzrokiem tak dokładnie, że niemal czuł, jak jej wzrok przesywa mu skórę. Nie patrzył jej w oczy, tylko ponad głowę, na wspaniałą, zalany światłem księżycy ogród duchem nie było go w pokoju. Nauczył się tej sztuczki w okopach, kiedy świadomość panującego dokoła spustoszenia mogła doprowadzić do szaleństwa.

Ostry policzek, który mu wymierzyła, szybko przywiódł go z powrotem.

– Masz tupet! – krzyczała Lucy. – Jak śmiesz mnie ignorować w takim momencie! Mów prawdę, gnoju!

Czując pieczenie policzka, Percy odpowiedział ze znużeniem i ulgą, zadowolony, że to już koniec udawania.

– Tak, to prawda. Matthew jest synem Mary i moim.

Przez chwilę oniemiała Lucy gapiła się na niego wstrząśnięta, jej monstrialne piersi podnosiły się i opadały z każdym ciężkim, głębokim oddechem.

– Powinam się domyślić z tego, jak patrzysz na Matthew, a nigdy na Wyatta, że jest twój, ale uwierzyłam Mary, kiedy mówiła, że nic do siebie nie macie, i dała mi wolną rękę, bo wiedziałam, że nie rozłoży nóg przed człowiekiem, który ma w dupie Somerset...

Po czym otworzyła szeroko usta, kiedy uzmysłowiła sobie kolejną, najwyraźniej równie przerażającą prawdę. Cofnęła się, jakby przygotowując do uderzenia.

– Więc z nią umiałeś to robić! A przynajmniej na tyle, żeby ją zapłodnić.

– Lucy, nie ma sensu tego teraz roztrząsać.

– Nie ma sensu? – Lucy powoli okrążała Percy'ego, trzymając palce jak rozcapierzone szpony gotujące się, by wydrapać mu oczy. – No mów, ty draniu. Mów! Z nią ci stawał?

Percy patrzył na wykrzywioną twarz swojej żony i uznał, że nie potrafi już dłużej żyć z tym kłamstwem między nimi – ani z nią. Kłamstwo w niczym nie pomogło, jedynie wyciągnęło na wierzch to zło, które Lucy w sobie nosiła – podobnie jak niezadowolone z ich syna pokazało jego ciemną stronę.

– Mów, cholerny draniu – wrzeszczała na niego Lucy – a może nie potrafisz się przyznać, że nawet piękna Mary Toliver nie dała rady poruszyć twojej męskości? Jakiż musiała przeżyć szok, kłamliwa suka.

Zaczęła się śmiać, pochylona do przodu, opierając ręce na okrytych satyną kolanach, gdy tymczasem spódnica jej wieczorowej sukienki rozłożyła się na podłodze wkoło niej. Z oczu pocięły historyczne łzy.

– Możesz sobie wyobrazić, jak musiała się czuć, gdy odkryła, że zaszła w ciążę? Tyle zachodu w zamian za takie nic! Włosy potargane, nieprawdaż, a nie zdążyła nawet przejechać dookoła domu. Ale jej zrobiłeś kawał.

Percy nie mógł już dłużej tego znieść. Wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek miał dla Lucy, w tej jednej chwili bezpowrotnie odleciały, jakby miał dziurę w sercu. Rzucił się do niej, złapał na stanik sukni i przyciągnął do siebie. Ich twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów. Lucy umilkła. Nie pozwoli, żeby ta mała wiedźma współczuła Mary – nie jego

Mary, która poniosła równie wielką stratę, co Lucy.

Przeszywając na wskroś jej zaskoczone i przestraszone niebieskie oczy, powiedział:

– Pozwól, że odpowiem na twoje pytanie, moja droga. Nie tylko mi stawał, nawet ją na nim podnosiłem. Czasami zanosłem ją tak do łóżka, gdzie kończyliśmy to, co zaczęliśmy gdzie indziej.

Lucy walczyła, by się uwolnić. Znów chciała go uderzyć w twarz, ale złapał jej nadgarstek tak mocno, że krzyknęła z bólu.

– Jesteś okropna, Lucy, kiedy się kochasz. Jak rozgrzana kotka. Dlatego nie mogę dotrzymać ci kroku. Nie ma w tobie żadnej tajemnicy, ani krzty czułości, wrażliwości. Twój pot jest w dotyku jak ropa, a woń ciała paruje jak ciepło z kamieni. Wolałbym go wkładać w świński ryj niż w twoją cipę. Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie przychodzę do twojego łóżka?

I bezlitośnie ją od siebie odepchnął. Lucy zatoczyła się niebezpiecznie, ale utrzymała równowagę. Patrzyła na Percy'ego zranioną, nie dowierzając.

– Kłamiesz! Kłamiesz!

– Skłamałem jedynie wtedy, gdy pozwoliłem ci wierzyć, że to była moja wina.

– Nie wierzę ci.

– W co nie wierzysz? Że z Mary mi stawał czy że jesteś okropna w łóżku?

Odwróciła się od niego, ukrywając twarz w dłoniach. Percy czekał. Równie dobrze mogli skończyć z tym teraz – łyzy, ból, oskarżenia – i mieć to za sobą. Po chwili więc dodał:

– Lucy, chcę rozwodu. Ty i Wyatt możecie zamieszkać, gdzie chcecie. Dopilnuję, by niczego wam nie zabrakło. Nie możemy tak dalej żyć. Jestem złym mężem i jeszcze gorszym ojcem. Musimy jakoś uporać się z przeszłością i żyć dalej.

Lucy opuściła ręce i spojrzała mu w oczy. Sukienka była podarta, a na nadgarstku zauważył ślady swoich palców. Twarz pobrudził rozmazany makijaż.

– Tak po prostu. Pozbędziesz się mnie i Wyatta. Ot, tak.

– Lepiej mu będzie beze mnie. Wszystkim nam będzie lepiej.

– I co zrobisz, kiedy się już nas pozbędziesz? Spróbujesz odzyskać Mary i syna?

– Przecież wiesz, że nie.

– Po tym, co zrobiłeś Wyattowi, nic już nie wiem.

– To, co zrobię po twoim odejściu, to moja sprawa i nie powinna wpływać na twoje decyzje.

Lucy zaczęła wyraźnie drżeć, a jej twarz okropnie pobladła. Składając dłonie razem, usiłując uspokoić głos, zapytała:

– Dlaczego przez te wszystkie lata pozwoliłeś mi w to wierzyć? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że... że to moja wina, jeśli tak jest?

– Bo byłem ci to winien, Lucy. Wyszłaś za mnie, bo... bo mnie kochałaś, a ja ożeniłem się z tobą z niewłaściwego powodu.

– Z niewłaściwego powodu – powtórzyła cicho Lucy. Broda jej drżała. – No cóż, zawsze wiedziałam, że mnie nie kochasz. Więc dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– Byłem samotny, a dzięki tobie czułem się mniej samotny... wtedy.

Lucy próbowała się roześmiać, by zamaskować widoczny smutek, który opanował delikatne, zaokrąglone rysy jej twarzy.

– Ale z nas para smutasów! Patrzcie tylko, ludzie – wielki Percy Warwick, wpływowy i bogaty przystojniak – samotny! Niewyobrażalne! Dlaczego nie ożeniłeś się z Mary? Tylko nie mów, że była na tyle głupia, że wolała Somerset od ciebie?

Percy odpowiedział zgodnie z prawdą:

– W sercu Mary Somerset zawsze była na pierwszym miejscu. Jeden z kącików ust Lucy

wyciągnął się w uśmiechu.

– A ty, oczywiście, nie mogłeś być drugi. Czy... czy wciąż jej pragniesz?

– Wciąż ją kocham.

Spojrzała na niego, a jej wzrok mówił, żeby nie ważył się kłamać.

– Nadal się spotykacie?

– Oczywiście, że nie! – powiedział ostro. – Nie byłem z Mary od wyjazdu do Kanady.

Niesłyszalnie wstrzymał oddech i od razu pożałował słów, które wymknęły mu się tak nieopatrznie. Kiedy zobaczył błysk w oczach Lucy, w sercu poczuł chłód, jakby ktoś złapał je zimną ręką.

– Kanada... – zastanawiała się głośno. – Wyjechałeś tam, kiedy Ollie i Mary się pobrali, dlatego nie było cię na ślubie... Czy Ollie wie, że Matthew nie jest jego?

Jej ton przywołał obraz oślizłego węża, który bezszelestnie pełźnie w stronę ofiary.

– Wie.

Lucy swobodnym krokiem podeszła do okna. I zapytała, stojąc odwrócona do niego plecami:

– Ale Matthew nie wie, że jesteś jego ojcem, prawda?

Percy poczuł zimne ciarki na plecach. Po co mówił o tej cholernej Kanadzie? Prawda w rękach Lucy mogła zniszczyć ich wszystkich... wszystkich, których kochał.

– Nie wie.

Powoli się odwróciła. Jej twarz była teraz spokojna, palce bawiły się rozerwanym dekoltem sukienki.

– No pewnie, że nie wie. Pamiętam, jak pytałam twoją matkę, dlaczego nie było cię na ślubie Mary i Olliego, a ona wyjaśniła mi, że wróciłeś dzień po ceremonii. Na mój rozum Mary odkryła swoją ciążę, kiedy byłeś w Kanadzie. Poszła więc do Olliego, swojego wiernego niewolnika, a on przeszczęśliwy wziął ją tak, jak stała. Używana zawsze lepsza niż żadna, szczególnie dla mężczyzny z jedną nogą. No i, rzecz jasna, Ollie wiedział, czyje ręce jej używały...

– Zamknij się, Lucy.

– Nie, dopóki czegoś nie ustalimy, kochanie – i podeszła do niego, kręcąc biodrami, po czym zbliżyła twarz do jego twarzy. Percy wzdrygnął się, czując wzbierającą w sobie złość, i Lucy się cofnęła. Twarz znów jej płonęła. – Boże, nienawidzę cię, ty pretensjonalny draniu. Dobrze, posłuchaj mnie, Percy Warwicku. Nigdy nie dam ci rozwodu. I nie próbuj go uzyskać, bo jeśli to zrobisz, przyrzekam, że pójdę do Matthew i powiem mu prawdę o jego ojcu. Całe Howbutker się dowie. Ogłoszę to całemu światu. I każdy, tak jak ja, z łatwością obliczy, ile jest dwa dodać dwa. Będą pamiętać, że kiedy Matthew się urodził, Mary była w Europie, a także pospieszny ślub i wyjazd za morze i jakie to niepodobne do Mary, że zostawiła plantację na tak długo. Na pewno pamiętają też, że ty byłeś wtedy w Kanadzie, więc nie mogłeś z niej zrobić uczciwej kobiety. Wszyscy z łatwością mi uwierzą.

I jakby nigdy nic, wyjęła z uszu kolczyki z rubinami i diamentami.

– Czy Mary i Ollie wiedzą, że ty wiesz?

Kiedy Percy nie odpowiedział, kontynuowała:

– Ach, więc nie. To do nich podobne, myślą, że zatrzymali sekret dla siebie. Nie mam pojęcia, jak to odkryłeś, ale chyba wiem, jak to się dla nich skończy – dla was wszystkich – jeśli wybuchnie skandal ojcostwa Matthew.

Percy stał przerażony. Był przekonany, że Lucy nie żartuje i jej groźba jest realna. Nie miała nic do stracenia, a on wszystko.

– Dlaczego chcesz zostać moją żoną? Przecież jesteś nieszczęśliwa.

– Wcale nie. Lubię być żoną bogatego i wpływowego mężczyzny. I myślę, że teraz jeszcze bardziej mi się to spodoba. A skoro jestem okropna w łóżku, to chyba nie mam zbyt dobrych widoków na złapanie kolejnego wartościowego męża, prawda? Ale jest jeszcze jedna przyczyna. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek był wolny, by poślubić Mary Toliver DuMont.

– Przecież i tak nie mógłbym jej poślubić, nawet gdybym się rozwiódł jutro.

– Wolę mieć pewność. Nie, Percy, jesteś ze mną na zawsze. Albo do śmierci Mary DuMont.

Satysfakcja znikła z jej twarzy w jednej chwili, gdy Percy podszedł do niej i zobaczyła jego oczy koloru arktycznych wód. Cofnęła się do kominka, na ile pozwolił płonący w nim ogień i łatwopalny materiał jej sukienki.

– W takim razie ty też coś zapamiętaj, Lucy. Jeśli Matthew kiedykolwiek dowie się, że jestem jego ojcem, zostaniesz na bruku z niczym. Będziesz żałować, że nie uciekłaś, kiedy się opłacało. Powiedziałaś wcześniej, że nic już o mnie nie wiesz. Na twoim miejscu pamiętałbym o tym.

Lucy przesunęła się trochę w stronę drzwi.

– Mogę ci wybaczyć to, że nie kochasz mnie – powiedziała – ale nigdy ci nie wybaczę, że nie kochasz Wyatta. On też jest twoim synem.

– Mam tego pełną świadomość i wiem, że ja też nigdy sobie nie wybaczę, że go nie kocham, może dzięki temu poczujesz się lepiej.

Rozdział czterdziesty

Howbutker, lipiec 1935

List do pana. Przyniósł go chłopak Winstonów.

Gdy Percy odbierał list z rąk sekretarki, od razu rozpoznał charakter pisma. Zakaszłał, by zamaskować wstrzymany oddech.

– Powiedział, kto go przysłał?

– Nie, proszę pana. Zapytałam, ale nie chciał powiedzieć.

– Dziękuję ci, Sally.

Percy poczekał, aż drzwi się zamkną i dopiero wtedy rozciął zaklejoną kopertę.

Wyciągnął kartkę z wiadomością: „Spotkajmy się w chacie dziś o 3.00. ML”.

ML. Mary Lamb.

Percy usiadł wygodniej i zastanowił się. O co tu mogło chodzić? Musiało to być coś ważnego, w dodatku tajemnica, skoro Mary chciała się z nim spotkać w chacie, miejscu dla nich świętym. Nie byli tam razem od czasu ich brzemiennego w skutki spotkania tego popołudnia piętnaście lat temu.

Poprzedniego wieczoru w żaden sposób nie dała poznać, że coś jest nie tak. Był u nich na małym przyjęciu powitalnym wydanym dla Williama, syna Milesa, który po śmierci ojca przyплыł z Paryża i miał u nich zamieszkać. I Mary, i Ollie wydawali się zdenerwowani, ale Percy składał to na karb ciężkich czasów, które wszystkim w okolicy dawały się we znaki. Nie wiedział tylko, jak ciężkich. Ich rodziny nigdy nie poruszały tematu kłopotów finansowych, ale spadające ceny bawełny i marne wyniki sprzedaży detalicznej miały zapewne wpływ na ich sytuację. I chociaż niepokoił się o przyszłość DuMontów, o wiele bardziej martwił go los Matthew. Wszystko, co wiązało się z nimi, dotyczyło również jego syna.

Czy to ma coś wspólnego z Wyattem?

Trudno było przewidzieć, jakie kapryśne karty los może im jeszcze rozdać, i jakie niespodziewane oblicze pokazać. Po leśnym spotkaniu z Wyattem obawiał się, że ten nawet bardziej znienawidzi Matthew. Ale stało się coś wręcz przeciwnego. Ku zdziwieniu jego, Lucy i panny Thomson w ciągu kilku dni chłopcy zaczęli chodzić wszędzie razem, a do końca roku szkolnego stali się nierozłączni – jak bracia, mówili wszyscy.

Na początku Percy podejrzewał, że to próba zdobycia jego przychylności. Szybko się jednak przekonał, że chłopiec nie chciał ani jego przychylności, ani niczego innego. Nie zabiegał o uwagę ani czas ojca, a zdanie Percy’ego na jego temat w ogóle go nie interesowało. Chłopiec przestał zauważać jego istnienie.

– Widzisz, co narobiłeś? – lamentowała Lucy. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

Zniechęciłeś do siebie jedynego syna, którego możesz tak nazwać. Co z tego, że go nie kochasz, była szansa, że on pokocha ciebie. A każdy z nas może osiągnąć więcej, mając więcej miłości, a nie mniej, niezależnie od tego, od kogo pochodzi. Rozejrzyj się. Może nie zauważyłeś, ale te studnie, z których kiedyś mogłeś czerpać, ile chciałeś, wyschły i znikły.

Miała oczywiście rację, co dość często się jej zdarzało, jak zauważył. Bez matki i ojca, bez Mary, która odeszła, bez żony i syna, których od siebie odepchnął, pozostali mu tylko Ollie i Matthew, ale jego uczucia, choć pełne ciepła i jak najszczersze, były tylko uczuciami chrześniaka do ukochanego wujka. Liczył kiedyś, że kończąc czterdziestkę i mając za sobą czternaście lat małżeństwa, będzie mógł się cieszyć czymś więcej.

Czy Mary dowiedziała się jakoś o jego romansie z Sarą Thomson?

Po wysłaniu Wyatta do szkoły z rozciętą wargą i spuchniętym nosem, co tydzień

zachodził do jej klasy, by omówić zachowanie syna. Z czasem ich relacja zmieniła się w coś więcej i dziś spotykali się regularnie w różnych miejscach, unikając ludzkiego wzroku. Ogromnie się starał, żeby utrzymać ich związek w tajemnicy, bardziej ze względu na Sarę niż na siebie. W tym okresie dla nikogo nie było tajemnicą, jak sprawy małżeńskie stoją w Warwick Hall i nikt nie miałby mu za złe, gdyby wziął sobie kochankę, dopóki będzie ją trzymał z dala od Howbutker oraz żony i syna. Mimo to jednak obawiał się, że przez jakieś głupstwo wszystko się wyda i ich związek zostanie odkryty. Kilka razy już prawie wpadli, więc teraz z ciężkim sercem Percy zastanawiał się, czy to spotkanie ma go ostrzec przed wybuchem skandalu.

Przyjechał trochę wcześniej, ale Mary już czekała. Przed domem zobaczył błyszczący roadster, w miejscu pod drzewem, gdzie kiedyś stał Shawnee i bryczka. Percy został jeszcze na chwilę w swoim cadillaku, by ukoić dawną rozpacz. Była w nim zawsze, ale schowana tak głęboko, że prawie jej nie czuł, jak ból, który wzmaga się tylko przy pewnej pogodzie.

Mary stała na środku, przechylając lekko głowę, a jemu przyszło na myśl, że może słyszy echo dawnych czasów. Kiedy wszedł, odwróciła się – zjawisko w czerwonej kwiecistej sukience, która podkreślała jej zmysłowe, lśniące, granatowoczarne włosy. Miała trzydzieści pięć lat, była w pełnym rozkwicie swojej kobiecości.

– Trochę się tu zmieniło – powiedziała. – Nie rozpoznaję kanapy.

– Kiedyś miałem ją w gabinecie – wyjaśnił Percy. – Matthew zaanektował ją za namową Wyatta.

Mary roześmiała się.

– Kolejne pokolenie chłopców cieszy się magią tego miejsca. Muszę przypomnieć Matthew, że powinni utrzymywać tu porządek.

– Jak chcesz to zrobić, nie zdradzając, że tu byłeś?

Zawstydzona machnęła wypielęgnowaną dłonią. Każdy centymetr jej ciała świadczył o atencji i wspaniałym guście męża, który uwielbia ubierać ją i ozdabiać we wszystko, co najlepsze.

– Racja – przyznała. – Wiem, że oboje czujemy się trochę nieswojo, ale to jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy. Nie chciałam, żeby ktoś zobaczył, jak rozmawiamy, bo inaczej Ollie mógłby się domyślić, co chcę z tobą omówić.

Więc nie chodziło o Wyatta ani o Sarę. Zaczął oddychać swobodniej, jednak puls wciąż miał lekko przyspieszony.

– Coś nie w porządku z Olliem?

– Możemy usiąść? Jest jeszcze wcześniej, ale przyniosłam nam coś do picia. Dla ciebie szkocka. Dla mnie herbata – uśmiechnęła się do niego, jak zwykle lekko tylko rozchylając usta. Rzadko widywał u niej teraz pełny uśmiech.

– Poczekam – zdecydował.

– No dobrze – powiedziała, po czym strzepnęła delikatnie ręką poduszkę jednego z krzesel. Uniósł się kurz, ale i tak usiadła, zakładając nogę na nogę. – Usiądź, Percy. Nie umiem z tobą rozmawiać, jak tak nade mną stoisz.

Zacisnął nieco zęby, czując ogarniającą go falę wspomnień. W końcu usiadł na kanapie, przybierając rzeczową pozę, jak ją nazywała Lucy: dłonie razem, przedramiona oparte na kolanach, chłodny wzrok. Nie byli z Mary sami od czasu ich ostatniego spotkania w tej chacie.

– A więc, co z Olliem?

Powieki jej drgnęły na ten ton, ale zachowała spokój.

– Ma bardzo poważne kłopoty finansowe. Może stracić domy towarowe. Człowiek o nazwisku Levi Holstein wykupił hipoteki i nie godzi się na przedłużenie terminu płatności. Chce je włączyć w sieć swoich sklepów. Na pewno możesz sobie wyobrazić, co przeżyje Ollie

i jego ojciec, kiedy ich domy towarowe wpadną w ręce takiego człowieka. Abła to zabije.

Percy znał reputację Leviego Holsteina. Wykupywał hipoteki bankrutujących sklepów od banków, które chciały odzyskać jakiegokolwiek pieniądze, a kiedy detalista nie wywiązał się z jakiejś płatności, natychmiast zajmował obciążoną nieruchomością. Zwykle za bezcen przejmował domy towarowe takie jak ten DuMontów wraz z ich dobrą marką, a potem gatunkowe towary zastępował tanimi wyrobami.

– Obydwa? – upewnił się osłupiały Percy. – Ten w Howbutker też? Myślałem, że hipoteka nie jest obciążona.

– Ollie nie był tak... mądry jak ty i wierzył, że rynek nie jest przewartościowany. Inwestował w akcje i pożyczal na budowę i wyposażenie, i towar do drugiego sklepu, pod zastaw tego w Howbutker. Nawet gdybyśmy mogli sprzedać sklep w Houston, suma, jaką mu zaproponowano, nie wystarczy, by utrzymać ten w Howbutker.

Percy'emu kręciło się w głowie. Było gorzej, niż myślał. Ollie, jego przyjaciel i brat, nie będzie już właścicielem domu towarowego w Howbutker? Prawie sto lat pracy na próżno? To nie do pomyślenia. I Mary miała rację, że Abel tego nie przeżyje. Już teraz był chory i choć wnuk dostarczał mu wiele radości, od śmierci rodziców Percy'ego czuł się nieco zagubiony. A co z Matthew? Miał cichą nadzieję, że pójdzie w ślady Olliego, a nie Mary.

– Ile ma czasu?

– Do końca miesiąca, jeśli nie zapłaci pełnej kwoty – mówiła Mary, patrząc posępnie.

– Sprzedałabym Somerset, każdy jej hektar, przyrzekam, gdyby Ollie się zgodził i gdybym mogła dostać choć ułamek jej wartości, nie mówiąc już o znalezieniu kupca. Nikt nie chce plantacji bawełny, kiedy taniej może kupić ziemię przygotowaną pod bardziej opłacalny zasiew.

Nagle wstała, pocierając gardło.

– Przepraszam cię – powiedziała, idąc w stronę zlewu – ale zaschło mi w ustach.

Najpierw muszę się czegoś napić.

Percy już prawie wstawał, żeby do niej podejść, jednak siłą woli jakoś się powstrzymał. Napięcie widoczne w jej barkach rozdzierało mu serce, ale nic tu nie pomoże, jeśli weźmie w ramiona tę piękną kobietę, którą wciąż kocha, której pragnie i która jest żoną jego najlepszego przyjaciela, za którego oddałby życie. W szklance Mary brzęczał lód, gdy się odezwał:

– Spotkałaś się ze mną tutaj, bo uważasz, że potrafię ci pomóc. Więc powiedz mi w końcu, co mam zrobić.

– Popęlnić oszustwo.

– Co?

Mary długo przełykała mrożoną herbatę, potem sięgnęła po swoją torebkę, leżącą na szafce. Wyciągnęła z niej złożony dokument i podał mu go.

– To od Milesa – wyjaśniła. – Jeden to list do mnie, a drugi akt własności. Otrzymałam je krótko po jego śmierci.

Percy przyjrzał się aktowi własności. Zauważył nazwisko Mary.

– To te dwieście sześćdziesiąt hektarów ziemi nad rzeką, które wasz ojciec zapisał Milesowi.

Mary kiwnęła głową.

– Miles zapisał go mnie, żebym zatrzymała go dla Williama, aż skończy dwadzieścia jeden lat. Jak wiesz, małoletni nie mogą posiadać w Teksasie ziemi. Jego instrukcje są w liście.

Percy czytał list, zaczynając rozumieć, po co go tutaj zaprosiła, w uszach dzwięczało mu słowo „oszustwo”. Kiedy skończył, podniósł na nią przerażony wzrok.

– Mary, Miles mówi wyraźnie, że masz zatrzymać tę ziemię dla Williama. Chyba nie chcesz mi zaproponować, żebym ją kupił.

– Mówiłeś, że chcesz kupić coś nad rzeką, by odprowadzać ścieki ze ścieralni drewna, którą chcesz wybudować.

– Boże, Mary! – Był wściekły, czuł pulsowanie w skroni. – Dam ci każdą sumę, jakiej potrzebujesz, ale nie kupię ziemi, którą Miles przeznaczył dla syna.

– Wierzę, że kupisz, jak mnie wysłuchasz do końca. Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał. Percy wziął głęboki oddech. Jak mógł jej odmówić? Już raz tak zrobił i do dziś tego żałuje.

– Dobrze – powiedział, powściągając gniew. Usiadł wygodniej, kładąc wyprostowaną rękę na oparciu kanapy, jak wtedy, od kiedy upłynęło już wiele lat i niespełnionych marzeń.

– Słucham cię uważnie.

Widział, że jest zbyt rozemocjonowana, by siedzieć. Zwiewna sukienka obijała się o jej nogi, gdy chodziła tam i powrotem, prezentując argumenty najprawdopodobniej przeciwiczone wcześniej setki razy w głowie. Percy potrzebował działki nad rzeką, mówiła. Jeśli nie kupi gruntu Milesa, będzie musiał zainwestować poza hrabstwem, tym samym pozbawiając Howbutker wielu miejsc pracy, a tego na pewno nie chciał. Pieniądze ze sprzedaży pokryją długi Olliego i uratują przynajmniej dom towarowy w ich rodzinnym mieście. Percy nie musi się martwić, że pozbawia Williama jego spadku. Po jej śmierci odziedziczy połowę Somerset, której wartość będzie o wiele większa niż tego kawałka nad Sabine. W pewnym sensie odziedziczy również część sklepu, którego nie mógłby dostać, gdyby go teraz stracili.

– Ale w ten sposób, gdy skończy dwadzieścia jeden lat, nie dostanie nic i nigdy nie dowie się, że ojciec zostawił mu ziemię – zauważył Percy.

– Tak, to prawda – zgodziła się Mary, zatrzymując się i patrząc na niego z żalem – ale jak może go skrzywdzić coś, czego się nigdy nie dowie? Kiedy dorośnie, będę szczęśliwa, mogąc przekazać mu zarząd Somerset, a zyskami podzielią się z Matthew. Zamiast spadkobiercą Milesa, będzie moim. Czegóż więcej mój brat mógłby chcieć dla swojego syna? A czego więcej ja mogłabym sobie życzyć, jak nie kolejnego Tolivera w Somerset?

Percy milczał, ale poczuł lekkie drżenie górnej wargi, gdy Mary jednym tchem wymieniła Matthew i Williama.

– Percy, przecież wiesz, że Ollie nie przyjmie od ciebie pieniędzy – kontynuowała, siadając w końcu i badając go wzrokiem ze swojego krzesła. – Mógłbyś opróżnić swoją skrytkę bankową wprost na jego kolana, a i tak by ich nie wziął. Ale... jeśli uda ci się go przekonać, że ten grunt jest ci naprawdę potrzebny i że ścieralnia zapewni nowe miejsca pracy tak potrzebne w całym hrabstwie, być może Ollie zgodzi się na sprzedaż. Zawarliśmy pewną umowę – zaczęła nieco wyższym tonem – dawno temu, kiedy zgodził się być moim żyrantem – podniosła błagalnie oczy, prosząc go o wybaczenie, że porusza ten bolesny temat. – Musiał mi obiecać, że pozwoli sobie pomóc, jeśli sam znajdzie się w podobnej sytuacji. I mam zamiar dopilnować, przy twoim wsparciu, żeby wywiązał się z tej obietnicy.

Percy zdjął rękę z oparcia i znów się pochylił. Jej argumenty były niegłupie, choć nie do końca zgodne z prawem. Gdyby kupił tę ziemię, wszyscy by zyskali. Nawet jeśli Mary nie utrzyma plantacji – co bardzo możliwe – dom towarowy zapewniłby im dochód, a Matthew spadek. Nikt nie straci – oprócz Williama.

– Mary, zapomniałaś o jednej rzeczy – zauważył. – Ollie nigdy nie pozwoli sprzedać własności Williama. Uzna, że powinnaś postąpić zgodnie z ostatnią wolą Milesa.

Zapadła krótka cisza wypełniona dolatującymi z nad jeziora dźwiękami koncertu pasikoników. Poczul mrowienie na głowie. Rozpoznał to milczenie.

– Mary, czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

– Ollie nie widział listu. Ja... nie pokazałam mu go, kiedy przyszedł. Powiedziałam tylko,

że dostałam list z prośbą, byśmy wzięli Williama do siebie, ale udałam, że nie wiem, gdzie go położyłam. Pokazałam mu akt własności z moim nazwiskiem, tłumacząc, że kiedy Miles dowiedział się, że umiera, przepisał ziemię na mnie.

Percy stłumił narastające w nim obrzydzenie. Wyobraził sobie Milesa, jak umiera w bólach na raka płuc, pisząc list i ufając, że siostra dopilnuje spraw jego syna.

– To po co do cholery pokazałaś ten list mnie? Gdybym o nim nie wiedział, kupiłbym tę ziemię bez zastanowienia.

Patrzyła na niego bezradnie, cała zawstydzona.

– Bo... chyba nie umiałam i ciebie oszukać, Percy. Nie chciałam... żebyś zgodził się na moją propozycję, nie znając całej prawdy – rumieniec podkreślił doskonałość jej policzków.

– Chciałam, żebyś wiedział wszystko, żebyś mógł... żebyś mógł mi odmówić... bez poczucia winy.

– Daj spokój, Mary. Przecież sama w to nie wierzysz! – wykrzyknął i wstał gwałtownie.
– Gdzie ta whisky?

Poszedł do wnęki kuchennej i przeszukał papierową torbę. Mary z obawą patrzyła, jak bierze butelkę i nalewa sobie sporą porcję. Po chwili, kiedy whisky zaczęła działać, powiedział:

– A może jest inny sposób.

– Jaki?

– Mógłbym pójść do Holsteina i zaproponować wykup hipotek. Ollie nie musi wiedzieć, że to ja. Dałbym mu tyle czasu, ile potrzebuje.

W jej oczach zabłysła nadzieja.

– O tym nie pomyślałam. Sądysz, że to możliwe?

– Spróbujmy. Jeśli Holstein odmówi, przyjmę twoją propozycję, ale musisz mi jedną rzecz przysiąc – jego ton ostrzegał przed jakąkolwiek próbą kolejnego oszustwa.

– Co tylko chcesz.

– Musisz przysiąc, że prosisz mnie o to, żeby pomóc Ollimu, a nie z powodu Somerset.

– Przysięgam... na duszę mojego syna.

– Więc lepiej uważaj, żebyś nie naraziła jej na niebezpieczeństwo – powiedział i odstawił szklankę. – Potrzebuję kilku dni, żeby się z nim rozmówić, potem skontaktuję się z tobą listownie. Wyślę jednego z chłopców. Nie możemy ryzykować rozmowy przez telefon.

Tydzień później Percy siedział w swoim gabinecie i formułował list do Mary. Nie udało mu się przekonać Leviego Holsteina. Nie tylko wyśmiał hojną ofertę Percy'ego, mówiąc, że pół życia czekał na sklep takiej klasy, ale wydrwił też Olliego, który jedynie sam sobie zawdzięcza sytuację, w której się znalazł...

– Nie ma głowy do interesów – tłumaczył Percy'emu w swoim obskurnym kantorku w Houston, pukając się w głowę z zżółkniętym paznokciem. – Jaki właściciel sklepu w dzisiejszych czasach przyjmuje skrypty dłużne w zamian za towar? Jaki właściciel ziemski nie eksmituje lokatorów, którzy nie płacą czynszu, kiedy Teksas zalewają robotnicy naftowi dający za mieszkanie dwa razy więcej?

– Może po prostu dobry człowiek? – zasugerował Percy.

– Chyba głupi człowiek, panie Warwick. A ani pan, ani ja głupi nie jesteśmy.

– Jest pan tego pewien, panie Holstein? – zapytał Percy i patrzył, jak tamtemu bieleje twarz, gdy zdał sobie sprawę, co chciał przez to powiedzieć.

Zalepił kopertę i wezwał z piwnicy jednego z gońców.

– Zaniesiesz ten list pani DuMont i oddasz tylko do rąk własnych. Nikomu innemu.

Zrozumiano?

– Zrozumiano, proszę pana.

Ze swojego okna na najwyższym piętrze patrzył, jak chłopiec pedałuje na rowerze. W ustach czuł nieprzyjemny, gorzki smak. Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, a co ze złymi uczynkami popełnionymi w dobrym intencjach? Czy też się w tym zawierały? Życie nauczyło go, że wszystko, co się źle zaczyna, źle się kończy. A w tym przypadku, no cóż, tylko nieprzewidywalny i miłosierny czas może dać odpowiedź.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Howbutker, wrzesień 1937

Percy siedział w ławce Warwicków, czekając na rozpoczęcie mszy. Kołysany cichym szmerem rozmów wokół niego i sennym szumem sufitowych wentylatorów pogrążał się w zadumie. Był jedynym członkiem rodziny obecnym w kościele. Kiedy brali ślub, Lucy myślała nawet o przejściu na protestantyzm, ale ostatecznie nigdy tego nie zrobiła, a Wyatt spędził noc – jak każdą z soboty na niedzielę – u DuMontów. I jeśli Ollie nie huknął rano na całe towarzystwo, istniało spore prawdopodobieństwo, że chłopcy nie zdążą na mszę, a w tej chwili pozerają stopy naleśników Sassie opływających masłem i syropem z trzciny cukrowej. Z obydwu ich rodzin tylko on i Ollie uczęszczali do kościoła regularnie. Mary zjawiała się okazjonalnie, niedzielne poranki spędzając zazwyczaj nad rachunkami w domu Ledbettera, a Lucy była niepraktykującą katoliczką i zwykle późno tego dnia wstawiała.

Ollie musiał jednak huknąć, zauważył rozbawiony Percy. Otworzyły się boczne drzwi kościoła i wszedł najpierw jego stary przyjaciel, a następnie Matthew, Wyatt i William, syn Milesa. Percy uśmiechnął się do siebie. Wyobraził sobie scenę, która rano rozegrała się w ich domu, gdy Ollie i Sassie zapędzali to trio do mycia, czesania i wbijania się w garnitury oraz krawaty. Mary pojechała na pewno do domu Ledbettera już przed świtem, bo przecież mieli żniwa.

Wszyscy czterej go zobaczyli. Ollie, jak zawsze uśmiechnął się szeroko, żartobliwie podnosząc oczy do nieba na wspomnienie porannych przejść, a Matthew i William pomachali mu z uśmiechem. Tylko twarz Wyatta pozostała bez wyrazu, a oczy unikały wzroku ojca, jakby go nie zauważając.

Percy patrzył, jak chłopcy idą nawą aż do ławki DuMontów, a Wyatt manewruje tak, by usiąść obok Matthew. Nie potrafił opanować uczucia zazdrości, po jednej stronie Olliego widząc obu swoich synów, a po drugiej syna Milesa, który teraz również należał do jego przyjaciela. Ollie nie siedział w swojej ławce osamotniony, zastanawiając się, co zrobi z resztą dnia, tak jak Percy. Wróci po mszy do domu z trójką chłopców, a tam będzie czekać Mary i roznoszący się po całym domu zapach pieczonej szynki, smażonego kurczaka albo wołowiny. Usiądą z Mary na zadaszonym, otoczonym moskitierą tarasie, ona ze swoją mrożoną herbatą, on z kieliszkiem białego wina, a chłopcy postarają się, by do obiadu nie pobrudzić swoich odświętnych ubrań, które będą mogli zmienić po posiłku. Potem Ollie się zdrzemnie, a Mary znów popracuje, gdy tymczasem chłopcy zagrają w te same gry, w które co niedzielę grali Percy, Ollie i Miles w czasach, gdy sami dopiero dorastali. Późnym popołudniem ciekawa partyjka kart i lekka kolacja – może nawet ciasto – a na zakończenie usiądą skupieni wokół radia. Cudowna niedziela. Nie ma nic lepszego. Percy pamiętał takie z własnego domu, gdy jeszcze żyli rodzice i zanim nastąpiła Lucy. Bardzo prawdopodobne, że już mu się takie nie zdarzą.

Zaczęła się msza. Uczestniczył w niej raczej ciałem, duchem skupiony na swoich dwóch synach siedzących jeden obok drugiego kilka ławek dalej. Tak bardzo się od siebie różnili. Dziwne, jak bardzo obaj przypominali swoje matki. Po nim wzięli jedynie wzrost, Matthew w wieku lat szesnastu, a Wyatt dziewięć miesięcy młodszy, już teraz o głowę przewyższali swoich rówieśników.

Wyatt obdarowany został męską wersją silnej i zwartej budowy ciała Lucy, podczas gdy Matthew odziedziczył po Mary długą i wiotką sylwetkę. Wyatt zawsze będzie miał problem z postawą ciała, Matthew nigdy. Percy żałował, że nie istnieje narzędzie, którym można by rozciągnąć grubą szyję Wyatta i wyprostować niezgrabne pochylenie jego pleców. Obok w ławce

starszy brat z wdziękiem i lekkością Mary trzymał wysoko podniesioną głowę, proste plecy i ramiona.

Ten jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie...

Wstając, by zaśpiewać pieśń wraz z zebranymi, Percy zganił się za niesprawiedliwe traktowanie drugiego syna. W Wyatcie też powinien mieć upodobanie. Chłopiec bardzo się starał, choć Matthew przychodziło to naturalnie, a więc łatwiej. Dla Wyatta naturalna była tylko agresja, rodzaj kontrolowanej wojowniczości, która bardzo przydawała się na boisku do gry w piłkę, którą obaj chłopcy uwielbiali. Percy'ego zdziwiło, że Wyatt tak łatwo podporządkował się obowiązującym tam zasadom i dyscyplinie, jak również grze zespołowej, której wymaga futbol. Ale zrobił to, w dodatku z pełnym zaangażowaniem, i Percy mógł go tylko podziwiać.

Chłopcy grali od siódmej klasy, a teraz wspólnie byli kapitanami młodszej drużyny szkolnej. Spodziewano się, że po raz pierwszy poprowadzą Howbutker do tytułu mistrzowskiego, a Percy i Ollie nie mogli się doczekać tego dreszczu emocji.

Na treningi obydwaj mężczyźni przychodzili razem, ale mecze oglądali osobno, każdy ze swoją żoną, zajmując miejsca po przeciwnych stronach rzędu. Matthew był rozgrywającym, Wyatt grał w ataku – prowadził kolegów, ochraniając lidera i robiąc mu miejsce do przejścia z piłką. Lucy podczas meczu nie spuszczała oczu z Wyatta, Percy rzadko odwracał wzrok od Matthew. O ile ten pierwszy przypominał na boisku byka, sylwetka Matthew przywołała skojarzenia z koniem czystej krwi. Nie mógł wprost uwierzyć w zręczność, z jaką potrafił wymanewrować przeciwników, w to jak inteligentnie ustawia drużynę i w czystą magię, z jaką posyła piłki do partnera na polu punktowym. To było porywające, wspaniałe. I kiedy tłum na trybunach zrywał się, nagrodzić go owacjami, Percy krzychał w duszy: „To mój syn! To mój syn!”.

Ale i Wyatt dostarczał mu powodów do dumy. Choć z trudem się uczył, kiedy już coś pojął, nigdy tego nie zapominał. Był bardzo pracowity, siedział po nocach, walcząc ze smokami swoich zadań domowych. Percy monitorował jego szkolne postępy przez Sarę i od niej dowiadywał się o chwilach bliskich porażki i niemal zwycięskich, a także o ocenach, które nie odzwierciedlały jego ciężkiej pracy i wytrwałości.

Gdy wracał czasem późno od Sary i widział światło w pokoju syna, nie zaglądał do niego, by zapytać, jak leci, jak zwykł robić to dawniej. Wyatt nie lubił, gdy go tak nachodził, pomrukiwał tylko coś niewyraźnie w odpowiedzi, nie podnosząc nawet głowy znad książek.

Równie ciężko harował w ścieralni drewna. Kierownicy wychwalali jego wysiłki, zaskoczeni tak samo jak Percy, że nie wykorzystuje swojej pozycji syna właściciela, by wymigać się od obowiązków, podobnie jak nie wykorzystywał stanowiska ojca w zarządzie szkoły, by domagać się przywilejów u nauczycieli. Syn przyjmował jego pochwały z taką samą obojętnością, z jaką zapewne przyjąłby krytykę, podejrzewał Percy. I ta obojętność sprawiała mu pewną ulgę, bo wstydził się, że ciężko wypracowane sukcesy Wyatta i jego heroiczne wysiłki nigdy tak go nie wzruszały jak osiągnięcia Matthew, choć te przychodziły mu z większą łatwością i w sposób naturalny.

Podczas czytania Pisma Świętego ciszę panującą w kościele przerwał kaszel. Wiele głów, w tym i Percy'ego, odwróciło się w stronę ławki DuMontów. Winowajcą okazał się Matthew. Percy widział, jak Ollie dyskretnie podaje mu chusteczkę. Matthew zakaszał w nią, wydobywając z siebie rozrywający płuca suchy charkot, który zwrócił na siebie zaniepokojony wzrok Wyatta.

Percy poczuł niepokój. Chłopak się przeziębził, pomyślał, zadowolony, że będzie pod opieką Olliego. Nie musi się martwić, że Ollie pobiegnie do swojego sklepu i zostawi chłopca samego.

– ...Dawajcie, a będzie wam dane; miarę dobrą, natłoczoną, utrzęsioną i opływającą wsypią w zanadru wasze – czytał pastor. – Odmierzą wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie.

Percy słuchał, a jego wzrok znów powędrował do Olliego. Oto u jego boku siedzi, a w domu czeka, dowód na prawdziwość obietnicy zawartej w Biblii. Ollie zawsze dawał pełną miarę, nie patrząc na koszty. Z wszystkich ludzi, których znał i z tych, których pozna, Ollie dawał najwięcej. Jeśli musiał stracić kobietę, którą kochał, cieszył się, że odebrał mu ją właśnie on. Jeśli musiał oddać syna, którego nie mógł uznać za swojego, cieszył się, że wychowuje go Ollie. Skoro jego syn odwrócił się od niego, uznając w kimś innym ojca, którego szanuje i kocha, dobrze, że był to Ollie. Zanadrze Olliego rzeczywiście opływało w bogactwa, i słusznie. Percy cieszył się i z tego. Nie rozumiał tylko, jak to się stało, że jego samego odmierzono miarą aż o tyle mniejszą.

Msza powoli dobiegała końca. Kiedy wszyscy wstali na błogosławieństwo, Matthew uśmiechnął się do niego, poruszając brwiami. Percy zachichotał, ale jego niepokój się pogłębił. Chłopak był błydy i wydawał się chudszy niż poprzednim razem, kiedy go widział. Po skończonej modlitwie odczekał, aż dojdą do niego Ollie i jego podopieczni.

– Może pójdziesz z nami na niedzielny obiad? – zaprosił go przyjaciel. – Sassie robi kurczaka i kluseczki. Ten oto Matthew – mówił, udając, że wymierza chłopcu kuksańca w ramię – ostatnio nic nie je, więc Sassie pomyślała, że tym go w końcu skusi. Co do mnie, nie potrzebuję wymówki, żeby jeść przysmaki Sassie. Mam nadzieję, że nikt nie słyszał, jak mi burczy w brzuchu.

– My słyszeliśmy, tato – powiedział Matthew, przewracając oczami. – Ale wzięliśmy to za grzmoty gdzieś na równinie.

– Przydałoby się chyba trzepnąć cię w ucho – odparł Ollie łagodnie. – No i co, Percy, stary koniu? Wyatt i tak zbieramy.

Percy miał wielką ochotę przyjąć zaproszenie. Lucy i tak będzie grała w brydża z tymi prostackimi pozał się Boże koleżankami, z którymi zabawiała się teraz co niedzielę, wiedząc, że u DuMontów Wyatt zaopatrzą jak należy. Ale Wyatt wbił oczy w podłogę i przebierał nogami, co Percy wziął za znak, że woli, by odmówił. Powiedział więc:

– Dzięki, ale zaplanowałem, że popracuję trochę w biurze.

W rzeczywistości umówił się z Sarą, ale na później. Zjedzą pewnie ser z grilla, jak zwykle spalony. Gotowania nie można zaliczyć do jej talentów. Stwierdził, że Matthew wygląda naprawdę mizernie, i martwił się, że w domu nie traktują jego stanu tak poważnie, jak powinni.

– Wyatt, nie nadużywaj gościnności, słyszysz? – zwrócił się do syna. – Daj Matthew trochę odpocząć. Ollie, jeśli będzie trzeba, wyrzuć go do domu.

Ollie spojrzał ciepło na Wyatta i poklepał go po ramieniu.

– Nie ma sprawy, ale Wyatt nigdy nie nadużywa naszej gościnności.

– No, w każdym razie zachowuj się – instruował dalej, a po chwili dodał: – Właściwie zawsze się zachowuje, więc dlaczego czuję, że muszę to powiedzieć?

– Bo jesteś jego ojcem – odparł Ollie z błyskiem mądrości w oku.

I dlatego się zdziwił, choć nie aż tak bardzo, gdy okazało się, że wieczorem Wyatt czekał już na niego w domu, mimo że wrócił od Sary wcześniej, niż planował.

Rozdział czterdziesty drugi

Do domu jechał z ciężkim sercem. Sara go opuszczała. Przyjęła posadę w zachodnim Teksasie, gdzie szkoły w okręgach roponośnych stać było na zapłacenie jej podwójnej obecnej pensji. I tak nie miała tu żadnej przyszłości, mówiła, patrząc na niego czule, ale wiedział, o co jej chodzi. Niestety, musiał przyznać jej rację.

Kiedy wjeżdżał przez bramę, żałował, że nie ma innego miejsca, dokąd mógłby się udać. Gdziekolwiek. Mógł, co prawda, pojechać do biura, ale nie miał dziś ochoty na papierkową robotę. Tęsknił za jedzeniem i ciepłem, a tu nie znajdzie ani jednego, ani drugiego. Jego dom i ogród sprawiały wrażenie opuszczonego mauzoleum. Cała służba odeszła, oprócz kilku kobiet do sprzątnięcia, które przychodziły od czasu do czasu, gdy Lucy, zajęta swoimi karcianymi partyjkami, przypominała sobie, żeby je wezwać. Ponieważ nie zapraszali już gości, kiedy stara kucharka przeszła na emeryturę, Lucy nie widziała powodu, by zatrudnić kolejną. Nie lubiła nadzorować kuchni, planować menu ani sprawdzać wydatków. Zamiast tego wołała przygotować coś prostego dla siebie i Wyatta. Jadali w kuchni na długo przed powrotem Percy'ego. Czasem zostawiała mu coś w piecyku, a czasem nie.

Kiedy przejeżdżał obok domu do garaży, które znajdowały się na tyłach, zauważył zarośnięte grządki i opadłe liście, które aż się prosiły o zgrabienie. Nikt już w tym domu nie mieszkał, myślał posępnie, zauważając pękniętą szybę w jednym z wielodzielnych okien oszklonej werandy. Już w środku, kiedy ukląkł przy oknie, by zobaczyć rysę z bliska, usłyszał za sobą chrząknięcie.

– Tato?

Rzucił synowi zdziwione spojrzenie.

– Wyatt? Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś jeszcze u DuMontów.

Wyatt zmiótł ręką pajęczynę zwisającą z drzwi i powłócząc nogami, wszedł do środka. Czy on nigdy nie podnosi stóp? zapytywał się zirytowany Percy, a potem zdał sobie sprawę, że owszem, podnosi. Nieraz na boisku widział te stopy numer czterdzieści sześć. Tylko w jego obecności szurał nimi po podłodze.

– Coś się stało z oknem?

– Szyba jest pęknięta. Ptak albo piłka. Muszę kogoś wezwać.

Otrzeptał kurz z dłoni i wstał. Szyby były brudne, jak zresztą większość domu.

– Chyba zaczynamy powoli pękać – powiedział, uśmiechając się na grę słów.

– Wyglądasz jakbyś czymś się martwił. O co chodzi?

Percy'emu wydawało się, że wie. Przyszedł zapytać, czy w soboty w czasie zbiorów może pracować razem z Matthew na plantacji. Powinien był to przewidzieć. Każdy chłopak wiedział, że powinien pracować w rodzinnej firmie, w czasie roku szkolnego tylko w soboty, a podczas wakacji przez cały tydzień prócz weekendów. Percy często się zastanawiał, czy Matthew w ogóle dano jakiś wybór, zapytano, czy chce uczyć się uprawy ziemi czy handlu. Od kiedy zaczął chodzić, Mary wlokła go ze sobą do Somerset. Wątpił, by chłopak choć raz miał okazję stanąć za ladą DuMontów. Matthew nie wydawał się rozradowany swoją przyszłą karierą farmera, ale nie skarżył się też i wykonywał obowiązki z taką samą radością, jak robił wszystko inne.

Percy był równie niepewny co do przyszłości, jaką wybrał jego drugi syn. Chłopiec pracował ciężko i chętnie, nie narzekając, ale nic nie mówił. Nigdy nie wspominał, co myśli o firmie, którą będzie kiedyś prowadził z ojcem, a potem odziedziczy.

– No więc?

Wyatt błdził wzrokiem po pokoju, unikając oczu Percy'ego – kolejna przypadłość w obecności ojca.

– Chodzi o Matthew – odpowiedział, jak zawsze nieskładnie.

– Co z Matthew?

– Myślę, że jest naprawdę chory, tato, ale nie chce powiedzieć panu Olliemu ani pani Mary, ani trenerowi. Ale nie obiecałem nic, że nie powiem tobie.

Percy'emu wydało się, że czas stanął w miejscu.

– Dlaczego myślisz, że jest chory, synku – zapytał. Ostatnie słowo wymknęło mu się zupełnie naturalnie. Żaden z nich nie dał po sobie poznać, że to zauważył. – Możesz mi powiedzieć. Słyszałem w kościele, jak kaszle, i pomyślałem, że się przeziębził. Dlaczego uważasz, że to coś więcej?

– Ma gorączkę. Zmusiłem go, żeby zmierzył. Miał czterdzieści stopni. I dobrze nie wygląda. Cholernie o niego się martwię.

Tym razem Percy nie zwrócił uwagi na sposób wysławiania syna, który zazwyczaj wyprowadzał go z równowagi. Słyszał tylko nagłą prośbę w jego głosie i widział ją w niebieskich oczach, które w końcu skupiły się na jego twarzy.

– Gdzie on teraz jest?

– U mnie na górze. W domu myślą, żeśmy poszli na boisko ćwiczyć. Matthew ledwo wytrzymał na obiedzie.

Przerażony Percy pytał dalej:

– Więc pozwolili mu wyjść? Nie zauważyli, że jest chory?

– Tato, przecież znasz Matthew. Umie się tak maskować, że nikt się nie pozna. Boi się, że jak się dowiedzą, nie pozwolą mu w piątek zagrać.

– W takim razie, Wyatt, zwróciłeś się do niewłaściwej osoby. Jeśli jest chory, mecz nie mecz, dzwonię do jego rodziców.

Wyatt pokiwał głową.

– Dlatego przyszedłem do ciebie. Wiedziałem, że tak zrobisz. Matthew jest ważniejszy niż jakiś głupi mecz.

Percy pobiegł na górę, przeskakując po dwa schody, jego syn za nim.

– Och, Wyatt, wygadałeś! – oskarżył kolegę Matthew, gdy Percy wpadł do pokoju i chłopiec zobaczył jego minę.

– Nigdy ci nie obiecałem, że nie powiem mojemu tacie – wyjaśnił Wyatt – Jesteś chory, musisz iść do lekarza.

Percy położył dłoń na czole Matthew. Było gorące jak piec. Mimo kilku koców, w które zawiązał go Wyatt, szczykała zębami.

– Wyatt ma rację, Matthew – powiedział, w ustach czując metaliczny posmak strachu. Nie podobał mu się kolor skóry chłopca. Wokół oczu i pod paznokciami miał niebieskie cienie. Percy widział już coś takiego w 1918, wśród towarzyszy broni, gdy schodzili ze statku, zabierając ze sobą do domu śmiertelny wirus, który spowodował epidemię grypy i zabił czterysta tysięcy ludzi. Boże, błagam, niech to tylko nie będzie to, co myślę, modlił się, czując, jak uginają się pod nim kolana.

Okazało się, że jest gorzej, niż myślał. Gronkowcowe zapalenie płuc, zdiagnozował nowy następca doktora Tannera. Niedawno odkryte antybiotyki były tu bezsilne. Jak, gdzie i kiedy Matthew zaraził się tą konkretną odmianą – nazywaną chorobą alkoholików i bezdomnych – nie wiadomo. Ci, którzy sparaliżowani smutkiem siedzieli przy jego łóżku, wiedzieli tylko, że choroba postępuje bardzo szybko i opiera się każdej próbie leczenia. Jeszcze tydzień wcześniej Matthew był zdrowym, energicznym nastolatkiem zdecydowanym poprowadzić swoją drużynę

do zwycięstwa w piątkowym meczu, a tydzień później leżał w łóżku, walcząc o każdy oddech i odpluwając pianę, a za jego zapadniętymi, zielonymi oczami czaiła się śmierć, wyglądając na tych, którzy w nie zaglądali – rozpacz patrzyła na rozpacz.

– Doktorze, niech pan coś zrobi! – wołała Mary, zaciskając w dłoniach rękaw nowego lekarza z twarzą jak blada maska.

Ale zarówno on, jak i inni specjaliści wezwani na konsultacje ze smutkiem zgodnie oznajmili, że nic już nie mogą zrobić. Została tylko modlitwa, by organizm Matthew zwalczył chorobę. Był młody, zdrowy i silny, a znane są przypadki pacjentów w jego wieku, którym się udało.

W domu Toliverów przygotowano pokój dla Percy'ego i Wyatta, by również mogli czuwać przy łóżku Matthew.

– To dla nas bardzo ważne, Percy, żebyście zostali z nami, dopóki Matthew nie poczuje się lepiej – powiedział Ollie, kiedy stało się jasne, że chłopiec może nie wyzdrowieć. – Jesteś dla niego drugim ojcem. Nikt nie troszczy się o niego tak jak ty, a Wyatt nie mógłby go bardziej kochać, nawet gdyby był jego bratem.

Percy patrzył na przyjaciela – mężczyznę, który wiedział, że to jego syn i brat Wyatta leży tam umierający – a miłość i ból, które czuł, nie pozwoliły mu wydusić z siebie słowa. Był wdzięczny za obecność Wyatta u jego boku, w pokoju umierającego i w przygotowanym pokoju gościnnym, gdzie leżeli w nocy obok siebie, nie mogąc zmrużyć oka i patrząc w sufit, połączeni bólem, aż w końcu nad ranem Percy usłyszał chrapanie syna.

W ostatniej godzinie swojego życia Matthew poprosił, by przyszedł do niego właśnie Wyatt. Percy znalazł go w holu, snuł się po nim jak ślepy byk, zwalisty, przygarbiony, ze zwieszoną kudłatą głową i rękami w kieszeniach, odrętwiały z żalu i smutku.

– Matthew cię woła, synu – powiedział łagodnie, a Wyatt bez słowa i nie patrząc na ojca, poszedł za nim do pokoju chorego. W drzwiach zatrzymał się onieśmielony.

– Hej, Wyatt – powiedział Matthew.

– Hej, stary.

– Jak idą treningi?

– Bez ciebie już nie tak dobrze.

– No tak, wrócę, jeśli tylko będę mógł.

Wyatt, nagle zeszytniały, jakby przeszył go prąd, rzucił się do Matthew, przysuwając sobie krzesło.

– Żadnych „jeśli” – powiedział z twardym uporem prosto w wymizerowaną twarz Matthew. – Musisz wrócić. Jesteś nam potrzebny. Mnie jesteś potrzebny.

Matthew milczał. A potem wyszeptał, z trudnością już oddychając:

– Wrócę, człowieku. Może mnie nie zobaczysz, ale ja tam będę. A ty dalej rób miejsce dla piłki.

– Nie... – jęknął Wyatt. Sięgnął po dłoń przyjaciela i w swoim mocnym uchwycie przycisnął ją sobie do serca, jakby chciał wyrwać go śmierci. – Nie, Matthew... nie możesz mnie zostawić, człowieku, nie zostawiaj mnie.

Mary odwróciła się, jej oczy rozszerzone przerażeniem, a Percy i Ollie spuścili głowy. Wtedy po raz pierwszy zdali sobie sprawę, iż Matthew wie, że umiera.

Na samym końcu byli z nim wszyscy, którzy go kochali. Sassie i Toby z zapłakanymi oczami stali w drzwiach, Abel patrzył posępnie ze swojego krzesła w rogu pokoju, Wyatt, Mary i Ollie pochylali się nad jego łóżkiem. Tylko Percy stał osobno, obserwując za oknem promienie słońca, które przedzierały się ukośnie przez omszałe cyprysy przesadzone przez Silasa Williama Tolivera znad jeziora Caddo, już blisko sto lat temu. Historia rodziny Toliverów miała to do

siebie, że drzewa musiały ginąć, ale cokolwiek Toliverowie posadzili w swojej ziemi, żyło i trwało, rok po roku – niezależnie od rozmiaru klęsk i katastrof. Tylko dzieci Toliverów umierały.

– Tato...

Ramiona Perce'ego zeszywniały, ale się nie odwrócił. To Ollie odpowiedział na wołanie.

– Jestem tu, Matthew – powiedział, a Percy usłyszał skrzypienie krzesła, gdy pochylał się nad synem. Za oknem wrześnie popołudnie rozpływało się w morzu niebieskości i złota. Cyprysy płakały.

– Wszystko dobrze, tato – powiedział Matthew wyraźnie, już bez trudności. – Nie boję się umierać. Wiem, że w niebie jest tak jak tutaj, a Bóg jest taki jak ty.

Percy odwrócił się od okna, by zobaczyć jeszcze ostatni błysk w zielonych oczach, wpatrzonych w Olliego. Potem powieki zatrzepotały delikatnie i zamknęły się.

Rozdział czterdziesty trzeci

W ciągu dni, które potem nastąpiły, Percy odnosił wrażenie, że Mary w ogóle nie opuszczała swojego stanowiska w salonie, przy oknie, które wychodziło na zadbane znów różany ogród. Rano, w południe i wieczorem widział ją tam, jak stoi, za plecami mając pokój i obejmując dłońmi łokcie – odległa, zamknięta w sobie postać. Nie potrafił jej pocieszyć. Nie umiał spojrzeć w cierpiące oczy matki swojego syna, nie zdradzając własnego ojcowskiego bólu.

Razem z Olliem i Sassie przyjmowali odwiedzających oraz telegramy, ofiarowane jedzenie i kwiaty, podczas gdy Mary stała, czuwając przy oknie, na kondolencje szeptane w kierunku jej zastygłego profilu często odpowiadając jedynie skinieniem głowy i czarnego koku.

– *Chérie...* – pocieszał ją Ollie, obejmując jej sztywne ramiona, głaszcząc błyszczące włosy i muskając ustami nieruchomy, kształtny policzek – *Ma chérie...*

W końcu Percy już dłużej nie wytrzymał. Marniała w oczach, zamieniając się w kamień przy tym oknie.

– Mary? – powiedział cicho, kładąc rękę na jej ramieniu. Ku jego zaskoczeniu, jakby na to czekała, natychmiast zakryła ją swoją dłonią, przyciskając mocno. Byli w domu sami. Ollie pojechał do sklepu, a Sassie wyszła na zakupy. Przyszedł na życzenie Sary, by zostawić w holu kosz z listami kondolencyjnymi napisanymi przez kolegów Matthew.

– Myślałam, że to przeciążenie, Percy. Wiesz, jak ciężko chłopcy trenują i jacy są zmęczeni przez te pierwsze tygodnie, grając w takim upale i wilgotności, w tych strojach. Błagałam, żeby więcej odpoczywał, więcej jadł, pił dużo wody...

W uszach mu dudniło. O co jej chodzi?

– I przeciwnie do tego, co na pewno myślisz, wcale nie ciągnęłam go do Somerset, żeby na siłę mu wmówić jego spadek. Brałam go tam, bo tylko w ten sposób mogłam go mieć dla siebie. Zawsze wyczekiwałam sobotnich poranków i każdego kolejnego lata. Wiedziałam, że nadchodzi czas, kiedy będę go musiała oddać... jego własnym marzeniom. Chciał zostać trenerem.

Po co mu to mówiła? Chyba zaczynał się domyślać. Tak, dobrze odgadła, że w tych pierwszych dniach obłąkańczego bólu zadawał sobie pytanie, czy Matthew by żył, gdyby Mary była w domu i miała szansę zauważyć jego chorobę. Ale to było niesprawiedliwe. Mogła być na miejscu nawet dwadzieścia cztery godziny na dobę, a to i tak nie miałyby znaczenia. Matthew ukrywałby swój stan. Wiele lat mu to zabrało, ale w końcu zrozumiał – i przyznał sam przed sobą – że Matthew należał do Olliego. Kochał Mary, ale wolał tego mężczyznę, którego uważał za ojca. To jemu się zwierzał, on był jego przyjacielem i kumplem. Mary była niemal jak intruz, choćby nie wiadomo jak próbowała stworzyć między nimi więź. Matthew jej na to nie pozwalał, a ona, jak zawsze, gdy czuła się osamotniona, szukała pocieszenia w ziemi. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak musiała cierpieć, jaka była samotna.

– Mary, spójrz na mnie.

Już raz się pomylił, wierząc, że wyszła za Olliego, by ratować Somerset. Drugi raz nie popełni tego błędu.

Puściła jego dłoń i odwróciła się. Serce mu zamarło. Smutek wyostrzył jej rysy, zmatowił oczy, posrebrzył włosy na skroniach, zaczesane gładko do tyłu. Delikatnie złapał ją za ramiona.

– Matthew nie umarł dlatego, że coś zrobiłaś lub czegoś nie zrobiłaś. Nawet tak nie myśl, zapomnij o tym. Nikt z nas tego nie zauważył.

– Nie winisz mnie? – spojrzała na niego oczami, które wypełniała rozpacz. – Pomyślałam,

że uznasz to za klątwę Toliverów.

Na początku przyszło mu do głowy i coś takiego. Czy można uznać za przypadek fakt, że Mary wychodzi za człowieka, który nie może jej dać więcej dzieci i traci szesnastoletniego syna, a William Toliver zostaje jej spadkobiercą? Pamiętał, że jej ojciec i brat wierzyli w tę klątwę, a Miles przewidywał nawet, że uderzy w Mary. Ale Percy porzucił tę myśl jako irracjonalną. To nie klątwa odpowiadała za tragedię, którą sobie zgotowali w życiu. Sami byli swoją klątwą.

– Nonsens – powiedział. – Zupełny nonsens. Matthew umarł na zapalenie płuc, a nie jakąś idiotyczną klątwę.

– Pomyślałam nawet – załamywała ręce – że zostaliśmy... że zostałam ukarana za sprzedanie tej ziemi Milesa... że Bóg chce oddać Willamowi, to co mu się należy... odbierając nam Matthew.

My. Nam. Miała oczywiście na myśli siebie i Olliego.

– To jakaś bzdura – powiedział ostro, zdenerwowany i przerażony jej oczami pełnymi poczucia winy. Jeśli to były demony, z którymi walczyła przy tym oknie, zginie. Nigdy się nie podniesie. – Zrobiliśmy to, co należało, dla dobra wszystkich.

– Tak?

Percy miał ochotę nią potrząsnąć. Do czego zmierzała? Jak mogła teraz kwestionować ich motywy?

– Nie wygłupiaj się! Przecież chodziło nam o Olliego. Inaczej straciłby sklep, a ty musiałabyś sprzedać plantację, żeby mieć co jeść.

– Więc nie myślałeś o Matthew?

– Oczywiście, że myślałem! Musiałem coś zrobić, żeby przez piramidalną głupotę swoich rodziców wszystkiego nie stracił.

Po krótkiej chwili zaskoczenia, w jej oczach zobaczył nowy błysk. Puścił ją i odsunął się, w uszach ciągle brzmiała mu „piramidalna głupota swoich rodziców”. Boże. Czuł, że ten długo ukrywany sekret rozsypuje się na kawałki jak powoli pękające szkło.

Odezwała się opanowanym głosem, patrząc teraz spokojnie.

– Ty wiesz, prawda? Byłam tego pewna.

Nie mógł zaprzeczyć. Nie mógłby wyprzeć się Matthew.

– Tak – powiedział, czując, że to wyznanie kraje mu serce.

– Od kiedy?

– Odkąd pojechałem z Olliem do Dallas na dopasowanie protezy. Przeczytałem jego kartę i dowiedziałem się o urazie. Wiedziałem, że Matthew może być tylko mój.

W jej ustach zauważył napięcie.

– Więc wiesz... wszystko.

– Tak, Mary, wiem wszystko.

Zamknęła oczy i lekko się zachwiała.

– Och, Percy, co ja narobiłam?

Znów złapał ją za ramiona.

– Co myśmy narobili?

– Kiedy się dowiedziałam, byłeś w Kanadzie. Czekałam, błagałam Boga, by przysłał cię do domu. Ale nie wiedziałam, w którym jestem miesiącu, a nikt nie umiał się z tobą skontaktować i nie miałam wyjścia, jak tylko zwrócić się do Olliego...

– Wszystkiego domyśliłem się w Dallas – powiedział, obejmując ją. – Mary, musisz wiedzieć, że jechałem do domu, by ci powiedzieć, że nie mogę bez ciebie żyć. Nie miało dla mnie znaczenia, czy Somerset będzie pierwsza, czy ostatnia i czy zostanie z tobą na zawsze, jeśli tylko za mnie wyjdiesz.

Westchnęła teraz rozluźniona.

– Ty też musisz coś wiedzieć. Odkryłam, że mogę żyć bez Somerset, ale nie bez ciebie. Przynależę, że odpuszczę plantację, jeśli tylko wrócisz, poślubisz mnie i będziesz ojcem naszego dziecka. To by mi wystarczyło, Percy. W zupełności.

– Wierzę ci – powiedział, na koszuli czując ciepło jej łez. – Teraz to wiem.

Zostali tak jeszcze przez chwilę, czując wspólne bicie swoich serc. To nie może się więcej zdarzyć. Mary wyciągnęła z rękawa chusteczkę, a Percy zapytał:

– Kiedy się domyśliłaś, że wiem?

– To docierało do mnie stopniowo – odparła, gestem wskazując, by usiedli. – Kiedy widziałam, jak na niego patrzysz... nigdy nie patrzyłeś tak na Wyatta. Miłość do pierworodnego, jak sądzę...

– Czy Ollie wie? – pytał dalej, siadając we wskazanym miejscu, przy kominku, po przeciwnej stronie stołu.

– Jestem pewna, że nie. Zawsze uważał, że twoje oddanie dla Matthew wynika z tego, jak bardzo przypomina... mnie.

– To też.

– A Lucy?

Westchnął.

– Wie. Odkryła prawdę jakieś cztery lata temu.

Mary przestała na chwilę ocierać oczy.

– Dobry Boże, Percy, jak?

– To już nieważne. Wie i tyle. Dlatego ostatnimi czasy była dla ciebie taka nieprzyjemna... i dlatego nie przyszła złożyć kondolencji.

W rzeczywistości Lucy była bardzo przybita, kiedy dowiedziała się, że Matthew umiera, ale bała się, że jakakolwiek próba wyrażenia smutku z jej strony może zdradzić tajemnicę, którą musiała utrzymać.

– Codziennie rano była na mszy, modląc się za Matthew i tylko Bóg jeden wie, ile zapaliła świeczek w jego intencji. Trzeba jej też oddać, że w tych trudnych dniach okazała nam, mnie i Wyattowi, bardzo wiele zrozumienia, tak jak tylko potrafi.

– Dlaczego się z nią nie rozwiodłeś?

Percy roześmiał się...

– Proponowałem, wierz mi, ale Lucy nie ma zamiaru dać mi rozwodu. Za bardzo mnie nienawidzi. Jeśli spróbuję się rozwieść, zagroziła, że rozgłosi światu o mnie i o tobie – o Matthew. Jego śmierć niczego tu nie zmienia. Wciąż jesteście ty i Ollie. Ten skandal by was zniszczył, was i pamięć Matthew.

– I Wyatta – dodała, cała pobladła, słysząc te nowiny.

– No tak, oczywiście... Wyatta.

– Percy, dlaczego się z nią ożeniłeś? Mogłeś mieć każdą dziewczynę.

Uśmiechnął się gorzko.

– Do tego czasu sporo ryb już wyłowiono. Czułem się samotny. A ona była przy mnie.

– Ale co się stało? Przecież Lucy cię wielbiła.

– Odkryła, że jej idol to kolos na glinianych nogach – odparł, a jego twarz spochmurniała.

– Powinniśmy powiedzieć Olliemu?

– Nie – zdecydowała od razu. – Zasługuje na to, by oszczędzić mu dalszego cierpienia. Bolało go, że Matthew nigdy się nie dowiedział, że to ty jesteś jego prawdziwym ojcem.

Gdybyśmy mu teraz powiedzieli, że ty cały czas znałeś prawdę... – znów otarła łzy. – Nasza głupota zraniła tylu ludzi. Nie mogli żyć takim życiem, jakim żyliby, gdybyśmy się pobrali. Nie

mogli kochać tych, których kochaliby. Matthew nie poznał swojego prawdziwego ojca, a twoi rodzice wnuka. Wyatt wyrósł jako owoc małżeństwa, które nigdy nie powinno istnieć. Byłby zapewne innym chłopcem, gdyby jego rodzice się kochali. A Lucy... biedna Lucy – popatrzyła wzrokiem, który zdradzał obawę, że stąpa po niepewnym gruncie. – Powiem tylko tak. Jej nienawiść to przykrywka, Percy. Tylko dzięki niej potrafi znieść tę miłość, którą wciąż do ciebie czuje...

Wstał szybko, by zakończyć tę rozmowę, i nalał sobie szklankę wody, która stała na stole dla gości przychodzących złożyć kondolencje.

– Niezależnie od wszystkiego, z każdym innym Lucy byłaby szczęśliwsza – dodał.
– Wszystko, co możemy teraz zrobić, to grać takimi kartami, jakie nam rozdano.
– Ale jak?

Pociągnął długi łyk wody. Sam chciałby wiedzieć. Każdy jego dzień był teraz jakby przypalony, osmalony jak rogi wyciągniętych z ognia listów. Nigdy już nie będą mu dane nieskażone pełne dwadzieścia cztery godziny. Ale jeśli spróbują jak najlepiej wykorzystać to, co im pozostało, być może gdzieś po drodze zaznają jeszcze krztynę szczęścia. Odwrócił się do niej z niepewnym uśmiechem.

– Może powinniśmy zacząć od wybaczenia samym sobie tego bólu, jaki spowodowaliśmy – powiedział.

Spuściła wzrok, bawiąc się swoją obrączką, jakby zastanawiając się nad tą propozycją. Jej długie, podkreślone rzęsy przypominały mu Matthew, potęgując ból nie do zniesienia. Po chwili Mary podniosła wzrok.

– Może powinniśmy zacząć od wybaczenia sobie nawzajem?

Następnego dnia Percy udał się do kwiaciarni i zamówił jedną białą różę z dostawą do Mary Toliver DuMont. Załączył liścik: „Za pojednania. Zawsze w moim sercu, Percy”.

Kiedy przyszedł do biura, czekało na niego pudełko dostarczone z kwiaciarni. Otworzył je i wyciągnął białą różę z liścikiem, który wywołał na jego ustach delikatny uśmiech. Mary jak zwykle napisała lakonicznie: „Z serca do serca. Na zawsze, Mary”.

Rozdział czterdziesty czwarty

Kolejne dwa lata Percy przeżył jak robot, pracując, ale bez określonego, świadomego kierunku działania. Prowadził firmę, podejmował decyzje, wybudował nad rzeką ścieralnię drewna, zakupił następne tereny pod zalesienie i kolejne firmy, nie zastanawiając się po co. Wielki kryzys się skończył. Gospodarka odżyła dzięki nowej wojnie w Europie. Ameryka zaczęła działać, budować, budować, budować, tak więc dla Warwick Industries nadeszły czasy prawdziwej prosperity. Ledwie nadążali z realizacją zamówień.

Powiększył się dystans między nim a rodziną. Po śmierci Matthew Lucy na jakiś czas złagodniała nieco w stosunku do niego, ale kiedy przekonała się, że wszelkie jego wysiłki, by ukończyć smutek Wyatta idą na próżno, ponownie się od niego odwróciła.

– Straciłeś go, Percy – zauważyła smutno. – Straciłeś go tak dalece, że już nigdy nie uda ci się go odnaleźć. Ten chłopiec błąka się, zagubiony i samotny, ale nawet gdybyś zawołał, on ci nie odpowie. Nie odpowie na wołanie obcego człowieka.

A prawda była taka, że Percy wołał. Potrzebował Wyatta tak samo jak Wyatt jego, ale nie można odzyskać mężczyzny, gdy straciło się chłopca. Bo jego syn był teraz mężczyzną, w wieku siedemnastu lat silnym i wysokim jak ojciec, odpowiedzialnym, spokojnym, ale świadomym, osobą, której nie sposób było nie zauważyć na spotkaniach w firmie, na które Percy go zapraszał. Gdzieś po drodze, gdy wyrastał z chłopca na mężczyznę, jego ramiona straciły swój nieokrzesany garb, a stopy niemrawy krok. Chodził prosty i wysoki, a jeśli nie dumny, to przynajmniej stanowczy, jakby zdecydowany osiągnąć cel znany tylko sobie samemu.

Percy starał się, jak mógł, by naprawić stosunki z synem. Organizował wyprawy na ryby i polowania, za którymi sam właściwie nie przepadał. Od czasów wojny nie potrafił znieść zabijania, nawet świeżego pstrąga na kolację przy ognisku. Wycieczki miały na celu spędzanie czasu z synem i choć wcale nie wracali sobie bliżsi, to Percy przynajmniej poczynił pewne odkrycia dotyczące swojego drugiego dziecka.

Dowiedział się, że Wyatt ma naturalny instynkt myśliwego i rybaka. Mimo swoich okazałych gabarytów i niezgrabnych stóp, miał przedziwną umiejętność – sprawnie i bezszelestnie potrafił skradać się wśród wysokiej trawy, pewnie tropiąc ofiarę. Percy z podziwem patrzył, jak Wyatt cierpliwie, godzina za godziną, czeka w łodzi, aż jego zdobycz połknie haczyk. Zabijał szybko i skutecznie, nie przeżywając momentu zadania śmierci, który u Percy'ego zawsze wywoływał zawstydzenie.

Przejął też odrabianie lekcji z Wyattem, który to obowiązek Lucy bardzo chętnie oddała wcześniej lotniejszemu przyrodniemu bratu Wyatta – Matthew. Z taką samą ulgą teraz miejsce przy kuchennym stole udostępniła Percy'emu. Te wspólne wieczory nie osiągnęły swojego celu, którym miało być zbliżenie ojca i wyalienowanego syna, ale dostarczyły Percy'emu wiedzy na temat intelektu Wyatta. Okazało się, że ani trochę nie jest on tępym – co wiele razy próbowała mu wytłumaczyć Sara. Bardzo wolno pojmował, to na pewno, i tak powoli przetwarzał informacje, że Percy bez trudu zrozumiał, dlaczego uznał, że syn ma ciężką głowę. Kiedy jednak już przeżuł i połknał, zapamiętywał wszystko doskonale – zdolność intelektualna, którą niewiele osób posiada, wytłumaczył ojciec synowi. Lucy z dumą przyjęła tę niespodziewaną pochwałę, ale Wyatt, jak to on, ledwie wzruszył ramionami, nie zmieniając w ogóle wyrazu twarzy.

Wyatt nadal grał w futbol, przez ostatnie dwa lata szkoły średniej pełniąc funkcję kapitana. Nikt nie przyjął numeru po Matthew. Dziesiątka już na zawsze miała zostać poza boiskiem. Na życzenie DuMontów jego koszulkę dostał Wyatt, a Percy wiedział, że ten przechowuje ją razem z rękawicą, której nigdy już nie założył po zniszczeniu rękawicy Matthew,

oraz z egzemplarzem *Przygód Hucka Finna*, który dostał od Matthew na trzynaste urodziny. Dedykacja rozbawiła wtedy Wyatta, ale nie podzielił się jej srogią treścią z żadnym z rodziców. Po śmierci Matthew przychodziły takie dni, że Percy musiał z całych sił się powstrzymać, by nie zakraść się do pokoju Wyatta, i nie myszkować tam w poszukiwaniu pamiątek po Matthew – żeby potrzymać jego koszulkę albo przeczytać jedyne dostępne mu słowa napisane jego ręką.

Ale nigdy tego nie zrobił. Zadowalał się kibicowaniem na meczach, w których „Byk” Warwick robił miejsce dla zawodnika z piłką, zastanawiając się, czy Wyatt kiedykolwiek czuł za sobą obecność brata, czy spoglądał w górę i wizualizował, jak Matthew sprintem przebiega linie pola punktowego – czy to dla niego blokował przeciwnika, umożliwiając w ostatniej klasie zdobycie przez liceum w Howbutker pierwszego mistrzostwa stanu.

Miasto oszalało. Zwycięstwo celebrowano wszędzie, ale największe przyjęcie zorganizowano w sali klubowej firmy Warwick Industries. Przyszli wszyscy, którzy przyczynili się do spełnienia tego marzenia – oprócz Wyatta. W tym okresie jego matka zdążyła przywyknąć już do jego niewytłumaczonych nieobecności. Znany jako samotnik, wolał własne towarzystwo od hałaśliwej kompanii chłopców z drużyny czy też dziewcząt o rozrzuconych oczach wieszających się na jego umięśnionym ramieniu. Był lubiany, ale nikt nie próbował się z nim zaprzyjaźnić, a po Matthew nie miał już nikogo tak bliskiego.

– Percy, znajdź go – poprosiła go Lucy na przyjęciu. – Niech przyjdzie. Powinien tu być i cieszyć się tym sukcesem. Przecież jest jednym z bohaterów dnia.

– Zatrzymaj wszystkich, dopóki nie wrócimy. Chyba wiem, gdzie go znajdę.

To była kolejna sprawa dotycząca Wyatta, której Percy zupełnie nie potrafił wytłumaczyć. Percy przewidywał, że po bliskim spotkaniu z pięścią ojca i groźbach karalnych, które spotkały go w chacie, chłopak będzie unikał tego miejsca jak ognia. A Wyatt pokazał chatę Matthew i przez wszystkie lata ich przyjaźni znajdowali w niej schronienie, tak jak teraz paczka Williama Tolivera.

Po pogrzebie Matthew Wyatt na dwa dni znikł w chacie. Dziś było chłodniej niż poprzednim razem, gdy Lucy wysłała Percy’ego na poszukiwania syna, a mimo to znalazł go tam, gdzie podejrzewał – siedział w łódce na jeziorze, pochylony, z wędką w dłoniach, dokładnie tak jak ostatnio. I tak jak wtedy, ponieważ wiedział, że w świetle księżyca jest doskonale widoczny, oparł ręce na biodrach i czekał, aż Wyatt go zauważy. I wtedy, i dziś Percy miał bolesną świadomość tych straconych lat, których nie da się już nadrobić, tak jak nie można przejść do Wyatta po księżycowej ścieżce odbitego w jeziorze światła.

Zaraz też na łódce zauważył ruch, silna sylwetka odwróciła się w jego kierunku.

– Biorą? – zawołał Percy.

– Skąd, za zimno – odpowiedział mu Wyatt i zaczął zwijać żyłkę. Percy usłyszał delikatne pluśnięcie wrzucanej do wody przynęty. Patrzył, jak syn odkłada wędkę i kołowrotek, a potem bierze wiosło i podpływa do brzegu.

I kiedy tak patrzył, naszły go wspomnienia.

„Percy?”

„Tutaj, Lucy”.

Znów słyszał głos żony, tej nocy, gdy znalazła go w bibliotece i poprosiła, żeby poszedł poszukać Wyatta, którego nie było od dwóch dni. Podeszła do kąta, w którym siedział w świetle księżyca i przykłęka cicho tuż przed nim, kładąc mu ręce na kolana.

„Percy, siedzisz tu już dwa dni. Jest noc”.

Od śmierci Matthew, co miało miejsce pięć dni wcześniej, noc trwała wiecznie. Jego synek już dwa dni i dwie noce leżał w ciemnej, zimnej ziemi.

„Percy, tak mi przykro, naprawdę. Proszę cię, uwierz mi”.

„Wierzę ci, Lucy”.

„Nie potrafię wyobrazić sobie straty syna. Modłę się do Boga, żeby mi tego oszczędził”.

I wtedy Bóg, albo jeden z jego aniołów, musiał położyć palec na ustach Percy’ego, zamykając je, a tym samym ratując szczątki jego małżeństwa. Bo właśnie miał powiedzieć „Ja też mam nadzieję, że ci tego oszczędzi”, a wtedy Lucy uznałaby, że według niego śmierć Watta byłaby wyłącznie jej startą.

Teraz, kiedy słyszał regularny, niespieszny plusk wiosła, duszę przeszywał mu przejmujący do głębi smutek. Ileż to razy Lucy wysyłała go, żeby odnalazł syna, a nigdy mu się nie udało? Odepchnął od siebie Wyatta w tym właśnie miejscu, a on nigdy już nie wrócił, przez te wszystkie lata. Wkrótce skończy osiemnastkę. We wrześniu Niemcy napadli na Polskę, później na Francję i inne kraje, wojnę wypowiedziała im też Anglia. Jego stary znajomy, z którym walczył we Francji, Jacques Martine, przewidywał, że w ciągu niecałych dwóch lat i Ameryka przystąpi do wojny. Dwa lata... dwa lata na odnalezienie syna.

A jeśli go odnajdzie, co może mu ofiarować? Czy kocha Wyatta? Nie, nie kocha go, nie tak jak kochał Matthew, tym głębokim, ściskającym serce uczuciem, które mówiło, że jest ciałem z jego ciała i krwią z jego krwi. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Wyatt był odważny, uczciwy, lojalny i wytrwały. Nie był samochwałą ani snobem, choć miał powody. Dobrze zbudowany i przystojny, wielu mu zazdrościło i wielu chciałoby się z nim zaprzyjaźnić, a on w ogóle o to nie dbał, tak jak nie dbał o to, że jest synem jednego z najbogatszych ludzi w Teksasie.

„Rzeczywiście” – pisała Sara w odpowiedzi na list, w którym dzielił się z nią swoimi obserwacjami. „Cała ta uwaga, która się na nim skupia, jego zdaniem wynika z faktu, kim ty jesteś, a nie kim jest on. A twoje bogactwo to źródło twojej dumy, nie jego. Nie mogę uwierzyć, że to ten sam chłopak, który był taki okrutny dla Matthew”.

Ta myśl często nie dawała Percy’emu spokoju.

– Pomóc ci? – zaoferował, gdy Wyatt zbliżył się do brzegu. Syn rzucił mu linę, a Percy przyciągnął łódkę, trzymając ją pewnie, aż Wyatt wyskoczył.

– Przyjęcie cię znudziło? – zapytał chłopak, biorąc od niego linę i wiążąc ją wprawnie wokół słupka.

– Nie, dlatego właśnie przyszedłem. Mama i ja pomyśleliśmy, że też mogłoby ci się spodobać. Zasłużyłeś na to.

– Hm, nie przepadam za takimi zabawami – odparł. – Wolę zapolować. Niepotrzebnie mnie szukałeś zamiast się dobrze bawić.

Percy próbował opanować rwący ból, smutek, który tak ostry był tylko w dniu śmierci Matthew. Spontanicznie objął ramiona Wyatta.

– Synu, a może byśmy się razem upili? Tyle czasu minęło, od kiedy ostatni raz poszedłem w tango, całe wieki.

Budziły się wspomnienia, nie chciały dać mu spokoju. Był na skraju łez.

– Kiedy to było, tato?

– Och, długo przed ślubem z mamą.

– A czemu to zrobiłeś?

Percy zawahał się, nie miał ochoty odpowiadać, ale nie chciał też niszczyć tej wspólnej chwili. Nigdy nie rozmawiał z Wyatem o swojej przeszłości. Nie przypominał sobie, by ten zadał mu kiedykolwiek choć jedno pytanie na temat jego młodości, wojny, życia ojca przed swoim przyjściem na świat. Tylko Matthew interesował się jego wspomnieniami. Postanowił odpowiedzieć wprost. Wyatt był już mężczyzną.

- Z powodu kobiety.
- Co się z nią stało?
- Straciłem ją dla innego mężczyzny.
- Musiałeś ją kochać.

Wyatt był wyższy i o wiele silniejszy, niż byłby Matthew. W świetle księżycy jego sylwetka budziła respekt.

– Tak. Bardzo. A z jakiego innego powodu mężczyzna się upija? – Percy próbował się uśmiechnąć.

Wyatt zmarszczył brwi.

– Więc z jakiego powodu mielibyśmy upijać się dzisiaj?

Nie potrafił odpowiedzieć. Ból w nim narastał, z trudem łapał oddech.

– Nie... nie wiem – jakoś się opanował. – To był głupi pomysł. Mama zabiłaby nas obu.

Zresztą pewnie już nas szuka.

Wyatt pokiwał głową i zapiął swoją kurtkę.

– Więc lepiej chodźmy.

Rozdział czterdziesty piąty

Po skończeniu szkoły średniej, ponieważ Wyatt z całą mocą odmówił pójścia do college'u, Percy przesunął go w tartaku z pracy fizycznej na stanowisko asystenta dyrektora produkcji z biurem w głównej siedzibie firmy. Wyatt przyjął awans w milczeniu, jak to on. Na spotkaniach słuchał uważnie i pilnie notował na tyle, na ile pozwalało mu jego wolne tempo pisania. Przez dwa lata cierpliwie znosił wysiłki Percy'ego, by wpasować go w firmę jako swojego następcę oraz nieustające namowy Lucy, by współpracował.

Ratunek przyszedł w 1941 roku, kiedy Stany Zjednoczone w odpowiedzi na zbombardowanie Pearl Harbor wypowiedziały wojnę Japonii. W ciągu kilku tygodni, bez konsultacji z rodzicami, Wyatt zaciągnął się do piechoty morskiej.

– Musisz go powstrzymać! – Lucy błagała Percy'ego z obłędem w oczach.

– A niby jak mam to zrobić? – pytał ją mąż, równie zdruzgotany jak ona. We śnie znów słyszał odgłosy wystrzałów, krzyki bólu i śmierci, przypominał sobie zimny pot strachu, odór przerażenia i paniki, budził się ze smakiem popiołu w ustach. I w tych snach, wśród wszechobecnego dymu widział nie znużone walką twarze swoich poległych towarzyszy, ale twarz Wyatta, jego niebieskie, puste, pozbawione życia oczy, w których czaiło się wciąż pytanie „dlaczego?”.

– Lucy, on ma prawie dwadzieścia lat. Jest już dorosły. Nie mogę go zatrzymać.

– A zrobiłbyś to, gdybyś mógł? – W pytaniu dzwięczała udręka, nie oskarżenie. Czasy ich bezsensownego obwiniania się już minęły. Wiedziała, że próbował dogadać się z Wyattem, a spojrzenia, jakie mu rzucała z ukosa, gdy o nim mówił, zdradzały, że zdaje sobie również sprawę z jego zmieniającego się stosunku do syna.

– Na Boga, oczywiście, że tak. Już prędzej sam bym go zabił, niż pozwolił mu iść tam, dokąd idzie – odparł, skonsternowany własnymi uczuciami.

– Uznałeś, że musisz zaciągnąć się aż tak wcześniej? – zapytał Wyatta dwa tygodnie później, gdy pakował swój worek. Był początek stycznia 1942 roku. Dostał rozkaz, by za trzy dni stawić się w kalifornijskim Camp Pendleton, w pobliżu San Diego, gdzie rozpocznie pierwszy etap szkolenia. Jego pociąg odjeżdżał za godzinę.

– A dlaczego nie? – powiedział Wyatt. – Każdy zdrowy mężczyzna się przyda, by jak najszybciej skończyć to całe zamieszanie.

– Może masz rację – Percy przypomniał sobie własną argumentację sprzed ponad dwudziestu lat i w milczeniu patrzył, jak Wyatt pakuje do płóciennego worka ciasno zrolowane skarpety. Każda włożona do środka para przybliżała ten czas, gdy Wyatt zawiąże sznurek i zarzuci wór na ramię.

Piekła nie ma, myślał Percy. Ono jest tutaj, na ziemi. Co może być gorszego niż patrzeć, jak syn, którego nie zdążyło się poznać odchodzi na wojnę i nie wiadomo, czy wróci? W miejscu, które powinien zajmować Wyatt, w jego sercu zawsze była pustka, ziejąca dziura, więc nie może tam być nic z tego chłopca – żadnego wspomnienia jego śmiechu, rozmowy, męskich zwierzeń. Nigdy nie rozmawiali o nim, o jego marzeniach, ambicjach, pomysłach i poglądach. Naszła go wstrząsająca myśl, że poza ogólnym wrażeniem właściwie nie zna twarzy Wyatta. Wciąż bardzo dobrze pamiętał Matthew – w jak różny sposób w jego oczach odbijało się światło, pozycje każdego opadającego na czoło kosmyka, małą, okrągłą pamiątkę po ospie nad lewym okiem. A rysy Wyatta pozostały niewyraźne i rozmazane jak twarz pod wodą, nie przypomni jej sobie już w chwilę po jego odjeździe.

– Synu... – Percy zrobił krok naprzód, rozpaczliwie próbując znaleźć coś, co pozwoli mu

zapamiętać Wyatta, choć najmniejszą cząstkę, która zapełni tę pustkę.

– Tak? – spytał Watt, nie przerywając pakowania.

– Możesz mi coś powiedzieć, zanim wyjedziesz?

– No pewnie. Co takiego?

– Dlaczego nagle przestałeś nienawidzić Matthew DuMonta? Jak to się stało, że staliście się tak nierozłączni, niemal... jak bracia?

Mijały sekundy. Wyatt wydawał się nieporuszony, jego mocny profil tak samo obojętny jak zawsze, gdy po kolei brał z łóżka wszystkie potrzebne rzeczy, które pojedą z nim na wojnę. Wkładając do worka ostatnią, powiedział:

– No, bo on przecież był moim bratem, prawda?

Uszy Percy'ego wypełniła dudniąca cisza, jakby znów znalazł się obok strzelającego moździerza. W kieszeniach zwinął dłonie w pięści.

– Od... od kiedy wiesz?

Wyatt wzruszył ramionami, w ogóle na niego nie patrząc.

– Domyśliłem się od razu wtedy, w chacie, jak mnie pobiłeś. O mały włos się nie wygadałeś, pamiętasz? – posłał Percy'emu cierpki uśmiech. – Powiedziałeś: „Jeśli choćby krzywo spojrzysz na swojego...”, ale w porę się pohamowałeś. Wtedy się domyśliłem. To była intuicja, po prostu byłem pewny, że chciałeś powiedzieć „swojego brata”. Wiedziałem, że możesz mi wybić zęby za pobicie dzieciaka innego człowieka, ale zagrozić śmiercią tylko jeśli pobiję syna, którego kochasz.

Percy chciał do niego podejść.

– Wyatt – zaczął, ale ogarnęło go uczucie tak bolesnej straty, że nie mógł wydusić słowa.

– W porządku, tato. Nigdy nie winiłem cię za to, że kochałeś Matthew. Do diabła

– roześmiał się krótko – wszyscy go kochali, nawet Ma.

Przerwał na chwilę pakowanie, by podnieść na ojca wzrok, który nie zniósłby zaprzeczenia.

– Ale nikt nie kochał go bardziej niż ja. Chcę, żebyś to wiedział. Nigdy nie czułem do niego nienawiści. Ja mu zazdrościłem, miałeś rację. Ale nie zazdrościłem mu, że był kimś, kim ja nie byłem, zazdrościłem mu, że ma to, co ja chciałem mieć i co uważałem, że mi się należy. Karałem go za to, że to on zdobył twój szacunek i uznanie, kiedy mnie się to nie udawało, on, chłopak, który nawet nie był twoim synem, bo tak wtedy myślałem. Ale gdy się zorientowałem, kim był naprawdę... – przerwał, stawiając cylindryczny worek na łóżku. – No tak, to wiele tłumaczyło.

Percy cały się wyrывał, żeby powstrzymać dłonie Wyatta przed zaciągnięciem i zawiązaniem sznurka.

– I nigdy już nie miałeś żadnych wątpliwości?

– Nie – odparł, ściągając sznurek i zawiązując worek. – Nie po tym, jak usłyszałem, że przyznajesz się Ma do Matthew, wtedy w nocy. Zszedłem na dół, żeby przeprosić i powiedzieć, że już nigdy nic mu nie zrobię, kiedy usłyszałem waszą kłótnię.

Percy poszukał ręką oparcia w poręczy łóżka.

– I... słyszałeś wszystko?

– Mhm. Wszystko. To też wiele tłumaczyło.

Percy przełknął, bezskutecznie usiłując pozbyć się z uszu tej ogłuszającej ciszy.

– Czy to dlatego... ty i ja... dlatego nigdy nam się nie udało?

– Och, tato, udało nam się. W jedyny możliwy dla nas sposób. Nie chcę cię zostawiać z myślą, że to przez Matthew jest między nami tak, jak jest. Nawet gdyby on nigdy się nie urodził, nie zmieniłoby się to, co ty do mnie czujesz lub czego nie czujesz. Matthew tylko

wszystko pogorszył, przez porównanie, i już. Jeśli o mnie chodzi, to dzięki temu, że poznałem prawdę, zyskałem brata.

I straciłeś ojca, krzyczał wewnątrz Percy, sparalizowany pragnieniem, by wyciągnąć ramiona i objąć go choć na chwilę, zanim wyjedzie, trzymać go jak małego chłopca, którego nigdy nie obejmował, nigdy nie odnalazł. Aż do dziś. „Kocham cię... kocham cię”, chciał wołać. Niespodziewanie okazało się, że to uczucie w nim jest, teraz uwolnione jak ptak z trwającej całe życie niewoli, ale przecież Wyatt nigdy by nie uwierzył, że Percy mówi prosto z serca. Uznałby, że mówi pod wpływem chwilowych emocji. „Wybacz mi...”, miał ochotę go błagać, ale bał się odpowiedzi. Takiej pamiątki by nie zniósł.

– Jeszcze jedno – powiedział głośno. Musiał o to zapytać. – Czy... czy powiedziałeś Matthew?

– Skąd, nigdy. A on się nie domyślił. Nie był zbyt dobry w takich sprawach, brał rzeczy takimi, jakimi są – wyjaśnił Wyatt i wskazała na biurko. – W dolnej szufladzie jest jego koszulka i książka, którą dał mi na urodziny. Wziąłbym je ze sobą na szczęście, ale nie chcę, żeby coś im się stało. Jeśli nie wrócę, są twoje.

Niezdolny się odezwać, Percy pokiwał głową, patrząc, jak Wyatt jednym płynnym ruchem zarzuca sobie worek na ramię. Wiedząc, że każda próba pojednania nie tylko byłaby daremna, ale wydałaby się chęcią przypodobania, stał bezradnie, z rezygnacją patrząc, jak syn ostatni raz rozgląda się po swoim pokoju. Wyatt zawsze go szanował, i to musi mu wystarczyć.

– No, to chyba wszystko – odezwał się, zatrzymując wzrok na Percym, co bardzo rzadko mu się zdarzało. Jego oczy, czyste jak górski strumień, nie kryły oskarżenia, podstępni ani potępienia. – Myślę, że lepiej, jak nie pojedziesz z nami na stację. Ty i Ma znowu wdacie się w kłótnię, a ja nie chcę was tak zapamiętać. Potem idzie na swoje karty. Te plotkary, z którymi gra, pomogą jej przez to przejść – i wyciągnął rękę, a Percy powoli ją ujął i mocno uściśnął. Ku swojemu przerażeniu zauważył, że ma w oczach łzy.

– Żałuję... naprawdę żałuję, że tak się między nami ułożyło.

Wyatt pokręcił głową.

– Człowiek nie wybiera sobie synów. Stało się, jak się stało. Matthew to był dobry chłopak. Cieszę się, że ma to wszystko z głowy – powiedział, po czym puścili swoje ręce.

– Opiekuj się Ma najlepiej, jak możesz – jeśli ci pozwoli – dodał jeszcze, uśmiechając się w taki sposób, że jego surowe rysy stały się wręcz ujmujące.

Ale Percy nie umiał pozwolić mu odejść.

– Może kiedy wrócisz, spróbujemy od nowa?

Ponownie pokręcił głową.

– To by niczego nie zmieniło. Ja to ja, a ty to ty. Żegnaj, tato, będę pisać.

I tak się rzeczywiście stało. Percy pożerał jego listy, przechodząc wraz z plutonem Wyatta południowy Pacyfik, od Corregidor, przez Guam aż do Iwo Jimy. Wyatt wyróżnił się na polu bitwy, co zresztą Percy od początku przewidywał, zdobywając, jedno po drugim, odznaczenia za odwagę. Percy czytał listy Wyatta i sprawozdania w prasie o wojnie w dżungli, o ohydnych zasadzkach i japońskich okrucieństwach, o deszczach, bagnach i komarach przenoszących zarazki malarii, i zastanawiał się, czy to możliwe, że jakimś sposobem Matthew wstawiał się za bratem, od przyczółka do przyczółka, od okopu do okopu, zachowując go przy życiu i w całości.

A potem w końcu wojna się skończyła i Wyatt wracał do domu. Ale nie na stałe, jak pisał. Znalazł swoją niszę. Postanowił zostać w piechocie. Na polu bitwy otrzymał stopień porucznika. Razem z Lucy odebrali go dworca. Kiedy wysiadł z pociągu, ledwie go rozpoznali, lewa strona munduru wzbudzała respekt, dając świadectwo wszystkim bitew, w których uczestniczył. Nie widzieli go cztery lata. Percy skończył pięćdziesiątkę, a Lucy, już posiwała, miała czterdzieści

pięć.

– Cześć – powiedział zwyczajnie, patrząc na nich obcymi oczami. Lucy nie od razu uścisnęła tego mężczyznę, którego wychowała. Stał przed nią potężny, wyższy nawet od Percy'ego i prezentował się naprawdę wspaniale. Był w świetnej formie fizycznej, twardy żołnierz, który przeszedł wiele bitew i walk, wyglądał jak wojownik, który odnalazł swoje plemię, swoje przeznaczenie, swój wewnętrzny pokój.

– Więc nie zamierzasz wrócić do interesu? – zapytał go później Percy.

– Nie, tato.

Percy kiwnął głową. Jednak nie będzie nam dane zacząć od nowa. Uścisnął mu dłoń obiema rękami.

– W takim razie życzę ci bezpiecznych powrotów, synu, zawsze.

Lucy jego winiła za tę decyzję. Już wiedziała, że Wyatt zna prawdę o Matthew.

– Dlaczego miałbyś chcieć wracać do domu i do ojca, który zawsze wołał pierworodnego?

– Lucy, głęboko wierzę, że Wyatt już dawno się z tym uporał – tłumaczył Percy.

Jej oczy załśniły dawnym bólem. Percy wiedział, że decyzja o wyjeździe z domu dotknęła ją do żywego. Wypatrywała go, nie mogła doczekać się jego powrotu, ożenku, wnuków.

– Możliwe, ale tobie na pewno nie wybaczył – odrzekła. – I nie wybaczy. Nigdy. A fakt, że zostaje w piechocie, jest tego najlepszym dowodem.

Pewnego ranka, około pięciu miesięcy po powrocie Wyatta do jednostki, Percy podniósł wzrok znad gazety, którą czytał przy śniadaniu i zobaczył, że obok niego stoi Lucy. Miała na sobie kostium i kapelusz. Ramiona otulała etola z norek.

– Gdzie się wybierasz tak wcześnie rano? – zapytał zaskoczony. Jego żona rzadko otwierała oczy przed dziesiątą.

– Do Atlanty – odparła Lucy, zakładając rękawiczki. – Wyprowadzam się, Percy. Teraz, kiedy Wyatt wyjechał, nic już mnie tutaj nie trzyma. Wynajęłam dom przy Peach Tree, a Hanna Barweise spakuje i wyśle moje rzeczy – po czym wyjęła z torebki kartkę papieru i wręczyła ją oniemiałemu mężowi. – Tu jest adres i lista moich wydatków. Będę też potrzebować comiesięcznej sumy na swoje wydatki. Całość znajdziesz na dole. Może wyda ci się to ekstrawagancją, ale na pewno cię stać, i jestem przekonana, iż uznasz, że warto za tę cenę mieć mnie z głowy.

– Lucy, ja nie chcę cię mieć z głowy. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Oczywiście, że nie. Jesteś na to zbyt dobrze wychowany, ale tak będzie najlepiej dla nas obojga. A teraz, ze względu na dawne czasy, odwieziesz mnie na dworzec?

Nie próbował jej przekonywać, ale na stacji spojrzął na jej pulchną twarz kobiety w średnim wieku i przypomniał sobie dziewczynę, po którą przyjechał tutaj przed dwudziestu sześciu laty.

– Sporo wody upłynęło, Lucy – powiedział wzruszony.

– Tak – zgodziła się z nim. – Problem w tym, że z dwóch przeciwnych brzegów patrzyliśmy, jak płynie.

Kapelusz lekko się jej przekrzywił. Wyprostował go i zapytał melancholijnie:

– Nie chcesz się rozwieść, dopóki jeszcze masz czas, by móc oglądać ją z kimś innym z tego samego brzegu?

– Nigdy w życiu! – roześmiała się ostro. – Zapomnij o tym. Moja groźba wciąż jest aktualna. Żadnego rozwodu, dopóki ja o tym nie zdecyduję, a to nie zdarzy się, póki żyje Mary Toliver DuMont.

Nie objęli się, kiedy nadszedł czas odjazdu. Lucy nie wykazywała chęci znalezienia się w ramionach Percy'ego i nadstawiła tylko policzek, na którym złożył zdawkowy pocałunek.

Pozwoliła mu podtrzymać się za łokieć, gdy wsiadała do pociągu. Na schodkach odwróciła się i powiedziała cicho:

– Żegnaj, Percy.

– Tylko na chwilę – odparł, a kiedy pociąg zagwizdał, zsunął dłoń do nadgarstka, jak robił to dawniej. Ten gest ją zaskoczył i zanim jak oparzona szarpnęła ręką, uwalniając się z uścisku, usłyszał delikatny syk wciąganego gwałtownie powietrza. Patrzyła mu w oczy o ułamek sekundy dłużej, niż tego chciała, a potem odwróciła się i znikła.

Rozdział czterdziesty szósty

Po wyjeździe Lucy Percy zrobił to, co robił zawsze, gdy w jego życiu źle się działo: dłużej pracował i rozwijał firmę. Powiększył ścieralnię nad rzeką i rozpoczął budowę mającej z nią sąsiadować papierni. Ponadto zaraz obok przygotował teren pod budowę osiedla, na którym za przystępną cenę będą mogli kupić domy pracownicy i ich rodziny, o ile nie będzie im przeszkadzał nieprzyjemny zapach dochodzący z zakładu. Wszystkie domy natychmiast zostały rozchwyte. Siarkowy zapach najwyraźniej nie przeszkadzał przyszłym właścicielom. Oznaczał stały zarobek wręczany co tydzień w postaci czeku, opiekę zdrowotną, emeryturę, podwyżki i zapłacony urlop.

Wolny czas spędzał w towarzystwie Olliego i Mary oraz nowego przybysza, serdecznie przywitane w ich trzyosobowym kręgu – młodego prawnika Amosa Hinesa. Amos przywędrował do Howbutker w drugiej połowie 1945, dokładnie wtedy, kiedy uciekł William Toliver i od razu zaproponowano mu współpracę w kancelarii prawniczej wieloletniego adwokata Warwicków, Charlesa Waithe'a. Tak jak ojciec, William odkrył, że nie jest farmerem i pewnego jesienno-ranka udał się w niewiadomym kierunku i na kilka dobrych lat słuch o nim zaginął. Mary straciła kolejnego dziedzica Somerset.

Z gorzkim uśmiechem podsumowała Percy'emu ich porażki w jednej celnej uwadze.

– Ale z nas para.

– O tak, co prawda, to prawda – zgodził się z nią.

– Tęsknisz za Lucy?

Wydął lekko usta i odparł:

– Odczuwam brak jej obecności, ale nie stratę.

Zainwestował w przemysł naftowy i musiał jeździć do Houston na spotkania z kilkoma partnerami, których wysiłki, ambicje i dochód koncentrowały się wyłącznie na wydobyciu ropy. To na jednej z takich konferencji, w rok po przeprowadzce Lucy do Atlanty, poznał Amelię Bennet. Od niedawna wdowa, została partnerką w firmie jako spadkobierczyni zmarłego męża, ale w przeciwieństwie do Percy'ego znała tę branżę na wylot. Ścieli się od razu na początku, podczas dyskusji, czy warto rozpocząć wiercenia w rejonie zachodnioteksańskiego basenu permskiego. On był za, ona przeciwko.

– Doprawdy, proszę pana – mówiła, zwracając się do niego z pogardliwym spojrzeniem z drugiej strony błyszczącego stołu konferencyjnego. – Nie mogę sobie wyobrazić, jak producent ścieru drzewnego może mieć jakiegokolwiek pojęcie o złożach ropy, nie mówiąc już o zabieraniu głosu w tej sprawie. Może powinien pan raczej siedzieć cicho i pozwolić decydować tym, którzy się na tym znają.

Percy uniósł brwi. O, wyzwanie. Od czasu Mary nie czuł takiego wyzwania

– Wezmę pod uwagę pani reprimendę, zapewne wypowiedzianą w dobrej wierze, droga pani, ale tymczasem głosuję za rozpoczęciem wierceń w Dollarhide Field w zachodnim Teksasie.

Później, gdy spotkali się sami w windzie, omiotła wzrokiem jego wysoką sylwetkę i oświadczyła:

– Jest pan najbardziej aroganckim człowiekiem, jakiego znam.

– Na to wygląda – przyznał zgodnie.

Podobały mu się proste szpilki i ciemne, wąskie spódnice, do których wkładała jedwabne, pastelowe bluzki. Jediną jej biżuterię stanowiła obrączka i skromne perły w uszach, które pasowały do guzików z masy perłowej. Po kilku kolejnych spotkaniach Percy doświadczył niesamowitej przyjemności przesuwania ich przez dziurki i rozchylania jedwabnej bluzki.

– Żeby cię to nie zmyliło. Wciąż uważam, że jesteś najbardziej aroganckim człowiekiem, jakiego znam – powiedziała Amelia, jej oczy jaśniały blaskiem najwspanialszego bursztynu.

– Nawet nie śmiałym z tym polemizować – odparł spokojnie.

Ten romans okazał się niezwykle satysfakcjonujący dla obojga. Żadne z nich nie było zainteresowane małżeństwem. Szukali bliskości kogoś, kogo lubili i szanowali, komu ufali – to wszystko. Nie kryli się po kątach, plotkarzom zostawiając decyzję, co z tym zrobić. Nic nie zrobili. Czasy były powojenne i obyczaje luźniejsze. Percy i Amelia byli dorośli, nikt ich do niczego nie zmuszał. Byli bogaci, wpływowi i silni, przyzwyczajeni do postępowania wedle własnej woli. Kto ośmieliłby się publicznie krytykować młodą, zdrową i atrakcyjną wdowę, że dzieli łożę z niezwykle męskim rekinem biznesu opuszczonym przez żonę?

Wyatt stacjonował teraz w Camp Pendleton. Rzadko pisał, dzwonił tylko na Boże Narodzenie i urodziny Percy'ego, nie przyjeżdżał w ogóle. Percy pisał dużo częściej, wypełniając listy nowinami o papierni i osiedlu robotniczym, o Mary i Olliem oraz swoim nowym przyjacielu, Amosie Hinesie, opisując wyjaśnienia w Howbutker, by Wyatt wiedział, co dzieje się w jego rodzinnym mieście. Kiedyś, po przeczytaniu ostatniego listu Sary do niego, napisał, że panna Thompson wyszła za mąż za dyrektora szkoły w Andrews. Po długim namyśle zdecydował wyznać synowi, że on i panna Thompson byli kiedyś bardzo blisko i że jej małżeństwo wywołało w nim słodko-gorzkie uczucia. Ku zaskoczeniu Percy'ego Wyatt od razu odpisał, wspominając Sarę w jednym prostym zdaniu: „Zawsze była moją ulubioną nauczycielką”.

Pół roku przed końcem kolejnej dekady przyszedł list od Wyatta, w którym syn oznajmiał, że ożenił się z Claudią Howe, nauczycielką przeniesioną z Wirginii. Mieszkali w bazie, zajmując kwatery dla oficerów z rodzinami. Był już kapitanem i dowódcą kompanii. Ostatnio Lucy złożyła im niespodziewaną wizytę, przylatując z Atlanty, by poznać swoją synową. Wyatt nie zaproponował, by Percy uczynił to samo.

Natychmiast chwycił za słuchawkę i wybrał numer do Camp Pendleton. Już po pierwszym dzwonku usłyszał miły, kobiecy głos, którego właścicielka otrzymała staranne wykształcenie.

– Dzień dobry. Kwatera kapitana Warwicka.

– Pani Claudia? Mówi Percy Warwick, ojciec Wyatta.

Wydawało mu się, że milczeniu, które nastąpiło, wyczuł przyjemne zaskoczenie, co potwierdził, kiedy odezwała się znów melodyjnym głosem:

– Och, jaka miła niespodzianka. Wyatt będzie niepokojony, że pan go nie zastał. Jest na manewrach.

– Mnie też jest przykro. Brak wycucia czasu z mojej strony, niestety – odparł rozczarowany Percy.

– Mam nadzieję, że spróbuje pan jeszcze raz.

– Oczywiście – szukał w głowie czegoś, by zapłacić to milczenie. – Ucieszyła mnie wiadomość o waszym ślubie, mam nadzieję, że wkrótce panią poznam. Proszę namówić Wyatta, żeby pokazał pani Howbutker.

– Na pewno mu o tym wspomnę.

Percy zauważył, że nie odwzajemniła zaproszenia i zadał jeszcze kilka kurtuazyjnych pytań o samopoczucie i ogólną sytuację. Claudia odpowiadała bardzo uprzejmie, ale krótko, nie przedłużając rozmowy. Gdy odłożył słuchawkę, czuł się zawiedziony.

W prezencie ślubnym wysłał okazały czek, za który natychmiast otrzymał podziękowanie od Claudii z dopiskiem jednego zdania ręką Wyatta. Percy podejrzewał, że te krótkie pozdrowienia to pomysł synowej.

Rok później otrzymał jeszcze jeden list od Claudii. Ładnym, wyraźnym pismem

informowała, że został dziadkiem, a załączona fotografia przedstawiała mu jego wnuka, Matthew Jeremy'ego Warwicka. Wołali go Matt.

Następnego dnia wstrząsnął nim nagłówek w niedzielnej „Gazette”: **WOJSKA KOREI PÓLNOCNEJ PRZEKROCZYŁY TRZYDZIESTY ÓSMY RÓWNOLEŻNIK W ZASKAKUJĄCYM ATAKU NA KOREĘ POŁUDNIOWĄ.**

Przez parę następnych dni, z rosnącym niepokojem śledził rozwój sytuacji: Korea Północna odmówiła podporządkowania się żądaniom Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych, by zaniechać wrogich działań i wycofać się za trzydziesty ósmy równoleżnik. Oddziały koreańskie były już w drodze na Seul, stolicę Korei Południowej, by obalić demokratyczny rząd i siłą zjednoczyć państwo pod przewodnictwem komunistów. Rada Bezpieczeństwa zareagowała wysłaniem na pomoc Korei Południowej swoich oddziałów, złożonych głównie z wojsk amerykańskich, pod dowództwem generała Douglasa MacArthura. Jeden z pierwszych rozkazów generała brzmiał: „Przyślijcie piechotę”.

Koniec! Tak pomyślał Percy przy śniadaniu, patrząc na zdjęcie wnuka. Łapię pierwszy samolot do San Diego. Nic mnie to nie obchodzi, że Wyatt nie chce mnie widzieć. Pierwsza Dywizja Piechoty zawsze wszędzie jest pierwsza, a ja mam zamiar zobaczyć go, zanim wyjedzie.

Wciągnął mocno powietrze, bo ogarnął go obezwładniający strach. Zrobiło mu się słabo. Korea Południowa. Kto w ogóle o niej słyszał, i po co do cholery Narody Zjednoczone wysyłały żołnierzy, żeby za nią umierali? Rzucił serwetkę na stół i odsunął krzesło. Wyatt pomyśli zapewne, że Percy szuka rozgrzeszenia za swoje grzechy względem niego. Pomyśli, że to wybieg, by zobaczyć wnuka, spróbować zdobyć kolejnego Warwicka, jeśli można tak powiedzieć. W najlepszym wypadku pomyśli, że tak robi ojciec, gdy jego jedyny syn wyrusza na swoją drugą wojnę, choć udało mu się przeżyć pierwszą. I w każdym punkcie będzie miał rację. Nie będzie natomiast wiedział, że Percy przyjeżdża również dlatego, że go kocha, miłością, która pomimo dzielącej ich odległości każdego dnia wydaje się silniejsza.

Plany zarysowane przy śniadaniu uległy jednak zmianie, kiedy zaraz po przyjściu do biura sekretarka wręczyła mu telegram.

– Od Wyatta – poinformowała go. – Podpisałam odbiór kilka minut temu.

Percy rozerwał żółtą kopertę: **TATO STOP PRZYJEŹDŹAM DZIŚ POCIĄGIEM O 6.00 STOP PRZYWOŹĘ CLAUDIĘ I MATTĄ STOP WYATT**

Percy uniósł wzrok i spojrzał na sekretarkę.

– Sally, mój syn przyjeżdża do domu z rodziną. Zbierz czym prędzej wszystkie sprzątaczkę w mieście i wyślij do Warwick Hall. Płacę podwójnie. Albo jeszcze lepiej, jedź tam i dopilnuj, żeby każdy pokój lśnił. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście, panie Warwick.

– I zadzwoń do Hermana Stolza...

– Tego rzeźnika?

– Tak. Niech przygotuje trzy najlepsze kawałki polędwicy na befsztyki, siedmiocentymetrowe. A, jeszcze jedno, czy mogłabyś zadzwonić do kwaciarni i zamówić kwiaty na parter i do najlepszego pokoju gościnnego. Chciałbym bukiet z... białych i czerwonych róż. Postaw je w holu.

– Oczywiście, proszę pana.

Percy zadzwonił następnie do Gabriela, którego Lucy niegdyś zwolniła, a on przyjął z powrotem po jej wyjeździe, kiedy co prawda pracował u DuMontów, ale oddali mu go. Gabriel miał sześćdziesiąt pięć lat i od dnia swoich narodzin w kwaterach dla służby nad garażem Warwicków rzadko kiedy wypuszczał się poza Houston Avenue.

– Gabrielu, wysyłam po ciebie samochód. Jedź do sklepu Stolza i odbierz dla mnie steki,

które zamówiłem. Jak już tam będziesz, kup też ulubione rzeczy pana Wyatta. Zrozumiałeś? Pan Wyatt przyjeżdża dzisiaj z żoną i moim wnukiem.

Percy pozwolił mu na kilka wykrzykników w rodzaju „Chwalmy Pana!”, po czym przeszedł do dalszych instrukcji.

– Mam przecucie, że jego żona lubi sos berneński. Potrafisz to przyrządzić?

– Poproszę wnuka, Grady’ego, żeby mi przeczytał przepis. Mam tu ołówek, jak to się pisze?

Percy westchnął i przeliterował słowo, żalując, że nie ma pod ręką Amelii.

Kiedy skończył, zadzwonił do Mary. Wysłuchała go i obiecała, że wyśle Sassie, by pomogła Gabrielowi, a potem dodała:

– Percy, Wyatt przywozi dziecko i matkę, żeby ich zostawić z tobą, kiedy będzie w Korei.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Dostajesz kolejną szansę.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Myślę, że możesz być tego pewien. Zazdroszczę ci, Percy.

– Może i ty dostaniesz taką szansę, Mary.

Jej śmiech przywołał skojarzenie z tłuczeniem kryształu.

– A skąd niby miałyby przyjść?

Mary miała rację, choć Percy nawet nie śmiał robić sobie na to nadziei. Nie pytał Wyatta, co jego matka sądzi o tej decyzji. Musiało ją to zboleć i zaskoczyć, ale na razie odłożył na bok empatię dla Lucy i pozwolił sobie pławić się we własnych uczuciach, wdzięczności i euforii. Dziecko było przepiękne. Percy patrzył na nie z podziwem i wręcz nie mógł uwierzyć w ten cud: czoło, nos i broda świadczyły niezbicie, że to Warwick z krwi i kości.

Sally wyganiała jeszcze tylnymi drzwiami brygadę sprząającą, gdy przybyli oczekiwani goście. Percy obserwował, jak do domu powoli wchodzi Claudia, rozglądając się po okazałym budynku nadgryzionym już nieco zębem czasu. Z dzieckiem w ramionach stanęła na moment w holu przed wspaniałą kompozycją z białych i czerwonych róż, odbijającą się w lśniącym blacie stołu, na którym stała. Wyatt chyba nie zauważył kwiatów.

– Piękne – powiedziała Claudia.

Przyjechali dokładnie o szóstej. Stary Titus, konduktor, osobiście podał ramię energicznej żonie umundurowanego kapitana piechoty morskiej, który wysiadł za nią. Wskazał na Percy’ego.

– A to pan Percy Warwick, o tam – podszedł go Percy. – Elegancki jak zawsze.

Podeszła do niego razem z dzieckiem, a jej mąż, wysoki i władczy, podążył za nią.

– Dzień dobry, tato – powiedziała.

Początkowo wydała mu się trochę nijaka, bez jednej cechy godnej zauważenia. Włosy ani blond, ani brąz, twarz nie piękna i nie pospolita, ani wysoka, ani niska. Jego uwagę przyciągnął melodyjny głos, a potem oczy, raczej nie kolor, bo były zwyczajnie brązowe, ale inteligencja i uczciwość, które w nich zobaczył, delikatna siła i poczucie humoru. Percy od razu ją polubił, pełen dumy, że jego syn tak dobrze wybrał żonę.

– Witaj, córko – odparł cicho, obejmując ją wraz z dzieckiem na rękach.

– Jak ci się podoba nasz dom? – zapytał ją później o Warwick Hall.

– Jest wspaniały, czy można w ogóle pomyśleć inaczej? Wyatt nigdy mi o tym nie powiedział.

– Ale... chyba mówił ci o... o innych rzeczach.

– Mówił – odparła łagodnie i ze zrozumieniem.

Zostawił ten temat, ciesząc się, że podoba się jej dom zbudowany przez jego przodków. „Inne rzeczy” mogą omówić później, kiedy Wyatt wyjedzie, o ile oczywiście będzie miała na to

ochotę.

Z przerażeniem dowiedział się, że syn wyrusza do Korei w ciągu najbliższych kilku tygodni i musi wracać do Camp Pendleton zaraz następnego dnia.

- Tak szybko? – pytał Percy z sercem rozdartym rozczarowaniem.
- Niestety.

Późno wieczorem, zbyt podekscytowany, by zasnąć, Percy chciał zejść do biblioteki na szklaneczkę brandy przed snem. Wcześniej widział swoją rodzinę w komplecie w pokoju gościnnym, w którym ustawiono też pożyczone od Mary łóżeczko dla dziecka, więc myślał, że wszyscy się już położyli, kiedy przez uchylone niespodziewanie drzwi zobaczył światło w dawnym pokoju Wyatta. Poszedł tam i zobaczył syna. Częściowo jeszcze w mundurze stał na środku swojego pokoju, tyłem do niego, twarde jak granit ramiona okrywała wykrochmalona koszula. Percy obserwował go w milczeniu, zastanawiając się, o czym myśli, jakie słyszy głosy, jakie echo z przeszłości. Na ścianach wisiały wciąż pamiątki chłopięcych lat. Na honorowym miejscu nad łóżkiem proporzec z napisem LICEUM HOWBUTKER MISTRZOWIE STANU W FUTBOLU AMERYKAŃSKIM 1939.

Percy odchrząknął.

- Człowiek nie powinien musieć walczyć w dwóch wojnach.

Wyatt odwrócił się, jak zwykle z nieprzeniknioną twarzą, teraz już dorosłego mężczyzny.

– Może z tą szybciej się uporam – powiedział i przesunął palcem po grzbiecie książki, którą trzymał w ręku. Były to tak cenne *Przygody Hucka Finna*. – Pomyślałem, że tym razem wezmę ze sobą prezent od Matthew. Może przyniesie mi szczęście.

- Dobry pomysł – uznał Percy. – Tego nigdy za wiele u żołnierza.

Tyle chciał mu powiedzieć, ale ze ściśniętego emocjami gardła nie potrafił wydobyć ani jednego słowa. Wyatt przerwał tę chwilę zażenowania.

- Tato, przed wyjazdem chciałbym cię o coś poprosić. O przysługę.

– Wszystko, synu. Co tylko chcesz.

– Jeśli... nie wrócę, chciałbym, żeby mój syn wychował się tutaj, z tobą. Claudia się ze mną zgadza. Już za tobą przepada. Zresztą wiedziałem, że tak będzie. A nie ocenia charakterów zbyt pochopnie, możesz mi wierzyć – na jego ustach zaigrał delikatny uśmiech, błysk dumy w oczach zmiękczył twarde rysy jego twarzy. – Nie sprawią ci kłopotu, a ja będę spokojniejszy, wiedząc, że bez względu na to, co stanie się ze mną, zawsze będą mieć u ciebie dom.

Percy z trudem wyjąkał:

- Chcesz... chcesz, żebym... żebym ja pomógł wychowywać Matta, jeśli... jeśli...
- Dokładnie.

Percy spojrzał w te czyste, niebieskie oczy. Nie mówiły nic, mówiły wszystko. Percy mógł być pewien tylko tego, co usłyszał.

– Mogą tu zostać, jak długo mają ochotę – zapewnił. – Nie chciałbym, żeby byli gdziekolwiek indziej i czuję się głęboko zaszczycony, że... chcesz, żeby mieszkali ze mną – dodał i z trudnością przełknął ślinę. Nie może się załamać. Pozostanie tym mężczyzną, którego Wyatt zawsze szanował. Ale nie potrafił się powstrzymać, to było po prostu silniejsze: – Wyatt, musisz wrócić. Musisz.

- Będę się starał. Dobranoc, tato, i dzięki.

Przechodząc obok Percy'ego z książką pod pachą, Wyatt skinął lekko głowę i wyszedł z pokoju.

Rozdział czterdziesty siódmy

Godziny uciekały bardzo szybko. Ledwie przywiózł ich z dworca do domu, a już byli z powrotem na peronie, Claudia z dwumiesięcznym Mattem otulonym w niebieski kocyk, a Wyatt w pełnym rynsztunku w swoim nienagannym mundurze z rzędami odznaczeń na lewej piersi.

– Masz wszystko? – spytał go Percy przed wyjściem z domu. – Wszystko spakowałeś?

– Wszystko – odpowiedział Wyatt. – Jestem dobry w tym, że nic po sobie nie zostawiam.

To nieprawda, pomyślał Percy smutno. Ale po ucałowaniu żony i dziecka oraz uściśnięciu Percy'emu dłoni, to do niego zwrócił swoje ostatnie słowa, zanim wszedł do pociągu.

– Tato, dopilnuj, by mój syn wiedział, że go kocham.

– Sam tego dopilnujesz, synu.

Po powrocie do domu Claudię z Mattem zostawił w ogrodzie skąpanym promieniami letniego słońca, a sam udał się do pokoju gościnnego. Szukał *Przygód Hucka Finna*, ale nie mógł ich znaleźć. Nie zostało tam nic po tym mężczyźnie, który przyjechał tu i wyjechał w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin. Z ulgą musiał uznać, że Wyatt spakował książkę wraz z resztą rzeczy. Bez wiedzy syna Percy ściał jedną czerwoną różę z kompozycji w holu i wsunął ją między kartki książki. Chciał napisać krótki list i przylepić go taśmą do łodygi, jak to robią co roku w rocznicę zakończenia pierwszej wojny światowej, ale po namyśle zmienił zdanie. Słowo pisane, tak jak mówione, pozostaje zupełnie bezskuteczne, jeśli czytający przypisuje je poczuciu winy. Był właściwie przekonany, że Wyatt nie będzie miał zielonego pojęcia, skąd róża się wzięła, co znaczyła i co ma z nią zrobić. Wydawało mu się, że Lucy nigdy nie zapoznała syna z legendą, a on tym bardziej nie. Ale znalazł pociechę już w samym gościu, wiedząc, że róża pojechała z synem w świat, na wojnę, świadectwo jego skruchy między kartkami najdroższej sercu jego syna książki.

Percy śledził działania wojenne. W prasie i radiu pojawiły się nowe, dziwnie brzmiące terminy i nazwy opisujące kolejną linię frontu w obcej części świata: Inczhon, Chosin, Fox Hill, Old Baldy, Kunuri, Aleja MiG-ów, Koreańska Strefa Zdemilitaryzowana. Wyatt pisał: „Ludzie płaczą, modlą się i przeklinają tak jak na drugiej wojnie światowej i na Twojej wojnie, Tato. Jest tak samo – strach, nuda, samotność, adrenalina, braterstwo broni, napięcie przed kolejnym atakiem, długie noce z dala od domu i rodziny. Teren jest straszny, wzgórza nagie i brązowe jak dupa niedźwiedzia, a siedzenie w okopie w noc czarną jak smoła i czekanie na hordy chińskich komuchów z ruskimi pepeszami jeży na człowieku każdy najmniejszy włos. Ale myślę o Claudii i Matcie, i że są bezpieczni razem z Tobą”.

Niedługo po wyjeździe Wyatta Percy odpakował przedmiot, który schował kiedyś po powrocie syna z drugiej wojny światowej. Przed Mattem, który gaworząc leżał w swoim łóżeczku, rozwinął prostokątny kawałek jedwabiu: czerwona obwódka, a w środku na białym tle niebieska gwiazda.

– Pytasz, co to takiego? – mówił Percy do Matta. – To, mój malutki, taka specjalna flaga, którą wywiesza się, gdy ktoś z rodziny walczy za kraj w czasie wojny. W tym przypadku chodzi o twojego tatę i zaraz wywiesimy flagę za okno.

Pod koniec września 1951, w blisko półtora roku od rozpoczęciu konfliktu w Korei, do kawiarni na rynku, w której Percy siedział wraz z członkami KSK – Klubu Starych Kumpli – zadzwoniła Claudia, prosząc, by wrócił do domu. Nie pytał dlaczego. Spokojnie położył na ladzie pieniądze i bez słowa wyszedł. Poranek miał barwy niebiesko-złote, jak ten, który rozpoczął ostatni dzień życia jego starszego syna. Kiedy wjechał na posesję, od razu zauważył

samochód piechoty morskiej zaparkowany pod portykiem. Wysłali z Houston kapelana i dwóch oficerów, by poinformowali rodzinę, że Wyatt Trenton Warwick zginął w akcji na ponurym i nieprzystępnym polu bitwy zwanym Punch Bowl. Wiele dni później przysłano jego ciało owinięte w amerykańską flagę, którą potem, podczas ceremonii pogrzebowej, w imieniu wdzięcznego narodu ofiarowano wdowie. Percy wybrał miejsce pochówku przy pewnej dezaprobacie właściciela zakładu pogrzebowego, który pochowałby Wyatta w kwaterze Warwicków poniżej Matthew DuMonta.

- Nie poniżej, tylko obok niego – zarządził Percy.
- Skoro pan nalega – odparł tamten. – Ostatecznie byli najlepszymi przyjaciółmi.
- Nie tylko przyjaciółmi – mówił Percy pełnym emocji, drżącym głosem – Byli braćmi.
- Tak wszyscy ich pamiętają – zakończył pojednawczo właściciel zakładu. – Bliscy jak bracia.

Ludzie, z którymi pracował, koledzy i koleżanki ze szkoły, zawodnicy z drużyny i trenerzy, wszyscy przybyli na uroczystość z różnych miejsc, w których zastała ich wiadomość o jego śmierci. Przyjechała też Lucy, cała w czerni, bladą i wymizerowaną twarz chowając pod welonem i zatrzymała się w Warwick Hall. Percy chciał opłakiwać stratę syna razem z jego matką, chciał jakoś poczuć jej bliskość, dotyk, ale chłodne oczy kazały mu utrzymać dystans. Gdy wybierali kwiaty, które miały leżeć na grobie, powiedziała:

- Proszę cię, Percy, tylko nie róże...

Dlatego był to kobierzec czerwonych maków trzepoczących delikatnie płatkami na wietrze tuż obok miejsca spoczynku Matthew DuMonta. Gwardia Honorowa uniosła broń i oddała pożegnalną salwę. Huk wystrzałów wypełnił uszy Percy'ego, a mały Matt rozplakał się w bezpiecznych ramionach swojego dziadka.

- Cóż – powiedziała tego wieczora Lucy – Claudia mówi, że ona i Matt zostają z tobą w Howbutker.

- Tak, Lucy.

- Mówiła też, że tego życzył sobie Wyatt.

- Tak, Lucy.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, Percy.

- Nie ma, Lucy.

W końcu dotarli do domu również rzeczy osobiste Wyatta. Percy pojechał na dworzec, by odebrać niewielką skrzynię, którą sam zaniósł do firmowej furgonetki. Claudia, najwyraźniej widząc jego ból, nalegała, by razem przejrzeeli jej zawartość.

- A to co takiego? – zapytała, podnosząc *Przygody Hucka Finna*.

Percy miał nadzieję znaleźć ją w tej skrzyni...

- Wyatt dostał tę książkę na urodziny od Matthew, gdy byli jeszcze dziećmi – wyjaśnił.

- Zabrał ją ze sobą, mając nadzieję... że przyniesie mu szczęście.

Wziął ją od niej i przerzucił kartki, szukając czerwonej róży, ale jej nie znalazł. Czy Wyatt ją widział? Wyrzucił, nie zdając sobie sprawy z jej szczególnego znaczenia? A może wypadła, gdy któryś z kolegów pakował te rzeczy do skrzyni? Nigdy się nie dowie. Będzie musiał żyć ze świadomością, że jego syn umarł, nie wiedząc, iż ojciec go kocha i prosi o wybaczenie.

Pomimo stale obecnego bólu, który dołączył teraz do pozostałych smutków, życie weszło w nowy etap domowego spokoju, jakiego nie pamiętał od czasów, gdy w Warwick Hall panowała jego matka. Claudia i Matt stali się centrum jego wszechświata. Dzięki umiejętnemu zarządzaniu synowej dom zyskał nowy blask i porządek. Na stole pojawiały się pożywne posiłki, serwowane dla całej rodziny w jadalni, a od czasu do czasu zapraszano również DuMontów,

Amosa Hinesa i państwa Waithe, którym w żadnej mierze nie przeszkadzał raczkujący szkrab dobierający się do ich groszku.

Dom znów był otwarty i Percy czuł, że w razie czego, może przywieźć do domu gości, którzy oglądali akurat jego modelową ścieralnię i papiernię nad rzeką Sabine. Amelia, beznadziejnie zakochana w człowieku, który nigdy nie będzie wolny, widząc, że nie jest już niezbędna, by łagodzić samotność Percy'ego, spokojnie odpłynęła z jego życia. Od czasu do czasu Percy żałował, że Lucy nie uczestniczy w codziennym życiu wnuka. Claudia wysyłała jej zdjęcia i dzwoniła też do siebie – w tym rozmowach Matt, pod kierunkiem swojej mamy, szczebiotał życzenia dla babci, nazywając ją „Gabby”. Percy zastanawiał się, czy czuje się samotna jako kobieta i czy ma jakichś kochanków, by wypełnić puste godziny.

Wojna koreańska dobiegła końca, a Percy, zniechęcony i przybity, wyczytał, że naród, dla którego jego syn i ponad pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich mężczyzn i kobiet oddało życie, nadal jest podzielony, nie podpisano żadnych politycznych traktatów i nie przywrócono poszanowania praw człowieka. Zamówił i powiesił w holu popularny plakat, który głosił: „Kiedyś ktoś wypowie wojnę, ale nikt nie przyjdzie walczyć”. Mocno przytulał wnuka i modlił się, by ten dzień nastał, zanim Matt dorośnie.

Dwa lata po pogrzebie Wyatta do gabinetu weszła Sally, oznajmiając z nieskrywaną ciekawością:

– Panie dyrektorze, jest tutaj oficer piechoty morskiej, który chciałby z panem porozmawiać. Mam go wprowadzić?

– Ależ oczywiście – odparł Percy, po czym wstał i zapinając guziki marynarki, czuł, jak coraz szybciej bije mu serce.

Po chwili wszedł major piechoty z czapką pod jedną pachą i nieporęcznym, prostokątnym pakunkiem pod drugą.

– Dzień dobry, jestem Daniel Powel – przedstawił się i oparł pakunek o biurko Percy'ego, by podać mu rękę. – Służyłem w Korei z pańskim synem. Obydwaj dowodziliśmy kompaniami Pierwszej Dywizji Piechoty.

– Ach, tak? – serce zwolniło, za to w głowie, jak w kalejdoskopie, zaczęły krążyć pytania. Dlaczego ten człowiek przychodzi tak długo po śmierci Wyatta? Czy chce mu powiedzieć, jak i gdzie zginął jego syn? Wyattowi nie spodobałaby się taka wizyta. Chce wystąpić z piechoty i szuka pracy? Wskazał na jedno z krzesel. – W takim razie, proszę spocząć, panie majorze i powiedzieć, co mogę dla pana zrobić.

– Nie dla mnie, proszę pana, dla siebie. Wyatt prosił mnie, żebym pana odszukał, gdyby coś mu się stało. Przepraszam, że trwało to tak długo, ale po wojnie zostałem wysłany do Japonii i dopiero teraz wróciłem do kraju.

– I jak długo jest pan już w domu?

Oficer spojrział na zegarek.

– Niecałe czterdzieści osiem godzin. Przyjechałem zaraz po wylądowaniu w San Diego. Percy zamrugał powiekami...

– Zaraz, to znaczy, że to pana pierwszy przystanek od powrotu do kraju?

– Tak. Obiecałem Wyattowi, że oddam to panu najszybciej, jak to będzie możliwe

– wyjaśnił major, wstał i podniósł opakowaną grubą warstwą papieru paczkę. – Mam to od czasu śmierci Wyatta. Byliśmy razem, gdy kupował to w Seulu. Prosił, bym dopilnował, żeby pan to dostał, jeśli jemu nie uda się wrócić. Nie chciał, żebym wysyłał to pocztą. Miałem dostarczyć osobiście, niezależnie od tego, ile czasu to zajmie.

Percy przyglądał się prostokątnemu pakunkowi.

– Czy to dla jego żony?

– Nie, dla pana. Wyatt mówił, że zrozumie pan, o co chodzi.

Bardzo powoli, czując w ustach gęstą ślinę, Percy położył paczkę na stole pod świetlikiem. Była mocno opakowana, taśma cała zabrudzona, podobnie jak papier. Przecież paczka towarzyszyła majorowi przez dwa lata we wszystkich miejscach, w których był. Oderwał taśmę i przedarł brązowy papier i zobaczył zawartość. Obraz jakiegoś impresjonisty, niezbyt dobry, na pierwszym planie przedstawiający uśmiechniętego chłopca w bryczesach do kolan, który biegnie do drewnianej bramki. Z początku Percy nie potrafił rozpoznać, co chłopiec niesie, ani też co rysuje się niewyraźnie w tle. A potem, wszystko stało się jasne, krzyknął z głębi swojej duszy w stronę świetlika i błękitnego nieba ponad nim. Chłopiec biegł przez ogród z naręczem białych róż.

Lekki ból w piersi zmusił go do otwarcia oczu. Percy przetarł dłońmi twarz i okazało się, że ma mokre palce. Wiedział, że nie z powodu upału. Która to godzina? Balkon był już cały w cieniu, czuł też delikatny wiaterek, a to zwykle oznacza późne popołudnie. Oparł stopy o podłogę i potrząsnął głową, żeby zebrać myśli. Jak długo tu siedział, wywołując duchy przeszłości? Wielkie nieba – już po piątej, zobaczył na zegarku. Mary odeszła cztery godziny temu... jego Mary. Wstał, sprawdzając siłę nóg. Drżały nieco, a z tyłu były mokre od potu. Szttywno, nadal czując za sobą duchy, wszedł do pokoju i od razu powędrował wzrokiem do obrazu nad kominkiem. W jednej chwili ból ustąpił. Pamięć może być naprawdę okrutna, pomyślał, narzędzie tortur, które pracuje długo po tym, gdy człowiek już odsłuży swoją porcję męczarni. Nalał sobie szklankę wody, by ugasić palące pragnienie i uniósł ją w kierunku obrazu:

– W ostatecznym rozrachunku, Cyganeczko, najlepsze, czego możemy sobie życzyć, to naręcze białych róż.

Rozdział czterdziesty ósmy

W Atlancie Lucy Gentry Warwick, opierając się na lasce, weszła ostrożnie na kamienną ścieżkę swojego ogrodu. Za dnia nie miał on w sobie nic szczególnego, ale w ciepłą, letnią, noc oferował niezapomniany widok. Ogród był niewielki i otoczony kamiennym płotem, w całości obsadzony bylinami o białych kwiatach – złoczenie, lantany, zawilce, barwinki i rogownice. W blasku księżyca, odbijając jego światło, niezliczona ilość białych płatków wprowadzała do ogrodu magiczne, wręcz niezziemskie piękno. Tego dnia jednak Lucy usiadła na jednej z kamiennych ławek, zupełnie nie zauważając uroków ogrodu. Jej myśli krążyły wokół Mary Toliver DuMont.

Wcześniej telefon od starej przyjaciółki i jednocześnie osobistego szpiega, Hanny Barweise, przerwał jej poobiednią drzemkę. Hanna nadal sąsiadowała z Toliverami i dzwoniła, by zameldować, że koło południa zauważyła karetkę oraz gorączkową krzątanicę Sassie i Henry'ego, odgadła więc, że coś się stało Mary. Potem zobaczyła Percy'ego i Matta, jak wysiadali z firmowej furgonetki, a w ciągu godziny okolicę obiegnęła wieść, że Mary zmarła. Zanim zadała Hannie oczywiste w takich wypadkach pytania, Lucy spytała najpierw:

– Jak wyglądał?
– Kto jak wyglądał?
– Percy.
– No... tak samo, mniej więcej. Wiesz Lucy, wiek robi swoje, już nie taki dziarski, ale... ciągle ten sam Percy Warwick, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Odpowiedziała, z trudnością łapiąc oddech.

– Tak, wiem. No dobrze, na co zmarła?

Kiedy Hanna dostarczyła znanych jej szczegółów, Lucy odłożyła słuchawkę. Cała się trzęsła. Nadszedł w końcu ten dzień, na który czekała czterdzieści lat: Mary Toliver DuMont nie żyje, a Percy został sam, by ją oplakiwać. Tego właśnie chciała, żeby tak cierpiał i żył z tym bólem do końca swoich dni, jak ona żyła ze swoim.

W takim razie dlaczego nie czuła tej radości, której się spodziewała? Skąd ten mdlący ucisk w brzuchu, gdy wyobrażała sobie Mary, jak leży martwa z nieruchomymi zielonymi oczyma i marmurową twarzą? Jak zwykle, nawet zza grobu Mary udało się ograbić ją z satysfakcji, na którą tak czekała i na którą zasłużyła. Bóg jej świadkiem, że rzeczywiście niewiele jej w życiu zaznała.

Otrząsnęła się z tego uczucia. Jej zdenerwowanie wynikało po prostu z faktu, że ona także miała osiemdziesiąt pięć lat, więc wkrótce i ją otuli ten cień, który okrył Mary... Mary Toliver DuMont, ta stara wyjadaczka, wzięta z zaskoczenia w letni dzień, gdy wygrzewała się w słońcu na werandzie. Zanim jednak ta chwila nadejdzie, Lucy przeżyje swój długo oczekiwany moment triumfu, a później... niech przyjdzie jej kres.

– Pani Lucy, co pani tu robi o tej porze?

Był to głos Betty, jej długoletniej gosposi. Stała w otwartych drzwiach prowadzących na patio i marszczyła brwi w upalnym słońcu. Lucy się zirytowała. Matko Boska! Myślała, że udało się jej przemknąć, gdy oglądała wiadomości o piątej. Betty to poczciwa kobiecina, ale lubi roznosić plotki, więc zdecydowanie nie powinna być świadkiem jej drobiazgowo zaplanowanej chwili triumfu.

– Rozmyślałam – odpowiedziała. – Wracaj do wiadomości.

– Rozmyśla pani? Tu na tym upale? A o czym że to? O tej kobiecie, co to umarła?

– Nieważne. Wracaj do swojego programu.

– Jak mogę wracać, skoro wiem, że pani tu siedzi i może dostać udaru?
– Jestem za stara na udar, a zresztą, zaraz wracam. Chcę się przez chwile nacieszyć swoim ogrodem. Po to go posadziłam.

Betty westchnęła.

– Co tylko pani sobie życzy, pani Lucy, ale oświadczam, czasami przechodzi pani samą siebie. Coś pani potrzeba?

Lucy pomyślała o szklaneczce brandy dla kurażu, ale Betty stałaby przy drzwiach, czekając, aż skończy, a potem czatowałyby w pobliżu, by upewnić się, że zdoła o własnych siłach wrócić do domu.

– Tylko trochę ciszy i spokoju, jeśli pozwolisz.

Kręcąc głową, Betty zamknęła za sobą drzwi, a Lucy odczekała, aż wróci przed telewizor. Wcześniej – by wyjaśnić, dlaczego Hanna kazała ją obudzić – powiedziała Betty, że zmarła jej szkolna koleżanka i sąsiadka z Howbutker. Gdyby gosposia podsłuchiwała jej krótką, ale znaczącą wiadomość, łatwo mogłaby się domyślić, dlaczego naprawdę pozostali z Percym małżeństwem.

Kiedy przeprowadziła się do Atlanty, wszyscy myśleli, że jest tragiczną ofiarą władczego, despotycznego męża, który nie chce dać jej wolności. Postanowiła nie wyprowadzać nikogo z błędu. Na nowych znajomych duże wrażenie robił fakt, że mimo separacji Percy wciąż płacił za dom, ubrania i utrzymanie na najwyższym poziomie dostępnym za pieniądze, zaspokajając każdą jej potrzebę i kaprys bez żadnych pytań i ograniczeń. Dodało jej to aury tajemniczości, więc szybko stała się pożądanym towarzystwem wśród tamtejszej elity towarzyskiej. W przeciwnym wypadku, jako odrzucona żona bogatego, wpływowego mężczyzny, któremu to ona nie chce dać rozwodu, musiałaby pozostać na peryferiach towarzyskiego światka.

Zadowolona, że Betty znów zajęła się swoimi sprawami, otworzyła drzwiczki małej kamiennej szafki, która stała obok ławki, i wyjęła z niej telefon. Numeru, który miała wybrać, nie zmieniono, odkąd zainstalowano aparat, a ona знаła go na pamięć. Prywatny numer do jej dawnego salonu. Jeśli odbierze ktoś inny niż Percy, odłoży słuchawkę i spróbuje później raz jeszcze, ale mogła się założyć, że siedzi teraz tuż przy aparacie i rozpacza. Liczyła na to, że nie ma z nim Matta. Chłopak ją kochał, ale bardziej oddany i lojalny był w stosunku do Percy'ego, tak jak życzył sobie ich syn Wyatt, i na pewno nie spodobałoby mu się, że w takiej chwili dodatkowo dziadka rani.

Znów poczuła dawną urazę. Wybaczyła Wyattowi, że zostawił żonę i Matta u Percy'ego, kiedy wyjechał do Korei, najwyraźniej woląc jego opiekę. Ale to wcale nie znaczyło, że wybaczył mu odrzucenie go, kiedy był jeszcze chłopcem. Tak właśnie się pocieszała. Percy nie powinien myśleć, że Matt to jakaś forma białej róży ze strony Wyatta.

Jednak mądrość, która przychodzi wraz z czasem, kazała Lucy cofnąć swoje żale do Percy'ego za to, że ich małżeństwo tak szybko się rozpadło. Przecież poślubiła go, wierząc święcie w słowa, które powiedziała kiedyś do Mary w Bellington Hall: „Moja miłość go zaślepi... I stanę się kobietą, na którą zasługuje”. Jej miłość do niego nic takiego nie uczyniła. A raczej zadziałała wręcz przeciwnie, czego, ku własnemu zdumieniu i przerażeniu, nie mogła powstrzymać, prawie jak pędzącego pociągu. W czasie ich małżeństwa stawała się coraz bardziej kobietą, którą Mary opisywała jako nieodpowiednią dla Percy'ego. Wiele razy sobie powtarzała, że gdyby rozegrała to mądrzej – potrafiła się wznieść ponad swoją wulgarną naturę – ale, nie, ich małżeństwa i tak nie dałoby się uratować, nie po tym, gdy dowiedziała się o jego uczuciach do Mary. Mogła wybaczyć mu, że ją odrzucił – i nawet odrzucenie Wyatta, bo potem tego żałował – ale nie jego miłość do tej marmurowej figury, która wyszłaby za niego tylko po to, by ratować przed skandalem święte imię Toliverów. Tego nigdy.

Gdy dawny ból znów odżył, przypomniała sobie wiersz Edny St. Vincent Millay, którego

nauczyła się dawno temu w Bellington Hall i od tamtych czasów wiele razy recytowała:

Miłość na otwartej dłoni przynoszę, nic więcej,

Czystą i szczerą, która nikogo nie chce ranić,

Jak inna nieść mogłaby bukiet pierwiosnków w ręce

Lub w kapeluszu, albo jabłka w fartuch zebrane.

Stając przed tobą, jak dziecko wołam sama z siebie:

Spójrz tylko, co tutaj mam! – I wszystko dla ciebie

Te wersy opisują dokładnie jej miłość do Percy'ego, ale on wyrzucił jej jabłka i oddał serce kobiecie, która potrafiła kochać wyłącznie plantację bawełny. I to ją tak poróżniło z Mary. Niech Percy i wszyscy inni, którzy pamiętają te czasy, myślą sobie, że gardziła nią z powodu jej wielkiej urody i klasy. Lucy nienawidziła Mary z tego prostego powodu, że nie zasługiwała na to, by zdobyć i zatrzymać serce mężczyzny, którego ona kochała.

Podniosła do ucha słuchawkę, po raz ostatni powtarzając w głowie słowa, które przećwiczyła już tysiąc razy, przygotowując się na ten dzień. „Percy” powie wyraźnie i rzeczowo, potem zrobi króciutką pauzę, żeby mógł się zdziwić, a następnie wymierzy mu policzek zdaniem, na którego wypowiedzenie czekała pięćdziesiąt lat: „Teraz możesz dostać swój rozwód”.

Nie czekając dłużej, by nie stracić całej odwagi, wyprostowała się, unosząc dumnie obfity biust, wciągnęła powietrze w płuca i wybrała numer. Teraz, kiedy już wszystko się zaczęło, miała nadzieję, że nie odbierze od razu – że będzie miała czas na kilka głębszych oddechów, by przygotować się na ten głos, którego nie słyszała od dnia pogrzebu ich syna.

Odebrał po pierwszym dzwonku.

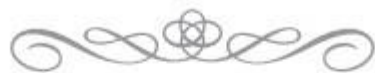
– Halo.

Wiek... i ból... zmieniły głos, który pamiętała, ale i tak by go rozpoznała, zawsze i wszędzie. Minione lata gdzieś znikły, a ona znów stała na werandzie Warwick Hall i gapiała się na młodego kierowcę w nowiutkim, lśniącym samochodzie, jak zatrzymuje się przed domem z piskiem opon. Słońce odbijało się w jego jasnych włosach, opalonej skórze i białych zębach.

– Halo, witaj – powiedział. Tembr jego głosu był ciepły jak słoneczne promienie, a jej serce legło u jego stóp.

– Halo? – powtórzył Percy.

Lucy przestała wstrzymywać oddech i wypuściła powietrze. Zatrzymując w uchu dźwięk jego głosu, delikatnie odłożyła słuchawkę.



CZEŚĆ III



Rozdział czterdziesty dziewiąty

W Kermit w stanie Teksas Alice Toliver odebrała telefon.

– Mamo, tu Rachel.

– Czyżbyśmy doszły już do punktu, w którym własna córka uważa, że musi się przedstawić po tym, gdy zwróciła się do mnie „mamo”?

Rachel poczuła ukłucie w sercu, jak zwykle gdy matka zwracała się do niej tym urażonym tonem.

– Przepraszam, mamo, powiedziałam tak z przyzwyczajenia.

– Od dawna już nie jesteś do mnie przyzwyczajona, Rachel. O co chodzi?

Rachel cicho westchnęła.

– Dzwonię, żeby wam powiedzieć, że ciocia Mary nie żyje. Zmarła kilka godzin temu na zawał. Właśnie się dowiedziałam od Amosa Hinesa.

W zapadłej po tych słowach ciszy Rachel wyraźnie słyszała myśli swojej matki: „No więc, Rachel, masz teraz dokładnie to, czego chciałaś, dla siebie i dla swoich dzieci, podczas gdy Jimmy, tak jak jego ojciec, a przedtem też jego ojciec zostają z niczym”. Ale nie powiedziała tego głośno i zapytała tylko:

– Kiedy pogrzeb? Tatuś na pewno chciałby pojechać.

– Będę wiedzieć dopiero po spotkaniu w zakładzie pogrzebowym, czyli jutro. Rano polecę tam firmowym samolotem. Miałam... miałam nadzieję, że polecimy wszyscy razem.

– Rachel, przecież znasz mój stosunek do twojej ciotki Mary i ona też go знаła. Ja na pogrzebie, to byłby szczyt hipokryzji.

„Mamo, nie chcę żebyś pojechała tam ze względu na nią, tylko dla mnie”, miała ochotę zawołać, pragnąc znaleźć w jej objęciach pocieszenie, tak jak za dawnych czasów, kiedy jeszcze były ze sobą blisko.

– Amos prosił, żeby przekonać przynajmniej Jimmy’ego, by przyjechał razem z tatą.

Uważa, że ciocia chciałaby, żeby byli na odczytaniu testamentu.

Długa pauza.

– Czy ty sugerujesz, że twoja cioteczna babka coś im zostawiła? Ceny bawełny w tym roku nie były najwyższe.

– Przypuszczam, że to jest powód jego prośby. Nazwał to ostatnimi jej życzeniami dla nich.

– Hm, jej życzenia nie zrekompensują tego, co przyrzekła twojemu ojcu, ale weźmiemy, co będzie. Jeśli oznacza to podróż do Howbutker, przyjedziemy.

– Ty też, mamo?

– Nie mogę ich puścić we dwójkę, bo przez dwa dni nie będą zmieniać bielizny.

– Bardzo się cieszę, że przyjedziesz. Już tak długo was nie widziałam.

– No tak, ale czyja to wina?

Rachel sięgnęła po kolejną chusteczkę. Usiłowała ukryć swój smutek, Alice wyczuła go chyba jednak swoim matczynym sercem, bo jej ton stał się o kilka stopni cieplejszy.

– Rachel, wiem, że cierpisz, i czuję się okropnie, że nie potrafię okazać ci współczucia po tej starcie. Ale wiesz, dlaczego...

– Tak, mamo, wiem.

– Pójdę obudzić ojca. Dziś wtorek.

Rachel pamiętała. We wtorek sklep Zacka Mitchella, w którym ojciec Rachel od trzydziestu sześciu lat pracował na stoisku z mięsem, był otwarty dłużej. Ponieważ musiał tam

zostać do dziewiątej wieczorem, miał dłuższą przerwę na lunch i zwykle te pół godziny poświęcał na drzemkę.

– Króliczku, tak mi przykro – powiedział, kiedy podszedł do telefonu i na dźwięk jego głosu zupełnie się rozkleiła. Miał w sobie coś kojącego, jakby wyciągał rękę, i skutek był taki sam jak w czasach, gdy trzymał ją za nią po kłótniach z matką o jej coraz silniejsze przywiązanie do Houston Avenue. Nigdy nie stawał po żadnej ze stron i żeby oddać matce sprawiedliwość, nie próbowała go nastawiać przeciwko niej. Nazwał ją „króliczkiem”, kiedy uczyła się chodzić.

– Już lepiej, skarbeczku? – zapytał po chwili.

– Tak, tatusiu, tylko że... bardzo tęsknię za mamą i Jimmym, szczególnie teraz. Mama ci pewnie powiedziała, że Amos prosił, byś razem z Jimmym przyjechał na odczytanie testamentu. Naprawdę wolałabym, żebyśmy razem polecieeli samolotem, jutro rano. Moglibyśmy was zabrać z lotniska w Kermit.

William Toliver odchrząknął.

– Eee, Rachel, słonko, to chyba nie najlepszy pomysł. Po pierwsze, nie uważasz, że będzie trochę niezręcznie siedzieć w takim małym pomieszczeniu z mamą, która w tej chwili czuje się tak, jak się czuje? Po drugie... – chyba usłyszał jej wyraźne westchnienie i kontynuował, zanim zdążyła zaprotestować. – Najwcześniej wyrwę się stąd dopiero pojutrze. Nie mogę tak zostawić Zacka.

– A niby dlaczego? Nie uważasz, że w tych okolicznościach należy ci się to od Zacka po tych wszystkich latach?

– Biedacy nie mogą stawiać żądań, Rachel, a my akurat mamy śródroczną inwentaryzację.

Rachel westchnęła zirytowana. Jej ojciec i tak nie stawiałby żądań. Nigdy nie walczył o swoje.

– Tatusiu, obiecaj, że nie pozwolisz Jimmy’emu głupio się upierać i zostać w domu. Chcę go zobaczyć. Dzięki niemu wszyscy pocujemy się lepiej.

Tego roku szczególnie brakowało jej małego, piegowatego braciszka z krzywymi zębami. Jimmy uważał, że Bóg, gdyby był kobietą, wyglądałby jak ciocia Mary. Dla niego była wszechobecnym bóstwem, które zawsze, odkąd pamiętał, znajdowało się w pobliżu ich rodziny.

– Spróbuję, słonko, ale twój brat ma dwadzieścia jeden lat. Powiem mu, że bardzo chcesz, żeby przyjechał.

Skoro nie pozostało już nic do dodania, Rachel odłożyła słuchawkę, wciąż mając w uszach słowa ojca, że biedacy nie stawiają żądań. Może to się wkrótce zmieni, a ciocia Mary zostawiła mu dość, by mógł powiedzieć Zackowi Mitchellowi, gdzie ma sobie włożyć swoją inwentaryzację. Z gotówką było w tym roku krucho. Wszyscy uważali, że ciocia Mary śpi na pieniądzach i bywały takie lata. Ale zyski zależały od pogody, sytuacji na rynkach, kosztów pracy i wydatków. W branży rolniczej dobrobyt często zależał od wartości ziemi, a nie ilości pieniędzy w banku – z czego jej matka świetnie zdawała sobie sprawę.

Rachel dobrze pamiętała jej słowa wypowiedziane podczas jednej z wielu kłótni między rodzicami: „Zobaczysz, William. Kiedy ciocia Mary kopnie w kalendarz, na pewno będzie akurat susza stulecia albo trzy miesiące nieustannego deszczu, albo nadwyżka bawełny na rynku, albo podwyżka kosztów energii – która pożre cały zysk, więc nie zostanie nic, co mógłbyś odziedziczyć – nic poza tą cholerną ziemią i posiadłością Toliverów, którą zostawi Rachel. Przykro mi to mówić, ale przeklinam dzień, kiedy po raz drugi zabrałeś ją w odwiedziny do ciotki”.

Osobiście Rachel nie zgadzała się ze zdaniem matki, że to wycieczka do Howbutker w roku 1966 obudziła w niej pasję do wszystkiego, co Toliverowe. Była przekonana, że ziarno

zostało zasiane dużo wcześniej, nawet jeszcze zanim przyszła na świat. Tylko najzwyczajniej na świecie nie była świadoma jego istnienia aż do dnia, gdy odkryła małego kielka, który wyrastał obok kosza na śmieci na tyłach ich domu...



**HISTORIA
RACHEL**



Rozdział pięćdziesiąty

Kermit, Teksas, 1965

Znalazła ten młody pęd w marcu, kiedy wiatr w zachodnim Teksasie niósł ze sobą jeszcze dużo piasku i większość dni przypominała miąsz bakłażana. Przyglądając mu się, siedziała przycupnięta w sposób, który dawno temu zainspirował ojca do nazwania ją króliczkiem. Wyglądał inaczej niż szorstkie, kolczaste chwasty czy pokrzywy albo rzepienie, którym jakimś sposobem udawało się przetrwać wśród trawy bermudzkiej na tyłach domu. Jasnozielona i delikatna roślina przykuła jej uwagę i wzbudziła taki podziw, że nie mogła przestać o niej myśleć przez całą kolację, podczas zmywania naczyń i odrabiania lekcji, a potem przed snem poszła ją okryć, by w nocy nie zmarzła. Następnego dnia spieszyła się ze szkoły do domu i zrobiła dla niej ogrodzenie z kamieni, żeby nie zniszczyli jej nieostrożni śmieciarze lub śmiercionośna kosiarka ojca.

– Co tam masz, króliczku?

– Nie wiem, tatusiu, ale zaopiekuję się nią, aż urośnie.

– Nie wołałabyś może... pieska albo kotka? – zapytał, a ona usłyszała w jego głosie nieznaną nutę.

– Nie, tatusiu. Lubię tylko takie zwierzaki, które wyrastają prosto z ziemi.

Roślina okazała się pnączem, które wiło się między kamieniami i wydało na koniec owoc w postaci dyni piżmowej. Tata wyjaśnił jej, że wyrosła z nasionka, które musiało wypaść z kosza na śmieci i zakiełkowało tam, gdzie upadło. Jeszcze zanim zaczęła owocować, słyszała jak tata mówi do mamy:

– Nie zdziw się, jeśli wychowamy małego farmera.

– Byle nie uprawiającego bawełnę.

Pewnego sobotniego poranka, niedługo po urodzeniu jej brata, mama wzięła ją do Woolwortha, żeby kupić jej „coś specjalnego, ale w granicach rozsądku”, jak to określiła. Rachel nie wahała się ani chwili. Znała pragnienie swojego serca, więc od razu udała się do regału z nasionami. Kiedy mama do niej dołączyła, zdążyła już wybrać pięć paczuszek z nasionami warzyw, których lśniący papier obiecywał wspaniały plon.

Myślała, że mama będzie zadowolona. Cały zakup kosztował pięćdziesiąt centów. Ale ona wydeła usta i zmarszczyła brwi.

– I co masz zamiar z tym zrobić?

– Zasiać w ogródku.

– Przecież nie wiesz, jak to się robi.

– Nauczę się, mamó.

Kiedy wróciła do domu i pokazała ojcu swoje zakupy, mama powiedziała:

– William, pamiętaj, pozwól, by Rachel sama zorganizowała sobie ogródek. Żadnej pomocy. Jeśli się uda, jej przypadnie cała zasługa.

„Albo porażka”, dopowiedziała sobie Rachel, rzucając ojcu znaczące spojrzenie. Nie mogła zrozumieć niechęci mamy. Po raz pierwszy wydało się jej, że mama nie popiera jej wysiłków i nie zachęca do pracy.

Ale udało się. Dokładnie przeczytała instrukcje na paczkach oraz wskazówki w książkach ogrodniczych wypożyczonych z biblioteki i zastosowała się do nich skrupulatnie. Pracując po szkole, wykopała najpierw trawę na poletku wielkości trzy metry na trzy, z boku domu, po czym zalała ziemię wrzątkiem, żeby zabić larwy i nicienie. Dla wzbogacenia gleby pozbiierała nawóz z kurnika sąsiadów i przyniosła wiadro piasku zza szeregu domów, w którym mieszkała, by

otrzymać podłoże bogate w caliche. Przeszukała też garaż i wysypisko, zbierając pojemniczki, w których wyhoduje sadzonki.

– A to co ma być?! – wykrzyknęła matka, gdy zobaczyła na parapecie okna zgrupowanie różnych puszek i obciętych kartonów po mleku.

– Nasiona muszą najpierw wykiełkować, dopiero sadzonki mogą posadzić do gleby – wyjaśniła pogodnie, by te niecodzienne bruzdy między cienko wyskubanymi brwiami mamy znikły. – Słońce ogrzewa ziemię, nasionka kiełkują i stają się roślinami.

Bruzdy nie znikły.

– Kiedy je podlewasz, uważaj, żebyś nie narobiła bałaganu, bo wtedy koniec tej zabawy.

Nie narobiła bałaganu, a wiosną zgłosiła ogródek jako swój projekt na lekcji przyrody.

– A niech mnie – powiedział zdumiony nauczyciel, kiedy nadszedł czas oceny projektu.

– Przysięgasz, że noga twojego taty nie kopała tej ziemi? I jego ręka nie wyrwała trawy, nie nawoziła i mnie stawiała tego płotku z siatki?

– Nie, proszę pana. Wszystko zrobiłam sama.

– W takim razie, młoda damo, zasługujesz na szóstkę, którą też otrzymasz. Rodzice mogą być z ciebie dumni. Wyrasta im w domu farmer.

Miała wtedy dziewięć lat.

Następnej wiosny z powodzeniem powiększyła ogródek, dostarczając na stół produkty, których smak i jakość przewyższały nawet te ze sklepu Zacka Mitchella. To właśnie ten sukces spowodował, że ojciec postanowił wziąć ją po raz drugi do Howbutker tego krytycznego lata 1966. Rachel miała nigdy nie zapomnieć podsłuchanej rozmowy – a raczej kłótni (co było rzadkie w przypadku jej rodziców), dotyczącej tej decyzji. Była połowa czerwca, wyszła z domu po kolacji, by podać rośliny węzłem przymocowanym do zaworu pod kuchennym oknem. Ponieważ klimatyzator się zepsuł, okno było otwarte i usłyszała głos matki:

– William, powiedz mi, co właściwie chcesz udowodnić, zabierając ją do Howbutker? Że należy jednak do odmiany farmerów uprawiających bawełnę? Że swoje zainteresowanie pomidorami i okrą odziedziczyła?

– A dlaczego nie? – ripostował William. – Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że Rachel jest drugą Mary Toliver. Powiedzmy, że potrafiłaby prowadzić plantację, gdy Mary zabraknie. To by oznaczało, że Somerset mogłaby zostać w rodzinie, nie trzeba by jej było sprzedawać.

Rachel usłyszała brzęk naczynia wrzucanego do zlewozmywaka.

– Williamie Toliver, czyś ty zwariował? Pieniądze z tej plantacji zagwarantują nam lepszy dom. I zapewnią nam godną starość. Pozwolą podróżować i sprawić sobie tę przyczepę kempingową, którą zawsze chciałeś. I dzięki nim nie będziesz wreszcie musiał przez resztę swojego życia stać za ladą.

– Alice... – William westchnął. – Jeśli w Rachel płynie krew Toliverów, nie mogę sprzedać jej dziedzictwa – czegoś, co od pokoleń było w rękach rodziny.

– A co z Jimmym, chciałabym wiedzieć? – głos jej drżał. – Co z jego dziedzictwem?

– To już będzie zależało od cioci Mary – powiedział William tonem kończącym dyskusję.

– Na Boga, Alice, to tylko odwiedziny. Za rok być może zainteresuje się chłopcami, albo muzyką, albo Bóg jeszcze wie czym, kiedy zda sobie sprawę, jaka wyrasta z niej śliczna dziewczyna.

– Rachel nigdy nie interesowała się tym, czym inne dziewczęta i wątpię, by kiedykolwiek pojęła, jaka jest śliczna.

Rachel usłyszała zdecydowane odsunięcie krzesła od stołu.

– W każdym razie, Alice, zabieram ją tam. Jeśli dziewczyna ma powołanie, nie zamierzam jej od niego odwozić. Zasługuje na szansę, by się przekonać. I tylko tyle jej daję.

– Oraz szansę ulżenia swojemu sumieniu, jeśli by mnie ktoś pytał o zdanie. Oddając Rachel ciotce, możesz jej wynagrodzić, że wtedy od niej uciekłeś.

– Ciocia Mary już mi to wybaczyła – odparł William, a podsłuchująca pod oknem dziewczynka usłyszała, że jest urażony do żywego.

– Jeśli zabierzesz Rachel do Howbutker, popełnisz błąd, którego wszyscy będziemy żałować. Pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Wtedy w czerwcu, ubrana dokładnie tak jak ciocia Mary, w spodnie i bluzę typu safari oraz słomiany kapelusz ze sklepu DuMontów, Rachel nie opuściła ani jednego dnia, codziennie towarzysząc Mary na wspomnianej przez rodziców plantacji. Nigdy wcześniej nie widziała nic tak zapierającego dech w piersiach, jak te długie rzędy zielonych roślin, jeden za drugim, ciągnące się aż po horyzont. Gdzieś bardzo głęboko coś się w niej wtedy poruszyło.

– I to wszystko jest twoje, ciociu Mary?

– Moje i tych, którzy byli przede mną, to oni odebrali tę ziemię drzewom.

– Kim oni byli?

– To nasi przodkowie, twoi i moi.

– Moi też?

– Tak, dziecko. Pochodzisz z Toliverów.

– Czy to dlatego lubię uprawiać rośliny?

– Zapewne tak.

Krótką odpowiedź cioci Mary rzucała więcej światła na powód ich wizyty, który ojciec podał jej wcześniej:

– Skarbie, ty jesteś Toliverem, prawdziwym Toliverem. Nie jak Jimmy czy ja, albo mój ojciec. My tylko nosimy to nazwisko, ale ty i ciocia Mary macie w sobie krew Toliverów.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ty i ciocia Mary odziedziczyłyście pewną siłę, która charakteryzowała naszych przodków od czasów, gdy założyli Howbutker i stworzyli Somerset.

– Somerset?

– Plantację bawełny. Jest już ostatnią tego rodzaju we wschodnim Teksasie, sporo większą niż twój ogródek – ojciec uśmiechnął się do niej. – Ciocia Mary prowadzi ją, odkąd była młodą dziewczyną.

Wizyta wypadła na te trzy tygodnie, gdy bawełna kwitła, i Rachel była po prostu urzeczona czystym pięknem tego, co ją otaczało, gdy jechały razem z ciocią Mary przez morze kwiatów na dwóch łagodnych kłaczach, zawsze przygotowanych do inspekcji pól. Mary wyjaśniła jej, że każdy kwiat żyje tylko trzy dni, najpierw jest kremowo-biały, potem staje się różowy, a w końcu ciemnoczerwony i wtedy umiera. Nauczyła ją nawet rymowanki, którą знаła z dzieciństwa dotyczącej krótkiego życia tych kwiatów.

Pierwszego dnia jestem biały, czerwony dnia drugiego

A już dnia trzeciego znajdziesz mnie martwego

Mary tłumaczyła Rachel, jak działa plantacja... i jak staje się cud. Najpierw, około pięciu do sześciu tygodni od wzejścia roślin pojawiają się pąki, z których rozwijają się kwiaty. Kwiat opada, pozostawiając po sobie małą torebkę nasienną. Każda zawiera około trzydziestu nasion i aż do pół miliona włókien bawełny. A liczą się włókna – biała substancja, która wydobywa się z torebki, gdy ta dojrzeje i się otworzy. Wartość bawełny zależy od długości włókien, ich koloru, jakie są w dotyku, a także od ilości odpadów, jakie pozostają w białych główkach. Im dłuższe włókna, tym lepsza bawełna.

Rachel łapczywie spijała każde słowo z ust cioci Mary, chłonąc jej wiedzę jak gąbka

wodę, choć wydawało się, że Mary wcale o to nie zabiega. Z pewnością jednak była pod wrażeniem, że ciekawość Rachel nigdy nie gasła, a pod koniec dwutygodniowego pobytu skóra dziewczynki, opalona na piękny odcień Toliverów, świadczyła niezbicie, że potrafi dotrzymać swojej ciotce kroku na plantacji bawełny w gorących promieniach leniwego, południowego słońca.

– Twój tata mi mówił, że kiedy dorośniesz, chcesz zostać farmerem – zagaiła ciotka, gdy zrobiły sobie przerwę na lemoniadę w domu zwanym „domem Ledbettera”. Służył cioci jako biuro, ale był bardzo ładny i można byłoby w nim mieszkać. – Dlaczego? – zapytała. – Uprawa ziemi to najcięższa praca na świecie, często niewynagrodzona stosownie do włożonego trudu. Co cię tak pociąga w tym, by brudzić sobie ręce i ubranie?

Rachel pomyślała o Billym Setonie, który mieszkał na tej samej ulicy, co ona i który od czasu, gdy tylko zaczął chodzić, a przynajmniej tak wszyscy mówili, zawsze miał przy sobie rękawicę do baseballu. Nic dziwnego, że grał później w drużynie New York Yankees, a mieszkańcy Kermit byli z niego dumni. „Stworzony do gry w baseball”, mówili o nim, a ona tak właśnie myślała o uprawie ziemi. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez ogródka. W żadnym innym miejscu nie czuła się szczęśliwa. Nie przeszkadzały jej brudne ręce ani ubrania. Wręcz uwielbiała dotyk żywej, wilgotnej ziemi, niebo ponad głową i wiatr we włosach, ale najbardziej kochała ten widok, gdy spomiędzy czarnych grudek wyłania się nagle coś zielonego. To cud. Nic nie da się porównać z tym uczuciem. Jest lepsze nawet od Bożego Narodzenia.

– No cóż, ciociu Mary – odpowiedziała, a pewność siebie w jej głosie przywołała na myśl tych mężczyzn, którzy, gdy rozpiera ich duma, niedbale wkładają kciuki za szelki swoich spodni – myślę, że zostałam stworzona do pracy na roli.

Na pięknych ustach cioci Mary igrał delikatny uśmiech.

– Ach tak?

Kiedy ojciec przyjechał ją odebrać, powiedziała mu:

– Tatusiu, było wspaniale – i popatrzyła na swoją cioteczną babkę z nadzieją w oczach.

– W przyszłym roku, ciociu? W sierpniu, podczas żniw?

Mary się roześmiała, wymieniając spojrzenia z Williamem.

– W przyszłym roku, w sierpniu – zgodziła się.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

W ciągu następnych kilku lat miała podsłuchać wiele takich kłótni pod kuchennym oknem, a wszystkie dotyczyły jej dwutygodniowych wizyt w Howbutker.

– William, możesz uwierzyć, że twoja ciotka to napisała? Jak ta kobieta śmie nas prosić, żebyśmy wysłali do niej Rachel na lato! Jak może być tak samolubna? Już teraz mało czasu spędzam z córką, a ona chce ją mieć na całe wakacje!

– Nie całe, Alice. Tylko w sierpniu. Ciocia Mary ma prawie siedemdziesiąt lat. Czemu nie możemy sprawić przyjemności starej kobiecie? Przecież nie będzie żyła wiecznie.

– Przeżyje wystarczająco długo, żeby ukraść mi córkę. Ona nas rozdziela, William. Jestem już zmęczona słuchaniem, że ciocia Mary to i ciocia Mary tamto. O mnie nigdy nie mówi z takim podziwem.

Pod oknem Rachel poczuła wyrzuty sumienia. To prawda, nie mówiła, musiała przyznać. Słyszała w głosie mamy, że ją to boli, i przysięgła, że okaże jej więcej miłości i uznania. „Ale, och, proszę cię, tatusiu, pozwól mi pojechać do cioci Mary i wujka Olliego na cały sierpień”.

Kłótnia zakończyła się kompromisem, ale mimo to jej matka stała z zaciśniętymi ustami, gdy William odjeżdżał sprzed domu, by zawieźć córkę do Howbutker na cały miesiąc. Rachel kończyła wtedy czternaście lat. Alice zgodziła się, żeby córka spędziła w Howbutker cały sierpień z „krewnymi tatusia” pod warunkiem, że za rok cała rodzina pojedzie na wakacje razem i „żadnego Howbutker, żadnej Somerset i żadnej cioci Mary”.

To tego lata Rachel po raz pierwszy zobaczyła Matta Warwicka. Często słyszała o wnuku pana Percy’ego, ale w czasie kiedy przyjeżdżała, Matt odwiedzał swoją babcię w Atlancie. Jego matka zmarła na raka, kiedy miał czternaście lat, a ojciec zginął na wojnie, jeszcze gdy był bardzo malutki. Pamięta, że współczuła chłopcu, który tak wcześnie został sierotą, ale uznała go za szczęściarza, bo mieszka w Howbutker z takim cudownym dziadkiem jak pan Warwick.

Tata mówił, że pan Percy jest bardzo bogaty – magnat drzewny – i ma holdingi w całym kraju i w Kanadzie. Matt kształcił się, by przejąć rodzinny interes, i szedł jak burza – trochę tak jak ona, myślała sobie. Miał być miły i przystojny, i pomimo bogactwa zupełnie normalny, więc nie mogła się doczekać poznania tego wychwalanego pod niebiosa ideału.

Spotkali się na przyjęciu z okazji dziewiętnastych urodzin Matta. Rachel włożyła z tej okazji nową sukienkę, wybraną nieomylnym okiem wujka Olliego – uszytą z białej piki, z dekoltem i spódnicą wykończoną półokrągłymi ząbkami i związaną w pasie zieloną szarfą. Rachel nigdy nie miała takiej sukienki. Czowała się jak dama, bardzo dorosła w swoich pierwszych pończochach i niezbyt wysokich obcasikach, z włosami uczesanymi specjalnie na to przyjęcie w kaskadę białych margerytek i zielonych wstążek.

Gdy schodziła po schodach, ciocia Mary i wujek Ollie czekali na dole, patrząc na nią z dumą i miłością. Rachel odpowiedziała im promiennym uśmiechem, tłumiąc dręczące ją wyrzuty sumienia na wspomnienie oskarżeń matki:

„Powoli zaczynasz mieć nas za nic, Rachel, uważasz się za kogoś lepszego”.

„Nie, mam, to nie tak!”

„Nie mów mi tylko, że nie wolisz być ze swoją bogatą ciocią i wujkiem w tym wielkim pałacu niż mieszkać z mamą i tatusiem w naszym małym domku – albo że nie wolisz nadętego Howbutker od Kermit”.

„Och, mam, ty nic nie rozumiesz! Ja kocham obydwa te miejsca”.

Nie potrafiła przekonać matki, że uczucia dla cioci Mary i wujka Olliego w najmniejszym stopniu nie umniejszały jej miłości do rodziców. Wujek Ollie był najcudowniejszym

człowiekiem, jakiego znała, i dzięki niemu czuła się kimś szczególnym, a ciocia Mary rozumiała i doceniała jej miłość do ziemi w sposób, do jakiego matka nigdy nie będzie zdolna. A co do posiadłości na Houston Avenue... od chwili gdy ją zobaczyła, czuła, że wróciła do miejsca, które bardzo dobrze już znała, miejsca, które na nią czekało. Róże i wiciokrzewy, staw z rybami, altana, dom z jego eleganckimi, szerokimi schodami i przytulnymi luksusowymi pokojami... wszystko wydawało się znajome – jakby należało do niej – tak samo znajome jak dom w Kermit i jej pokój tuż obok pokoju sześciolatniego brata. I czuła, że z Howbutker związana była przez całe życie, choć nie wiedziała dlaczego. Czerwony bruk ulic tego miasta, południowa architektura i biało-czarna mieszanka jego obywateli powodowały, że Howbutker i Kermit były tak różne jak woda i piasek. Kiedy wspomniała o tym dziwnym odczuciu ojcu, powiedział jej:

– Bo przyjechałaś do domu, Rachel. Ten dom i to miasto są miejscem narodzin twojego dziedzictwa.

Nic na to nie poradzę, myślała, schodząc ze schodów. Tu też jest mój dom, a ciocia Mary i wujek Ollie to moi dziadkowie, których nigdy nie miałam. To jest po prostu moje miejsce.

Wujek Ollie wyciągnął do niej rękę.

– Mary Lamb, jakbym patrzył na ciebie, kiedy miałaś czternaście lat.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była tak śliczna – mówiła ciocia swoim łagodnym głosem.

– To dlatego, że nigdy tego nie zauważyłaś – wyjaśnił jej wujek.

Przyjęcie odbywało się w ogrodach imponującego domu przodków pana Percy'ego – w Warwick Hall. Było to wielkie wydarzenie i zostali zaproszeni wszyscy, którzy znali i lubili Matta: starzy i młodzi, bogaci i biedni, biali i czarni. Kiedy przyjechali, zaprowadzono ich pod rozstawiony w ogrodzie namiot, ochładzany przez ogromne wentylatory, do Percy'ego Warwicka i Amosa Hinesa, którzy stali obok młodego człowieka w białym smokingu. A więc to jest Matt Warwick, pomyślała z zaciekawieniem Rachel, przygotowana na rozczarowanie. Dopóki ona się nie pojawiła, Matt był jedynym dzieckiem obecnym w życiu cioci Mary i wujka Olliego. To całkiem zrozumiałe, że patrzyli na niego przez różowe okulary.

Ale nie przesadzili. Matt stał obok dziadka, wysoki jak on, tak samo atletycznie zbudowany, choć jego przystojna twarz była nieco mniej symetryczna. Miał ten sam swobodny sposób bycia i naturalny uśmiech jak pan Percy, ale zauważyła pewne różnice i ciekawiło ją, po kim odziedziczył te przejrzyste, niebieskie oczy i gęstą czuprynę brązowych włosów. Na pewno nie po szarookim i niegdyś jasnowłosym, a dziś posiwiiałym dziadku. Nic nie wiedziała o jego rodzicach i nie poznała też babci, która mieszka w Atlancie. Wiedziała tylko, że gdy ujął jej dłoń, poczuła jakby przeszył ją prąd i coś się w niej obudziło, powstało do życia jak kwiat bawełny w porannym słońcu.

Najpierw uściskała Amosa, w którym widziała Abrahama Lincolna, swojego ulubionego prezydenta, potem pana Percy'ego, który dziwnie się jej przyglądał. Wujek Ollie odchrząknął i odwrócił ją do Matta, z wyraźnym zamiarem odciągnięcia jej od białego w nią wzroku jego dziadka.

– Matt, chłopcze, to jest córka bratanek cioci Mary, Rachel Toliver – oznajmił zupełnie niepotrzebnie. – Zawsze przyjeżdża do nas na dwa tygodnie, gdy ty akurat jesteś u babci w Altancie, więc wasze pociągi się mijają, można by powiedzieć.

Nie wiadomo dlaczego, było to niefortunne sformułowanie. Wujek Ollie od razu się zaczerwienił, i Rachel, choć całkowicie oczarowana Mattem, nie mogła nie zauważyć spojrzenia, jakie wymienili ze sobą ciocia Mary i pan Percy, ani jak lekko pobjadły ich opalone twarze. Wtedy Matt uśmiechnął się do niej i ujął jej rękę.

– No cóż, za kilka lat muszę dopilnować, żeby znaleźć się we właściwym pociągu.

Był dla niej po prostu zbyt swobodny, ten ujmujący uśmiech i błysk męskiej aprobaty w niebieskich oczach zupełnie ją spłoszyły. Zabrała rękę i spuściła wzrok, wycofując się w skórę czternastoletniej dziewczynki, zbyt skrepowanej by w ogóle zastanawiać się nad tym, czy uważa ją za nieobytą i niedojrzałą, i na pewno niegotową na tę przyciągającą wzrok sukienkę i obcasy.

– Dziadek nie przesadzał, mówiąc, że jesteś podobna do pani Mary jak dwie krople wody – mówił tymczasem Matt, jakby nic nie zauważył. – Myślisz, że dasz sobie radę z taką urodą?

– Równie dobrze jak ty, przystojny jak twój dziadek – wróciła na pozycję, zaskakując samą siebie. Zabrzmiało to trochę przemądrzale, choć zamierzała powiedzieć mu komplement. Na szczęście wszyscy się roześmiali, a na Matcie zrobiło to chyba wrażenie. Dotknął palcem wgłębienia w jej brodzie, ona zaś poczuła się namaszczona, jakby księżę położył jej na ramieniu ostrze miecza.

– Bravo – powiedział – choć wydaje mi się, że ty masz trudniej. Miło w końcu cię poznać, Rachel Toliver. Baw się dobrze – uśmiechnął się i opuścił ich, by dołączyć do grupy znajomych z uniwersytetu, między innymi wielu obytych w świecie studentek, a Rachel poczuła się, jakby zaszło słońce.

Rozmawiali potem jeszcze krótko przy stole z ponczem.

– Kiedy wyjeżdżasz do domu? – zapytał Matt.

Zamrugła powiekami, z początku nie rozumiejąc. Przecież była w domu.

– Jutro, niestety.

– Dlaczego niestety?

– Bo... nie chcę wracać.

– Nie tęsknisz za domem?

– Tęsknię. Tęsknię za rodziną, ale... tęsknię też za ciocią Mary i wujkiem Olliem, kiedy nie ma mnie tutaj.

Posłał je ten swój śmiały uśmiech i podał szklaneczkę z ponczem. – No tak, ale nie patrz na coś złego. Pomyśl, że masz szczęście, bo aż dwa miejsca możesz nazwać domem.

Musi zapamiętać, żeby w ten sposób przedstawić to matce, pomyślała, podziwiając jego mądrość.

W drodze na Houston Avenue ciocia Mary zapytała spokojnie, jakby nigdy nic.

– I co sądzisz o Matci Warwicku?

Odpowiedziała bez zastanowienia:

– Jest niesamowity – powiedziała. – Po prostu niesamowity.

Ciocia Mary zacisnęła usta i nie skomentowała tego w żaden sposób.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

W sierpniu następnego roku Rachel pojechała wraz z rodzicami i Jimmym do Kolorado, do ośrodka aktywnego wypoczynku na ranczu w Górach Skalistych. Temperatura dawała miłe wytchnienie od czterdziestu trzech stopni, jakie panowały w tym czasie w Kermit, a krajobraz był tak niesamowicie piękny, że próba jego opisu na pocztówce kończyła się frustracją. Rachel jednak patrzyła na pokryte śniegiem szczyty i czuła na twarzy chłodną bryzę nad jeziora, a myślała o Somerset, o gotowej do zbiorów bawełnie i własnej skórze oblanej potem. Miała piętnaście lat.

– Brakuje ci tego, prawda? – powiedział do niej cicho ojciec.

– Tak – odparła.

Do szkoły wróciła z uczuciem dziwnej pustki, jakby doznała uszczerbku sił witalnych potrzebnych do przetrwania kolejnego roku.

– Nie możemy jej tego więcej robić, Alice – usłyszała głos ojca, gdy zakręciła kurek pod kuchennym oknem. – To jakby... jakby zgasło w niej jakieś światło.

– Porozmawiam z nią – obiecała matka.

Na rozmowę Alice wybrała następny wtorek, kiedy ojciec pracował do późna w sklepie, a Jimmy był u kolegi kilka domów dalej. Wyciągnęła z rąk Rachel kuchenny ręcznik i wskazała krzesło przy stole.

– Usiądź, Rachel. Chcę z tobą porozmawiać.

Rachel spięła się, słysząc ten poważny ton, i usiadła sztywno na wskazanym miejscu.

– Tak, mammo?

Matka wzięła ją za rękę, wciąż jeszcze ciepłe po zmywaniu naczyń. Spojrzała jej głęboko w oczy i powiedziała:

– Rachel, poproszę cię teraz o coś, co złamie serce i tobie, i mnie.

Instynktownie spróbowała cofnąć dłonie, ale matka mocno ją trzymała.

– Kochasz nas, prawda? – pytała Alice. – A szczególnie tatusia, tak?

– Szczególnie wszystkich was.

– Najpierw, cokolwiek zdecydujesz, chcę, żeby ta rozmowa pozostała między nami. Twój ojciec nie powinien się o niej dowiedzieć. Obiecujesz?

Przed oczami zawirowały jej ostrzegawczo odłamki gwiazd, tak samo jak wtedy, gdy się uderzyła w głowę.

– Tak, mammo – odparła cicho.

Matka się zawahała, a Rachel rozpoznała ten wzrok, który zawsze świadczył o toczonych walce z własnym sumieniem.

– Kochanie – zaczęła, pocierając jej dłoń. – Na pewno wiesz, że teraz, kiedy twoje stosunki z cicią ułożyły się tak, jak się ułożyły, ciocia Mary uznaje cię za spadkobiercę, którego straciła, gdy zmarł jej synek.

– Spadkobiercę?

– To znaczy, że chce, byś prowadziła plantację, gdy ona umrze – żebyś kontynuowała rodzinną tradycję – wyjaśniła i Alice zmrużyła oczy, jakby niepewna, czy Rachel rzeczywiście nie rozumie, co do niej mówi, czy tylko udaje.

Rachel zamrugnęła gwałtownie. Ona, spadkobiercą cioci Mary? Już postanowiła, że pójdzie na rolnictwo w Texas Agricultural and Mechanical University, z nadzieją, że potem ciocia Mary da jej pracę, ale... zająć jej miejsce, kiedy umrze? Odziedziczyć Somerset? Alice pochyliła się do niej.

– To oczywiste, że chce, byś ją zastąpiła, Rachel. A jak sądzisz, dlaczego znów kupuje ziemię?

Rachel natychmiast pospieszyła z odpowiedzią.

– Ponieważ Somerset się wyczerpała. Po tegorocznych żniwach ciocia Mary zostawi ziemię, by przez rok leżała odłogiem, a potem chce posadzić kukurydzę i soję.

Mówiła z dumą. Po raz pierwszy w historii w Somerset miało rosnąć coś innego niż bawełna, której produkcja systematycznie malała. Ciocia Mary postanowiła „rozszerzyć działalność” i powinna za to podziękować Rachel. W czasie sierpniowych wizyt Mary z uwagą słuchała o wymaganiach ogrodu warzywnego Rachel, aż w zeszłym roku zwróciła się do swojego dyrektora i powiedziała:

– Cioteczna wnuczka zainspirowała mnie do zmian w Somerset. To wyczyn, którego nikomu innemu nie udało się dokonać. Bawełna nie ma już tutaj przyszłości. Czas, żebym to zauważyła.

Ale ciocia Mary nadal była plantatorką bawełny, więc zakupiła ranczo o powierzchni dwóch tysięcy hektarów w pobliżu Lubbock i Phoenix w Arizonie, by na tym terenie zasiać i uprawiać bawełnę. Holding nazwała Toliver Farms. Te zakupy nie podobały się Alice, która oświadczyła, że ciotka „opróżnia szkatuły, tak że nie zostanie tam ani złamany cent”.

Patrząc na Rachel surowym okiem, matka odparła:

– To nie jest powód. Gdybyś się nie zjawiała, byłaby zadowolona z tego, co daje jej Somerset, wyczerpana czy nie. Ale proszę, teraz oto ma powód, by kupować więcej ziemi i sprzętu, kosztem tego, co należy się ojcu po jej śmierci. I skończy jak wielu innych ranczerów w okolicy – dużo ziemi i mało pieniędzy. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Rachel pokiwała głową. W końcu w pełni pojęła sedno kłótni rodziców, które prowadzili przez te lata. Mama oczekiwała, że ciocia Mary zostawi plantację ojcu, a on ją sprzeda. Zrobiło się jej niedobrze. Bojąc się większego gniewu matki, odważyła się nieśmiało powiedzieć:

– A nawet jeśli zostawi ją mnie, to co? Czy to byłoby takie złe? Przecież podzieliłabym się z wami i z Jimmym wszystkim, co bym zarobiła.

– Twój tata nigdy by się nie zgodził żyć na koszt córki – wyjaśniła Alice.

– Dlaczego? Inne dzieci pomagają rodzicom.

– Dlatego, że twój tata nie czuje się uprawniony do niczego, co pochodzi z ziemi Toliverów. Nie wzięłyby ani centa.

– Ale dlaczego? – zdumiała się Rachel.

Alice puściła jej ręce i opadła na oparcie. Bębniła palcami po blacie, najwyraźniej próbując zdecydować, czy może jej zaufać. W końcu powiedziała:

– Kiedy twój ojciec miał siedemnaście lat, uciekł od cioci Mary i wujka Olliego, dlatego.

Rachel nie mogła w to uwierzyć. Dlaczego tata miałby uciekać od dwojga najwspanialszych ludzi na świecie?

– Nie wierzysz mi, prawda? – Alice wyczytała wątpliwości z jej twarzy. – A jednak, kotku, i powiem ci dlaczego. Twoja cioteczna babka próbowała zrobić z niego plantatora bawełny – Tolivera, jak ona sama – ale twój tata nie miał w sobie tego powołania. Nie cierpiał ziemi. Nie cierpiał Somerset. Nie cierpiał tego, czego od niego oczekiwali, więc uciekł na pola naftowe w zachodnim Teksasie. I tak wylądował w Kermit.

Rachel opadła szczęka. Zawsze sądziła, że po ślubie z mamą tata został w Kermit, bo to było jej rodzinne miasto.

– Twój ojciec może jest biedny, ale dumny – kontynuowała Alice. – Dlatego nigdy nie pozwolił swojej ciotce, by mu pomogła. Trzeba jej przyznać, że proponowała. I tak samo postąpiłby w stosunku do ciebie. A teraz oświecę cię i w temacie innych rodzinnych sekretów,

o których, jestem pewna, ciotka ci nie wspomniała, gdy ładowała ci do głowy historię Toliverów.

Nagle, jakby poczuła potrzebę umocnienia pozycji, Alice wstała i nalala sobie z dzbanka szklankę herbaty. Wyszarpnęła kostki lodu z tacki i wrzuciła je do herbaty z głośnym brzękiem, po czym dodała cukier i zamieszała energicznie. Rachel patrzyła na to z trwogą w sercu. Rany, co chciała jej powiedzieć?

Matka usiadła, nie wypiwszy nawet łyka i mówiła dalej:

– Dawno temu, gdy zabraliśmy cię do Howbutker po raz pierwszy, żeby pokazać ci ciocie Mary, obiecała twojemu ojcu, że po jej śmierci cała jej posiadłość zostanie sprzedana, a zyski zapisane jemu. Twierdziła, że testament jest już napisany. Ty byłeś wtedy niemowlęciem.

Powiedziała mu, żeby zabrał cię do domu i zapomniał o Somerset, że na tej ziemi ciąży klątwa...

– Klątwa? – Rachel poczuła, że robi się zimna, jak ta szklanka z herbatą.

– Tak, klątwa, Rachel. Nie wyjaśniła twojemu ojcu, co ma na myśli, ale mówiła, żeby się cieszył, że ty i jego przyszłe dzieci nie będą miały nic wspólnego z plantacją. Przysięgam na grób mojego ojca, że tak powiedziała.

Rachel miała ochotę zatkać sobie uszy rękami. Nie mogła znieść, jak mama mówi o śmierci ciocie Mary i klątwie na Somerset.

– Mówię ci to – tłumaczyła Alice – bo od tamtej chwili liczyłam na to, że dotrzyma obietnicy złożonej ojcu. To było jak tęcza na niebie.

Rachel zapytała zdezorientowana:

– Ale... nie rozumiem. Jaka jest różnica między odziedziczeniem zysków ze sprzedaży plantacji i... i życiem z zysków płynących z jej prowadzenia?

Alice była zaskoczona, najwyraźniej nie spodziewając się tego pytania. Podniosła szklankę i napiła się, głośno przełykając.

– No więc, żeby wyjaśnić ci tę różnicę, muszę wyciągnąć na świat-ło dzienne jeszcze kilka rodzinnych tajemnic – odparła. – Kiedy zmarł ojciec ciocie Mary, wszystko zostawił córce, a synowi, Milesowi, ojcu twojego taty, ani jednej piędzi ziemi. To dlatego Miles wyjechał do Francji. W wyniku tej ogromnej niesprawiedliwości twojego pradziadka, Miles – a także jego potomek – nie mogli zostać częścią tego, co tak ukochała twoja ciotka. Być może tatuś nigdy by nie uciekł, gdyby miał jakiś udział w Somerset. Miałby powód, by zostać, bo miałby prawo własności ziemi. Teraz rozumiesz, dlaczego nic nie jesteśmy winni ani Somerset, ani temu cennemu dziedzictwu Toliverów?

Rachel słuchała zdziwiona i przygnębiona. Przypomniała się jej inna rodzinna historia, podobna do tej, którą właśnie poznała. Pewnie chodzi o to, że mama nigdy nie pogodziła się z faktem, że jej własny ojciec, właściciel warsztatu samochodowego, przepisał cały interes bratu Alice. Jej nie zostawił nic. Alice uważała, że brat powinien sprzedać warsztat i podzielić się z nią pieniędzmi. On mógłby otworzyć sobie nowy. Ale brat odmówił. Rachel zastanawiało teraz, jak bardzo jej osobiste poczucie niesprawiedliwości wpływało na opis ojca.

– Tak, mamó – odpowiedziała słabo.

– Więc różnica polega na tym, że jeśli pieniądze pochodziłyby ze sprzedaży plantacji, tata potraktowałby je jako zadośćuczynienie. Jeśli natomiast pochodziłyby z zysków z ziemi, od której uciekł, uznałby je za jałmużnę. Rozumiesz w końcu?

Rachel pokiwała automatycznie głową, czując, jakby krew pulsująca jej w skroniach miała zaraz je rozerwać. Chyba wiedziała już, do czego zmierza matka. W oczach czuła palące łzy.

– Mamó, co chcesz, żebym zrobiła?

Alice znów się pochyliła i spojrzała córce w oczy.

– Chcę, żebyś usunęła się ojcu z drogi do spadku po ciotce Mary. Chcę, żebyś zapomniała

o... o tym nedorzecznym pomysle zostania farmerem. To i tak tylko chwilowe, kotku. Do końca liceum zmienisz jeszcze zdanie dziesięć razy, a tymczasem będziesz wmawiać cioci jakieś bajki, że jesteś drugą Mary Toliver.

– Ja jestem drugą Mary Toliver...

Mocne uderzenie ręką w stół przerwało jej wypowiedź.

– Nie jesteś nią! I wybij to sobie z głowy, słyszysz mnie? Może wyglądasz jak ona i zachowujesz się jak ona i może chcesz nią być, ale jesteś sobą, dziełem mojej rodziny w równej mierze jak twojego taty i wszechmocnych Toliverów. Czy masz pojęcie, jak ja się czuję, widząc, że ty i twój ojciec wierzycie – i jesteście z tego dumni – że nie ma w tobie ani kropli mojej, krwi Finchów?

– Och, mam, nigdy nie chcieliśmy, żebyś się tak czuła...

– Ale się czuję, Rachel. A jak mogłoby być inaczej? I na dodatek, jakby rozdrapując tę ranę, uzurpujesz sobie prawo do tego, co słusznie należy się twojemu ojcu, dobremu człowiekowi, który przez te wszystkie lata urabia sobie dla nas swoją jedyną sprawną rękę, a dla którego ostatnią szansą na uwolnienie się od Zacka Mitchella i godziwą starość są pieniądze, które odziedziczy po sprzedaży holdingów ciotki.

To był pewny sposób na wywołanie jej współczucia – wspomnienie „jedyną sprawną rękę” ojca. Druga została zdeformowana w wypadku na polu naftowym, jeszcze przed jej urodzeniem.

– Mogę sprzedać część ziemi – zaproponowała Rachel – i dać pieniądze tacie.

– Nie weźmie ich, przecież chyba jasno ci to wytłumaczyłam. On musi dostać Somerset, tak jak mu obiecała ciotka.

Rachel przyłożyła dłonie do pulsujących skroni.

– Więc kiedy i jak mam się... usunąć z drogi?

Alice jeszcze bardziej się do niej przysunęła.

– Od razu, zanim zmieni testament. Zrobisz to, kładąc kres jej nadziejom. Powiesz jej, że straciłaś zainteresowanie ziemią i jej uprawą. I nie chcesz już iść na rolnictwo.

– To znaczy, że...

Wiedziała, o co jej chodził.

– To znaczy, że nie mogę tam latem jeździć? Odwiedzać cioci Mary i wujka Olliego? Nigdy już nie zobaczę Sassie, pana Percy’ego, Amosa... i Matta? Ale to moja rodzina!

Matka znowu uderzyła w stół.

– My jesteśmy twoją rodziną, Rachel. Twój tata, Jimmy i ja. A twój dom jest tutaj, nie w Howbutker. My powinniśmy być dla ciebie ważniejsi niż ciotka Mary.

Rachel zwiesiła głowę. Było jej duszno, z trudnością oddychała. Wbiła paznokcie w dżinsy.

– Wiem, że to duże poświęcenie – powiedział matka, odgarniając jej włosy z twarzy, co robiła zwykle po reprimendzie – ale nigdy go nie pożałujesz, na pewno nie, kiedy zobaczysz, że tatuś może w końcu cieszyć się komfortem. Nie będziesz żałować, że zrobiłaś to, co należało.

Podniosła głowę.

– Czy to znaczy, że będę musiała zrezygnować z mojego ogrodu?

Alice spojrzała na nią błagalnie.

– Tak, kotku. To jedyny sposób, by przekonać tatusia, że rzeczywiście nie chcesz już być farmerem. Inaczej nigdy nie uwierzy. I będzie chciał zabierać cię do Howbutker.

Czuła swoje serce w gardle, jakby uwięzione. Zrezygnować z ogrodu? Usunąć ogrodzenie i pozwolić, by splądrowały go króliki i inne pustynne stworzenia? Pozwolić trawie i chwastom wziąć w posiadanie jej żyzną glebę, którą nawoziła, zniszczyć wypielęgnowane grządki, jej

ukochane miejsce? Ale co gorsze – o wiele gorsze – będzie musiała okłamać ciocię Mary, pozwolić jej myśleć, że nie zależy jej na niej i wujku Olliem... że Somerset, Howbutker i korzenie Toliverów nic dla niej nie znaczą.

Mama wzięła jej rękę i głaskała ją w odruchu współczucia. Rachel w osłupieniu obserwowała rytmiczny ruch, zauważając, jak zniszczone stały się dłonie matki. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego wszystkiego, co te dłonie robiły, by rodzina była nakarmiona i zdrowa, a ich ubrania czyste i ładne, ich mały domek nienaganny – wszystko, co robiły, by ich bieda mniej rzucała się w oczy, i to bez tych nowoczesnych urządzeń, które ułatwiały pracę większości matek. Matka rzadko kupowała coś nowego dla siebie. Wszystko, co kupiła z jakichś zaskórniaków, szło dla dzieci i męża.

– Nie proszę dla siebie, kotku – powiedziała Alice – Błagam dla twojego tatusia.

– Wiem, mamó – i Rachel podniosła dłoń mamy, przytulając do niej policzek. Był zaledwie wrzesień... przed nią do przeżycia cały rok, a potem kolejny i jeszcze jeden, aż do skończenia szkoły, i żadnego powodu do odliczania dni, które zostały do lata... żadnego powodu, by dalej żyć. Wstała, zanim powietrze całkiem ucieknie jej z płuc i spróbowała się uśmiechnąć do pełnej nadziei matki.

– Dziś wieczorem napiszę list do cioci Mary i wujka Olliego i powiem im, że zmieniłam zdanie i już nie chcę być farmerem, i że nie będę więcej przyjeżdżać do Howbutker.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Tatusiu, co ty tu robisz? – Rachel spojrzała na niego zaskoczona. Zmaterializował się nagle przy jej stoliku w bibliotece miejskiej, gdzie wypełniała na maszynie elektrycznej wnioski o przyjęcie na Texas Tech University. Tydzień wcześniej skończyła szkołę. W rubryce SPECJALIZACJA wpisała „brak decyzji”. Był wtorek, więc ojciec powinien już zacząć swoją poobiednią drzemkę.

– Mama powiedziała mi, że tu jesteś – mówił William. Miał na nogach sandały i skarpety zamiast wiązanych butów z wkładkami, które zakładał, gdy miał cały dzień stać za ladą.

– Twierdziła, że nie ma sensu do ciebie wstępować, ale nie mogłem jakoś wyjechać, zanim osobiście ci nie powiem...

– Co mi powiesz? Dokąd jedziesz?

– Skarbie... – William przysunął bliżej krzesło i wziął ją za rękę. – Chodzi o wujka Olliego. Umarł dziś rano na atak serca. Jadę do Howbutker. Zack dał mi kilka dni urlopu, żebym mógł wziąć udział w pogrzebie.

Rachel otworzyła usta i już ich nie zamknęła. Do oczu napłynęły jej łzy. Wujek Ollie – ten kochany, cudowny człowiek – nie żyje? Nie widziała go trzy lata – trzy lata, przez które mogła zdobyć tyle wspomnień.

– Jak się czuje ciocia Mary?

– Nie wiem. Dzwonił Amos. Powiedział, że ciocia Mary wygląda na... zagubioną.

Jednym szarpnięciem wyciągnęła wniosek z maszyny i włożyła do swojej teczki z dokumentami do college'u.

– Jadę z tobą – postanowiła. – Spakuję się w minutę. Weźmiemy mój samochód, jest pewniejszy.

Na twarzy Williama zobaczyła panikę.

– To chyba nie najlepszy pomysł, króliczku. Mama potrzebuje cię tutaj...

– Do czego?

William przełknął ślinę, nie potrafiąc jej odpowiedzieć. Wzruszył ramionami.

– Właściwie, dlaczego nie? Ciocia na pewno się ucieszy z twojego przyjazdu, a poza tym – uniósł swoją zdeformowaną rękę – przyda się drugi kierowca. Tylko że... mama nigdy nie chciała dzielić się tobą z ciocią Mary.

– Jestem przekonana, że tym razem zrobi wyjątek.

Matka była jej winna przynajmniej to. Przez te trzy lata, kiedy nie mogła pojechać do ludzi i miejsca, za którymi tak tęskniła, ze względu na matkę robiła dziesiątki zupełnie bezsensownych rzeczy, które ta uznała za właściwe dla nastolatki. Porzuciła wszystko związane z rolnictwem, włącznie z członkostwem w FFA (Przyszli Farmerzy Ameryki), a nawet zamiarem studiowania agronomii na Texas A&M.

I dotrzymała obietnicy, że nie wyjawia ojcu powodu tej nagłej zmiany. Na początku się dziwił, ale ostatecznie przyjął tłumaczenie matki, że odkryła w sobie dziewczynę, i to bardzo ładną. Nigdy nie podejrzewał, że to żona jest odpowiedzialna za te wylewane łzy, które nieraz widział, wierząc Alice, gdy tłumaczyła, że „och, to tylko hormony, taki wiek”.

– Popęlniasz ogromny błąd, Rachel – powiedziała matka, gdy się pakowała.

– Niedługo wrócę, mamó.

– A co z naszą umową?

– Wielkie nieba, przecież jadę tylko na pogrzeb wujka Olliego. W jaki sposób narusza to naszą umowę?

– Przychodzą mi na myśl setki hektarów powodów.

Podczas podróży, gdy ojciec drzemał w fotelu obok, Rachel zastanawiała się, jak ją przywitają na Houston Avenue po tak długiej i niezbyt jasno wytłumaczonej nieobecności. Ciocia Mary i wujek Ollie pozostali z nią w kontakcie, dzwoniąc i pisząc – na początku dwa razy więcej niż ona. Pisali, co dzieje się w mieście, na plantacji i w sąsiedztwie, o Sassie, panu Percym i Amosie. Czasami wspomnieli coś o Matcie, a ona pożerała łapczywie każde słowo. Skończył Texas University i uczył się, jak działają przedsiębiorstwa dziadka. Wyobrażała sobie, że jest przystojniejszy niż kiedykolwiek, dobrze wykształcony, ma nienaganne maniery, a przede wszystkim klasę, nie to, co te kmiotki, które próbowały się do niej dobierać w szkole, a gdy opierała się ich zalotom, nadały jej przydomek „Królowa Lodu”. Przesyłali też paczki, ubrania dla Jimmy’ego i dla niej, wprost z ekskluzywnego sklepu wujka Olliego. Ale z czasem telefony stały się coraz rzadsze, a i listy nie krążyły tak często, głównie dlatego, że nie potrafiła ani przekonująco mówić, ani pisać o swoich nowych zainteresowaniach, więc jej odpowiedzi brzmiały nudno i chłodno. Była pewna, że udało się jej ich przekonać, że wyrosła już z potrzeby posiadania zastępczych dziadków i że entuzjazm, jaki żywiła do uprawy ziemi, rodzinnej tradycji i Somerset był jedynie chwilowy.

Oczy zaszyły jej łzami. Nic nie mogło być dalsze od prawdy. Brakowało im jej aż do bólu, którego nic przez te trzy lata nie mogło ukoić. A teraz już nigdy nie zobaczy wujka Olliego i nie będzie mu mogła powiedzieć, ile dla niej znaczył, ani wyrazić wdzięczności, jaką czuła, że o niej nie zapomniał. To jego dłoń wybrała samochód, którym teraz jechali, jako prezent z okazji ukończenia szkoły średniej. Dostarczono go pod drzwi ich domu, lśniący czerwony Ford Mustang, rocznik 1973, wprost z taśmy produkcyjnej.

Ale mimo tego hojnego prezentu, nie zdziwiłoby jej chłodne przyjęcie. Ciocia Mary może wybaczyć podły sposób, w jaki odpłaciła się za jej uczucia, ale nigdy nie wybaczy, że tak potraktowała wujka Olliego.

Kiedy zajechali przed znajomą werandę, w brzuchu ją kręciło, jakby latało tam stado rozjuszonych ciem. W drzwiach stanęła Sassie i ze zdziwienia otworzyła szeroko usta.

– Och, panna Rachel, a myśmy nic nie wiedzieli, że panna Rachel przyjeżdża! – wołała, przytulając ją do piersi tak, że niemal straciła dech. – Olaboga, ale też pannica wyrosła!

Jej głośne powitanie zwabiło z biblioteki znajome kroki.

– Kto to, Sassie?

– Och, pani Mary, a to dopiero się pani ucieszy na ten widok.

Odsunęła się i zostawiła ciocię Mary stojącą w holu. Miała siedemdziesiąt trzy lata. Włosy jej posiwiały, a czas zabawił się nieco z jej twarzą, ale była nadal tą samą smukłą, piękną kobietą, którą Rachel tak dobrze pamiętała. Za nią wyszedł Percy, wciąż władczy w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, Matt, teraz dwudziestodwuletni, oraz Amos, żalobnie lincolnowaty, jak zawsze. Podeszli do niej, jej najbliższa rodzina, teraz, gdy Olliego już nie ma, ale to do Rachel Mary wyciągnęła ręce.

– Och, dziecko, przyjechałaś – powiedziała, a z zaczerwienionych oczu polały się łzy.

– Tak się cieszę... tak bardzo się cieszę.

Rachel zatrzymała się tylko na krótki moment, zdając sobie sprawę, że ten powrót to rzeczywiście był błąd. Bo już nigdy nie będzie w stanie nazwać Kermit domem. Tu był jej dom – ten budynek, ta ulica, to miasto i ci ludzie. Kochała swoją rodzinę, ale jej miejsce było przy tej kobiecie, której krew płynęła w jej żyłach, z nią dzieliła pasję, która stanowiła sens jej życia.

– Ja też się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała i mijając ojca, rzuciła się w ramiona ciotki.

Dzwonek telefonu w drugim pokoju wyrwał Rachel z zadumy nad tym spotkaniem. Po

pogrzebie jej ojciec wrócił do Kermit bez niej – firmowym samolotem. Tej jesieni jej cioteczna babka pociągnęła kilka sznurków i przyjęto ją na Texas A & M University w College Station, dwie godziny jazdy od Howbutker, gdzie wracała na weekendy i na wakacje, by pomagać ciotce wprowadzać do Somerset warzywa oraz nowe techniki uprawy, o których się uczyła. Cztery lata później skończyła studia z najlepszym wynikiem na roku i tytułem magistra agronomii. Miała nadzieję, że będzie mieszkać w Howbutker i prowadzić produkcję warzyw w Somerset, a ciotka zajmie się bawełną. Ale ciocia Mary miała wobec niej inne plany. Być może nadszedł kres uprawy bawełny w Somerset, nie nadszedł jednak kres uprawy bawełny przez Toliverów. Wysłała Rachel, by uczyła się od jednego z najstarszych pracowników, który zarządzał zachodnim oddziałem firmy w Lubbock, a potem – choć serce Rachel zostało w Somerset – by przejęła kierownictwo, gdy on odszedł na emeryturę.

Alice nie wybaczyła jej, że złamała obietnicę, za to zachowała dla siebie wyjawione przez matkę rodzinne sekrety i ojciec nigdy się nie dowiedział, dlaczego stały się sobie obce. Bez urazy przyjął za zupełnie naturalne i słuszne, że to jego córka – „jedynej prawdziwej Toliver” – odziedziczy rodzinne holdingi.

Rachel wstała zza biurka i położyła chusteczki z powrotem na stoliku, a potem otworzyła drzwi do drugiego pokoju. Danielle, jej wieloletnia sekretarka, zerwała się od razu, by złożyć kondolencje, a zawsze lojalny Ron otoczył ją ramieniem. Zostawia Toliver Farms w kompetentnych rękach.

– Nie zobaczymy się przez jakiś czas – powiedziała. – Poprowadzę interesy z Howbutker, ale w razie czego, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

– Więc nie wraca pani do nas? – spytała Danielle.

– Nie, Danielle, chyba że zmuszą mnie od tego jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

William Toliver wziął szklankę mrożonej herbaty i wyszedł z nią na mały taras, by choć przez chwilę odpocząć od kamiennego milczenia żony, zanim pójdzie do pracy. Plastikowe krzesło parzyło mu pośladki, ale pomagało znieść oblewający go zimny pot. W końcu nadszedł ten dzień, na który z niepokojem czekał od lat, rozwiewając wszelkie nadzieje, że żona i córka zdążą się pogodzić przed śmiercią cioci Mary. Z jednej strony cieszył się, że Rachel będzie robiła to, do czego została stworzona. Był w końcu Toliverem i dużo to dla niego znaczyło – bardzo dużo, nawet jeśli doprowadzało Alice do szału. Wolałby, żeby nie jechała z nimi do Howbutker. Już sobie wyobrażał tę scenę, gdy Amos odczyta testament i potwierdzi, że Rachel „okradła” ojca z jedynej szansy na lepsze życie.

Westchnął. Z drugiej strony trochę żałował, jak to Alice przewidziała, że wtedy, w 1966 roku, zabrał Rachel do ciotki. Miała teraz prawo powiedzieć: „A nie mówiłam”, bo od tamtego lata ich rodzina już nigdy nie była taka sama. Często się zastanawiał – nawet gdyby nie odkrył przed córką jej prawdziwych korzeni – czy jej pierwszy ogródek i tak nie doprowadziłby jej na Houston Avenue i do Somerset.

Może i nie. Bóg świadkiem, że ich pierwszej wizyty w Howbutker, dziesięć lat wcześniej, gdy chciał przedstawić im żonę i nowo narodzoną córeczkę, nie można nazwać wielkim sukcesem. Jego rodzinę przyjęli bardzo uprzejmie, ale z rezerwą, jak obcych. Uznał, że to zrozumiałe. Była to jego pierwsza wizyta w domu od czasu ucieczki, gdy miał siedemnaście lat. Wtedy miał już dwadzieścia osiem, a w czasie swojej nieobecności kontaktował się tylko sporadycznie. Już jedenaście lat mieszkał w Kermit. Gdy skończył dwadzieścia jeden lat, ożenił się z ekspedientką pracującą w aptece, którą poznał przy okazji odbierania lekarstw na zranioną w wypadku rękę. Rodzinę zawiadomił telegraficznie.

William Toliver zdawał sobie sprawę, że postępował tak z powodu wyrzutów sumienia, że uciekł, i wstydu, że jako Toliver poprzestał na małym, podczas gdy jego nazwisko zobowiązywało go do czegoś więcej.

– Uciekłem od tego wszystkiego, czego ode mnie oczekiwali – tłumaczył Alice. – Jestem pewien, że bardzo zraniłem ciocię Mary. Syn cioci i wujka Olliego zmarł kilka lat po moim przyjeździe do Howbutker, a ja... ja ją zostawiłem i nie było już nikogo, kto kontynuowałby rodzinne tradycje.

Alice widziała to inaczej. Rozemocjonowana opiekuńczymi instynktami, które tak w niej kochał i zrażona rezerwą jego „nadętej” ciotki, oświadczyła, że ciotka Mary sama jest sobie winna, że uciekł. I to ona jego powinna prosić o wybaczenie.

– Próbowała zrobić z ciebie kogoś, kim nie byłeś, by zrealizować własne ambicje. Nie jesteś farmerem. Nie jesteś nawet Toliverem, jeśli to oznacza podobieństwo do niej.

William pominął tę uwagę. Nawet w wieku pięćdziesięciu sześciu lat ciocia Mary była olśniewająco piękna, a jej elegancja i królewski sposób bycia nie mogły pozwolić poczuć się swobodnie kobiecie, która wciąż nosiła fryzurę modną dziesięć lat wcześniej i skubała brwi w cienkie łuki. Co więcej, Alice miała w sobie coś zaborczego. William odkrył, że żona się boi, iż ciotka zwabi go z powrotem do Howbutker, odwołując się do jego poczucia obowiązku. Podobieństwo Rachel do ciotki Mary zupełnie wytrącało ją z równowagi.

– Jest prawdziwym Toliverem – oznajmił wujek Ollie, promieniejąc z zadowolenia, gdy podnosił ją z łóżeczka.

Alice natychmiast wyrwała mu dziecko, chroniąc je we własnych ramionach, a William zrozumiał, że dla jego żony zamieszkanie w świecie Houston Avenue stałoby się nieustanną

walką o utrzymanie tego, co do niej należy. Nikt nie potrafił pomóc jej w przewyciężeniu odczucia, że jest beznadziejnie nie na swoim miejscu, nawet tak cudowny i delikatny człowiek jak jego wujek Ollie, którego zresztą od razu polubiła. Ponieważ „uratował” jej męża, tolerowała też Amosa Hinesa, który w tym czasie przyjął już za swój styl życia Howbutker, gdzie tak niespodziewanie rzucił go los. Natomiast na widok Percy’ego Warwicka, jego lekko posrebrzonych blond włosów, opalenizny i tężyzny fizycznej, choć też miał już sześćdziesiąt jeden lat, dosłownie zaparło jej dech w piersiach. Oznajmiła, że jest przystojniejszy od wszystkich znanych jej gwiazd filmowych, i uznała, że jego żona chyba zwariowała, żeby zostawiać takiego mężczyznę samego.

Mimo całej ich niewyczerpanej uprzejmości okazywanej Alice, jego żona czuła się w tym eleganckim towarzystwie jak worek na mąkę wśród jedwabiu i satyny.

Wieczorem w przededniu ich wyjazdu do Kermit, ciocia poprosiła go, by usiadł z nią na chwilę w altanie.

– Twoja żona mnie nie lubi – powiedziała z charakterystyczną dla niej otwartością, kiedy siedzieli na huśtawce. – Nie czuje się z nami dobrze, tu, wśród sosen.

William za bardzo ją szanował, by zaprzeczyć.

– Nigdy nie wyjeżdżała poza zachodni Teksas.

– Najważniejsze, że cię kocha, Williamie, i że jesteś z nią szczęśliwy.

– Naprawdę tak myślisz, ciociu?

Patrzył na nią zdziwiony. Nie tego się spodziewał usłyszeć, nie to mu wpajała, gdy był chłopcem. Zobowiązanie względem nazwiska, własnego dziedzictwa, względem tego, co możliwym uczyniły poświęcenia innych – to zawsze słyszał z ust cioci Mary.

– Tak myślę – odparła. – Jeśli nauczyłam się czegoś w życiu, to tego, że niektóre rzeczy są zbyt cenne, by poświęcać je dla nazwiska. Śmiało wracaj do Kermit i nie martw się o to wszystko, czego jak może ci się wydawać, nie powinieneś być opuszczając.

Mówiła szczerze, widział to, ale stoicyzm, z którym powiedziała, żeby zostawił to, co było dziełem jego życia, rozdzierał mu serce. W ciemności powiedział cicho:

– Ciociu, a co z plantacją? Co się z nią stanie, gdy... kiedy ty...

– Umrę lub będę zbyt stara, by dalej ją prowadzić? No cóż, sprzedam ją. Ty dostaniesz pieniądze, nawet jeśli Ollie mnie przeżyje. Już sporządziłam testament. Dom zapiszę może tuteszemu Towarzystwu Ochrony Zabytków.

– Taki wstyd... – William patrzył na nią przez łzy. – Przepraszam, ciociu.

– Nie ma potrzeby – dotknęła jego dłoni. – Somerset zawsze zbyt wiele kosztowała.

Rzuciła na Toliverów kłatwę. Nie ma sensu teraz ci tego opowiadać. Możesz być zadowolony, że twoje dzieci wyrosną wolne od Somerset. Zabierz Alice i tę piękną dziewczynkę do domu i ciesz się swoim życiem, choć nie potrafię sobie wyobrazić, jak to w ogóle możliwe w samym środku pustyni – w ciemności William wyczuł jej delikatny uśmiech.

– Czy znalazłaś tę czerwoną różę, którą zostawiłem na poduszce tego ranka, gdy uciekłem?

– Tak, Williamie, znalazłam twoją różę.

Tego wieczoru, kiedy poszedł do siebie, na jego poduszce leżała biała róża.

Rozmyślając o tamtych czasach, poczuł wyrzuty sumienia. Mimo że ciotka mu wybaczyła, zawsze uważał, że jest jej coś winien za tę ucieczkę. Może Alice i w tej sprawie miała rację. Gdzieś w głębi serca główną przyczyną zabrania Rachel do Howbutker w 1966 roku była chęć wynagrodzenia cioci tego, co zrobił – albo raczej nie zrobił – bo wiedział, że niezależnie od tego, co powiedziała mu w altanie, ciotka na pewno nie oprze się szansie zainstalowania na plantacji kolejnego Tolivera. Zresztą to byłoby w porządku, gdyby tylko wtedy

nie opowiedział Alice o tej wieczornej rozmowie. Gdyby nie ta informacja oraz fakt, że dziadek nie uznał za stosowne zostawić swojemu synowi choćby hektara rodzinnej ziemi, matka i córka nie byłyby skłócone.

Usłyszał dzwonek telefonu, a za chwilę w drzwiach pojawiła się Alice.

– Twój pan i władca pyta, gdzie do diabła, jesteś – powiedziała.

William wykrzywił usta.

– Ciekawe, skąd wiedział, gdzie zadzwonić?

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Amos był już na lotnisku miejskim Howbutker, gdy punktualnie o dziesiątej wylądowała na nim mała pasażerska Cessna z napisem TOLIVER FARMS. Wiedział, że wygląda, jakby całą noc spędził w meksykańskim więzieniu. Widok własnej twarzy, nad którą trudno było piąć z zachwyty nawet w jego najlepszych latach, wstrząsnął nim, gdy rano stanął przed lustrem, by się ogolić, ale czy mogło być inaczej? Miał wrażenie, że jelita skręciły mu się w łożyska kulkowe i nie mógł w ogóle zasnąć, więc wstał o trzeciej i resztę nocy do świtu przesiedział na balkonie, słuchając wrzasków marcujących kotów.

Dobry Boże, miej nas w swojej opiece, modlił się, gdy otwierano drzwi samolotu i wysunęły się niewielkie schodki. Chwilę potem ukazała się Rachel, zauważyła go i pomachała. Amosowi zakręciło się w głowie, doświadczył *déjà vu*. Jaka ona podobna do Mary, kiedy pierwszy raz zobaczył ją na szczycie schodów w domu towarowym Olliego. Rachel była oczywiście dużo młodsza, ale tak niesamowicie podobna, tak samo piękna i – podobnie jak Mary tamtego dnia – przynębiona. Też do niej pomachał, po czym się uśmiechnął.

Rachel szła szybkim krokiem, jej opalone nogi odbijały się od białej spódnicy-spodni. Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Kochany panie Amosie – powiedziała czule i ciepło. – Jak pan się czuje?

– Chyba tak samo jak ty – odparł, mocno ją obejmując.

– Więc będziemy się smucić razem.

Wsunęła mu rękę pod ramię i gestem wskazała pilotowi, że ma iść za nią i zanieść walizki samochodu Amosa, granatowego cadilla-ca, ogromnego jak sam Amos i tak samo jak on nierzucającego się w oczy.

– Jak widać, nie zdołałam przekonać rodziny, żeby przylecieli ze mną – powiedziała – ale powinni zjawić się jutro po południu. Mama też przyjeżdża. A teraz niech mi pan powie, co pan załatwił.

Oparta o jego ramię wydawała mu się lekka jak elf – ofiarna dziewczyna nieświadoma swego przeznaczenia.

– Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w poniedziałek o jedenastej, sam pochówek o trzeciej. Godziny wystawienia zwłok ustaliliśmy wstępnie na sobotę rano, od dziesiątej do dwunastej, a potem po południu od piątej do siódmej, jeśli ci to odpowiada.

– Idealnie – uznała Rachel. – Wszyscy będziemy mogli trochę odpocząć. Coś jeszcze?

Przedstawił resztę ustaleń, żeby ewentualnie wyraziła swoje zastrzeżenia. Umówił się, że przygotują miejsce obok Olliego, bo Mary nie chciała zostać poddana kremacji. I żeby oszczędzić Sassie i Henry'ego, którzy zresztą są zdruzgotani, na stypę zamówił salę przy kościele. Nie ma sensu, by setki ludzi plątały się po domu, zostawiając wszędzie jedzenie. Niech zajmą się tym panie z Komitetu Kościelnego Pierwszego Kościoła Metodystów. Przez Houston Avenue i tak przewinie się tłum.

– Wygląda na to, że pomyślał pan o wszystkim – stwierdziła Rachel. – Zostało coś dla mnie?

– Będziesz musiała wybrać sukienkę dla Mary, w której zostanie wystawiona, trumnę i kwiaty. Przygotowałem ci listę osób, z którymi trzeba się skontaktować. Czekają na twój telefon, przy każdym nazwisku znajdziesz numer. Jeszcze dziś musisz przejrzeć nekrolog – może będziesz chciała coś do niego dodać. Mary sama go napisała i załączyła do dokumentów prawnych. Chcą go mieć w domu pogrzebowym do szesnastej.

Rachel zatrzymała się zaskoczona.

– Ciocia napisała swój nekrolog? Wiedziała, że jest chora?
– No... jak już mówiłem, nigdy mi nie wspomniała, że choruje na serce. A co do nekrologu – usiłował się uśmiechnąć – z mojego doświadczenia wynika, że tu na Południu kobiety w pewnym wieku jeszcze długo przed śmiercią wolą same skomponować ten tekst o sobie, niż zostawić to zadanie krewnym. W przypadku twojej cioci na pewno jest prosty i szczerzy.

– Kiedy go napisała?
– Obawiam się, że nie mogę podać ci daty.
– W takim razie nie będę w nim nic zmieniać, ale dziwi mnie, że ciocia zajmowała się takimi sprawami.

Doszli do samochodu. Pilot ich dogonił i włożył torby do bagażnika.
– Panno Toliver – powiedział, wyciągając do niej dłoń – miło było z panią współpracować.

Rachel wzięła jego dłoń, jakby nie wiedziała, co ma z nią zrobić.
– Co to znaczy, Ben? Odchodzi pan?
– To pani nic nie wie? Mój kontrakt się kończy, to był ostatni lot. Miałem dziś lecieć z panią DuMont do Lubbock, ale... zamiast tego przyleciałem z panią tutaj. To mój ostatni kurs dla Toliver Farms.

– Kto tak powiedział?
– Pani DuMont.
– Doszło do jakiejś kłótni, nieporozumienia?
– Nie, proszę pani. Po prostu powiedziała mi, że nie potrzebuje już moich usług. Plotka głosi, że samolot został sprzedany.

– Sprzedany? – Rachel odwróciła się do Amosa. – Wiedział pan o tym?
Uniósł ramiona i patrzył niewinnym wzrokiem, choć czuł, że z twarzy odpływa mu cała krew.

– Nigdy nie wspominała mi o sprzedaży samolotu.
Rachel zwróciła się znów do pilota.
– Nie wiem jeszcze, co to znaczy, ale na pewno się dowiem. Musiała zająć jakąś pomyłkę.
– Gdyby tak było, wie pani, gdzie mnie szukać – odparł Ben.
Rachel, skonsternowana, patrzyła w ślad za odchodzącym pilotem.
– A wie pan – dumiała głośno – że to już druga rzecz, która mnie dziwi. Mam wrażenie, że w firmie dzieje się coś, o czym nie wiem. Wczoraj spotkałam się z przedstawicielem zakładów tekstylnych, z którymi handlujemy od lat, a on oświadcza mi, że nie odnowią z nami kontraktu – powiedziała, zwracając pytająco do Amosa: – Czy ciocia Mary wiedziała, że zostało jej mało czasu i przed śmiercią chciała wprowadzić jakieś zmiany? Czy to dlatego miała do mnie przyjechać?

Amos z roztargnieniem klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, udając wielką ulgę, gdy je znalazł.

– Wiesz przecież, że twoja ciocia nie była specjalnie wylewna – zaczął asekuracyjnie.
– Ale jestem pewien, że już wkrótce wszystko się wyjaśni. A propos, myślisz, że po uroczystości na cmentarzu moglibyście całą rodziną przyjść do mnie na odczytanie testamentu, powiedzmy, około piątej?

– Na pewno tak. Chcą jak najszybciej mieć to za sobą i zaraz z rana wyjechać do Kermit. Ja oczywiście zostanę. W Lubbock wszystkiego pilnuje mój zastępca, więc przez jakiś poprowadzę interesy z biura cioci Mary. Szkoda, że Addie Cameron odeszła na emeryturę. Przydałaby mi się jej pomoc.

– Fakt... – wymamrotał Amos, skupiony na wyprowadzeniu samochodu na drogę. To kolejna rzecz, która mogłaby jej dać do myślenia – niespodziewane przejście na emeryturę zaufanej asystentki Mary, która jako jej prawa ręka przepracowała dwadzieścia pięć lat. Zamieszkała – i to na pewno dobrze zaopatrzona na starość – blisko syna i jego rodziny w Springfield, w Kolorado. To będzie cud, jeśli Rachel nie dowie się o sprzedaży Toliver Farms jeszcze przed pogrzebem i Bóg jeden wie, jak zareaguje. Tego ranka rozmawiał z prawnikami Mary w Dallas, pytając ich, jak długo jeszcze informacja o sprzedaży firmy może pozostać tajna. Niezbyt długo, ostrzegli, gdy media dowiedzą się o śmierci Mary.

Kiedy zaparkował przed domem Toliverów, Henry, z czarną opaską na ramieniu, wyszedł, by ich przywitać i wziąć bagaż Rachel.

– Dalej dam już sobie radę – powiedziała do Amosa ściskając pod pachą listę od niego.
– Niech pan wraca do domu i odpocznie trochę. I proszę mi wybaczyć tę uwagę, ale wygląda pan, jakby bardzo tego potrzebował.

– Tak, tak... tak zrobię. Jeszcze tylko mała sugestia, Rachel. Myślę, że lepiej, byś nie rozmawiała z prasą aż do pogrzebu... tak dla przyzwoitości. Jestem przekonany, że Mary by sobie tego nie życzyła.

– Dzięki za radę – odparła i pochyliła się, by pocałować go w policzek. – A teraz drzemka i niech pan wróci na kolację. Zaprosimy też Percy’ego i Matta. Na pewno chcieliby być teraz z nami.

Wrzucając bieg, obserwował w lusterku wstecznym, jak wchodzi po schodach, z wyprostowanymi plecami i wysoko podniesioną głową – jakby już czuła ciężar korony. Wzdychając głęboko i czując smutek, który wykręcał mu wnętrzności jak ostry nóż, modlił się znowu: Dobry Boże, miej nas w swojej opiece.

Jak zawsze po dłuższej nieobecności w domu, gdy tylko weszła na werandę, Sassie otworzyła gwałtownie drzwi i przywitała ją swoim niedźwiedzim uściskiem, a jej gładka, ciemna twarz, tak niepasująca do niesfornej czapy kręconych siwych włosów, zalała się łzami.

– Och, panno Rachel, chwalić Pana, że pani już jest – płakała, gdy Rachel wdychała jej czysty, głęboki zapach, który stanowił nierozzerwalną część Houston Avenue, tak samo jak zapach pnącego się w ogrodzie wiciokrzewu.

– To stało się tam – powiedziała, kiedy już wypuściła ją z objęć, wskazując miejsce, gdzie dwa fotele z szerokimi oparciami odsunięto od stołu. – Dokładnie tam zasłała. Nie powinnam była jej wtedy zostawiać, tak dziwnie się zachowywała i w ogóle. Wiedziałam, że normalne to nie jest.

Rachel podeszła do tego miejsca.

– Jak dziwnie, Sassie?

– No, na ten przykład piła, panno Rachel. A toć wiadomo, że pani Mary nigdy do ust nic mocniejszego od lemoniady nie brała, nawet na Boże Narodzenie, kiedy kieliszek ajerkoniaku nikomu jeszcze nie zaszkodził. A tu nagle proszę, przyjeżdża z miasta na lunch i zamiast jeść, to w tym upale siada, o tu, gdzie panna Rachel teraz stoi i mówi, żeby przynieść butelkę szampana.

Rachel zmarszczyła brwi. To rzeczywiście było dziwne. Ciocia Mary i alkohol, nie mówiąc już, że w południe, na werandzie, i to w najcieplejszym miesiącu roku.

– Może coś świętowała.

– Może, ale ja na pewno nie wiem, co by to mogło być. Zresztą, takiego świętowania nigdy tu widziałam. A to nie wszystko jeszcze. Wcześniej mówi do Henry’ego, żeby szedł na strych znaleźć wojskowy kufer pana Olliego i otworzyć go. Kiedy do niej przyszedłem, to właśnie o to się piekliła. „Muszę iść na strych... Muszę iść na strych”. To chyba przez ten szampan, majaczyła coś czy co, choć kiedy wołała imię panny Rachel, całkiem trzeźwa się wydawała.

– Pan Amos mi o tym mówił – Rachel poczuła pieczenie oczu. – Czy ciocia powiedziała, co chciała z tego kufra?

Sassie wachlowała się swoim fartuchem.

– Przecież wiadomo, że pani Mary w swoje sprawy nikomu nigdy nie pozwalała się wtrącać. O nie, nic nie powiedziała. Pytam ją, czy Henry nie może jej tego przynieść, a ona mi na to prawie ataku dostaje. I mówi, że ona jedna wie, czego szuka.

Rachel zamyśliła się na chwilę.

– Wiesz, Sassie, ciocia Mary chyba wiedziała, że jest chora i umiera. To dlatego zniknęła w Dallas, nic nam nie mówiąc. Myślę, że była u lekarza. Chciała, żeby Henry otworzył kufer, by potem mogła coś z niego zabrać – zapewne coś osobistego – nie chciała może, żeby po jej śmierci ktoś to znalazł.

Sassie nieco się uspokoiła po tym wyjaśnieniu.

– No, jak tak popatrzeć na to wszystko, może tak być.

Rachel wzięła ją pod ramię.

– Wejźmy do środka i resztę opowiesz mi przy mrożonej herbacie.

Kiedy siedziały przy kuchennym stole, na którym stały dwie oszronione szklanki słodkiej herbaty, Sassie powiedziała:

– Powinam domyślić się, że coś tu nie pasuje, jak wyjechała na tak długo i nic nie powiedziała panu Percy’emu. Panu Amosowi też było przykro.

– Ile jej nie było?

– Sześć tygodni prawie.

Rachel sączyła herbatę.

– Czy wydarzyło się coś jeszcze, co mogłoby potwierdzać moje podejrzenia?

Sassie prychnęła.

– Tak szybko pozwoliła odejść pani Addie. To powinno mnie ostrzec, no i jeszcze te perły, te, co to zawsze zakładała.

– Co z nimi?

– Wczoraj, jak wyjeżdżała do miasta, miała je na szyi, ale Henry mówi, że jak wyszła od pana Amosa, to już ich nie było.

– Musiała je u niego zostawić – zasugerowała Rachel. – Wiedziałaś, że zamierzała dziś do mnie przylecieć?

– Tak, o tym wiedziałam, ale niedokładnie. Powiedziała mi dopiero, jak szła do kancelarii. A jak już pogotowie odjechało i zaniósłam na górę jej torebkę, znalazłam spakowaną torbę. Ale przedtem nic nie wiedziałam.

– Mnie też nie uprzedziła.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Olaboga, przychodzą już z jedzeniem. Przyda się, jak wszyscy się zjawią.

Kucharka poszła otworzyć, a Rachel zastanawiała się nad tą serią wskazówek, które właściwie dawały pewność, że ciocia Mary wiedziała o zbliżającej się śmierci. Ostatecznym dowodem był szampan. Ciocia powiedziała jej kiedyś: „Alkohol jest dla mnie paszportem do miejsc, do których nie mam ochoty wracać. Kiedyś, kiedy będę stara, a moje włosy będą dużo bielsze niż dziś... kiedy już nie zostanie mi zbyt wiele czasu... być może wybiorę się w przeszłość”.

Perły to kolejny znak. Miały przypaść Rachel. To bardzo w jej stylu zostawić je u Amosa, a nie w sejfie – może ma je dostać po odczytaniu testamentu jako jeszcze jeden symbol jej ostatnich życzeń. Ale skoro tak, to jak Amos mógł nic nie zauważyć?

Wstała ciężko od stołu, zbyt zmęczona psychicznie, by teraz rozwikłać tę zagadkę.

„Wkrótce na pewno wszystko się wyjaśni”, mówił wcześniej Amos. Po chwili wróciła Sassie, więc powiedziała jej, co załatwił adwokat i że jutro przyjeżdża jej rodzina.

– Zanim się rozpakuję, pójdę wybrać sukienkę dla cioci. Potem zacznę dzwonić do ludzi z listy Amosa. Dał mi też nazwiska dwóch osób, które pomogą Henry’emu i tobie, Sassie. Skontaktuję się z nimi.

– Dziecko kochane, nie trzeba się o nas martwić. Siedzieć i myśleć nie ma co, ja tam wolę być w ruchu.

Na górze Rachel weszła do prywatnych pokoi swojej ciotecznej babki. Było w nich ciemno, okiennice zamknięto i spuszczone zasłony. Kiedy otworzyła drzwi, nie odczuła pocieszającej obecności Mary, pomyślała natomiast o sekretach zabranych przez nią do grobu. Właściwie miała wrażenie chłodu, mimo tak wielu osobistych rzeczy emanujących jej ciepłem. Na krześle leżała różowa satynowa podomka, w której uciniała sobie poobiednią drzemkę, a dopasowane do niej miękkie pantofle bez palców wyglądały spod łóżka, jak oczy odpędzonego szczeniaka. Nad kominkiem cała seria rodzinnych portretów, na wielu z nich Rachel, a na toaletce błyszczał ozdobny, choć już nieźle podniszczony, wykonany ze srebra zestaw szczotek i grzebieni, który dostała w prezencie ślubnym od wujka Olliego. Obok toaletki stała torba, którą ciocia spakowała w podróż do Lubbock.

Rachel rzadko bywała w tym pokoju, a jeśli nawet, to nie wchodziła dalej niż dwa metry od drzwi. Większość czasu spędzały w bibliotece, w gabinecie albo na osłoniętym tarasie z tyłu domu. Ale raz, bardzo dawno temu, drzwi zostały otwarte i jedno ze zdjęć na kominku przykuło uwagę Rachel. Weszła ukradkiem do środka i przyjrzała mu się. Był na nim ciemnowłosy chłopiec – nastolatek. To ojciec, pomyślała na początku, jednak po bliższym zbadaniu zdjęcia okazało się, że nie. Miał zbyt wyraźne rysy Toliverów, a zarys szczęki wskazywał na pewną siłę charakteru, której jej ojciec nie posiadał. Odwróciła zdjęcie i przeczytała: „Matthew, 16 lat” – napisała ciocia Mary swoim wyraźnym pismem. „Lipiec 1967. Miłość jego ojca i mojego życia”. Kilka miesięcy później chłopiec zmarł. Intuicyjnie wiedziała, że po tym wydarzeniu ciocia Mary już nigdy nie była taka sama. No bo cóż innego mogło być przyczyną tej ledwie wyczuwalnej mgiełki melancholii, która zawsze zdawała się ją spowijać?

Poszukała wzrokiem portretu, ale znikł. Kolejna tajemnica. Zielony, pomyślała, kierując się w stronę szafy z lustrem. „Wujek Ollie wybrałby zielony”. Ostatecznie wyjęła zieloną sukienkę o prostym kroju uszytą z pięknego materiału – ciocia pochwaliłaby ten wybór. Przed wyjściem zatrzymała się jeszcze na moment, by wsunąć pod łóżko pantofle.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Po rozpakowaniu się Rachel usiadła posepnie przy biurku w gabinecie cioci Mary, by z jej osobnego, prywatnego telefonu obdzwonić ludzi z listy Amosa. Zza zamkniętych drzwi ciągle dobiegał dzwonek drugiego telefonu domowego, a Sassie i Henry na zmianę odbierali rozmowy. Zapowiedziała, żeby jej nie przeszkadzali, jeśli zadzwoni ktoś z prasy.

Przebrnęła przez większą część listy, gdy zobaczyła w drzwiach głowę Henry'ego.

– Panno Rachel, ten będzie chciała pani odebrać. Druga linia.

– Kto to, Henry?

– Matt Warwick.

Rachel natychmiast podniosła słuchawkę.

– Matt Warwick! – wykrzyknęła, czując prawdziwą przyjemność. – Ile to czasu minęło?

– Zdecydowanie za dużo – odparł Matt. – Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach. Masz jeszcze moją chusteczkę?

Rachel się uśmiechnęła. Więc pamiętał ich ostatnie spotkanie. Spojrzała na chusteczkę, którą zabrała ze sobą, żeby mu ją oddać.

– Właśnie na nią patrzę. Myślałam, że zwrócę ci ją dużo wcześniej.

– Ciekawe, że nie mieliśmy takiej okazji. Można by pomyśleć, że jakiś boski spisek nie pozwala nam się spotkać. A może od razu się tym zajmujemy? Dziadek w końcu zasnął po prawie nieprzespanej nocy, więc jestem na twoje usługi. Mógłbym cię gdzieś podwieźć? Albo przechwycić kilka zapiekaneq, żebyś mogła odpocząć?

Poczuła się, jakby ktoś objął ją silnym, dającym ukojenie ramieniem, tym samym ramieniem, które otoczyło ją, gdy zmarł wujek Ollie. Nigdy tego nie zapomniała. Spojrzała na swoje notatki z rozmowy z właścicielem zakładu pogrzebowego.

– Co powiesz na to, żeby mnie zabrać do kostnicy... żeby zobaczyć ciocię Mary?

Koroner oddał już jej ciało i czekają tam na sukienkę.

– Będę zaszczycony – odparł łagodnym głosem. – A może najpierw zjemy lunch?

– Chętnie. Za pół godziny?

Wcisnęła przycisk interkomu, by powiedzieć Sassie, że wychodzi na chwilę i niech się nie martwi o lunch dla niej. Potem wyjęła puderniczkę, by zatuszować jakoś spustoszenia po bezsennej nocy i ślady po wybuchach płaczu, świadoma swojego podekscytowania. Nie czuła go od dwunastu lat. Smutna podróż z ojcem do Howbutker w 1973 roku na pogrzeb wujka Olliego miała dla niej jeden jasny punkt: znów zobaczy Matta Warwicka. Przy tej okazji obiekt jej dawnego zauroczenia spełnił jej oczekiwania w całej pełni. Był zabójczo przystojny, dojrzały i pewny siebie, i tak samo swobodny, jak go pamiętała, ale w stosunku do niej chłodny. Przyczyna tego stanu rzeczy pozostała nieznaną aż do stypy, kiedy to odnalazł ją wypłakującą sobie oczy w altance, podczas gdy wszyscy pozostali jedli i pili w domu.

– Proszę – powiedział niezbyt uprzejmie, rzucając jej chusteczkę. – Wygląda na to, że może ci się przydać.

– Dziękuję – odparła z wdzięcznością i schowała w niej twarz, zawstydzona, że przyłapał ją w takim stanie.

– Coś mi się zdaje, że to nie tylko zwykły smutek po śmierci wujka Olliego – zauważył.

Gwałtownie podniosła głowę znad chusteczki i spojrzała na niego. Piekły ją oczy. Skąd wiedział? Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że sporą część tego smutku stanowiły wyrzuty sumienia, a w altance było ich bardzo dużo – czuła się winna, że tak strasznie potraktowała wujka Olliego i winna, że nie dotrzymała obietnicy matce. Tamtego ranka oznajmiła jej, że

zostaje w Howbutker.

„Nie wiem, czy będę w stanie ci to wybaczyć, Rachel”.

„Mamo, proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć. Ciocia Mary jest teraz zupełnie sama. Potrzebuje mnie tutaj”.

„I obydwie wiemy po co, prawda?”

„Mamo, wszystko będzie dobrze”.

„Nie, Rachel, nie będzie. Już nigdy nie będzie dobrze”.

Matt, z obojętnym wyrazem twarzy, usiadł przy niej na huśtawce.

– Czy cały ten ból nie wiąże się aby z wykluczeniem DuMontów ze swojego kalendarza na całe trzy lata? Przecież oni cały rok czekali na te twoje wizyty, wiesz, a ty ich, ot tak, zostawiłaś na lodzie. Złamałaś im serce, szczególnie panu Olliemu. On cię uwielbiał.

Zaskoczona otworzyła ze zdumienia buzię, wciągając mocno powietrze, z oczu znów pociekły łzy.

– Och, Matt, ja nie miałam wyboru!

I ku swojemu zdumieniu – bo nie mogła znieść, żeby się na nią złościł – wyplakała mu całą swoją historię. Odkryła wszystkie rodzinne sekrety, które doprowadziły ją do tego przyrzeczenia złożonego matce. Opisała cały swój ból z powodu braku kontaktu z ciocią Mary i wujkiem Olliem, z powodu utraty ogródka i marzenia o byciu farmerem. A teraz jeszcze umarł wujek Ollie, nie wiedząc nawet, jak bardzo go kochała.

I gdy tak szlochała, w którymś momencie położyła mu głowę na ramieniu, a on ją objął, chusteczka zaś przemokła wraz z klapą jego granatowej marynarki.

Kiedy w końcu płacz przeszedł w czkawkę, Matt powiedział:

– Twój wujek Ollie był bardzo mądrym i wyrozumiałym człowiekiem. Założę się, że dokładnie w tej chwili siedzi sobie na progu słodkiej przyszłości i mówi do siebie: „*Mon Dieu!* Wiedziałem, że tylko coś takiego mogło utrzymać naszą Rachel z dala od nas”.

Rachel spojrzała na niego przejmującym wzrokiem.

– Tak myślisz?

– Mógłbym się założyć.

– Często wygrywasz zakłady?

– Prawie zawsze.

– Jak ci się to udaje?

– Obstawiam tylko pewniaki.

Rachel uśmiechnęła się do siebie na to wspomnienie i zamknęła puderniczkę. Następnego dnia Matt wyjechał do Oregonu, gdzie ich firma miała filię, ale zostawił ją z lżejszym sercem i z chusteczką, która teraz leżała w jej torebce. Od tamtego czasu, jak to ujął kiedyś wujek Ollie, ich pociągi się mijały. I teraz, gdy Matt o tym wspominał, rzeczywiście wyglądało to tak, jakby ktoś specjalnie dopilnował, by ich ścieżki przez dwanaście lat się nie skrzyżowały.

Zastanawiała się, czy po tak długim czasie wyda się jej równie atrakcyjny jak wtedy – czy urósł mu brzuch albo zaczynał łysieć. Z czasem jej zauroczenie minęło, a na swojej drodze spotkała innego mężczyznę, który sprawił, że zapomniała o Matcie Warwicku. On z kolei znalazł w Kalifornii jakąś piękność, z którą się zaręczył.

– Młoda dama z San Francisco – mówiła ciocia Mary. – Bardzo piękna, choć niezbyt odpowiednia dla Matta, gdyby ktoś mnie pytał o zdanie.

Małżeństwo jednak nie doszło do skutku, a jej partner też odleciał – i to dosłownie – z jej życia. Tym sposobem znaleźli się znów, oboje wolni, z powrotem w altance, można by powiedzieć.

Usłyszała dzwonek i serce jej skoczyło. Czym prędzej złapała torebkę oraz sukienkę cioci

w plastikowym worku z pralni, chcąc uprzedzić Sassie, zanim ta wyjrzy z kuchni i namówi Matta, żeby został na lunch u nich. W holu spojrzała w lustro i skrzywiła się. Nie udało się jej ukryć cieni pod oczami ani poprawić włosów, które zdradzały jej pospieszny wyjazd z Lubbock. Westchnęła. No cóż, musi wystarczyć to, co jest. Otworzyła drzwi.

Obydwoje równocześnie się uśmiechnęli.

– No proszę, patrzcie tylko – powiedział Matt.

– Proszę, nie. Umiem lepiej o siebie zadbać – naprawdę.

– Nie rób tego ze względu na mnie – odparł. – Bo mógłbym tego nie znieść.

Jej uśmiech był teraz szerszy.

– Jesteś taki sam, jak cię zapamiętałam, Matcie Warwicku.

– Mam nadzieję, że to dobrze?

– Wspaniale.

Roześmiał się i podał jej rękę, by wyciągnąć ją na werandę.

– Po drodze minąłem brygadę z zapasami – udawała się w tę stronę. Może wyjdziemy, zanim cię dopadną?

– Koniecznie – powiedziała, i trzymając się za ręce, jak konspiratorzy zbiegli ze schodów do range rovera z napisem WARWICK INDUSTRIES na drzwiach. Kiedy już ruszyli, Rachel usiadła wygodnie, głośno westchnęła i poczuła, że opuszcza ją całe napięcie.

– Długa noc, co? – zagadnął Matt.

– Jedna z najdłuższych w moim życiu. Jak się czuje twój dziadek?

– Trudno powiedzieć. To najtwardszy człowiek, jakiego znam – nawet w wieku dziewięćdziesięciu lat – ale śmierć Mary może go załamać.

– Tego się obawiałam. Byli bardzo bliskimi przyjaciółmi.

– O, byli czymś znacznie więcej – stwierdził Matt.

– Co masz na myśli?

– Opowiem ci o tym przy lunchu, a tak przy okazji – gapisz się na mnie. To nie fair, bo ja muszę uważać na drogę.

Zaczerwieniła się. Okazało się, że jest jeszcze bardziej atrakcyjny, niż pamiętała – wygładzony na wysoki połysk – jak mocne, solidne drewno. Spodobały się jej przedwcześnie srebrne nitki na jego skroniach.

– Wiesz Matt, jestem ciekawa – nie, raczej zdumiona – jak udało ci się przez tak długi czas uniknąć sideł jakiejś przebiegłej kobiety.

Zachichotał.

– Ty pierwsza. Słyszałem coś o pilocie, tak?

– Tak. Stacjonował w bazie lotniczej Reese w pobliżu Lubbock. Poznaliśmy się na drodze, kiedy pewnego razu skończyła mi się benzyna.

Matt uniósł brwi.

– Benzyna? Takiej rozsądnej dziewczynie jak ty?

– Ktoś mi ją całą wypompował z baku. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wspaniale wygląda oficer lotnictwa armii Stanów Zjednoczonych w oczach dziewczyny, która stoi samotnie na długiej pustej drodze o dziesiątej w nocy.

– A cóż ty robiłaś na tej pustej drodze? A właściwie – co on tam porabiał?

– Ja wracałam z farmy. Mieliśmy za sobą długi dzień zbierania bawełny. Nawet nie spojrzałam na wskaźnik paliwa. On po prostu chciał pojeździć bez celu. Tego dnia jeden z kolegów z eskadry zginął na misji szkoleniowej. Zawiózł mnie na stację, kupiłam dwudziestolitrowy kanister benzyny i odwiózł mnie z powrotem do mojego auta.

– A potem pojechał za tobą do domu.

Rachel pokiwała głową.

– Pojechał za mną – powiedziała, bawiąc się chusteczką. – Ale nie wyszło nam. Mamy inne powołania. Moim żywiołem jest ziemia, jego – powietrze. Teraz twoja kolej. Pamiętam, że jakaś piękność z San Francisco miała zawieść cię przed ołtarz.

– Jeszcze jeden przypadek różnic nie do pogodzenia.

– O!

Jego bezbarwny głos zniechęcał do dalszych pytań. Zastanawiała się, czy nadal nosi w sercu dziewczynę, której nie poślubił. Różnice musiały być dla niej znaczące, skoro puściła kogoś takiego jak Matt.

– A właśnie, oto twoja chusteczka.

– Zatrzymaj ją. Możesz jej potrzebować, zanim to wszystko się skończy.

Pojechali do restauracji na autostradzie międzystanowej w pobliżu Holiday Inn. Matt wyjaśnił jej, że to jedyne miejsce, gdzie mogą spokojnie porozmawiać.

– W innym przypadku – tłumaczył – każdy jeden człowiek i każdy jego kuzyn choćby w dziesiątej linii będzie podchodził i składał kondolencje.

– Urok życia w małym miasteczku – skomentowała Rachel – Ale przyznaję, że to właśnie w nich lubię... uczucie, że wszyscy dzielą wspólne gniazdo. Cieszysz się, że wróciłeś?

Słyszała, że Percy ustąpił ze stanowiska i jego wnuk przejął obowiązki prezesa firmy. Matt czytał menu.

– Chyba mogę powiedzieć, że w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek.

Rachel znów poczuła ciepło na policzkach i coś w środku, czego nie czuła już od długiego czasu.

– Czy moglibyśmy porozmawiać chwilę, zanim zamówimy? – zaproponowała.

Matt natychmiast odłożył kartę.

– Na razie poprosimy tylko kawę – złożył zamówienie u kelnerki.

Kiedy tamta odeszła, Rachel zapytała:

– No dobra, mów. Dlaczego twierdzisz, że ciocia Mary i twój dziadek byli więcej niż przyjaciółmi?

– To może cię zaskoczyć – powiedział i opisał Rachel tę chwilę na ulicy, gdy Mary wzięła go za Percy'ego.

– Miała w głosie taką tęsknotę i sposób, w jaki wyciągnęła do mnie ramiona – zakończył.

– Nie mogłem na to patrzeć.

– I naprawdę powiedziała „Percy, kochany”?

– To jej dokładne słowa. A kiedy powiedziałem o tym dziadkowi, przyznał, że on czuje do niej to samo i że kochał ją od dnia jej narodzin.

Rachel oszołomiona wyprostowała się na krześle. Nigdy nie podejrzewała romantycznych uczuć między ciocią Mary a Percym.

– Więc dlaczego, do licha, się nie pobrali się? Co się stało?

Matt uniósł do ust kubek z kawą – żeby mieć czas zastanowić się nad sformułowaniem odpowiedzi, pomyślała Rachel. Kiedy się napił, powoli odstawił kubek.

– Somerset się stała, tak powiedział dziadek.

Coś jej się przypomniało. Siedziała z ciocią w domu Ledbettera i kończyła opowiadać jej o swoim druzgocącym rozstaniu ze Steve'em Scarboroughem. Miała dwadzieścia pięć lat. Ciocia Mary słuchała w całkowitym spokoju, zielone oczy miała zamglone. W końcu przemówiła: „Myślę, Rachel, że być może popełniasz błąd i któregoś dnia gorzko tego pożałujesz. Żadne przywiązanie do rzeczy, choćby najsilniejsze, nie jest warte poświęcenia ukochanego mężczyzny”.

Rachel nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Spodziewała się, że ciocia przykłaśnie jej decyzji. Steve nie zgadzał się na nic wspólnego z rolnictwem. Wychował się w rodzinie farmera z Kansas, który uprawiał pszenicę, i aż nadto dobrze poznał tę niewdzięczną pracę i wymagania ziemi. Ale cóż mogła wiedzieć o tym ciocia Mary? Zawsze miała wsparcie wujka Olliego dla swojej miłości i oddania dla ziemi i nazwiska. Nigdy nie musiała wybierać między swoim powołaniem a człowiekiem, którego kochała. Plecy jej zeszywniały. „Ciociu Mary, w stawie jest jeszcze wiele ryb, a między nimi taka, która zrozumie, że moje przywiązanie i ja to jedno – że jestem tym, co robię”. Uśmiechnęła się lekko. „Może będę miała szczęście i spotkam jakiegoś Olliego DuMonta”.

„Ale bardzo możliwe, że już nie drugiego Steve’a Scarborougha”.

– Rachel? – powiedział Matt.

Rachel zamrużyła powiekami i wróciła do teraźniejszości.

– Czy... czy dziadek wyjaśnił, o co mu chodziło?

– Nic więcej nie mogłem z niego wyciągnąć, ale mam wrażenie, że znów chodzi o te różnice nie do pogodzenia. Gdzieś po drodze babcia dowiedziała się o nich i chyba dlatego mieszkają osobno i babcia nie cierpi Mary.

Tymczasem wróciła kelnerka, by przyjąć ich zamówienie i stanęła przy stoliku z ołówkiem w pogotowiu i uniesioną pytająco brwią zwróconą ku Rachel, która siedziała w milczeniu i pustym wzrokiem spoglądała przed siebie.

– Weźmiemy dwa razy danie dnia – Matt zamówił za nich oboje, a gdy kelnerka znów odeszła, zakrył ręką jej dłoń. – Wiem, że jesteś zaskoczona, Rachel, ale Mary wyszła za dobrego człowieka. Nikt nie kochałby jej bardziej, nawet dziadek.

– Zawsze wydawała się z nim taka szczęśliwa – odpowiedziała powoli.

– Była zadowolona. A to różnica. Czy ty i twoja mama pogodziłyście się?

To pytanie wyrwało ją z zadumy.

– Nie – powiedziała miło zaskoczona. – Więc pamiętasz, co powiedziałam ci wtedy w altanie?

– Prawie każde wyszlochane słowo i przykro mi, że nic się nie zmieniło. Sprawdźmy, czy pamiętam, jak to było. Wbrew życzeniu swojej matki – i rozwiewając jej nadzieje na zapis w testamencie dla ojca – postanowiłaś studiować... agronomię, tak? Od tego czasu uczysz się uprawiać bawełnę u boku Mary.

– Właśnie tak – odparła. Pochlebiali jej, że śledził jej losy. – Kiedy już się tu znalazłam, nie umiałam się sprzeciwić swojemu przeznaczeniu.

– Czy kiedykolwiek żartowałaś?

– No jasne, ale żałowałabym jeszcze bardziej, gdybym tego nie zrobiła.

– Jesteś pewna?

– Jestem.

Z podziwem pokręcił głową.

– Masz szczęście, że jesteś tak pewna.

– Ale tylko tego. Dlaczego się śmiejesz?

Podniósł filiżankę.

– Coś mi się przypomniało. Coś, co całkiem niedawno ktoś powiedział mi o spadających jabłkach.

W zakładzie pogrzebowym obecność Matta była jak rzeński wiatr popychający ją do przodu. Trudny moment nadszedł, gdy po raz pierwszy spojrzała na zmarłą ciocię. Leżała pod prześcieradłem, jej twarz jak zastygła maska zimnej, starożytnej piękności, ciemne rzęsy i włosy kontrastowały z bladą skórą, toliwerowy dołek w brodzie wydał się jej taki surowy.

– Chyba... jeszcze nic z nią nie robiliście? – zapytał Matt właściciela zakładu, obejmując mocno talię Rachel.

– Czekaliśmy na sukienkę – odparł mężczyzna.

Później, w dalszych rozmowach w zakładzie i w kwiaciarni oraz na spotkaniu z pastorem spokój Matta i jego łagodny głos prowadził ją przez emocjonalne przeszkody, kiedy wybierała trumnę, kwiaty i ustalała porządek nabożeństwa. W końcu zakończyli misję, i wtedy Matt zapytał:

– Dokąd teraz?

Siedzieli w samochodzie na parkingu przed kościołem. Jego ręka spoczywała na oparciu jej fotela, Rachel czuła, że powstrzymuje się przed dotknięciem jej włosów.

– Musisz być okropnie zmęczona. Zawieźć cię do domu?

W jego troskliwym głosie usłyszała wyraźną niechęć, by to zrobić.

– Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Czwarta.

– No to mam jeszcze trochę czasu.

– W takim razie dokąd mogę cię zabrać?

– Zawiózłbyś mnie do Somerset?

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Po powrocie do Warwick Hall Matt z ulgą stwierdził, że dziadek siedzi w bibliotece, wypoczęty i w nienagannej, jedwabnej koszuli w kolorze kości słoniowej oraz spodniach z ostrym kantem. Mieszał przy barku whisky z wodą.

– Masz ochotę? – zapytał, gdy wnuk wszedł pewnym krokiem.

– Nie, dzięki, i tak czuję się, jakbym był wstawiony.

Percy obrzucił go spojrzeniem dyrektora szkoły.

– A niech mnie – powiedział i wziął jeszcze jedną szklankę. – Tego się obawiałem.

Zadurzyłeś się w Rachel Toliver. Sassie mówiła, że pojechaliście razem, gdy dzwoniła z zaproszeniem na kolację.

– To znacznie więcej niż zadurzenie, dziadku. Nie czułem się tak od... właściwie nigdy się tak czułem.

Nawet z Cecile, dodał w myślach. Rozstał się z Rachel pięć minut temu i już za nią tęsknił. Podwiózł ją pod dom Toliverów, a kiedy otworzyła drzwi, poczuł w sercu bolesną stratę. Patrzył, jak wchodzi po schodach, i serce mu pękało, jakby nagle mogła zniknąć na jego oczach. Na werandzie odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

– Do zobaczenia niedługo – powiedziała, a on ni z tego, ni z owego pomyślał – i przez resztę mojego życia, mam nadzieję.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – mówił do dziadka, siadając w jednym z klubowych foteli stojących przed masywnym kominkiem. – Sam tego nie rozumiem, ale nie muszę. Wystarczy, że umiem to rozpoznać. Czuję się, jakbyśmy się znali całe życie i czekali tylko na odpowiedni moment, żeby się spotkać.

Percy podał mu drinka.

– Jesteś pewien, że to nie zauroczenie? Wiedziałeś, że jest piękna, i w pewnym sensie rzeczywiście znacie się całe życie.

– Dziadku, nie obrażaj mojego doświadczenia życiowego. Przeżyłem już to i owo i potrafię odróżnić zauroczenie od prawdziwego uczucia.

– Uważasz, że ona czuje to samo?

– Chyba że wyszedłem z wprawy i nie umiem już czytać sygnałów.

Cofnął się o godzinę, kiedy stali na werandzie domu Ledbettera, patrząc na obiecujące pola Somerset. Rośliny miały kwiaty – kwiaty dyni piżmowej, mówiła Rachel, od niej wszystko się zaczęło. Widział, jak zmęczenie i smutek na jej twarzy ustępują miejsca spokojnej radości, jakby wyszła z cienia i stanęła w promieniach słońca... Ewa patrzy na rajski ogród. Stanął za nią, żeby oglądać ten widok ponad jej głową i przez jedną surrealistyczną chwilę czuł się jak Adam, i byli jedynymi ludźmi na świecie.

– Pięknie tu – powiedział. – Rozumiem, dlaczego to kochasz.

– Naprawdę? – odwróciła się do niego z błyskiem przyjemnego zaskoczenia w oczach. I to naprawdę pięknych oczach, odbijających zieleń umiłowanej ziemi. – Miło mi to słyszeć.

Teraz, widząc sceptyczny wzrok dziadka, zapytał.

– Skąd te obiekcje, dziadku? Czy dlatego, że tobie i Mary się nie udało?

Percy usiadł w fotelu obok i powiedział cicho:

– Dlatego, synku, że Rachel jest jedną z Toliverów.

– I co to dokładnie znaczy?

– To znaczy, że ma tendencję, by na pierwszym miejscu stawiać ziemię, przed mężem, domem i rodziną.

– Czy to właśnie rozdzieliło was z Mary? O to chodziło, gdy mówiłeś, że „stała się Somerset”? Somerset była ważniejsza od ciebie?

– Tak by to można podsumować. Kiedy zorientowaliśmy się w końcu, jacy jesteśmy głupi, było już za późno. Nie zrozum mnie źle, ja naprawdę lubię Rachel. Niczego bardziej nie pragnę niż zobaczyć, jak kończycie to, co my zaczęliśmy, ale ona wydaje się zmierzać w tym samym kierunku co Mary.

– A dlaczego to jest takie złe?

– Ponieważ podejmuje życiowe decyzje oddana tradycji Toliverów.

– Masz na myśli tego pilota, którego odrzuciła, bo nie potrafiła rzucić wszystkiego, co kocha, żeby być z nim, tak? – Matt słyszał, jak w obronie Rachel głos mu twardnieje. – Podjęła właściwą decyzję, niezależnie od tego jak bardzo jej na nim zależało. Rachel wie, że nie potrafi być szczęśliwa nigdzie poza Howbutker, gdzie są jej korzenie, i musi robić to, co robi najlepiej, tak jak wiedzieliśmy to Cecile i ja.

Wzrok Percy’ego nadal pełen był powątpiewania.

– I tego wszystkiego dowiedziałeś się w jedno popołudnie?

– Zawsze to wiedziałem o Rachel.

Percy uniósł brwi ponad krawędzią swojej szklanki, ale nie kontynuował tematu.

– No cóż, jestem pewien, że Mary może spoczywać w pokoju, wiedząc, że zostawiła Somerset i Toliver Farms w rękach Rachel. Będzie je kompetentnie prowadziła dla Williama, a potem, po jego śmierci odziedziczy rodzinny interes. Mary nie mogłaby sobie życzyć bardziej satysfakcjonującego zakończenia spraw.

– Ale, dziadku, to nie będzie tak.

Percy opuścił dłoń ze szklanką.

– Jak to?

– No nie. To Rachel odziedziczy rodzinny interes już teraz, nie William.

Percy się wyprostował.

– Skąd wiesz?

Matta zdziwił jego ostry ton.

– Bo do tego Mary przygotowywała Rachel, by przejęła po niej stery. Gdyby plantację odziedziczył William, od razu sprzedałby ją w całości, tak jak jest. Już jego żona by tego dopilnowała. To dopiero musi być egzemplarz, ta kobieta.

I Matt zrelacjonował Percy’emu całą historię, którą Mary opowiedziała mu w altanie, coraz bardziej się denerwując, gdy widział powiększający się wciąż mars na czole dziadka.

– Nie rozumiesz, dziadku? Jak Rachel mogła dokonać innego wyboru, niezależnie od tego, co przyrzekła matce, gdy miała piętnaście lat? Jak mogłaby wybrać bycie kimś innym niż jest w rzeczywistości?

– No tak – wymamrotał Percy.

Coraz bardziej sfrustrowany Matt kontynuował:

– A kiedy Rachel wróciła, udowadniając, że płynie w niej krew Mary, jak tamta mogła zapisać holdingi Williamowi, skoro wiedziała, że jego żona natychmiast wystawi je sprzedaż?

– Bo taka była umowa! – warknął Percy i natychmiast zrobił minę, jakby żałował, że nie ugryzł się w język. Matt widział, że próbuje znaleźć w głowie jakieś wytłumaczenie na jego użytek. Dobry Boże. Czego on znowu nie chce mu powiedzieć?

– Jaka umowa?

– Po prostu, kiedy ludzie z mojego pokolenia składali obietnicę, to była ona święta jak umowa. Zobowiązywała. Mary obiecała, że ziemia przypadnie Williamowi. I oczekiwałbym, że dotrzyma danego słowa.

Matt dałby głowę, że to nie był prawdziwy powód jego wzburzenia.

– W każdym razie, niezależnie od tego jak spojrzysz na sytuację, to smutne, że Rachel straciła w ten sposób matkę. W pewnym sensie współczuję Alice, bo wyobrażam sobie, jak ona się czuje. Ojciec wolał jej brata i zostawił ją po śmierci z niczym, dokładnie jak ojciec Mary pozbawił spadku ojca Williama, zostawiając wszystko córce. Rachel uważa, że gdyby nie to, Alice nie miałyby do niej takiego żalu za wierność rodzinnej tradycji. Jej zdaniem Toliverowie z Kermit absolutnie nic nie są winni tym z Howbutker. I to jest sedno tego konfliktu – Matt przerwał zaniepokojony. Dziadek wyglądał, jakby zza krzesła wyskoczył upiór. – Dziadku, dobrze się czujesz? Jesteś blady jak ta koszula.

Percy napił się szybko whisky.

– Nic mi nie jest – powiedział i spojrzął na zegarek. – Masz zamiar zasiąść przy stole Sassie w tym stroju? Zostało nam do wyjścia dwadzieścia minut.

Matt wstał z fotela. Dziadek nie mówi mu wszystkiego. Znów słyszał ten chrobot w zamkniętej w szafie.

– Idę, ale powiem ci, dziadku, że jeśli ukrywasz coś, co ma mnie odstraszyć od Rachel, to lepiej powiedz mi to, póki jest jeszcze czas, albo zamilcz na zawsze. Bo będziesz mówił o dziewczynie, z którą mam nadzieję się ożenić.

Percy zwrócił do niego pobladłą twarz.

– Skoro tak czujesz, nie powstrzyma cię żadne ostrzeżenie, ale pozwól, że dam ci radę: nie spiesz się. Może i całe życie dużo o niej wiedziałeś, ale to nie znaczy, że ją znasz.

Matt postawił szklankę na barze.

– No cóż, ani ty, ani ja nigdzie się nie wybieramy, więc jest mnóstwo czasu, żeby się przekonać, że jest dziewczyną dla mnie. A to co czuję, nie zaczęło się dziś. Jak miałem pięć lat, widziałem ją w jej łóżeczku, pamiętasz? I mam też niezatarte wspomnienie czternastoletniej dziewczynki w białej sukience z zieloną szarfą.

Kiedy Matt pobiegł do góry, Percy osunął się w swoim fotelu. No tak, wet za wet, pomyślał. Od rewelacji Matta zrobiło mu się słabo. Więc ich dawny uczynek przez te wszystkie lata nie leżał sobie w spokoju, zapomniany. Czy Mary wiedziała, że jego widmo pojawiło się, by nękać rodzinę Williama Tolivera? Czy była świadoma prawdziwej przyczyny tarć między Alice a Rachel? Jeśli tak, jak mogłaby wyprowadzić ich z błędu bez wyznania winy... i jego udziału w przestępstwie? Przez cały ten czas – zgodnie z tym, co mówił Amos, który bardzo ubolewał nad brakiem porozumienia między Rachel a matką (Mary nigdy z nim o tym nie rozmawiała) – żył w przekonaniu, że kością niezgody była zazdrość Alice o to, że Mary „ukradła” jej córkę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Alice może zarzucać Rachel odebranie ojcu należnego mu spadku. Czy Mary złamała ich umowę? Gdy przyszło co do czego, wybrała jednak chwałę Toliverów. Więc William raz jeszcze miał zostać oszukany?

Zrobił głęboki wdech, żeby uspokoić nierówne bicie serca. No cóż, został mu tylko jeden okrucuch na pocieszenie. Kiedy i on umrze, nie będzie już żadnych dowodów na to, co zrobili, jedynie smutne konsekwencje. Ta przeklęta plantacja wciąż rzuca swój cień.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Rachel, stojąc na werandzie z Mattem u boku, machała na pożegnanie Percy'emu i Amosowi, którzy po wspólnej kolacji zacierali do granatowego cadillaca. Martwiła się o Amosa. Ewidentnie coś go gryzło, oczywiście poza śmiercią cioci Mary. Wyczuła to już w Lubbock, a potem na lotnisku, ale dziś wieczorem ostatecznie się upewniła. Przyłapała go na głębokiej zadumie, kiedy odpłynął myślami gdzieś bardzo daleko i wykrzywił usta w żalną podkówkę.

– O co chodzi, panie Amosie? – zapytała, gdy na moment zostali sami. – To nie tylko smutek po śmierci cioci. Widzę, że nie jest pan sobą, ale chyba powiedziałby mi pan, gdyby był chory, prawda?

Odpowiedział jej zaskoczony.

– Oczywiście, moje dziecko. Nie zwracaj sobie tym głowy. Jestem zdrow jak ryba. Ale wciąż jeszcze nie mogę wyjść z szoku.

Nie uwierzyła mu.

Matt odwrócił się do niej. Nie skorzystał z oferty Amosa, który i jemu proponował odwiezienie do domu, mówiąc, że pójdzie piechotą.

– Na mnie też czas – oznajmił. – Chciałem tylko przed wyjściem upewnić się, że wszystko w porządku.

– Ale... – zaprotestowała i bez namysłu położyła rękę na jego piersi.

Zamknął ją w swojej dłoni.

– Ale co?

– Pomyślałam, że... że skoro Amos odwiezie twojego dziadka, to zostaniesz jeszcze chwilę.

– W nocy prawie nie spałaś, dzień też nie należał do najkrótszych, a jutro czeka cię kolejny, prawdopodobnie jeszcze trudniejszy. Byłoby to z mojej strony bardzo samolubne.

– A może pozwolisz, bym ja to oceniła?

– Dla twojego własnego dobra nie zgadzam się – odparł, ale nie wykazywał najmniejszego zamiaru puszczenia jej dłoni.

Przez cały wieczór próbowali ignorować to, co działo się między nimi. Za każdym razem, gdy ich oczy się spotykały, albo gdy niechcący się dotknęli, przepływał między nimi strumień fizycznego napięcia. Obydwoje byli go świadomi, jak również tego, że to coś więcej niż pociąg seksualny. Czuli raczej, jakby stanowili dwie części jednej całości i właśnie się odnaleźli. Ale na połączenie tych części przyjdzie czas później. Jej serce jednak musiało już poznać odpowiedź na pewne pytanie. Zaczzerwieniła się i zapytała cicho:

– Ta dziewczyna, z którą niemal się ożeniłaś, czy ty... czy wciąż ci na niej zależy?

Odsunął się zaskoczony, a potem roześmiał, jakby sam pomysł, że coś jeszcze czuje do Cecile to absurd.

– Myślę o niej ciepło, ale Boże, nie – odpowiedział.

Rachel poczuła ulgę.

– Wydaje się, że jesteś tego pewien.

– Możesz mi zaufać, jestem. No dobrze, a co z twoim lotnikiem? Coś po nim zostało?

Zawahała się, nie odbierając mu swojej dłoni.

– Był... smutek, ale nie żałuję.

– Był?

Spojrzała mu w oczy.

– Aż do teraz.

Pocałował ją delikatnie w czoło.

– Nic już nie mów, bo będę musiał zostać.

Westchnęła. Rzeczywiście, była zmęczona, a jej ciało domagało się łóżka.

– Dobrze, ale spotkamy się jutro rano?

Zgodził się towarzyszyć jej, gdy ludzie przyjdą ostatni raz pożegnać ciocię Mary.

– Jutro rano – zapewnił ją i trzymał jej rękę tak długo, jak mógł. W końcu, gdy schodził po schodach, ich dłonie się rozdzieliły. Została na werandzie, aż jego sylwetka znikła w głębokim cieniu pod szpalerem drzew na Houston Avenue. Czuła w sobie głęboki spokój. Była dziewiąta. Jeśli do spędzonego dziś razem czasu doda te dziesięć minut rozmowy na jego osiemnastych urodzinach oraz godzinne spotkanie w altance, to razem będzie... około dwunastu godzin, policzyła. Jak to możliwe, żeby czuła, że resztę życia chce spędzić z człowiekiem, z którym spędziła zaledwie pół doby?

Matt szedł powoli, upajając się nowo odkrytymi uczuciami. Jeśli nie były to początki miłości, to wcale jej nie potrzebuje, myślał. Kiedyś kolega powiedział mu, że „jeśli kobieta, która nie jest twoją matką, zostaje na werandzie, by patrzeć, jak odchodzisz, to możesz być pewien, że czuje do ciebie coś więcej”. Roześmiał się. Kiedy odchodził, czuł na sobie jej wzrok i nie słyszał zamykania drzwi, nawet gdy skręcił już na chodnik. Wolałby zostać, opowiedzieć jej o Cecile i dlaczego się nie pobrali. Bóg im świadkiem, że uważali się za stworzonych dla siebie pod każdym względem oprócz tego jednego, który jest konieczny dla trwałego i szczęśliwego małżeństwa. Z tego braku zdali sobie sprawę, kiedy już byli zaręczeni i o włos nie popełniliby największego błędu swojego życia. Kiedy się poznali, on miał trzydzieści lat i pracował w San Francisco, znosząc jakoś luzackie życie singla, protesty związków zawodowych, wieczne korki na ulicach i słone, morskie powietrze, i czekając z upragnieniem na powrót do domu. Ona natomiast była Kalifornijką z krwi i kości, korzenie jej rodziny sięgały pierwszych osiedleńców nad zatoką. Żywiołem Cecile były słońce i fala, plaża i ocean. Kiedy prosił ją o rękę, wiedział o jej przywiązaniu do tego miejsca, tak jak ona miała świadomość, że Matt pewnego dnia wróci do Howbutker, by prowadzić Warwick Industries. Ale sądzili, że pokonają te geograficzne różnice. Ona zdążyła poznać jego rodzinę. Zabrał ją do Atlanty, gdzie charakter i dobre maniery spotkały się z dużą dawką ikry i tupetu, a potem do Howbutker, by poznała dziadka, Mary i Amosa, zobaczyła Warwick Hall oraz senne małe miasteczko we wschodnim Teksasie, które ostatecznie stanie się jej domem. Ludzie i miejsce spełniły jej oczekiwania, natomiast zupełnie zaskoczył ją fakt, że nie potrafiła ich zaakceptować, o czym Matt nie wiedział.

Kiedy zbliżał się czas wysyłania zaproszeń na ślub, czuł, że Cecile się wycofuje.

– Co się stało? Naszły cię wątpliwości? – pytał żartobliwie pewnej nocy, gdy księżyc oświetlał złote pasma jej włosów.

– Nie, Matt – mówiła słabym głosem, w którym słyszał wstrzymywane łzy. – Nie co do ciebie. Jak mogłabym mieć wątpliwości w stosunku do mężczyzny takiego jak ty?

Serce mu zamarło.

– Ale masz wątpliwości? O co chodzi?

– O nas... razem w Howbutker – jej twarz wykrzywiła się w niemej prośbie. – Matt, błagam, zrozum mnie. Ja szanuję twój dom. Tylko, że... teraz, kiedy zbliża się ten czas i mam zostawić rodzinę, przyjaciół, dom, miejsce, które kocham bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi, żeby – żeby zamieszkać w Howbutker... ja... tam jest tak inaczej niż tutaj, tak prowincjonalnie! Warwick Hall jest taki dostojny! I nasze dzieci, będą miały takie ograniczone życie. Zastanawiałam się... czy nie mógłbyś przenieść siedziby firmy tutaj – do San Francisco?

Czuł się, jakby dostał prosto w brzuch.

– Nie, Cecile – powiedział, zdając sobie sprawę, że żyła tą nadzieją już od jakiegoś czasu.
– Nawet nie mam się co zastanawiać.

Przynajmniej nie zegrali w „gdybyś mnie kochał”, gdy myśleli o tym, jak utrzymają małżeństwo, jeśli jedno z nich będzie się czuło jak ryba wyjęta z wody. Oboje wiedzieli, że miłość nie jest tu przeszkodą. Ostatecznie kochała go na tyle mocno, by pozwolić mu odejść.

– Byłbyś tutaj nieszczęśliwy, Matt. Możesz się przystosować na jakiś czas, ale nigdy się nie zaaklimatyzujesz.

A on kochał ją zbyt mocno, by zabierać tak daleko od czułych rodziców, braci, siostr i całego klanu kuzynów i kuzynek, których uwielbiała, od słonecznego rodzinnego domu z widokiem na Pacyfik, który wypełniała morska bryza, poruszając firankami jak żaglem.

I tak się rozstali. Od tamtego czasu żadnej kobiecie nie udało się wzbudzić w nim nic więcej ponad krótkie zainteresowanie. Aż znów zobaczył Rachel. W chwili gdy otworzyła mu drzwi, a on ujrzał jej dobrze zapamiętaną twarz, od razu poczuł nierozzerwalną więź, błysk rozpoznania, jakby natknął się na pamiątkę, którą gdzieś odłożył i zapomniał o niej aż do teraz. To było niesamowite uczucie, głębsze i dające pewność, jakiej nie miał nawet w przypadku Cecile, a wraz z upływem dnia uczucie to tylko się wzmacniało. Czuł, że ich korzenie się przeplatają. Łączyły ich te same zainteresowania, kultura, miłość do miasta i ludzi. Nie poróżni ich styl życia, pochodzenie, ani geografia. To na tę kobietę czekała jego dusza.

Dziadek może być spokojny. W końcu są lata osiemdziesiąte. Mężczyźni nie byli już tak dumni jak za jego czasów. Wspierali kariery swoich żon, dzielili obowiązki domowe i wychowanie dzieci. Nikt nie musiał być najważniejszy. Rzecz w tym, by być razem. Rachel może i jest Toliverem, i nawet oddanym swojemu dziedzictwu tak jak jej ciotka, ale co z tego? Gdyby jego ktoś pytał o zdanie, to jeśli uczucie między nimi przetrwa – a nie miał co do tego żadnych wątpliwości – Rachel może sobie uprawiać bawełnę i dynie piżmowe, a on będzie się zajmował drewnem – doskonała para.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Następne trzy dni były pochmurne i duszne. Piątkowe słońce, które skrzyło się na polach bawełny i odbijało ostrym blaskiem od białych kolumn na werandzie, pozostało schowane w mauzoleum szarych chmur, które Rachel miała zapamiętać jako zwiastun złych wieści. Obok trumny cioci przewinęły się tłumy. Niewielu z gości, zgodnie z miejscowym zwyczajem, nie przylgnęło wilgotnym od upału policzkiem do jej twarzy, jednocześnie w szczerym uścisku grożąc jej wyrwaniem dłoni lub zmiążdżeniem klatki piersiowej. Oprócz wyraźnego obrazu trwającego przy niej Matta, który przedstawiał wszystkich i pilnował, by kolejka się posuwała, pamiętała niewiele. Już pod koniec porannych wizyt czuła się zwiotczała i wykręcona jak prześcieradła jej mamy, zawsze prane ręcznie.

– Obawiam się, że wieczorem będzie gorzej – ostrzegał Matt, kiedy wracali na Houston Avenue. – Rano byli ludzie z naszego hrabstwa, a wieczorem zjedzie się szarańcza z całego stanu. Zatrzymali się w motelach stąd aż po Dallas. Ale musisz jakoś przetrzymać. W poniedziałek będzie po wszystkim i wtedy możesz zabrać się za swoje sprawy... a my możemy zająć się sobą – powiedział i objął ją ramieniem. – Zgadzasz się?

– Brzmi niebiańsko.

Kiedy zajechali przed dom, zobaczyli zaparkowany samochód ojca, jeden z wcześniejszych modeli dodge'a, utrzymany w świetnym stanie dzięki zdolnościom jego syna. Wchodząc do domu, usłyszała w kuchni jego głos – akcent z zachodniego Teksasu, ale z delikatną domieszką francuskiego, którego nigdy do końca się nie pozbył. Poszła tam czym prędzej, ale przed wahadłowymi drzwiami zatrzymała się jeszcze na moment, żeby zebrać siły na to spotkanie.

– Czy Lucy Warwick przyjeżdża na pogrzeb? – pytał ojciec. – Chętnie bym się z nią zobaczył. Naprawdę lubiłem ją jako dziecko.

– A jużci, że nie, to by dopiero było! – zawołała Sassie. – Ona i pani Mary nie kochały się zbyt przez caluśkie czterdzieści lat. Pewnikiem pani Lucy jest dumna, że przeżyła panią Mary. To pierwsza rzecz, w której ją prześcigła.

– Hm, Sassie, no cóż, musimy chyba się cieszyć takimi zwycięstwami, jakie przypadają nam w udziale – odparł William.

Rachel zachichotała i pchnęła drzwi.

– Witajcie – pozdrowiła wszystkich.

Członkowie jej rodziny podnieśli głowy nad stołem, przy którym raczyli się obfитоścią jedzenia przyniesionego przez bliższych i dalszych znajomych, zgodnie z tradycją, do domu zmarłego. Rachel przeżyła rozdzierający serce moment, gdy zauważyła, jak rodzice postarzel się od świąt Bożego Narodzenia, kiedy widziała ich ostatnio. Wiek średni widać było w siwych włosach i pochyleniu ramion ojca, a także w coraz szerszej talii mamy i w nowych zmarszczkach wokół jej oczu.

– No proszę, kogo my tu mamy – zawołał William, odsuwając krzesło. – Jak się czuje mój króliczek?

– Lepiej, teraz kiedy już tu jesteście – odparła Rachel.

Ciepłe powitanie i widok całej rodziny razem przełamały jej wewnętrzny opór.

– I w ten sposób nam to okazujesz? Płaczesz? – zapytała mama, ale uśmiechnęła się przy tym lekko i też wstała, by przytulić ją razem z ojcem.

– Zróbcie miejsce dla mnie – domagał się Jimmy z ustami wypchanymi kanapką z szynką, którą odłożył na bok, by dołączyć do reszty. I tak przez kilka minut stali razem,

z wilgotnymi oczami wymieniając uściski i pocałunki, a potem rozdzielili się i usiedli znów za stołem. Przez następne pół godziny Rachel czuła się tak, jakby wrócili do kuchni w Kermit jeszcze w czasach, kiedy Houston Avenue była tylko zwykłą ulicą, na którą tata wysyłał swoją coroczną świąteczną kartkę z okazji Bożego Narodzenia. Wszyscy zaczęli mówić i jeść jednocześnie, dzieląc się z nią ploteczkami i nowinkami z hrabstwa Winkler, podając sobie nawzajem talerze z szynką i serem i smarując kanapki musztardą i majonezem. I wtedy nagle, jakby do pokoju wpadła bomba i natychmiast wybuchła, Alice wypaliła, niszcząc swojski, domowy nastrój:

– No, Rachel – zaczęła – powiedz nam, jak to jest sprzątnąć tatusiowi spadek prosto sprzed nosa?

Stojąca przy piecu Sassie rzuciła przez ramię zaskoczone spojrzenie, a Henry, który akurat zrobił sobie przerwę na kawę, aż odepchnął się od drzwi spiżarni. Jimmy jęknął, William zaś odezwał się ostro:

– Alice, na Boga!

Rachel poczuła, jak radość z rodzinnego spotkania ulatnia się w jednym momencie, ucieka jak powietrze z przekłutego balonika.

– Mamo, jak możesz mówić takie rzeczy w takiej chwili? – zapytała cicho z urazą w głosie.

– Pytam tylko z ciekawości.

– Alice... – ostrzegął William.

– Nie upominaj mnie, Williamie Toliverze. Nigdy nie kryję się z tym, co czuję, i Rachel to wie.

Rachel wstała.

– Henry, pokazałeś rodzicom i Jimmy’emu pokoje?

– Tak, panno Rachel, bagaże są na górze.

Nagle rozległo dzwonienie dzwonka, które w napiętej atmosferze zabrzmiało jak wyjąca syrena. Henry szybko odstawił kubek.

– Dzwonek – powiedział tonem, który wskazywał, że bardzo chętnie opuści kuchnię.

– Znów goście. Otworzę, panno Rachel, dobrze?

– Dziękuję, Henry. Wprowadź ich do salonu, zaraz tam przyjdę.

Po czym odwróciła się do rodziny – nadal siedzieli przy stole, ojciec i Jimmy miny mieli nietęgą, matka nieporuszona patrzyła wojowniczo.

– Przyszli złożyć kondolencje. Może chcielibyście pójść na górę, zanim was tutaj dopadną?

– A co? Wstydzisz się nas? – zapytała Alice.

Jimmy znów jęknął, William westchnął zirytowany. Zawiedziona Rachel odpowiedziała tonem tak spokojnym, na jaki tylko mogła się zdobyć.

– Sądziłam, że będziesz wołała uniknąć przyjmowania od obcych ci ludzi kondolencji z powodu śmierci kobiety, której tak nie lubiłaś.

– Alice, Rachel ma rację – stwierdził William, wyjmując zza koszuli serwetkę. – Nie mam zamiaru tu tkwić nie wiadomo jak długo. Nie jesteśmy też odpowiednio ubrani, a ja chcę się jeszcze zdrzemnąć, zanim pójdziemy do zakładu pogrzebowego.

Jimmy gramolił się zza stołu, cały przeprasający. Miał dwadzieścia jeden lat, był wysoki i chudy jak tyczka. Rude włosy odziedziczył po matce, ale skąd wzięła się piegowata twarz marionetki Howdy Doody, nikt nie miał pojęcia.

– Przykro mi, siostrzyczko, że ciocia Mary zmarła – powiedział. – Wiem, że bardzo ją kochałaś i że będzie ci jej brakowało. Była miłą, starszą panią. Szkoda, że odeszła.

Słodki, prostolinijny Jimmy. Ponieważ nie czuł się uprawniony do niczego, na co sam nie zapracował, nigdy nie rozumiał tych tarć, które rozdzieliły ją z rodziną. Z czułością rozczochrała mu włosy.

– Dzięki, Jimmy, doceniam to. Chciałbyś coś porobić w czasie, gdy rodzice odpoczywają?

– Jak ci to nie przeszkadza, poszedłbym zobaczyć limuzynę. Chyba jest tu jeszcze, co?

Rachel otworzyła szufladę i rzuciła mu kluczyki.

– Trzymaj. Jak chcesz, to możesz się przejechać.

Znów odezwał się dzwonek.

– Zmykam stąd! – oznajmił Jimmy i pobrzękując kluczykami, poszedł do drzwi.

Alice stanęła przed córką.

– Którymi schodami mamy iść na górę, tymi dla służby czy głównymi?

Rachel spojrzała matce w oczy. Wciąż ubierała się, malowała i czesała zgodnie z modą lat powojennych, czyli z czasów gdy była najładniejsza, ale dziś niewiele w niej pozostało z tej beztrudnej kobiety, zabierając Rachel na plac zabaw, sadzała na huśtawce, wkładała do wazonu zerwane przez córkę polne kwiaty, które więdły zanim doniosła je do domu, czytała jej wieczorem i uczyła pływać. Lata pielęgnowanej urazy – za którą Rachel brała na siebie całą winę – ograbiły ją z dawnej żywotności. Gdyby tylko ojciec zgodził się uczestniczyć w zyskach z jej spadku, mógłby się zwolnić choćby i jutro i cieszyć emeryturą. I tego właśnie chciała matka. Ale duma ojca, jedyna cecha, jaką odziedziczył po Toliverach, nie pozwalała mu na to – podobnie jak jej własna krew Toliverów nie pozwoliła na to poświęcenie, które mogło uratować miłość jej matki.

– Tymi, którymi jest wam wygodniej, mamó – powiedziała, wychodząc z kuchni, by przywitać gości.

Napięcie pozostało między nimi przez resztę szarych, dusznych i wyczerpujących dni. Rozjaśniała je jedynie stała pomoc i wsparcie Matta. Wieczorem w przededniu pogrzebu powiedział do niej:

– Chciałbym cię zabrać w pewne miejsce. Moglibyśmy tam spokojnie wypić drinka.

Masz ochotę?

Zmęczona i wyczerpana, niepewna, co przyniesie kolejny dzień, odparła:

– Prowadź.

Była to chata ukryta głęboko w lesie. Za osłoniętym tarasem na tyłach domu leżało jezioro. Przestronne pomieszczenie podzielone na części pachniało czystością i było schłodzone przez okienny klimatyzator i sufitowe wentylatory.

– Widzę, że mnie oczekiwałeś.

– Miałem nadzieję. Czego się napijesz? Białe wino?

– Chętnie – zgodziła się. Jej uwagę przykuł wiszący na ścianie stary indiański pióropusz.

– Masz eklektyczny gust.

– To nie moje. Dom zbudowali i umeblowali nasi dziadkowie i twój wujek Ollie, jeszcze gdy byli chłopcami. Ja jestem trzecim pokoleniem, które go używa, żeby się schować przed światem. Ale niewiele tu zmieniłem. I jeśli się nie mylę, ten pióropusz należał do Milesa Tolivera.

– Naprawdę? – Rachel dotknęła go z namaszczeniem. – Nigdy nie widziałam nic, co należało do dziadka. Chyba dlatego, że nic do niego nie należało – rzuciła mu spojrzenie przez ramię. – Nasze rodziny są... tak ze sobą połączone. Czy aby na pewno nie jesteśmy spokrewnieni?

Matt otworzył butelkę Chenin Blanc.

– W każdym razie mam nadzieję, że nie. O ile mi wiadomo, jesteśmy jednymi z niewielu dobrych rzeczy, które wynikły z tego, co zniszczyli mój dziadek i twoja cioteczna babka.

– No cóż, dziękujemy za to Bogu – powiedziała, biorąc od niego kieliszek.

– I za Somerset – dodał z kpiącym uśmiechem, dotykając swoją szklanką z whisky brzegu jej kieliszka. – Sam nie wiem, czy jestem smutniejszy z ich powodu czy szczęśliwszy z powodu nas.

– Nic już nie możemy zrobić z przeszłością, jedynie z przyszłością – zauważyła Rachel. Siedzieli na kanapie, dotykając się ramionami. Rachel spojrzała w kierunku sypialni za zasłonką.

– Jak pomyślę o historiach, które ten dom mógłby opowiedzieć. Ciekawe czy... hm, może to tu właśnie wszystko się zaczęło między twoim dziadkiem a cicią Mary?

– Nie zdziwiłbym się.

– I dlatego mnie tu dziś przywiozłeś?

– Nie – powiedział, obejmując ją ramieniem – ale nie sprzeciwiałbym się podtrzymaniu tradycji.

Zachichotała i przytuliła się do niego.

– Jestem całkowicie za tradycją, ale we właściwym czasie – powiedziała, dodając trzeźwo: – Tak bym chciała, żeby mama to zrozumiała.

– Nie martw się swoją matką – mówił, dotykając ustami jej włosów. – Żeby naprawić swoje stosunki z nią, musisz tylko złożyć jej propozycję nie do odrzucenia.

– I co by to miało być?

– Wnuki.

Roześmiała się i mocniej do niego przytuliła.

– To brzmi jak plan.

Poniedziałkowe nabożeństwo żałobne dłużyło się niemiłosiernie z powodu ogromnej ilości peanów na cześć zmarłej, której z pewnością by się nie spodobały, ale na które Rachel wyraziła zgodę, uznając, że należą się jej jako hołd złożony za ogromne zasługi dla miasta, hrabstwa i całego stanu. Uroczystość na cmentarzu za to trwała bardzo krótko, a cały tłum w ekspresowym tempie pospieszył na stypę, bo lepki upał panujący tego dnia był nie do zniesienia. Amos poinstruował obsługę, by nie uzupełniała przekąsek na stole, dlatego goście nie zostali długo, a Toliverowie mogli stawić się punktualnie w kancelarii Amosa.

Adwokat wyjechał wcześniej i z okna swojego gabinetu patrzył, jak nadjeżdżają. Rachel dostrzegła go za żaluzją – ciemny garnitur, wychudzona wręcz sylwetka – jak złowróźbne ptaszysko. I znów miała to dziwne odczucie, którego po raz pierwszy doświadczyła, gdy przedstawiciel firmy tekstylnej zjawił się u niej z pustymi rękami. Po chwili nadjechał mercedes Percy'ego. Gdy wchodzili do środka, Matt dodał jej odwagi, mocno ściskając jej dłoń.

– Dziadek się zastanawia, po co on tutaj, chyba że Mary zapisała mu miejsca wujka Olliego w łożu na Texas Stadium. Ale kto wie? Może i tak zostaną w rodzinie – szepnęła jej na ucho.

– Kto wie? – odpowiedziała, szturchając go żartobliwie w żebra.

Klimatyzacja nie zdążyła schłodzić gabinetu Amosa.

– Boże, ależ tu gorąco – poskarżyła się Alice, energicznie wachlując się programem pogrzebu. Od wyjścia ze stypy po raz pierwszy przerwała nadąsane milczenie.

– Za chwilę będzie lepiej – przepaszającym tonem mówił Amos, ocierając twarz chusteczką. Wskazał im miejsca na krzesłach i sam usiadł za biurkiem. Sufitowy wentylator działał na najwyższych obrotach.

– Nie powinno nam to zająć zbyt wiele czasu, prawda, Amos? – zauważył Percy, jakby

wiedział o systemie chłodzenia w biurze Amosa coś, czego inni byli nieświadomi.

– Eee, nie... nie powinno..

Rachel zauważyła, że specjalnie unika jej wzroku, jak sędzia, który wchodzi do sali, by ogłosić oskarżonego winnym.

– Przede wszystkim, chciałbym na początek zaznaczyć – rozpoczął, składając dłonie na leżącej przed nim teczce – że Mary Toliver DuMont podyktowała kodycyl, który mam tutaj przed sobą, będąc w pełni władz umysłowych i w obecności wymaganych przez prawo świadków. Dlatego żadna jego część nie może zostać podważona.

– Kodycyl? – powtórzyła Rachel, czując mrowienie skóry. – To znaczy, że dodała coś do testamentu?

– Kodycyl unieważnia poprzedni testament – wyjaśnił Amos.

W pokoju zapadła grobowa cisza.

William zakaszłał sucho w zwiniełą dłoń.

– Panie Amos, przecież nikt z nas nie chce podważać życzeń cioci Mary, może pan być tego pewien.

Percy spojrzał przenikliwie.

– Może w takim razie powinniśmy go przeczytać – zaproponował. – Niedługo czas na moją whisky.

Amos westchnął i otworzył teczkę.

– Dobrze, ale zanim to zrobię, jest jeszcze jedna sprawa. Mary przyniosła mi ten kodycyl kilka godzin przed śmiercią. Zmarła, co prawda, na atak serca, musicie jednak wiedzieć, że była umierająca, miała raka i zostało jej kilka tygodni życia.

Znów w gabinecie zapanowała cisza. Pierwszy odezwał się Percy, głosem suchym jak szeleszcząca na wietrze łuska kukurydzy.

– Dlaczego nic nam nie powiedziała? Dlaczego nie powiedziała mnie?

– Zamierzała to zrobić po powrocie z Lubbock. Percy, zapewne chciała dać ci jeszcze kilka dni spokoju.

Rachel przełknęła z trudnością, nagle zaschło jej w gardle.

– To dlatego miała do mnie przyjechać? Żeby powiedzieć mi o raku?

– No, tak, i po to, żeby wyjaśnić, dlaczego sporządziła ten kodycyl.

Alice przestała się nagle wachlować.

– Właśnie, co z tym kodycylem? – spytała.

Amos wyjął dokument z teczki.

– Streszczę wam go pokrótce. Dla każdego przygotowałem oddzielną kopię, więc możecie go potem przeczytać w całości. Przekonacie się, że Sassie, Henry i kilka innych osób otrzymają stosunkowo niewielkie sumy. Natomiast, co dotyczy was, oto najważniejsze punkty: w zeszłym miesiącu Mary po tajnych negocjacjach sprzedała Toliver Farms. Szczegóły transakcji zna firma z Dallas, Wilson i Clark, która zajmuje się jej nieruchomościami. Transakcja nie dotyczyła Somerset. Toliver Farms sprzedano za sumę... – spojrzał na kartkę i odczytał kwotę, która wywołała zdumiony okrzyk Alice. – Zyski ze sprzedaży zostaną podzielone w równych częściach między żyjących Toliverów – Williama, Rachel i Jimmy'ego.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Pierwszy otrząsnął się Percy. I zmarszczył czoło.

– To jakiś żart, Amos?

– Nie – odrzekł Amos i westchnął smutno. – Niestety, to nie żart – i spojrzał na Rachel, która z niedowierzaniem patrzyła na niego nieco pustym wzrokiem. – Rachel, tak mi przykro. To musi być dla ciebie cios.

Czuła się, jakby w jej głowie coś wybuchło. Nic nie widziała, nie słyszała i nic nie czuła. Mrugała gwałtownie powiekami, jakby wyraźniejszy obraz mógł usprawnić zmysł słuchu. Musiała źle usłyszeć. Wydawało się jej, że Amos powiedział, że ciocia Mary sprzedała ich farmy, ale to przecież niemożliwe...

– Czy dobrze usłyszeliśmy? – dopytywała się Alice tonem osoby, która wygrała na loterii i nie może w to uwierzyć. – Ciotka Mary sprzedała holdingi i podzieliła pieniądze między nas?

– Eee... między swoich krewnych, pani Alice. Obawiam się, że pani to nie obejmuje.

– I chwala jej za to! – zawołała, uderzając dłonią w biurko i zwróciła się do męża, który siedział wciąż oszołomiony. – Słyszałeś, William? Twoja ciotka w końcu się opamiętała. Sprzedała swoją ziemię.

– Wszystko z wyjątkiem Somerset – dokończył William i spojrzał szybko na córkę.

– Zakładam, że ciocia Mary zostawiła Somerset Rachel?

Amos z żalem pokręcił głową.

– Nie. Somerset zostawiła Percy'emu.

Wyrwana nagle z odrętwienia, Rachel zawołała:

– Nie, nie, ona nie mogła tego zrobić!

Jej otępiałe zmysły budziła powoli przerażająca świadomość.

– To jakaś pomyłka.

– Panie Amosie, na Boga! – William, z furią w oczach, otoczył córkę ramieniem.

– Dlaczego, do cholery, miałyby rodzinną plantację zostawiać panu Percy'emu? Musiała chyba zwariować! Jak mógł pan jej pozwolić zrobić coś takiego Rachel?

– Nie zwariowała, uwierz mi, William, a w aktach jest odpowiednie zaświadczenie lekarskie. Dokładnie wiedziała, co robi, mimo moich wysiłków, żeby ją od tego odwieść.

Jimmy skoczył na równe nogi, jakby nagle oblaży go mrówki.

– To niesprawiedliwe! Rachel miała dostać Somerset. Ciocia Mary jej to obiecała. Ale skoro tak, to teraz będzie musiała ją po prostu odkupić – powiedział i odwrócił się do Percy'ego.

– Panie Percy, co pan na to? Odsprzeda pan Rachel plantację, prawda?

Percy patrzył gdzieś przed siebie, nieruchomy jak figura z wosku, wyraźnie nie słysząc Jimmy'ego, który się wydzieriał, jakby był głuchy. Zareagował William:

– Synu, usiądź i uspokój się. To nie miejsce i czas na takie sprawy – po czym zwrócił się znów do Amosa. – A dom? Kto dostaje dom?

Amos ponownie westchnął. Jego kościste policzki się zaczerwieniły.

– Towarzystwo Ochrony Zabytków Howbutker – poinformował, dodając z widocznym zażenowaniem: – Mary ustaliła, że Rachel może zabrać z domu wszystko, co chce – biżuterię, obrazy, meble. Cała reszta, która nie ma znaczenia historycznego, zostanie sprzedana na aukcji, a uzyskane środki zdeponowane na koncie towarzystwa.

William mocniej objął córkę.

– To niewiarygodne.

– Dlaczego? – zdziwiła się Alice, odwracając do niego głowę i ze złością marszcząc brwi.

– Uważasz, że twoja ciotka nie mogła się po prostu opamiętać?

Jimmy, wciąż stojąc, teraz krzyczał:

– Nic mnie nie obchodzi, co pan mówi, panie Hines. Ona zwariowała. Musiała, żeby zrobić Rachel coś takiego. Bo niby dlaczego miałyby oddawać Somerset komuś innemu i zostawiać dom paczce starych plotkar?

– Cicho, Jimmy – matka próbowała zaciągnąć go z powrotem na krzesło. – To nie ma sensu, synku. Co się stało, to się nie odstanie. Nic na to nie poradzimy.

Jimmy strząsnął jej dłoń i zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

– A ty się z tego cieszysz, prawda?
– Panie Amosie, ja... nie rozumiem... – drżący głos Rachel przedarł się przez ich klótnie.

– Dlaczego ona to zrobiła?
– W końcu odezwało się w niej sumienie – wyjaśniła jej Alice. – Wiem, że czujesz się zraniona, Rachel, ale zrobiła to, co powinna. Za pięć dwunasta zdała sobie wreszcie sprawę, że źle postąpiła, nie dotrzymując obietnicy danej twojemu tacie. Ale przecież nie zapomniała o tobie, kwiatuszku. Ze swoją częścią majątku możesz sobie kupić tyle farm, ile tylko zechcesz – tłumaczyła i chciała pogłaskać Rachel po włosach, ale córka podniosła rękę, uniemożliwiając jej ten gest.

– Siedź cicho, Alice – nakazał William. – Nie widzisz, że nie to chce teraz usłyszeć?
– Czy ciocia jakoś to wyjaśniła? – Rachel nalegała na odpowiedź ze łzami w oczach.

– Przecież musiała coś powiedzieć.
– Błagałem ją o to, kochanie, ale ona powiedziała tylko... że nie ma teraz na to czasu. Ale dlatego właśnie wybierała się do ciebie... żeby ci wszystko wyjaśnić. Zapewniała mnie, że robi to tylko z miłości do ciebie. Musisz w to uwierzyć. Jej słowa brzmiały dokładnie tak: „Wiem, co myślisz, Amos, że ją zdradziłam. Ale to nieprawda. Ja ją uratowałam”.

– Uratowała mnie? – próbowała zrozumieć, szukając w głowie wskazówki, jak wyjaśnić tę niedorzeczność. – Chyba wiem – powiedziała, jakby nagle coś ją olśniło. – Chciała ratować mnie przed błędami, które sama popełniła, kierując się dobrem Toliverów, tak? Cóż za szlachetność z jej strony, ale moje błędy to moja sprawa i nie powinny jej w ogóle obchodzić.

– Jest jeszcze coś... – mówił Amos słabym głosem. – Wspomniała, że na ziemi Toliverów ciąży klątwa, przed którą chce cię uchronić.

– Klątwa? – w oczach Rachel, pod lśniącymi, wysychającymi już łzami, obok niedowierzania zamigotał narastający gniew. – Nigdy mi o tym nie mówiła.

– Mnie kiedyś coś wspominała – wtrącił się William – ale nie powiedziała nic więcej.

– A ja powtórzyłam to tobie, Rachel, pamiętasz? – przypominała Alice.

– A nie mówiłem, że zwariowała – upierał się Jimmy. – Tylko wariaci opowiadają o klątwach.

– Rachel, proszę cię... – Percy mówił, jakby wybudzony z głębokiego snu. – Wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Znam powody decyzji Mary. I nie są takie, jak myślisz. To długa historia, ale zrozumiesz, kiedy jej wysłuchasz.

– Chyba już zrozumiałam. Mama ma rację. Ciocia Mary chciała przed śmiercią oczyścić swoje sumienie. Ten kodycyl to nic więcej jak zadośćuczynienie za grzechy z przeszłości. Sprzedała farmy, żeby spełnić obietnicę daną ojcu...

Alice rzuciła córce oburzone spojrzenie.

– I bardzo dobrze!
– Alice... – syknął William. – Zamknij się!

– A panu Percy’emu zostawiła Somerset, żeby spłacić dług, który według niej była panu winna – kontynuowała Rachel. – Wiem już, że byliście zakochani i pobralibyście się – powinniście się byli pobrać – gdyby nie stanęła między wami ta plantacja. Więc zapisanie panu Somerset to prośba o wybaczenie, niezależnie od tego, ile mnie to kosztuje. Taki jej pomysł na czerwoną różę.

Uśmiech Rachel był zimny jak sama śmierć.
Percy poważnie kręcił głową, zaprzeczając.

– Nie, Rachel, mylisz się. Wiem, że tak to wygląda, ale tak nie jest. Mary zrobiła to dla ciebie, nie dla mnie. Oddała to, co kochała najbardziej na świecie z miłości do ciebie.

– Och, nie wątpię, niezależnie od tego, jak chybione było jej poświęcenie. Jimmy zadał

panu przed chwilą pytanie. Odsprzeda mi pan Somerset?

Na przystojnej twarzy Percy'ego zagościła rozpacz.

– Nie mogę, Rachel. Nie tego chciała Mary. Dlatego zapisała plantację mnie.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać.

I wstała szybko, wkładając kopię kodycyłu pod pachę. Alice i William natychmiast ruszyli za nią. Rachel podała rękę prawnikowi.

– Do widzenia, panie Amosie. Byłam pewna, że coś pana trapi. Cieszę się, że nie chodzi o pańskie zdrowie.

Amos ujął jej rękę w obie dłonie, w jego oczach widziała smutek i skrucę.

– Wypełniałem ostatnią wolę Mary, kochanie. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo boleję z powodu tego, co utraciłaś... co wszyscy utraciliśmy

– Wiem, panie Amosie – odparła i wysunęła dłoń, od razu odwracając się do wyjścia.

– Rachel, zaczekaj... – Percy zagroził jej drogę, mimo swojego wieku wciąż postawny.

– Nie możesz tak wyjść. Musisz pozwolić mi wszystko wyjaśnić.

– A co tu jest do wyjaśniania? To była własność cioci Mary i mogła z nią zrobić, co chciała. Nie mam prawa do roszczeń. Zostałam zatrudniona i dobrze opłacona za swoje usługi. I to wszystko, nie ma o czym mówić.

– Jest jeszcze bardzo dużo do powiedzenia. Chodź teraz ze mną do Warwick Hall i pozwól, że opowiem ci całą historię. Gwarantuję, że kiedy mnie wysłuchasz, zrozumiesz powody tego szaleństwa.

– Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzą jej powody. Co się stało, to się stało.

– A co z Mattem?

– W tym momencie sama nie wiem. Najpierw muszę sobie jakoś poukładać, że jego dziadek odziedziczył to, co według wszelkich przewidywań miało przypaść mnie. A potem zobaczymy – i zrobiła krok w bok, chcąc go ominąć, jednak Percy znów zagroził jej drogę.

– Nie widzisz, co robisz? – zawołał, łapiąc ją za łokcie. – Stawiasz swoją miłość do Somerset ponad własne szczęście. To przed tym Mary próbowała cię ustrzec.

– Więc nie powinna mnie najpierw do tego zachęcać – odpowiedziała i oswobodziła się z jego uchwytu. – Chodźmy stąd.

I wymaszerowała z gabinetu, a za nią członkowie jej rodziny. Przeszli obok Matta, który siedząc z nogą na nodze, zaczytał się w czasopiśmie, zupełnie nieświadomy tego, co działo się w sąsiednim pomieszczeniu. Rachel nie zareagowała, kiedy ją zawołał – nie potrafiła – a zanim dezorientacja pozwoliła mu w końcu za nią pobiec, Jimmy zdążył już zamknąć wszystkie drzwi limuzyny i wyjechać z parkingu.

Rozdział sześćdziesiąty

W drodze powrotnej na Houston Avenue w samochodzie zawisła cisza gęsta jak mgła. Jimmy prowadził, mocno zaciskając ręce na kierownicy, William jechał obok niego z twarzą tak zbolaną, że Rachel, siedząca sztywno z tyłu obok matki, mogła wyczytać ten ból nawet z jego profilu. Wiedziała, że Alice od czasu do czasu rzuca jej nieufne spojrzenia, ale zachowała na tyle rozsądku, żeby się nie odzywać. Mimo wszystkich wysiłków matki, by zachować obojętny wyraz twarzy, delikatne drżenie ust zdradzało Rachel ogarniające ją poczucie triumfu.

Kiedy Jimmy odstawił limuzynę do garażu, cała czwórka została na podjeździe i nikt nie ruszał w stronę domu. Wszyscy stali w niezręcznej ciszy, nie wypowiadając tego, o czym cały czas myśleli. William odchrząknął.

– Musimy zdecydować, co robimy – powiedział, zwracając się do Rachel. – Zostajemy czy od razu ruszamy w drogę?

– Ja chcę wracać do domu – odparł Jimmy. – Nawet teraz. Tu jest okropnie, po prostu nie mogę oddychać. Życie w Howbutker to jak pływanie pod wodą z otwartymi ustami.

– Ja też chcę wracać – zdecydowała Alice. – Gdybym została, czułabym się jak intruz.

Cała odrętwiała, jakby ktoś wbił jej w serce sopel lodu, Rachel powiedziała:

– Jeśli chcecie wracać, jedźcie, ale ja zostaję.

– Kochanie, bez ciebie nigdzie nie jedziemy – zapewniał ojciec.

– Będziecie musieli, tatusiu, bo ja mam tutaj jeszcze coś do załatwienia.

– Rachel, pamiętaj, weź wszystko, co tylko możesz – radziła Alice. – Każde jedno futro, każdy pierścionek i broszkę, każdy bibelocik, który zmieścisz w samochodzie. Zasłużyłaś na to.

– Wiedźma! Rachel, to była wiedźma!

– Cicho, Jimmy – Alice bez przekonania pociągnęła syna za rękaw. – Nie mówi się źle o zmarłych.

– To dużo mniej niż ty byś powiedziała, gdyby Rachel odziedziczyła wszystko.

– Synu! – William złapał Jimmy'ego za przód koszuli i przyciągnął do siebie.

– Wystarczy.

Rachel zacisnęła mocno powieki i przyłożyła do skroni opuszki palców. Kłótnia ucichła. Kiedy otworzyła oczy, wszyscy obserwowali ją w milczeniu.

– Wyjaśnijmy sobie jedno – zaczęła. – Nie zazdroszczę wam waszej części spadku.

Ciocia Mary na pewno uważała, że taki rozwiązanie jest najbardziej sprawiedliwe.

Alice chciała coś powiedzieć, ale wtedy William chwycił ją ostrzegawczo za ramię, więc zrezygnowała.

– Ale chyba możecie zrozumieć, dlaczego w tej chwili nie rozpływam się w gratulacjach – kontynuowała Rachel. – Co do wyjazdu, zrobicie, jak chcecie, ale jest już dość późno, więc osobiście radziłabym wam najpierw się wyspać i ruszyć rano. Ja w każdym razie zostaję, a jutro pojedę do Lubbock, żeby... zabrać z biura swoje rzeczy.

Na wzmiankę o Lubbock spuścili wzrok, przestępując z nogi na nogę, ale nikt nie zaprotestował.

– No więc, co robicie?

– Jedziemy – powiedzieli jednocześnie Jimmy i Alice.

Rozpaczliwy wzrok Williama prosił ją o wybaczenie.

– Wygląda na to, że pojedziemy, kochanie.

Pół godziny później byli już gotowi do drogi.

– Zatrzymamy się w jakimś motelu i zadzwonimy do ciebie – zapewnił ojciec. – Nie

będziemy ryzykować całonocnej jazdy.

Słyszając te słowa z wyraźną ulgą, Rachel przygotowała się psychicznie na przyjęcie zwyczajowego, pożegnalnego gestu matki, ale ręka Alice bawiła się wciąż paskiem swojej torebki.

– Myślisz, że cieszę się tylko z pieniędzy, prawda? Przyznaję, jestem w siódmym niebie, bo będzie nas stać na lepsze życie, można nawet powiedzieć, że wariuję z radości, ale tak samo bardzo się cieszę, że mam teraz szansę odzyskać córkę.

– Mamo, nigdy jej nie straciłaś.

Kiwnięciem głowy Alice poprosiła Rachel, by przeszły kilka kroków dalej, tak by nie słyszeli ich Jimmy i William. Wtedy cicho dokończyła:

– Ale ty straciłaś mamę, czy o to oskarżają mnie te Toliverowe oczy? No cóż, może teraz zrozumiesz, jak ja się czułam, kiedy myślałam, że ciotka postanowiła nie dotrzymać obietnicy danej ojcu... obietnicy, którą złamała przez ciebie, Rachel. Kiedy się przekonasz, jak trudno jest wybaczyć ciotce Mary jej zdradę, być może pojmiesz, jak trudno mnie było wybaczyć twoją.

Matka patrzyła na nią wyzywająco. Po dłuższej chwili Rachel zapytała.

– Czy... czy ty mi wybaczyłaś?

Odpowiedź pojawiła się w twardym błysku jej oczu. Nie. Marzenie wielu lat się spełniło, mówił jej wzrok, ale w żadnej mierze dzięki Rachel.

– Teraz to bez znaczenia – powiedziała głośno Alice. – Co było, to było. W tej chwili chcę tylko, żebyś raz na zawsze strząsnęła z siebie kurz tego miejsca i wróciła do domu, żebyśmy znów mogli być rodziną.

– Przecież wiesz, że już nigdy nie będzie tak samo.

– Możemy spróbować, Rachel. Tego nikt nam nie zabroni.

– Dobrze – odparła, ale w spojrzeniach, które wymieniły, nie było przekonania.

Alice, William i Jimmy wsiedli do samochodu. Ojciec zapalił silnik, brat na tylnym siedzeniu włożył do uszu słuchawki walkmana, a matka zawiesiła na oknie ręcznik, żeby osłonić się przed mocnym, zachodzącym słońcem. Zanim zamknął drzwi, ojciec raz jeszcze próbował ją namówić:

– Jedź z nami, słonko, przynajmniej na jakiś czas. Im szybciej zapomnisz o tym miejscu, tym lepiej. Cóż takiego ważnego cię tu trzyma?

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć, tato.

Patrzyła, aż samochód zniknął za zakrętem, a potem odnalazła Sassie. W jednym z pokoi gościnnych rozbierała pościel.

– Zostaw to, Sassie – powiedziała – Jesteś wykończona. Może miałabyś ochotę odwiedzić siostrę? Henry cię zawiezie. Dziś nie ma tu już nic, czym musiałabyś się zająć.

– Na pewno? Bo mnie się zdaje, że mogłabym się zająć panną Rachel.

Z tego, że rodzina zaraz po powrocie w pośpiechu wyjechała i że Rachel nie chce odbierać telefonów od Matta, Sassie najwyraźniej wydedukowała, że w kancelarii Amosa coś się okropnie namieszało. Ona i Henry idą do niego jutro, by dowiedzieć się o zapisanej im dożywotniej rencie. Oni również będą musieli opuścić dom, w którym mieszkali i pracowali całe swoje życie.

Rachel poklepała ją po pulchnym ramieniu, zmuszając się do uśmiechu.

– Dam sobie radę, te ostatnie kilka dni mnie wykończyło. Chyba przydałoby mi się teraz trochę samotności.

Sassie rozwiązała fartuch.

– A, no to chętnie pojedę, co by na chwilę się wyrwać z domu. I Henry pewno też.

Spotkanie z jego mamą dobrze nam zrobi.

Kiedy usłyszała odjeżdżającą limuzynę, Rachel zamknęła na zamki wszystkie drzwi, tak żeby czasem nie wtargnął tu Matt, gdy nie odbierze jego telefonu. Nie miała teraz głowy – ani serca – żeby się z nim spotykać, a poza tym musiała wykonać swoją misję, zanim wrócą Sassie i Henry. Za gorączkowe majaczenie cioci tuż przed śmiercią, że musi iść na strych, Sassie winiła szampan. Natomiast Rachel była przekonana, że ciocia miała pełną świadomość zbliżającej się śmierci, a nie zdążyła wykonać ostatniego, bardzo ważnego zadania. Wcześniej wysłała Henry'ego, żeby otworzył kufer i nie zrobiła tego bez powodu. Może chciała wyciągnąć stamtąd pamiętnik albo listy miłosne – zapewne od Percy'ego – albo inną wstydliwą pamiątkę, by nie dostała się w ręce Towarzystwa, ale Rachel miała na ten temat inne zdanie. Cokolwiek chciała wyciągnąć, było na tyle ważne, że myślała o tym w ostatniej minucie życia – podobnie jak o niej, bo miała wyrzuty sumienia, dlatego wołała jej imię.

I to właśnie Rachel postanowiła odnaleźć.

Kiedy szła górnym korytarzem w kierunku drzwi, za którymi znajdowały się schody na strych, znów odezwał się natarczywy dzwonek telefonu. Potem urwał się nagle, jakby ze złością, gdy Rachel zdążyła się już wspiąć po stromych schodach. Nie zawracając sobie głowy współczuciem, które pojawiło się na myśl o gorączkowym niepokojem Matta, otworzyła skrzypiące drzwi i weszła do środka.

Strych był olbrzymi, w dodatku gorący i duszny. Wypełniały go rzeczy, które stały się przynajmniej chwilowo niepotrzebne członkom rodziny Toliverów zamieszkujących dom od ponad stu lat. Życząc szczęścia Towarzystwu Ochrony zabytków w doprowadzeniu tego bałaganu do porządku, pomyślała, nieco zdyszana wspinaczką. Same schody, nie mówiąc już o braku powietrza, stanowiłyby nie lada wyzwanie dla osiemdziesięcioletniej, schorowanej kobiety. Żeby łatwiej się oddychało, zostawiła otwarte drzwi, a starym rusztem z kominka podważyła ramę jednego z okien, potem rozejrzała się, gdzie zacząć. Przebiegła wzrokiem poukładane porządnie artykuły gospodarstwa domowego, stare książki, ubrania, instrumenty muzyczne i sprzęt sportowy, aż doszła do całego zestawu skrzyń, pudeł i pudełek oraz szaf. Zacznie tutaj.

Zobaczyła go prawie natychmiast. Za starą szafą, na dwóch innych skrzyniach stał wojskowy, metalowy kufer. Pokrywa była otwarta, a w zamku wisiały kluczyki. Rachel wstrzymała oddech. Jest.

Zajrzała do środka i od razu poczuła nieprzyjemny zapach starych listów długo trzymany w zamknięciu, wiele z nich związanych wyblakłymi wstążkami. Chwilowa awersja do tego, co właśnie miała zrobić, na moment ją powstrzymała. Szperanie w tym kufrze to jak grzebanie w czyjejsz szufladzie z bielizną, ale intuicja podpowiadała jej, że to właśnie tu jest coś, co musi znaleźć. Instynkt zagłuszył jej skrupuły, więc ponownie zajrzała do kufra. Uwagę jej zwrócił pakiet listów napisanych znajomym pismem. Na tanich kopertach z samej góry widniał adres zwrotny z Kermit w Teksasie. Ścisnęło ją w gardle. Ciocia Mary, jak się wydawało, zatrzymała wszystkie jej listy – od liceum do ukończenia college'u. Najwyraźniej czytane były wiele razy. Odłożyła je na bok, zdziwiona sentymentalizmem cioci. A może to wujek Ollie zatrzymał je i przewiązał wstążkami w kolorach jej Alma Mater – kasztanowym i białym. Podniosła kolejny stosik, niewielki, zaadresowany dziecięcą ręką. Adres zwrotny to obóz dla chłopców w Forth Worth, nazwisko – Matthew DuMont. Czule trzymała kruche koperty. Czy to listy od syna chciała odzyskać ciocia Mary? Może. Odłożyła je ostrożnie i wyciągnęła następny pakiet – tym razem podwójny – najpierw związane osobno, potem razem. Nad długim adresem Armii Stanów Zjednoczonych widniały inicjały PW. Percy Warwick. Dziesięć kopert z datami z lat 1918 i 1919, związane zieloną wstążką. A może o te jej chodziło?

Druga część, z tych samych lat, ale w podwójnej ilości, obwiązana została wypłowiałą niebieską wstążką. Rachel rozpoznała pięknie wykaligrafowane litery wujka Olliego

i zastanawiała się, czy fakt, że listy Percy'ego znalazły się na górze, był dziełem przypadku czy zamierzeniem jej cioci. Ale jakie to miało w tej chwili znaczenie? Cóż takiego spodziewała się znaleźć, co mogłoby choć na jotę zmienić to, co uczyniła ciocia Mary? I kto to napisał? Matthew DuMont? Wujek Ollie? Percy? Jej dziadek?

Rachel wstrzymała oddech. Dziadek...

Prawie nic o nim nie wiedziała. Ojciec ledwie go pamiętał, a z ciocią Mary tylko raz o nim rozmawiała, kiedy zapytała ją, dlaczego dziadek postanowił zamieszkać we Francji.

– Czy to dlatego, że twój tata nic mu nie zapisał w testamencie? – zapytała wtedy.

Ciocia Mary znieruchomiała.

– Dlaczego uważasz, że nic mu nie zapisał?

– Bo tatuś mi tak powiedział.

– Czy... czy to dlatego twoja mama jest przeciwna twojemu zainteresowaniu tradycjami Toliverów? Bo mój ojciec zostawił Somerset i dom mnie?

Poczuła się zażenowana, że ciocia Mary odgadła prawdę.

– Tak, ciociu.

Wydawało się jej wtedy, że ciocia Mary myśli o czymś, czym już, już chciała się z nią podzielić, ale ostatecznie jednak się na to nie zdecydowała.

– Twojemu dziadkowi nie zależało na ziemi – powiedziała tylko na koniec.

– Interesowały go ideologie i ludzie, głównie ci biedniejsi, i znalazł ich we Francji.

Rachel w zamyśleniu patrzyła na listy. Czy z Francji Miles pisał do siostry... o narodzinach syna... o śmierci żony? Przesyłał zdjęcia rodzinne, szczególnie żony, jej babci? O Marietcie Toliver nie wiedziała właściwie nic. Czy w listach mogłaby znaleźć jego uczucia po tym, jak został pominięty w testamencie? Czy jego głos mógłby dotrzeć do niej i dziś, dwa pokolenia po jego śmierci... i pomóc jej uporać się z podobnym bólem?

Ostrożnie zagłębiła dłonie w kufrze, wkładając je między rozmaite kruche pamiątki. Skoro ciocia zachowała te inne listy, z pewnością zatrzymałaby też listy brata. A to co takiego? Wyciągnęła dużą, nieforemną paczkę owiniętą grubym papierem. Kiedy ją rozpakowała, okazało się, że papier kryje mocno zwinięte długie paski zrobione na drutach z kremowej włóczki owinięte ciasno wokół zwitka różowych satynowych wstążek. Wyglądało, jakby ktoś zaczął robić pled albo szal i nie skończył, ale na pewno nie była to ciocia Mary. Ona nigdy nie lubiła tego typu robótek ręcznych.

Spakowała całość i – teraz już naprawdę zaciekawiona – otworzyła długie, wąskie pudełko. Ooo! Zapakowana w bibułkę leżała w nim para ślicznych, beżowych rękawiczek ze skóry, pięknie wykonanych, ale nigdy nienoszonych. Z jednego z mankiecików wystawała karteczka. Wyciągnęła ją i przeczytała: „Dla rąk, które chciałbym trzymać przez resztę mojego życia. Kocham, Percy”. Włożyła karteczkę z powrotem i zamknęła pudełko, mimo woli wzruszona. Następne pochodziło z kwaciarni, w środku znalazła wysuszone resztki róży na długiej łądzy, płatki były brązowe jak plamy po tytoniu, ale kiedyś musiały być białe. I znów kartka: „Za pojednania. Zawsze w moim sercu, Percy”.

Już miała swoją odpowiedź. To te stare listy i cenne dla niej pamiątki niespełnionej miłości chciała odzyskać ciocia. Jutro wypełni swój ostatni obowiązek wobec rodziny i zniszczy wszystko przed wyjazdem do Lubbock. Zaczynało szarzeć. Było jej gorąco, czuła się zmęczona i na skraju wyczerpania nerwowego. Chciała wydostać się z tego strychu. Szybko wkładała rzeczy z powrotem, robiąc na dnie miejsce dla paczki ze wstążkami. Jej dłoń o coś zawadziła... metalowe okucia kasety, pomyślała. Przerwała na moment. Kasetka...

Serce zaczęło jej walić jak młotem, sięgnęła głębiej i wyjęła ciemnozieloną skórzaną kasetkę. Była zamknięta na klucz. Postawiła ją na stosie pudeł na kapelusze, złapała klucze

zwisające z zamka kufra i mniejszy z nich włożyła do zamka kasetki. Mimo wieku kaseta natychmiast się otworzyła. Podniosła pokrywę i zajrzała. W półmroku wyskoczyły na nią wytłuszczone litery: Ostatnia wola i testament Vernona Thomasa Tolivera.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Jeśli chodzi o rejon Piney Woods we wschodnim Teksasie, William najbardziej zapamiętał letnie zmierzchy. Wydawało mu się, że kiedy słońce zachodziło, ziemię spowijał jakby całun, który miał kolor i połysk szarych pereł. I ten stan trwał bardzo długo. Według Williama nie było drugiego miejsca na świecie, gdzie na koniec dnia światło utrzymywało się tak długo.

Jako chłopiec, który dopiero co przybył z Francji, był z tego bardzo rad, bo odkąd umarła mu mama, zaczął bać się ciemności. Ojciec rozumiał to i zostawiał na noc włączoną lampkę, ale pamiętał dokładnie, że już gdy miał pięć lat, bardzo się wstydził swojego lęku. Kiedy znalazł się w Howbutker, od razu wyczuł, że nie powinien o tym wspominać tej wysokiej, władczej kobiecie, do której wysłał go ojciec. Zażywny, łagodny pan nazywany wujkiem Olliem na pewno by zrozumiał, ale ciocia nie. Instynktownie wiedział, że nie jest osobą, która tolerowałaby słabość.

A w każdym razie tak mu się wydawało.

Pierwszej nocy zasnął długo przed zapadnięciem ciemności i wujek zaniósł go do łóżka. Ale potem, przez całe lato, kiedy kładł się spać, odsłaniał roletę, którą ciocia spuszczała i zasypiał w półmroku długiego zmierzchu. Po nadejściu jesieni, a wraz z nią krótszych dni, martwił się, że ciocia zgasi mu nocną lampkę, kiedy przyjdzie powiedzieć wieczorem dobranoc. Jednak ona zaskoczyła go, pytając z tym swoim lekkim uśmiechem:

– Zostawimy jeszcze trochę włączone światło?

– *Qui, Tante, s'il vous plaît.*

– W takim razie, dobranoc. Do zobaczenia jutro.

Ta wieczorna wymiana zdań stała się ich codziennym zwyczajem, a rano, gdy się budził, lampka wciąż była włączona. Myślał, że ciocia nie zwracała sobie głowy przychodzeniem później, żeby ją wyłączyć, ale się mylił. Pewnej zimowej nocy kilka lat później obudził się i zobaczył ją w świetle lampki. Miała na sobie szlafrok, wyglądała jak bogini z obrazków w książkach o mitologii. Z ręką na włączniku zapytała miłym tonem:

– Czy teraz możemy już wyłączyć światło?

A on zdał sobie sprawę, że przez ten cały czas wiedziała o jego strachu przed ciemnością.

– Tak, ciociu – powiedział, uświadamiając sobie, że lęk odszedł, i to już dawno.

Najnormalniej w świecie znikł, odszedł wraz z innymi smokami nękającymi jego dzieciństwo.

William spojrzał na żonę, która chrapała obok z otwartymi ustami. Zawieszony przez nią ręcznik wciąż wisiał w oknie. Zasnęła prawie natychmiast, gdy tylko się przekonała, jak bardzo nie chce mu się rozmawiać o ich nowym majątku.

– Rachel dojdzie do siebie, możesz mi wierzyć, Williamie – przekonywała, czytając w jego twarzy równie łatwo jak w swoich ulubionych romansach. – Przecież wcale nie została tak zupełnie wyrzucona z Howbutker. Może wyjść za Matta Warwicka i dzięki niemu po śmierci Percy'ego odzyskać Somerset. I w czym tu problem?

– Problem w tym, Alice, że Matt nie odziedziczy Somerset. Percy już o to zadba. Przecież właśnie dlatego ciocia Mary zapisała plantację jemu. Ona wiedziała, że Percy dopilnuje, by Rachel już nigdy nie dostała Somerset.

– Ale dlaczego, na miłość boską?

– To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Osobiście uważam, że Percy ma rację. Ciocia Mary chciała ochronić Rachel przed tą klątwą, o której mówiła mi w pięćdziesiątym szóstym.

– I nie wiesz, co to jest?

– Nie, ale Percy wie.

Cieszył się, że Alice, kiedy już zasnęła, nie obudziłby nawet koniec świata. Nie spodobałby się jej objazd boczną drogą między sosnami, które pamiętał z dzieciństwa. Jimmy natomiast ze słuchawkami na uszach wpadł w swój zwykły trans. Z zamkniętymi oczami, wsłuchany w muzykę, nie zauważył, że William zjechał z autostrady. Ta mała przejażdżka wydłuży nieco podróż, ale być może już nigdy tędy nie pojedzie, a miał wielką ochotę zostać w tym jasnym zmierzchu Piney Woods tak długo, jak się da, przywołać te wspomnienia, do których nie doda już żadnych nowych. Gdzieś tu niedaleko, przypomniał sobie, płynął strumyk, w którym razem z kumplem zastawiali sieci na sumy. Boże, te jadowite mokasyny, które wyciągali wraz z rybami.

I gdzieś tutaj też przechodziły tory kolejowe, którymi odjechał z Howbutker, kiedy czterdzieści lat temu uciekł od ciotki. Planował ukryć się w krzakach przy torach i dopiero kiedy pociąg ruszy, wskoczyć i kupić bilet u konduktora. Ale ten powiedział mu, że pociąg jest pełny i musi poczekać na następny. Amos, wówczas dopiero co zwolniony do cywila spadochroniarz w drodze do Houston, wyszedł na peron, by rozprostować nogi przed dalszą podróżą. William wciąż pamiętał swoje zdziwienie, kiedy Amos wsunął mu w rękę własny bilet i powiedział, że ma wskakiwać. Już na polach naftowych zachodniego Teksasu myślał czasem o wysokim, pałakowatym żołnierzu, zastanawiając się, co sprawiło, że obcy człowiek przejeżdżający przez obce sobie miasto oddaje bilet dzieciakowi, który ewidentnie uciekł z domu. Wiele lat później dowiedział się od cioci Mary, że Amos, w wieku piętnastu lat też próbował takiej ucieczki, ale gburowaci policjanci przywiedli go z powrotem do ojca, który za karę przywiązał go do słupa i publicznie wychłostał. Niepewny więc, na co skaże chłopca, jeśli go złapią, postanowił mu pomóc. Okazało się, że jemu samemu wyszło to na dobre. Trafił do miasta, które przyjęło go jak swojego – a to niespotykane w Howbutker. Śmiesznie się czasem życie układa.

Droga wśród sosen, których korony tworzyły ponad nią zielony baldachim, była cicha i spokojna – ani śladu innego samochodu. Miał wrażenie, że jedzie zielonym tunelem, w zupełnej ciszy, która pozwala zatopić się w myślach. Wspominał słowa cioci Mary wypowiedziane tamtego dnia w 1956: „Ciesz się, że twoje dzieci wyrosną wolne od Somerset”. O co jej chodziło? Był pewien, że to właśnie stało za jej decyzją, by odciąć Rachel od korzeni Toliverów. Do diabła z teorią Alice, że nagle postanowiła dotrzymać danej mu wtedy obietnicy. Ciotka mogła zmienić zdanie, kiedy tylko chciała, i oboje wiedzieli, że nic mu nie jest winna. Nie kupił też teorii, że zapisała Somerset Percy’emu jako wyraz swojego żalu. Owszem, to akurat go zaskoczyło – że byli kochankami – ale nie, jak się nad tym chwilę zastanowić. Wyglądali, jakby byli dla siebie stworzeni i czasami sam się zastanawiał, dlaczego ciocia Mary, bogini, wybrała cherubinka, a nie greckiego boga. Choć wujek Ollie był najlepszym człowiekiem na świecie.

No więc dlaczego, kiedy już przygotowała Rachel, by kontynuowała jej dzieło na plantacji, nagle zabrała jej plantację?

„Somerset zawsze zbyt wiele kosztowała”.

Miał teraz przecucie, że wie, o co jej chodziło. Ceną, którą zapłaciła za Somerset, był Percy i Bóg jeden wie co jeszcze. W pewnym sensie przez plantację straciła i jego. Na pewno by został, gdyby tylko nie kazano mu tam pracować. Boże, jak on nie cierpiał tego miejsca – pcheł piaskowych i komarów, upału i potu, wsysającego buty błota podczas deszczu i wszechobecnego pyłu w porze suchej, rzepów i ciągłego strachu przed wężami chowającymi się w krzewach bawełny, tego nigdy niekończącego się cyklu pracy, pracy, pracy. Aż któregoś dnia uświadomiono mu, że ponieważ jest Toliverem, to wszystko będzie kiedyś należeć do niego.

Potrząsnął głową, jakby miał muchę w uchu. Na to nie mógł się zgodzić. O,

niedoczekanie. A teraz Somerset stanęła między jego żoną a córką i będzie kosztować Rachel tego przystojnego Matta Warwick. Oni też pasowali do siebie jak dwie połówki jabłka, jeśli trochę się na tym znał, ale Rachel nigdy nie wyjdzie za mężczyznę, którego dziadek ma w posiadaniu tę ziemię, którą ona zawsze będzie uważała za swoją. Ciotka chciała dobrze, ale wszystko zepsuła. Rachel nigdy jej tego nie wybaczy, tak jak Alice nie zapomni córce, że związała swój los z ciotką Mary.

Westchnął pełen żalu. Zrozumiał sprawę kosztów, ale ta klątwa? Na czym, jasny gwint, polega klątwa Toliverów? Jak się objawia? Czy ciotka uratowała przed nią Mary? Po czym Rachel miałyby to poznać? Skąd miałyby wiedzieć?

Kręta i wąska droga pod zielonym dachem igieł rozplywała mu się przed oczami. Smutek odurzył mu zmysły, cóż za tragiczny handel wymienny tymi najcenniejszymi rzeczami... ludzie przehandlowywali je, by nigdy już ich nie odzyskać. Oczy, uszy i nozdrza miał tak zablokowane, że nie zarejestrował naglącego gwizdu pociągu w oddali. Szyby były zasunięte, widok z prawej przesłaniały ręcznik i torba wisząca z tyłu. Szumiała klimatyzacja. Z walkmana dochodził słaby dźwięk muzyki Jimmy'ego. Kiedy po raz pierwszy usłyszał przeciągły gwizd, zabrzmiał on w jego uszach jak najbardziej naturalnie, jak dźwięk należący do tego krajobrazu, stanowił nostalgiczną, nieodłączną część jego dzieciństwa o tej porze dnia, i dlatego samochód stał już na torach, gdy zorientował się, że wprost na nich mknie pociąg towarowy.

Alice i Jimmy nawet nie otworzyli oczu. Przez ten krótki moment, zanim pociąg uderzył, William myślał bardzo jasno i w lot pojął istotę klątwy Toliverów.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

W swoim pokoju, z trudem łapiąc oddech, Rachel weszła na łóżko, otworzyła skórzaną kasetę i ostrożnie wyciągnęła ostatnią wolę i testament swojego pradziadka. Widniała na nim data 17 maja 1916 roku. Wiedziała, że zmarł w czerwcu tego samego roku, więc dokument sporządzono krótko przed śmiercią. Między strony włożony został list. Rozłożyła pojedynczą kartkę i spojrzała na podpis: „Wasz kochający mąż i ojciec, Vernon Toliver”. Ciarki przeszły jej po plecach. Czuła się, jakby znalazła klucz do zamkniętych drzwi zakazanego pokoju.

Najukochańsza żono i dzieci.

Nigdy nie myślałem o sobie jako o tchórze, ale okazuje się, że nie mam odwagi za życia powiedzieć Wam o postanowieniach mojego testamentu. Zanim to przeczytacie, chcę was zapewnić, że każde z Was kocham z całego serca i pragnąłbym głęboko, żeby okoliczności pozwoliły mi na bardziej sprawiedliwy i hojniejszy podział mojej własności. Darlo, Ukochana Żono, proszę, spróbuj zrozumieć, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Miles, Synu, od Ciebie nie mogę oczekiwać zrozumienia, ale może któregoś dnia Twój potomek będzie wdzięczny za spadek, który Ci zostawiam i powierzam, byś zachował go dla owocu Twoich lędźwi.

Mary, wierzę, że przez to, co robię, nie przedłużam klątwy, która prześladowuje rodzinę Toliverów od momentu, gdy ścięto pierwszą sosnę pod Somerset. Zostawiam Ci wiele poważnych obowiązków, które mam nadzieję, nie zmuszą Cię do wyboru pomiędzy nimi a Twoim szczęściem.

Wasz kochający mąż i ojciec,

Vernon Toliver

W lustrze nad toaletką Rachel napotkała własny zaskoczony wzrok. To była pierwsza pisemna wzmianka o klątwie Toliverów, na jaką się natknęła. Co to takiego? Jak się objawia? I co to za spadek, który Vernon Toliver zostawił synowi? Ciarki na plecach były coraz wyraźniej odczuwalne. Myśląc o nieprawdopodobnym, odwracała kruche stronicę, aż znalazła imię Milesa. Był wymieniony jak jedyny beneficjent 260 hektarów ziemi nad rzeką Sabine.

„Nie! Niemożliwe! Ciocia Mary nie mogłaby... na pewno nie zrobiłaby...” Wbiła wzrok w paragraf, raz jeszcze czytając ustalenia wyrażone prawniczym językiem, a w głowie się jej kręciło, gdy myślała, co to znaczy. Ale nie mogło być mowy o pomyłce. W przeciwieństwie do tego, w co wierzyła jej rodzina – w co ciocia Mary pozwoliła im wierzyć – Vernon Toliver zostawił część Somerset również swojemu synowi.

Rachel podniosła bladą twarz i spojrzała w lustro. Ciocia Mary kłamała, milcząc o spadku brata. Ale dlaczego? Jaki sens miała ta tajemnica? Rachel sądziłaby raczej, że ciocia chciałaby powiedzieć jej ojcu o odziedziczonej przez Milesa ziemi, żeby wzbudzić w nim większe zainteresowanie i zaangażowanie. Co się stało z tymi hektarami? Czy Miles Toliver je sprzedał? Czy ciocia Mary wstydziła się tego i wolała, by bratanek nie wiedział, co zrobił jego ojciec?

W kasecie były jeszcze dwie inne koperty, spięte zardzewiałym spinaczem. Wyblakłe nazwisko nad adresem zwrotnym zapało jej oddech w piersiach. Miles Toliver. List wysłano z Paryża, ale daty nie dało się już odczytać. Rozdzieliła koperty, tę drugą od razu odkładając na

bok i wyjęła list z 13 maja 1935 roku.

Droga Mary

Jestem w szpitalu, zdiagnozowano u mnie raka płuc jako skutek działania fosgenu, którego nawdychałem się na wojnie. Lekarze mówią, że teraz to już kwestia czasu. Nie boję się o siebie, tylko o Williama, mojego syna. Ma siedem lat i jest najśladszym maluchem na świecie. Jego matka zmarła dwa lata temu i od tego czasu jest nas tylko dwóch. Piszę, by Cię poinformować, że wysyłam go do Ciebie i Olliego, byście wychowali go jak własnego syna, może stanie się młodszym bratem Matthew. Mary, William wygląda jak prawdziwy Toliver i kto wie, może któregoś dnia okaże się, że ma więcej zrozumienia, szacunku i entuzjazmu dla rodzinnych tradycji niż jego ojciec. Chciałbym, żebyś dała mu szansę. Kupiłem mu bilet, przybędzie do Nowego Jorku 15 czerwca na „Queen Mary”. Załączam informację z portu.

Drugi załącznik to akt własności gruntu nad Sabine, który Papa zostawił mi w spadku. Jak widzisz, przeniósłem prawo do ziemi na Ciebie, byś zatrzymała ją dla Williama, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, kiedy to przeniesiesz tytuł własności na niego, by mógł z nią zrobić, co uzna za stosowne. Mam nadzieję, że względu na Ciebie i na niego, że do tego czasu będzie tak związany z dziedzictwem Toliverów, że nawet mu przez myśl nie przejdzie, by się rozstać choćby z najmniejszą bryłką swojego spadku.

Jestem spokojny, że jedzie do dobrego domu. Powiedz Olliemu, że do dziś uważam Jego i Percy'ego za najlepszych przyjaciół, jakich stworzył Bóg. Mam nadzieję, że wszyscy będziecie pamiętać mnie z tych dobrych czasów, które razem przeżyliśmy.

Twój kochający brat

Miles

Rachel wpatrywała się tępo w list, nie mogąc uwierzyć w jego treść i niezdolna pojąć jego znaczenia. Bez związku przypomniała sobie, jak ojciec opisywał swoje przybycie do Nowego Jorku – siedmioletni chłopiec, samotny i wystraszony, który mówił tylko po francusku. Wiele razy słyszała historię, jak to wujek Ollie, ze swoją anielską twarzą zmarszczoną w uśmiechu, zawołał do niego z tłumu oczekujących w porcie i od razu sprawił, że poczuł się lepiej, kupując mu lody i oranżadę oraz racząc opowieściami o Milesie, który jako mały chłopiec odbył bardzo długą podróż pociągiem do Howbutker. Wujek Ollie sam po niego przyjechał, bo w Somerset właśnie sadzili bawełnę.

Rachel miała wrażenie, że drżą wszystkie jej zakończenia nerwowe. Wzięła drugą kopertę zaadresowaną do Mary DuMont i intui-cyjnie, ku swojemu przerażeniu, odgadła, że śmiałe litery napisane czarnym atramentem skreśliła ręka Percy'ego Warwicka – zapewne dlatego, że została spięta z dowodem ewidentnej zdrady i oszustwa dokonanych przez kobietę, którą kochał. Żadnego adresu zwrotnego, znaczka ani datownika, co oznaczało, że dostarczył go posłaniec. Wyjęła krótką wiadomość z dnia 7 lipca 1935 roku.

Mary

Choć mam złe przeczucia, chyba znajdę sposób, by przyjąć Twoją propozycję.

Odwiedziłem wierzyciela Olliego, ale nie dał się przekonać. Dlatego kupię od Ciebie działkę, o której rozmawialiśmy. Spotkajmy się w poniedziałek o trzeciej przy ratuszu i załatwmy tę sprawę. Weź ze sobą dokumenty, ja przyniosę czek.

Jak zawsze

Percy

Rachel wyprostowała plecy, przed oczami mając kłęby dymu i gazów, które unosiły się z ogromnej ścieralni i papierni Warwick Industries, graniczącymi od wschodu z Somerset. Po drugiej stronie kompleksu płynęła rzeka Sabine. Zawsze uważała, że położenie tych zakładów obok Somerset to dzieło przypadku, ale teraz...

Dobry Boże – czy to możliwe? Czy wiadomość od Percy’ego dotyczy działki jej ojca, a ciocia Mary sprzedała ją wbrew instrukcjom Milesa? Czy złe przeczucia Percy’ego wynikały z jego wiedzy, że Mary nie miała prawa jej sprzedać? Rachel przyjrzała się datom: 7 lipca 1935... dwa miesiące po tym, jak ojciec przyплыł do Nowego Jorku.

Przyszła jej do głowy inna możliwość, logiczna i mniej szokująca, ale wcale nie mniej karygodna. Do czasu, gdy William skończył dwadzieścia jeden lat, ciocia Mary wiedziała aż nazbyt dobrze, że jej bratanek nie pała miłością do plantacji i swojego dziedzictwa. Może po prostu włączyła jego grunty do reszty plantacji i nigdy mu o nich nie wspomniała, bojąc się, że się ich pozbędzie? A jeśli ziemia ojca nie graniczyła z Somerset i ciocia nie sprzedała jej Percy’emu, w którym miejscu nad rzeką leży? I gdzie jest akt własności? No i w takim razie, co sprzedała Percy’emu?

Rachel przyłożyła do gorących policzków swoje chłodne dłonie. Co właśnie odkryła? Dowód oszustwa? Czy najzwyczajniejsze podłe złodziejstwo? Czy jej ojciec był tu ofiarą? A może ciocia Mary przekazała mu ziemię, a on ją sprzedał, a potem we dwójkę utrzymywali to w tajemnicy?

Nie, nigdy. Nie pozwoliliby, żeby matka wierzyła w kłamstwo, które legło u podstaw jej urazy do Toliverów. Ale z drugiej strony – aż do dziś – nigdy nie uwierzyłaby, że ciocia Mary popełniła grzechy, które popełniła, a co do Percy’ego Warwicka... to najbardziej honorowy człowiek, jakiego znała. Patrzyła na jego list i robiło się jej niedobrze. Przynieś dokumenty... Czy to możliwe, że zgodziłby się na propozycję, która pozbawiała spadku sześciolatniego chłopca?

Jedną odpowiedź pozna, gdy ojciec zadzwoni z motelu, zawsze to coś. Powie mu o swoim odkryciu i zapyta, gdzie jest akt własności, ale była przekonana, że ojciec stwierdzi, iż nie ma pojęcia, o czym Rachel mówi. Nigdy nie wiedział, że miał odziedziczyć dwieście sześćdziesiąt hektarów ziemi, która należała do jego ojca. A zaraz jutro pójdzie do ratusza i sprawdzi jej położenie.

Pokój oświetliły reflektory samochodowe, których światło odbiło się w zamkniętej bramie garażu. Wrócili Sassie i Henry. Czym prędzej zebrała się z łóżka, żeby ich wpuścić, zanim zaczną dzwonić i będzie musiała tłumaczyć dlaczego zamknęła tylne drzwi. Była w połowie schodów, kiedy w oknie nad drzwiami zauważyła migające czerwono-niebieskie światło wozu policyjnego. Stała jak wryta na półpiętrze, gdy usłyszała na podjeździe pisk opon kolejnego hamującego samochodu, a potem trzask drzwi i zdenerwowane męskie głosy – między nimi Amosa i Matta. „Co do cholery...”

Odezwał się dzwonek przy tylnych drzwiach. Ledwie go słyszała, tak głośno waliło jej serce, gdy pobiegła, by uciszyć naglące wezwania dzwonka od frontu. Przerażliwy dźwięk ponaglał ją, gdy mocowała się z rozklekotaną, starą zasuwą. W końcu udało się jej otworzyć. Zobaczyła wpatrzony w siebie cały zastęp mężczyzn, na czele Amos i Matt, a za nimi szeryf i dwóch policjantów z patrolu. Ich ponure twarze przyprawiły ją niemal o atak serca.

– O co chodzi? – zapytała.

– Chodzi o... twoich rodziców... i Jimmy'ego – wychrypiał Amos, jabłko Adama skakało mu jak ping-pong.

– Co z nimi?

Matt przeszedł przez próg i wziął ją za rękę.

– Rachel, w ich samochód uderzył pociąg. Wszyscy zginęli na miejscu.



CZEŚĆ

CZWARTA



Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Kermit, Teksas, dwa miesiące później

Rachel stała przy drzwiach swojego rodzinnego domu – z kluczami w ręku i spakowaną torbą podróżną na podłodze – i rozglądała się wokół ostatni raz. Nie zostawiła żadnych widocznych śladów życia, które tętniło tu na długo przed jej narodzinami. Zadrapania i plamy zostawione przez członków jej rodziny znalazły się pod warstwą półmatowej białej farby, którą sama pomalowała ściany, uznając że zacierania ich wspomnień nie powinna powierzać obcym. Sześć tygodni zabrało jej wysprzątanie domu tak, by mogli się wprowadzić nowi właściciele, kimkolwiek będą. Umówiła się z agentką nieruchomości, że tablica „na sprzedaż”, podobnie jak chętni do zobaczenia domu pojawią się dopiero po jej wyjeździe.

Sąsiadka zza płotu, kobieta, którą znała całe swoje życie i najlepsza przyjaciółka matki, zapytała ją:

– Rachel, dlaczego sprzedajesz dom tak wcześnie? Dlaczego nie pobędziesz tu jakiś czas?

W milczeniu pokręciła głową, bo żal i smutek nadal nie pozwalały jej wydobyć z siebie głosu. Nie zasługiwała, by mieszkać w tym domu, który kochała i zdradziła. To byłoby świętokradztwo.

– Zostaniesz w Lubbock, Rachel? – dopytywała się Danielle, kiedy Rachel przyszła do biura spakować swoje rzeczy. Jej biurko zajął już młody Japończyk. Wszystko, co do niej należało poukładał równiutko w kartonowym pudle i postawił w rogu pokoju. Ron Kimball, którego ojciec przeżył bataański marsz śmierci, już się zwolnił i znalazł pracę na innej plantacji w sąsiednim hrabstwie. Nie ma mowy, żeby pracował dla Japońca, powiedział Danielle. Ona też złożyła wypowiedzenie.

– Po co? – zapytała Rachel z niewesołym uśmiechem na ustach. – Żeby patrzeć, jak bawełna Toliverów rośnie dla obcych?

Dom w mieście też wystawiła na sprzedaż, spakowawszy wcześniej wszystkie rzeczy, i wtedy zdała sobie sprawę, że bez posiadłości na Houston Avenue i domu w Kermit, który lada chwila pojawi się na rynku nieruchomości, nie miała ich dokąd wysłać. Praktycznie była bezdomna... przynajmniej chwilowo.

Po raz ostatni omiotła spojrzeniem ich duży pokój, podniosła torbę i wyszła. Wcześniej odwiedziła już swój dawny ogródek, obecnie kawałek ziemi porośnięty równo skoszoną trawą bermudzką, na którym niewiele pozostało śladów po niegdyś obfitych plonach.

– Przypuszczam, że to tutaj właśnie wszystko się zaczęło – powiedział Amos po pogrzebie, kiedy odnalazła go za domem wpatzonego w równe dołki porośnięte teraz trawą. Schronił się tam przed odwiedzającymi, którzy przyszli złożyć kondolencje.

– Tak, tutaj się to zaczęło – potwierdziła, przypominając sobie te późne popołudnia, kiedy pielęgnowała swój ogród, i rozmowy podsłuchane przez okno.

– On chciał przyjechać, wiesz?

Nie odpowiedziała.

– Razem z Percym przekonaliśmy go, że to nie najlepszy moment. Okropnie się o ciebie martwi, Rachel. Nie może zrozumieć, dlaczego nie chcesz się z nim spotkać, albo przynajmniej porozmawiać przez telefon. I szczerze mówiąc, moje dziecko... ja też nie – mówił dalej zatroskany. – Przecież to nie wina Matta. Percy zapewnia, że jeśli tylko przyjedziesz do Howbutker i wysłuchasz historii Mary, na pewno zrozumiesz jej decyzję i że zrobiła to tylko z miłości do ciebie.

– Naprawdę? – czuła, jak wykrzywia usta. – Być może kiedyś dałabym się do tego

przekonać, ale teraz na pewno nie.

– Teraz? A co się zmieniło?

– Wkrótce się pan dowie. Przepraszam, ale muszę wracać do reszty.

Biedny Amos, między młotem a kowadłem, myślała, zapalając silnik swojego BMW. I Matt też...

Przez ostatnie dwa miesiące starała się o nim nie myśleć, ani o ich rozstaniu. Po tym jak otworzyła drzwi i cofnęła się, a do domu weszła cała brygada mężczyzn, wszystko pamiętała jak przez mgłę. Matt próbował ją objąć, ale ona wybrała ramiona Amosa. Udało się jej jakoś zadzwonić do Carrie Sutherland, swojej najlepszej przyjaciółki i współlokatorki z czasów studiów, która przeleciała chyba z Dallas nad autostradą, bo zjawiała się u niej dwie godziny później. Pamiętała udrękę w oczach Matta, gdy zostawiła go na dole i z Amosem poszła do swojego pokoju, żeby tam poczekać na Carrie. A potem... przez zasłonę własnego bólu przypominała sobie, jak zbiegła na dół, by przywitać Carrie i rzuciła się w jej ramiona, a nie w ramiona Matta, które tak bardzo chciał do niej wyciągnąć.

– Matt, najlepiej będzie, jeśli już pójdiesz – powiedziała do niego w końcu.

Kiedy wreszcie mógł z nią porozmawiać, złapał ją za ramiona i pochylił głowę, by spojrzeć w jej puste oczy.

– Rachel, dziadek powiedział mi o testamencie... że odziedziczył Somerset. Pomijając wszystko inne, nie potrafię sobie wyobrazić, jak okropnie musisz się czuć... to na pewno szok. Ja też jestem zszokowany i bardzo ci współczuję, ale to nie ja jestem twoim wrogiem, pamiętaj. Potrzebujesz mnie, Rachel. Możemy przejść przez to razem.

Odpowiedziała mu bezbarwnym głosem lunatyka.

– Są rzeczy, o których nie wiesz. Staniesz się wrogiem, to nieuniknione. Nie będziesz miał wyboru.

Spojrzał na nią, jakby wymierzyła mu policzek.

– Co?

– Żegnaj, Matt.

W ciągu kilku kolejnych tygodni reszta tego niewyobrażalnego czasu wracała do niej w formie niewyraźnych skrawków wspomnień, tylko niektóre momenty pamiętała dokładniej, na przykład rozmowę z Carrie następnego dnia, gdy wracały po identyfikacji zwłok.

W samochodzie panowała grobowa cisza, gdy Carrie zapytała:

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego wczoraj na werandzie trzasnęłaś temu przystojniakowi drzwiami przed nosem?

– Nie trzasnęłam mu drzwiami przed nosem. I nie, nie mogę ci powiedzieć. Ale jeśli jesteś zainteresowana, proszę cię bardzo, startuj.

Carrie zapięła z zachwytem.

– No naprawdę, słonko, jak to miło z twojej strony, ale nie odniosłam wrażenia, że interesują go inne kobiety. On za tobą szaleje, Rachel. Dlaczego go odpychasz?

– Muszę. Jeśli nie zrobię tego teraz, później wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje.

– Później?

– Kiedy odbiorę swoją własność.

Gdy po raz ostatni spojrzała na dom i ulicę, gdzie się wychowała, poczuła w oczach piekące łzy. Po drodze wpadnie do agentki i zostawi klucze. Wybierała się do Dallas, by na jakiś czas zamieszkać u Carrie, ale głównym powodem tej podróży było spotkanie z jej ojcem. Taylor Sutherland, znany adwokat, zajmował się prawem handlowym, a specjalizował w oszustwach w handlu nieruchomościami. Umówiła się z nim, bo chciała mu pokazać dokumenty ze skórzanej kasety.

Matt wjechał na podjazd domu Rachel, który dzięki wskazówkom Amosa z łatwością odnalazł. Zaparkował wynajęty van i wysiadł, od razu czując uderzenie gorącego powietrza i zapiaszczonego wiatru, który w zachodnim Teksasie nigdy nie ustawał. Serce waliło mu jak oszalały perkusista. W końcu znów zobaczy Rachel. Jeśli go nie wpuści, użyje siły. Muszą porozmawiać. Powinna powiedzieć mu prosto w oczy, dlaczego nie chce już mieć z nim nic wspólnego. To na pewno coś więcej niż tylko ciocia Mary i zapis dla dziadka. Wciąż chodziły mu po głowie jej ostatnie słowa wypowiedziane do niego w dzień wypadku: „Są rzeczy, o których nie wiesz. Staniesz się wrogiem, to nieuniknione. Nie będziesz miał wyboru”.

– Dziadku, o co jej mogło chodzić? – zapytał, gdy opowiedział mu o tym. – O czym nie wiem?

– Nie mam pojęcia.

A najbardziej denerwowała go tajemnicza uwaga do Amosa, kiedy rozmawiał z nią po pogrzebie w Kermit. Rachel powiedziała mu, że być może kiedyś byłaby skłonna uwierzyć, że ciocia Mary zrobiła to z miłości do niej, ale nie teraz, a gdy Amos zapytał, co się zmieniło, ona odparła „Wkrótce się pan dowie”.

– Dlaczego nagle teraz? To by znaczyło, że odkryła coś, co pozwala jej potępić panią Mary – a może i nas.

Wzruszenie ramion.

– Nie wiem, synu.

Wcale nie był taki przekonany, że dziadek rzeczywiście nic nie wie. Przez ostatnie dwa miesiące znów miał wrażenie, że odzywają się tajemnice z przeszłości.

Trawę niedawno skoszono. Czuł jej duszny, lekko spalony zapach, co przypomniało mu słowa Amosa: „Cóż za opuszczone przez Boga miejsce! Nadaje się chyba tylko dla grzechotników”. Matt w pełni się z nim zgadzał. Jadąc z lotniska przez obrosniętą porostami pustynię o urodzie księżycowego krateru, zastanawiał się, jak taka jałowa ziemia mogła wzbudzić w Rachel pasję do rolnictwa. To musiała być krew, nie krajobraz.

Podszedł do schodków prowadzących na ganek, zaniepokojony, bo miejsce wydawało się opuszczone. Zielone okiennice chyba świeżo pomalowane, podobnie jak brama do garażu. W oknach brak firanek, a szyby lśnią czystością. „Nie, tylko nie to...” Jęknął i rękami osłonił oczy, by zajrzeć przez niewielkie szybki w drzwiach. Pierwszy pokój był pusty, jak ptasie gniazdo zimą, ani jednego mebla. Zawiedziony i wciąż nie dowierzając, przeszedł dookoła domu, zaglądając w okna – wszystkie pomieszczenia zostały opróżnione i pomalowane na ascetyczny, biały kolor.

– Mogę panu w czymś pomóc?

Odwrócił się gwałtownie od okna z tyłu domu i zobaczył otyłą kobietę w szerokim fartuchu w duże, kolorowe wzory. Ręce oparła na biodrach.

– Eee, ja... tak, wydaje mi się, że tak – wyjąkał. – Ta pani, która tutaj mieszka, Rachel Toliver. Chyba się wyprowadziła. Wie pani, dokąd?

– A kto pyta?

– Jestem Matt Warwick – otrzepał ręce z okiennego kurzu i wyciągnął jedną w jej stronę.

– Przyjaciel rodziny z Howbutker.

Przypuszczał, że to sąsiadka i zapewne zna jego nazwisko.

Kobieta powoli zdjęła rękę z biodra i pozwoliła mu ją uścisnąć.

– Słyszałam o Warwickach z Howbutker. Nazywam się Bertie Walton, znajoma i sąsiadka. Mieszkam tu obok – i głową wskazała kierunek. – Po co pan szuka Rachel?

Matt zawahał się przez chwilę, a potem postanowił powiedzieć jej prawdę.

– Przyjechałem sprawdzić, jak sobie radzi i może zabrać ją do domu. Powinna być teraz

z ludźmi, którzy ją kochają.

Kobieta najwyraźniej się uspokoiła.

– To prawda – zgodziła się z nim, po czym zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i jakby podejmując decyzję, dodała: – No tak, przykro mi, ale Rachel odjechała nieco ponad godzinę temu. I myślę, że na zawsze. Musiała wyruszyć, kiedy byłam w sklepie, więc nawet nie zdążyłam się z nią pożegnać – w jej tonie usłyszał, że głęboko ją to zraniło.

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Niestety. Wczoraj powiedziała, że się odezwie, ale... biorąc pod uwagę jej stan, nie liczę na to.

Nadzieja Matta na spotkanie prysła.

– Zna pani kogoś, kto może wiedzieć, gdzie pojechała?

– Nie. Poza mną Rachel nie miała już znajomych w Kermit. Przyjaźniłam się z jej matką. Dom idzie na sprzedaż, na pana miejscu zajrzałabym do agencji nieruchomości. W mieście są tylko dwie. Musiała zostawić im jakiś numer telefonu.

Matt zaczął szukać w kieszeniach długopisu i jakiejś kartki.

– Czy mogłaby mi pani podać ich namiary i powiedzieć, jak tam dojechać?

– Mogę zrobić nawet coś więcej. Proszę ze mną, narysuję panu mapkę. Inaczej pan ich nie znajdzie.

I poturlała się w kierunku domu, a Matt udał się za nią. Po kilku minutach siedział już przy kuchennym stole, patrząc, jak nalewa parzoną na słońcu herbatę do szklanek, które wyciągnęła ze specjalnego kredensu.

– Pani Walton, dlaczego Rachel się wyprowadziła? Przypuszczałbym, że... w tych okolicznościach... będzie wolała zostać tutaj, gdzie wszyscy ją znają.

– Mam na imię Bertie – odparła, stawiając na stole mrożoną herbatę, a pod pachą trzymając notatnik i długopis. Usiadła na krześle z poręczami, przybory do pisania położyła na stole. – Nie mogę powiedzieć, że dziwi mnie jej wyjazd. Rachel wyprowadziła się z Kermit już dawno temu. Nic jej tu nie trzyma, o ile w ogóle kiedykolwiek trzymało. Myślałam, że zostanie po prostu dlatego, że nie ma się gdzie podziać, ale bardzo się jej spieszyło.

– Powiedziała pani, że... biorąc pod uwagę jej stan... Jak wyglądała?

Bertie zaczęła rysować ulice i główne punkty orientacyjne.

– Kiedy ostatnio ją pan widział?

– Dwa miesiące temu, kiedy przyjechała na pogrzeb swojej ciotecznej babki.

– Więc niech pan odejmie tej ślicznej figurce dziesięć kilogramów, doda wychudzoną, zapadniętą twarz i ciemnobrązową skórę. W ogóle nie przypomina tej dziewczyny, która była tu na Boże Narodzenie.

– Rachel nie jest już tą samą dziewczyną – powiedział cicho Matt. – A skąd ta brązowa skóra?

– Z pracy przy domu. Dach, okiennice, trawnik. Nikomu nie pozwoliła ich dotknąć. Ale nie można powiedzieć, żeby... żeby była w rozsypce. Trzymała się, naprawdę, jakby coś w środku nie pozwalało się jej załamać. Poznałam to po tym, jak wbijała te gwoździe.

Matt zmarszczył czoło.

– I nie wie pani, co to mogło być? Może coś mówiła? Każda informacja może mi bardzo pomóc.

Bertie zastanowiła się.

– Wyglądało to tak, jakby jakaś wewnętrzna siła pchała ją do przodu, ale... to nie sam twardy charakter, jeśli mnie pan rozumie. I nie zwykły zdrowy rozsądek, który nakazuje iść dalej, czy chce się tego czy nie. To nie było to. Nie, nie, ona miała jakiś cel przed sobą, coś co musi

załatwić, jak skończy tutaj – wcisnęła końcówkę długopisu i wydarła kartkę. – Inaczej nie umiem tego ująć.

– Bardzo dobrze panią zrozumiałem, pani Bertie. Dziękuję za pomoc – powiedział, dokończył pić herbatę i wstał. – Niech mi pani zapisze swój numer, jeśli się czegoś dowiem, dam pani znać.

Bertie zmrużyła oczy, przyglądając mu się, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, zanim odprowadzi go do drzwi.

– Jest pan tym chłopcem, o którym pierwszy raz usłyszałam bardzo dawno temu, gdy Rachel przyjechała z Howbutker, prawda? Miała chyba dziesięć lat i o mój Boże! Nie była z tych, co to rozplývają się na temat chłopców, ale o panu nie mogła przestać opowiadać. Przed chwilą mówił pan, że chce ją zabrać tam, gdzie są ludzie, którzy ją kochają. Czy pan też się do nich zalicza?

– Jestem pierwszy na liście.

– To widać. Niech pan idzie, młody człowieku i wytłumaczy jej, że... że mimo start, jakie poniosła... wciąż ma wszystko.

– Tak właśnie zamierzam zrobić, proszę pani – odpowiedział Matt lekko łamiącym się głosem. Złożył kartkę z mapą i wsunął do kieszeni, a potem położył jej rękę na ramieniu. – Niech pani siedzi. Sam wyjdę, a pani ma moje słowo, że tak czy inaczej, odezwę się.

– Mam nadzieję, że to będzie zaproszenie na ślub.

Uśmiechnął się do niej.

– Postaram się.

W drugiej agencji trafił w dziesiątkę, ale na nic się to nie zdało. Gdy dojechał do składającego się z dwóch stanowisk biura, kobieta, która zajmowała się domem Rachel, dopiero co wyjechała wystawić tablicę „NA SPRZEDAŻ”. Domyślił się, że udostępnienie adresu i telefonu sprzedającego jest wbrew przepisom, ale postanowił użyć całego swojego uroku, żeby wydobyć z kogoś tę informację. Uśmiechnął się do kobiety za biurkiem i wyjaśnił, że jest znajomym Bertie Walton, która powiedziała mu, że dom jest na sprzedaż. Czy mogłaby się od razu skontaktować z właścicielem? Chciałby złożyć ofertę, zanim wyjedzie z miasta.

Na twarzy agentki pojawił się wyraźny zawód. Szkoda, że pan nie wiedział. Niecałe dwie godziny temu mógł jeszcze porozmawiać z właścicielką tu, na miejscu. Ale teraz już wyjechała – nie powiedziała, dokąd. To było naprawdę dziwne. Nie zostawiła nawet numeru telefonu, mówiąc tylko, że skontaktuje się z nimi, jak trochę się zorganizuje. Ale... jeśli chciałby złożyć ofertę, może sporządzić dla niego umowę i przedstawić ją właścicielce najszybciej, jak to będzie możliwe.

Czy domyśla się, kiedy to może być? – pytał Matt.

Twarz agentki wydłużyła się. Niestety nie.

Uśmiechnął się z żalem, wyjaśniając że takie rozwiązanie mu nie odpowiada, ale weźmie wizytówkę.

Już na ulicy, sfrustrowany, wciągnął głęboko suche jak pieprz powietrze. Był niemal pewien, że Rachel jedzie do swojej koleżanki w Dallas, tej pociesznej blondynki w bryczesach i wysokich butach, która przyjechała po wypadku do Howbutker. Carla albo Cassie, czy jakoś tak. W tym emocjonalnym zamęcie nie zakodował nawet jej imienia. Może Amos będzie pamiętał. Kiedy zdobędzie nazwisko, reszta powinna być prosta. Zadzwoń do biura numerów, podadzą mu adres, kupi bilet do Dallas i będzie tam jeszcze dziś wieczorem.

W samochodzie wybrał numer na swoim przenośnym telefonie. Kiedy dziadek odebrał, poprosił, by dał mu Amosa, bo wiedział, że zastanie go w Warwick Hall. Dziadek od razu przekazał słuchawkę.

– W czym mogę ci pomóc, Matt?

– Rachel wystawiła dom na sprzedaż i wyjechała, nie mówiąc nikomu dokąd, ale być może będzie mi pan mógł pomóc ją znaleźć. Pamięta pan nazwisko tej koleżanki Rachel, która po nią wtedy przyjechała – tego wulkanu energii? Jestem pewien, że Rachel jest u niej.

Matt słyszał, jak bardzo Amos próbuje sobie przypomnieć.

– Przepraszam cię, Matt, ale ja chyba też nie zapamiętałem.

Matt uderzył ręką w kierownicę, mamrocząc pod nosem przekleństwo, ale do Amosa zwrócił się, jakby to nie miało znaczenia.

– Niech się pan nie przejmuj, może Sassie albo Henry mi pomogą.

Ale Henry też nie mógł sobie przypomnieć

– Wiem tyle, że panna Carrie – powiedział. – Jakoś nie mam pamięci do nazwisk tych obcych. A może ciocia Sassie by pamiętała? Jest u mojej mamy. Chce pan tam zadzwonić?

– Daj numer, Henry.

I tu jednak trafił w ślepy zaułek. Sassie była tak skołowana tym, co się wtedy działo, że nie wiedziała, gdzie ma głowę, powiedziała Mattowi.

W takim razie zostaje detektyw, stwierdził Matt, wrzucając wsteczny. Skontaktują się z agencją i w ten sposób ją odnajdą. Wybrał numer swojego biura w Howbutker, wyobrażając sobie Rachel na dachu, jak mściwie atakuje gwoździe. Czy to był jej cel, ta siła, która trzymała ją przy życiu – zemsta? Na kim? Serce podpowiadało mu, że wie. Miał mrozące krew w żyłach przecucie, że celem jest dziadek.

– Nancy – powiedział do sekretarki, gdy odebrała telefon – odłóż wszystko na bok i znajdź mi numer rzetelnej agencji detektywistycznej w Dallas i oddzwoń. Jadę do domu.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Dallas, Teksas, sobota

Następnego dnia, gdy Rachel się obudziła, ze zdumieniem skonstatowała, że emaliowany budzik na nocnej szafce wskazuje godzinę dziewiątą. Oparta na łokciu, zdezorientowana rozglądała się po zimnym białym pomieszczeniu, aż przypomniała sobie, że znajduje się w gościnnym pokoju nowoczesnego domu Carrie Sutherland. Zastanawiała się, czy wstać, pchana charakterystycznym dla farmerów poczuciem winy z powodu wylegiwania się w łóżku i marnowania dnia. Ostatnio tak długo spała, gdy była jeszcze w liceum i to tylko w soboty. Ale po chwili opadła z powrotem na poduszkę. Przecież nie było już pół, którymi trzeba się zajmować.

Jak zwykle, gdy się obudziła, przytłoczył ją szary obłok depresji. Nauczyła się już, że jeśli poleży bez ruchu i oczyści umysł, w końcu przez posępny nastrój przebiję się promyk racjonalnej myśli. Tego ranka myśl ta skoncentrowała się na tym, dlaczego przyjechała do Dallas dzień wcześniej, skoro wiedziała, że Carrie wróci dopiero w niedzielę popołudniu, na kiedy zresztą zaplanowały jej przyjazd. Ponieważ jednak przez ostatnie dwa miesiące do wszystkiego zabierała się z niegasnącą furią, prace w domu rodziców skończyła wcześniej, niż przewidywała i nie miała dokąd pójść. Teraz zastanawiała się, jak wypełni wolny czas i zniesie w tym igloo swoją samotność, nie tracąc przy tym resztki zdrowych zmysłów.

Usłyszała telefon na korytarzu, więc pozwoliła mu chwilę dzwonić, ale potem zwykła potrzeba, by usłyszeć ludzki głos, skłoniła ją do odrzucenia koldry i podniesienia słuchawki. Odchrząknęła po nocy.

– Halo, dom Carrie Sutherland.

Po drugiej stronie zapanowało milczenie, a potem usłyszała znajomy męski głos, który zawsze kojarzyła z szelkami i flanelową koszulą, z wyraźną przyjemnością wypowiedział jej imię.

– Rachel? To ty?

Wykrzywiła twarz, żalując że odebrała. Taylor Sutherland, ojciec Carrie, jak widać nie był świadomy, że córka wyjechała do Las Vegas i oddaje się, wraz ze swoim chłopakiem, hedonistycznym przyjemnościom w MGM Grand Hotel and Casino. Jako konserwatywny południowiec i baptysta, nie pochwaliby tego.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Przyjechałam wcześniej, ale Carrie niestety nie ma. Musiała chyba wyjść wcześniej rano.

– O, z pewnością. Poleciała gdzieś na weekend, a ciebie zostawiła na pastwę losu.

– To moja wina. Miałam przyjechać dopiero jutro po południu.

– No cóż, nie będę brał cię na spytki, gdzie i z kim jest Carrie. Dasz sobie radę w tej lodówce? Nastaw termostat, jak ci wygodnie i nie przejmuj się ostrzeżeniem o trzymaniu łap z daleka. To śmieszne, żeby w mieszkaniu było tak zimno z powodu jakichś obrazów.

Rachel się uśmiechnęła. Taylor Sutherland dobrze zna swoją córkę. Chodziło mu o chromowaną tabliczkę PROSZE NIE REGULOWAĆ, która wisi obok termostatu. Carrie jest poważnym kolekcjonerem sztuki i obrazy w jej domu chronione są przed zmianami temperatury. Zapytał teraz głosem pełnym ojcowskiego niepokoju:

– Jakie masz plany na dzisiaj?

– Prawdę mówiąc, nie mam.

– W takim razie, ponieważ u Carrie nie znajdziesz nic godnego przeczytania, a i lodówka, jak ją znam, świeci pustkami, może przyszlabyś do mnie do biura? Mam tu dziś trochę

papierkowej roboty, więc moglibyśmy porozmawiać o twojej sprawie. Napijemy się dzinu z tonikiem, a potem skoczmy na hamburgera. Co ty na to?

Rachel odetchnęła z ulgą.

– Świetny pomysł.

– Więc spotkajmy się o jedenastej – zaproponował i podał jej adres oraz najłatwiejszą drogę dojazdu, a zanim odłożył słuchawkę, dodał: – Ubierz się lekko, bo na weekend wyłączają nam klimatyzację.

Rachel miała wiele szacunku dla Taylora Sutherlanda. Robił wrażenie chłopaka ze wsi, który przyjechał do miasta, ale pod tą nieco prostacką powierzchownością krył się błyskotliwy umysł prawniczy, który niejednego łatwowiernego oponenta zapędził w kozi róg. Był wdowcem, a Carrie jego jedyną córką. Wiedząc, że ma bzika na punkcie punktualności, Rachel przyszła nieco wcześniej i miała jeszcze pięć minut, zanim dokładnie o jedenastej wypełnił sobą poczekalnię, nieźle ogrzaną i bardzo spokojną w ten sobotni poranek.

– Rachel, drogie dziecko! Nie będę pytał, co u ciebie, bo chyba wiem aż nadto dobrze, ale wyglądasz całkiem nieźle jak na dziewczynę po takich przejściach.

– Mówi pan tak z grzeczności – powiedziała, odwzajemniając jego niedźwiedzi uścisk.

– Chciałabym, żeby moje lustra były takie uprzejme.

– Jesteś zbyt krytyczna. Ale wchodź, proszę, a ja zaraz przygotuję nam dla ochłody dżin z tonikiem.

Mieszając drinki, Taylor z pobłażaniem opowiadał o „dzikich i podejrzanych wybrykach” Carrie, a Rachel miała wrażenie, że w ten sposób odkłada w czasie rozmowę o tym, po co tu naprawdę przyszła. Umówiła ich Carrie, zapoznając ojca z rozporządzeniami testamentu cioci Mary i wyjaśniając, że Rachel znalazła kompromitujące dokumenty, które mogą stać się podstawą wytoczenia procesu Percy’emu Warwickowi. Miała przeczucie, że Taylor zna Percy’ego.

W końcu podał jej szklankę, usiadł i odchylił się w swoim fotelu, zakładając ręce na brzuchu, ciasno opiętym koszulą w kratę.

– No tak, Carrie mówiła mi, że bez twojej wiedzy twoja ciocia sprzedała ci sprzed nosa Toliver Farms, a rodzinną plantację, którą spodziewałaś się odziedziczyć, zapisała Percy’emu Warwickowi.

Jej optymizm ulotnił się, gdy usłyszała, jak wymawia nazwisko Percy’ego.

– Więc zna pan Percy’ego Warwick’a?

– Znam.

– Czy będzie to konflikt interesów jeśli – gdyby okazało się, że mam z czym iść do sądu – zdecyduje się pan wziąć moją sprawę?

– W tej chwili trudno powiedzieć, jest na to zbyt wcześnie. Odłóżmy to na razie i powiedz, o co chodzi.

– Dobrze, ale najpierw jeszcze jedno pytanie: chciałabym wiedzieć, czy to co powiem, obejmuje tajemnica zawodowa, niezależnie od tego, czy zostanę pana klientką.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Oczywiście, ponieważ mam zamiar obciążyć cię honorarium za konsultację, które automatycznie nakłada na mnie obowiązek dochowania tajemnicy – wynosi ono lunch z hamburgerem w roli głównej.

– W porządku – zgodziła się, chichocząc, a potem dodała poważnie: – Ale ponieważ dotyczy to Percy’ego Warwick’a, jak długo się znacie? Jesteście przyjaciółmi?

– Nie, przyjaciółmi nie. Raczej znajomymi, których ścieżki od czasu do czasu się krzyżują – odpowiedział jej równie poważnie. – A jeśli chodzi o mnie, szczerze go podziwiam.

Zrobił więcej niż którykolwiek inny przedsiębiorca z jego branży w kwestii ochrony lasów i rozsądnej gospodarki odpadami. Co twoja sprawa ma z nim wspólnego?

Rachel wypła dla kurażu łyk dżinu z tonikiem.

– Myślę, że świadomie kupił od mojej ciotecznej babki grunt, którego ona nie miała prawa sprzedać. Działka należała do mojego ojca, Williama Tolivera. Mam powody, by sądzić, że ojciec nigdy się o tym nie dowiedział.

Taylor siedział przez chwilę w milczeniu, wyglądając jak człowiek, który słyszy jakiś język, ale nie potrafi go zidentyfikować.

– Jakie masz dowody na poparcie swoich podejrzeń i jak weszłaś w ich posiadanie?

Rachel opisała mu zwięźle wydarzenia, które doprowadziły ją do odkrycia zielonej kasetki i jej zawartości.

– Masz te materiały ze sobą?

Rachel otwarła torebkę i wyciągnęła kopie testamentu Vernona Tolivera oraz dwóch listów. Taylor założył okulary do czytania, a ona spokojnie sączyła swój drink.

– No i? – zapytała, kiedy odłożył papiery.

Usłyszała miękki odgłos tarcia o skórę fotela, gdy wstawał, by wrócić do barku. Wskazał jej szklankę, pytając, czy życzy sobie drugą porcję. Pokręciła głową i obserwowała, jak dużo czasu zabierają mu kolejne punkty procedury napełniania szklanki dżinem i tonikiem. Pamiętała, że rzeczywiście nienaturalnie długo słodził zawsze swoją mrożoną herbatę, jednak podejrzewała, że teraz robi to specjalnie.

– No więc? Mam sprawę, czy marnuję tylko czas, pana i swój?

– Hm, co do twojego, to nie wiem, ale mojego czasu na pewno nie uważam za zmarnowany – odparł z ojcowskim błyskiem w oku, który pogłębił jego kurze łapki. – Najpierw muszę ci zadać kilka pytań. Po pierwsze, czy znalazłaś akt własności?

– Nie, w kasetce go nie było.

– A czy w tej twojej zielonej kasetce znalazłaś akt zgonu dziadka?

Rachel pokręciła głową.

– A dokumenty potwierdzające, że twoja cioteczna babka została opiekunem prawnym ojca?

Zdziwiona, że w ogóle o nich nie pomyślała, zaprzeczyła.

– Ale ojciec prawnie znajdował się pod jej opieką?

Między brwiami Rachel pojawiła się bruzda.

– On zawsze tak uważał.

– Pytam, ponieważ jako opiekun ojca mogła uznać, że sprzedaż tego gruntu leży w jego najlepszym interesie. Oczywiście, żeby to zrobić, i tak musiałaby mieć zgodę sądu. Mnie osobiście problematyczne wydają się te daty.

Rachel przysunęła się bliżej, by przyjrzeć się datom wskazywanym końcówką długopisu.

– List dziadka datowany jest na trzynastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, list Percy'ego na szóstego lipca. Możemy domniemywać, że tytuł własności został przeniesiony wkrótce potem. Nawet jeśli Miles zmarł w kilka dni po napisaniu listu do siostry, o jego śmierci powiadomiono by ją oficjalnie dopiero kilka tygodni później. Młyny biurokracji mieliły wtedy jeszcze wolniej niż dziś, szczególnie że zmarł we Francji.

Rachel czuła, jak rozszerzają się jej oczy.

– Chce pan powiedzieć, że nawet jeśli ciotka była prawnym opiekunem ojca, to w czasie, kiedy przekazała akt własności Percy'emu, jeszcze nim nie była?

– Dokładnie tak.

– A jeśli ciocia została opiekunem po sprzedaży ziemi, czy to uprawomocniłoby

transakcję?

– Nie. Takie postanowienie nie działa wstecz. Przekazanie aktu nadal byłoby bezprawne. Rachel sięgnęła po rozwodniony już nieco dzin z tonikiem, by zwilżyć zaschnięte gardło.

Odstawiając szklankę, zapytała:

– Czy to znaczy, że mogę wytoczyć sprawę o oszustwo?

Taylor podniósł list jej dziadka.

– Przede wszystkim, czy masz inny podpis Milesa Tolvera, z którym można by porównać ten?

Rachel przypomniała obie księgi rachunkowe w gabinecie na Houston Avenue.

– Wiem, gdzie mogę zdobyć próbki jego pisma. To załatwia problem, co dalej?

Taylor zawahał się, a Rachel przyszło na myśl, że może walczyć teraz z własną niechęcią do ciągnięcia po sądach Percy'ego Warwicka.

– Musisz się upewnić, że tytuł własności rzeczywiście przekazano, a jeśli tak, że grunt w nim opisany to faktycznie działka zakupiona przez Percy'ego Warwicka. W tym celu pojedziesz do sądu okręgowego i sprawdzisz, czy w tym czasie miała miejsce jakaś transakcja dotycząca nieruchomości między twoją cicią a Percym Warwickiem. Potem znów porozmawiamy.

– Ale jeśli znajdę taką transakcję, czy to wystarczy, by udowodnić oszustwo?

I znów Taylor nie spieszył się z odpowiedzią.

– Choć na dokumencie widnieje nazwisko Mary DuMont, jej brat przekazał dokładne instrukcje, że powinna zatrzymać ziemię dla syna Milesa do czasu, gdy ten ukończy dwadzieścia jeden lat. Jeśli Mary DuMont sprzedała ją jako swoją własność, bez zgody sądu, to jest to oszustwo.

– Czy jest jakiś okres, po którym takie oszustwo się przedawnia? – zapytała, wstrzymując oddech.

– Jest, ale czas liczy się od momentu ujawnienia nielegalnej transakcji. Gdzie leży ta działka nad rzeką? Jest na niej coś?

Rachel powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Wydaje mi się, że Warwick Industries wybudowało na niej ogromną ścieralnię drewna i papiernię, a także kompleks biurowy. W pobliżu jest też osiedle.

Spodziewała się, że Taylor będzie zaskoczony, ale on jedynie kręcił szklanką na wilgotnej serwetce.

– Do czego będę miała prawo, jeśli oszustwo zostanie udowodnione?

Taylor odpowiedział jej, lekko mrużąc oczy.

– Jeśli własność przeniesiono bezprawnie jako spadkobierczyni ojca będziesz miała prawo nie tylko do ziemi, ale również do wszystkich zbudowanych na niej obiektów. Osiedle może zostać z tego wyłączone.

Rachel zamknęła oczy i ścisnęła dłonie. Hurra! To więcej, niż mogła sobie życzyć. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła, że ma po co żyć. Podniosła powieki, by spojrzeć wprost na prawnika.

– Jakby się pan czuł prywatnie, gdybym pozwała Percy'ego Warwicka, chcąc odzyskać swoją własność?

Taylor zmarszczył brwi.

– Ale... chyba nie masz na myśli ziemi? Dosłownie?

– Ależ tak. Nie interesuje mnie ugoda finansowa.

Adwokat przyglądał się jej dłuższą chwilę, znów odchylając się w swoim fotelu i łącząc dłonie na wystającym brzuchu.

– Pamiętaj, że sama mnie zapytałaś – ostrzegł – więc odpowiadam. Mimo że jesteś do tego uprawniona, bardzo bym się na tobie zawiódł, Rachel. Twój krok mógłby poważnie zagrozić najefektywniej zarządzanej i jednej z najważniejszych dla gospodarki tego stanu firm, że nie wspomnę, że rzuci cię na ostatnie lata życia jednego z największych ludzi Teksasu – przerwał, by dać jej szansę na sprzeciw, ale widząc, że spokojnie milczy, kontynuował: – Wiem też, że odziedziczysz duże pieniądze, po pierwsze dzięki hojności twojej ciotecznej babki, a po drugie – ze smutkiem pokiwał głową – w wyniku tej tragicznej, przedwczesnej śmierci ojca i młodszego brata. Oczywiście nie wiem, dlaczego w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku Percy Warwick zawarł taką umowę z Mary DuMont – o ile, rzecz jasna, ją zawarł – ale podejrzewam, że musiał mieć dobry powód. To były trudne czasy i być może było tak, że sprzedaż tej działki uratowała twoją ciocię Mary od finansowej katastrofy, a wraz z nią, oczywiście, jej spadkobierców, a więc i ciebie.

Znów przerwał i wziął swoją szklankę, jego oczy ponad jej krawędzią nie miały już w sobie ciepła ani ojcowskiej troski.

– To chyba wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie. I możesz się czuć zwolniona z lunchu.

Rachel spojrzała na niego niezrażona krytyką.

– Zobaczymy – odparła. – Dziękuję za szczerość. Cieszy mnie, że zwróciłam się do właściwego człowieka, jeśli będę mogła wnieść pozew.

Taylor opuścił szklankę.

– To znaczy?

– Nie chcę skrzywdzić Percy’ego Warwicka ani odbierać jego wnukowi spadku. Co niby miałabym zrobić ze ścieralnią czy papiernią? Chcę doprowadzić do wymiany – moja rodzinna plantacja Somerset w zamian za kompleks przemysłowy Percy’ego nad rzeką Sabine.

Taylor obserwował ją w milczeniu, a potem uśmiechnął się.

– O – rzekł. – Coś takiego chyba strawię.

Rachel spojrzała na zegarek.

– A propos. Jest po dwunastej, więc pewnie jest pan już gotów na hamburgera, ja stawiam.

Taylor wstał pośpiesznie.

– Nie tylko hamburgera, ale i na frytki, krążki cebulowe, słodowe piwo oraz podwójne ciasto czekoladowe z lodami na deser.

Rachel przewiesiła przez ramię swoją torebkę.

– I pan narzeka na to, jak się odżywia Carrie?

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Rachel weszła do ratusza. Kierując się strzałkami, podążyła do biura sądu w Howbutker. Było wczesne poniedziałkowe popołudnie, dwa dni po spotkaniu z Taylorem Sutherlandem. Specjalnie wybrała tę porę dnia, bo wtedy najłatwiej niezauważenie wśliznąć się do Howbutker, a potem się z niego wymknąć. Nastął już październik, ale wciąż panował męczący upał i mało kto wypuszczał się o tej porze na ulicę. Większość drzemała w domu, po lunchu, albo za ladą sklepiku, próbując utrzymać przyjemny chłód. Zarezerwowała pokój w motelu w sąsiednim hrabstwie na wypadek, gdyby misja tak ją zmęczyła, że nie będzie w stanie wrócić tego dnia do Dallas – od domu Carrie dzieliły ją trzy godziny podróży.

Rachel nigdy w życiu nie widziała urzędniczego sądu w Howbutker, ale była pewna, że sama zostanie rozpoznana przez nią bez trudu. Nawet jeśli dwa miesiące wcześniej nie przysłała złożyć jej kondolencji, wystarczyło, by spojrzała tylko na wiszący za nią portret ciotecznej babki Rachel z 1914 roku, upamiętniający oddanie budynku. Szkoda, że nie może pozostać anonimowa. Gdyby Matt dowiedział się, że jest w mieście, na pewno by jej szukał, dlatego właśnie zamieniła swoje zielone BMW, znane Amosowi, na czarnego chevroleta suburbańskiego Carrie i zarezerwowała motel w innym hrabstwie. Nie mogła ryzykować, bo nie wiedziała, jak spotkanie z nim mogłoby wpłynąć na jej decyzję. Jeśli podejrzenia się potwierdzą, i tak nie było dla nich nadziei. Ona już zawsze będzie patrzeć na Percy'ego inaczej, a Matt nigdy jej nie wybaczy, że ciągała jego dziadka po sądach i ujawniła udział w oszustwie. Była pewna, że do tego nie dojdzie, ale już sama groźba wszystko między nimi zepsuje. Musi zakończyć tu swoje sprawy, zanim Matt, jego dziadek albo Amos się wmisczą.

Kobieta w średnim wieku, ubrana w letnią sukienkę, z ciekawością przyglądała się jej zza kontuaru, najwyraźniej nie mogąc umiejscowić jej wymizerowanej twarzy i sylwetki.

– Słucham panią, w czym mogę pomóc? – zapytała, szukając wzrokiem obrączki na jej lewej dłoni, którą położyła na zniszczonym sosnowym blacie.

– Dzień dobry – powiedziała Rachel. – Chciałabym zobaczyć zapis o przeniesieniu tytułu własności działki z Mary Toliver DuMont na Percy'ego Warwicka w tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Transakcja odbyła się około siódmego lipca.

Błyśk w oczach urzędniczki powiedział jej, że w końcu sobie przypomniała. Poklepała ją po ręce.

– Pani Toliver, w imieniu miasta proszę przyjąć nasze najszczerze kondolencje z powodu wszystkich tych tragicznych wydarzeń – powiedziała z naciskiem na „wszystkich”, w których zawarta była zapewne jej zawiedziona nadzieja na odziedziczenie Somerset.

– Dziękuję – odparła Rachel tonem, jaki nauczyła się przybierać, gdy chciała uciąć dalsze wyrazy współczucia.

– Chwileczkę, już sprawdzam rejestr z tego okresu.

Po krótkiej chwili, w czasie której Rachel wytrwale obserwowała wejście, wróciła z ciężką księgą.

– Strona trzysta sześć – poinformowała. – Gdyby potrzebowała pani pomocy...

– Dziękuję, poradzę sobie. Strona trzysta sześć.

Zaniosła rejestr na stolik oddalony od ciekawskich oczu kobiety i natychmiast znalazła odpowiedź na swoje pytanie. Strona 306 głosiła, że 14 lipca 1935 roku Mary Toliver DuMont sprzedała Percy'emu Warwickowi działkę o powierzchni dwustu sześćdziesięciu hektarów. Opis położenia działki odpowiadał temu z testamentu Vernona Tolivera. Załączona mapa katastralna pokazywała jej dokładne umiejscowienie nad rzeką. Graniczyła z gruntami, w których Mary

rozpoznała Somerset.

Podniosła wzrok znad rejestru, czując w ustach kwaskowy posmak. Ogarnęła ją taka wściekłość, że cała się trzęsła. Percy Warwick... i ciocia Mary, złodzieje i oszuści... milczeli, podczas gdy to kłamstwo zżerało jej matkę, niszczyło rodzinną harmonię, na zawsze uniemożliwiło jej powrót do domu. Wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby tylko ojciec poznał prawdę. Rodzice i jej młodszy brat nadal by żyli...

Wzięła otwartą księgę i zaniósła z powrotem na kontuar, wskazując na mapę.

– Czy istnieje jakiś rejestr, z którego można się dowiedzieć, czy na tym gruncie coś zbudowano?

Urzędniczka uniosła leciutko okulary, by spojrzeć na mapę przez swoje dwuogniskowe szkła.

– Rejestr podatkowy, ale nie muszę sprawdzać. Stoi tam ścieralnia drewna i papiernia Warwick Industries.

– Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna. Nasz dom... mieszkamy w pobliżu – wyjaśniła i palcem wskazała punkt na mapie. – To osiedle Warwick Industries zbudowane dla pracowników. Mój mąż jest brygadzystą.

– Naprawdę?

Ton Rachel sprowokował ostre spojrzenie. Kobieta cofnęła palec, ewidentnie zastanawiając się, skąd u Rachel takie zainteresowanie miejscem pracy jej męża, pewnej pracy, z dodatkowymi przywilejami i opłacanymi składkami emerytalnymi. Czy miała teraz zamiar w tym mieszkać, bo nie było już tu dla niej miejsca?

– Przepraszam, ale dlaczego pyta pani o to miejsce?

– Może się okazać, że będę nim żywotnie zainteresowana – odparła Rachel głosem, który kojarzył się z pękaniem lodu. – Czy mogłaby pani wyciągnąć ostatnie dane podatkowe dotyczące tej nieruchomości i przy okazji potrzebuję też datę uznania Mary Toliver DuMont prawnym opiekunem Williama Olivera.

– Te dokumenty są w piwnicy, w archiwum, to chwilę potrwa.

– Zaczekam.

Urzędniczka odchodziła od kontuaru skonsternowana i niepewna, znikając po chwili za drzwiami. Rachel poczuła, jak przeszywa ją ostry strach. Że też musiała trafić na żonę brygadzysty Matta. Ewidentnie zaczęła coś podejrzewać – a jeśli opowie wszystko mężowi, a ten powtórzy Mattowi? Jeśli jest w papierni, to dojechanie do miasta zabierze mu co najmniej pół godziny. Da jej dwadzieścia minut, a potem wskakuje do chevroleta Carrie.

Już miała wychodzić, gdy kobieta wróciła.

– Oto kopia zeznania podatkowego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku – powiedziała, rzucając ją na kontuar – oraz postanowienia sądu, na którego mocy przyznano pani ciocie opiekę nad Willamem Toliverem. Coś jeszcze? – zapytała, rzucając szybkie spojrzenie na zegar wiszący ponad fontanną – bo zaczęła się już przerwa.

Rachel spojrzała na oficjalną datę przejęcia przez ciotkę opieki nad jej ojcem: 7 sierpnia 1935.

– Obawiam się, że mam jeszcze jedną prośbę – powiedziała. – Czy mogłabym prosić o skserowanie strony trzysta szóstej oraz mapy katastralnej?

Urzędniczka zacisnęła mocno usta.

– Ksero jest odpłatne – poinformowała.

Rachel otworzyła zamek torebki.

– Ile?

Po pięciu minutach pełnych napięcia, z kopiami bezpiecznie schowanymi w torebce, uciekła w końcu, ale w drzwiach jeszcze się odwróciła. Tak jak się spodziewała, kobieta trzymała słuchawkę przy uchu i odczytywała swojemu rozmówcy dane z aktu przekazania prawa własności.

– Szefie, tu Curt. Nie wiem, czy to ważne, ale właśnie dzwoniła do mnie żona, z pracy, z ratusza. Powiedziała, że pięć minut temu była u niej Rachel Toliver.

Ze słuchawką przy uchu Matt odwrócił się na swoim fotelu od okna, w które wpatrywał się apatycznie przez ostatnią godzinę.

– Co? Rachel Toliver jest w mieście?

– Tak. Marie powiedziała, że pytała o akt własności.

– Czy ona tam jeszcze jest?

– Nie, przed chwilą wyszła.

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Nie, szefie – Curt westchnął, zastanawiając się, po co w ogóle dzwonił, skoro Matta ciekawi tylko Rachel Toliver. – Marie mówiła, że nie zachowała się zbyt miło. Myślałem, że szef będzie chciał wiedzieć, o co wypytywała.

Matt wcisnął przycisk głośnika i odłożył słuchawkę, od razu wstając.

– Chcę wiedzieć, Curt. No więc o co? – pytał, otwierając jednocześnie szafę i ściągając z wieszaka sportową marynarkę.

– Pytała o akt notarialny, w którym jej ciotka przenosi prawo własności gruntu na dziadka szefa. Z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Wtedy chyba pani Mary sprzedała panu Percy'emu dwieście sześćdziesiąt hektarów ziemi.

Matt znieruchomiał w pozie z jednym rękawem jeszcze pustym. Dziadek nigdy nie wspominał, że kupował od Mary ziemię. I co do tego ma Rachel?

– Jesteś pewien, że Marie się coś nie pomyliło?

– Tak pewien, jak tego, że dziś wieczór mam na kolację pulpety. Jest poniedziałek, no nie? Marie mówi, że dziewczyna nie wygląda dobrze. Okropnie chuda. Widzieli my ją przecież na pogrzebie pani Mary. Szałowa babka. Podobno trudno ją poznać, tak się zmieniła.

– Też tak słyszałem – mówił Matt, kończąc wkładanie marynarki. – Marie powiedziała ci, o jaki grunt chodzi?

– Tak. O grunt, na którym teraz stoję.

Matt patrzył w okno, nic nie widząc.

– Teren zakładu?

– Właśnie. Marie była zdenerwowana jej pytaniami. Powiedziała, że dziewczyna jej się wydawała... jakby zła na coś.

– No tak... pewnie tak jest – potwierdził Matt. To dobrze, pomyślał. Złość potrafi utrzymać człowieka przy życiu. Smutek pogrąża i zabija – ale złość na kogo?

– A teraz najlepsze, szefie. Kiedy Marie spytała ją, czemu o to pyta, odpowiedziała jej, że może będzie nim żywotnie zainteresowana. I o co jej, kurde, mogło chodzić?

Matt przypomniał sobie sformułowania Bertie Walton: „wewnętrzna siła... cel”. I to, co powiedziała Amosowi: „Wkrótce się pan dowie”.

– Nie wiem, Curt, ale mam zamiar się dowiedzieć.

– Jeszcze jedna rzecz, szefie – zatrzymał go Curt. – Toliverówna kazała Marie sprawdzić, kiedy pani Mary została prawnie opiekunem jej ojca. Czy to węszenie nie wydaje się szefowi jakies groźne?

Matt stał już w otwartych drzwiach z kluczami w ręku.

– Daje do myślenia. Dzięki, Curt i... im mniej gadania o tym, tym lepiej, komukolwiek,

rozumiesz?

– No pewnie, szefie. Nauczyłem się już, że jak powiedzieć coś kobiecie, to za chwilę gadają o tym w każdym domu w okolicy.

– I tak trzymać – powiedział mu Matt.

Niemal wybiegł z biura do samochodu, od razu wybierając numer Amosa i jednocześnie pełnym gazem wyjeżdżając z parkingu.

– Susan? Tu Matt Warwick. Koniecznie muszę porozmawiać z panem Amosem.

Amos został oderwany od obowiązków służbowych.

– Co się stało, Matt? – spytał mocno zaniepokojony. – Coś z Percym?

– Nie, panie Amosie. Przepraszam, że pana wystraszyłem, ale chodzi o Rachel. Właśnie się dowiedziałem, że jest w mieście. Jakim jeździ samochodem?

– No, BMW, przynajmniej ostatnio, kiedy ją widziałem. Ciemnozielonym. Chcesz powiedzieć, że przyjechała, nie uprzedzając nas? – pytał zraniony. – Skąd wiesz, że jest w Howbutker?

– Potem panu opowiem. A teraz muszę ją znaleźć.

– Matt...

– Później, panie Amosie – powiedział, rozłączając się, by wykonać kolejny telefon. Skoro mieszkała teraz w Dallas, bardzo możliwe, że już wyjeżdża. Spojrzał na tablicę rozdzielczą i wybrał numer.

– Poproszę z Danem – powiedział do dyspozytora i w ciągu kilku sekund na linii był już szeryf hrabstwa Howbutker. Matt przedstawił mu swoją prośbę.

– Ciemnozielone BMW – powtórzył szeryf. – Wyślę kilku chłopaków na międzystanową dwudziestkę i zobaczymy, czy się znajdzie. Skontaktuję się z tobą.

– Gdyby ją znaleźli, powiedz, że mają się z nią obejść łagodnie – instruował Matt.

– A za co mają ją zatrzymać?

– Na pewno coś wymyślą, ale niech będą grzeczni.

Matt zastanowił się nad swoim kolejnym ruchem. Dochodziła czwarta. Modlił się do niebios, żeby Rachel zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie jechać do Dallas o tej porze. To czas największych korków, najgorszych w całym Teksasie, może z wyjątkiem Houston. Zadzwoił do biura.

– Nancy, dzwoń do Fairfax Hotel, Holiday Inn i Best Western i zapytaj, czy zatrzymała się u nich Rachel Toliver. Jeśli nie, zostaw im mój numer i powiedz, żeby mnie zawiadomili, jak tylko się pojawi. Potem oddzwoń.

Półgodzinna przejażdżka po mieście i żadnego ciemnozielonego BMW, a sekretarka oddzwoniła z informacją, że w wymienionych hotelach nie ma Toliverówny. Nie wiedząc, co robić dalej, bardzo zmartwiony – dlaczego Rachel sądziła, że jego zakłady to jej żywotny interes?

– Matt skierował swojego range rovera na Houston Avenue, by zadać kilka pytań dziadkowi.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Matt wbiegł po schodach do gabinetu na piętrze, gdzie dziadek ostatnio spędzał większość czasu. Od śmierci Mary i kolejnych tragicznych wydarzeń tracił cały swój zwykły animusz. Nie miał apetytu i zarzucił nawet regularne ćwiczenia w klubie. Rzadko pojawiał się w biurze, od dwóch miesięcy nie pojawiał się na obchodzie składów drzewnych. Nie chodził też na spotkania Klubu Starych Kumpli odbywające się w każdy wtorek przed południem w kawiarni Pod Ratuszem.

Stan jego umysłu i zdrowia bardzo niepokoił Matta i Amosa, którzy codziennie wymieniali się wrażeniami na temat jego zachowania.

Percy uniósł brwi w ironicznym zdziwieniu, kiedy jego wnuk wmaszerował do gabinetu kilka godzin wcześniej niż zwykle, co mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło, w dodatku na twarzy miał wypisane „nie zadzierajcie ze mną”.

– Czemuż to zawdzięczam tę przyjemność? – zapytał spokojnie, wyciągnięty w swoim fotelu przed kominkiem. Wciąż miał na nogach ranne pantofle. Matt zauważył stojącą na stole tacę z lunchem. Rosół z kury – ulubiona zupa dziadka – stygł tuż obok obsychającej połowy kanapki z szynką.

Poczęstował się kanapką, uzmysławiając sobie, że nie jadł przecież lunchu.

– Rachel Toliver jest, była, w Howbutker – oznajmił.

Percy podniósł głowę.

– Skąd wiesz?

– Żona Curta dzwoniła do niego z ratusza, a on przekazał informację mnie. Szukałem jej samochodu, ale nie znalazłem – relacjonował, zjadając kanapkę w dwóch gryzach i popijając rozwodnioną mrożoną herbatą Percy’ego. Potem wytarł usta i przysunął sobie krzesło tak, żeby usiąść naprzeciwko dziadka. – Marie powiedziała, że Rachel sprawdzała akt przekazania własności gruntu, który Mary DuMont sprzedała ci w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Marie twierdziła, że rzucała się o to, jakby ją coś ugryzło.

Jeśli potrzebował jakiegoś powodu, by usprawiedliwić swoje zdenerwowanie, to już go miał. Matt patrzył, jak z twarzy dziadka odplywa cała krew.

– Nie miałem pojęcia, że zakład nad Sabine zbudowałeś na gruncie kupionym od pani Mary – zauważył. – Teraz się zastanawiam, skąd Rachel wiedziała i jaki ma w tym interes.

Percy westchnął i znów oparł głowę o wysokie oparcie fotela.

– Och, Matt...

– O co tu chodzi, dziadku? Co się dzieje?

– Chyba mamy kłopoty. Przypuszczam, że Rachel znalazła dokumenty, które Mary chciała zniszczyć tego dnia, kiedy umarła...

Węzeł, który czuł w żołądku, coraz bardziej się zacieśniał.

– Jakie dokumenty?

– Dokumenty z kufra, który Mary kazała Henry’emu otworzyć. Pamiętasz? Sassie twierdziła, że zanim umarła, mówiła, że musi iść na strych. Na pewno powiedziała o tym Rachel, a ona domyśliła się, że jest tam coś ważnego, i poszła tego poszukać. Amos mówił, że gdy po wypadku zaprowadził Rachel na górę, w jej pokoju widział porozrzucane na łóżku dokumenty wyciągnięte z zielonej, skórzanej kasety – pamiętam ją i wiem, że należała do Mary...

– I co takiego w niej było, że Rachel od razu pobiegła do ksiąg wieczystych?

Percy podniósł rękę, dając do zrozumienia, żeby go nie popędzać.

– W jednym z nich Amos rozpoznał testament Vernona Tolivera. W tym testamencie

Vernon zapisał tę parcelę nad rzeką swojemu synowi, Milesowi...

Zdezorientowany Matt ściągnął brwi.

– Zaczekaj. Mówiłeś, że Miles nic nie dostał, że wszystko odziedziczyła Mary.

– Nigdy nic takiego nie mówiłem. Razem z Mary pozwoliliśmy wszystkim w to wierzyć.

Co, oczywiście, nie robi wielkiej różnicy.

Matt przysunął swoje krzesło jeszcze bliżej dziadka.

– Więc... powiedz, czy ja dobrze rozumiem. William nigdy się nie dowiedział, że jego ojciec odziedziczył prawie trzysta hektarów.

– Tak.

– I celowo nikt go o tym nie poinformował?

– Tak.

– Mary?

– Tak.

Matt poczuł w gardle kanapkę z szynką.

– A teraz Rachel poznała prawdę o kłamstwie, które podzieliło jej rodzinę?

– Tak to wygląda.

– A nasze zakłady znajdują się na gruncie, który odziedziczył Miles?

– Tak.

– Jak Mary udało się to sprzedać?

Percy potarł twarz dłonią z widocznymi na niej plamami wątrobowymi. Wyglądał teraz na swoje dziewięćdziesiąt lat.

– No cóż, obawiam się, że pozostałe dokumenty z zielonej szkatułki to wyjaśniają. Amos mówił o dwóch listach... jeden napisany moją ręką, a drugiego pisma nie zdążył rozpoznać, bo Rachel szybko schowała wszystko z powrotem, ale domyślam się, od kogo był...

Matt czuł teraz cały żołądek podchodzący do gardła. Dziadek tymczasem drżącą ręką sięgnął po szklankę i upił kilka długich łyków. Potem podjął wyjaśnienia:

– To list Milesa, w którym instruuje Mary, żeby zatrzymała ten grunt dla Williama, aż skończy dwadzieścia jeden lat.

– O Boże – Matt cały się cofnął, zdumiony i przerażony. – Chcesz mi powiedzieć, że Mary postąpiła wbrew życzeniu brata i sprzedała ziemię?

Percy kiwnął głową.

– Tak – powiedział cicho.

– Na pewno nie pokazała ci listu.

– Oczywiście, że pokazała. Inaczej skąd bym znał jego treść?

Matt nie mógł wydobyć z siebie słowa. Czuł gorąco na szyi.

– Dziadku, więc ty i pani Mary świadomie popełniliście oszustwo?

– Tak się może wydawać – mówił Percy – ale to był jedyny sposób ratunku dla wszystkich – Olliego, Williama, mnie, miasta i... Matthew. DuMontowie popadli w okropne tarapaty finansowe, Ollie straciłby swoje domy towarowe. Ten słodki drań nigdy w życiu nie przyjąłby pożyczki, a Mary była splukana. Tak się złożyło, że szukałem wtedy działki nad rzeką, więc Mary sprzedała mi ziemię Milesa. Transakcja wydawała się w pełni legalna. Miles przekazał ziemię Mary, więc ona była nowym właścicielem. Mogła z nią zrobić, co chciała, oczywiście, gdyby nie list Milesa. Podłość bierze się stąd, że chłopak nigdy się nie dowiedział o swoim spadku po ojcu.

Matt wstał, zbyt zbulwersowany, by siedzieć. Teraz wreszcie zrozumiał, co gryzło dziadka przez te ostatnie miesiące. Domyślił się, co odkryła Rachel, i czekał, aż bomba wybuchnie.

– Masz pojęcie, jak ukrycie tej informacji wpłynęło na stosunki między Rachel a jej matką... i na całą rodzinę?

– Nie miałem, dopóki kilka miesięcy temu mi o tym nie powiedziałeś, i bardzo tego żałuję. Jestem pewien, że Mary również tak to odczuwała, ale kiedy już wyniknął cały problem, nic nie mogła zrobić. Gdy Alice ujrzała w Rachel zagrożenie dla spadku Williama, ja zdążyłem wybudować na tej ziemi jądro Warwick Industries, a Mary musiała myśleć szerzej niż tylko o wyjawieniu prawdy bratankowi, szczególnie biorąc pod uwagę charakter kobiety, z którą się ożenił.

– A Mary nie mogła sprzedać swojej cennej plantacji, by ratować męża? – spytał zażenowany Matt.

– Wtedy nie mogła, ziemia nie miała żadnej wartości. A ja zrobiłbym wszystko, żeby pomóc najlepszemu człowiekowi, jakiego znałem. We Francji Ollie uratował mi życie. Stał się między mną a granatem. To dlatego stracił nogę.

Matt przecesał dłonią włosy i z powrotem usiadł na fotel. Boże, ilu rzeczy nie wiedział o swojej rodzinie.

– A co ty napisałeś do Mary?

– Napisałem, że zgadzam się kupić grunt, ale oczywiście dziś, po pięćdziesięciu latach, nie pamiętam dokładnie, jakiego użyłem sformułowania. Ale tylko z mojego listu Rachel mogła się dowiedzieć, kiedy mniej więcej nastąpiła transakcja i że ja byłem kupcem. Zanim pojechała do niej po tym wypadku, ona zdążyła już wszystko przeczytać i poskładać sobie w logiczną całość. I to wyjaśnia jej zachowanie w stosunku do ciebie, a ze mnie i z Mary robi parę drani.

Matt pochylił się po przodu.

– Więc Rachel ma listy, które zagrażają naszej działce nad rzeką? Dziadku, jak mogłeś wybudować zakłady warte sto milionów dolarów na ziemi, do której nie miałeś prawa?

Percy machnął słabo ręką.

– Och, Matt, na dobrą sprawę Mary miała prawo sprzedać, a ja kupić. Czysta transakcja, żadnych komplikacji. Przez myśl nam nie przeszło, że ktoś zakwestionuje legalność transakcji. Gdyby tylko Mary zniszczyła te listy...

– Właściwie dlaczego tego nie zrobiła?

– Prawdopodobnie nie potrafiła się rozstać z ostatnim listem brata, a mój zatrzymała... dla lepszego samopoczucia, że nie była w tym sama.

Matt miał wrażenie, jakby teraz jemu cała krew spłynęła do stóp.

– Albo żeby cię później szantażować.

Percy spojrział na niego zbulwersowany.

– Oczywiście, że nie! Jak w ogóle możesz myśleć, że Mary byłaby do tego zdolna?

– A po co pokazała ci list od brata? – ripostował Matt. – Dlaczego nie zachowała go dla siebie, zamiast ciebie też wciągać w oszustwo?

– Bo nie była kobietą tego rodzaju! – odpierał atak Percy z rumieńcami oburzenia na twarzy. – Chciała, żebym wiedział, w co się pakuję.

– Och, to naprawdę miło z jej strony! – odparł Matt równie zdenerwowany. – W ten sposób nie musiała sama ponosić całego ciężaru swojej obłudy.

Percy kopnął w podnózek fotela.

– Uważaj na słowa, chłopcze! Nie sądź, jeśli nie wiesz, o czym mówisz. Mary pokazała mi list, żebym mógł odmówić. Zgodziłem się, bo uznałem, że nie mam wyboru. William w wieku dwudziestu jeden lat odziedziczyłby kawałek rozmokłej ziemi. Wtedy miał zaledwie siedem. A tak, sklep przetrwał, Somerset rozkwitła, miasto miało miejsca pracy, które w przeciwnym wypadku musiałbym stworzyć gdzie indziej i tak jak Mary obiecała, William został jej

spadkobiercą – przerwał, by zrobić jeszcze jeden pospieszny łyk wody. – Nie mówię, że to, co zrobiliśmy nie było złe, ale postąpienie właściwie też nie wydawało się wtedy dobrym wyjściem.

Matt w milczeniu przetrwał te rewelacje. W końcu podsumował:

– Więc ty i Mary zawarliście umowę i dlatego obiecała, że spadek przypadnie Williamowi. To dlaczego, do diabła, wprowadziła w to wszystko Rachel?

Percy westchnął smętnie.

– Bo w czasie gdy składała Williamowi obietnicę, nie spodziewała się pojawienia Rachel.

Matt z niedowierzaniem kręcił głową.

– Do cholery, dziadku – powiedział cicho. – Czy Ollie wiedział o liście Milesa?

Percy zgromił go wzrokiem.

– Chyba żartujesz. Nigdy nie zgodziłby się na sprzedaż.

– Przynajmniej on jeden, i takiego go pamiętam – zauważył oschle Matt. – Dobra, uspokójmy się i zastanówmy, co zamierza Rachel. Jeśli te listy dowodzą oszustwa, myślisz, że będzie chciała sądowo odzyskać ziemię ojca?

– Nie, skąd – odparł od razu Percy. – Tu nie chodzi o chciwość. Chce dostać to, co uważa, że słusznie się jej należy i jest zdeterminowana to odzyskać, dokładnie tak, jak postąpiłaby na jej miejscu Mary. Będzie chciała wymiany. Nasza działka w zamian za Somerset. Mary by tak zrobiła.

– W takim razie – Matt odetchnął z ulgą – to rozwiązuje nasz problem. Oddasz jej po prostu ten grunt.

Dziadek zmienił wyraz twarzy, a Matta, kiedy go rozpoznał, aż odrzuciło, jakby co najmniej zaciągnął się nieprzyjemnym zapachem potu. Pochylił się znów do dziadka.

– W takich okolicznościach oddasz jej plantację, prawda?

Percy wydał z siebie gardłowy dźwięk.

– Nigdy do tego nie dojdzie, jeśli tylko Rachel usłyszy, co mam jej do powiedzenia.

Jestem o tym głęboko przekonany, Matthew. Dlatego koniecznie trzeba ją odnaleźć. Ona musi usłyszeć całą historię.

Matthew. Nigdy nie zwracał się do niego pełnym imieniem. W splocie słonecznym poczuł dziwny ból.

– No dobrze, ale tak dla porządku, jeśli jednak do tego dojdzie, a ty odmówisz wymiany, co zrobisz, jeśli Rachel będzie chciała przejąć nasze zakłady?

– To zależy, czy zdoła przekonać sąd.

– A zakładając, że tak?

Percy poprawił się w swoim fotelu, najpierw z jednej strony, potem z drugiej.

– Nie naciskaj mnie, Matt. Zrobię to, co uznam za słuszne, tyle mogę ci powiedzieć.

– Rozumiem – odparł Matt. Poczul się urażony. – Ale nie liczyłem na to, że Rachel po wysłuchaniu cię tak po prostu wybaczy i zapomni o wszystkim. Wiesz, dziadku, chyba nie byłbym w stanie wybaczyć, gdyby ktoś pozbawił mnie tego, co należy mi się po rodzicach. A już na pewno nie wybaczyłbym, że ktoś wystrychnął na dudka mojego ojca – i to niezależnie od tego, jaką miałby dla mnie historię.

Zawisła między nimi groźba.

– Rozumiem – powiedział Percy, zwilżając językiem suche wargi.

Mattowi zrobiło się w pokoju za ciasno. Odwrócił się do wyjścia, ale przypomniał sobie coś jeszcze.

– Widziałem, że Amos przekazał już dom pani Mary Towarzystwu Ochrony Zabytków.

– Nic o tym nie wiem.

– Chyba tak. Przed chwilą widziałem tam czarny chevrolet zaparkowany przy garażu,

miął otwarty bagażnik, a Henry wynosił coś z domu.

– Synu, to musiała być Rachel! – zawołał Percy. – Amos nie oddałby domu, dopóki Rachel nie zabierze wszystkich rzeczy.

Ale okazało się, że mówił do pustych drzwi. Matt sprintem zbiegł już po schodach.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Kiedy wyjechała, Henry? – pytał Matt.

– Może z pół godziny temu, proszę pana. Nic ześmy nie wiedzieli, że przyjedzie. I odjechałyby o wiele wcześniej, gdyby akurat nie przysłała ciocia Sassie. Nie wiem, czy pan wie, ona mieszka teraz z moją mamą.

Matt kiwnął głową.

– I nie mówiła, dokąd się wybiera?

– Nie, proszę pana. Prawie nic o sobie nie mówiła. Wyglądało, jakby chciała jak najszybciej wyjechać z Howbutker. Trudno się dziwić.

Matt westchnął skonsternowany i wybrał numer biura szeryfa. Miał już opis suburbana, a Henry zauważył charakterystyczną rejestrację: SKY BEE. Sprytnie, Rachel. Zmyliła go, zamieniając się samochodami z koleżanką. Ale za to teraz tablice rejestracyjne powinny pomóc funkcjonariuszom. Po przekazaniu szeryfowi nowych informacji, odłożył słuchawkę i zapytał jeszcze:

– I jedyne, co zabrała, to rzeczy z kufra pana Olliego?

– Tak jest. Tamte rzeczy i jeszcze jakieś stare księgi rachunkowe, które leżały tu od Bóg wie kiedy. Należały do brata pani Mary. Nic więcej nie chciała.

Pożywka dla adwokatów, domyślał się Matt, dowody dla sądu przeciwko nim.

– Może powiedziała coś twojej cioci Sassie?

Henry pokręcił głową.

– Wszystko, co mówiła, sam słyszałem, oprócz... panna Rachel powiedziała jej, że nie wraca już dziś tam, gdzie teraz mieszka. Ciocia Sassie martwiła się, że wygląda na zmęczoną, a robi się późno, a wszyscy wiemy, co stało się wtedy na drodze. Ale ona powiedziała, żeby nic się nie martwić. Zarezerwowała gdzieś po drodze pokój.

Matt się zastanowił.

– Gdzie macie książkę telefoniczną?

Założyłby się, że Rachel zatrzyma się w Marshall, mieście oddalonym od Howbutker o jakąś godzinę drogi. Kiedy Henry przyniósł książkę, znalazł motele w tamtej okolicy i zaczął dzwonić. Recepcjonistka w Goodnight Inn z Marshall powiedziała mu, że tak, mają gościa o tym nazwisku. Matt podziękował i wskoczył do samochodu.

Recepcjonista na nocnej zmianie w Goodnight Inn, starszy człowiek, który dorabiał sobie do emerytury, słuchał Matta wyraźnie skępowany. Matt spodziewał się, że Rachel będzie już na miejscu, bo miała nad nim pół godziny przewagi, ale pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi. Ludzie szeryfa też nigdzie nie zauważyli poszukiwanego samochodu. Matt wiedział, że to, o co prosi, jest sprzeczne z obowiązującymi w motelu zasadami. Rachel mogłaby ich za coś takiego pozwać, jego osobiście również, ale człowiek ten dużo zawdzięczał Warwickom i świetnie zdawał sobie z tego sprawę – dawno temu Percy Warwick uratował jego nastoletniego, zbuntowanego syna przed losem kryminalisty, dając mu pracę w okresie zwolnienia warunkowego. Chłopak poszedł do college'u, skończył ekonomię, ożenił się, a teraz realizował w Atlancie swój amerykański sen. Matt widział w oczach ojca, że pamięta, ile zawdzięcza jego rodzinie.

A jednak regulamin to regulamin i Matt czuł, że łamanie go jest wbrew naturze tego człowieka. W sumie, nie znał przecież wnuka Percy'ego Warwick, a motel ma pewne zobowiązania wobec swojego gościa. Matt rozumiał jego dylemat, ale był zdesperowany.

– Panie Colter – przekonywał. – Nie stawiałbym pana w takim położeniu, gdyby nie to, że

muszę zaskoczyć panią Toliver. To bardzo ważne.

– Nie może pan zrobić tego w holu?

– To by zepsuło całą niespodziankę. Od razu by się domyśliła, o co mi chodzi.

– A o co panu chodzi?

Matt uśmiechnął się.

– Nie o to, co pan ma na myśli, mogę pana zapewnić. Ma pan moje słowo. Po prostu muszę z nią porozmawiać na osobności.

Skrepowanie pana Coltera widocznie wzrosło.

– I nie może pan tego zrobić tutaj... w holu?

– Nie – odparł zdecydowanie Matt.

– No... ale tylko dlatego, że dał mi pan słowo Warwicka – podkreślił jego nazwisko, patrząc mu chwilę prosto w oczy przez swoje dwuogniskowe szkła – ten jeden raz nagnę trochę zasady – oznajmił i wręczył mu klucz. – Pokój sto sześć. Na parterze po prawej.

– Jestem zobowiązany.

Kiedy pół godziny później przyjechała Rachel, odniosła wrażenie, jakby recepcjonista jej wyglądał. Przywitał ją z rezerwą, a gdy wypełniała formularz zameldowania, obserwował ją kątem oka.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała... czegokolwiek, wszystko jedno... – powiedział, wręczając jej klucz – wystarczy, jeśli wybiegnie pani na korytarz i głośno zawoła, a ja od razu przybiegnę.

Rachel słuchała zdumiona. O co mu chodziło? Że znajdzie skorpiony w wannie?

Podjechała pod swój apartament, uświadamiając sobie, jaka jest zmęczona. Jazda do Somerset wykończyła ją fizycznie, ale dała jej to, na co miała nadzieję. Widok jej ukochanej plantacji – i kominów ścieralni drewna beczelnie górujących ponad cyprysami – umocnił jej determinację, by odzyskać Somerset. Wcześniej, niepewna, sama zadawała sobie pytania: czy warto walczyć? Jaki sens ma powrót do Howbutker? Przecież mimo swojej historii, obywatelskiej postawy mieszkańców, spokoju i panującego porządku, a nawet dopływu świeżej krwi, Howbutker pozostało miastem prowincjonalnym z wyraźnym podziałem klasowym. I nadal rządził tu biały człowiek. Rachel była kobietą młodą, nowoczesną i postępową, a teraz również bogatą. Może powinna zabrać pieniądze i odejść, dać nowy początek tradycji Toliverów, jak jej przodkowie z Karoliny Południowej?

Warto walczyć i powrót ma sens, bo tu właśnie było jej miejsce, odpowiedziała sobie. A ciągnące się aż po horyzont równe rzędy roślin zapowiadających obfite jesienne plony przekonały ją, że nie potrafiłaby opuścić tej ziemi, w której zostało tyle krwi, potu, ciężkiej pracy i... poświęceń jej rodziny. Nigdy nie zrezygnuje z dziedzictwa swoich dzieci. To byłaby największa zdrada, a w dodatku wyszłoby na to, że jej własna zdrada poszła na marne – wszystko na nic. Pola były dobrze utrzymane i zadbane. Henry mówił, że zarządca cioci Mary nadal nad nimi czuwa.

– Ale na następny rok... kto wie, co czeka plantację?

Stojąc w promieniach popołudniowego słońca i patrząc na rozciągające się przed nią pola, uśmiechnęła się dumna. Ona wiedziała.

Klucz przekręcił się w zamku bez najmniejszego oporu i otworzyła drzwi, wchodząc do pokoju, który wypełniał półmrok zapadającego zmierzchu i szum klimatyzatora. Zanim zdążyła zapalić światło, z kąta dobiegł ją znajomy głos:

– Witaj, Rachel.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Percy, zamyślony, siedział przy telefonie w swoim gabinecie. Wciąż słyszał ten ból w głosie Matta, gdy zadzwonił, by go poinformować, że jest w motelu w Marshall i czeka na Rachel w jej pokoju. Nie powinien był zostawiać w chłopcu żadnych wątpliwości co do tego, kogo postawi na pierwszym miejscu, jeśli zostanie przyparty do muru. Miał po prostu nadzieję, że nie będzie musiał wybierać. Z typową dla siebie pewnością – czy raczej arogancją – był przeświadczony, że gdy tylko Rachel go wysłucha, uda mu się spełnić ostatnie życzenie Mary i nie oddać plantacji w jej ręce, jednocześnie zachowując spadek Matta.

Teraz jednak miał powód, by zastanawiać się, ile ta opowieść może go kosztować. Groźba Matta – „A już na pewno nie wybaczyłbym, że ktoś wystrychnął na dudka mojego ojca – i to niezależnie od tego, jaką miałby dla mnie historię” – wciąż dźwięczała mu w głowie. Czy warto ryzykować miłość i szacunek Matta – jego wybaczenie – dla uratowania miłości Rachel do Mary? Nie mógł opowiedzieć o Mary, nie ujawniając swojego udziału, a co zyska, jeśli nowe odkrycie Rachel i tak nie pozwoli jej wybaczyć ciotce tego, co zrobiła? Co jeśli – niezależnie od niego – nie było już nadziei dla niej i wnuka człowieka, który oszukał jej ojca? Czy odsłonięcie konsekwencji tego, co zrobili z Mary, a więc opisanie ludzi, na których życie wpłynęli i których skrzywdzili wyłącznie z powodu Somerset, zda się na coś więcej poza pograżeniem go jeszcze bardziej w oczach wnuka? Czy miał odwagę podjąć takie ryzyko? Uniósł głowę i spojrzał na obraz nad kominkiem. „Chciałbyś, żeby twój syn nie wiedział, co myśleć o dziadku, gdy będę opuszczał ten padół?”

Potańił dłońmi swój wielodniowy zarost. „Boże, Mary, ale nam zgotowałaś piekło”. Jeśli Mattowi uda się jednak przywieźć tu dzisiaj Rachel, co ostatecznie jej powie?

Matt podniósł się powoli ze swojego krzesła. Jego twarz zdradziła na chwilę zdumienie jej zmienionym wyglądem. Nieświadomie Rachel obciągnęła nogawkę swoich sportowych spodenek.

– Jak tu wszedłeś?

Matt pokazał jej mały przedmiot.

– Za pomocą klucza.

Z obrzydzeniem wykrzywiła usta.

– A, rozumiem. Recepcjonista.

– Był winien przysługę mojej rodzinie. Nie jestem z tego dumny, ale chwytam się brzytwy.

Postawiła torbę na podłodze i przytrzymała drzwi przy ścianie, stopą wpychając pod nie blokadę, żeby się nie zamknęły. Serce podskoczyło jej do gardła. Wspaniale wyglądał, taki sam kochany, jak pamiętała. Musi sobie zostawić wolną drogę ucieczki od tego mężczyzny, który potrafi zawrócić ją z obranej drogi.

– Jak mnie tutaj znalazłeś?

– Szukałem po omacku. Henry powiedział, że zarezerwowałaś gdzieś pokój na tę noc. Domyśliłem się, że wracasz do Dallas i logicznie rzecz biorąc, powinnaś zatrzymać się w którymś z moteli w Marshall.

– Sprytny chłopiec.

– Ty jesteś sprytniejsza – odparł Matt. – Rezerwacja pokoju poza hrabstwem i zmiana samochodu – całkiem niezłe. Wyprowadziłaś mnie w pole.

– Chcę, żebyś wyszedł.

– Bardzo chętnie, jeśli zgodzisz się wyjść ze mną. Dziadek umiera – dosłownie – bo musi

z tobą porozmawiać...

Tego się obawiała. Mimo całej swojej goryczy poczuła przejmujący dreszcz niepokoju.

– Przykro mi, Matt, naprawdę, ale nigdzie z tobą nie pojedę.

– W takim razie porozmawiajmy, Rachel... tak jak przedtem – poprosił, wskazując jej krzesło.

– Mówisz, jakbyśmy się znali nie wiadomo jak długo.

– Bo tak jest, dobrze o tym wiesz. Zbyt długo i wyjątkowo, żeby tak szybko o tym zapomnieć. Nie uważasz, że po tym wszystkim, co nas łączyło, zasługuję przynajmniej na krótką rozmowę?

Rachel zawahała się. Przełknęła ślinę, żeby zmniejszyć trochę suchość w gardle.

Z powodu przyspieszonego bicia serca lekko kręciło się jej w głowie. Położyła torebkę na stole między nimi i niechętnie sięgnęła po krzesło. Właściwie to nawet dobry pomysł. Pokaże Mattowi swoje karty, żeby mógł ostrzec dziadka i kto wie, może dziś jeszcze dojdą do porozumienia.

– Rozmowa nas nie uratuje, Matt – powiedziała. – Zakładam, że ta urzędniczka z ksiąg dzwoniła do twojego brygadzysty, więc wiesz, gdzie byłam. I co znalazłam.

Matt usiadł na swoim krześle i rozpiął sportową marynarkę, zakładając następnie nogę na nogę w sposób wskazujący, że odniósł małe zwycięstwo.

– Rzeczywiście. Nie chcesz zamknąć drzwi? Ucieka całe chłodne powietrze.

Rachel spojrzała w tamtym kierunku, przypominając sobie ofertę pomocy małego siwowłosego człowieczka z recepcji. Śmieszne, jeśli pomyślał, że miałby jakiegokolwiek szanse z Mattem Warwickiem. Wolałaby skorpiony w łazience. Ignorując jego prośbę, otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopie dokumentów znalezionych w zielonej kasetce.

– Były wśród osobistych rzeczy cioci Mary, wraz z testamentem jej ojca – mówiła, przesuając papiery w jego stronę. – I wygląda na to, że jednak zostawił synowi Milesowi część Somerset. Skoro wiesz, czego dowiedziałam się w sądzie, zapewne zdajesz sobie sprawę z konsekwencji. Zaczynaj od tego dłuższego.

Kiedy czytał, szukała w nim oznak zdziwienia i przerażenia, ale zachował pokerową twarz, zapewne dzięki wieloletniemu doświadczeniu w prowadzeniu negocjacji z ramienia Warwick Industries. Ale nie nabrał jej. Zauważyła delikatne skakanie mięśnia wzdłuż szczęki.

– Oczywiście wiesz, że działka, o której pisze twój dziadek, to teren waszej ścieralni drewna – ta sama, który on i ciocia Mary ukradli mojemu ojcu.

Matt dokładnie złożył obydwie listy.

– Tak się może wydawać, prawda? I właśnie dlatego powinnaś koniecznie dziadka wysłuchać. On potrafi wyjaśnić, dlaczego uznali wtedy, że takie działanie jest usprawiedliwione.

– Usprawiedliwione? – Rachel złapała się za gardło, jakby to słowo ją dusiło. – Przecież wiesz, co to oszustwo zrobiło mojej rodzinie, Matt, te wszystkie stracone lata...

– Ja wiem, ale dziadek jeszcze dwa miesiące temu nie miał o tym pojęcia. I ta wiedza oraz świadomość, że czujesz wrogość do niego i do Mary, po prostu go wykańczają.

– Trudno – powiedziała niewzruszona. – Czekaj... – coś zaskakującego przyszło jej do głowy. – Mówisz tak, jakby twój dziadek wiedział o tych dowodach.

Po raz pierwszy twarz Matta zdradziła cię rozpaczy.

– Kiedy dziadek się dowiedział od Amosa, że widział na twoim łóżku testament Vernona Tolivera oraz dwa listy, a jeden z nich od niego, domyślił się, tak jak ty, dlaczego Mary przed śmiercią bełkotała o pójściu na strych. Przypomniał sobie ten list, który do niej napisał i odgadł, że ten drugi jest od Milesa.

– Więc znał treść listu Milesa?

Matt bawił się krawędziami papieru, najwyraźniej nie chcąc odpowiadać, by bardziej

dziadka nie pogrążyć.

– Uznam, że milcząc, potwierdzasz – zdecydowała Rachel. Odchyliła się na krzesło.

– A więc nie ma wątpliwości. Wiedział, że kupując ten grunt, popełnia oszustwo.

Matt oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu.

– Rachel, w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku panował wielki kryzys. Dziadek mówi, że gdyby nie kupił tej działki, DuMontowie najprawdopodobniej straciliby wszystko, włącznie z Somerset. Zgodził się, ale pod warunkiem, że Mary ustanowi Williama swoim spadkobiercą...

– Żeby zrekompensować szwindel – weszła mu słowo Rachel.

Matt poczuł się zakłopotany.

– Może... ale zapewniam cię, że jeśli go wysłuchasz, wszystko zrozumiesz.

– Jasne, mam się dać nabrać na jego piękne słówka, tak jak ty? Może i powód, dla którego twój dziadek odkupił parcelę, był szlachetny, ale też sporo na tym zyskał. Potrzebował miejsca na ścieralnię, działka była idealna i tania. Gdybyś zainteresował się historią założycieli Howbutker, wiedziałbyś, że rodziny nigdy nie pożyczały sobie pieniędzy. Gdyby wujek Ollie miał kłopoty, na pewno nie pozwoliłby, żeby twój dziadek go ratował.

– Wujek nie wiedział, że ciocia Mary nie miała prawa sprzedać tego gruntu.

– Ale musiał wiedzieć, że pieniądze nie wzięły się znikąd. A niby skąd, jak nie od zamożnego przyjaciela?

Matt, zupełnie zbity z tropu, milczał. W jego oczach widziała frustrację.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Co proponujesz?

– Wymianę. On zatrzymuje ścieralnię, ja dostaję Somerset. Oryginały listów zostają zniszczone. Jeśli nie przyjmie tych warunków, mam zamiar odzyskać ziemię ojca. Skontaktowałam się już z prawnikiem specjalizującym się w takich sprawach, Taylorem Sutherlandem. Może o nim słyszałeś.

Na twarzy Matta odbijały się targające nim emocje – od gniewu przez rozpacz do niedowierzania.

– Więc ciągnęłabyś dziadka do sądu, w jego wieku, narażając jego zdrowie i dobre imię?

– To zależy od niego. Naprawdę mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– I zniweczyłabyś to, co mogłoby nas łączyć?

– Moja ciotka i twój dziadek zniweczyli to już dawno temu.

Rachel przesunęła listy w jego stronę i wstała, sygnalizując koniec spotkania.

– Jestem pewna, że gdy je przeczyta, zrobi to, co powinien – dla dobra wszystkich zainteresowanych.

– Ale dlaczego? – pytał cichym głosem Matt, wciąż jeszcze siedząc i marszcząc czoło, starając się zrozumieć.

– Dlaczego co?

– Dlaczego Somerset jest dla ciebie taka ważna, że gotowa jesteś zniszczyć wszystko, co mogłoby być między nami, co być może już nigdy nam się nie zdarzy, a mnie na pewno?

Słyszała w jego głosie złamane serce, jakby echo jej własnego, ale zmusiła się, by spojrzeć mu w te zbolące oczy.

– Bo moim obowiązkiem jest utrzymać ją w rękach Toliverów. Nie pozwolę, by mi się wymknęła, żeby ratować sumienie zmarłej kobiety.

– Rachel, twoja ciotka mogła zostawić Somerset, komu chciała.

– Nie, powinna ją zatrzymać i przekazać kolejnemu pokoleniu. Twój dziadek nic nie straci. Zachowaj to, co ma, i nadal będzie mógł nazywać Howbutker domem. I ja też tylko tego chcę, bo... – tu głos jej się załamał, a broda zaczęła drżeć – nie mam się gdzie podziać. Tylko

tutaj jestem w domu.

– Rachel, kochanie...

Wstał, zanim ona zdążyła się ruszyć, i objął ją mocno, przytulając do swojego walącego jak młot serca.

– Ja mogę dać ci dom – powiedział szorstko. – Ja mogę być powodem, dla którego znów nazwiesz Howbutker domem.

Zacisnęła zęby, żeby się nie rozplakać, i dała sobie jeszcze chwilę, zanim wysunęła głowę spod jego podbródka.

– Matt, wiesz, że to niemożliwe. Teraz już nie. Możesz sobie wyobrazić, jak bym się czuła, widząc te dymy unoszące się nad ziemią, którą twój dziadek ukradł mojemu ojcu? Ironia polega na tym – patrzyła w jego oczy, jak ktoś, komu odpłynął ostatni statek – że gdyby ciocia zostawiła wszystko tak, jak było – gdyby się nie wtrącała – moglibyśmy być razem.

– Rachel... kochana – powiedział Matt, ściskając ją coraz mocniej. – Nie rób nam tego. Somerset to tylko kawałek ziemi.

– To rodzinna farma, Matt, dziedzictwo kilku pokoleń Toliverów. To nasza historia. Utracić ją... widzieć ją w obcych rękach, w których żyłach nie płynie moja krew... nie zniosłabym tego. Jak możesz prosić mnie, żebym nie walczyła o tę jedyną rzecz, która łączy mnie teraz z rodziną?

Opuścił ramiona.

– Więc o to chodzi.

Odwróciła się do stołu i zapisała na kartce numer telefonu.

– To mój numer w Dallas. Twój dziadek może tam do mnie zadzwonić, chyba że da mi odpowiedź jeszcze dzisiaj. Powiedz mu, że ma czas do końca tygodnia. Jeśli nie przyjmie moich warunków, w poniedziałek rano daję Taylorowi Sutherlandowi polecenie, by złożył papiery w sądzie.

– Zdajesz sobie sprawę, że zmuszasz dziadka do tego, by zdradził zaufanie Mary? Jak będzie mógł z tym żyć?

– Tak samo, jak nauczył się żyć z tą poprzednią zdradą.

– Powiedz mi, Rachel – zaczął Matt bardzo poważnym tonem – gdyby Mary zapisała ci wszystko tak, jak się spodziewałaś, też żałowałabyś, że nie dotrzymałaś obietnicy matce i straciłaś te wszystkie lata z rodziną?

To pytanie zachwiało nią. Nie pomyślała, żeby je sobie zadać, i pewnie już by tego nie zrobiła. Matt zasługiwał na prawdę. Może w ten sposób łatwiej o niej zapomni.

– Nie – powiedziała.

Włożył kartkę z numerem oraz kopie listów do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– No cóż, jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości, to teraz zostałyby one rozwiane. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że jesteś Toliverem. Będziemy w kontakcie – powiedział i pewnym krokiem wyszedł z pokoju, nie odwracając się.

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

W swoim starokawalerskim zaciszu – eleganckim sześciopokojowym mieszkaniu z widokiem na plac ratuszowy – Amos przeglądał właśnie zapasy spiżarni, szukając czegoś, co zapewni mu prostą i szybką kolację. Był głodny, ale zbyt przygnębiony, żeby brać się za gotowanie, a gdyby wyszedł zjeść na miasto, nie będzie go, jeśli zadzwoni Matt lub Percy, albo – czy śmiało choćby mieć na to nadzieję – Rachel. Całe popołudnie czekał, aż któreś się odezwie, licząc, że powiedzą mu, co Rachel porabiała w Howbutker. Przecież nie miała tu już do załatwienia żadnych spraw oprócz, to oczywiste, odwiedzenia tych, którzy ją kochają. A jednak wyglądało na to, że nie chce mieć z nimi nic do czynienia.

Płatki z otrąb, zdecydował, wyciągając miseczkę. Boże, ależ był przybity. Nie czuł się tak źle od czasu śmierci Claudii, matki Matta. Wyobrażał sobie, co też ona pomyślałaby o tym zamieszaniu. Tak jak przypuszczał, konsekwencje podpisania kodycylu okazały się zgubne dla wszystkich – głównie dla Rachel, to jasne, ale on martwił się przede wszystkim Percym. Nigdy nie widział, żeby człowiek tak szybko nikił w oczach. Zawsze zadbany, pewny siebie, tryskający energią – teraz wyglądał jak pacjent, któremu nie pozwalają wstawać z łóżka i karmić go rosółkami. Wiedział, że Percy kiedyś się zestarzeje, ale nie że uschnie – nie Percy Warwick, magnat drzewny, książę wśród zwykłych ludzi, jego bohater.

Dźwięk dzwonka wyrwał go z ponurej zadumy. Serce mu podskoczyło. Rachel! Odstawił karton z mlekiem i pospieszył do domofonu, mówiąc z nadzieją w głosie:

- Tak?
- To ja, Matt.
- Matt!

Dzięki Bogu, że ktoś jednak przyszedł. Wcisnął guzik, by otworzyć drzwi na dole.

– Wchodź.

Zszedł na półpiętro, wypatrując Rachel za szerokimi ramionami Matta, ale jego nadzieja przysła jak bańka mydlana, gdy zobaczył, że Matt sam przekracza próg, a jego wzrok nie wróży nic dobrego.

- Nie znalazłeś jej? – zapytał, gdy ich spojrzenia się spotkały.
- Znaleźć znalazłem.
- Napluła ci w twarz?
- Mniej więcej. Ma pan piwo?
- Całkiem spory zapas. Wchodź do środka.

Amos zaprowadził gościa do małego salonu, z którego wychodziło się na taras z widokiem na park miejski. To było jego ulubione miejsce.

– Może napijemy się na tarasie, jeśli nie będzie ci tam za gorąco? – zaproponował.

Kiedy wchodził do kuchni, słyszał otwieranie balkonowych drzwi, wstawił mleko z powrotem do lodówki i wziął dwie puszki z piwem, rozrywając przy tym papierowe opakowanie. Po plecach przechodziły mu ciarki. Złe wieści wyczuwał na kilometr, jak zbliżająca się burzę.

– Gdzie ją znalazłeś? – zapytał Amos, gdy dołączył do Matta na tarasie i wręczył mu puszkę piwa w styropianowym uchwycie. Matt stał. Amos niemal czuł gorączkę tłumionych emocji, które nie pozwalały mu usiąść, ale również chłodne opanowanie, które nasuwało na myśl szorstkiego oficera piechoty morskiej – ojca Matta, znanego synowi jedynie z opowieści Claudii.

– W motelu w Marshall. Wiedziała, że ją znajdę, jeśli zarezerwuje pokój w Howbutker. Dzięki Henry’emu przez przypadek doszedłem do tego, gdzie jest. Rano wyjeżdża do Dallas.

Amos, nie bierz tego do siebie, że cię nie odwiedziła – nie przyjechała tu towarzysko.

– Więc po co? – zapytał Amos, postanawiając jednak usiąść.

Matt pociągnął spory łyk piwa, postawił je na stole i zdjął marynarkę, którą następnie powiesił na oparciu fotela ogrodowego i wyciągnął z niej dwa listy.

– Mówi ci coś nazwisko Miles Toliver?

Amos kiwnął głową.

– To brat Mary. Ojciec Williama. Umarł we Francji, gdy William miał sześć lat, chłopak został sam na świecie. Dlatego zamieszkał z Mary.

– Dobrze znasz historię Toliverów. Szkoda, że ja jej nie znałem, ale pozwól, że opowiem ci coś, o czym na pewno nie słyszałeś.

Amos słuchał w milczeniu, otwierając ze zdziwienia usta, a piwo w jego żołądku zamieniało się w skwaśniałą maź. Kiedy Matt skończył, prawnik przeczytał kopie korespondencji Mileasa i Percy'ego.

– Cóż za arogancja, jakie zarozumiałstwo z mojej strony – wykrztusił – żeby myśleć, że wiedziałem cokolwiek o historii Toliverów, Warwicków i DuMontów z Howbutker w Teksasie. I co Rachel zamierza z tym zrobić?

– Chce pozwać dziadka za oszustwo, jeśli nie przystanie na jej warunki.

Amos zerwał okulary z nosa.

– Nie mówisz poważnie. A te warunki to...

– Chce, żeby dziadek oddał jej Somerset w zamian za grunt, który jej ukradł. Tak się dokładnie wyraziła.

– O nie.

Amos zamknął oczy i pocierał miejsce na nosie, gdzie opierały się zwykle okulary. W świetle takich odkryć cóż innego mogło zrobić to biedne dziecko?

– Czy Percy się na to zgodzi?

– Nie wiem. Powiedział, że zrobi to, co uzna za słuszne. Przyszedłem, żeby cię zapytać, jaka jest nasza sytuacja, czy Rachel ma szansę w sądzie? Czy jej łódka zdoła utrzymać się na wodzie?

Amos oddał mu listy.

– Jeśli twój dziadek nie zgodzi się oddać Somerset, może nie mieć takiego wyboru, by robić to, co uważa za słuszne. Te listy stanowią realne zagrożenie dla nieruchomości, o której mówimy. Więc, tak, powiedziałbym, że sytuacja jest trudna i będziecie musieli zmierzyć się z całą fregatą na pełnych żaglach.

Matt sięgnął po swoją marynarkę.

– Chodźmy do dziadka. Musi to usłyszeć od jedyne go człowieka, który może go przekonać.

Ale czy posłucha? – zapytywał się Amos, wstając z fotela mimo okropnego ciężaru swoich wątpliwości.

Percy, w bibliotece, gdzie czekał na Matta i Rachel, przybity odłożył słuchawkę.

– Dziadku, Rachel nie przyjedzie – poinformował go telefonicznie wnuk. – Przyjęła własną interpretację faktów i żadna, choćby nie wiem jak wymyślna perswazja jej od tego nie odwiedzie. Chce Somerset i ma chyba przekonujące argumenty. Jedziemy do ciebie z panem Amosem, żeby o tym porozmawiać.

– A jak... ona się czuje?

– Czuje się oszukana, zdradzona, okłamana, kopnięta prosto w brzuch i na pewno nie jest przyjaźnie nastawiona do Warwicków, ani do swojej zmarłej ciotecznej babki.

– Cóż za okropna niesprawiedliwość w stosunku do Mary – mamrotał Percy.

– Będziesz musiał mnie o tym przekonać, dziadku.

– Nie omieszkam.

Z westchnieniem wstał z fotela. Nogi mu się trzęsły, opuściła go cała wcześniejsza nadzieja. Nie czuł się dobrze. Czoło pokrywały kropelki potu i wydawało mu się, jakby ktoś włożył mu do butów kamienie – zły znak. Powłócząc nogami, doszedł jakoś do interkomu i wcisnął guzik.

– Savannah, zmiana planów – wychrypiał do mikrofonu. – Obawiam się, że gość specjalny jednak nie przyjdzie, ale kolacja się nie zmarnuje. Matt i Amos są już w drodze, szybko rozprawią się z twoimi smakołykami. Zostaw wszystko w piekarniku, sami się obsłużymy.

– Przekąski też?

– Przyślij je na górę. Chłopcom przyda się trochę energii, daj też kubek z lodem i butelkę mojej najlepszej whisky.

– Panie Percy, chyba nie najlepiej się pan czuje.

– Niestety. Daj mi tu Grady’ego, mam jeszcze jedną prośbę.

Na korytarzu minął schody, które w tej chwili wydawały mu się Everestem ponad jego siły i skorzystał z windy. Rzadko jej używał, ale dziś musiał się oszczędzać na to, co go jeszcze czekało. W jego wieku i obecnym stanie, jutro może być za późno. Rachel odmówiła wysłuchania go osobiście, więc załatwi to inaczej – w obecności Amosa i swojego wnuka, którzy – choćby nie wiadomo, ile go to będzie kosztować – mają prawo znać prawdę.

Matt, a za nim w swoim samochodzie Amos, przyjechali dziesięć minut później. Od razu poczuł dolatujące z kuchni smakowite zapachy, zobaczył wspaniale nakryty stół i piękne kwiaty. Zrobiło mu się niedobrze. Uczta przygotowana, ale Rachel nie weźmie w niej udziału. Tragiczne i niepotrzebne marnotrawstwo. Próbował się przekonywać, że z czasem o niej zapomni, ale nawet teraz, kiedy pokazała mu jasno, co się dla niej liczy, wiedział, że nie da rady. Został z niej cień dziewczyny, którą pamiętał, brązowa jak murzyn, wszystkie kości jej wystawały, a i tak ścięło go z nóg, gdy ją zobaczył, i w tamtej chwili oddałby wszystko, co miał, żeby wziąć ją na ręce i zanieść gdzieś do... jakiejś chaty w lesie i kochać się z nią do utraty zmysłów, aż przestałby czuć ból. Dziadek go ostrzegał i teraz żałował, że go nie posłuchał, ale stało się. To ona była kobietą, z którą chciał spędzić resztę życia. Po niej nie może już być nikogo innego. Żona, owszem, ale nie inna kobieta.

Wszedł do saloniku, gdzie znalazł dziadka w jego dawnej, nienaganej formie, jednak bladeść jego twarzy wstrząsnęła nim do głębi.

– Dziadku, jak ty się czujesz?

– Gotów wykonać to, co na dziś zaplanowałem. Siadajcie, proszę. Amos, mógłbyś pełnić honory? – mówiąc to, wskazał na butelkę szkockiej stojącą na barze obok srebrnego kubka z lodem.

– Z przyjemnością – odparł Amos, wymieniając z Mattem pełne troski i smutku spojrzenie.

Matt zajął fotel, w którym zwykle siadał. Ten dzień wypełniały duchy z przeszłości. Nagle zatęsknił za matką i za ojcem, którego przecież nie znał. Nigdy w życiu nie czuł się taki samotny. Zauważył, że fotel, w którym siedzi, jest już nieźle wytarty i to jeszcze mocniej przypomniało mu matkę, jej łagodny głos. Ona urządziła ten pokój, wybrała odcienie niebieskiego, kremowego i zielonego i gdzieś tam delikatne bordo. Pamiętał, jak rozmawiali o tapetach przy śniadaniu i jak dziadek mówił: „Cokolwiek wybierzesz, na pewno będzie mi się podobało. Nigdy w życiu nie mogłabyś mnie zawieść”.

I rzeczywiście nie zawiodła. Przez te dwadzieścia pięć lat nikt nie zmienił nawet abażuru. Jedyne, której nie wybrała ona, wisiała nad kominkiem – obraz kupiony przez ojca

i po jego śmierci przywieziony zza mór przez towarzysza broni.

– Chyba czas wyremontować ten pokój, nie uważasz, dziadku? – zapytał. – Jest już trochę sfatygowany.

– Na mnie czas zbierać się z tego świata – odparł Percy, ruchem palca odmawiając whisky. – Urządzenie go od nowa pozostawię tobie.

– Zaczynij od tego – zaproponował cierpko Amos, wskazując głową na kominek.

Percy spojrział na niego krzywo.

– Amos, wiesz, co jest na tym obrazie?

– Szczerze mówiąc, nie. Wybacz moje słowa, ale jego jakoś nie prowokuje do kontemplacji sztuki.

– Mimo to spróbuj i powiedz mi, co widzisz.

Amos wstał z fotela i podszedł do kominka, by z bliska przyjrzeć się impresjonistycznej próbie artysty. Matt też wyciągnął szyję w tym kierunku. O co dziadkowi chodziło? Obraz wisiał tam tyle lat, że właściwie go nie zauważał. Nie miał dla niego wartości prócz sentymentalnej.

– No co, widzę małego chłopca, który biegnie do bramy ogrodu... – mówił wpatrzony w obraz Amos.

– Co trzyma w rękach?

– Coś, co wygląda jak... kwiaty.

– Konkretnie? Jakie kwiaty?

Amos odwrócił się do Percy'ego z twarzą rozjaśnioną zdumieniem i zrozumieniem.

– To... to białe róże.

– Mój syn Wyatt poprosił kolegę, by przekazał mi to po jego śmierci. Owszem, nie jest zbyt dobry, ale wiadomość, którą mi przekazał, miała dla mnie kolosalne znaczenie.

Matt wiedział, że coś się dzieje. W głosie dziadka słyszał emocje, w jego oczach zobaczył łzy. Poczł ssanie w żołądku.

– Jaką wiadomość, dziadku?

– O wybaczeniu. Czy ktoś opowiedział ci kiedyś legendę o różach, synu?

– Nawet jeśli tak, to nie pamiętam jej.

– Amos, powiedz mu.

I Amos wyjaśnił mu wszystko. Po skaczącym jabłku Adama Matt rozpoznał, że jest ogromnie wzruszony. Kiedy zakończył wykład, Matt zauważył:

– No dobrze, więc mój tata powiedział, że ci wybacza. Ale co?

– To, że go nie kochałem.

Matt powoli wyprostował się w fotelu.

– O czym ty mówisz? Przecież miałeś bzika na jego punkcie.

– No tak, zgadza się – potwierdził Percy – ale bzik zaczął się dopiero wiele lat po tym, jak przyszedł na świat, i niewiele to wtedy zmieniło. Bo widzicie, miałem dwóch synów. Jednego kochałem od samego początku. Drugiego – twojego ojca – nie.

Obydwaj mężczyźni gapili się na niego, nic nie rozumiejąc.

– Dwóch synów? – zachrypiął Amos. – A co stało się z tym pierwszym?

– Zmarł w wieku szesnastu lat. Na grypę. Wyatt spoczywa tuż obok niego. Jego zdjęcie stoi na mojej szafce nocnej. Mary przysłała mi je w dniu swojej śmierci.

– Ale... ale... to przecież Matthew DuMont – wydusił z siebie Matt.

– Tak, synu. Twój imiennik. Matthew był dzieckiem Mary i moim.

Po tym spokojnym wyznaniu zapadła pełna zdumienia cisza, przzerwana delikatnym pukaniem Grady'ego i odpowiedzią Percy'ego:

– Proszę.

Grady wszedł na palcach, jak do pokoju chorego i postawił na stole tacę, z której unosił się wspaniały aromat. Obok przystawek leżał na niej magnetofon. Po jego wyjściu Percy odwrócił się do swojej nadal oniemiałej publiczności. Matt wyglądał, jakby wybuchło pod nim piekło, a Amos, jakby otworzyły się bramy niebios.

– Jedźcie, jedźcie, chłopcy, bo wystygnie, a to ptysie z serem, które zrobiła Savannah. W dodatku czeka nas długi wieczór.

– Dziadku – odezwał się w końcu Matt. – Myślę, że nadszedł już czas, byśmy usłyszeli twoją historię.

– A ja myślę, że nadszedł czas, bym ją opowiedział – odparł Percy, włączając nagrywanie.

Rozdział siedemdziesiąty

W innej części Houston Avenue, w sąsiedztwie posiadłości Toliverów Hanna Barweise bujała się w fotelu na swojej werandzie i przeżywała rozterki. Percy Warwick nikł w oczach, a ona nie była pewna, czy powinna zawiadomić Lucy, żeby szykowała się na najgorsze. Przyjaciółka nigdy by tego nie przyznała, ale fakt, że nadal kocha swojego męża, jest tak samo widoczny jak piegi na twarzy Doris Day.

Czy powinna jej powiedzieć o ostatnich wydarzeniach, które mogły tak wpłynąć na Percy'ego? Zaczęło się od wizyty Toliverówny w domu Mary. Poczekwała tylko, aż Henry wyniesie do bagażnika jakieś pudła, i odjechała. Ledwie zniknęła za zakrętem, a tu jak wariat przyjeżdża Matt, z piskiem hamując na podjeździe. I natychmiast wybiega, jakby się miał spóźnić na samolot.

Jako była przewodnicząca Towarzystwa Ochrony Zabytków za swój obowiązek uznała wypytanie Henry'ego o wizytę Rachel. Towarzystwo nie otrzymało od niej żadnych instrukcji, co zrobić z rzeczami Mary. Ponieważ nie było Sassie, która zwykle hamowała siostrzeńca, sporo się dowiedziała. Po pierwsze, Rachel zabrała tylko jakieś stare księgi rachunkowe i kilka rzeczy z kufra na strychu. Nic więcej nie chciała. To wyjaśniło Hannie, co Rachel myśli o ciotce, i trudno się dziwić, biorąc pod uwagę tę bombę, jaką podrzuciła jej na kolana.

Potem wyciągnęła z niego, że Matt pojechał za Rachel, kalkulując, iż zatrzymała się w motelu poza Howbutker. Och, chciałaby być małą myszką i spod łóżka zobaczyć to spotkanie. Nie było w mieście tajemnicą, że zanim Rachel dostała obuchem w głowę, ona i Matt mieli się ku sobie. Z rozmowy między jej gospodynią a Savannah – kucharką Percy'ego – domyśliła się, że ją znalazł i to ona właśnie miała być gościem specjalnym oczekiwanym dziś w Warwick Hall.

Savannah zadzwoniła później się poskarżyć, że cała jej praca na nic, bo dziewczyna nie przyjedzie, a Percy jest okropnie zawiedziony. Hanna gotowa była postawić dwa do jednego, że miał nadzieję się zrehabilitować w oczach Rachel i uratować szansę na pogodzenie się młodych. Teraz byli tam Matt i Amos, Amos z jeszcze bardziej wydłużoną twarzą niż zwykle, a Matt nie lepszy. Według Savannah, wszyscy trzej zamknęli się w gabinecie Percy'ego i piją whisky, podczas gdy jej kurczak ze szpinakiem w sosie ziołowym schnie w piekarniku.

Savannah uważa, że Percy już więcej nie zniesie i to tylko kwestia czasu, kiedy podda się nieuniknionemu. A to mogłoby złamać Lucy serce. Ale Hanna przyrzekła, że będzie ją informować o wszystkim, co dotyczy rodziny. Gdyby rzeczywiście zdarzyło się najgorsze, z pewnością chciałaby być razem z Mattem. Na myśl o tym Hanna wstała z bujanego fotela i weszła do domu, by wykonać telefon.

Lucy odłożyła słuchawkę i zadzwoniła na Betty.

– Tak, proszę pani?

– Betty, nie podawaj mi dziś deseru ani kawy. Przynieś brandy.

– Coś się stało?

– Owszem. Mój mąż umiera.

– Och, pani Lucy!

– Jak on śmie? – Lucy stuknęła laską w podłogę. – Jak śmie?

Stuk. Stuk. Stuk.

– Ale, pani Lucy! – Betty patrzyła zdziwiona na swoją panią. – Może on wcale nie ma tu nic do gadania.

– Owszem, ma! Nie musi tracić chęci do życia z powodu tej kobiety!

– Jakiej kobiety?

Lucy się zreflektowała. Wyprostowała plecy i rozluźniła uścisk na lasce.

– Brandy, Betty. I to już.

– Tak, proszę pani.

Lucy zrobiła głęboki wdech. Jej serce trzepotało się jak ptak w klatce, ale, Boże, kiedy się nie trzepotało, gdy chodziło o Per-cy'ego? Zaczynała powoli nienawidzić tych telefonów od przyjaciółki, jednak z drugiej strony była jej wdzięczna za informacje. Hanna nie potrafiła połączyć wszystkiego w całość, na szczęście, ale Lucy tak. Tamta więc zdawała relację, a ona interpretowała. Z okrucichów, które docierały do niej przez te wszystkie lata od Hanny, wspomaganą przez niczego nieświadomą Savannah, oraz z informacji, jakie udawało jej się wyciągnąć od Matta, Lucy miała całkiem dobre rozeznanie w tym, co dzieje się w Warwick Hall.

A teraz Percy tak po prostu pozwala, by Mary zza grobu obrabowała go z tego życia, które mu jeszcze zostało. I dziś ta przeklęta plantacja będzie niszczyła Warwicków! Jak ta kobieta śmiała zapisać Somerset Percy'emu, a razem z nią klątwę? Bo tym właśnie jest ta plantacja – złem, które niszczy każdego, kto ją posiada. Co Mary sobie myślała, żeby stawiać Percy'ego w takiej sytuacji? Nie zdawała sobie sprawy z rozłamu, jaki to za sobą pociągnie? To ten żal zabija teraz Percy'ego. Miał nadzieję, że Matt i Rachel się pobiorą, kończąc to, co zaczęli kiedyś Mary i Percy, i zrobią pożytek z tego, co ich dziadkom prześliznęło się przez palce. Ale żeby tak się stało, Percy musi oddać Somerset Rachel, co jest równie prawdopodobne jak to, że dżdżownicy wyrosną nogi.

No i oczywiście nadużyłby w ten sposób zaufania Mary, niech piekło pochłonie jej duszę.

Mimo wszystko jednak Lucy była nieco zdezorientowana. Mary może i była uparta, ale nigdy nie zachowywała się irracjonalnie. Dlaczego więc nie sprzedała plantacji wraz z resztą farm? Dlaczego obarczyła tym Percy'ego? Po co w ogóle sprzedała holdingi i przekazała dom Towarzystwu Ochrony Zabytków? Dlaczego nagle odcięła swoją spadkobierczynię od tego, do czego przez lata ją przygotowywała? Od dziedzictwa, którego utrzymanie tak drogo ją kosztowało?

Betty postawiła obok niej kieliszek brandy.

– Pani Lucy, patrzy pani, jakby sam Chrystus się pani objawił.

– Prawie, Betty... prawie – szepnęła Lucy oniemiała z wrażenia. Przyszła jej do głowy niesamowita myśl, jakby wprost z ust samego Boga, i to zanim wypła pierwszy łyk brandy. „No, no, Mary Toliver, ty stara podła suko. Wiem, czemu to zrobiłaś. Uchroniłaś Rachel, nie chciałaś, żeby stała się tobą. Widziałaś, dokąd zmierza, i pozbawiłaś ją środków, żeby tam dotrzeć. Choć raz w życiu kochałaś kogoś bardziej niż tę plantację, która wysysa z człowieka wszystkie soki. A niech mnie dunder świśnie”.

Ale, jak zwykle, Mary pojawiła się zbyt późno i przyniosła za mało, typowe, zawsze wszystko na ostatnią minutę. Matt mówił, że zmarła kilka godzin po wręczeniu Amosowi kodycyli, a więc nie miała czasu szczerze porozmawiać z Rachel. A teraz jej dobre intencje wszystkich po kolei ranią, jak granat rzucony w niewłaściwym kierunku. Rachel ją znienawidziła, rozstali się z Mattem, a Percy powoli marnieje między tym młotem a kowadłem, gdzie Mary go zostawiła. Po raz kolejny go ukarała, a teraz jej klon – jeśli ktoś nią mocno nie potrząśnie – zrobi to samo Mattowi.

Lucy podniosła kieliszek do ust, wszystko się w niej gotowało. Do diabła, wiedziała, że tak będzie, od samego początku, kiedy tylko Hanna opowiedziała jej o pierwszym wakacyjnym przyjeździe Rachel do Howbutker. Hanna, która знаła Mary całe życie, opisywała, że Rachel ma takie same „piekielnie czarne włosy, obcy kolor oczu, cygańską cerę i dołeczek w brodzie” jak jej odwieczny wróg.

– Innymi słowy, jest piękna, tak? – spytała Lucy.

– Obawiam się, że tak – przyznała Hanna – i tak podobna do Mary w jej wieku, że musiałam się uszczypnąć, bo przez chwilę miałam wrażenie, że znalazłam się z powrotem w czasach szkolnych.

I wtedy Lucy pomyślała, jakąż to będzie ironia losu, jeśli Matt i Rachel pewnego dnia powtórzą historię Mary Toliver i Percy’ego Warwicka. Wstrzymywała oddech i pukała w niemalowane drewno. Bo jak mogłaby życzyć Mattowi miłości do dumnej następczyni tronu, która tak samo jak jego obecna właścicielka cierpiała na dysfunkcyjne do niego przywiązanie? Jak mogłaby przytulić żonę wnuka, która jest repliką kobiety tak przez nią znenawidzonej?

Odetchnęła nieco, gdy na ich pierwszym zrelacjonowanym spotkaniu – na pogrzebie Olliego – nie zaiskrzyło, ale kiedy lata mijały, a żadne z nich wciąż nie brało ślubu, miała okropne przeczucie, że to tylko kwestia czasu i nieuniknione stać się musi. I stało się. W ciągu paru dni od powrotu Rachel na pogrzeb Mary Matt zadzwonił do niej z wiadomością, że spotkał dziewczynę, z którą chce się ożenić.

– Jesteś tego pewien?

– Jestem, Gabby. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze niczego tak pewien. Nigdy nie byłem taki szczęśliwy. Kurczę, teraz widzę, że w ogóle nie byłem jeszcze szczęśliwy, jeśli to, co teraz czuję, to jest właśnie szczęście. Wiem, że nie bardzo zgadzałyście się z Mary, ale tego członka rodziny Toliverów na pewno polubisz.

Więc Lucy wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

– W takim razie, Matt, załóż jej pierścionek, zanim dziadek i ja zrobimy się za starzy, żeby bawić prawnuki.

A już tydzień później było po wszystkim. Tak jak Mary Percy’ego, Rachel rzuciła Matta z powodu tej żalostnej plantacji. Oszczędziła mu tych głupot, które w takich chwilach babcie serwują zwykle wnukom. Nie powiedziała, że zapomni o Rachel, że czas leczy rany i że są na świecie inne dziewczyny. Tak jak jego dziadek, odnalazł – i stracił – swoją jedyną miłość.

Ale niech Bóg chroni tego chłopca przed powtarzaniem błędów, jakie jego dziadek popełnił w małżeństwie.

Brandy ogrzewało jej krew, łagodząc złość i zamieniając ją w smutek. Nigdy wcześniej nie czuła się tak odseparowana od swojego dawnego domu i tych, których darzyła miłością. Gdyby tylko mogła porozmawiać z tą dziewczyną, opowiedzieć jej choćby skrawek prawdy o jej ciotecznej babce i plantacji... prawdy, która by ją uwolniła i pozwoliła kochać Matta, i wyjść za niego. Ale co ona może w tej swojej złotej klatce na wygnaniu, na które zresztą sama się skazała?

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

Kiedy się tu pojawiłeś, nasze historie już się dokonały... a my żyliśmy z ich konsekwencjami, powiedziała wtedy Mary i teraz Amos zrozumiał znaczenie jej słów. Percy skończył swoją opowieść i w pokoju zapadła głucha cisza, przzerwana po chwili melodyjnym biciem zegara na kominku, który obwieścił dziewiątą. Minęły dwie godziny. Kubełek z lodem stał na barze, ociekając wodą, obok butelka whisky single-malt – prawie pełna, nie licząc dwóch szklaneczek nalanych wcześniej – i taca z przekąskami, ledwie tkniętymi, które zdążyły całkowicie wystygnąć.

Percy opowiedział im swoją historię spokojnym, monotonnym głosem oskarżonego na sali sądowej, niczego nie pomijając, żadnego wydarzenia, ani jego skutku, począwszy od dnia, kiedy to wszystko się zaczęło – gdy szesnastoletnia Mary odziedziczyła Somerset. Amos po kolei wczytywał z twarzy Matta pełną gamę swoich własnych, głębokich emocji. Najbardziej poruszyły go niewyobrażalne wprost konsekwencje ran odniesionych na wojnie przez Olliego. Z kolei Matt najmocniej przeżył pobicie Wyatta w lesie. Nawet jeśli nic nie wyniknie z opowiedzenia tej historii, wiedzieli teraz, że Matthew to coś więcej niż imię na wyblakłym nagrobku, Lucy to nie tylko wiedźma opuszczająca męża wskutek ataku menopauzy, a Wyatt to nie tylko zbuntowany syn, który odwrócił się od ojca i zawiódł jego nadzieje i oczekiwania. Wiedzieli teraz, dlaczego Mary zapisała Somerset Percy'emu.

Percy wyłączył magnetofon, ostry dźwięk odskakującego przycisku zabrzmiał jak KONIEC na ostatniej stronie długiej powieści. Amos rozprostował nogi.

– Więc to właśnie Mary miała zamiar opowiedzieć Rachel?

– Właśnie tak.

Percy spojrzał na wnuka, który siedział z zamkniętymi oczami, przyciskając palce do ust. Na policzkach lśniły dwie mokre smugi.

– Matt, co tam się teraz dzieje w tej twojej głowie, albo raczej w sercu? – zapytał chropawym głosem.

– Zbyt wiele, bym mógł to wyrazić.

– Dasz sobie radę?

– Dam, dziadku. Ja tylko... smutno mi. Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, prawda?

– Tak, synu. Najlepszym.

– Rozwiedziesz się teraz z Gabby?

– Oczywiście, że nie.

– Ona ciągle cię kocha, wiesz?

– Tak, wiem.

Matt odchrząknął, otarł oczy i zasalutował dziadkowi – na tyle mógł się w tej chwili zdobyć, myślał Amos, gdy Percy zwrócił się do niego.

– A ty, mój przyjacielu, o czym myślisz?

Amos ocknął się. Zdjął okulary, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i rozwinął ją jednym strząśnięciem, a potem zaczął dokładnie polerować szkła.

– Mój Boże, od czego tu zacząć?

Myślał o Mary – zmysłowej i pięknej Mary – i jej życiu po Percym. Jak znosiła celibat? Jak dawała sobie radę z wiernością Olliemu, temu najcudowniejszemu człowiekowi na świecie? Jak żyła ze świadomością, że Matthew zmarł, nie poznawszy prawdziwego ojca?

– Chyba głównie – powiedział, zakładając na powrót okulary – myślę o kłatwie Toliverów. W dniu swojej śmierci Mary wspomniała o niej w kancelarii. Uznałem wtedy, że

straciła rozum, ponieważ – na jego twarzy pojawił się przelotny, drwiący uśmiech – jako absolutny autorytet w dziedzinie rodzin założycieli nigdy o niej nie słyszałem. A przecież odpowiedź cały czas była w *Różach*, widoczna w drzewie genealogicznym. Ale nie skojarzyłem jakoś niedostatku potomstwa z niezdolnością Toliverów do prokreacji.

Percy wy dostał się ze swojego fotela i pozbierał ich szklanki. Niezależnie od tego, co przyniesie mu przyszłość, wydał się Amosowi naenergetyzowany, jak stary silnik po generalnym czyszczeniu.

– Nie tylko do prokreacji, ale również do utrzymania dzieci przy życiu – dodał Percy.
– Mary natrzęsała się z klątwy, dopóki pod ciężarem własnych doświadczeń nie zmieniła zdania.

Amos zastanawiał się nad tym, pocierając dłonią twarz.

– I uznała, że jedynym sposobem, by ustrzec Rachel przed podobnym losem, jest sprzedaż i rozstanie się z wszystkim, co ma związek z dziedzictwem Toliverów.

– Ja jestem o tym przekonany.

Matt sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– No tak, ale obawiam się, że plan Mary może się nie powieść. Myślę, że wiesz, co to jest, dziadku – powiedział i biorąc od niego drinka, wręczył Percy’emu kopie dokumentów.

– Tak jak przewidywałeś, Rachel nie interesuje odzyskanie gruntu ojca. Chce Somerset. Masz tydzień na zastanowienie, potem cię pozwie, oskarżając o oszustwo.

– Jestem pewien, że w swoich najsmielszych snach Mary nie pomyślałaby, że ten list wróci do ciebie, by cię nękać – powiedział Amos tak delikatnie, jak tylko pozwalała na to jego opinia o głupocie Mary w tej sprawie.

Percy wziął listy i już na powrót w fotelu przeczytał je szybko.

– Chyba jednak pomyślała. I dlatego chciała go zniszczyć, wraz z całą resztą. Jak bardzo mogą nam zaszkodzić, Amos?

Amos zrobił smutną minę.

– Będę musiał dokładniej się przyjrzeć całej sytuacji, ale na chwilę obecną wyglądają bardzo obciążająco.

Następne pytanie Percy skierował do Matta.

– Uważasz, że nie ma szans, by Rachel usiadła ze mną i wysłuchała tej historii, którą właśnie wam opowiedziałem?

– Tak uważam. Jest przekonana o słuszności swojej wersji i za bardzo chce Somerset, żeby słuchać twojej.

– Mimo że jej na tobie zależy?

– Bardziej zależy jej na Somerset.

– Och... – westchnął Percy, zawierając w tym westchnieniu cały ocean zrozumienia.

Znów spojrzął na Amosa.

– Czy zwykła prawda nie może stanowić najlepszej obrony przeciwko nim? – spytał, wskazując na listy. – Dokumenty pokażą, że sprzedaż tej ziemi zabezpieczyła finansową przyszłość Williama.

Ponieważ Amos nie odpowiadał, Percy uniósł palec, zgłaszając w ten sposób, że ma jeszcze jeden argument.

– Nie zapominajmy też, że William dość wcześnie uciekł od swoich obowiązków w rodzinnym interesie i nigdy już nie wrócił. W wyniku mojego zakupu odziedziczył fortunę, podobnie jak Rachel. Więc pytam: gdzie są te szkody? Wydaje mi się, że sądowi trudno będzie przyznać Rachel rację na tej podstawie, że Mary nie spełniła życzeń swojego brata.

Amos kręcił się nieswojo w fotelu, zastanawiając się, czy też Percy zapomniał o krzywdach wyrządzonych Toliverom z Kermit, a wynikających z przekonania Williama, że

jego dziadek, Vernon Toliver nie zapisał w swoim testamencie nic jego ojcu. Jeśli prawnicy Rachel to wyciągną, a na pewno tak zrobią, argument Percy'ego straci rację bytu. Percy poruszył kilka ważnych punktów, ale wszystkie można zakwestionować.

– To co mówisz, rzeczywiście można wykorzystać – powiedział głośno tonem, który niósł w sobie wielkie „ale”. – Dodatkowo sąd może uznać, że działania Rachel wynikają z chciwości, jeśli wziąć pod uwagę hojny podział majątku ciotki Mary.

– Ale? – zapytał Matt.

– Ale jej prawnicy będą utrzymywać, że w momencie sprzedaży Mary działała wyłącznie dla dobra męża, nie Williama. Zabezpieczała teraźniejszość, nie przyszłość. To, że w przyszłości dzięki tej transakcji William odziedziczył duży spadek, zostanie uznane za nieistotne dla sprawy. Sprzedaż przedstawia w ten sposób, że dalsze losy będą bez związku. Mary świadomie sprzedała grunt, do którego nie miała takiego prawa, a ty świadomie go kupiłeś... klasyczne oszustwo. Hojny zapis Mary dla Williama zinterpretują jako chęć zadośćuczynienia za kradzież jego własności. A fakt, że nastąpiło to dość późno w jego życiu, które wiódł w bardzo skromnych warunkach, i w dodatku nie dane mu było cieszyć się spadkiem, na pewno nam nie pomoże. Takie szczegóły prawnicy w sądzie uwielbiają wysysać do ostatniej kropli emocjonalnego wpływu na ławę przysięgłych.

Matt zakaszłał, wyglądał na cierpiącego.

– Mam jeszcze jedną szpilkę, dziadku. To, że William uciekł od obowiązków, zneutralizował fakt powrotu jego córki, która przejęła całą odpowiedzialność jako spadkobierczyni Mary.

Amos kiwał głową, zgadzając się z argumentem Matta i sam dalej nakłubał balonik Percy'ego.

– Powstanie też kwestia, dlaczego nie mogłeś zwyczajnie dać Mary i Olliemu tych pieniędzy zamiast uciekać się do nielegalnych transakcji.

– To akurat proste – powiedział Percy z pewnym siebie machnięciem ręki. – Wyjaśnię zasadę, którą ustaliły nasze rodziny. Przecież wiesz, Amos. Ollie prędzej pozwoliłby odebrać sobie sklep, niż wziąłby ode mnie choćby centa.

– Co sąd uzna za równie oburzające jak zdobycie pieniędzy w wyniku nielegalnej sprzedaży własności siedmioletniego chłopca.

– Ollie nie wiedział, że transakcja była nielegalna.

– Ale ty i Mary owszem.

Ramiona Percy'ego nieco opadły.

– Chcesz mi powiedzieć, Amos, że jesteśmy ugotowani?

– Przykro mi, ale twoje argumenty nie będą przekonujące – wyjaśnił sfrustrowany Amos, przesuując dłoń po swojej łysinie. – Percy, co ty właściwie chcesz osiągnąć? Na co masz nadzieję?

Percy oparł się wygodnie, pod wpływem głębokiego uczucia misternie wyrzeźbione rysy jego starej twarzy nabrały ciepła.

– Chcę zatrzymać Somerset, nie tracąc zakładów. Chcę, żeby Rachel porzuciła tę walkę, wróciła do domu i wyszła za Matta. Chcę, żeby uprawiała drzewa zamiast bawełny i była z tym szczęśliwa. Chcę, żeby zrozumiała intencje Mary i wybaczyła jej. Tego chcę i wierzę, że to wciąż możliwe.

– Dziadku, to marzenia.

– Być może – mamrotał Percy, sącząc drink.

Amos przyglądał mu się ponad oprawkami okularów.

– Rachel wynajęła Taylora Sutherlanda. Znasz go?

– Głównie ze słyszenia, ma dobrą reputację.
– Będzie miała po swojej stronie najlepszego z możliwych.
– A ja będę miał prawdę, Amos, i ciebie – stwierdził Percy, a kiedy zobaczył panikę na twarzy adwokata, że ma sam dźwigać ciężar obrony, dodał: – Oraz wszystkich, których tylko będziesz chciał sobie dobrać do współpracy. Oczywiście, jeśli dojdzie do procesu.
– Mam nadzieję, że nie dopuszczasz nawet takiej myśli – ostrzegął Amos. – Możemy zaprezentować świetną obronę, ale to w żaden sposób nie wpłynie na wynik, a rozgłos cię dobije. Media rozszarpia twoje dobre imię na strzępy, nie mówiąc już o pamięci Mary. Naprawdę uważasz, że warto? Mary nie chciałaby, żebyś na koniec walczył z Rachel po sądach po to, żeby załatwić jej sprawy. Błagałaby, żebyś oddał Somerset, pozostawiając jej przyszłość w rękach losu. No i pomyśl o Matcie, w jakiej sytuacji to go postawi.

Percy spojrział na wnuka.

– Też tak myślisz, Matt?

– Nie chcę, dziadku, żebyś cierpiał. Tylko o ciebie się martwię. Mną się nie przejmuj. Sam zawsze mówisz, że jedynym sędzią uczciwości człowieka jest on sam. Jeśli wierzy, że nie zrobił nic złego, nie ma znaczenia, co sądzą inni. Ale obchodzi mnie jednak, co ludzie myślą o tobie i jak zostaniesz zapamiętany, dlatego boję się, co taki proces może ci zrobić.

– Ale oddanie Somerset może być jeszcze gorsze, synu.

– Jakim sposobem? – pytał skonsternowany Matt. – Rachel dostanie zakłady, a my zostaniemy z plantacją. Nikt nie wygra. Zgadzam się z Amosem. Mówię, żeby oddać jej tę cholerną ziemię i do diabła z nią. Niech ją pożre żywcem jak wszystkich poprzednich Toliverów.

Percy uniósł brwi.

– Straciłeś swoje uczucie do niej?

– Straciłem na nią nadzieję.

– Niedobrze – powiedział Percy, obniżając podnózek fotela. – Amos, słyszę, że burczy ci w brzuchu, tobie pewnie też, Matt. Zresztą, sam jestem głodny, a to dobry znak. Co prawda, już późno, ale i tak czeka nas raczej bezsenna noc – zejdźmy więc na dół, podgrzejemy kurczaka w sosie ziołowym i spluczemy go dwoma butelkami Pinot Grigio. Mam czas do poniedziałku, tak, Matt?

– Tak – odparł, wymieniając zaniepokojone spojrzenie z Amosem. Po co czekać aż tydzień?

Matt również wstał, ale został jeszcze przy swoim fotelu, gdy reszta maszerowała do wyjścia.

– Idziesz, Matt? – pytał Percy.

– Dajcie mi kilka minut.

Podniósł wzrok na obraz powieszony nad kominkiem. Tyle się w końcu wyjaśniło. Miał odpowiedzi na pytania, które zadawał sobie całe życie. Dlaczego babcia została w Atlancie, choć głowę by dał, że wolałaby mieszkać tutaj z nim i dziadkiem? Dlaczego oboje do dziś nie potrafili otrząsnąć się po śmierci taty i wspominać go swobodnie i z miłością, tak jak sąsiedzi, którzy również stracili na wojnie syna? Zamiast tego oboje dziadkowie – a nawet matka – opowiadali o nim tak, jakby nie chcieli mu przeszkadzać w grobie. Tylko tyle wiedział o swoim ojcu, żołnierzu piechoty morskiej, ile dowiedział się z albumu z wycinkami prasowymi opisującymi jego wyczyny na polu bitwy oraz z gabloty z medalami i odznaczeniami, która wisiała w bibliotece. Jeden jedyny raz poczuł się bliżej niego. Dziadek pokazał mu zdjęcie w skórzanej oprawce, na którym widniał on jako niemowlę i jego młoda, uśmiechnięta matka.

– Twój tata miał to zdjęcie przy sobie, kiedy zginął – powiedział. – Na pewno życzyłby sobie, żebyś ty je miał. I jeszcze coś. Jego ostatnie słowa tego dnia, kiedy wyruszał na tę wojnę,

z której już nie wrócił, brzmiały: „Powiedz mojemu synowi, że go kocham”. Chcę, żebyś nigdy nie zapomniał tych słów i nosił je tutaj – mówiąc to, dziadek położył mu rękę na sercu.

Coraz bardziej ścisnęło go w gardle, z trudem łapał oddech, oczy przesłoniła mu mgła. Boże. Tyle zmarnowanego życia, zmarnowanych lat, tragedie i żale, niewyobrażalny ból, poczucie winy... i wszystko prowadzi do skrawka ziemi Toliverów. A teraz Rachel postanowiła kontynuować tę tradycję destrukcji.

Podniósł magnetofon. To był dobry pomysł... że dziadek wszystko nagrał. Cokolwiek się zdarzy, Boże broń nas, zapis prawdy będzie dostępny. Popelnił błędy – a który człowiek ich nie popelnia? – ale były to błędy wybacalne i Bóg wie najlepiej, że drogo za nie zapłacił. Matt mógł oczywiście wysłać Rachel kopię taśmy, ale ona zapewne nie będzie chciała jej wysłuchać, a nawet gdyby to zrobiła, wątpił, że zmieni zdanie, może zamyśli się, zastanowi, ale nie zejdzie z obranej drogi. Już prędzej użyje jej w sądzie przeciwko dziadkowi jako dowód jego przyznania się do winy.

Wyjął kasetę z magnetofonu i włożył do kieszeni. Ale był ktoś inny, kto musi jej wysłuchać – ktoś, dla kogo może mieć bardzo duże znaczenie.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Następnego ranka – znudzona, sfrustrowana i głodna – Rachel siedziała w pokoju motelowym aż do dziewiątej, kiedy to w końcu uznała, że Percy nie zadzwoni. Licząc, że może jednak, spokojnie zjadła śniadanie w restauracyjce przy motelu i zapytała w recepcji, czy nie było dla niej wiadomości. Wyspany recepcjonista z dziennej zmiany poinformował ją, że nie. Zawiedziona wróciła do pokoju, wrzuciła rzeczy do samochodu i odjechała do Dallas.

Brak odpowiedzi z Warwick Hall nie wróżył nic dobrego. Oznaczał, że po przeczytaniu dowodów przeciwko sobie Percy się nie ugiął. Ale ugnie się, mówiła do siebie Rachel. To głupie z jej strony, że spodziewała się reakcji tak wcześnie. Percy Warwick nie jest człowiekiem, który łatwo ulega, nawet jeśli wszystko świadczy przeciwko niemu. Dopiero Amos wraz z całym zespołem najlepszych prawników, jakich uda mu się wynająć, zdoła go przekonać, że robi głupstwo, odmawiając spełnienia jej warunków.

Po wyjeździe z Marshall wybrała na swoim samochodowym telefonie numer Taylora.

– Z tego co mówisz, Rachel, mamy sprawę – orzekł po wysłuchaniu, co zdobyła w ratuszu. – Rozmawiałaś z Percym?

– Nie, z jego wnukiem. Przedstawiłam mu moją propozycję i dałam kopie listów. Gdy Percy je przeczyta, nie będzie chciał procesu.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. – Rachel postanowiła nie wspominać, że spodziewała się ustnej kapitulacji jeszcze przed opuszczeniem Marshall. – Powiedziałam Mattowi, że daję Percy’emu tydzień na podjęcie decyzji. Jeśli do poniedziałku się nie odezwie, idę do sądu.

– Czy ten wnuk uważa, że Percy będzie otwarty na taką wymianę?

Rachel się zastanowiła.

– Matt nie użyłby słowa „otwarty”. On obawia się, jaki wpływ będzie miało na Percy’ego oddanie Somerset.

– A jak ty się z tym czujesz?

Wiedział, który guzik wcisnąć, i to dobrze wiedział. W jej tonie było więcej surowości niż w sercu.

– Uważam, że gdyby tego nie zrobił, skutki byłyby nieporównanie gorsze. Mam nadzieję, że podejmie właściwą decyzję.

W milczeniu Taylora wyczuwała, że nie podziela jej przekonania.

– Zakładam, że ty i jego wnuk nie rozstaliście się w miłej atmosferze?

Po raz kolejny starannie dobierała słowa.

– On... czuje się bardzo zraniony. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Pamiętaj, Rachel, że najgorszy wróg, jakiego możesz sobie życzyć, to dawny przyjaciel.

Zagryzła wargę.

– Panie Sutherland, jest naprawdę duży ruch. Będę chyba musiała kończyć.

– Chcę tylko, żebyś była świadoma, co tracisz, a co zyskujesz – mówił dalej Taylor, ignorując jej unik. – Przy spotkaniu z Mattem Warwickiem Carrie odniosła wrażenie, że jesteście dużo więcej niż przyjaciółmi.

– Czy ta rozmowa wnosi coś do mojej sprawy?

– Powinnaś też pamiętać, na co się narażasz po procesie – ciągnął nieporuszony.

– Warwickowie mogą bardzo utrudnić ci życie w Howbutker.

Rachel zmusiła się do gorzkiego śmiechu.

– To nic nowego w historii Toliverów i Warwicków, wywodzi się z wojujących

rodów.

- Nie rozumiem.
- Kiedyś panu o tym opowiem. A tymczasem koło południa powinnam być w Dallas.
- No cóż, właściwie, dlaczego nie, możemy zaczynać. Nie przychodź do biura,

porozmawiamy u Carrie.

Zadzwoił do drzwi dosłownie kilka minut po jej przyjeździe. Wszedł w pomiętym garniturze i poluzowanym krawacie, niosąc dwie białe torby z delikatesów. Natychmiast podszedł do termostatu.

- Moja córka uważa się za niedźwiedzia polarnego – narzekał, ustawiając wyższą temperaturę. Uniósł torby.
- Lunch. Zrobię gorącą herbatę, żeby przeszła nam gęsia skórka. Co jest w tych pudłach, które widziałem w chevrolecie na dole?

Idąc za nim do kuchni, odpowiedziała:

- Księgi prowadzone przez mojego dziadka. Oraz prywatne listy i pamiątki cioci. Pomyślałam, że mogą się przydać, poza tym... nie chciałam, żeby grzebali w nich obcy
- wyjaśniła, a widząc uniesione brwi Taylora, dodała obronnym tonem: – To jedyna i ostatnia rzecz, którą dla niej robię.

- Skoro tak mówisz. Ale dobrze, że to przywiozłaś. Może znajdziemy coś pożytecznego
- stwierdził, po czym zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i podstawił czajnik pod kran.

– Głodna?

- Nie, ale spróbuję. Muszę wrócić do formy – powiedziała, pocierając ramiona. – Nie tylko, by zmierzyć się z Warwickami, ale żeby utrzymać właściwą temperaturę ciała.

Taylor rozejrzał się po sterylnej czystej kuchni, całej białej, jak reszta mieszkania.

– To igloo nie może się chyba wydawać zbyt przytulne farmerowi?

- Za to towarzystwo wszystko rekompensuje. Ale przecież nie zostaję na długo, tylko do poniedziałku.

– Tak? – zdziwił się, zapalając gaz pod czajnikiem. – A potem co?

- Pojadę do Howbutker i zamieszkać w domu Ledbettera, na plantacji. Jestem pewna, że Percy nie będzie miał nic przeciwko temu. Teraz pełni rolę biura, ale przerobię go na mieszkanie dla siebie. Zawsze chciałam zamieszkać w Somerset.

Taylor otworzył szafkę i wyjął filiżanki i spodeczki.

– Jesteś bardzo pewna, że Percy pójdzie na tę wymianę.

– A pan nie? Przecież oni nie mają żadnych argumentów.

Taylor jakby jej nie słuchał. Wyjął z toreb plastikowe pojemniki z lunchem.

- Dla ciebie sałatka z gotowanymi krewetkami, dla mnie bagietka ze smażonymi krewetkami.

– Dlaczego nie odpowiada pan na moje pytanie? – zapytała, kiedy wlewał wrzątek do dzbanka.

– Ponieważ nie chcesz usłyszeć, że to nie przelewki – wyjaśnił – a ja nie chcę, żebyś straciła apetyt. Porozmawiamy o tym z pełnymi żołądkami.

Po sprzątnięciu ze stołu Taylor nawiązał do tematu.

- Teraz możemy omówić nasze sprawy – oznajmił i poprosił o kopie zapisów z rejestrów.
- Czy Matt wytłumaczył, dlaczego Percy, wiedząc, że popełnia przestępstwo, kupił ziemię twojego ojca?

– Było tak, jak pan przewidywał. Ciężkie czasy.

I Rachel w skrócie opowiedziała mu całą historię, dodając, że Ollie nie wiedział o nielegalności transakcji.

– Dlaczego po prostu nie przyjął pożyczki, skoro był tak zdesperowany? – spytał Taylor. Rachel wyjaśniła zasadę niepożyczania pieniędzy pomiędzy rodzinami.

– Percy powiedział Mattowi, że Ollie raczej straciłby sklep, niż przyjął od niego choćby centa.

Taylor spojrział na nią z zaciekawieniem.

– A dlaczego ty mu nie wierzysz?

Zmarszczyła czoło.

– A co to za różnica, wierzę czy nie? Nie mam wątpliwości, że Percy chciał pomóc wujkowi Olliemu, ale przede wszystkim szukał gruntu pod swój zakład. Ta ziemia wspaniale się nadawała na ścieralnię drewna, a trudne położenie wujka Olliego postrzegał jako sposób na jej zdobycie.

– No, nie wiem, ja znam innego Percy’ego Warwicka.

Rachel wstała, ze złością odpychając krzesło.

– Po czyjej jest pan stronie? – zapytała, wkładając gwałtownie czajnik pod mocny strumień wody. – Mam nieodparte wrażenie, że jedzie pan z myśliwymi, ale sercem stoi pan po stronie lisa.

– Rachel, jestem po twojej stronie – zapewnił ją z niewzruszonym spojrzeniem – ale moja rola polega również na odgrywaniu adwokata diabła. Muszę wskazać na wszystkie słabe punkty, żebyśmy mogli się do nich przygotować – bo zapewniam cię, że obrona na pewno się przygotowuje. Przedstawię te okoliczności łagodzące jako motyw jego postępowania, zaznaczając, że nikogo nie powinno dziwić, iż człowiek kalibru Percy’ego Warwicka...

Rachel odstawiała czajnik na piec i odwróciła się do niego z ręką na biodrze.

– A pan przedstawi te okoliczności łagodzące jako niemające związku ze sprawą, prawda?

Spod czajnika wypęłzały na boki płomienie.

– Prawda – powiedział Taylor i wstał, by przykręcić gaz. Poklepał ją po ramieniu. – Zejdę na dół po te pudła, a ty postaraj się nie spalić w tym czasie domu.

Razem przejrzeni zawartość kartonów, popijając przy tym gorącą herbatę. Taylor uznał, że książki w zupełności wystarczą, by potwierdzić autorstwo listu i zaczął przeszukiwać drugie pudło w nadziei znalezienia czegoś jeszcze, co zmusi Percy’ego do oddania Somerset. Jego listy i liściki mogły się okazać przydatne. Dowodziły ich wzajemnej miłości i to ona mogła spowodować, że Mary zostawiła plantację jemu, a nie spodziewanej spadkobierczyni.

– To przechyła szalę na naszą stronę – wyjaśnił. – Sędzia poinstruuje przysięgłych, żeby nie dali się ponieść uczuciom, ale to przecież tylko ludzie. Fakt, że zostałaś pominięta na rzecz Percy’ego, nie ma znaczenia dla meritum, ale wyjaśni, dlaczego chcesz odzyskać choć jedną rzecz, która kiedyś należała do rodziny – mówiąc to, odwinął zwitek robionych na drutach kremowych pasków i różowych satynowych wstążek. – A to co takiego?

– Nie jestem pewna. Wygląda, jakby ktoś chciał zrobić pled czy narzutę, ale nigdy nie skończył pracy. Wiem, że to nie ciocia Mary. W szkole trzeba ją było zmuszać do robótek ręcznych, a potem też unikała ich jak ognia.

Taylor trzymał w dłoniach kremowe pasy.

– Musiał je zrobić ktoś bardzo jej drogi, inaczej by ich nie trzymała. Może matka?

– Nie wiem. Nigdy nie słyszałam, żeby ciocia mówiła coś o swojej matce, ale tak czy inaczej, na pewno nie wybrałaby na narzutę dla córki różowych wstążek.

– A to dlaczego?

Zastanawiała się, jak to najlepiej wytłumaczyć.

– No więc, w naszych rodzinach – u Toliverów, Warwicków i DuMontów – różowy kolor

oznacza niewybaczenie. Nie wiem, czy istnieje takie słowo, ale dokładnie o to chodzi. Czerwonym prosi się o wybaczenie, białym wybacza, różowy to brak wybaczenia. Dlatego musiał to zrobić ktoś spoza rodziny.

Taylor patrzył na nią zafascynowany, ale wciąż nie do końca rozumiejąc.

– Więc co wy właściwie robicie? Zawieszacie flagi na dachu, żeby ogłosić swoje uczucia?

Rachel się roześmiała.

– Nie, dajemy róże – powiedziała, po czym sięgnęła do kartonu i wyjęła książkę. – Może pan sobie o tym poczytać. To wyjaśni wszystko o wiele lepiej niż ja i może rzuci światło na to, dlaczego nazwisko Toliver i Somerset aż tyle dla mnie znaczą.

Taylor przeczytał tytuł.

– *Róże*. Zaintrygowałaś mnie, Rachel. Dziś wieczorem zaczynam lekturę – zdecydował, po czym wysunął spod stołu kuchenne krzesło. – A teraz siadaj. Zrobisz dla mnie dwie kolumny, A i B – poinstruował. – A to strona pozwanego, B – powódki. Jeśli dojdzie do rozprawy, przysięgli wysłuchają wszystkich, a potem ustalą i zinterpretują fakty. Musimy się postarać, by przemawiały na naszą korzyść. Aby tego dokonać, musimy przewidzieć i odpowiednio się przygotować na każdy fakt, który strona przeciwna zamierza użyć w swojej obronie. Mówiłaś, że Percy chciał się z tobą spotkać, żeby wyjaśnić, dlaczego ciotka zapisała plantację jemu. Powinnaś była to zrobić, Rachel...

– Nie! On nie ma do powiedzenia nic, czego chciałabym słuchać.

– Nawet jeśli to działa na jego korzyść?

– Niemożliwe. Skoro nasza sprawa opiera się na fakcie, że sprzedaż była nielegalna, to ciekawa jestem, jakim cudem on może mnie pobić.

Taylor przesunął w jej stronę notatnik i ołówek.

– W tym właśnie pomogą ci te dwie kolumny. Obok A wpisz Percy'ego, obok B – siebie.

Rachel wykonała polecenie.

– Chyba wiem, dokąd to zmierza – zauważyła. – Co mam napisać pod Percym?

– Jeśli musisz pytać, to właśnie dlatego to robimy. Percy Warwick jest ogólnie szanowanym i bardzo lubianym biznesmenem, człowiekiem, który całe swoje życie grał fair. Ma nienaganną reputację.

– Aż do dziś – stwierdziła Rachel i w pierwszej kolumnie wpisała „nienaganna reputacja.” – A co w B?

– Ty mi powiedz.

Spojrzała na niego urażona.

– Może nie jestem powszechnie znana i kochana, ale jestem uczciwa.

– Bez wątplenia – potwierdził Taylor. – Ale obrona przedstawi cię jako kobietę z biednej rodziny w zachodnim Teksasie, którą bogata ciotka pokochała, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Ubierała cię, wykształciła, zatrudniła, darzyła miłością i zapisała spadek wartości małego kraju. Czegóż więcej można od niej żądać? A teraz, po całej hojności, której od niej doświadczyłaś, ty chcesz odzyskać grunt, który sprzedała Warwickowi w czasie wielkiego kryzysu, a który następnie zapewnił setki miejsc pracy w Howbutker i uratował od bankructwa dwie osoby odpowiedzialne za wychowanie twojego ojca.

– No dobrze, rozumiem, że nie zyskam sympatii sędziów. Muszą mi wystarczyć twarde, niepodważalne fakty. Ale przecież nie chcę zabierać mu tej ziemi. Chcę Somerset. I po to pana wynajęłam – żeby przekonał pan Percy'ego Warwicka i jego adwokatów, że fakty nie dają im cienia szansy na wygraną.

Prawnik ostrożnie postawił filizankę na spodek.

– Kiedy dojdziemy do końca tej listy, zobaczysz, że do tego mogę nie zdołać ich przekonać. Uznają po prostu, że warto zaryzykować. Jedyne, co mogę zrobić, to przekonać ich, że nie żartujesz i faktycznie złożysz pozew, jeśli Percy nie przyjmie twoich warunków. Ale pamiętaj, Rachel, że wtedy czy wygrasz, czy przegrasz, i tak nie odzyskasz Somerset. Sąd nie może zmusić Percy’ego, żeby ci ją oddał.

– Ale to chyba działa na naszą korzyść? – spytała. – Nie mam nic do stracenia. Doskonały punkt wyjścia, nieprawdaż?

– Owszem, o ile jesteś pewna, że rzeczywiście nie masz nic do stracenia.

Rachel patrzyła na niego zirytowana. Jeśli własny prawnik nie wierzył, że chodzi jej o interes, jak mogła przekonać Percy’ego?

– Panie Sutherland, jedyne, co muszę wiedzieć, to – lista nie lista – czy mam realną szansę wygrać?

Taylor na jej rozdrażnione spojrzenie odpowiedział łagodnym uśmiechem.

– Nie chcę się wydać nieskromny, ale biorąc pod uwagę, że ja cię reprezentuję, powiedziałbym, że tak, masz realną szansę na zwycięstwo. Jeśli upierasz się, żeby tak to nazywać. Możesz uzyskać ogromną kwotę odszkodowania, albo zwrot własności ojca wraz z prawie wszystkim, co na niej stoi.

Rachel odprężyła się, wzdychając z ulgą.

– To powinno wystarczyć, żeby przekonać Percy’ego. Wiem, że on dobrze wygląda w gazetach, ale fakt pozostaje faktem, że razem z ciotką okradli mojego ojca.

– No to co? – zapytał Taylor, gotów do uniku, gdyby Rachel rzuciła w niego imbryczkiem.

– No to co?! – Rachel wydawała się prawie gotowa złapać za uchwyt. – No to przez ich oszustwo straciłam matkę, oto co!

– O – zauważył Taylor – widzę, że w końcu do czegoś dochodzimy – stwierdził i przysunął sobie notatnik, biorąc jednocześnie do ręki ołówek. – Opowiedz mi o tym, Rachel. Powiedz, co powinni usłyszeć od ciebie sędziowie.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

Tydzień ciągnął się w nieskończoność. I żadnej wiadomości od Percy'ego. Rachel zaczęła nienawidzić panującego w mieszkaniu chłodu i większość czasu spędzała na słonecznym tarasie, czekając na telefon. Dzień po jej powrocie z Howbutker Taylor zadzwonił do Amosa, by się przedstawić i zostawić swój prywatny numer. Amos wsadził im kij w szprychy, mówiąc, że Percy skontaktuje się z Rachel osobiście – przez co praktycznie uwięził ją w domu, bo musiała czatować przy aparacie. Rozeźlona powiedziała Taylorowi, że manewr skalkulowany jest na to, żeby dać Percy'emu ostatnią szansę usprawiedliwienia się, ale jeśli tylko spróbuje, odeśle go do biura Taylora i odwiesi słuchawkę.

Ale do tej pory Percy nie dał jej takiej możliwości.

Z każdym dniem czuła się bardziej niespokojna i samotna. Na początku pomysł zamieszkania z przyjaciółką wydawał się dobry. Była taka rozrzucona, a koleżanka mogła podtrzymywać ją na duchu i dodawać otuchy w nadchodzących trudnych dniach. Teraz, kiedy minął mniej więcej tydzień, Rachel zaczynała żałować, że przyjęła to zaproszenie. Biały wystrój wewnątrz kojarzył się jej z laboratorium, a i właścicielka rzadko bywała w domu, więc nie miała towarzystwa, na które tak liczyła. Carrie wybywała na cały dzień, rano szła do pracy w firmie public relations, gdzie odpowiadała za nowych klientów, a wieczorami zostawała albo tam, albo umawiała się z klientami na kolację.

– Słonko, przepraszam cię! – zawołała w czwartek wieczorem, gdy znów późno wróciła. Rachel myślała właśnie patelnię, na której usmażyła sobie kolejny omlet. – Kiedy cię zapraszałam, naprawdę nie miałam pojęcia, że będę taka zajęta. Ale powiem ci coś. Jutro wieczorem idziemy na balangę, a w sobotę zakupy i kolacja z moimi znajomymi. Percy może zostawić wiadomość na sekretarce. I żadnych ale. Nalegam. Bo zaczynasz już porastać mchem.

Tej nocy – a raczej w piątek nad ranem – Rachel powiedziała sobie, że jeśli tylko przetrwa następne trzy dni, to w poniedziałek się stąd wynosi i przestaje zawracać głowę Carrie oraz jej ojcu. Do tego czasu Percy na pewno zadzwoni, zgadzając się na jej warunki, a ona, nie potrzebując już usług Taylora, przeprowadzi się do domu Ledbettera.

Jakoś się jej udało przeżyć imprezę w czymś penthousie, wypad z Carrie do centrum handlowego i kolację z jej znajomymi w Starej Warszawie. Po powrocie za każdym razem zastawały wiadomości wyłącznie do Carrie.

W niedzielę obudziła się z uczuciem, że pod skórą łążą jej mrówki. Trzęsąc się, poszła do kuchni, by zrobić sobie kawę i znalazła liścik od Carrie. Odwoływała późne śniadanie w Mansion na Turtle Creek. Wezwano ją do biura, bo muszą skończyć coś na poniedziałek. I bardzo dobrze! – pomyślała Rachel. W jej stanie nie byłaby dobrym kompanem do szampana i jajek po benedyktyńsku.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Z regularnością metronomu wchodziła na taras i wychodziła z niego przez przesuwne drzwi. Żeby ukoić nerwy i ogrzać się trochę, wypila nieskończoną liczbę filiżanek gorącej herbaty. Biały telefon, dzwoniący na nieskazitelnie białej ścianie stał się jej najbardziej zniechęcającym wrogiem i najdroższym przyjacielem. Dlaczego to tak długo trwa? Nad czym tu się zastanawiać? Przecież mógł dokonać tylko jednego wyboru i wiedział o tym. Uparcie nie chciała brać pod uwagę tej drugiej możliwości – że odrzuci jej ofertę.

Siedząc na tarasie, usłyszała kościelny dzwon. Doliczyła do jedenastu i dzwon zamilkł, a jej przeszły ciarki po plecach. Percy na pewno poczeka do za pięć dwunasta i wtedy zadzwoni, teraz była tego pewna. Tylko po to, żeby potrzymać ją w napięciu, postanowił nie zbliżać się do

telefonu aż do jutrzejszego ranka, zanim otworzą kancelarie prawnicze, i wtedy zadzwoni. Nie powinna się spodziewać telefonu wcześniej. Dopiero jutro rano.

Zirytowana podniosła starą księgę z niepublikowaną historią Toliverów, którą wzięła ze sobą dla zabicia czasu. Dziwne, że ciocia Mary nigdy ani nie mówiła jej o niej, ani nie pokazała tej książki... być może dlatego, że nie było w niej nic, czego by już nie wiedziała o tradycji Toliverów. Dźwięk dzwonów milkł w oddali, a w kwiatach różońców bzycały ostatnie jesienne pszczoły, gdy Rachel odwróciła starą okładkę i zaczęła czytać.

Percy słuchał, jak dzwon wzywa wiernych do Pierwszego Kościoła Metodystów w Howbutker, do którego przychodził w każdą niemal niedzielę przez całe swoje życie. Wyjątek stanowił okres wojny i podróże w interesach. Przestał już uczyć się imion i pamiętać twarze tych, którzy stawali na ambonie. Większość zostawała tak długo, jak pozwalał biskup, bo szkatuła była pełna, potrzeby stada niewielkie, a życie w Howbutker proste i niewymagające. Żaden z nich przez te wszystkie lata nie powiedział nic, co by go zainspirowało czy dało do myślenia. Przychodził tu po spokój, dla muzyki i pewnej pociechy, których nie znajdował w żadnym innym miejscu.

Tego ranka czuł szczególną potrzebę pocieszenia. Cały tydzień wysłuchiwał argumentów obu stron. Przez pięć dni siedział w ich oparach, słuchając Amosa i zwołanego zespołu pierwszorzędnych prawników, a kiedy już wszystko zostało omówione – nawet dość prawdopodobna opcja, że Rachel zostanie z niczym prócz straconego czasu i rachunków adwokata – doszli do konsensusu, że powinien oddać Somerset. W gruncie rzeczy prawnicy spoza miasta bardzo uważali, by nie drapać się po głowach, skąd ta zwłoka. Dlaczego właściwie Percy miałby w ogóle brać pod uwagę możliwość innej decyzji jak zwrot plantacji, skoro w ten sposób firmie może oszczędzić zamieszania i kosztów, a sobie skandalu?

Mimo to jednak Percy wciąż nie potrafił wypowiedzieć tych słów, na które czekali wszyscy, włącznie z Mattem, który zresztą pojechał do Atlanty, z niespodziewaną wizytą do Lucy. W piątek, kiedy konklawe przerwało obrady na czas weekendu, poinformował go, że zabiera samolot, bo chce odwiedzić babcię i wróci dopiero w niedzielę wieczorem. Percy pokiwał wyrozumiale głową. Matt zobaczył Lucy w innym świetle i chciał pewnie zrekompensować jej te lata, przez które tak niesprawiedliwie ją osądzał. Percy żałował, że wyjeżdża właśnie teraz, ale cieszył się ze względu na Lucy. Staną się sobie bliżsi, a to dobrze. Kiedy on odejdzie, Mattowi zostanie już tylko babcia.

Zamknął oczy. Był pewien, że to już niedługo. Co rano praktycznie nie mógł wyjść ze zdziwienia, że się w ogóle budzi. Był już zmęczony, znużony życiem. Człowiek bez marzeń jest bez życia, a jego marzenia już się skończyły. Żadne się nie spełniło, w każdym razie z tych ważnych – o szczęśliwym małżeństwie, kochającej rodzinie, domu wypełnionym dziećmi i wnukami. To ironia losu, że – nawet umierając – jego Mary okradła go z tego ostatniego marzenia, z którego właściwie nie zdawał sobie sprawy – o miłości Matta i Rachel, ich małżeństwie, zjednoczeniu imperiów i długim szczęśliwym życiu pod jednym dachem, a tym samym zakończeniu wreszcie wojny róż. Zapisując mu Somerset, Mary zabiła to marzenie.

Odezwały się organy, uciszając szepty wiernych. Zawsze w tej chwili niedzielnego poranka patrzył na ławkę po przeciwnej stronie nawy, dwa rzędy wcześniej, przypominając sobie Olliego, Matthew i Wyatta. Były takie niedziele, gdy nie widział nic poza nimi, jak wyszorowani i wyszykowani siedzą równiutko – Ollie z błyszczącą łysiną, a chłopcy z wyraźnymi śladami grzebienia i szczołki na włosach, których działaniu zapewne nie poddali się dobrowolnie. Tyły ich głów, ich profile na zawsze zostały wyrte w jego pamięci. Czasami zamykał oczy, jakby się modłąc, tak jak teraz, i znów widział ich w ławce – pulchne ramiona Olliego zamaskowane mistrzowskim krojem marynarki, nieco zgarbione ramiona Wyatta i wyprostowane, równo

przylegające do oparcia plecy Matthew.

Tak bardzo mu ich brakowało.

Zaczęła się msza. Kiedy wstał, by razem z pozostałymi zaśpiewać pierwszy hymn, wyczuł wbity w siebie pełen troski i frustracji wzrok Amosa, który stał sześć rzędów za nim. Percy mu współczuł. Nie było nic bardziej wkurzającego niż stara pierdoła, która nie może się zdecydować, w którą stronę chce iść, z tym że jego droga była prosta jak autostrady w zachodnim Teksasie. Wiedział, co musi zrobić, a jednak był tutaj dziś, w swoim własnym Ogrójcu, prosząc, by odsunięto od niego ten kielich... i oszczędzono mu męki, jaką będzie musiał jutro przejść. Może w kazaniu odnajdzie jakieś przesłanie, które skieruje go na inną ścieżkę.

Nastąpiło czytanie Pisma. Percy błędził gdzieś myślami, nasłuchując jednocześnie oczekiwanej wiadomości. Rozmyślał o Mary. Nie pamiętał, kiedy w końcu Bóg wysłuchał jego modlitw i seksualny ogień w nim ustał – ogień, ale nie żar. Ostateczne zalanie gasnącego żaru było jak błogosławieństwo. Cóż za ulga, czuć znów tylko miłość i nic więcej. A teraz miał wrażenie, jakby Mary znalazła się w jego głowie, chodząc tam i z powrotem długimi krokami. „Percy, Percy, i co my teraz zrobimy?”

„Do licha, sam chciałbym wiedzieć!”, odpowiedział jej i zaraz rozejrzał się wokół, niepewny, czy powiedział to głośno. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale za to pastor patrzył mu prosto w oczy. Wzniósł palec, nie po to, by go napomnieć, ale by podkreślić znaczenie słów, które wypowie teraz bezpośrednio do Percy’ego. Zapiekły go uszy. Jest! – pomyślał.

– Słuchajcie mnie, wy, co się domagacie sprawiedliwości, którzy szukacie Pana...
– czytał Stary Testament, ale Percy nie zwrócił uwagi, gdy wymieniał księgę, rozdział i wers –
Wejrzyjcie na skałę, z której was wyciosano, i na gardziel studni, z której was wydobyto.

Oczy pastora wodziły po zebranych, a Percy usiłował pojąć znaczenie tego fragmentu. „No i co, do diabła, mam z tym teraz zrobić?” Nie ma w nich dla niego odpowiedzi. Nigdy zbyt wiele uwagi nie poświęcał skał, z której go wyciosano, ani studni, z której go wydobyto. To raczej pasowało do Mary, ta pieśń była przyczyną jej niedoli.

Msza się kończyła hymnem Rock of Ages. Percy wstał ze śpiewnikiem w dłoni, powoli, zamyślony. Kazanie było o skał. „Wy, co się domagacie sprawiedliwości, wejrzyjcie na skałę, z której was wyciosano, i na gardziel studni, z której was wydobyto...”

Percy złapał się za oparcie ławki, śpiewnik o mały włos nie wypadł mu z ręki. Na twarzy pojawiła się radość, jak słońce wychodzące zza chmur. Oczywiście! Spójrzcie na skałę! To jest to! Triumfował. A niech to, dostał swoją odpowiedź.

Lucy siedziała w salonie, przez okno wpadały poranne promienie słońca, a przestrzeń wypełniała melodia kurantów z pobliskiej wieży kościelnej. Ich piękna tonacja wywołała w jej sercu strach. Dźwięk bezlitośnie przypominał, że czas ucieka, zarówno dla Percy’ego, jak i Matta – a nawet dla tego sobowtóra, który czeka przy telefonie w Dallas, choć ona o tym nie wie. Jutro o tej porze Percy da swoją odpowiedź na postawione ultimatum i kolejne pokolenie skazane zostanie na klęskę, a wszystko oczywiście za sprawą obsesji kogoś z Toliverów na punkcie Somerset.

Jej domysły okazały się trafne w stu procentach. Mary odcięła Rachel od tej przeklętej ziemi, żeby chronić ją przed konsekwencjami, jakie sama poniosła z jej powodu. I święta Panno Maryjo, jakież to były konsekwencje!

Wciąż jeszcze była nieco otumaniona po usłyszeniu o nich z ust Percy’ego. W piątkowy wieczór Matt odtworzył jej kasetę z jego nagraniem. Przyjechał niezapowiedziany i w pierwszym odruchu, kiedy Betty go zaanonsowała, pomyślała, że przyjechał poinformować ją o śmierci dziadka. Zerwała się z takim strachem, że cała krew w jednej chwili odpłynęła jej z głowy i gdyby nie złapała się toaletki, jak nic wylądowałaby na podłodze. Tak znalazł ją Matt. Słaniała

się na nogach, więc podbiegł i uchronił ją od upadku.

– Gabby! To nie to, co myślisz. Z dziadkiem wszystko w porządku! – zawołał i złapał ją, jakby była dzieckiem, które uratował przed pewną śmiercią. Rozpłakała się – z ulgi, żalu, a może z niespodzianki Matta i intensywności jego uczuć, tylko święci to wiedzą.

– Więc co cię do mnie sprowadza? – zapytała, wciąż otoczona jego silnymi ramionami, podnosząc na niego zalane łzami oczy.

– Przywiozłem ci coś, co powinnaś usłyszeć. Masz magnetofon?

Wyszli na zewnątrz, by w zapadającym zmierzchu wysłuchać kaset. Tymczasem wszedł księżyc, oświetlając jej nocny ogród. Podczas odtwarzania żadne się nie odezwało. Lucy słuchała, nieruchoma jak kamień, na którym siedziała, od czasu do czasu sięgając tylko po chusteczkę do pudełka, które Betty przezornie tam postawiła. Kiedy taśma się skończyła, a magnetofon wyłączono, chwyciła kolejną i przyłożyła ją do czerwonego nosa.

– Teraz już wiemy – powiedziała.

Matt kiwnął głową.

– Teraz wiemy.

– Bardzo dużo złych uczynków.

– I dużo do wybaczenia, Gabby.

– Tak, i dużo do wybaczenia.

W uszach wciąż miała głos Percy'ego, który dotykał jej niezagojonych ran. Wstydziła się swojej podłości, całego swojego jadu, mimo że ich powód Percy wziął wyłącznie na siebie... nie winiąc jej ani razu w całej historii. Otarła podpuchnięte oczy i dorzuciła kolejną chusteczkę do sterty na podłodze.

– Mam nadzieję, że mi uwierzysz, iż nigdy nie zdradziłabym, że Matthew był synem Percy'ego i Mary. To była czcza pogroźka i nieszczemność z mojej strony, ale nic bym nie powiedziała, nawet gdyby dziadek wniósł o rozwód. Mam nadzieję, że mi uwierzysz.

– Oczywiście, że wierzę. I dziadek też. To nie twoja groźba powstrzymywała go przed rozwodem.

– Nie? A co?

W świetle księżyca doszedł ją nieco szorstki głos Matta:

– On wie, że nadal go kochasz.

Zaczerwieniła się, ale miała nadzieję, że w ciemnościach tego nie zauważył.

– A jednak... podtrzymywałam tę groźbę aż do dnia śmierci Mary, to niegodziwe z mojej strony. Ja... po prostu nie umiałam pozwolić mu odejść... Ale teraz... powiedz mu, że jest wolny, może wnieść sprawę rozwodową. Nie stanę mu na drodze.

Sięgnął po jej dłoń.

– Dziadek się z tobą nie rozwiedzie, Gabby.

– Skąd wiesz?

– Bo mi to powiedział.

Znów poddała się napadowi płaczu, a potem, pociągając nosem, rzekła:

– Twój ojciec zrobił wspaniałą rzecz, posyłając mu ten obraz. Cieszę się, że mu wybaczył. Oczywiście, nie miałam pojęcia o tej czerwonej róży, którą Percy wsunął do książki zabranej do Korei. I kto by pomyślał, że Wyatt zna legendę o różach... No, ale co dalej? Jak myślisz, co zrobi Rachel?

Serce się jej się kroilo, gdy widziała ten smutek w jego oczach.

– Powtórzy błędy swojej ciotecznej babki.

Do cholery z tą małą wiedźmą, pomyślała Lucy.

Teraz Matta już nie było, a ona siedziała tu, bezradna, nie potrafiąc uratować mężczyzn,

których kochała. Dwadzieścia minut temu, kiedy wychodził, zapytał ją:

– Dasz sobie radę, Gabby?

Jego niebieskie, odziedziczone po niej oczy mówiły, że wystarczy słowo, a zostanie. Tego też jeszcze nie było.

– Oczywiście, że dam sobie radę. Wracaj do dziadka i zajmij się nim.

Zostawił jej kasetę, jedną z wielu kopii, jak powiedział. Leżała na stoliku, pudełko wielkości siedem na dziesięć centymetrów zawierające opowieść o źle obranej drodze życiowej dwóch osób. Jaka szkoda, że Rachel nigdy tego nie usłyszy. To mogłoby uratować sytuację.

– Zamartwianie się nic tu nie pomoże – odezwała się Betty, stając w drzwiach. – może nie należało jednak odwoływać tego dzisiejszego brydża?

– Nie mogłabym się skupić. Co to takiego?

Betty trzymała skrawek papieru.

– Nie wiem, czy pan Matt chciał to wyrzucić czy nie. Leżało na podłodze w jego pokoju obok kosza na śmieci.

Lucy przyjrzała się kartce – miała nadruk motelu w Marshall. Ktoś zapisał na niej numer telefonu z kierunkowym z Dallas. W głowie Lucy zapaliło się światełko. Mat mówił, że wytropił Rachel w Marshall, gdzie odbyli swoją ostatnią rozmowę. Rachel zatrzymała się u koleżanki w Dallas, córki swojego prawnika. A to musi być numer telefonu tej koleżanki. W głowie zaczął jej kiełkować pewien pomysł.

– Betty, przynieś mi telefon.

– Oho. Znam to spojrzenie. Co pani znowu knuje?

– Potem ci powiem.

Zadzwoiła do biura numerów, podali jej nazwisko i adres numeru z kartki. Carrie Sutherland. Potem zadzwoniła do zamożnego przyjaciela, który często dotrzymywał jej towarzystwa.

– Ależ oczywiście – powiedział po wysłuchaniu jej prośby. – Samolot wraz z pilotem będą na ciebie czekać. Dam ci też kierowcę, który zawiezie cię z lotniska na miejsce. Życzę miłego lotu.

Lucy zadzwoniła na Betty.

– Wyjeżdżam. Mam do wypełnienia ważną misję – oznajmiła. – Bardzo ważną. Zamów mi taksówkę na lotnisko.

– Jak długo pani nie będzie?

– Tyle, ile trzeba. Powinam wrócić wieczorem, ale na wszelki wypadek spakuj mnie na dwa dni. A teraz ruchy, moja droga. Każda minuta się liczy.

Wychodząc z pokoju, Lucy zabrała kasetę. Łut szczęścia otworzył drzwiczki jej klatki, więc szykowała się do lotu.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

Rachel podniosła głowę znad ostatniej strony rodzinnej historii i skierowała oszołomiony wzrok na kwitnący bujnie rózeniec, właśnie zapylany, który oplatał tarasową balustradę z kutego żelaza. Zapłodnienie, myślała tępo, osiągnięcie chyba obce Toliverom z Somerset. Bzyczenie pszczoł jakby drwiło z faktów, których albo nie знаła, albo sobie nie uświadamiała. Nikt, kto posiadał plantację, nie splodził, a nawet jeśli, to nie zdołał wychować licznych potomstwa. W każdym pokoleniu przeżywało tylko jedno dziecko i ono dziedziczyło Somerset. Tak było z Thomasem i Vernonem, syn ciotki Mary zmarł, a teraz jej ojciec, więc została już tylko ona. Czy to właśnie była klątwa Toliverów?

Ale to przecież niemożliwe. Klątwy nie istniały. Z drugiej strony, jej pradziadek w nią wierzył, podobnie jak ciocia Mary. Powiedziała Amosowi, że uratowała przed nią Rachel. Dobry Boże... czy ciocia Mary się obawiała, że zostawiając jej Somerset, skazuje ją na bezdzietność, której sama doświadczyła? Przypomniała sobie zdjęcie Matthew DuMonta na stoliku w garderobie ciotki i ten ból w słowach napisanych na odwrocie. Ojciec opisywał go jako wspaniałego kumpla – serdeczny i cierpliwy, uczył go angielskiego i pozwalał bawić się w ogrodzie z nim i Wyattem, czyli starszymi już chłopcami. Ciocia Mary i wujek Ollie okropnie rozpaczała po jego śmierci, wspominała. Żyli dalej, ale to już nie było prawdziwe życie. Innych dzieci nie mieli...

Czy ciocia chciała oszczędzić jej tragedii, jaką przeżyła?

Rozległ się przeraźliwy dźwięk kuchennego telefonu, a pszczoły wpadły w panikę. Rachel podskoczyła na swoim krześle. Przebłysk intuicji podpowiedział jej, kto dzwoni. W czasie drugiego sygnału położyła książkę na tarasowym stole, a potem wstała sztywno jak robot, przesunęła drzwi i weszła do białej kuchni. Wzięła do ręki białą słuchawkę.

– Halo?

– Witaj, Rachel. Tu Percy Warwick.

Bez emocji wysłuchała, jaką podjął decyzję. Nie rozwodził się zbyt długo, życzył jej wszystkiego dobrego, po czym się rozłączył. Rachel powoli wróciła na taras i godzinę przesiadła w słońcu, rozmyślając o bzyczeniu pszczoł wśród kwiatów różeńca. Następnie, ponieważ i ona podjęła decyzję, zadzwoniła do Taylora Sutherlanda.

Pół godziny później odezwał się dzwonek u drzwi. Albo Carrie zapomniała kluczy, albo jej ojciec postanowił przyjąć potrzymane ją za rękę, pomyślała Rachel. Zerknięcie przez judasza nie potwierdziło żadnej z tych teorii. Zobaczyła burzę śnieżnobiałych włosów, puszystych jak wata cukrowa. Spojrzała niżej, napotykała parę dziwnie znajomych niebieskich oczu wpatrzonych stoicko w wizjer. Z zaciekawieniem otworzyła drzwi. Kobieta przyjechała w czarnej limuzynie, kierowca w liberii opierał się o maskę, zapalając zapalniczką papierosa. Jej gość – niska i krągła kobieta po osiemdziesiątce w kostiumie koloru swoich oczu – skojarzyła się Rachel z babeczką.

– Słucham?

Kobieta zamrugnęła.

– Hanna miała rację – orzekła. – Jesteś lustrzanym odbiciem Mary, tylko trochę mniej – dokładniej przyjrzała się Rachel – trochę mniej intensywnym.

– Słucham?

– Jestem babcią Matta – przedstawiła się kobieta. – Lucy Warwick. Czy mogę wejść?

Była szósta wieczorem. Rachel zmieniła ustawienia termostatu i w mieszkaniu zapanowała bardzo przyjemna temperatura. Do diabła z ostrzeżeniem Carrie. Dwa razy dzwonił

telefon i dwa razy nie odebrała. Nie ruszyła się z krzesła od chwili, gdy babcia Matta włączyła magnetofon. Na którymś poziomie świadomości rejestrowała, że za oknem salonu spaceruje kierowca limuzyny, wypuszczając nosem kłęby dymu, niczym smok ziejący ogniem. Musiało mu być gorąco, na pewno był spragniony i chętnie skorzystałby też z toalety, ale nie potrafiłaby ruszyć się z miejsca, nawet gdyby jej życie od tego zależało.

Po otwarciu drzwi nie wymieniły konwencjonalnych grzeczności, nie było też czasu na proponowanie kawy czy herbaty. Dzierżąc władczo swoją laskę, Lucy wmaszerowała wprost do salonu, usiadła i otworzyła torebkę.

– Posłuchasz teraz czegoś, dziewczyno, czy tego chcesz czy nie – oznajmiła, wyjmując magnetofon i stawiając go na stole. – Sporo rzeczy nie wiesz jeszcze o Toliverach, a prawie nic o człowieku, którego śmierć masz zamiar przyspieszyć. Więc siadaj i słuchaj, potem ja sobie pójdę, a ty zrobisz, co będziesz musiała.

Więc słuchała. Współczucie dla Percy'ego i cioci Mary, które najpierw przypominało delikatną strużkę, a w miarę jak taśma ujawniała kolejne lata ich tragicznego życia, zamieniła się w rwący strumień. Poza tym rozpoznała w tej opowieści też własną historię, jakby odbicie własnej twarzy nałożone na twarz młodej Mary Toliver w szybce jej portretu wiszącego w bibliotece. Stojąc przed nim, często myślała, że gdyby jej zdjęcie w tej samej pozie zawisło obok, ich twarze byłyby dokładnie takie same... ponieważ jej dotychczasowe życie stanowiło powtórkę życia cioci.

– No proszę, i gotowe – powiedziała Lucy, szybkim ruchem wkładając kasetę do torebki. Zamknęła zatrzask i postawiła laskę na podłodze, gotowa wstać. – Mam nadzieję, że weźmiesz jutro pod uwagę to, co dziś usłyszałaś.

– Pani Warwick, spóźniła się pani – odparła na to Rachel. – Pan Percy już do mnie dzwonił, informując mnie o swojej decyzji, a ja skontaktowałam się z adwokatem i przekazałam mu swoją. Przypuszczam, że zdążył już powiadomić Amosa Hinesa.

Pulchna twarz Lucy najpierw zbieleła, a potem cała się zapadła.

– O, rozumiem...

– Nie sędzę. Proszę jeszcze zostać, wszystko pani wytłumaczę.

– Nie jestem w nastroju na jakieś wybielające historyjki, młoda damo.

– A na nagą prawdę?

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Atlanta, Georgia, tydzień później

Idąc przez hol do salonu, gdzie jej pani przyjmowała gości przy dwóch stolikach do brydża, Betty zerknęła przez siatkę ozdobnych zewnętrznych drzwi i zobaczyła, że przed domem zatrzymuje się czarny lincoln town car. Natychmiast wyskoczył szofer, a gdy otworzył drzwi pasażerowi na tylnym siedzeniu, Betty niemal upuściła talerz z kanapkami, który właśnie niosła do salonu.

– O mój Boże – powiedziała głośno, stawiając talerz na stoliku w holu, i wygładziła fartuch. – O mój Boże.

Nigdy go nie spotkała ani nie widziała, nie licząc zdjęć w gazetach, i to gdy był jeszcze młodszy, ale wiedziała, kto to jest. Patrzyła, jak wysiada, starszy, oczywiście, ale pasował do wizerunku, który od lat miała w głowie. Wyobrażała sobie wysokiego, dystyngowanego, elegancko ubranego mężczyznę, który nosi się w taki sposób, że od razu wyczuwa się władzę, choć nie robi nic szczególnego... prawdziwy pan. Jej podziw i szacunek ustąpiły miejsca rozczarowaniu, gdy zobaczyła, jak szofer wręcza mu wazonik z jedną różą. Pani Lucy nie cierpiała róż.

Betty czym prędzej zamknęła przesuwne drzwi salonu, wyciszając gwar głosów między jedną partyjką a drugą i ustawiła się przed drzwiami. Szofer usiadł z powrotem za kierownicą, oparł głowę o zagłówek i nasunął kapelusz na oczy, jakby uznał, że ma czas na drzemkę.

– Dzień dobry – powiedziała Betty przez siatkę. – Pan Percy Warwick, jak sądzę.

Potwierdził jej przypuszczenie skinieniem siwej głowy.

– Betty – zwrócił się do niej, jakby się znali wiele lat. – Czy moja żona jest w domu?

– Tak, proszę pana – odparła Betty i otworzyła zamek, a potem drzwi. – Gra w brydża ze znajomymi.

– Jak co niedzielę, nieprawdaż?

– Tak jest. Czy może pan poczekać chwileczkę tutaj, a ja ją zawiadomię? Zdaje mi się, że... że pana nie oczekuje.

– Rzeczywiście, nie, ale jestem pewien, że nie będzie mi miała tego za złe – powiedział Percy, po czym podał jej wazonik. – I czy mogłabyś jej to dać?

– Och, proszę pana – na twarzy Betty pojawił się grymas. – Ona nie lubi róż.

Percy się uśmiechnął.

– Ta jej się spodoba.

Zapominając zupełnie o talerzu z kanapkami, Betty przesunęła jedną połowę drzwi, od razu je za sobą zamykając. Trzymała wazonik na długość wyciągniętej ręki, jakby to była ciekająca pielucha.

– Pani Lucy, ma pani gości.

Lucy spojrzała na nią groźnie.

– Dlaczego mówisz szeptem? I co to, na Boga, jest?

– To róża, Lucy – oświeciła ją jedna ze znajomych.

Lucy rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie.

– Tyle i ja widzę, Saro Jo. Skąd ją masz?

– Od pani męża – odparła Betty. – Czeka w holu.

Wszystkie głowy, w odcieniach wskazujących na ukończone już jakiś czas temu siedemdziesiąt lat, równocześnie odwróciły się w stronę Lucy, która wstała tak gwałtownie, że kawa z filiżanek wylała się częściowo na spodki.

– Co takiego? Percy jest tutaj?

– Tak, proszę pani. W holu.

– Ale on nie może...

Wtedy drzwi znów się rozsunęły.

– A jednak – powiedział Percy, wchodząc do środka. – Witaj, Lucy.

Teraz wszystkie otwarte usta i rozszerzone zdziwieniem oczy zwróciły się w stronę sylwetki w czarnym garniturze, obiektu wieloletnich domysłów i spekulacji. Skinął do nich i uśmiechnął się.

– Drogie panie, czy możecie nam wybaczyć? Muszę omówić z żoną pewną pilną kwestię.

Panie natychmiast zaczęły odsuwać swoje krzesła i pospiesznie zabierać torebki i laski.

Co bardziej śmiało z nich podeszły, by uścisnąć Percy'emu dłoń i wymamrotać, że miło im w końcu poznać męża Lucy. Lucy zaś stała jak słup soli, a Betty nie miała pewności, czy ma wyjść z innymi, czy zostać.

– Eee, pani Lucy, co mam z tym zrobić?

Lucy spojrzała na nią.

– Zanieś do kuchni i wlej do wazonu wodę – poleciła. – Zawołam cię, jeśli będziemy czegoś potrzebować.

Kiedy zostali już sami, zwróciła się do męża:

– Co ty tu robisz, Percy?

– Po tym, co dla nas zrobiłaś, chyba wiesz?

– Rachel skontaktowała się z adwokatem, zanim do niej przyszedłam. Mogłam zaoszczędzić sobie podróży. Cóż niby takiego zrobiłam?

Z tyłu drżących kolan poczuła skraj krzesła i udało się jej usiąść w miarę elegancki sposób.

– Utwierdziłaś ją w tym, że podjęła właściwą decyzję. Dzięki tobie ona i Matt mają jakąś szansę.

– Nie sądzę, żebym się do czegokolwiek przyczyniła.

Percy się zaśmiał i wysunął spod stołu drugie krzesło, siadając na nim ze swobodą pana domu.

– Musimy poczekać, wtedy się przekonamy, ale ja stawiam, że tych dwoje będzie żyło długo i szczęśliwie. Pojechał do niej. Rachel jest w San Angelo. Pomaga tam choremu koledze ze studiów prowadzić plantację bawełny, aż ten stanie na nogi.

Nie mogąc złapać oddechu, Lucy poczuła potrzebę użycia wachlarza.

– Powiedz, skąd wiedziałeś, że Rachel blefuje? Czy nie za bardzo ryzykowałeś? To przecież spadek naszego wnuka.

– Być może, ale spojrzałem na skałę i w gardziel studni, wiesz.

– Skała i gardziel studni?

– To z Pisma Świętego. Izajasz, rozdział pięćdziesiąty pierwszy, wers pierwszy.

Lucy patrzyła na niego zirytowana.

– Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

– Zaryzykowałem, stawiając na to, że Rachel robi to, co należy, tak jak jej cioteczna babka.

Lucy spuściła wzrok i wytarła kawę rozlaną na stoliku do brydża, bo inaczej dostrzegłby, jak mu się przygląda. Czas zrobił swoje, ale był dla Percy'ego łaskawy. Jego wygląd wciąż na nią działał.

– A róża po co?

– Och, tak ogólnie, żeby poprosić cię o wybaczenie za to, że tak się to wszystko ułożyło

– żeby cię przeprosić i powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że nie ułożyło się lepiej dla ciebie.

W gardle poczuła dławiący ból. Zaciśnęła mocno zęby, walcząc ze łzami. Minęła dobra chwila, zanim mogła spokojnie się odezwać.

– Dla ciebie te lata wcale nie były lepsze, Percy, i to przeze mnie. Skrzywdziłam też Mary. Gdybym tylko od początku wiedziała, co do siebie czujecie, przecież... miałabym zupełnie inne oczekiwania. Zadowolilibym się przyjaźnią. To by mi wystarczyło.

– Zasługiwałaś na więcej, Lucy.

Wydała z siebie krótki pomruk i powiedziała:

– Nie tylko ja. Matt mówił mi, że się ze mną nie rozwiedziesz. To prawda?

– Tak.

– No cóż, to... bardzo miłe z twojej strony.

Strasznie musiała się zakaszleć, żeby w końcu przestało ją ścisnąć w gardle.

– A co zrobisz z Somerset?

– Przekażę ją uniwersytetowi Rachel, jako rolnicze centrum eksperymentalne. W domu Ledbettera powstanie muzeum upamiętniające wkład wszystkich pokoleń Toliverów w uprawę teksaskiej bawełny.

Czuła, jak jej twarz płonie w podziwie dla niego.

– Prawdziwy z ciebie król Salomon. Jestem pewna, że Rachel będzie zadowolona – mówiła Lucy, myśląc jednocześnie, że jego obecność, niezmiennie od lat, wносиła do pokoju tyle ciepła... jak słoneczne promienie w zimowy dzień. – Myślisz, że potrafi wybaczyć tobie i Mary, że jej ojciec nigdy nie dowiedział się o spadku?

– Czas pokaże – odpowiedział z lekkim uśmiechem wskazującym na fakt, że ani jemu ani jej nie zostało go zbyt wiele. – Ale skoro już o tym mowa, przyjechałem również poprosić cię, byś się zastanowiła nad powrotem, jeśli z Mattem i Rachel wszystko pójdzie dobrze. Na pewno pamiętasz, że miejsca nie brakuje, więc będziesz mogła się urządzić bardzo wygodnie, a jestem przekonany, że młodzi chcieliby, aby dzieci miały prababcie przy sobie.

Oczy ją teraz piekły aż do bólu i w ogóle już nie mogła przelikać. Pilna kwestia, powiedział wcześniej jej koleżankom. Strzepnęła z piersi jakieś okruszki ciasta, które się tam zawieruszyły.

– Ja... na pewno to przemyślę. Coś jeszcze?

– Nie... raczej nie – odparł i ku jej rozczarowaniu wstał z krzesła, nieco ciężkavo, ale w ten sam spokojny, powolny sposób, jak robił to zawsze, prostując plecy i ramiona – i zawsze jej się taki podobał. – Chciałem tylko przywieźć ci tę różę i wyrazić wdzięczność, że pospieszyłaś nam na ratunek.

Zmusiła się, żeby również wstać, starając się jednocześnie opanować drżenie ust. Wydawało się jej, że stali tak naprzeciwko siebie zaledwie wczoraj.

– Żegnaj, Percy – powtórzyła swoje słowa wypowiedziane czterdzieści lat temu na dworcu kolejowym.

Zobaczyła w jego oczach to samo wspomnienie, ale inaczej niż wtedy, tym razem objął ją ramieniem i się uśmiechnął.

– Tylko na chwilę, Lucy – powiedział, a ona zamknęła oczy, żeby lepiej zapamiętać ten krótki moment, gdy jego usta dotknęły jej policzka.

Betty, ze swoim niezwykłym wyczuciem czasu, weszła akurat, by odprowadzić go do wyjścia. Lucy została jakby przyklejona do swojego miejsca, aż usłyszała zamykanie frontowych drzwi i Betty wróciła do salonu.

– No, no, no! – skomentowała gosposia.

Lucy uśmiechnęła się delikatnie.

– Też tak uważam – powiedziała.

Matt stał przez chwilę przy swoim range roverze i rozglądał się wokół. Zaparkował przed rozległym domem z białych desek. Po jego bokach i z tyłu rozciągały się pola kwitnącej bawełny. Na drodze dojazdowej stało kilka maszyn do zbioru bawełny, a w oddali jakaś sylwetka – ale mężczyzna, nie Rachel – pracował przy kanale nawadniającym. Poza tym ani nie widział, ani nie słyszał oznak ludzkiej obecności, które zakłócałyby spokój wczesnego, sennego, niedzielnego popołudnia. Przed domem nie dostrzegł też żadnych pick-upów ani BMW Rachel, które mogłoby potwierdzić, że jest we właściwym miejscu. Panująca cisza wzmocniła jego obawy. Wśród takiego spokoju jeszcze trudniej będzie mu znieść miazdzącą wiadomość, że Rachel nie chce już z nim mieć nic do czynienia.

Kiedy wrócił od Lucy do Howbutker i usłyszał dobre wieści, zaraz chciał tankować samolot i lecieć do Rachel, ale dziadek poradził mu zaczekać.

– Daj jej trochę czasu, synu. Sama musi się uporać z tym, co jeszcze ma do przepracowania.

Przystał na to, choć martwił się, że każdy mijający dzień może dawać Rachel coraz więcej powodów, by odesłać go do diabła. Przyszło mu też do głowy, że jest coś między nią a tym kolegą ze studiów, któremu pomaga. Kiedy dzwonił do Carrie, by zdobyć adres, określiła go mianem starego kumpla, który tak jak Rachel, jest hodowcą bawełny.

– Jest żonaty? – nie wytrzymał, a ona odparła złośliwie:

– Hm, może i wiem, ale nie powiem.

W odpowiedzi na dzwonek do drzwi usłyszał ciężkie, miarowe stąpanie, a potem poczuł ukłucie w sercu, gdy w drzwiach stanął przystojny mężczyzna o chłopięcej urodzie, takiego samego wzrostu jak on i na tyle dobrze zbudowany, że choć stał o kulach, bo całą nogę miał w gipsie, Matt dwa razy by się zastanowił, nim spróbowałby wejść siłą.

– Dobry. Słucham pana? – zapytał.

– Przepraszam za najście. Szukam znajomej, Rachel Toliver.

– O, tak? – powiedział. – A pan kim jest?

– Matt Warwick.

– Ach tak – powiedział znów i przez kilka sekund oceniał go wzrokiem, po czym zawołał przez ramię: – Kochanie!

Mattowi serce zamarło na dobre, aż do momentu, gdy pojawiła się śliczna blondynka z dwojgiem małych dzieci za sobą i trzecim w drodze, sądząc po krągłości rysującej się pod sukienką i fartuchem.

– Mamy tu kogoś, kto pyta o Rachel.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

– W takim razie, Luke, zejdź z drogi, żeby mógł wejść do środka. Dzieci, idźcie umyć ręce, zaraz będzie obiad. Cześć – zwróciła się do Matta. – Jestem Leslie, a ten tu patafian to mój mąż, Luke Riley. Ty pewnie jesteś Matt Warwick. Wejdz, proszę. Rachel spodziewała się twojego przyjazdu.

– Naprawdę? – zdumiał się Matt.

Jej mąż najwyraźniej aż do tej chwili powstrzymywał się od uśmiechu. Teraz rozświetlił on jego wielką i pełną witalności twarz. Wyciągnął do niego rękę.

– Wiesz, kochanie, tego chyba nie powinnaś mu mówić – zauważył, puszczając do Matta oko. – Hejka, Matt.

– No wiesz, znając Rachel, jest duża szansa, że nigdy by się tego nie dowiedział.

Przyjechałeś w samą porę na niedzielny obiad. Mam nadzieję, że lubisz smażonego kurczaka?

W głowie mu się kręciło, a serce waliło tak, jakby zaraz miało wyskoczyć, ale zapewnił,

że uwielbia smażone kurczaki i poszedł za Leslie, a za nim Luke na swoich kulach, do przestronnej kuchni pełnej słońca i przesyconej aromatem skwierczącego na patelni kurczaka. Rachel podniosła wzrok znad stołu, który nakrywała – najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widział.

– Cześć, Rachel.

Skinęła głową, jej policzki się zaczerwieniły.

– Cześć.

W ciszy, która zapadła Leslie spojrzała najpierw na jedno, potem na drugie, i powiedziała głośno:

– Przyszło mi do głowy, że może chcielibyście się przejść przed obiadem. Ten kurczak nie będzie tak szybko gotowy.

– Dobry pomysł – uznała Rachel. Zdjęła fartuch, który zakrywał elegancką tunikę bez rękawów i nic nie mówiąc, wyprowadziła Matta z domu, a Luke za jej plecami zdążył jeszcze wznieść dwa kciuki.

Bez słowa szli ścieżką do padoku otoczonego białym płotem. Matt widział gładką skórę jej brązowego ramienia i te kosmyki włosów zaczesane na czubek głowy, które kręciły się kusząco za wysokości jej szyi. Domyślał się, że razem z Leslie musiały być wcześniej w kościele i zastanawiało go, jak ktokolwiek siedzący w ławce za Rachel mógł się skupić na kazaniu. Już przy płocie oparł jedną stopę na dolnej belce, a ramiona na górnej, przyglądając się kasztanowemu ogierowi przeżuwającemu trawę.

– Rozumiem, że się mnie spodziewałaś – powiedział.

– Wiedziałam, że Carrie nie zdoła utrzymać języka za zębami.

– A chciałaś tego?

– Raczej liczyłam na jej niedyskrecję.

Matt westchnął cicho z ulgą.

– Od dziadka wiem, że twój adwokat zadzwonił do Amosa z informacją, że rezygnujesz z procesu, jeszcze zanim wysłuchałaś jego nagrania. Więc nigdy nie zamierzałaś iść do sądu?

Kasztan ich zauważył i zarżał, najwyraźniej witając się z Rachel. Wyciągnęła do niego rękę, przebierając palcami, a on spokojnie podszedł.

– Chciałam tylko przekonać twojego dziadka i Amosa, że to zrobię.

– Ale dlaczego, Rachel? Przecież miałaś nas na tacy.

– Somerset i tak przyniosła już zbyt wiele bólu. No i co niby miałabym zrobić z papiernią?

– Dokonać zemsty?

Pokręciła głową.

– To nie w moim stylu.

Matt miał w oczach łzy. Czy jest na świecie druga taka kobieta?

– W każdym razie, jestem ci bardzo wdzięczny.

– Dlatego przyjechałaś... żeby mi podziękować?

– Między innymi. To jeden z powodów.

Rozmawialic swobodnie, stojąc ramię w ramię.

– A pozostałe?

Rachel pogłaskała białe plamki na czole ogiera.

– Na początek, Amos przesyła ci coś od Mary. W dniu swojej śmierci poprosiła go, by ci je przekazał. Powiedziała mu, że będzie wiedział, kiedy najlepiej to zrobić.

– Je?

– Perły Mary.

Przerwała głaskanie konia.

– O – powiedziała, a Matt kątem oka zauważył, jak z trudem przełyka ślinę i szybko mruga oczami. – Idealne wycucie czasu. Co jeszcze?

– Pomyślałem, że chciałabyś poznać plany dziadka względem Somerset.

Wychwycił wstrzymanie oddechu.

– Mów – zdecydowała Rachel, kładąc obie dłonie na belce. Kiedy skończył, jedna z tych dłoni powędrowała do dekoltu jej sukienki.

– Twój dziadek jest naprawdę mądrym człowiekiem, i jakim wrażliwym – w jej głosie Matt usłyszał cichy podziw. – Bardzo się cieszę. Cioci też by się to spodobało.

– Przyjechałem też zapytać cię o twoje plany – mówił Matt, ściągając rękę z płotu i tracąc nieco na sile głosu. – Pewnie... pewnie założysz gdzieś kolejną Somerset, na której będziesz uprawiać bawełnę i dynie.

Znów stali do siebie bokiem.

– Hm, na pewno zostanę przy rolnictwie – wyjaśniła – ale bawełna i dynie już mnie nie interesują.

– Więc będziesz uprawiała coś innego?

– Nie. Nie mam ochoty na uprawy. Nie na czyjejsz ziemi.

– Kup sobie własną.

– To nie to samo.

Ponownie zdjął rękę z belki i odwrócił się do Rachel.

– Nie rozumiem. Myślałem, że to twoja pasja, twoje życiowe powołanie – jedyne, co kiedykolwiek chciałaś robić. A teraz masz zamiar to zarzucić?

Koń zarżał cicho, urażony, że go ignorują, więc Rachel podała mu dłoń, żeby mógł ją trącać nosem.

– Słyszałeś kiedyś o baseballście Billym Setonie? – spytała Rachel.

Matt skinął głową, nieco zdezorientowany.

– Grał na pierwszej bazie w New York Yankees, na początku lat siedemdziesiątych.

Ostatni raz poklepała ogiera, po czym przeszła do hydrantu, by splukać ręce.

– Pochodził z mojego miasta. Kiedy go sprzedali, zrezygnował. Teraz jest trenerem.

Odkrył, że jego zapał do baseballu jest równoznaczny marzeniu, by zostać zawodnikiem New York Yankees, to po prostu jedno i to samo – wzajemnie powiązane. I kiedy zabrakło jednego, znikło i drugie. Kiedy Jankesi z niego zrezygnowali, nie chciał już w ogóle grać. Teraz rozumiesz?

Rozumiał – w całej pełni. Zaczęły go palić uszy. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał jej.

– Innymi słowy, jeśli masz uprawiać ziemię inną niż ziemia Toliverów, to w ogóle nie chcesz tego robić.

– Sama lepiej bym tego nie ujęła.

Patrzył, jak wyciera dłonie, opierając się pragnieniu, by objąć rękami jej twarz i całować jej oczy, usta, szyję, mocno przytulić ją do siebie i nigdy nie puścić. Koń szedł obok nich, wychylając głowę za płot, jakby pytał: „Na co czekasz, chłopie?”.

– W takim razie – powiedział, usiłując opanować drżenie głosu – może zainteresuje cię moja propozycja?

Oddała mu chusteczkę.

– A mianowicie?

– Szukam partnera, który pomoże mi w uprawie ziemi nad rzeką Sabine. Wydaje mi się, że można by ją spokojnie nazwać ziemią Toliverów. Mam wrażenie, że powiedziałaś nawet

kiedyś, iż jesteś nią żywotnie zainteresowana.

– Nie mam pojęcia o uprawie drzew.

– W sumie niewiele się ona różni od uprawy dyni czy bawełny. Wkładasz do ziemi małą sadzonkę i patrzysz, jak rośnie.

W oczach Rachel pojawiły się łzy. Znów sięgnęła po jego chusteczkę.

– To rzeczywiście podobne do tego, co robiłam wcześniej. Dasz mi trochę czasu na zastanowienie?

Matt spojrzał na zegarek.

– Jasne. Przecież kurczak jeszcze niegotowy.

Uśmiechnęła się.

– Czy nie za bardzo ryzykujesz, biorąc mnie na partnera?

– W ogóle – odparł i chwycił ją w ramiona, gdzie przecież było jej miejsce.

– Jak to? – zapytała, podnosząc głowę.

– Nie pamiętasz? Obstawiam tylko pewniaki.

